

Gene Wolfe

Pisarz na miarę J.R.R. Tolkiena i Ursuli Le Guin



RYCERZ

I tom cyklu
RYCERZ CZARNOKSIĘŻNIKA

Wydawnictwo Dolnośląskie



GENE WOLFE

RYCERZ

(Wizard Knight: The Knight)

Rycerz czarnoksiężnik (tom: 1)

Przełożył: Paweł Kruk



2007

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Jeźdźcy

Ben, spójrz na to najpierw.

- ❶ Drogi Benie
- ❷ Zniszczone miasto
- ❸ Kolczasta pomarańcza
- ❹ Sir Ravd
- ❺ Straszne oczy
- ❻ Widząc coś
- ❼ Disiri
- ❽ Ulfa i Toug
- ❾ Rycerz czarnoksiężnik
- ❿ Mróz
- ⓫ Gylf
- ⓬ Stary Toug
- ⓭ Cezura
- ⓮ Złamany miecz
- ⓯ Pouk
- ⓰ „Zachodni Kupiec”
- ⓱ Na kotwicy
- ⓲ Sam
- ⓳ Komora linowa
- ⓴ Łamimiecz
- ⓵ Widząc ich
- ⓶ Garsecg
- ⓷ Na schodach
- ⓸ Słoneczny brzeg
- ⓹ Po pierwsze
- ⓺ Po drugie i po trzecie
- ⓻ Kulili
- ⓼ Trzy lata

- 🕒29🕒 Mój zakład
- 🕒30🕒 Góra Ognia
- 🕒31🕒 Znowu na morzu
- 🕒32🕒 Wieża marszałka
- 🕒33🕒 Pij! Pij!
- 🕒34🕒 Będąc rycerzem
- 🕒35🕒 Tu żyły ogry
- 🕒36🕒 Pod Butelką i Muszelką
- 🕒37🕒 Zielony rycerz
- 🕒38🕒 Wiatr w kominie
- 🕒39🕒 Powietrze przesycone mgłą
- 🕒40🕒 Mieszkanie w piwnicy
- 🕒41🕒 Org
- 🕒42🕒 Jestem bohaterem
- 🕒43🕒 Wojenny trakt
- 🕒44🕒 Michał
- 🕒45🕒 Chata w lesie
- 🕒46🕒 Mani
- 🕒47🕒 Dobry mistrz Crol
- 🕒48🕒 Zbyt łaskawy
- 🕒49🕒 Synowie Angronitów
- 🕒50🕒 Kto powiedział mojej córce?
- 🕒51🕒 Łucznictwo
- 🕒52🕒 Do Pouka
- 🕒53🕒 Prośby
- 🕒54🕒 Idnn
- 🕒55🕒 Miecz i tarcza
- 🕒56🕒 Popioły na przełęczy
- 🕒57🕒 Prośba Garvaona
- 🕒58🕒 Z powrotem do popiołów
- 🕒59🕒 W Jotunlandzie
- 🕒60🕒 Co widziałeś?
- 🕒61🕒 Wszyscy musicie walczyć
- 🕒62🕒 Śladem najeźdźców
- 🕒63🕒 Jotunlandzka dolina
- 🕒64🕒 Ślepiec z siwą brodą
- 🕒65🕒 Uwolnię was

⓪66⓪ Kiedy jestem prawdziwy

⓪67⓪ Gubisz się w czasie

⓪68⓪ W grocie gryfa

⓪69⓪ Grengarm

*Książkę tę dedykuję
z wyrazami największego szacunku
YVESOWI MEYNARDOWI,
autorowi Księgi rycerzy.*

Jeźdźcy

*Któż wędruje po tych polach złocistych,
Po łąkach z powietrza i mgły utkanych,
Po tych górach i pagórkach falistych,
Któż mieszka w wieżach z mroku zbudowanych
Stopa człowieka ich tam nie dotyka
I w oknie wieży nie ujrzysz łucznika.
Tylko stopa, co przed oknem umyka,
Po ich wzgórzach i dolinach przemyka.
To mieszkańcy starych romansów świata,
Ludzie, co nigdy wcześniej nie istnieli.
I ci, co tańczą tam, gdzie się przeplata
Historia i baśń, co się echem ścieli.
Legenda o świecie, gdzie król panuje,
Który swój dwór miał na zamku Camelot.
I gdzie piękna Guinewra spaceruje,
Zaś u jej boku rycerz sir Lancelot.
A skrajem przepaści, co w skale zieje,
Stromej jak Roncesvalles, wąwóz znany,
Gdzie wyobraźni spojrzenie mętnieje,
W bój wyrusza Roland niepokonany.
I czubek włóczni Kichote wystaje,
Największego z nich jak dotąd rycerza.
Tak, widać ją tam, gdzie oko dostaje!
Lecz nie: to Wenus nieboskłon przemierza.*

Lord Dunsany

Ben, spójrz na to najpierw.

Przeczytałem pierwszą część mojego listu i stwierdziłem, że jest tam mnóstwo nieznanymi ci imion. Dlatego sporządziłem ich spis. Jeśli natkniesz się na którąś z tych osób i będziesz się zastanawiał, kim ona jest lub gdzie znajduje się jakieś miejsce, to możesz sprawdzić tutaj. Nie marnuj czasu i nie czytaj listy teraz. Sporządziłem ją tylko po to, żebyś mógł sprawdzić kto i gdzie.

Jeśli nie ma tam jakiegoś imienia, to znaczy, że je opuściłem albo też sam go nie znam lub uznałem, że jest ci znane. Oto moja lista.

ABLE – Tym imieniem posługuję się tutaj. Nosił je też brat Bertolda Śmiałego.

AELFY – Lud zamieszkujący piąty świat. Nie przemęczają się pracą, chronią drzewa i tak dalej, a także mają inny punkt widzenia na pewne rzeczy.

AELFRICE – Piąty świat, pod Mythgarthrem.

AELFY MCHU – Klan Disiri.

AELFY OGNIA – Klan, który przejął Setr.

AGR – Był marszałkiem Mardera; znam gorszych ludzi.

ALVIT – Jedna z dziewic tarczy, które jeżdżą w służbie Valfathera.

ANGRONICI – Olbrzymi wypędzeni ze świata Skai. Wszyscy pochodzą od znanej olbrzymki o imieniu Angr, a przynajmniej tak twierdzą.

ARNTHOR – Król Celidonu. Jego wizerunek widniał na monecie. Disiri przekazała mi wiadomość dla niego.

ATL – Jeden ze służących Thunrołfa.

AUD – Rządca Thunrołfa.

BAKI – Aelf Ognia, którą spotkałem w Wieży Glas. Obie z Uri twierdziły, że są moimi niewolnicami.

BALDIG – Jeden z wieśniaków mieszkających niegdyś w Gryfford.

BEAW – Jeden ze zbrojnych Garvaona. Dobry był z niego facet.

BEEL – Baron, którego Arnthor wysłał do Jotunlandu.

BEN – Mój brat, tam w Ameryce, za którym wciąż tęsknię. Przeczytałeś to, Ben?

BŁĘKITNOSZARY ZAMEK – Zamek Indigna. Zniszczony przez piratów z Osterling.

BŁĘKITNOSZARA WYSPA – Wysoka kamienista wyspa, oddalona od lądu stałego o jakieś ćwierć mili.

BODACHANI – Aelfy Ziemi. Tworzą jeden z małych klanów.

BERTOLD ŚMIAŁY – Wieśniak z Gryfford, który pozwolił mi ugotować upolowaną przeze mnie kuropatwę i zamieszkać z nim w jego chacie. Powiedzieliśmy sobie, że jesteśmy braćmi, i on w to uwierzył.

BREGA – Wieśniaczka, która mieszkała w Glennidam.

BYMIR – Pierwszy Angronita, jakiego spotkałem.

CASPAR – Dowódca straży więziennej na Zamku Sheerwall.

CELIDON – Duży kraj, dłuższy niż szerszy, na zachodnim wybrzeżu lądu stałego. Irringsmouth, Forcetti i Kingsdoom to miasta w Celidonie.

COLLINS – Mój dawny nauczyciel angielskiego.

CROL – Herold Beela.

CZARNOGRZYWY – Rumak Ravda.

CZERWONY DWÓR – Dwór Ravda.

DISIRA – Zona Seaxneata.

DISIRI – Królowa Aelfów Mchu.

DUCHY WODY – Aelfy Morza.

DUNS – Starszy brat Unsa.

DUCHY ŻARU – Aelfy Ognia. Uri i Baki były Duchami Żaru.

WSCHODNI DWÓR – Dwór Woddeta.

EGIL – Jeden ze zbójców.

EGR – Jeden z ważniejszych służących Beela.

ETERNE – Matka Mieczy.

FINEFIELD – Dwór Garvaona.

FORCETTI – Miasto Mardera, port morski.

GIGANCI MROZU – Angronici, w szczególności najeźdźcy.

GARSECG – Imieniem tym posługiwał się Setr, kiedy go poznałem.

GARVAON – Najlepszy rycerz Beela.

GAYNOR – Żona Arnthora, królowa Celidonu.

GERDA – Dziewczyna, którą zamierzał poślubić Bertold Śmiały.

GERI – Dziewczyna, z którą chodziłeś w czasie, kiedy zgubiłem Amerykę.

GILLING – Król Angronitów.

GLENNIDAM – Wioska, w której urodzili się Ulfa i Toug.

GORN – Karczmarz w karczmie Pod Kupą i Skorupą.

GÓRY MYSZY – Inna nazwa Gór Północnych.

GÓRY PÓŁNOCNE – Góry między Celidonem a Jotunlandem.

GÓRY SŁONECZNE – Góry między Celidonem a Osterlandem.

GRENGARM – Smok, który miał miecz Eterne.

GRYF – Rzeczka, która przepływa nieopodal Gryfford i wpada do rzeki Irring.

GRYFFORD – Wioska zniszczona przez Angronitów.

GYLF – Mój pies. Zgubił się Valfatherowi i był ze mną, dopóki Valfather nie zażądał jego oddania.

HEIMIR – Syn Gerdy, którego miała z Hymirem, przez co stał się Myszą.

HEL – Overcynka odpowiedzialna za śmierć.

HELA – Córka Gerdy zrodzona z Hymira, siostra Heimira.

HERMAD – Jeden z rycerzy Mardera.

HOB – Jeden ze strażników więziennych Caspara.

HORDSVIN – Kucharz na pokładzie „Zachodniego Kupca”.

HULTA – Kobieta w Glennidam.

HYMIR – Angronita, który uprowadził Gerdę.

HYNDLE – Angronicki syn Hymira.

IDNN – Córka Beela, całkiem ładna, prawie piękna. Pozostaje w pamięci jej głos i duże, czarne oczy.

INDIGN – Księżę, którego zabili Osterlingowie. Do niego należał Błękitnoszary Zamek.

IRRING – Duża Rzeka.

IRRINGSMOUTH – Miasto Indigna, gdzie rzeka Iring wpada do morza. W dużej części spalone przez Osterlingów.

JER – Przywódca zbójckiej bandy.

JOTUNLAND – Kraj Angronitów położony na północ od gór.

KERL – Pierwszy oficer na statku „Zachodni Kupiec”.

KINGSDOOM – Stolica Celidonu, port morski.

KLEOS – Drugi świat, nad Skai.

KOMNATA UTRACONEJ MIŁOŚCI – Komnata zupełnie jak inny świat, kiedy się do niej weszło. Czasem ożywali w niej umarli.

KRÓLOWA LASU – To znaczy Disiri. Wielu ludzi boi się wymawiać jej imię, ponieważ sądzą, że może przyjść. (W moim przypadku to nigdy się nie sprawdziło).

KSIĘŻYCOWY RYCERZ – Każdy rycerz wysłany przez Panią do Mythgarthru.

KULILI – Osoba odpowiedzialna za Aelfy.

LUD – Jeden z rycerzy Mardera.

LUT – Kowal, który wykuł Waleczną Pannę.

ŁAMIMIECZ – Mój buzdygan, przypomina stalowy pręt.

MAG – Matka Bertolda Śmiałego.

MAGNEIS – Rumak, którego podarował mi Marder.

MANI – Ogromny czarny kocur, który chodził za mną i Gylfem.

MARDER – Księżę panujący w najbardziej na północ wysuniętym księstwie Celidonu.

MATRONY MCHU – Starsze kobiety Aelfów Mchu.

MECHICI – Mężczyźni Aelfów Mchu.

MICHAŁ – Mężczyzna z Kleos.

MODGUDA – Służąca na zamku Sheerwall.

MORCAINE – Księżniczka. Jej braćmi są Arnthor i Setr.
MORI – Kowal w Irringsmouth.
MUSPEL – Szósty świat, pod Aelfrice.
MYSZY – Na wpół Angronici, na wpół ludzie.
MYTHGARTH – Czwarty świat, w którym znajduje się Celidon.
NEEDAM – Wyspa na południe od Celidonu. Nigdy tam nie byłem.
NJORS – Marynarz z „Zachodniego Kupca”.
NUKARA – Matka Unsa.
NUR – Drugi oficer na pokładzie „Zachodniego Kupca”.
NYTIR – Rycerz, którego pokonałem w barze karczmy Pod Kupą i Skorupą.
OBR – Ojciec Svona. Był baronem.
OGNISTA GÓRA – Wejście do Muspelu.
OKRĄGŁA WIEŻA – Największy zamek przy Ognistej Górze.
OLOF – Baron, który zdobył Ognistą Górę podczas naszego pobytu z Thunrolfem w Muspel.
ORG – Ogr, którego dostałem od Unsa.
OSSAR – Niemowlę Disiry.
OSTERLAND – Kraj położony na wschód od Gór Słonecznych.
OSTERLINGOWIE – Ludzie, którzy zjadają innych ludzi, by stać się bardziej ludzcy.
OVERCYNI – Lud zamieszkujący Skai – ziomkowie Valfathera.
PANI – Najmłodsza córka Valfathera. W normalnej rozmowie nie wymawia się jej imienia, dlatego mówimy „Pani”.
PANNY MCHU – Dziewczęta Aelfów Mchu.
PAPOUNCE – Jeden z ważniejszych służących Beela.
PARKA – Kobieta z Kleos.
PHOLSUNG – Dziadek Beela. Był królem Celidonu.
POD BUTELKĄ I MUSZELKĄ – Karczma, w której się zatrzymaliśmy podczas pobytu w Forcetti.

POUK BADEYE – Marynarz, który mi pomógł.
POTASH – Uczył chemii i fizyki.
RAVD – Najlepszy rycerz, jakiego kiedykolwiek widziałem.
SABEL – Martwy rycerz.
SCAUR – Miły rybak z Irringsmouth.
SCHILDSTAR – Jeden z najważniejszych Angronitów.
SEAXNEAT – Człowiek z Glennidam, który handlował ze zbrojcami.
SEAGIRT – Zamek Thunrolfa.
SETR – Smok, którego ojcem był człowiek.
SHEERWALL – Zamek Mardera.
SHA – Handlarka rybami, która była dla mnie miła.
SKAI – Trzeci świat, nad Mythgarthrem.
SKJENA – Dziewczyna, która mieszkała w Gryfford.
SPARREO – Moja nauczycielka matematyki. Całkiem miła.
SURT – Pomocnik Hordsvina.
SVON – Giermek Ravda.
SWERT – Służący Beela.
THIAZI – Minister Gillinga.
THOPE – Oficer żandarmerii Mardera.
TOUG (STARY) – Ojciec Ulfy.
TOUG (MŁODY) – Brat Ulfy, w moim wieku albo trochę starszy.
TRAKT RZECZNY – Główna droga prowadząca z Irringsmouth w głąb lądu. Biegnie wzdłuż północnego brzegu rzeki Irring.
TRAKT WOJENNY – Główna droga prowadząca na północ z Celidonu do Jotunlandu.
TUNG – Uczył szermierki Garvaona.
ULD – Rolnik, który wcześniej mieszkał w Gryfford.
ULFA – Dziewczyna, która uszyła dla mnie ubranie w Glennidam.
URI – Przyjaciółka Baki. (Czasem mówiły, że siostra).
UNS – Niepełnosprawny wieśniak.

UTGARD – Zamek Gillinga, a także otaczające go miasto.

VALFATHER – Król Skai.

VALI – Człowiek, którego stary Toug namówił, żeby mu pomógł mnie zabić.

VE – Chłopczyk Vali.

VIDARE – Jeden z rycerzy Mardera.

VOLLA – Nieżyjąca żona Garvaona.

WALECZNA PANNA – Miecz Ravda. Miecze mają imiona, podobnie jak statki.

WALECZNA WIEDŹMA – Miecz Garvaona.

WELAND – Człowiek, który wykuł Eterne. Pochodził z Mythgarthru, lecz został królem Aelfów Ognia.

WISTAN – Giermek Garvaona.

WODDET – Największy rycerz na zamku Sheerwall.

WOLNE DRUŻYNY – Grupy przestępców, ogólnie mówiąc.

WULFKIL – Strumień, który wpadał do rzeki Gryf.

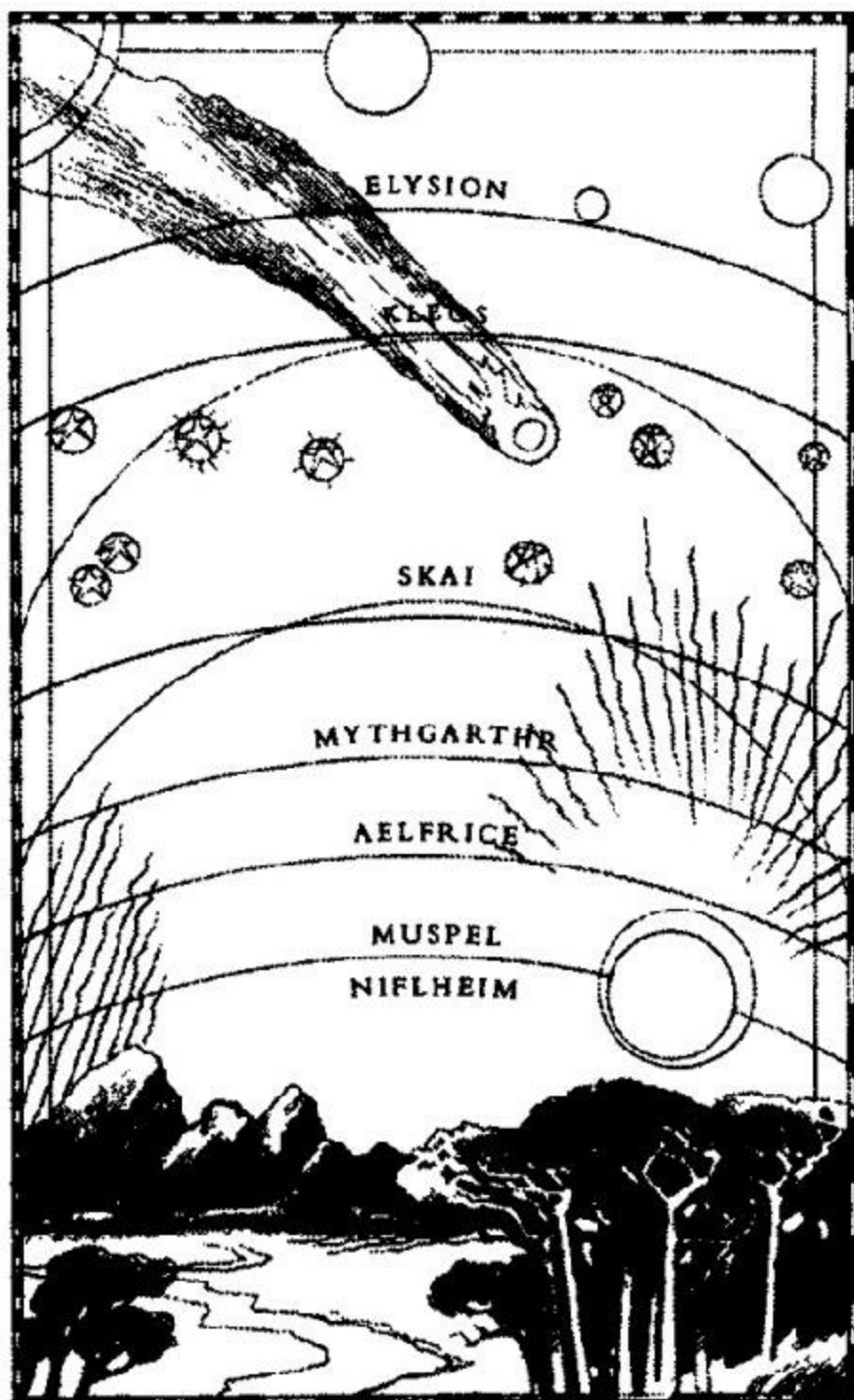
WYT – Marynarz z „Zachodniego Kupca”.

YENS – Niewielki port między Forcetti i Kingsdoom.

YOND – Giermek Woddeta.

„ZACHODNI KUPIEC” – Statek, na pokładzie którego opuściłem Irringsmouth.

Tu już cała lista, Ben. Wymienić wszystkie te nazwy i imiona było łatwo, za to trudniej sprawić, abyś wszystko to zobaczył. Pamiętaj, że Osterlingowie mieli długie zęby i wychudzone twarze, a Angronici cuchnęli. Pamiętaj, że Disiri potrafi się zmieniać, a wszystkie jej postacie były piękne.



Drogi Benie

Pewnie przestałeś się już zastanawiać, co się ze mną stało dawno temu; wiem, że upłynęło wiele lat. Mam tutaj czas, żeby napisać do ciebie, i chyba dobrą okazję dostarczenia ci tego, co napiszę, tak więc spróbuję. Gdybym po prostu opisał wszystko na kilku kartkach, nie uwierzyłbyś w większość. Jeśli w ogóle, ponieważ jest wiele rzeczy, które mnie samemu trudno pojąć. Tak więc spróbuję opowiedzieć ci wszystko po kolei. Nie mam pewności, czy uwierzysz, kiedy skończę, ale przynajmniej będziesz wiedział wszystko to, co ja wiem. Kiedy zobaczyłem cię, jak siedzisz przy ognisku – mój brat – tam, na polu walki... Nieważne. Chociaż to chyba z tego powodu piszę teraz.

Pamiętasz tamten dzień, kiedy pojechaliśmy do chaty? A potem zadzwoniła Geri. Musiałeś wracać do domu i nie potrzebowałeś towarzystwa dzieciaka, który by ci się pętał pod nogami. Ustaliliśmy więc, że nie ma powodu, abym i ja wracał. Umówiliśmy się, że ja zostanę, a ty wrócisz następnego dnia.

Miałem łowić ryby.

No właśnie.

Ale nie łowiłem. Bez ciebie niezbyt mnie to pociągało, a powietrze było rześkie i liście już czerwieniały, więc wyruszyłem na wędrowną. Może to był mój błąd. Długo szedłem, ale się nie zgubiłem. W którymś momencie znalazłem kij i zabrałem go ze sobą, lecz był krzywy i niezbyt mocny. Ponieważ nie bardzo mi się spodobał, postanowiłem, że znajdę lepszy, taki, który będę mógł zabrać z powrotem do chaty i używać zawsze, kiedy tam przyjedziemy.

Zobaczyłem drzewo, które wyglądało inaczej niż wszystkie inne. Niezbyt

duże, miało białą korę i lśniące liście. To była kolczasta pomarańcza, Ben, lecz ja nigdy wcześniej o takiej nie słyszałem. Później Bertold Śmiały dużo mi o nim opowiedział. Było zbyt duże, żeby dało się je ściąć całe, ale znalazłem jedną gałąź, prawie prostą. Odciąłem ją więc i przyciąłem. Być może od tego wszystko się zaczęło, to mógł być mój największy błąd. Bo te drzewa nie są takie jak inne. Mechici troszczą się o nie bardziej.

Kiedy zobaczyłem to drzewo, zszedłem ze ścieżki, a gdy dotarłem do niego, zorientowałem się, że rośnie na skraju lasu, skąd rozciągał się widok na faliste wzgórza. Niektóre z nich były całkiem strome, lecz piękne, gładkie i porośnięte wysoką trawą. Ruszyłem więc w tamtą stronę z nowym kijem w dłoni i wdrapałem się na trzy albo cztery wzgórza. Było miło. Na szczycie jednego z nich znalazłem źródło. Napiłem się i usiadłem – nieźle się już zmęczyłem – i zacząłem strugać mój kij bez specjalnego pomysłu. Tak sobie po prostu strugałem. Po jakimś czasie położyłem się i spojrzałem na niebo. Każdy zawsze widzi jakieś obrazy, patrząc na chmury, lecz ja zobaczyłem wtedy więcej niż kiedykolwiek przedtem – starca z brodą, którego wiatr zmienił w czarnego smoka, wspaniałego konia z rogiem na głowie i piękną kobietę, która uśmiechnęła się do mnie z góry.

A potem ujrzałem latający zamek, ze wszystkich stron najeżony wieżami i wieżyczkami jak gwiazda. Powtarzałem sobie, że to musi być chmura, lecz wcale tak nie wyglądało, Ben. Zamek wydawał się zbudowany z kamienia. Wstałem i pobiegłem za nim, żeby zobaczyć, jak wiatr go rozwieje, lecz tak się nie stało.

Potem nadeszła noc. Straciłem zamek z oczu i wiedziałem, że jestem daleko od naszej chaty. Ruszyłem szybko z powrotem przez wzgórza, lecz w pewnym momencie zacząłem schodzić zboczem, które nie miało końca. W ciemności ktoś złapał mnie za ramię, a potem ktoś inny chwycił za kostkę, kiedy próbowałem się wyswobodzić. Wówczas usłyszałem:

– Kto przybywa do Aelfrice!

Wciąż pamiętam te słowa i jeszcze długo potem pamiętałem tylko ten

szczegół. A także to, że chwyciło mnie wielu ludzi.

Obudziłem się w nadmorskiej jaskini, w której siedziała staruszka ze zbyt dużą liczbą zębów, zajęta przedzeniem. Kiedy doszedłem do siebie i odnalazłem swój kij, zapytałem ją, gdzie jesteśmy, starając się być w miarę możliwości uprzejmym:

– Czy może mi pani powiedzieć, co to za miejsce i jak się stąd dostać do Gryfford?

Z jakiegoś powodu uznałem, że mieszkamy w Gryfford, Ben, i wciąż nie pamiętam prawdziwej nazwy naszej miejscowości. Może to jest naprawdę Gryfford. Wszystkie one są takie pomieszane.

Staruszka tylko potrząsnęła głową.

– Czy wiesz, jak się tu dostałem?

Roześmiała się, a w jej śmiechu szumiały wiatr i morze; była wodną mgiełką i falami, które rozbijały się za progiem jaskini. Rozmawiając z nią, mówiłem do nich. Tak wtedy czułem. Czy to brzmi niedorzecznie? Byłem szalony od urodzenia, lecz wtedy pozostawałem przy zdrowych zmysłach. To wspaniałe uczucie. Wiatr i fale siedziały obok mnie w jaskini, skręcając nić, a przyroda nie była czymś znajdującym się na zewnątrz. Staruszka stanowiła jej ogromną część, ja zaś malutką, a poza tym nie było mnie zbyt długo. Później Garsecg powiedział, że uleczyło mnie morze.

Podszedłem do wylotu jaskini i ruszyłem przez wodę, aż sięgnęła mi do pasa; widziałem tylko klify wiszące nad jaskinią, granatową wodę przed sobą i postrzępione czarne skały podobne do smoczych zębów. Staruszka powiedziała:

– Musisz poczekać, aż opadnie woda.

Mokry, wróciłem do jaskini.

– Długo to potrwa?

– Dość długo.

Potem, oparty o swój kij, przyglądałem się, jak przedzie, usiłując domyślić się, co takiego zamierza wysnuć z nici i dlaczego to coś wydaje odgłosy, bo

tak było. Momentami wydawało się, że obraz zawiera twarze i wyciągają się z niego ręce i nogi.

– Ty jesteś Able Wielkie Serce.

To, co powiedziała, przyciągnęło moją uwagę i po chwili podałem jej moje dawne imię. Do tego momentu ani na moment nie oderwała wzroku od pracy.

– Kiedy mówię tak i tak, nie odwracaj rzeczy wspak – zwróciła się do mnie.

Przeprosiłem ją.

– Przed utratą się nie ustrzeżesz, więc tak rzeknę: im mniej znaczna twoja pani, tym większa twoja miłość. – Przerwała przedzenie i uśmiechnęła się do mnie. Wiedziałem, że chciała być miła, lecz jej zęby były okropne i wydawały się ostre jak brzytwy. Po chwili powiedziała: – Zniewaga domaga się straty, a ponieważ tak zwykle się dzieje, to ta przynajmniej nie wyrządzi zbyt dużej krzywdy.

W ten sposób otrzymałem nowe imię.

Staruszka powróciła do przedzenia, lecz wydawało się, że ona czyta nic.

– Utoniesz, zanim się wzniesiesz, i wzniesiesz się, nim zatoniesz. Jej słowa przestraszyły mnie, zapytałem więc, czy mogę o coś zapytać.

– Najlepiej, żeby to było jedno pytanie. Co chcesz wiedzieć, Able Wielkie Serce?

O tyle rzeczy chciałem zapytać, że nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa, tak więc zapytałem:

– Jak się nazywasz?

– Parka.

– Jesteś wróżką?

– Niektórzy tak twierdzą – odpowiedziała i uśmiechnęła się.

– Skąd się tu wziąłem?

Pokazała kądzielą, przedmiotem, który podtrzymywał to, co przedła, w głąb jaskini, gdzie panowała ciemność.

– Nie pamiętam, że bym tam był – odpowiedziałem.

– Pamięć została ci odebrana.

Gdy tylko to powiedziała, pojąłem, że tak jest. Pamiętałem niektóre szczegóły. Pamiętałem ciebie, chatę i chmury, lecz wszystko to było bardzo odległe w czasie, a potem wydarzyło się wiele innych rzeczy, których zupełnie nie pamiętałem.

– Przyniosły cię do mnie Aelfy.

– Kim są Aelfy? – Poczułem, że muszę to wiedzieć.

– Nie wiesz, Able Wielkie Serce?

Po tych słowach długo się nie odzywała. A ja siedziałem, przyglądając się jej, i od czasu do czasu zerkalem w głąb jaskini, skąd, jak powiedziała, przyszedłem. Kiedy odwracałem od niej wzrok, stawała się coraz większa, wiedziałem więc, że za mną jest coś ogromnego. A kiedy znowu na nią patrzyłem, nie była nawet tak duża jak ja.

To była jedna sprawa. Druga to taka, że pamiętałem, iż jako mały chłopiec wiedziałem dużo o Aelfach, a wszystko to było pomieszane z kimś jeszcze, małą dziewczynką, z którą się bawiłem; i były tam duże, bardzo duże drzewa, paprocie o wiele większe niż my, i czyste źródła. I mech. Dużo mchu. Zielony i miękki jak aksamit.

– Przysłali cię z opowieścią o swoich krzywdach – powiedziała Parka – i o ich uwielbieniu.

– Uwielbieniu? – Nie miałem pewności, co ma na myśli.

– Twojej osoby.

Te słowa przyniosły inne rzeczy – nie rzeczy, raczej uczucia.

– Nie lubię ich – powiedziałem i była to prawda.

– Zasadź jedno nasienie – powiedziała.

Długo czekałem, żeby powiedziała coś więcej, ponieważ nie chciałem zadawać pytań. Jednak nic już nie powiedziała, tak więc zapytałem ją:

– Nie opowiesz mi o tym wszystkim? O krzywdach i o całej reszcie?

– Nie.

Wypuściłem powoli powietrze, bo bałem się tego, co mogę usłyszeć.

– To dobrze.

– Tak. Musi być jakaś korzyść, więc rzeknę w ten sposób: zawsze, gdy spełni się twego serca pragnienie, poczuje ono jeszcze większe łaknienie.

Wtedy poczułem, że nawet jeśli zadam więcej pytań, to i tak nie dostanę na nie odpowiedzi. Słońce wsunęło ręce do naszej jaskini, niosąc nam obojgu ukojenie, a przynajmniej tak się wydawało; a potem zanurzyło się w morzu, które zdawało się za nim podążać. Niebawem w miejscu, do którego wcześniej doszedłem, prawie nie było wody.

– Czy to oznacza, że woda się cofnęła? – zapytałem Parkę.

– Zaczekaj – powiedziała. Przegryzła nić, po czym nawinęła kawałek ze szpulki na swoją dłoń i podała mi go. – Na twój łuk.

– Nie mam łuku.

Pokazała na mój kij, Ben, a ja spostrzegłem, że ten próbuje zamienić się w łuk. Teraz było wygięcie na jego środku, tyle tylko, że był całkiem prosty, a ponieważ zestrugałem go w grubszym końcu, na obu końcach był cieńszy niż na środku.

Podziękowałem i wybiegłem na zewnątrz, gdzie teraz pod klifem ciągnęła się kamienista plaża. Kiedy pomachałem na pożegnanie, wydawało się, że jaskinia jest pełna białych ptaków trzepocących skrzydłami. Staruszka też mi pomachała; wydawała się bardzo mała, niczym płomień świecy.

Na południe od jaskini znalazłem stromą ścieżkę prowadzącą na szczyt klifu. Na samej górze znajdowały się ruiny murów i kikut wieży. Kiedy tam stanąłem, na niebie świeciły już gwiazdy. Zrobiło się zimno. Zacząłem szukać jakiegoś schronienia i wreszcie je znalazłem; potem wspiąłem się do tego, co pozostało z wieży.

Wieża stała na kamienistej wyspie połączonej z lądem wąskim cyplem pokrytym piachem i kamieniami i położonym tak nisko, że pozostawał prawie pod wodą nawet podczas odpływu. Zanim nabrałem pewności, chyba z pięć minut gapiłem się w rozbijające się o niego fale. Wiedziałem, że to

tam, i wiedziałem, że powinienem opuścić wyspę, dopóki to jeszcze możliwe, i znaleźć nocleg na lądzie.

Wiedziałem, lecz tego nie zrobiłem. Przede wszystkim byłem już bardzo zmęczony. Niespecjalnie głodny czy spragniony, ale tak bardzo zmęczony, że chciałem tylko móc się gdzieś położyć. Poza tym bałem się, co mogę znaleźć na brzegu albo co może znaleźć mnie.

A oprócz tego musiałem pomyśleć. Tak wiele rzeczy zapomniałem, a to, co pamiętałem (ciebie, Ben, naszą chatę i nasz dom, a także zdjęcia mamy i taty, które miałeś) działo się dawno, bardzo dawno temu. Chciałem spróbować przypomnieć sobie coś więcej i zastanowić się nad tym wszystkim, co mi powiedziała Parka, i co to mogło oznaczać.

Tak więc wróciłem do kryjówki między niebieskimi kamieniami, którą wcześniej znalazłem. Położyłem się. Nie miałem nic na nogach i kiedy tak leżałem, wydało mi się, że powinienem mieć buty do wspinaczki i pończochy. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, co się z nimi stało. Miałem na sobie szarą wełnianą koszulę bez guzików i szare wełniane spodnie bez kieszeni, co też mnie zdziwiło. Do tego pasek i zawieszoną na nim na rzemieniu niewielką skórzaną sakiewkę, w której była tylko cięciwa Parki, trzy twarde, czarne nasiona i mały nóż z drewnianym trzonkiem w drewnianej pochwie. Nóż idealnie pasował do mojej dłoni, lecz nie pamiętałem, skąd go mam.

Zniszczone miasto

Obudziło mnie słońce. Wciąż pamiętam jego ciepło i jak przyjemnie było się w nim pławić z dala od ludzkich głosów i całego tego zgiełku oraz zmartwień, rzeczy, o których opowiadała mi cięciwa; leżałem tak chyba z godzinę, zanim wstałem.

I wtedy poczułem, że jestem głodny i chce mi się pić. Deszczówka ze zniszczonej fontanny smakowała wybornie. Piłem i piłem, a kiedy wreszcie przestałem, ujrzałem rycerza, który mi się przyglądał; był wysoki, barczysty i ubrany w kolczugę. Jego twarz zasłaniał hełm, z którego czubka groźnie spoglądał na mnie czarny smok, inne zaś smoki patrzyły z tarczy i opończy. Rycerz zaczął się rozpląwać w powietrzu, gdy tylko na niego spojrzałem, i po kilku sekundach wiatr rozwiął to, co jeszcze zostało. Dowiedziałem się, kim jest, dużo później, dlatego nie będę teraz rozwijał tego tematu; chciałbym jednak powiedzieć coś innego, co równie dobrze pasuje tutaj, jak gdzie indziej.

Tamten świat nazywa się Mythgarthr. Dowiedziałem się o tym później, ale nie ma powodu, żebyś ty nie mógł się dowiedzieć tego teraz. Jaskinia Parki nie całkiem się tam znajdowała, raczej gdzieś między Mythgarthrem i Aelfrice. Błękitnoszara Wyspa leży całkowicie w Mythgarthrcie, lecz ja tam nie byłem, dopóki nie napiłem się wody. Albo raczej nie byłem tam bezpiecznie. Dlatego właśnie przybył tam rycerz; chciał zobaczyć, że piję wodę.

– Dobry panie! – powiedziałem, lecz nie było tam nikogo, kto by mnie usłyszał.

Przestraszył mnie. Nie dlatego, że pomyślałem, iż mam zwidy, lecz

dlatego, że sądziłem, iż jestem sam. Wciąż oglądałem się za siebie. To nie takie złe przyzwyczajenie, Ben, lecz nikogo już nie zobaczyłem.

We wschodniej części wyspy klify nie były takie znów strome. Znalazłem kilka małży i zjadłem je na surowo. Słońce świeciło nad moją głową, kiedy dwóch rybaków podpłynęło na tyle blisko, że mogłem wrzasnąć do nich. Tak też zrobiłem, wtedy oni przybili do brzegu. Zapytali, czy im pomogę przy sieciach, jeśli mnie zabiorą; obiecałem, że pomogę, i wgramoliłem się do łodzi.

– Jak się tam dostałeś? – zapytał mnie starszy z rybaków.

Sam chciałem to wiedzieć, a także to, dlaczego mówią tak śmiesznie, ostatecznie jednak powiedziałem tylko:

– A w jaki sposób ktoś inny by się tam dostał?

Wtedy oni przestali już o tym mówić. Podzielili się ze mną chlebem i serem, a także rybą, którą upiekliśmy na ogniu w skrzyni wypełnionej piaskiem. Nie wiedząc o tym, wtedy właśnie pokochałem morze.

O zachodzie słońca dali mi moją część ryb z połowu w zamian za pomoc. Powiedziałem młodszemu (który był tylko trochę starszy ode mnie), że podzielę się rybami z jego rodziną, jeśli jego żona je upiecze, ponieważ nie miałem się gdzie podziać. Zgodził się, tak więc kiedy sprzedaliśmy złowione ryby, zanieśliśmy najlepsze z tych, których nie sprzedaliśmy, do ciasnego domku wybudowanego może jakieś dwadzieścia kroków od wody.

Po kolacji snuliśmy opowieści, a kiedy przyszła moja kolej, powiedziałem:

– Nigdy dotąd nie widziałem ducha, chyba że duchem było to, co zobaczyłem dzisiaj. Tak więc opowiem wam o tym, nawet jeśli moja opowieść nie przestraszy nikogo tak jak duch z historii Scaura.

Nikt się nie sprzeciwił; myślę, że swoje opowieści słyszeli już nieraz.

– Wczoraj znalazłem się na pewnej skalistej wyspie niedaleko stąd, na której kiedyś była wieża...

– Należała do księcia Indigna – powiedział Scaur.

– Błękitnoszary Zamek – dodała jego żona Sha.

– Noc spędziłem w ogrodzie – mówiłem dalej – ponieważ miałem tam coś do zrobienia. Musiałem posadzić roślinę. Widzicie, ktoś ważny polecił mi zasiać ziarno, lecz nie wiedziałem, co miała na myśli, aż do momentu, kiedy znalazłem tutaj nasiona. – Pokazałem im sakiewkę.

– Ściąłeś kolczastą pomarańczę – wysapał dziadek Sha, pokazując na mój łuk. – Zrąbałeś kolczastą pomarańczę, młody człowieku, a zatem musisz posiać trzy nasiona. Bo inaczej dostaną cię Mechici.

Powiedziałem, że nie miałem o tym pojęcia. Splunął do ognia.

– Ludzie tego nie wiedzą, teraz już nie, i dlatego bardzo mało zostało kolczastych pomarańczy. To najlepsze drewno. Natrzyj lnianym olejem, słyszałeś mnie? Żadna pogoda go nie ruszy.

Wyciągnął rękę po mój łuk, więc mu go podałem. Po chwili przekazał go Scaurowi.

– Złam go, synu. Złam na kolanie.

Scaur spróbował. Był silny i zgiął łuk prawie na pół, ale go nie złamał.

– Widzisz? Nie dasz rady. Nie złamiesz go. – Dziadek Sha cmoknął, a Scaur oddał mi łuk. – Przeważnie kolczasta pomarańcza wydaje tylko jeden owoc, który ma nie więcej niż trzy nasiona. Jak je zetniesz, musisz je posadzić w trzech miejscach, bo inaczej przyjdą po ciebie Mechici.

– No, Able – powiedziała – opowiedz nam o tym duchu.

– Dziś rano postanowiłem posadzić pierwsze ziarno w ogrodzie Błękitnoszarego Zamku. – Znajdowała się tam kamienna misa, w której zebrała się woda, uznałem więc, że najpierw wsadzę do ziemi nasienie, a potem zaczerpnę wody. Kiedy uznałem, że jest dostatecznie podlane, wypilem resztę wody.

Przytaknęli z aprobatą.

– Wydrążyłem nożem dołek, włożyłem do niego ziarno i przysypałem ziemią – która i tak była całkiem wilgotna – a potem przyniosłem wodę w rękach. Kiedy w dołku stanęła woda, piłem długo z misy, a kiedy podniosłem

głowę, ujrzałem rycerza, który mi się przyglądał. Nie widziałem jego twarzy, ale miał dużą zieloną tarczę z namalowanym na niej smokiem.

– To nie był książę Indign – zauważył Scaur – bo on ma w herbie błękitnego odyńca.

– Rozmawiałeś z nim? – zapytała Sha. – Co powiedział?

– Nie rozmawiałem. To stało się tak szybko, byłem za bardzo zaskoczony. On... zamienił się w coś jakby chmurę, a potem całkiem zniknął.

– Chmury to oddech Pani – zauważył dziadek Sha. Zapytałem, kto to taki, lecz on tylko pokręcił głową i wbił wzrok w ogień.

– Nie wiesz, że nie wolno wymawiać jej imienia? – powiedziała Sha.

Rano zapytałem o drogę do Gryfford, lecz Scaur odpowiedział, że nie ma takiego miasta w okolicy.

– W takim razie jak nazywa się to miejsce? – zapytałem.

– Irringsmouth – odpowiedział Scaur.

– Wydaje mi się, że tam, gdzie mieszkam, też jest Irringsmouth – powiedziałem. Nie miałem pewności, ale jakoś tak mi się zdawało. – To duże miasto. Jedyne duże miasto, w jakim byłem.

– W tej okolicy to jest jedyne Irringsmouth – rzekł Scaur. Przechodzień, który usłyszał naszą rozmowę, dodał:

– Gryfford leży nad rzeką Gryf. – Poszedł dalej, zanim zdążyłem zapytać go o cokolwiek.

– To strumień, który wpada do naszej rzeki – wyjaśnił mi Scaur. – Idź na południe, aż dojdiesz do rzeki, a potem Rzecznym Gościńcem i znajdziesz swoje miasto.

Tak wyruszyłem w drogę z soloną rybą zawiniętą w czysty kawałek materiału. Kierowałem się na południe wzdłuż uliczki biegnącej na tyłach domu z plecionki, w którym mieszkali Scaur i Sha, i dalej na południe większą ulicą, do której doprowadziła mnie tamta, a potem na wschód drogą wzdłuż rzeki. Wyprowadziła mnie ona z miasta przez wyrwę w miejskich murach pozbawionych bramy i biegła dalej przez zagajniki młodych drzew,

gdzie w cieniach leżały jeszcze plamy śniegu, a kwadratowe kałuże z deszczówką czekały, aż ktoś do nich powróci.

Potem droga weszła między wzgórza, gdzie dwóch chłopców starszych ode mnie oświadczyło, że zamierzają mnie obrabować. Jeden miał kij, a drugi łuk z przygotowaną strzałą – na wycięciu, jak się tu mówi. Wycięcie znajduje się w tyle strzały, tak by można ją było nałożyć na cięciwę. Powiedziałem im, że mogą wziąć, co chcą, z wyjątkiem mojego łuku. Jak się mogłem spodziewać, próbowali mi go zabrać. Bronilem się i dostałem kijem. Potem walczyłem, odebrałem im łuk i obiłem ich nim. Może powinienem był się przestraszyć, lecz tak nie było. Rozgniewało mnie, że pomyśleli, iż mogą mnie natłuc, a ja im nie oddam. Ten z kijem rzucił go i uciekł, więc zacząłem tłuc drugiego, aż wreszcie się przewrócił. Wtedy usiadłem na nim i powiedziałem, że mu poderżnę gardło.

Błagał mnie o litość, a kiedy pozwoliłem mu wstać, też uciekł i zostawił swój łuk i kołczan. Łuk wyglądał nieźle, ale gdy go zgąłem na kolanie, złamał się. Zachowałem cięciwę i zarzuciłem sobie kołczan na plecy. Tamtej nocy strugałem jeszcze trochę mój własny łuk, tak że potrzeba mu było już tylko kąpieli w oleju lnianym, i założyłem cięciwę tamtego chłopaka.

Wędrowałem już ze strzałą w nacięciu. Widziałem króliki i wiewiórki, a nawet kilka razy jelenie; próbowałem strzelać, ale tylko straciłem kilka strzał. Wreszcie ostatniego dnia, kiedy już osłabłem z głodu, ustrzeliłem kuropatkę i udałem się na poszukiwanie ognia. Długo szukałem i już prawie zrezygnowałem, gotowy zjeść ptaka na surowo, lecz wieczorem dostrzegłem nad drzewami smużki dymu podobne do białych zjaw widocznych na tle nieba. Kiedy zaświeciły pierwsze gwiazdy, napotkałem chatę do połowy zarośniętą dzikimi fiołkami. Zbudowano ją z patyków i zwierzęcej skóry, a w wejściu wisiała zasłona. Nie mogłem zapukać, więc zakasłałem, a ponieważ nikt nie odpowiedział, zastukałem w patyki framugi.

– Kto tam? – odpowiedział mi głos, który zabrzmiał jak głos mężczyzny gotowego do walki.

– Gruba kuropatwa – odpowiedziałem. Bijatyka była ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę.

Skóra odsunęła się i wyrżał zza niej przygarbiony i trzęsący się starzec z długą brodą. Dłoń mu drżała, podobnie jak i głowa, za to jego głos nie zadrżał ani trochę, kiedy rzucił donośnie:

– Kim jesteś?

– Podróżnikiem, który podzieli się swoim ptakiem w zamian za twój ogień – powiedziałem.

– Tu nie ma nic do ukradzenia – odpowiedział brodacz i i podniósł do góry maczugę.

– Nie przyszedłem cię obrabować, a tylko upiec kuropatwę. Ustrzeliłem ją rano i oskubałem, ale nie miałem ognia, żeby ją upiec, a umieram z głodu.

– W takim razie wejdź. – Odsunął się od wejścia. – Możemy ją upiec, jeśli odstąpisz mi kawałek.

– Dam ci więcej niż kawałek – odpowiedziałem i dotrzymałem słowa: oddałem mu skrzydełka i udka. Nie zadawał mi już więcej pytań, za to bacznie mnie obserwował, odwracał się i znowu się gapił, tak że w końcu przedstawiłem się, powiedziałem, ile mam lat, i wyjaśniłem, że jestem obcy w jego kraju, na końcu zaś zapytałem, jak się dostać do Gryfford.

– A niech to! To była moja wioska, młokosie. Czasem tam chodzę, ale dzisiaj nikt już nie mieszka w Gryfford.

Poczułem, że to nie może być prawda.

– Ja mieszkam i mój brat także. Brodacz pokręcił trzęsącą się głową.

– Nikt. Nikt tam nie został.

Teraz już wiedziałem, że Gryfford nie jest naszym miastem. Może nasze miasto nazywało się Gryf – albo Gryfsburg czy jakoś tak. Niestety, nie pamiętam.

– Szanowali mnie tam – mruknął brodacz. – Niektórzy chcieli uciekać, ale powiedziałem, żeby zostali. Zostańcie i walczcie, powiedziałem. Jeśli przyjdzie zbyt wielu gigantów, wtedy uciekniemy, ale najpierw sprawdzimy,

na co ich stać.

Zwróciłem uwagę na słowo „giganci” i zacząłem się zastanawiać, co jeszcze usłyszę.

– Ich przywódcą był Schildstarr. Wtedy mieszkałem w wysokim domu mojego ojca. Nie w takim jak ten. Duży dom z półstryszkiem pod wysokim dachem i małymi pokojami za dużym. Mieliśmy też duże kamienne palenisko i stół na tyle duży, żeby nakarmić przy nim przyjaciół.

Skinąłem głową, powracając myślami do domów, jakie widziałem w Irringsmouth.

– Schildstarr nie był moim przyjacielem, ale mógł dostać się do mojego domu. W środku musiałyby stać tak jak ja teraz.

– Walczyłeś z nimi?

– Tak. Za mój dom? Za pola i Gerdę? Tak! Walczyłem, chociaż połowa uciekła, gdy zobaczyli ich nadchodzących drogą. Zabiłem jednego włócznią, a dwóch toporem. Padali jak drzewa, młokosie. – Jego oczy rozbłyły na chwilę.

– Kamień... – Dotknął boku swojej głowy i od razu wydał się starszy. – Nie wiem, kto mnie uderzył ani czym. Może kamieniem. Nie wiem. Przyłóż tu rękę, młokosie. Pomacaj pod włosami.

Włosy miał gęste, prawie czarne. Przyłożyłem rękę i zaraz ją odsunąłem.

– Potem mnie torturowali. Wodą i ogniem. Znasz to? To lubią najbardziej. Zapędzili nas do stawu i rozpalili ogniska dookoła niego. Zapędzili nas do wody jak bydło. A potem rzucali w nas żagwiami tak długo, aż nas potopili. Wszystkich poza mną. Jak się nazywasz, młokosie?

Przedstawiłem się jeszcze raz.

– Able? Able. Tak nazywał się mój brat. To było dawno, bardzo dawno temu.

Wiedziałem, że to nie jest moje prawdziwe imię, lecz Parka powiedziała, żebym się nim posługiwał. Zapytałem, jak on się nazywa.

– Znalazłem norę szczura wodnego – powiedział. – Chowałem się pod

wodę, kopałem i wynurzałem, żeby zaczerpnąć powietrza, a przez cały czas nadlatywały żagwie, płonące i syczące. Straciłem rachubę zanurzeń i oparzeń, ale przeżyłem. Potem wsadziłem głowę do nory szczura wodnego i w niej oddychałem. Czekałem tak długo, aż Angronici pomyśleli, że wszyscy się potopiliśmy, i poszli sobie.

Skinąłem głową przeświadczony, że widziałem to wszystko.

– Próbowałem wyjść na brzeg, lecz mój cień się pośliznął. Wpadł z powrotem do stawu. Wciąż tam jest. – Brodacz pokręcił głową. – Sny? Nie sny. Wciąż w tym stawie, a żagwie nadlatują ze świstem. Próbowałem wyjść. Ślisko... Ogień napierający na moją twarz.

– Gdybym został u ciebie na noc – zasugerowałem – mógłbym cię obudzić, gdyby cię dręczyły złe sny.

– Schildstarr – mruknął brodacz. – Wielki jak drzewo, taki jest Schildstarr. Skóra jak śnieg. Oczy jak u sowy. Widziałem, jak podniósł Baldiga i wyrwał mu ramiona. Mogę ci pokazać, gdzie to było. Naprawdę idziesz do Gryfford, Able?

– Tak – odpowiedziałem. – Wyruszę jutro, jeśli pokażesz mi drogę.

– Też pójdę – obiecał brodacz. – Nie byłem tam jeszcze w tym roku. Zawsze odwiedzałem to miejsce. Mieszkałem tam.

– Wspaniale – powiedziałem. – Będę miał z kim pogadać, z kimś, kto zna drogę. Kiedyś mój brat wściekłby się na mnie, ale teraz chyba już mu przeszło.

– Nie, nie – wymamrotał brodacz. – Nie, nie. Bertold Śmiały nigdy się o ciebie nie martwił, bracie. Nie jesteś bandytą.

I tak zamieszkałem u Bertolda Śmiałego. Był jakby trochę szalony i czasem się przewracał. Ale byt równie dzielny jak inni, których znałem, i pozbawiony zła. Próbowałem się nim opiekować i mu pomagać, on zaś próbował się opiekować mną i mnie uczyć. Stał przy mnie przez lata, Ben, i w końcu miałem okazję się odwdziaczyć. Być może była to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Czasem zastanawiam się, czy nie dlatego Parka powiedziała mi, że nazywam się Able. Wszystko to działo się na północy Celidonu. Powinienem to w którymś momencie powiedzieć.

Kolczasta pomarańcza

Bertold Śmiały rozchorował się następnego dnia i błagał mnie, żebym nie odchodził, tak więc udałem się na polowanie. Nie byłem wtedy zbyt dobrym myśliwym i bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom położyłem jelenia dwoma strzałami. Obie brzechwy złamały się, kiedy jelen padł, ale odzyskałem przynajmniej groty. Tamtego wieczora, kiedy ucztowaliśmy, zając się pieczoną dziczyzną, poruszyłem temat Aelfów i zapytałem Bertolda Śmiałego, czy słyszał o Aelfrice i czy wie coś o mieszkańcach tego kraju.

Skinął głową.

– Mam na myśli prawdziwy Aelfrice. Nic nie powiedział.

– W Irringsmouth pewna kobieta opowiadała historię dziewczyny, która miała poślubić króla Aelfów, ale podstępem nie wpuściła go do swojego łóżka. To była tylko opowieść i nikt nie uważał jej za prawdziwą.

– Przychodzili tu, bywało – mruknął Bertold Śmiały.

– Naprawdę? Prawdziwe Aelfy?

– Tak. Mniej więcej tak duzi jak ten ogień. Przeważnie czarni jak węgiel drzewny, jak sadza, i brudni jak sadza. Cali czarni z wyjątkiem zębów i języka. Z oczyma żółtymi jak ogień.

– Są prawdziwi? Skinął głową.

– Siedem Światów tam jest, Able. Czy cię nie uczyłem? Czekałem.

– Mythgarthr, tak się nazywa. Niektórzy mówią po prostu Ziemia, ale to nie tak. Ziemia, po której chodzisz, i rzeki, w których pływasz. Morze... Tylko morze jest pomiędzy, jak się zdaje. Tak więc trzy u góry i trzy pod spodem. Skai jest następny, albo możesz powiedzieć Sky. Znaczy to samo.

Tam udają się czasem wysoko latające ptaki. Nie wróble czy rudziki ani tym podobne. Jastrzębie, orły i dzikie gęsi. Widziałem nawet tam w górze duże czaple.

Przypomniał mi się latający zamek i powiedziałem:

– Tam, gdzie są chmury. Bertold Śmiały przytaknął mi.

– No właśnie. Wciąż chcesz iść do Gryfford? Czuję się lepiej z brzuchem pełnym tego dobrego mięsa. Rano może poczuję się jeszcze lepiej; w tym roku jeszcze nie odwiedzałem mojej starej siedziby.

– Tak, chcę. A Aelfrice?

– Pokażę ci staw, w którym rzucali we mnie ogniem, i stare groby.

– Chciałbym cię też zapytać o Skai – zwróciłem się do niego. – W mojej głowie roi się od pytań.

– Pewnie jest ich więcej niż w mojej odpowiedzi. Na zewnątrz rozległo się wycie wilka.

– Chcę się czegoś dowiedzieć o Angronitach i Osterlingach. Ludzie, u których nocowałem, opowiadali, że Osterlingowie zburzyli Błękitnoszary Zamek.

Bertold Śmiały skinął głową.

– Bardzo możliwe.

– Skąd pochodzą Angronici?

– Z kraju lodu. – Pokazał na północ. – Przychodzą z mrozami i odchodzą ze śniegiem.

– Przychodzą tylko po to, żeby kraść?

Znowu skinął głową ze wzrokiem wbitym w ogień.

– Także po niewolników. Nas nie wzięli dlatego, że walczyliśmy. Zamiast tego zamierzali nas zabić. Jeśli będziesz uciekał zamiast walczyć, to cię zabiorą. Także kobiety i dzieci. Zabrali Gerdę.

– A Skai...

– Spij już – przerwał mi Bertold Śmiały. – Czeka nas podróż, młokosie. Musimy wstać ze słońcem.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Proszę. Potem już pójde spać, obiecuję.
Skinął głową.

– Rozumiem, że często patrzysz w niebo. Mówiłeś, że widziałeś tam orły, a nawet czaple.

– Czasem.

– A widziałeś tam kiedyś zamek, Bertoldzie Śmiały? Potrząsnął powoli głową.

– Bo ja widziałem. Leżałem na trawie i patrzyłem na chmury... Chwylił mnie za ramiona, jak to się czasem robi, i spojrział mi prosto w oczy.

– Widziałeś go?

– Tak. Naprawdę. Nie wydawało się, że jest prawdziwy, ale pobiegłem za nim, starając się nie stracić go z oczu, i był prawdziwy, sześcioboczny zamek z białego kamienia ponad chmurami.

– Widziałeś go. – Jego dłonie drżały mocniej niż zwykle. Skinąłem głową.

– Był między chmurami i płynął podobnie jak one, gnany tym samym wiatrem. Był tak samo biały jak one, lecz miał twarde krawędzie i kolorowe flagi na wieżach. – Na tamto wspomnienie poczułem ucisk w gardle. – Nie widziałem piękniejszej rzeczy.

Następnego ranka Bertold Śmiały wstał przede mną i opuściliśmy jego obitą skórą chatę, zanim jeszcze słońce ukazało się nad wierzchołkami drzew. Szedł wolno, opierając się na swojej lasce, ale trzymał się dzielnie i wydawał się bardziej skłonny do rozmowy niż poprzedniego wieczora.

– Wczoraj chciałeś się dowiedzieć czegoś o Aelfach – powiedział, a ja przytaknąłem.

– Zamiast tego gadałem o Skai. Pomyślałeś pewnie, że brak mi piątej klepki, ale miałem swoje powody.

– Było dobrze – odpowiedziałem – bo o tym też chciałem się czegoś dowiedzieć.

Prawie niewidoczne ścieżka, którą podążaliśmy, zaprowadziła nas na polanę; Bertold Śmiały zatrzymał się i pokazał swoją laską na Skai.

– Ptaki unoszą się tam w górę. Widziałeś je. Potwierdziłem.
– Teraz widzę jednego.
– Nie mogą zostać.
– A gdyby... Któryś mógłby przysiąc na zamkowym murze, prawda?
– Nie gadaj o tym. – Nie mogłem się zorientować, czy jest zły, czy przestraszony. – Nie teraz, a może nigdy.
– Dobrze. Już nie będę, obiecuję.
– Nie chcę cię znowu stracić. – Wziął głęboki oddech. – Ptaki nie mogą zostać. Ani ty, ani ja nie możemy tam iść. Tylko oglądać. Rozumiesz?
Skinąłem głową.
Ruszył przed siebie szybko, stukając kijem.
– Myślisz, że ptak mógłby? Orzeł widzi lepiej od ciebie. Widziałeś kiedyś orle gniazdo?
– Tak, było jedno jakieś pięć mil od naszej chaty.
– Na szczycie wysokiego drzewa?
– Zgadza się. Na wysokiej sośnie.
– Orzeł tam siedzi, pewnie wysiaduje jaja. Myślisz, że on czasem patrzy w górę zamiast w dół?
– Chyba musi. – Dreptałem za nim.
– W takim razie może polecieć, jeśli tak postanowi. Podobnie jest z Aelfami. Skierował ku ziemi gruby paluch poznaczony niebieskimi żyłami. – Są w dole tam, gdzie nie sięga nasz wzrok, lecz nas widzą. Ciebie i mnie. I słyszą nas, jeśli rozmawiamy głośno. Mogą tu przyjść, jeśli zechcą, ale nie mogą zostać.

Potem szliśmy w milczeniu przez jakieś pół godziny, a ja goniłem za niemal wyblakłymi wspomnieniami. Wreszcie powiedziałem:

- Co by się stało, gdyby Aelf spróbował tu zostać?
- Umarłby – odparł Bertold Śmiały. – Tak mówią.
- Powiedzieli ci to? Ze nie mogliby żyć tutaj? – Tak.

Później, kiedy już napiliśmy się wody ze źródła, powiedziałem:

– Nie zapytam o ich krzywdy – wiesz coś na ten temat? Wzruszył ramionami.

– Tylko to, co mówią.

Tamtą noc spędziliśmy nad rzeką Gryf, delektując się szemraniem wody. Bertold Śmiały zabrał ze sobą krzesiwo i metal, a ja nazbierałem suchych patyków i połamałem je na tak drobne drzazgi, że zapaliły się od pierwszych iskier.

– Gdyby nie zima, mógłbym tak żyć przez cały czas – powiedział; być może mówił też w moim imieniu.

Po posiłku wyciągnąłem się na plecach, nasłuchując pohukiwania sowy i szumu wiatru w koronach drzew, które zazieleniły się pierwszymi liśćmi. Rozumiesz chyba, że wtedy wierzyłem, iż niebawem wrócę do domu. Zostałem porwany przez Alfę, tak myślałem. Uwolniły mnie w którymś z zachodnich stanów albo w obcym kraju. Z czasem powrócą wspomnienia z mojej niewoli. Gdybym był mądrzejszy, to bym został w Irringsmouth, gdzie miałem przyjaciół i gdzie pewnie była biblioteka z mapami albo Konsulat Amerykański. A tak mogłem liczyć tylko na to, że znajdę jakąś wskazówkę w Gryfford (wciąż nie byłem przekonany, czy nie tak nazywa się nasze miasto), bo jeśli nie, to nic nie stało na przeszkodzie, abym powrócił do Irringsmouth. Na wpół zniszczone Irringsmouth pozostało czymś na podobieństwo portu morskiego. Może mógłbym przepłynąć stamtąd statkiem do Ameryki. Co miałoby mnie powstrzymać przez zrobieniem tego? Nikt i nic. Tak, statek wydał mi się dobrym pomysłem.

– Kto-o-o? – powiedziała sowa. Jej głos, miękki i ciemny jak wiosenna noc, niósł zrozumienie, ale i ciekawość.

Ja też wyczułem kroki kogoś lub czegoś idącego przez las, chociaż pojedyncza kropla rosy spadająca z wysokiego konaru byłaby głośniejsza.

– Kto-o-o idzie?

Ty byś się ożenił, a ja bym się plątał przy tobie do momentu, kiedy już mógłbym się usamodzielić. Tak czy inaczej, wydawało się, że najlepiej

będzie, jak zostanę w chacie przez pierwszy rok. Byłoby lepiej dla mnie nie wracać do domu zbyt szybko. Do bungalowu, który należał do mamy i taty. Do chaty, do której jeździliśmy polować i łowić ryby aż do pierwszych śniegów.

Ale była wiosna. Na pewno była wiosna. Upolowany przeze mnie jelen zrzucił już poroże, a trawa w zapomnianym ogrodzie Błękitnoszarego Zamku była krótka i puszysta. Co się stało z zimą?

Prześliczna pociągnęła twarz rozjaśniona blaskiem ogromnych lśniących oczu podobnych do księżyca w pełni spojrzała na mnie z góry i znikła.

Usiadłem. Widziałem tylko Bertolda Śmiałego, który spał mocno. Sowa umilkła, lecz nocny wiatr szeptał drzewom swoje tajemnice. Położyłem się z powrotem, usiłując przypomnieć sobie twarz, którą widziałem przez chwilę. Zieloną twarz? Jasne, pomyślałem, jasne, że wyglądała na zieloną.

Kiedy stare drzewa ustąpiły miejsca młodym, krzewom i strzelistym olchom, Bertold Śmiały powiedział:

– Jesteśmy na miejscu.

Nie widziałem żadnego miasta. Ani śladu.

– To tutaj. – Machnął laską. – Tędy biegła ulica. Po tej stronie stały domy, aż do wody. A z drugiej aż do pól. Tutaj stał dom Ulda, a naprzeciw niego Baldiga. – Wziął mnie za rękę. – Pamiętasz Baldiga?

Nie pamiętam, co mu odpowiedziałem, a poza tym on i tak nie słuchał.

– Uld miał sześć palców, tak samo jak jego córka Skjena. – Bertold Śmiały puścił moje ramię. – Potrzymaj kij, młokosie. Pokażę ci, gdzie ich spotkaliśmy.

Poszliśmy kawałek przez zarośla i młode drzewka. Wreszcie zatrzymał się i pokazał ręką, mówiąc:

– Tu stał nasz dom, twój i mój. A wcześniej taty. Pamiętasz go? Wiem, że jej nie pamiętasz. Odeszła, zanim odstawiła cię od piersi. Mag miała na imię. Przenocujemy tam dzisiaj, prześpimy się w miejscu, w którym stał nasz dom, przez wzgląd na dawne czasy.

Nie miałem serca, żeby mu powiedzieć, iż tak naprawdę nie jestem jego bratem.

– Tam! – Poprowadził mnie sto jardów na północ. – W tym miejscu po raz pierwszy zobaczyłem Schildstarra. Byli ze mną tacy chłopcy jak ty, którzy mogli strzelać z łuków i rzucać kamieniami, ale uciekli, wszyscy. Niektórzy wystrzelili strzałę albo rzucili kamieniem, lecz większość uciekła na sam widok Angronitów.

On został, walczył i został pokonany. Świadomy tego powiedziałem:

– Ja bym nie uciekł.

Przysunął swoją ogromną zarośniętą twarz do mojej.

– Też byś uciekł!

– Nie.

– Uciekłyś – powtórzył i zamachnął się kijem, jakby chciał mnie uderzyć.

– Nie będę się z tobą mocował – powiedziałem. – Jeśli jednak spróbujesz mnie tym uderzyć, to ci go zabiorę i złamię.

– Nie uciekłyś? – Starł się zachować powagę. Przekonany co do własnych słów, potrząsnąłem głową.

– Nawet gdyby byli tak wielcy jak tamto drzewo. Opuścił kij i oparł się na nim.

– Ale nie byli. Może do tego pierwszego dużego konaru. Skąd wiesz, że byś nie uciekł?

– Ty nie uciekłeś – powiedziałem. – Czy nie jesteśmy tacy sami?

Na długo przed zachodem słońca w miejscu, w którym stał dom, oczyściliśmy kawałek terenu na nocleg i rozpaliliśmy ogień w dawnym palenisku. Bertold Śmiały długo opowiadał o rodzinie i o Gryfford. Początkowo słuchałem głównie z grzeczności, lecz w miarę jak wydłużały się cienie, moje zainteresowanie rosło. Nie było tam szkół, lekarza ani policji. Bardzo rzadko podróżnicy przechodzili przez rzekę w tamtym miejscu, brodząc po kolana w górskiej zimnej wodzie. Kiedy mieszkańcom; wioski

dopisywało szczęście, sprzedawali im jedzenie i nocleg; kiedy nie dopisywało, musieli walczyć z przybyszami w obronie swoim domów i stad.

Jeśli Angronici byli gigantami, to Osterlingowie, którzy czasem przychodzili latem, byli diabłami żywiącymi się ludzkim mięsem, by przywrócić sobie ludzkie cechy, które utracili. Aelfy przychodziły jak mgła o każdej porze roku i znikwały jak dym.

– Mechici i Duchy Żaru, przeważnie – opowiadał dalej Bertold Śmiały. – Albo mali Bodachani. Czasem pomagali. Pomagali znaleźć zagubione bydło i prosili o krew w zamian. – Odsłonił ramię. – Nakłuwałem kolcem ramię i dawałem im kroplę lub dwie. Wyglądają jak zrobieni z błota, tak jakoś.

Skinąłem głową, by pokazać, że rozumiem, choć wcale tak nie było.

– Byłeś tu wtedy ze mną, tylko nie gadałeś tak buńczucznie. Tato wychował mnie, a ja ciebie. Pewnie wydawało ci się, że mi przeszkadzasz, kiedy biegałem za Gerdą. Nie widziałem ładniejszej dziewczyny. Wszystko zaplanowaliśmy.

Nie musiałem go pytać, co się wtedy wydarzyło.

– Odszedłeś, a ja myślałem, że wrócisz za rok albo dwa, jak już się osiedlimy na dobre. Tylko że ty nie wróciłeś aż do teraz. Jak ci się podobało tam, gdzie byłeś?

Próbowałem sobie przypomnieć, ale przychodziło mi do głowy tylko to, że najlepiej w życiu było mi wtedy, kiedy mogłem spać pod gołym niebem, pływać łodzią i wędrować po lasach.

– Nie masz nic do powiedzenia?

– Nie. – Pokazałem mu groty strzał, które zachowałem. – Dopóki jest jeszcze widno, chciałbym dopasować do nich nowe brzechwy.

– Stare się złamały? Skinąłem głową.

– Kiedy jeleni się przewrócił. Tak sobie pomyślałem, że gdyby udało mi się znaleźć takie samo drzewo, z którego zrobiony jest mój łuk, wtedy nowe brzechwy by się nie złamały.

– Ściąłbyś całe dla kilku strzał? Potrząsnąłem głową.

– Tylko jedną albo dwie gałęzie, wystarczyłoby. A gdybym znalazł takie z zeszłorocznym owocem, to bym posadził nasiona.

Dźwignął się ciężko na nogi.

– Pokażę ci jedno, jeszcze tam rośnie.

Poprowadził mnie przez zarośla, a potem przyklęknął i zaczął rozgarniać trawę, aż znalazł nieduży pieniek.

– Kolczasta pomarańcza – powiedział. – Posadziłeś ją, zanim odszedłeś. Rosła na mojej ziemi, więc nie pozwoliłem nikomu jej ściąć. Ale ktoś to zrobił, kiedy nie patrzyłem.

Nic nie odpowiedziałem.

– Może wypuściła korzenie. – Wstał, podpierając się kijem. – Czasem puszczają.

Wtedy przyklęknąłem, wyjąłem z sakiewki jedno z dwóch pozostałych nasion i wsadziłem je do ziemi blisko pieńka. Kiedy wstałem, zobaczyłem, że po policzkach Bertolda płyną łzy. Poprowadził mnie dalej, aż wreszcie zatrzymał się i zatoczył kijem półkole, wskazując na ziemię przed nami porośniętą krzewami i młodymi drzewami.

– Tutaj uprawiałem jęczmień. Widzisz tamto drzewo? Chodź. W połowie drogi pokazał na plamkę lśniącej zieleni.

– Jest. Kolczasta pomarańcza nie zrzuca liści tak jak większość drzew. Jest zielona przez całą zimę podobnie jak sosna.

Podeszliśmy do drzewa; było młode, wysokie na jakieś dwadzieścia pięć stóp. Objąłem pień.

Wydaje mi się, że w tym miejscu powinienem powiedzieć więcej na temat kolczastej pomarańczy, ale szczerze mówiąc, niewiele wiem na ten temat. Wiele drzew, które mamy w Ameryce, występuje także i tutaj, w Mythgarthricie – dęby, sosny, klony i tym podobne. Za to kolczasta pomarańcza jest jedynym, o którym wiem, że rośnie też w Aelfrice. Niebo w Aelfrice nie wydaje się dziwne – dopiero kiedy się przyjrzyysz, możesz zobaczyć widocznych na nim ludzi albo usłyszeć głosy wplecione w wiatr.

Czas płynie tu bardzo wolno, lecz my nie jesteśmy tego świadomi. Tylko drzewa i ludzie są dziwni na pierwszy rzut oka. Myślę, że kolczasta pomarańcza pochodzi stąd, a nie z Mythgarthru czy Ameryki.

Sir Ravd

– Chłopcze! – zawołał rycerz z grzbietu swojego ogromnego siwka. I zaraz powiedział: – Podejź tu. Chcemy z tobą porozmawiać.

A jego giermek dodał:

– Nie skrzywdzimy cię.

Podszedłem ostrożnie; jeśli nauczyłem się czegoś, przemierzając tamtejsze lasy w towarzystwie Bertolda Śmiałego, to właśnie ostrożności wobec obcych. Do tego wciąż pamiętałem rycerza spod herbu smoka, który rozpląnął się w powietrzu.

– Znasz te okolice, chłopcze?

Odpowiedziałem skinieniem głowy, skupiając większą uwagę na jego zbroi i koniu niż na słowach.

– Potrzebny nam przewodnik na resztę dnia, a może także i na jutro. – Rycerz uśmiechnął się. – Za pomoc jesteśmy gotowi ci zapłacić jednego tarczyna za dzień. – Kiedy nic nie odpowiedziałem, dodał: – Pokaż mu monetę, Svon.

Giermek sięgnął do sakiewki i wyjął okazałą srebrną monetę. Ogromny gniady rumak, którego wodze trzymał, zaczął chrapać i grzebać niecierpliwie kopytem.

– Nakarmimy cię też – obiecał rycerz. – Albo zapłacimy za jedzenie, jeżeli upolujesz coś dla nas tym swoim dużym łukiem.

– Upoluję bez zapłaty – odpowiedziałem – jeśli podzielicie się ze mną.

– Szlachetne słowa.

– Skąd mam wiedzieć, że nie odeślecie mnie z pustymi rękami pod koniec dnia i nie dacie kuksańca na odchodne?

Svon zacisnął dłoń na tarczynie.

– A skąd mamy wiedzieć, że nie wciągniesz nas w zasadzkę?

– Co do kuksańca na odchodne – powiedział rycerz – to mogę ci dać słowo. Oczywiście nie ma powodu, żebyś w nie wierzył. Jeśli zaś chodzi o zapłatę, to mogę cię uspokoić w tej sprawie już teraz. – Klepnął palcem wskazującym w pięść Svona, a kiedy giermek oddał mu monetę, rycerz rzucił ją mnie. – Oto twoja zapłata za dzisiejszy dzień aż do zachodu słońca. Już ci jej nie odbierzemy. Poprowadzisz nas?

Patrzyłem na monetę, na której widniała surowa twarz młodego króla z jednej strony i tarcza z drugiej. Na tarczy zobaczyłem potwora, który był kobietą, koniem i rybą. Zapytałem rycerza, gdzie chciałby, żebym go zaprowadził.

– Do najbliższej wioski. Jak ona się nazywa?

– Glennidam – odpowiedziałem. Byłem tam wcześniej z Bertoldem Śmiałym.

Rycerz zerknął na Svona, który pokręcił głową, wtedy znowu spojrzał na mnie i zapytał:

– Ilu ludzi?

Było tam dziewięć domów – niezamężni mieszkają z rodzicami, a starzy ze swoimi zamężnymi dziećmi. Mniej więcej troje dorosłych na dom... zapytałem, czy mam uwzględnić dzieci.

– Jeśli chcesz. I nie licz psów. (To mogło być chyba podsłuchane przez jakiegoś Bodachana).

– W takim razie powiedziałbym, że pięćdziesięciu trzech. Razem z niemowlęciem żony Seaxneata. Nie znam jego ani jej imienia.

– Dobrzy ludzie?

Uważałem, że nie, więc zaprzeczyłem.

– Ach. – Rycerz uśmiechnął się ponuro. – W takim razie zaprowadź nas do Glennigam niezwłocznie. Poznamy się lepiej w drodze.

– Jestem Able Wielkie Serce. Svon zaśmiał się.

Rycerz dotknął krawędzi swojego metalowego czepca.

– A ja jestem Ravd z Czerwonego Dworu. To mój giermek Svon. Ruszajmy już.

– Dotrzemy tam dzisiaj bardzo późno, jeśli w ogóle – ostrzegłem Ravda.

– Tym bardziej nie mamy co się ociągać.

Tamtej nocy obozowaliśmy nad strumieniem Wulfkil. Obaj ze Svonem rozbiliśmy dla Ravda namiot z płótna żaglowego w czerwono-złote pasy. Rozpaliłem ognisko, ponieważ miałem ze sobą krzemień i metal, i zjedliśmy twardego chleba, solonego mięsa i cebuli.

– Twoja rodzina martwi się pewnie o ciebie – powiedział Ravd. – Masz żonę?

Zaprzeczyłem i dodałem, że Bertold Śmiały powiedział, iż jestem na to za młody.

Ravd skinął głową; był bardzo poważny.

– A ty co powiesz?

Pomyślałem o szkole, że może będę chciał pójść do college'u, jeśli kiedykolwiek wrócę do domu.

– Może za kilka lat.

Svan uśmiechnął się szyderczo.

– Dwa szczury zagłodzone w jednej dziurze.

– Mam nadzieję, że nie.

– Och, naprawdę? A w jaki sposób utrzymałbyś rodzinę? Odpowiedziałem mu uśmiechem.

– Ona mi powie, w jaki sposób. Dlatego ją wybiorę, kiedy już ją znajdę.

– Ona? A jeśli nie będzie umiała? – Spojrzał na Ravda, oczekując wsparcia, lecz się zawiódł.

– W takim razie czy warto się z taką żenić? – powiedziałem. Ravd zarechotał.

Svon skierował palec wskazujący w moim kierunku.

– Kiedyś nauczę...

– Najpierw sam musisz się nauczyć, zanim zaczniesz uczyć innych – zwrócił się do niego Ravd. – Tymczasem ten tutaj Able może nauczyć czegoś nas obu, jak sądzę. Kim jest Bertold Śmiały?

– Moim bratem. – Tak mówiliśmy ludziom, Ben, a ja wiedziałem, że Bertold Śmiały w to wierzy.

– Starszy od ciebie, skoro udziela ci rad.

– Tak, sir. – Skinąłem głową.

– A gdzie twoi rodzice?

– Och, ojciec zmarł dawno temu – odpowiedziałem – a matka zostawiła nas niedługo po tym, jak się urodziłem. Bo tak jest tam, gdzie jesteście, jak i tutaj.

– To przykre. Jakieś siostry?

– Nie, ani jednej – powiedziałem. – Ojciec wychowywał mojego brata, a mój brat mnie.

Svon znowu się roześmiał.

Już wtedy byłem zdezorientowany, ponieważ wspomnienia z domu mieszały mi się z opowieściami Bertolda Śmiałego o jego rodzinie tutaj, która miała być też moją rodziną. Wszystko działo się w przeszłości i chociaż Ameryka jest bardzo daleko stąd w teraźniejszości, przeszłość jest tylko wspomnieniami oraz zapiskami, których nikt nie czyta, zapiskami, których nikt nie może przeczytać. To miejsce i tamto są ze sobą zmieszane jak książki w szkolnej bibliotece – tyle z nich stoi na niewłaściwych półkach, że nikt już nie wie, gdzie powinny stać.

– Z tego, co mówiłeś, zrozumiałem, że obaj z bratem nie mieszkacie w Glennigam – powiedział Ravd. – Bo inaczej znałbyś imię żony Seaxneata i imię jej nowo narodzonego dziecka, skoro mieszka tam tylko pięćdziesiąt osób. Gdzie mieszkasz?

– Nie mieszkamy w żadnej wiosce – wyjaśniłem. – Mieszkamy sami i trzymamy się osobno, poważnie.

– Rozbójnicy – wyszeptał Svon.

– Możliwe. – Barki Ravda uniosły się na grubość źdźbła trawy i opadły. – Zaprowadziłbyś nas do twojego domu, gdybym cię poprosił, Able?

– To jest dom Bertolda Śmiałego, nie mój, sir. – Spojrzałem ze złością na Svona.

– A zatem do domu twojego brata. Zaprowadziłbyś nas tam?

– Chętnie. Tylko to skromne miejsce, zwykła chata. Niewiele większa niż twój namiot. – Wydawało mi się, że Svon chce coś powiedzieć, lecz się nie odezwał, dodałem więc: – Powinienem zostać rozbójnikiem, tak jak mówi Svon. Wtedy mieszkalibyśmy w pięknym domu z grubymi murami i drzwiami i mielibyśmy dość jedzenia.

– W tym lesie są zbrojcy, Able – powiedział Ravd. – Nazywają siebie Wolnymi Drużynami. Czy mają te rzeczy?

– Chyba tak, sir.

– Widziałeś ich na własne oczy? Potrząsnąłem głową.

– Kiedy się spotkaliśmy, Svon obawiał się, że wprowadzisz nas w pułapkę. Myślisz, że Wolne Drużyny mogłyby zorganizować zasadzkę z premedytacją? Zaatakować trzech zdolnych do walki?

– Dwóch – powiedziałem. – Svon by uciekł.

– Wcale nie!

– Uciekniesz, nim zahuczy sowa. – Splunąłem w ogień. – Od dwóch kulawych kotów i dziewczyny będziesz uciekał jak królik.

Położył dłoń na rękojeści. Wiedziałem, że muszę go powstrzymać, zanim wyciągnie miecz. Przeskoczyłem nad ogniem i powaliłem go na ziemię. Puścił rękojeść, kiedy upadał, a ja wyciągnąłem jego miecz z pochwy i odrzuciłem w krzaki. Walczyliśmy na ziemi, tak jak my czasem; on próbował sięgnąć po sztylet, a ja starałem się to uniemożliwić. W pewnym momencie przeturlaliśmy się zbyt blisko ognia, wtedy on zerwał się na nogi. Myślałem, że wyciągnie nóż i mnie dźgnie, tymczasem uciekł.

Trochę się oczyściłem z brudu, a Ravd powiedział:

– Możesz wziąć z powrotem swojego tarczyna, jeśli chcesz.

– Wolno ci. – Nawet nie drgnął. – „Wolno ci” wyraża pozwolenie, podarunki i tym podobne. Mówisz zbyt gładko, Able, żeby popełniać tak elementarne błędy.

Przytaknąłem mu. Jeszcze go nie rozgryzłem i nie miałem pewności, czy mi się to w ogóle uda.

– Siadaj i zatrzymaj mojego tarczyna. Kiedy Svon wróci, każę mu dać ci jeszcze jednego za jutrzejszy dzień.

– Myślałem, że się na mnie wściekniesz.

Ravd potrząsnął głową.

– Svon musi niebawem stać się rycerzem. Oczekuje tego jego rodzina, podobnie jak on sam. A także Jego Miłość i ja, jeśli już o tym mówimy. A więc tak się stanie. Tylko musi się jeszcze wiele nauczyć, zanim zostanie pasowany na rycerza. Uczę go najlepiej jak potrafię.

– I mnie – powiedziałem. – O „możesz” i „wolno ci”, a także innych rzeczach.

– Dziękuję.

Przez jakiś czas siedzieliśmy zamyśleni. Potem powiedziałem:

– Czy ja mógłbym zostać rycerzem?

To był jedyny raz, kiedy widziałem Ravda zaskoczonego, a wyrażało się to tym, że jego oczy rozszerzyły się na chwilę.

– Nie możemy zabrać cię ze sobą, jeśli to masz na myśli. Pokręciłem głową.

– Muszę zostać i zaopiekować się Bertoldem Śmiałym. Ale może kiedyś? Jeśli tu zostanę?

– Powiedziałbym, że już prawie jesteś rycerzem. Powiedz, Able, co czyni z człowieka rycerza? Chciałbym usłyszeć, co masz do powiedzenia na ten temat.

W tym momencie przypomniałem sobie panią Sparreo. Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem:

– I to skorygować.

Ravd odpowiedział uśmiechem.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba. A zatem powiedz mi, co wyróżnia rycerza spośród innych ludzi?

– Zbroja, taka jak twoja. Ravd potrząsnął głową.

– W takim razie wielki koń jak twój Czarnogrzywy.

– Nie.

– Pieniądze?

– Ależ skąd. Kiedy rozmawialiśmy o moim giermku, wspomniałem o pasowaniu na rycerza. Zrozumiałeś to?

Pokręciłem głową.

– Pasowanie to ceremonia, podczas której osoba uprawniona wprowadza inną w stan rycerski. Spytałem cię jeszcze raz. Co czyni z mężczyzny rycerza, Able? Co wyróżnia go spośród innych na tyle, że musimy mu nadać imię inne od imion zwykłych wojów?

– Pasowanie, sir.

– Pasowanie czyni go rycerzem w oczach prawa, lecz jest to tylko formalny rytuał, formalny wyraz uznania czegoś, co już się dokonało. Pasowanie potwierdza, że ten oto człowiek jest rycerzem.

Zacząłem się zastanawiać nad tym, co mi powiedział, i pomyślałem o Ravdzie, który przecież sam był rycerzem.

– Siła i mądrość. Żadna z nich osobno, lecz obie razem.

– Teraz jesteś już bliżej. Całkiem blisko. Miałem na myśli honor, Able. Rycerz to mąż, którego życiem rządzi kodeks honoru i który umiera z honorem, ponieważ ceni go ponad własne życie. Jeśli honor wymaga tego, aby walczył, to walczy. Nie liczy swoich wrogów i nie mierzy ich siły, ponieważ rzeczy te nie mają dla niego znaczenia. Nie wpływają na jego decyzję w żaden sposób.

Wiatr ucichł, a drzewa stały tak nieruchomo, że wydawało mi się, iż cały świat wsłuchuje się w jego słowa.

– Podobnie odnosi się do innych ludzi, nawet jeśli oni nie zachowują się

honorowo wobec niego. Jego słowo jest dobre, bez względu na to, komu je daje.

Wciąż się nad tym zastanawiałem.

– Znam człowieka, który nie ugiął się i walczył z Angronitami tylko włócznią i toporem. Nie miał tarczy, zbroi ani konia. Inni namawiali go, żeby uciekł, i niektórzy tak zrobili. Ale nie on. Czy był rycerzem? Nie chodzi o mnie.

– Za co walczył? – zapytał niemal szeptem.

– Za Gerdę i za swój dom. Za zboże na swoim polu i za bydło.

– W takim razie nie jest rycerzem, choć jest to ktoś, kogo chętnie zaliczyłbym do grona moich popleczników.

Zapytałem go, czy ma ich wielu, ponieważ przyjechał do lasu sam, nie licząc Svana.

– Więcej niż bym pragnął, lecz niewielu z nich jest tak dzielnych jak ten mąż. Podziękowałbym wszystkim Overcynom w Skai za setkę podobnych, gdyby byli tacy jak on.

– Dobry z niego człowiek. – Rysowałem postać Bertolda Śmiałego przed samym sobą i wyobrażałem sobie to wszystko, co moglibyśmy kupić za dwa tarczyny.

– Wierzę ci. Idź już spać i odpocznij, futro będziesz nam potrzebny wypoczęty.

– Najpierw chcę cię prosić o przysługę. – Znowu poczułem się jak dzieciak i trudno mi było mówić. – Nie mam nic złego na myśli.

– Jestem pewien, że nie masz. – Ravd uśmiechnął się.

– To znaczy nie zamierzam go ukraść ani cię nim zranić. Czy mógłbym obejrzeć twój miecz? Proszę. Tylko przez chwilę.

Wyjął miecz.

– Dziwne, że nie poprosiłeś mnie o to, kiedy jeszcze świeciło słońce, kiedy mogłeś go lepiej obejrzeć. Na pewno nie chcesz zaczekać?

– Nie. Teraz, proszę. Obiecuję, że nigdy więcej o to nie poproszę. Podał

mi miecz rękojeścią do przodu, a broń wydała mi się czymś żywym i ciepłym. Jej głownia o podwójnych krawędziach była powleczone złotem; rękojeść z brązu i czarnej końskiej skóry zakończona głowicą w kształcie złotej lwiej głowy. Przyglądałem jej się przez chwilę, a potem ścisnąłem mocno, żeby się zamachnąć. Sam nie wiem, kiedy wstałem.

Zamachnąłem się mieczem kilkakrotnie, a potem ustawiłem go tak, by światło ognia odbiło się w jego płazie, przed jelcem.

– Tu jest coś napisane.

– Lut. Nie potrafisz czytać, prawda? Wiedziałem, że potrafię, ale powiedziałem:

– No cóż, nie potrafię przeczytać tego.

– Lut wykuł ten miecz. – Ravd wyciągnął rękę, więc oddałem mu broń. Wytarł głownię kawałkiem materiału. – Mój miecz nosi imię

Waleczna Panna. Lut to słynny kowal z Forcetti, miasta mojego wasala, księcia Mardera. Twój książę, książę Indign, nie żyje. Wiedziałaś o tym?

– Tak myślałem.

– Próbuje przyłączyć jego ziemie, lecz są dość trudne do przetrwania. – Jego uśmiech zmąciła nutka ironii.

– Czy to książę Marder widnieje na tarczynie, którego mi dałeś? Ravd pokręcił głową.

– Nie. To jest nasz król, Arnthor.

– A co było na tarczy?

– Nykr. Idź już spać, Able. Zachowaj pozostałe pytania na jutro.

– Czy to jest coś prawdziwego?

– Spij! – Kiedy Ravd przemawiał podobnym głosem, nie należało mu się sprzeciwiać. Położyłem się odwrócony plecami do ognia i zasnąłem, gdy tylko zamknąłem oczy.

Straszne oczy

Obudziło mnie coś jakby szamotanie. Usłyszałem głosy Svona i Ravda, ale uznałem, że nie chcę wywołać kolejnej bójki, więc postanowiłem się nie ruszać i słuchać.

– Potknąłem się. – To był Svan.

– I nikt cię nie popchnął? – zapytał Ravd.

– Powiedziałem, że się potknąłem!

– Wiem, że się potknąłeś. Chcę tylko się przekonać, czy potrafisz to potwierdzić. Wydawało mi się, że zostałeś popchnięty od tyłu. Myliłem się?

– Tak!

– Rozumiem. Odzyskałeś miecz.

– Znalazłem go w krzakach. Myślisz, że wróciłbym bez niego?

– Dlaczego nie? – Wydawało się, że pytanie to zainteresowało Ravda. – Jeśli chciałeś powiedzieć, że mógłbyś go użyć, żeby się rozprawić z naszym przewodnikiem, to muszę powiedzieć, że jeszcze godzinę temu kiepski zrobiłeś z niego użytek.

– Mogliśmy zostać zaatakowani.

– Przez rozbójników? Tak, chyba tak.

– Będziesz spał w zbroi?

– Oczywiście. To jedna z rzeczy, której rycerz musi się nauczyć. – Ravd westchnął. – Na długo przed tym, kiedy się urodziliśmy, pewien mądry człowiek powiedział, że rycerz musi się nauczyć tylko trzech rzeczy. Opowiadałem ci chyba o tym tydzień temu, a może wcześniej. Potrafisz je wymienić?

– Musi umieć jeździć na koniu. – Svon powiedział to tak, jakby trzeba to

było z niego wyciągać. – Posługiwać się mieczem.

– Bardzo dobrze. I co jeszcze?

– Mówić prawdę.

– No właśnie – mruknął Ravd. – No właśnie. Zaczniemy od początku, czy wolisz ominąć tę część?

Jeśli nawet Svon coś powiedział, to nie usłyszałem jego słów.

– Widzisz, siedzę tutaj od momentu, kiedy uciekłeś. Najpierw rozmawiałem z naszym przewodnikiem, a potem, kiedy już zasnął, z samym sobą. Innymi słowy, rozmyślałem. I jedną z rzeczy, nad którymi się zastanawiałem, było to, w jaki sposób odrzucił twój miecz. Widziałem, jak to zrobił. Może ty też widziałeś.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie musisz. Tylko że wtedy ja będę zmuszony mówić na ten temat więcej, skoro ty zamierzasz milczeć. Kiedy mężczyzna rzuca czymś ciężkim, jak miecz czy włócznia, wykorzystuje całe swoje ciało – nogi, tułów, a także ramię. Able tak nie zrobił. On po prostu cisnął twoim mieczem, jak ktoś, kto wyrzuca ogryzek. Myślę...

– Kogo to obchodzi, co myślisz!

– Mnie. – Głos Ravda był gładki jak wypolerowana stal, lecz brzmiał o wiele bardziej niebezpiecznie. – I ciebie powinno obchodzić, Svonie. Sir Sabel zbił mnie dwukrotnie, raz rękoma i raz płazem miecza. Byłem jego giermkim przez dziesięć lat i jeszcze dwa. Z pewnością ci o tym opowiadałem.

Być może Svon skinął głową, lecz tego nie widziałem.

– Płazem miecza dlatego, że go zaatakowałem. Miał prawo mnie zabić, lecz dobry był z niego rycerz i litościwy – ja nigdy taki nie będę. Ręką zbił mnie za coś, co do niego powiedziałem, czy raczej za coś, czego nie powiedziałem, a powinienem był powiedzieć. Był wtedy pijany – w końcu wszyscy się czasem upijamy, nieprawdaż?

– Ty nie.

– I dlatego, że był pijany, nie czułem się tak bardzo upokorzony, jak czułbym się w innej sytuacji. Być może powiedziałem mu wtedy, że nie obchodzi mnie, co myśli. Tak, tak chyba było.

– Able rzucił twoim mieczem jak ktoś, kto rzuca gównem lub czymś podobnym. Chyba już to mówiłem. Po prostu wyrzucił go, nie przykładając siły i nie dbając, jak daleko poleci. Gdybyś rzucił tak kolczugą, to bym cię przeświecił. Słownie, ma się rozumieć.

Wtedy Svon coś odpowiedział, lecz nie usłyszałem co.

– Możliwe. Chodziło mi o to, że twoim mieczem nie da się rzucić daleko. Trzy, może cztery kroki, jak sądzę. Najwyżej pięć. Tymczasem nie słyszałem, żebyś go szukał w ciemności, a tego się spodziewałem. Nasłuchiwałem.

– Nadepnałem na niego – powiedział Svon. – Nie musiałem go szukać.

– Ludzie postanawiają mówić prawdę, lecz zawsze chcą zaczynać od następnego razu, zamiast w chwili postanowienia. – Ravd powiedział to tak, jakby był zmęczony.

– Nie kłamie!

– Oczywiście, że kłamiesz. Nadepnałeś na miecz cztery kroki na południowy wschód od miejsca, w którym siedzę. Nie mruknąłeś nawet zdziwiony i nie wydałeś żadnego okrzyku. Schyliłeś się w ciszy i podniosłeś go. Zapewne macałeś dłonią, szukając rękojeści, bo przecież nie chciałeś się skaleczyć w ciemności o ostrą głownię. Potem wsunąłeś bezgłośnie miecz do pochwy, do drewnianej pochwy powleczonej skórą. Następnie wróciłeś do obozu od zachodu i potknąłeś się o coś tak gwałtownie, że omal nie wpadłeś do ogniska.

Svon wydawał dźwięki jak ktoś cierpiący, lecz nic nie odpowiedział.

– Musiałeś biec, żeby potknąć się tak mocno. Biegłeś? Biegłeś przez obcy las w ciemności?

– Coś mnie złapało.

– Aha. Wreszcie dotarliśmy do sedna rzeczy. Mam nadzieję. Co to było?

– Nie wiem. – Svon wziął głęboki oddech. – Uciekłem. Czy ten twój prostak mnie gonił?

– Nie – odparł Ravd.

– Myślałem, że to on, bo wpadłem na kogoś. Tylko że to chyba nie był człowiek. Du... duch albo coś takiego.

– Ciekawe.

– Było ich więcej. – Teraz Svon jakby się ośmielił. – Nie wiem ilu. Czterech albo pięciu.

– Mów dalej. – Nie potrafiłem powiedzieć, czy Ravd mu wierzy.

– Oddali mi miecz i przyprowadzili tutaj, a potem popchnęli w stronę ogniska, mocno, tak jak mówiłeś.

– I nic ci nie powiedzieli?

– Nic.

– Podziękowałeś im za to, że ci oddali miecz?

– Nie.

– Może dali ci jakiś amulet albo list? Coś w tym rodzaju?

– Nie.

– Czy zabrali nasze konie?

– Nie sądzę.

– W takim razie idź, proszę, i sprawdź je. Upewnij się, że są dobrze uwiązane i nikt na nich nie jeździł.

– Ja nie... sir Ravdzie...

– Idź!

Svon rozplakał się, a wtedy ja poczułem, że mam ochotę usiąść i coś powiedzieć – coś takiego, żeby poczuł się lepiej. Chciałem powiedzieć, że ja pójdę, tylko że wtedy poczułby się jeszcze gorzej.

Kiedy Svon przestał płakać, Ravd powiedział:

– Kimkolwiek byli, bardzo cię przestraszyli. Wystraszyłeś się ich bardziej niż mnie czy naszego przewodnika. Czy teraz nas słuchają?

– Nie wiem. Myślę, że tak.

– I boisz się, że jeśli opowiesz mi wszystko, to cię ukarzą? – Tak!

– Wątpię. Jeśli rzeczywiście nas słuchają, to zapewne słyszeli, że nic nie powiedziałeś. Able, wiem, że nie śpisz. Usiądź, proszę, i spójrz na mnie.

Usiadłem.

– Ile słyszałeś?

– Wszystko – no, prawie. Skąd wiedziałeś, że nie śpię?

– Kiedy naprawdę spałeś, wierciłeś się we śnie, a dwukrotnie prawie coś powiedziałeś. A potem, kiedy udawałeś, leżałeś nieruchomo i nie wydawałeś żadnych dźwięków, mimo iż rozmawialiśmy normalnym tonem w odległości dwóch kroków od ciebie. Tak więc albo nie spałeś, albo byłeś martwy.

– Nie chciałem, żeby Svon poczuł się jeszcze gorzej.

– Godne pochwały.

– Przepraszam, Svon, że odrzuciłem twój miecz.

– Kto złapał Svona i przyprowadził go do nas? Wiesz? Nie miałem pojęcia. Potrząsnąłem głową.

Svon wytarł nos.

– Przekazali mi wiadomość dla ciebie, Able. Bądź pewny, że twój towarzysz zabaw cię szuka.

Chyba wtedy wytrzeszczyłem gały.

– Kim są ci twoi przyjaciele, Able? – zapytał Ravd.

– Myślę, że...

– Rozbójnicy?

– Nie sądzę – zaprzeczyłem – Czy to nie mogły być Aelfy? Ravd zamyślił się.

– Svon, czy dybałeś na życie Able'a?

– Tak. – Przestał już płakać. Wyjął sztylet i podał mi go. – Miałem zamiar cię nim zabić. Możesz go zatrzymać, jeśli chcesz.

Obróciłem sztylet w dłoniach. Jego czubek był zakrzywiony, tak że dotykał długiej, ostrej krawędzi.

– Przypomina krótki miecz. – Powiedział to tak, jakby dzielił się

jedzeniem i zabijał czas. – Taki same noże mają Giganci Mrozu. Oczywiście ich są o wiele większe.

– Chciałeś mnie nim zabić? – zapytałem, a on przytaknął.

– Dlaczego mówisz nam o tym teraz, Svonie? – zapyta Ravd.

– Ponieważ miałem mu przekazać tę wiadomość, jak tylko się obudzi. Myślę, że oni słuchają.

– Już to mówiłeś.

– Miałem nadzieję, że śpisz. Wtedy bym go obudził i przekazał mu wiadomość szeptem. Tak zamierzałem zrobić.

– I nie musiałbyś mi mówić, co się wydarzyło. Svon przytaknął mu.

– Nie chcę go – powiedziałem i oddałem mu sztylet. – Mam własny nóż i wolę go od tego.

– Teraz możesz już wyznać wszystko – powiedział Ravd, a Svon go posłuchał.

– Nie wpadłem na nich, tak jak powiedziałem. Wpadłem na drzewo i się przewróciłem. Wstałem, jak już się pozbierałem, i obszedłem ognisko na tyle daleko, by go nie stracić z oczu. Kiedy znalazłem się po tej stronie, gdzie był Able, zbliżyłem się na tyle, na ile starczyło mi odwagi, całkiem blisko. Mówiłeś, że byś mnie usłyszał, gdybym znalazł miecz. A jednak mnie nie usłyszałeś. Czekałem, aż pójdziesz spać. Kiedy bym się upewnił, że śpisz, miałem go zabić po cichu, a potem wynieść ciało i ukryć. Wróciłbym dopiero jutro po południu, a ty byś pomyślał, że on uciekł.

Zachowywali się jeszcze ciszej niż ja i złapali mnie od tyłu. Mieli miecze i luki. Zaprowadzili mnie na polanę, gdzie byli trochę lepiej widoczni w blasku księżyca, i powiedzieli, że jeśli skrzywdzę Able'a, to mnie wezmą i do końca życia będę ich niewolnikiem.

Ravd pogładził się po brodzie.

– Przekazali mi tę wiadomość i kazali ją powtórzyć siedem razy, a także przysiąc na miecz, że zrobię dokładnie to, co mi powiedzieli.

– Mieli twój miecz?

– Tak. – W głosie Svona zabrzmiała nuta sarkazmu, który z czasem miałem lepiej poznać. – Nie wiem, w jaki sposób go znaleźli, że ich nie słyszałeś, ale go mieli.

Przypominając sobie opowieści Bertolda Śmiałego, zapytałem, czy byli czarni.

– Nie. Nie wiem, jaki mieli kolor skóry, ale na pewno nie czarny. Ich skóra wyglądała blado w blasku księżyca.

– Able uważa, że to mogły być Aelfy – rzekł Ravd. – Rozumiem, że się nie przedstawili.

– Nie, ale... to całkiem możliwe. Nie wyglądali tak jak my, ludzie.

– Nigdy ich nie widziałem. A ty, Able?

– Jeśli tak, to nie pamiętam – powiedziałem – za to widział ich Bertold Śmiały. Opowiadał, że ci, którzy ich nękali, przypominali popiół albo węgiel drzewny.

Ravd zwrócił się ponownie do Svona.

– Musisz opowiedzieć mi wszystko, co pamiętasz na ich temat, całą prawdę. A może zabronili ci mówić?

Svon potrząsnął głową.

– Kazali mi przekazać wiadomość Able'owi, kiedy się obudzi, i nie robić mu krzywdy. To wszystko.

– Dlaczego Able jest dla nich tak cenny?

– Tego nie powiedzieli.

– Able? Czy wiadomo ci coś na ten temat?

– Nie. – Teraz żałowałem, że Ravd zorientował się, iż nie spałem. – Chcą, żebym coś zrobił, ale nie wiem, co by to mogło być.

– W takim razie skąd wiesz, że chcą, żebyś coś zrobił? – zapytał Ravd.

Nie odpowiedziałem.

– Nasz król urodził się w Aelfrice – powiedział Ravd – podobnie jak jego siostra, księżniczka Morcaine. Pewnie o tym nie wiedziałeś, skoro nie rozpoznałeś jego podobizny na tarczynie.

– Nie wiedziałem – odparłem.

– Mój giermek chyba w to nie wierzy – a przynajmniej tak było do tej pory, choć teraz może zmienił zdanie.

– Ludzie gadają, że Aelfrice to tak jakby obcy kraj, jak Osterland. A sir Ravd twierdzi, że to w rzeczywistości jest inny świat. Jeśli tam, to nie rozumiem, w jaki sposób ludzie mogą przechodzić tutaj. Albo stąd tam.

Ravd wzruszył ramionami.

– Ja ci tego nie powiem, bo nigdy nie przechodziłem. Za to powiem ci, że człowiek, który neguje wszystko, czego nie rozumie, nie jest zbyt mądry. Jak byli ubrani twoi napastnicy? Widziałeś?

– Nic na sobie nie mieli, o ile dobrze widziałem. Byli golutcy jak biedne niemowlęta. Wysocy – wyżsi niż ja i chudzi. – Wstrzymał oddech na chwilę.
– Mieli straszne oczy.

– W jakim sensie straszne?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Blask księżyca wnikał w nie i płonął w ich wnętrzu, tak że nie dało się na nich patrzeć.

Ravd pogрузzył się w myślach na kilka minut, głaszcząc podbródek.

– Jeszcze jedno pytanie, Svon, a potem już pójdziemy spać. Wszyscy. Już późno, a my powinniśmy wstać wcześniej. Powiedziałaś, że było ich czterech albo pięciu. Mówiłaś prawdę?

– Jakoś tak. Nie miałem pewności.

– Able, dołóż drewna do ognia, skoro już wstałeś. Svon, masz pewność co do ich liczby?

– Czterech. Trzej z nich to mężczyźni. Albo samce, czymkolwiek są. Chociaż myślę, że mogło ich być więcej.

– A zatem czwartym osobnikiem była kobieta. Czy mówiła coś?

– Nie.

– A ilu mężczyzn się odzywało?

– Trzech.

Ravd ziewnął; być może tylko udawał.

– Połóż się teraz, Svon, i się prześpij. Svon rozłożył sobie koc i położył się na nim.

– Able, myślę, że będziesz bezpieczny – rzeki Ravd. – Przynajmniej nic ci nie grozi ze strony Svona.

Chyba skinąłem głową; myślałem o tym, w jaki sposób inny świat może się wydawać po prostu innym krajem, a także o żółtych oczach, które płonęły blaskiem księżyca jak oczy kota.

Widząc coś

Do Glennidam dotarliśmy około południa, a potem Ravd zwołał wszystkich mieszkańców, mężczyzn i kobiety, a także niektóre dzieci. Zaczął od tego, że wbił Waleczną Dziewicę w kłodę, którą wcześniej przynieśliśmy ze Svonem.

– Zachęcam was, abyście złożyli przysięgę lenną naszemu suzerenowi, księciu Marderowi – zwrócił się do nich. – Nie zamierzam was zmuszać – możecie odmówić, jeśli takie jest wasze życzenie. Ale wiedzcie, że przekażę mu nazwiska tych, którzy odmówili.

Uczynili to, wszyscy, kładąc dłoń na lwiej głowie i powtarzając za Ravdem słowa przysięgi.

– A teraz chciałbym pomówić z niektórymi z was na osobności – powiedział i wybrał sześciu mężczyzn i sześć kobiet, mnie zaś i Svonowi kazał pilnować pozostałych, podczas gdy sam zaczął rozmawiać z pierwszą osobą we frontowym pokoju największego domu w wiosce. Minęła godzina, a on wciąż rozmawiał z pierwszym z mężczyzn, tak więc pozostali zaczęli się niecierpliwić; lecz Svon położył dłoń na rękojeści miecza i kazał im siedzieć cicho.

Wreszcie pierwszy wieśniak wyszedł spocony i wyraźnie unikał spojrzenia pozostałej jedenastki, Ravd zaś przywołał do siebie pierwszą z wybranych kobiet. Weszła do domu przestraszona i znowu mijały kolejne minuty. Lśniąca niebieska mucha, obzarta padliną, zaczęła latać, bzyząc, wokół mnie, aż ją przegnałem, wtedy zaczęła okrążyć Svona i wreszcie poleciała do małego czarnobrodego mężczyzny, którego pozostali nazywali Tougiem, a który wydawał się zbyt przybity, żeby ją gonić.

Wreszcie w drzwiach ukazała się kobieta z twarzą lśniąca od łez.

– Able? Który z was jest Able? Chce cię widzieć.

Wszedłem do pokoju, a kobieta przysiadła przed Ravdem na małym stołku używanym do dojenia.

Ravd, który siedział na niedużej ławce z oparciem, powiedział:

– Able, to jest Brega. Pozwoliłem jej usiąść, ponieważ jest kobietą. Mężczyźni muszą stać. Brega wyznała mi, że zna mężczyznę o imieniu Seaxneat, który jest dobrze zaznajomiony z rozbójnikami, a czasem nawet gości ich u siebie. Domyślasz się, dlaczego cię tu poprosiłem?

– Tak, sir – powiedziałem. – Tylko nie sądzę, abym mógł specjalnie pomóc.

– Nawet jeśli nie dowiemy się niczego od ciebie, to ty możesz dowiedzieć się czegoś od nas – powiedział Ravd i zaraz zwrócił się do Bregi: – A teraz, Brego, chcę, abys wyjaśniła, jak rzeczy się mają z tobą. Muszę to chyba wyjaśnić, ponieważ ty, zdaje się, nie rozumiesz.

Brega, chuda i już nie tak młoda, pociągnęła nosem i wytarła oczy rogiem fartucha.

– Boisz się, że ten tutaj Able powie innym, co mi opowiedziałaś o Seaxneacie. Mam rację?

Przytaknęła.

– Nie powie, ale tobie grozi o wiele większe niebezpieczeństwo. A tak przy okazji, znacie się?

Potrząsnęła głową, a ja powiedziałem:

– Nie, sir.

– Opowiadałaś mi o Seaxneacie i oczywiście spróbuję go odnaleźć i z nim porozmawiać. Ci na zewnątrz wiedzą, że rozmawiasz ze mną, a im dłużej tu pozostaniesz, tym bardziej będą się zastanawiać, co mi powiedziałaś. Rozumiesz, co mam na myśli?

– T-tak.

– Czy ty albo twój mąż zostaliście kiedyś obrabowani?

– Napadli i przewrócili mnie kiedyś. – Po jej policzkach popłynęły łzy i płakała przez jakiś czas.

– Znasz imię tego, który to zrobił? Nie znała.

– Ale podałaś nam je, gdybyś je znała? Nie byłoby sensu skrywać go przede mną, skoro tyle już mi powiedziałaś. Rozumiesz, prawda?

– To był Egil.

– Dziękuję ci. Brego, złożyłaś przysięgę, najpoważniejszą przysięgę, jaką może złożyć kobieta. Uznałaś księcia Mardera za swojego suwerena i przysięgałaś być mu we wszystkim posłuszną. Jeśli złamiesz przysięgę, Hel skaze twoją duszę na męki w Muspelu, Kręgu Ognia.

I nie uratują cię ofiary, jakie składałaś Aelfom. Mniemam, że wiesz o tym. Skinęła głową.

– Jestem tutaj z polecenia księcia Mardera. Gdyby nie to, siedziałbym teraz przy własnym stole w Czerwonym Dworze albo zajmował się końmi. Przemawiam w imieniu księcia Mardera, tak jakby on sam tu był. Jestem jego rycerzem.

– Wiem – odpowiedziała i pociągnęła nosem.

– Co więcej, zbójcy zemszczą się na tobie i pozostałych, jeśli dalej będą mieli swobodę działania. A Egil, który cię napadł, będzie najgroźniejszy. Masz okazję wziąć odwet, a twoje słowa są więcej warte dla mnie i dla księcia Mardera niż miecze. Czy znasz jeszcze kogoś, kto się brata z rozbójnikami? Choćby jedną osobę?

Pokręciła głową.

– Tylko Seaxneat. A jak ma na imię jego żona?

– Disira.

– Naprawdę? – Ravd wydał usta. – Brzmi prawie jak imię królowej uwielbianej przez niektórych mężczyzn. Znasz je?

– Nie. Nie wymawiam go.

– A ona? Nie będę wymieniał jej imienia. Kobieta, o której mówimy. Żona Seaxneata. Czy słyszałaś, żeby nawiązywała w rozmowie do tej

królowej?

– Nie – powtórzyła Brega. Ravd westchnął.

– Able, rozpoznałbyś Seaxneata, gdybyś go zobaczył? Zastanów się, zanim odpowiesz.

– Na pewno tak, sir – odpowiedziałem.

– Opisz go, proszę, Brego. Kobieta patrzyła przed siebie.

– Jest wysoki?

– Wyższy ode mnie. – Rozłożyła dłonie na odległość stopy, by pokazać różnicę.

– Ciemna broda?

– Ruda.

– Jednooki? Zakrzywiony nos? Szpotawa stopa? Zaprzeczała kolejno.

– Czy możesz nam o nim powiedzieć coś jeszcze?

– Jest gruby – powiedziała z namysłem – i tak chodzi. – Wstała i skierowała palce stóp do wewnątrz.

– Rozumiem. Able, czy to ci coś mówi? Gruby. Ruda broda? Taki chód? Mówiło mi.

– Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, nie podałeś imienia Seaxneata. Nie znałeś go, czy też byłeś zbyt ostrożny, by je wymówić?

– Nie znałem go, sir. Nie boję się wypowiedzieć imienia Disiry.

– Byłoby roztropnie, gdybyś nie wymawiał go zbyt często. Wiesz, jak ona wygląda?

Skinąłem głową.

– Niska, ma czarne wiosy i bardzo jasną skórę. Nie wydała mi się specjalnie ładna, kiedy Seaxneat oszukiwał mnie i Bertolda Śmiałego, ale widziałem już brzydsze kobiety.

– Brego? Czy on ją zna?

– Tak myślę. – Znowu otarła oczy.

– Dobrze. Słuchaj uważnie, Able. Jeśli nie chcesz mnie posłuchać odnośnie imienia tej kobiety, posłuchaj mnie przynajmniej w tej sprawie.

Chcę, żebyś przeszukał wioskę i spróbował znaleźć tych ludzi. Jeśli znajdziesz któreś z nich albo oboje, przyprowadź ich do mnie, o ile to będzie możliwe. Jeśli nie, wróć do mnie i powiedz, gdzie są. Bregi już tu nie będzie, ale najpewniej będę rozmawiał z pozostałymi. Nie wahaj się i wchodź od razu.

– Dobrze, sir.

– Chcę Seaxneata, oczywiście, choć zależy mi też na jego żonie. Ona pewnie nie wie tyle co on, za to może powiedzieć więcej. Ma niemowlę, więc bardzo możliwe, że jest tu jeszcze. Idź już.

Zatrzymałem się na skraju Glennidam, by przeczesać wzrokiem pola porośnięte młodym zbożem. Wcześniej sprawdziłem każdy pokój we wszystkich domach i zajrzałem do każdej stodoły i szopy, lecz nigdzie nie znalazłem ani Seaxneata, ani jego żony. Ravd mówił, że bym nie wahał się mu przerywać, lecz uznałem, że by się nie ucieszył, gdybym wrócił powiedzieć mu tylko, że ich nie znalazłem.

Pomyślałem, że Ravd miał rację. Kobieta z dzieckiem na ręku z pewnością nie byłaby skora do dalekiej podróży. Było bardzo prawdopodobne, że gdy usłyszała o rycerzu, który przybył do Glennidam, uciekła nie dalej jak do najbliższego lasu, gdzie mogłaby karmić dziecko w cieniu. Gdybym wyszedł z wioski... Wciąż rozmyślając o tym, zawołałem cicho:

– Disira? Disira?

I zaraz wydało mi się, że dostrzegłem jej twarz między drzewami na skraju lasu. Z jednej strony byłem pewny, że to tylko gra światła i cienia, z drugiej zaś wiedziałem, że ją widziałem.

A przynajmniej, że coś widziałem.

Przeszedłem kilka kroków, zatrzymałem się, wciąż niepewny, a potem ruszyłem szybko przed siebie.

Disiri

– Pomocy... – Nie było to wołanie, raczej lament podobny do zawodzenia wiatru, który, tak jak zawodzenie wiatru, zdawał się płynąć przez las. Przedarłem się przez zarośla porastające brzeg lasu, ruszyłem szybciej przez gęste młode drzewa i pobiegłem między dużymi drzewami, które rosły coraz rzadziej i były coraz większe, w miarę jak zanurzałem się w las.

– Proszę, pomóż mi. Proszę...

Zatrzymałem się, żeby złapać oddech, po czym złożyłem dłonie wokół ust i zawołałem najgłośniejszym głosem, jak potrafiłem:

– Idę! – Niemal w tym samym momencie zacząłem się zastanawiać, skąd wiedziała, że jest tam ktoś, kto by ją usłyszał, skoro szedłem jeszcze przez młode zboże. Pewnie nie wiedziała. Pewnie wołała co jakiś czas.

Zacząłem iść szybciej, po czym znowu puściłem się biegiem w górę stromego zbocza grzbietu z koroną posępnych świerków, a potem dalej samym grzbietem, który zaczął opadać pośród dębów. Przez cały czas wydawało mi się, że kobieta, która woła, jest oddalona ode mnie niecałe sto kroków.

Kobieta, która, w co nie wątpiłem, jest żoną Seaxneata, Disirą.

Niebawem dotarłem do rzeczki Gryf. Tak przynajmniej sądziłem. Zwyczajnie przeszedłem na drugi brzeg. Nad głową trzymałem łuk, kołczan i sakiewkę, którą zwykle nosiłem u pasa. Wyszedłem na drugi brzeg, pochyły i pokryty okrągłymi kamieniami.

Tam potężne brzozy odziane w mech wznosiły dumnie głowy ku jasnemu światu zwanemu Skai, a głos kobiety, która mnie wołała, zdawał się jeszcze bliższy, teraz (jak mi się zdawało) dochodzący z odległości zaledwie kilku

kroków. Gdy znalazłem się w ciemnej dolinie pełnej grzybów i zeszłorocznych liści, nabrałem pewności, że ją znajdę. Bez wątpienia znajdowała się po drugiej stronie bobrowej łąki, a gdy ją przebyłem, stanąłem na skalnym występie i spojrzałem jeszcze dalej.

Lecz i tam głos dochodził z oddali. Tak więc zawołałem, z trudem łapiąc oddech między kolejnymi słowami: – Disira...? Disira...? Disira?

– Tutaj! Tutaj, przy tym przeklętym drzewie!

Sekundy mijały jak kolejne westchnienia i wreszcie dostrzegłem drzewo w głębi płytkiej doliny na końcu skalnego występu – popękany pień, połamane konary i liście powleczone ochrą, które przywarły do nich, nie do końca zasłaniając coś zielonego niczym wiosna.

– Przewróciło się – powiedziała, kiedy wreszcie do niej dotarłem. – Chciałam je trochę przesunąć i przygniotło mi stopę. Nie mogę jej wyciągnąć.

Wsunąłem luk pod pień i podważyłem go; nie poczułem, żeby się poruszył, lecz ona wydstała stopę. Zanim to uczyniła, zauważyłem coś tak dziwnego, że nie mogłem uwierzyć, iż widzę to naprawdę, i tak trudnego do opisania, że nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda. Popołudniowe słońce zaświeciło jasno, a liście powalonego drzewa (rażonego piorunem, jak przypuszczałem) i liście drzew rosnących dookoła położyły na ziemi pstrokaty cień, w którym się zanurzyliśmy i w którym tu i tam jaśniały migocące plamy słonecznego blasku. Jedna z nich oblała kobietę, co powinno pozwolić mi zobaczyć ją wyraźnie.

Tyle tylko, że było odwrotnie: widziałem ją bardzo wyraźnie w cieniu, gdy zaś światło padło na jej twarz, nogi, barki i ramiona, zdawało się niemal, że jej tam nie ma. W szkole pan Potash pokazywał nam kiedyś hologram. Zasłonił okna i wyjaśnił, że im jest ciemniej w pomieszczeniu, tym bardziej realistyczny wydaje się obraz hologramu. Tak więc, kiedy już wszyscy go obejrzelśmy, odsunąłem jedną roletę, żeby wpuścić światło, i było tak, jak mówił. Obraz stał się niewyraźny, lecz gdy tylko opuściłem roletę, znowu

nabrał wyrazistości.

– Chyba nie powinnam na niej chodzić – powiedziała, rozcierając sobie stopę. – Nie wygląda dobrze. Kilka kroków w tamtą stronę jest jaskinia. Myślisz, że dasz radę mnie tam zanieść?

Nie myślałem, lecz nie zamierzałem jej tego powiedzieć, więc spróbowałem. Wziąłem ją na ręce. Nosilem na rękach dzieciaki, które ważyły więcej niż ona, tylko że ona była ciepła i prawdziwa. I mnie pocałowała.

– Schowamy się tam przed deszczem – powiedziała. Spuściła oczy, jakby się zawstydziała, lecz ja wiedziałem, że nie jest nieśmiała.

Ruszyłem, wierząc, że kieruję się w stronę jaskini, o której wspomniała, i powiedziałem, że nie zanosi się na deszcz.

– Zanosi się. Nie zauważyłeś, jak ochłodziło się powietrze? Posłuchaj ptaków. Teraz trochę w lewo i sprawdź za tym dużym pniakiem.

Jaskinia była przytulna, nieduża i na tyle wysoka, bym mógł się w niej wyprostować. Znajdowało się w niej coś w rodzaju łóżka z jelenich skór i futer, na których leżał aksamitny zielony koc.

– Połóż mnie tutaj – powiedziała – proszę.

Kiedy to zrobiłem, znowu mnie pocałowała. Potem usiadłem na miękkiej, piaszczystej podłodze jaskini, by odzyskać oddech. Roześmiała się, lecz nic nie powiedziała.

Ja też milczałem przez jakiś czas. Siedziałem pogrążony w myślach, tylko że nie miałem żadnej kontroli nad tym, o czym rozmyślałem, do tego byłem tak bardzo podniecony jej obecnością, że przypuszczałem, iż w każdej chwili może się wydarzyć coś, czego będę się wstydził przez resztę życia. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem (wciąż jest), tak że musiałem zamknąć oczy, na co ona ponownie się roześmiała.

Jej śmiech nie przypominał niczego z tej ziemi. Był podobny do dźwięku złotych dzwoneczków zawieszonych pośród leśnych kwiatów i poruszanych westchnieniem wiatru. Kiedy wreszcie udało mi się otworzyć oczy, zapytałem ją szeptem:

– Kim jesteś? Kim jesteś naprawdę?

– Tą, którą wołałeś. – Uśmiechnęła się, lecz już nie spuszczała oczu. Może lampart miałyby takie oczy jak ona, choć wątpię.

– Wołałem Disirę, żonę Seaxneata, lecz ty nią nie jesteś.

– Ja jestem Disiri, Dziewica Mchu, i cię pocałowałam.

Wciąż czułem na ustach jej pocałunek, a jej włosy pachniały świeżo wzruszoną ziemią i słodkim dymem.

– Mężczyzna, którego pocałuję, może odejść dopiero wtedy, gdy mu na to pozwolę.

Chciałem wstać, lecz wiedziałem, że nie mógłbym jej opuścić.

– Nie jestem mężczyzną, Disiri, jestem jeszcze dzieciakiem.

– Jesteś mężczyzną! Jesteś! Daj mi kroplę krwi, a ci pokażę.

Deszcz ustał, nim nastał ranek. Pływaliśmy oboje w rzece, a potem leżeliśmy obok siebie na ocienionym głazie niczym dwa węże tuż nad wodą. Wiedziałem, że jestem odmieniony, lecz nie potrafiłem powiedzieć, jak bardzo. Pomyślałem, że podobnie czuje się gąsienica, która dopiero co przepoczwarzyła się w motyla i jeszcze ma mokre skrzydła.

– Powiedz mi – zwróciłem się do niej – gdyby przyszedł inny mężczyzna, to czy zobaczyłby cię tak samo, jak ja widzę cię teraz?

– Nie przyjdzie inny. Czy twój brat nie opowiadał ci o mnie? Nie wiedziałem, czy ma na myśli Bertolda Śmiałego, czy ciebie,

Ben, lecz zaprzeczyłem.

– On mnie zna.

– Pocałował cię?

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Bertold Śmiały opowiadał mi, że Aelfy wyglądają jak popiół.

– My jesteśmy Aelfami Mchu, Able, istotami z drzewa, nie popiołu – wyjaśniła, uśmiechając się. – Nazywacie nas Driadami, Skogsfru albo Pannami Drzewnymi. Możesz nas nazwać jak chcesz. Jak chciałbyś nas nazwać?

– Anioły – wyszeptałem, wtedy ona położyła palce na moich ustach. Zamrugalem i odwróciłem wzrok, gdy to uczyniła. Wydało mi się, gdy zerknąłem na nią kątem oka, że jest kimś innym niż dziewczyną, z którą pływałem, a także niż wszystkie te dziewczyny, z którymi się właśnie kochałem.

– Mam ci pokazać?

Skinąłem głową – i poczułem, jak mięśnie mojego karku zaczynają pełzać niczym pytony.

– Dobry Boże! – powiedziałem i zdumiony usłyszałem nowy głos, dziki i niski. Wydało mi się to strasznie dziwne; wiedziałem, że się zmieniłem, lecz nie potrafiłem powiedzieć, jak bardzo. Jeszcze długo potem sądziłem, że zmienię się na powrót. Musisz o tym pamiętać.

– Nie znienawidzisz mnie, Able?

– Nie mógłbym – odpowiedziałem. I to była prawda.

– W oczach tych, którzy nas nie wielbią, jesteśmy wstrętne. Zachichotałem; zdziwiło mnie dudnienie w mojej piersi.

– Ja patrzę swoimi oczami – powiedziałem – które są mi posłuszne. Zamknę je, zanim cię pocałuję, jeśli potrzeba nam więcej intymności.

Usiadła i spuściła nogi do zimnej, przejrzystej wody.

– Nie w tym świetle. – Kopnęła wodę, która rozświetlona promieniem słońca spadła na nas ulewą srebrzystych kropel.

– Kochasz blask słońca – powiedziałem. Wyczuwałem to. Przytaknęła.

– Ponieważ jest z twojego świata. Słońce dało mi ciebie, a ja cię Kocham. Mój lud kocha noc, tak więc Kocham i jedno, i drugie.

– Nie rozumiem. – Pokręciłem głową. – Jak to możliwe?

– Czy Kochając mnie, nie mógłbyś Kochać jednocześnie kobiety rodzaju ludzkiego?

– Nie – odpowiedziałem. – Nigdy. – Mówiłem prawdę. Roześmiała się i tym razem był to drwiący śmiech.

– Pokaż mi – powiedziała.

Znowu kopnęła wodę. Smukła, drobna stopa, która wynurzyła się z wody, była tak samo zielona jak młode liście. Jej twarz była ostrzejsza, także zielona, trójkątna, śmiała i zawstydzona jednocześnie. Jej jagodowe usta przywarły do moich, a kiedy się rozdzieliły, zobaczyłem, że patrzę prosto w oczy pełne żółtego ognia. Jej włosy unosiły się nad jej głową.

Objąłem ją, wziąłem na ręce i znowu pocałowałem.

Ulfa i Toug

Po tym, jak zniknęła, próbowałem odszukać jej jaskinię, lecz znalazłem tylko mój łuk, kołczan i ubranie, leżące w trawie. Łuk z kolczastej pomarańczy, który przedtem wydawał mi się taki duży, stał się nagle bardzo mały, prawie jak zabawka, a koszulę i spodnie z pewnością bym porozrywał, gdybym spróbował je włożyć.

Odrzuciłem je więc i sięgnąłem po łuk, przysuwając cięciwę do ucha, jak miałem w zwyczaju to robić. Nie złamał się, choć zgiąłem go wpół, za to pękła cięciwa. Wyrzuciłem ją i wyjąłem tę, którą oderwała Parka ze swojej nici i której szepczące głosy i niezliczone liczne życia mąciły moje sny od wielu nocy. Zawiązałem pętle na końcach i założyłem ją na łuk, a ona zaśpiewała, gdy ją naprężyłem, i zaraz znowu zaśpiewała – potężny chór słyszany z oddali – gdy wypuściłem strzałę.

Nie mogłem przyciągnąć strzały do ucha, bo była za krótka o dwie piędzi, mimo to poleciała płasko jak kula, a jej drzewce zanurzyło się do połowy w dębowym pniu.

Wróciłem nagi do Glennidam o zmierzchu i położyłem plackiem małego czarnobrodego mężczyznę, bo się wyśmiewał ze mnie. Kiedy już się pozbierał i odzyskał głos, powiedział, że Ravd i Svon odjechali rankiem.

– W takim razie nie mam co liczyć na ich pomoc – uznałem. – Tak czy inaczej, potrzebuję ubrania, a ponieważ ich tu nie ma, a ty jesteś, masz mi je dostarczyć. Jak tego dokonasz?

– M-mamy s-sukno.

Okazałem cierpliwość, widząc, jak szczęka zębami.

– M-moja ż-żona ci je u-uszyje.

Poszliśmy do jego domu. Przeprowadził swoją córkę, a ja obiecałem, że jej nie skrzywdzę. Miała na imię Ulfa.

– Odwiedził nas wczoraj rycerz – powiedziała, kiedy jej ojciec wyszedł. – Prawdziwy rycerz w żelaznej zbroi, który miał ogromnego konia i dwóch chłopców do posług.

– Ciekawe – odpowiedziałem. Chciałem usłyszeć, co jeszcze mi powie.

– Przy siodle miał ogromny hełm, wiesz, taki, jakie oni mają, z pióropuszem i namalowanym lwem, a ten lew był też na wielkiej tarczy, złoty i miał krew na pazurach, tam gdzie wbiły się w tarczę, tak jakby.

– To był sir Ravd – wyjaśniłem jej.

– Zgadza się, tak mówią. Musieliśmy stać i spełniać jego zachcianki, a potem wchodziliśmy pojedynczo, kiedy wołali nas chłopcy, ale ja nie weszłam. Tatko bał się, że rycerz zachce za dużo zachcianek. – Zachichotała. – Jeśli wiesz, co mam na myśli, bo ja wciąż jestem dziewicą, tak więc tatko ukrył mnie w słomie w stodole, ale ja wyszłam i się przyglądałam i rozmawiałam z niektórymi z tych, co tam wchodzili. To znaczy z niektórymi kobietami, bo byli też mężczyźni, tylko ja myślę, że z nimi to on chyba nie. Nie ruszaj się, bo cię ukłuję.

Za szpilkę służył jej długi, czarny cień.

– Mówiły, że wypytywał o Wolne Drużyny, ale nikt nic nie powiedział, ani słowa, nawet kiedy musieli przysięgać. Na pewno nie chcesz trochę mamałygi? Mamy słoninę z wieprza, którego tatko zaszlachtował zeszłej jesieni.

– Upoluję dla was jelenia – obiecałem jej – w zamian za ubranie.

– Byłoby miło. – Ponownie wzięła w zęby czarny kolec. Sięgnąłem po łuk i pomyślałem, że jeszcze dzień wcześniej mogłem przyciągnąć strzałę do ucha.

– Krótka strzała – powiedziałem do samego siebie.

– Hm? – Ulfa podniosła wzrok znad materiału.

– W kołczanie. Dwie sam zrobiłem z kolczastej pomarańczy, a dwie

zabrałem chłopakowi, z którym walczyłem.

– Jeden z chłopców, którzy mu usługiwali, miał wspaniałe ubranie – powiedziała. – Podeszłam blisko, żeby się przyjrzeć. Czerwone spodnie, przysięgam na gardziel Garsecga!

– To był Svon. A drugi chłopak?

– Hm? Ach, tamten nie miał w sobie nic szczególnego – odpowiedziała Ulfa. – Podobny do mojego brata. Za kilka lat może wyrosnąć na przystojnego chłopaka.

– Nie miał luku takiego jak mój?

– Miał większy niż twój, sir. – Skończyła wycinać sukno i zabrała się do szycia; posługiwała się długą kościaną igłą i szyła dużym ścięciem. – Wyglądało, że jest dla niego za duży. Mój brat też miał łuk, ale się złamał. Tato mówi, że nienaciągnięty łuk nie powinien być większy niż jego właściciel, a z tego, co widziałam, najczęściej jest mniejszy. Jak twój, sir.

– Potrzebuję dłuższych strzał – powiedziałem. – Czy twój tato zna się też na strzałach?

Potrząsnęła głową, nie przerywając szycia.

– W takim razie udziele ci wskazówki, którą sam wymyśliłem. Strzała powinna sięgać od końca lewego palca wskazującego właściciela łuku do jego prawego ucha. Moim daleko do tej długości.

– Będziesz musiał znaleźć nowe.

– Będę musiał zrobić nowe i zrobię je. A gdybym ci powiedział, że to ja byłem tamtym chłopcem z dużym łukiem?

Ulfa zatrzymała igłę w pół ruchu i spojrzała na mnie.

– Ty, sir? Przytaknąłem. Roześmiała się.

– Tamtym chłopcem, który był tu wczoraj? Mogłam objąć dłonią jego ramię, no, prawie. A twojego, sir, nie objęłabym chyba dwoma.

Odłożyła spodnie, które szyła dla mnie. Wstała.

– Mogę spróbować?

– Czy wolno mi spróbować. Tak, wolno ci.

Jej dłonie nie objęły mojego ramienia, za to przyjemnie je pogłaskały.

– Sam powinieneś zostać rycerzem, sir.

– Jestem nim. – Chyba sam się zdziwiłem tym, co powiedziałem, bardziej niż ona, i zaraz przypomniało mi się, jak to wyraził sir Ravd: „Znajdujemy go rycerzem”, co niosło wewnętrzne przekonanie. – Jestem sir Able – dodałem.

Jej sutki osłonięte koszulą otarły się o mój łokieć.

– W takim razie powinieneś mieć miecz.

– Inni także mają miecze – odpowiedziałem jej – ale masz rację. Zdobę go. Wracaj do szycia, Ulfo.

Kiedy skończyła spodnie i zabrała się do szycia koszuli, powiedziałem:

– Twój ojciec bał się, że sir Ravd cię zgwałci. Tak mówiłaś.

– Zniewoli mnie. – Skinęła głową. – Lecz nie ze względu na jego imię. Wtedy chyba go jeszcze nie znał.

– Ani ja. Czy ojciec nie boi się, że ja cię zniewolę, Ulfo?

– Nie wiem, sir Able.

– Mężczyzna skłonny do gwałtu byłby bardziej niebezpieczny. Nie masz matki, Ulfo?

– Och, mam. Na wdzięk Garsecga, ona wciąż jest wśród nas.

– Może ślepa albo już niezdarna w rękach, że nie może szyć? Ulfa urwała nić zębami, budząc we mnie pewne wspomnienie.

– Potrafi, sir Able, przysięgam. Nauczyła mnie szyć i szyje lepiej ode mnie. Tylko do tego, żeby ładnie uszyć, potrzeba światła słonecznego.

– Rozumiem. Kto jest teraz w domu, Ulfo? Wymień wszystkich.

– Ty i ja. Mama, tatko i mój brat Toug.

– Naprawdę? Zachowują się niezwykle cicho. Nie słyszałem głosów ani kroków poza twoimi i moimi. A gdzie jest twoja matka, wiesz?

Ulfa nic nie odpowiedziała, a ja poszedłem za jej wzrokiem i otworzyłem drzwi do małego, lichego pomieszczenia, czegoś w rodzaju spiżarni. W jego najdalszym kącie siedziała skulona, wyraźnie przestraszona kobieta w wieku Bregi.

– Nie obawiaj się matko – powiedziałem. – Bez względu na to, jak to wygląda, nie skrzywdzę ciebie ani twojej córki.

Kiwnęła głową i złożyła usta do uśmiechu, a ja odwróciłem głowę, widząc, ile ją to kosztowało.

Dołączyła do nas Ulfa, która najwyraźniej chciała odwrócić moją uwagę.

– Przymierz. Muszę mieć pewność, że nie będzie za mała. Przymierzyłem, a ona wydała odgłos podobny do skrobania chrabąszcza w ścianie i powiedziała, że mam bary jak wrota stodoły.

Roześmiałem się i odpowiedziałem jej, że nie wiedziałem, iż wrota stodoły mogą się w ogóle poszczycić barami.

– Myślisz pewnie, że jesteś normalnym mężczyzną, a my karłami.

– Widziałem swoje odbicie w wodzie – odpowiedziałem. – Byłem z kobietą o imieniu Disiri...

– Z Disirą?

– Nie. Z Disiri, Panną Mchu, która, jak sądzę, nadała Disirze to niebezpieczne imię. Chciała się położyć w cieniu, ale odeszła, gdy słońce wzeszło wysoko. Tak się złożyło, że stałem w blasku słońca i widziałem swoje odbicie w wodzie. Ja... już raz zostałem powstrzymany, Ulfo. Nie mogłem rosnąć normalnie w czasie. Powiedziała mi coś takiego i cofnęła tamto zatrzymanie. – Bolesne to miały być słowa, lecz jej wypowiedziałem: – Myślę, że dla własnej przyjemności.

Usta Ulfy utworzyły nieduży dzióbek, ale nic nie powiedziała.

– W każdym razie jestem jaki jestem i muszę zrobić sobie dłuższe strzały.

– Staramy się pozostać w dobrej komitywie z Ukrytym Ludem – powiedziała Ulfa z wahaniem.

– I udaje wam się to?

– Och, trochę. Czasem leczą naszych chorych i pilnują bydła pasącego się w lesie.

– Tak długo, jak długo dobrze się o nich wyrażacie i wystawiacie im jedzenie?

Skinęła głową, unikając mojego spojrzenia.

– Bertold Śmiały i ja zostawiamy im czasem miskę rosołu i kawałek chleba kukurydzianego pieczonego w popiele.

– A my śpiewamy im piosenki, które lubią, i... robimy różne rzeczy, wiesz, w miejscach, o których nie wolno nam mówić. – Igła Ulfy płynęła powoli.

– Piosenki, których nie śpiewa się w obecności obcych, i rzeczy, o których nawet sami nie rozmawiacie? Bertold Śmiały trochę mi o tym opowiadał.

Minęła długa chwila, zanim odpowiedziała:

– Tak. O rzeczach, o których nie wolno mi mówić.

– Porozmawiajmy więc o tym. Czy Disiri jest kimś ważnym wśród Aelfów?

– Och, tak. – Ulfa wstała i pokazała mi koszulę.

– Jest wielką panią?

– Gorzej.

Próbowałem sobie wyobrazić Disiri i jej „gorzej”.

– Może karze bandytów i tym podobnych.

– Każdego, kto ją obrazi, sir. Westchnąłem.

– Kocham ją, Ulfo. I co mam począć? Ulfa przysunęła usta do mojego ucha.

– Nic jeszcze nie wiem na temat miłości, sir Able.

– A ja cię tego nie nauczę, przynajmniej nie za dużo. Daj mi koszulę. Obiecuję, że postaram się nie poplamić jej krwią.

Wciągnąłem koszulę przez głowę i poruszyłem ramionami; była odpowiednio luźna.

– Czy tatko nie kazał ci uszyć jej ciasnej, tak żebyś mogła mnie nią skrępować?

Ulfa zaprzeczyła.

– Pewnie nie miał czasu myśleć o takich rzeczach albo myślał, że jej nie ubiorę. Chyba nie jest trudno zabić mężczyznę między nogami kobiety.

– Ta... ja nie przyłożyłabym ręki do... Wiesz. Do czegoś takiego, sir Able. Królowa Disiri jest mi świadkiem. – Jej małe, silne dłonie musnęły moje barki, które dzięki niej nie były już gołe.

– Wierzę ci – odpowiedziałem i pocałowałem ją.

Gdzieś w oddali zawył wilk, ona zaś powiedziała zduszonym głosem:

– Pies Nom. To zły omen. Gdybyś... gdybyś miał zostać ze mną tej nocy, czuwałabym, by cię ostrzec.

Uśmiechnąłem się.

– Nie zostanę. Chyba masz rację, ktoś poluje. Ostrzec mnie, przed czym? Przed ojcem i matką?

Skinęła głową.

– Myślałem, że wpadną tu, kiedy cię pocałowałem. Miałem nadzieję, że to zrobią, ponieważ byłoby lepiej walczyć, kiedy jeszcze mamy światło. Spróbujmy jeszcze raz.

Pocałowałem ją i przytrzymałem dłużej. Kiedy wreszcie ją puściłem, powiedziałem:

– A więc tak smakuje kobieta rodzaju ludzkiego. Nie wiedziałem. Patrzyła na mnie, lecz nic nie powiedziała. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Było zbyt ciemno, bym mógł zobaczyć cokolwiek.

– Teraz już wiem trochę o miłości, sir Able. – Ocierała się o mnie, co mi przypomniało o kocie mojej babci. – Tam niżej jest coś bardzo gorącego, jak para z kotła.

– Twój brat i ojciec nie wpadli tutaj, jak zapewne zauważyłaś.

– Twoja służąca, sir Able, nie zauważyła niczego poza tobą.

– A zatem stanie się to na zewnątrz, w ciemności. Ten dom musi mieć tylne wejście. Widziałem je, kiedy zajrzeliśmy do twojej mamy.

Otworzyłem drzwi spiżarni, skinąłem głową do skulonej w kącie kobiety i otworzyłem na oścież drzwi w przeciwległym końcu pomieszczenia.

Ujrzałem na zewnątrz chłopca z włócznią i dwóch mężczyzn z brązowymi pikami. Mężczyźni zaczęli mnie trącać bronią, jakbym był płonąca kłoda,

wtedy ja chwyciłem za obie piki i wyrwałem im je z rąk (musałem kopnąć większego z mężczyzn), po czym złamałem na kolanie oba drzewce. Chłopiec rzucił włócznię i uciekł.

Nie odbiegł daleko. Chwyciłem swój łuk i pobiegłem za nim. Dogoniłem go na niewielkiej łące pod lasem.

– Ty jesteś Toug?

Może i kiwnął głową, ale nie widziałem, a jeśli nawet coś powiedział, to tak cicho, że nic nie usłyszałem. Wykręciłem mu rękę za plecy i wyrzuciłem łukiem w ucho, aż wrzasnął.

– Masz odpowiadać na moje pytania – rozkazałem mu. – I mówić prawdę. Odpowiadaj szybko i uprzejmię. Czy w tym lesie jest bezpiecznie nocą?

– Nie, sir – mruknął.

– Tak też myślałem. Widzisz więc, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Dopóki jestem z tobą, masz moją ochronę – potrzebna ci ochrona, przynajmniej do wschodu słońca. Z drugiej strony ja potrzebuję ciebie, żebyś mnie ostrzegł przed niebezpieczeństwem. Powiedzmy, że się rozżłościłem i cię zabiłem.

Zawstydziłem się, gdy zobaczyłem, jak drży. To był jeszcze dzieciak.

– Wtedy nie mógłbyś mnie ostrzec i znalazłbym się w niebezpieczeństwie. Musimy zachować ostrożność. I pilnować się nawzajem. Nazywasz się tak samo jak twój ojciec?

– Uhu.

– To był jego dom?

– Uhu.

– Masz odpowiadać wyraźnie i zwracać się do mnie „sir Able”. Nie chcę, żebyś mi odpowiadał jakimiś tam uhu, uhu albo tak lub nie. Masz udzielać pełnych odpowiedzi. – Chciałem powiedzieć „tak jak w szkole” ale się zreflektowałem i powiedziałem tylko: – Bo ci złamię rękę.

– Spróbuję. – Toug przełknął głośno ślinę. – Sir Able.

– Dobrze. Byłeś gotów mnie zabić tą swoją włócznią, kiedy otworzyłem

drzwi, ale zapomnę o tym, jeśli mi na to pozwolisz. Było z tobą dwóch mężczyzn uzbrojonych w piki. Co to za jedni?

– Vali i mój tatko, sir Able.

– Rozumiem. Rozłożyłem twojego ojca za to, że się naśmiewał ze mnie. Obraził się na mnie za to, jak sędzę. Wołają go...?

– Toug, tak jak mnie. – Szliśmy przez polankę skąpaną w blasku księżyca, a Toug zerkał nerwowo na cienie, jakby się spodziewał, że w każdym z nich czai się lew.

– Mówisz prawdę. To dobrze. – Zatrzymałem się, wtedy on też przystanął.
– A kto to jest Vali?

– Sąsiad – mruknął Toug. Potrząsnąłem nim.

– Tak się rozmawia z rycerzem?

– Nasz sąsiad, sir Able. Mieszka obok nas.

– Myślałem, że będziecie czekać na ulicy. Dlatego wyszedłem tylnym wyjściem. Jak to się stało, że mnie przechytrzyliście?

– To tatko, sir. Powiedział, że jego zdaniem wymkniesz się tyłem.

– „Wymknę się”. No cóż, niech to będzie dla mnie lekcją. A gdyby twój ojciec się pomylił?

– Mama by nam powiedziała i obeszlibyśmy dom z dwóch stron, coby jeden był za tobą.

– I wsadził mi w plecy pikę?

Toug przytaknął, a ja znowu nim potrząsnąłem, tak że po chwili wydusił z siebie:

– Tak właśnie, sir Able, albo jakbyśmy się spóźnili, to byśmy czekali tam, gdzie ścieżka idzie przez olszyny.

– A inni z wioski? Jest pewnie ze dwudziestu albo i więcej. Nie pomogliby?

– Uhu, sir Able. Oni... się bali, że rycerz wróci. Ten drugi rycerz.

– Mów dalej!

– Tylko Vali i... i...

– I ktoś jeszcze – dokończyłem za niego szeptem. – Kto to był? – Toug ociągał się z odpowiedzią, więc wykręciłem mu mocniej rękę za plecami.

– Ve, sir Able! Mały jest jeszcze, sir Able, młodszy ode mnie.

– Czy to syn Valiego? Jego imię brzmi podobnie.

– Uhu, sir Able. Vali i Hulta mają tylko jednego, sir Able, ale jeszcze za mały do orki. Musiał pomóc. Jego tatko mu kazał.

– W takim razie nie będę go cisnął, jak mi wejdzie w drogę. Ciebie też nie, bo się o niego martwiłeś. Wczoraj byłem młodszy niż ty dzisiaj. Może właśnie dlatego nie mam poczucia, że się znęcam. A może nie.

– Ty – ty jesteś dwa razy większy niż tatko, sir Able.

– Toug, nie widziałem przy tobie żadnego dzieciaka, kiedy otworzyłem drzwi. Gdzie on był?

– Uciekł do lasu, sir Able.

– Kiedy otworzyłem tylne drzwi? Sam się przestraszyłeś i uciekłeś, ale ciebie widziałem. Dlaczego więc nie widziałem Ve?

– Uciekł jeszcze przede mną, sir Able. Puściłem jego ramię i chwyciłem go za kark.

– Przyłożył ci kto kiedy łukiem, Toug?

– Uhu, sir Able. Sa-sam miałem łuk i-i...

– I ojciec ci nim przylał. Nie, bo byś mi o tym powiedział. Twoja siostra to zrobiła, Ulfa. – Poczulem, jak Toug kiwa głową, i znowu nim potrząsnąłem.

– To prawda. Ulfa mnie nim zbiła.

– Na pewno ci się należało. Mam nadzieję, że dobrze cię obila.

– O, tak, sir Able. Porządnie.

– Tak że nie mogłeś potem stać?

– Uh – nie, sir Able, Nie aż tak bardzo.

– Jesteś prawie tak duży jak ona. Pewnie jej się odpląciłeś. Co jej zrobiłeś?

– N-nic. Tatko by nie pozwolił.

– Pójdziemy dalej – powiedziałem – a ja cię puszcę. Masz się trzymać przede mną, tak żebym widział, czy nie próbujesz dać nogi. Spróbuj, to i tak cię złapię, a wtedy obiję cię łukiem, tak że się nie pozbierasz. – Puściłem go i pchnąłem przed sobą, a kiedy się zatrzymał, znowu go popchnąłem. – Czego się tak boisz? Niedźwiedzi? Najpierw zjedzą cię i może nawet mnie nie zaatakują, bo już się najedzą. Co myślisz?

– N-nic.

– Wiem. Ale wydaje ci się, że myślisz, i to jest smutne. Toug, powiedz lepiej prawdę albo cię obiję tak, że będziesz dalej pełzał. Gadaj prawdę albo się przygotuj. Boisz się czegoś. Co to jest?

– Wolne Drużyny, sir Able.

– Rozbójnicy? Mów dalej.

– On-Ve pobiegł po nich. Tatko mu kazał, sir Able. Tylko... tylko...

– Tak? Co tylko?

– Mieliśmy powiedzieć Ulfie, żeby nie szła tak szybko, żeby zdążyli tu przyjść, zanim sobie pójdiesz. Tylko nie mogliśmy.

– Wiedziała, co planujecie?

Kiedy Toug nic nie odpowiedział, strzeliłem go w ucho.

– Gadaj!

– Nie wiem, sir Able. Naprawdę.

– Wiedziała, że coś się święci, ale pracowała bardzo szybko i uszyła koszulę i spodnie najprostsze, jakie były możliwe. Myślałem, że bała się mnie. A może bała się o mnie. Mam taką nadzieję. Ale ty nie masz się tu czego bać, Toug. Gdyby rozbójnicy czaili się w cieniu, już by nas naszpikowali strzałami. Bylibyśmy dobrze widoczni w blasku księżyca.

– Mają głównie włócznie i siekiery – mruknął Toug. Ledwo go usłyszałem, bo nasłuchiwałem czegoś innego.

Rycerz czarnoksiężnik

– Gdzie my jesteśmy? – Toug rozglądał się, spoglądając (podobnie jak ja) na prastare drzewa, grubsze niż dom jego ojca i wysokie pod chmury, oraz na kwiaty i paprocie, pośród których wiły się krystaliczne strumyki. Miękkie, szare światło, które pozwoliło nam ujrzeć dostojność i zachwycającą urodę otaczającego nas świata, zdawało się być wytworem samego powietrza.

– W kraju poniżej, jak sądzę – powiedziałem. – W Aelfrice, skąd pochodzą Aelfy. A teraz siedź cicho. To pewnie twoje gadanie nas zdradziło.

– To jest Aelfrice?

– Chyba mówiłem. – Nie miałem pewności, ale chciałem, żeby tak wyglądało; do tego byłem zły.

– To nie jest prawdziwe! Przyłożyłem palec do ust.

– Przepraszam, sir Able. – Toug niemal dławił się swoją ciekawością. – Myślisz, że nas śledzili?

– Wątpię, ale kto wie. A poza tym jeśli będziesz tu hałasował, możesz obudzić coś gorszego.

– Coś takiego jak ja, Able? – Był to głos Disiri wypełniony radością, kpina i muzyką, płynący zewsząd jak światło. Od razu się zorientowałem. – Disiri, ja...

– Rozpłaszczyłbyś się przede mną, gdybym ci na to pozwoliła.

– T-tak. – Opadłem na kolana przekonany, że być może dzięki temu przestanę się jękać. – Tak, piękna królowo. Miej litość i ukaż mi się.

Wyszła zza drzewa nie wyższego niż Toug, zielonego i smukłego jak nagi miecz, który trzymała w dłoni. Toug także przyklęknął. Pewnie dlatego, że ja to zrobiłem.

– Czy to twój niewolnik, Able? Powiedz mu, żeby wstał. Dałem znak i Toug wstał.

– W dowód łaski pozwolę, byś złożył mi hołd. Ale odnosi się to tylko do ciebie.

– Dziękuję – powiedziałem. – Wielkie dzięki. Rozumiem.

– Ty też powinienes wstać. Na przyszłość pamiętaj, żeby go odesłać, kiedy będziesz chciał mnie wielbić. Nie przystoi, żeby mój małżonek klęczał, podczas gdy jego niewolnik łązi bez celu.

Toug wycofał się.

– Disiri, czy moglibyśmy... – Wciąż klęczałem.

– Udać się w jakieś bardziej ustronne miejsce? Raczej nie. Twój niewolnik mógłby coś napsocić.

– W takim razie czy wolno mi go zabić? Toug wydał zduszony okrzyk:

– Sir Able!

Disiri roześmiała się.

– Spójrz na niego! Myśli, że mówisz poważnie!

– Bo tak jest – odparłem.

– On chce coś powiedzieć. Zobacz, jak porusza ustami. – Zachwycona Disiri pokazała cienkim mieczem, który trzymała. – Mów, chłopcze. Nie pozwolę, żeby cię udusił – a przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Moja siostra...

– Co z nią?

Toug wziął głęboki oddech.

– No bo ja mam siostrę, królowo Disiri. Ulfa się nazywa. Disiri zerknęła na mnie.

– Powinnam była bardziej cię pilnować, mój drogi posłańcu.

– Ona go kocha, kocha sir Able'a. Tak mi się zdaje. Założyłem na cięciwę Parki zbyt krótką strzałę, którą zabrałem ze sobą.

– Tego nie wiesz. A nawet jeśli tak jest, to musisz wiedzieć, że ja jej nie kocham.

– Słuchałem pod oknem. Tatko mi kazał. Słyszałem, co mówiła i jak to mówiła. – Toug zamilkł na chwilę i odchrząknął. – Chciałem tylko powiedzieć, że jak mnie zabijesz, sir Able, to zabijesz brata dziewczyny, co cię kocha. Chcesz tego?

– Jeśli chcesz, żebym to zrobił, to go zabiję – zwróciłem się do Disiri.

Spojrzała na mnie z zaciekawioną.

– Mógłbyś potem żyć spokojnie?

– Może i nie. Ale jeśli chcesz jego śmierci, to go zabiję i się przekonamy.

– Wy, śmiertelnicy – powiedziała Disiri do Touga – wykazujecie często słabość w takich sprawach. To może posłużyć nam za dobry przykład i często tak jest.

Toug skinął głową, wybałuszając oczy.

Disiri odwróciła się do mnie, jakby z nim skończyła.

– Kiedy to byliśmy ze sobą, Able? Rok temu? Jakoś tak.

– Wczoraj rano, królowo Disiri.

– W tak krótkim czasie zostałeś rycerzem? I dowiedziałeś się, że jestem królową? Kto ci o tym powiedział i kto cię pasował?

Nie chciałem ujawnić, że Ulfa mi o tym powiedziała.

– Rycerz bez miecza – odpowiedziałem – a rycerzem sam się pasowałem. Miałem nadzieję, że w ten sposób stanę się kimś, kogo mogłabyś pokochać.

Roześmiała się. (Toug aż się skulił).

– W tej samej mierze ja jestem boginią.

– Wielbię cię od chwili, gdy cię zaniósłem do jaskini, królowo Disiri.

– Twoją boginią – zwróciła się do Touga – niemniej jednak boję się schodzić do trzeciego świata. Wiedziałeś o tym, chłopcze?

Potrząsnął głową i zaraz dodał, widząc, że patrzę na niego:

– Nie, królowo Disiri. Nie mamy pojęcia o takich rzeczach w Glennidam.

– Rzecz jasna wasi Overcyni by mnie zabili. W drugim świecie też nie jest o wiele bezpieczniej. – Znowu spojrzała na mnie. – Okropne miejsce. Smoki takie jak Setr ryczą i walczą. Poszedłbyś tam za mną?

Powiedziałem – i rzeczywiście tak myślałem – że poszedłbym za nią wszędzie.

– Potrafię wspiąć się też do waszego świata, jak widziałeś.

– Czy ja w ten sam sposób mógłbym dostać się do trzeciego świata? Tak się zastanawiałem.

– Nie wiem. – Zamilkła, przyglądając mi się uważnie. – Jesteś rycerzem, Able. Tak twierdzisz, podobnie jak ten chłopiec. Mówisz też, że nie masz miecza. Rycerz musi go mieć.

– Skoro tak twierdzisz, królowo Disiri.

– Tak twierdzę. – Uśmiechnęła się. – I mam pomysł odnośnie tej sprawy. Tak wielki rycerz, godny tego, żeby być małżonkiem królowej, nie może nosić pospolitej broni, lecz musi to być miecz sławny, nasycony magiczną mocą i mistycznym znaczeniem – Eterne, miecz Grengarma. Nie spieraj się ze mną. Wiem, że mam rację.

– Nie śmiałbym. Przenigdy. Dalej mówiła ściszym głosem:

– Takie miecze wykuwano w Starszym Czasie. Wtedy Overcyni częściej odwiedzali Mythgarthr i nauczyli waszych kowali, że możecie obronić swój świat przed Angronitami. Zapewne jest ci to wiadome.

Zaprzeciżyłem.

– Tak było. Pierwszą parę szczypiec rzucono u stóp Weland, a wraz z nią górę rozgrzanego do białości żelaza. Sześć mieczy wykuł Weland i sześć się złamało. Dopiero siódmy, Eterne, wytrzymał. Nie ugina się też przed siłą Angronitów i nie traci hartu ducha w ogniu Grengarma. Posiadając magiczne właściwości, ma moc nad duchami, które go dotykały. – Zamilkła i spojrzała mi w oczy. – Może źle uczyniłam, mówiąc ci o tym.

– Zdobędę go – powiedziałem – jeśli pozwolisz mi wyruszyć na poszukiwanie tego miecza.

Skinęła powoli głową.

W tym momencie myśl ta pochwyciła mnie jak nic innego, może poza samą Disiri. Powiedziałem:

– W takim razie zdobęde go albo umrę.

– Wiem. Będziesz próbował odebrać go smokowi. A gdybym cię błagała, żebyś tego nie robił?

– To bym cię posłuchał.

– Naprawdę? – Pochyliła się nade mną.

– Nie mógłbym powiedzieć prawdziwszej prawdy.

– Tak, tak. – Westchnęła. – Wtedy byłbyś kimś mniejszym, a twoja miłość niewiele by dla mnie znaczyła.

Podniosłem wzrok, rozpierany nadzieją.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że teraz znaczy dużo?

– Więcej niż potrafisz zrozumieć, Able. Idź i zdobądź Eterne, ale nie zapomnij o mnie całkiem.

– Nie mógłbym.

– Tak mówią mężczyźni, lecz wielu o mnie zapomniało. Mój miły, kiedy wiatr zawyje w kominie, idź do lasu. Usłyszysz tam, jak opłakuję utraconych kochanków.

Mały Toug podszedł bliżej, drżąc.

– Nie każ mu szukać tego miecza, Królowo Aelfów.

Disiri roześmiała się.

– Boisz się, że każe ci iść ze sobą?

Toug potrząsnął głową.

– Boje się, że mi nie pozwoli.

– Posłuchaj go! Pozwolisz mu, Able?

– Nie – powiedziałem. – Kiedy wyjdziemy stąd, odeślę go do matki.

– Widzisz? – Toug wyciągnął rękę do Disiri, lecz nie ośmielił się jej dotknąć.

– Więcej niż wy razem. – Wyprostowała się. – Będziesz mi posłuszny, Able?

– We wszystkim. Przysięgam.

– W takim razie mam coś do powiedzenia temu chłopcu, choć on nic mi

nie powie. Nie obawiaj się, nie zostanie poddany przemianie i nie powróci mężczyzną. – Niespodziewanie uniosła miecz i uderzyła mnie płazem w bark. – Powstań, sir Able, mój prawdziwy rycerzu!

Wystarczył krok lub dwa i znikła pośród wysokich paproci, tak samo zielonych jak ona, a Toug niczym pies, zbyt przestraszony, by okazać nieposłuszeństwo, podążył za nią potulnie.

Czekałem, nie mając wcale pewności, czy któreś z nich wróci. Czas płynął powoli, a ja odkryłem, że moje nowe, ogromne ciało, zmęczone teraz, gotowe jest umrzeć. Siedziałem, potem wstałem i chodziłem, i znowu usiadłem. Przez jakiś czas próbowałem znaleźć dwa drzewa tego samego rodzaju. Wszystkie były ogromne i bardzo stare, ponieważ w Aelfrice (o czym już wiem) nie ścina się drzew.

Każde rosło po swojemu, każde miało swój własny kształt liści i barwę. Jedno miało różową korę, inne purpurową; dość powszechne były te z białą korą, gładką albo porowatą. Liście miały kolor czerwony, żółty albo zielony w niezliczonych odcieniach. Znalazłem też drzewo, które zamiast liści miało zieloną korę, a kora ta zwisała luźno fałdami, tak by drzewo było bardziej wystawione na światło. Od tamtej chwili spędzonej samotnie w Aelfrice nabrałem przekonania, że kolczasta pomarańcza musi pochodzić stamtąd, o czym już wspomniałem wcześniej, a jej nasiona musiały zostać przyniesione przez Aelfy albo też innych ludzi, tak jak ja zagubionych, którzy powrócili do swojego świata. Jakkolwiek mogło być, wyjąłem z sakiewki ostatnie z moich nasion i zasadziłem je na szczególnie urokliwej polance wypełnionej ciszą. Nie wiem, czy się zakorzeniło i wyrosło.

Zajęty sadzeniem nasiona, podniosłem wzrok i ujrzałem przychodzących i odchodzących mężczyzn, kobiety, dzieci i wiele zwierząt – nie widziałem ich każdego kroku, lecz przepływ dni ich życia. Za jednym mrugnięciem zobaczyłem mężczyznę, który zaorał pole i wrócił do domu zmęczony, a gdy zajrzałem w okno, zobaczyłem miłość, którą jego żona uprawia z innym. Zbyt wyczerpany, żeby się złościć, mężczyzna udał, że nic nie widzi, i usiadł

przy ogniu, ona zaś wyszła do niego pospiesznie, cała pomięta, z ustami pełnymi kłamstw, on zaś nic nie mówił, tylko poprosił o kolację.

Kiedy skończyłem sadzić nasienie, zacząłem się nad tym zastanawiać i wydało mi się, że wszystko, co widziałem na niebie Aelflice, jest podobne do tego, co pokazuje mi w snach cięciwa mojego łuku; zwolniłem ją, tak ja ty to robisz, ale potem znowu naciągnąłem i podniosłem łuk, żeby przyjrzeć się jej na tle tamtejszego nieba, lecz mała cięciwa Parki rozpląnęła się na przepastnym, szarym niebie, przez co nie mogłem jej zobaczyć. Nie rozumiałem tego wtedy i wciąż nie rozumiem, ale tak widziałem.

– Kiedy ubiłem ziemię, byłem gotów wrócić do miejsca, w którym zostawiła mnie Disiri, gdybym tylko potrafił. Nie mogąc go znaleźć, chodziłem wkoło – a przynajmniej tak mi się wydawało. Po jakimś czasie odniosłem wrażenie, że z każdym krokiem robi się ciemniej. Znalazłem osłonięte miejsce, położyłem się, żeby odpocząć, i zasnąłem.

Wynurzyłem się ze strasznych snów o śmierci i usłyszałem wilczy śpiew. Ruszyłem między drzewami z łukiem w ręku, a potem zatrzymałem się i zawołałem:

– Disiri!

Od razu usłyszałem głos:

– Tutaj! Tutaj!

Podążyłem szybko w tamtą stronę, torując sobie drogę łukiem, aż dotarłem na polanę skąpaną w blasku księżyca, gdzie od razu podbiegła do mnie zapłakana drobna kobieta i objęła mnie tylko jednym ramieniem, bo w drugim trzymała niemowlę.

– Vali? Nie jesteś Vali? – I zaraz dodała: – Wybacz! Czy przysłał cię Seaxneat?

Odpowiedziałem jej dopiero po chwili.

– Wysłał mnie waleczny rycerz, żebym cię odnalazł, Disiro. Nazywa się sir Ravd i niepokoił się o ciebie. Tak więc przybyłem, jeśli jesteś tu sama.

– Zupełnie sama, nie licząc Ossara – odpowiedziała i podniosła wyżej

niemowlę, bym mógł je zobaczyć.

– Seaxneat kazał ci się ukryć w lesie? Skinęła głową i rozplakała się.

– Czy powiedział dlaczego? Potrząsnęła energicznie głową.

– Powiedział tylko, żebym się ukryła. Tak więc siedzę tu już dzień i noc.

Nie miałam nic do jedzenia i po pierwszym dniu chciałam wracać, tylko...

– Rozumiem. – Ująłem delikatnie jej łokieć i poprowadziłem do przodu, choć nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy ani dokąd zmierzamy. – Próbowalaś znaleźć drogę powrotną do Glennidan i się zgubiłaś.

– T-tak. – W tym momencie rozległo się wycie wilka, a ona zadrzała.

– Nie musisz się ich obawiać. Polują na młode jelenie albo cielaki leśnego bydła. Nie odważą się nas zaatakować tak długo, jak długo jestem z tobą. Ja także jestem rycerzem. Nazywam się sir Able.

Przywarła do mnie mocniej.

O świcie znaleźliśmy ścieżkę, którą rozpoznałem, gdy tylko padły na nią długie smugi pierwszych promieni wschodzącego słońca.

– Znajdujemy się niedaleko chaty Bertolda Śmiałego – powiedziałem. – Pójdziemy tam i nawet jeśli Bertold Śmiały nie będzie miał nas czym poczęstować, ogrzejesz się z Ossarem przy ogniu, a ja pójdę zapolować. – Spojrzawszy na Ossara, zobaczyłem, że ssie jej pierś, więc zapytałem, czy ma mleko.

– Tak, ale nie wiem, jak długo. Jestem strasznie spragniona i dawno już nic nie jadłam. Tylko agrest.

Zaspokoiliśmy pragnienie przy brodzie na rzece Gryf, a potem jakieś sto kroków dalej ustrzeliłem jelenia, tak więc dotarliśmy do chaty Bertolda Śmiałego w dobrych nastrojach.

Przywitał nas i zaraz oznajmił, że wcześniej doszedł do wniosku, z powodu rany, jaką zadali mu Angronici, że jestem zbyt młody, abym mógł być jego bratem. Teraz ucieszył się, widząc, że jestem w takim wieku, w jakim powinienem być (byłem znacznie większy niż on), i wyraził pewność, że nareszcie wszystko się układa w jego głowie.

Raczyliśmy się miodem i jelenim mięsem (które niektórym wydałoby się żylaste, lecz nie nam), a także ostatnimi orzechami z zapasów Bertolda Śmiałego. Bertold Śmiały bawił się z małym Ossarem i opowiadał o czasach, kiedy jego brat nie był większy niż Ossar, a on sam był zaledwie młokosem (jak się wyraził).

Rankiem Disira zapytała, czy może zostać jeszcze jeden dzień; była wyczerpana i bolały ją nogi. Zgodziłem się, wiedząc, jak długa będzie droga powrotna do Glennidam.

Tamtego dnia sporządziłem sobie nowe strzały, cztery do metalowych grotów, które już miałem, i cztery dodatkowe, do których groty miałem nadzieję zdobyć od kowala z jej wioski. Spaliśmy w chacie Bertolda Śmiałego pod jelenimi skórąmi, a ona wsunęła się pod moją skórę, kiedy Ossar i Bertold Śmiały już zasnęli. Nie zdradziłem Disiri, chociaż wiedziałem, że Disira tego ode mnie oczekuje, ale objąłem ją i pocałowałem raz czy dwa. Tego jej było głównie potrzeba: poczuć, że jest kochana przez kogoś silnego, kto jej nie skrzywdzi.

Zostaliśmy kolejny dzień, ponieważ chciałem wypróbować nowe strzały i zdobyć trochę mięsa, z którego Bertold Śmiały mógłby zrobić zapas po naszym odejściu. Następnego dnia też nie wyruszyliśmy, ponieważ padał deszcz. Kiedy siedzieliśmy wokół ognia, śpiewając wszystkie znane nam piosenki i rozmawiając, kiedy mieliśmy na to ochotę, powiedziałem coś o naszej matce, Ben, wtedy Bertold Śmiały objął mnie i się rozpłakał. Już wtedy zastanawiałem się, czy Ameryka była prawdziwa i czy mogę wierzyć w życie, jakie wiodłem tam z tobą (nasza szkoła i chata, mój Mac i wszystko inne), i poczułem się jeszcze gorzej. Położyłem się wtedy i przyznam szczerze: udawałem, że śpię, zastanawiając się, czy aby naprawdę nie jestem bratem Bertolda Śmiałego, Able'em.

Już prawie zasnąłem, kiedy usłyszałem, jak Disira coś mówi:

– Byłam tam zupełnie sama, a on zjawił się znikąd, wołając moje imię. Wcześniej był z Królową Lasu. Tak powiedział.

– Tak? – mruknął Bertold Śmiały.

– Nazywa siebie rycerzem, ale cięciwa jego łuku przemawia do niego w ciemności, a on mówi we śnie. Tak naprawdę to on jest czarnoksiężnikiem, prawda? Potężnym czarnoksiężnikiem. Widzę to za każdym razem, kiedy patrzę mu w oczy.

– Jest takim mężczyzną, jakim byłem kiedyś – powiedział Bertold Śmiały – a nawet lepszym niż ja, i jest moim bratem. Śpij.

Tak więc spaliśmy, wszyscy czworo, a potem się obudziłem, bo wydało mi się, że woła mnie Disiri. Wstałem po cichu, wymknąłem się na zewnątrz i ruszyłem w deszczu i we mgle, przywołując ją. Dziwne twarze spoglądały na mnie ze wzburzonego nurtu Gryfa i z leśnych stawów poznaczonych kręgami. Inne spoglądały zza krzaków albo patrzyły w dół z liści drzew – twarze, które mogłyby przybyć w latającym spodku, zielone, brązowe, czarne albo ogniste. Twarze szklane, i twarze bielsze niż śnieg. W pewnej chwili byłem bliski ustrzelenia brązowej łani, która jednak zadrżała jak dym i zamieniła się w długonogą dziewczynę; wciąż słychać było wycie wilków, a raz usłyszałem całkiem blisko ujadanie czegoś, co z pewnością nie było wilkiem.

Lecz Disiri, zielonej kobiety, którą pokochałem, nie znalazłem.

Mróz

Minęły kolejne dni od czasu, kiedy obaj z Tougiem klęczeliśmy w Aelfrice. Teraz mijaly tygodnie, a my, Disira, jej niemowlę, i ja, wciąż siedzieliśmy u Bertolda Śmiałego. Ja polowałem, a on zastawiał sidła, bo znał się na tym bardzo dobrze. Disira zamiatała, sprzątała i obdzierała ze skóry zwierzęta, który przynosiliśmy, a potem naciągała i garbowała skóry, gotowała i bawiła się z Ossarem. Nie byliśmy ze sobą jak mąż i żona, choć mogłem ją mieć w każdej chwili, jak sądzę; nikt by się nie domyślił, że tak nie jest, gdyby zajrzał do nas, przechodząc, lecz nie przechodził.

Wcześniej Seaxneat źle ją traktował i bił nieraz, kiedy jeszcze chodziła z brzuchem – bardzo się wtedy bała, że poroni. Co więcej,

Seaxneat kumał się z rozbójnikami, jak mówiono Ravdowi; tak więc im dłużej pozostawała z dala od niego, tym mniejszą chęć okazywała, by do niego powrócić. Wiele się o nich dowiedziałem z jej opowieści, ponieważ wiedziała więcej, niż jej się wydawało. Miałem nadzieję, że spotkam Ravda i przekażę mu wszystko, czego się dowiedziałem, chociaż nigdzie go nie spotkałem i nie miałem pojęcia, czy obaj ze Svonem są gdzieś w okolicy, czy też wrócili do Czerwonego Dworu.

Pewnego ranka – był piękny, słoneczny – w powietrzu pojawiło się coś nowego. Kiedy przemierzałem las, liść, pojedynczy liść, szeroki klonowy liść spadł na ziemię u mych stóp. Podniosłem go (wciąż bardzo wyraźnie pamiętam tamtą chwilę) i przyjrzałem mu się; był jeszcze prawie cały zielony, lecz już odrobinę czerwony i złocisty. Skończyło się lato; nadeszła jesień i głupotą byłoby nie zacząć przygotowań.

Przede wszystkim należało zgromadzić żywność, a jeśli to możliwe,

zgromadzić zapasy. Tym razem mogliśmy zabrać nasze skóry do Irringsmouth. Wyprawa byłaby dłuższa, ale moglibyśmy liczyć na to, że drożej je sprzedamy i nikt nas nie oszuka. Moglibyśmy kupić mąkę, sól, twarde chleb, ser i suszoną fasolę, za to potrzebowalibyśmy więcej mięsa do uwędzenia i więcej skór na sprzedaż. Niebawem miały dojrzeć orzechy – bukowe, włoskie i kasztany. Bertold Śmiały nauczył mnie, że można jeść nawet żółędzie, jeśli je odpowiednio przyrządzić, tak więc rozsądnie było nagromadzić tyle leśnych owoców, ile potrafiliśmy zebrać.

Po drugie, Disira. Jeśli w ogóle chciała wrócić do Glennidam, to musiałaby to zrobić teraz. Podróżowanie z niemowlęciem było rzeczą trudną, a podróżowanie z niemowlęciem zimą...

Polując teraz, częściej kierowałem się w kierunku Glennidam, by osiągnąć dwa cele. Liczyłem na to, że zawsze coś tam ustrzelę, a nawet jeśli nie, to przynajmniej przypomnę sobie ścieżki i zakręty tamtych okolic. Gdzieś w okolicach Irring ujrzałem głowę z niemal ludzką twarzą wystającą zza małych drzewek. Dotknięty jej groźnym spojrzeniem, znieruchomiałem sparaliżowany – byłem zbyt przestraszony, żeby uciec albo się ukryć.

Po kilkunastu sekundach zobaczyłem całą istotę. Dużo będę opowiadał o Angronitach, pozwól więc, że opiszę tego osobnika jako przedstawiciela całego plemienia. Wyobraź sobie najbardziej krępego człowieka, jakiego potrafisz sobie wyobrazić, który ma ogromne stopy, masywne nogi, grube w kostkach, i szerokie biodra. Ma też ogromny bandzioch, wielką klatę i potężne bary. (Idnn przysiadła na ramieniu króla Gillinga, tak jak się siada na ławeczce; oczywiście Idnn ma wzrost trochę poniżej przeciętnej). A teraz postaw na tych barach głowę. Zobacysz na niej osadzone blisko siebie oczy za duże do spoconej twarzy – oczy tak jasne, że wydawały się bezbarwne, wyposażone w źrenice tak małe, że ich nie widziałem. Do tego duży, płaski nos z nozdrzami, w które mógłbyś wepchnąć obie pięści, nigdy nieprzystrzygana broda i nigdy niemyta, i jeszcze usta od ucha do ucha. Poplamione kły, zakrzywione i zbyt duże, żeby zakryły je cienkie czarne

wargi.

Kiedy już wyobraziłeś sobie takie indywiduum i utwaliłeś jego obraz w umyśle, pozbaw je teraz cech ludzkich. Krokodyle wcale nie są mniej ludzkie niż Angronici. Nikt nigdy ich nie kocha, ani my, ani inne osobniki tego samego rodzaju, ani żadne zwierzę. Disiri potrafi pewnie powiedzieć, co takiego jest w ludziach, Aelfach, psach i koniach, domach, dworach czy zamkach, co sprawia, że można je pokochać, ale cokolwiek to jest, nie mają tego Angronici, z czego zdają sobie sprawę. Myślę, że dlatego właśnie Thiaz zbudował pokój, o czym opowiem później.

Tak więc gdy odarłeś z ludzkich cech postać, którą wzięłeś za człowieka, nie dając jej niczego w zamian, wyobraź sobie, że jest o wiele większa niż największy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałeś, tak wielka, że człowiek na dużym koniu sięga jej zaledwie do pasa. Teraz wyobraź sobie jej smród i ogromne, powolne, dudniące kroki, od których drży ziemia i które połykają całe mile, podobnie jak twoje kroki pokonują odległość od drzwi do kąta pokoju.

Kiedy już sobie to wszystko wyobraziłeś, w twoim umyśle powinien powstać obraz Angronity, który wystarczy, bym mógł ci opowiedzieć całą resztę; pamiętaj tylko, że to nie jest do końca prawda – bo Angronici mają pazury zamiast paznokci i uszy za duże do swojej głowy, bo ich dłonie i ramiona, plecy, piersi i nogi porastają włosy koloru nowej liny, i w ogóle stanowią oni najbardziej paskudny widok, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Zacząłem biec, gdy tylko poczułem, że jestem do tego zdolny. Powinienem był wsadzić mu w oko kilka strzał. Teraz już to wiem, lecz wtedy nie wiedziałem, bo jego niespodziewany widok był dla mnie wstrząsem. Chyba nigdy tak do końca nie wierzyłem Bertoldowi Śmiałemu, a powinienem był. Nie bacząc na jego opowieści, wyobrażałem sobie, że Angronici mają osiem stóp wzrostu; tyle miała Hela, ale już jej brat był wyższy od niej o głowę. Oboje byli mieszańcami, a rodowici Angronici nazywają takich ludźmi-myszami. Hela wcale nie wyglądała tak źle, kiedy

już się przyzwyczailem do jej wzrostu.

Poczułem zapach, zanim zobaczyłem miejsce, w którym wcześniej stała chata Bertolda Śmiałego. Był to zapach spalonej wyprawionej skóry, bardzo różny od zapachu palącego się drewna. Gdy tylko wiatr zawiął w moją stronę, od razu wiedziałem, że jest za późno. Szedłem powiedzieć mu, że w okolicy są Angronici, i zamierzałem go nakłonić, żeby się ukrył, a także ukryć Disirę i jej niemowlę w kryjówce gęsto obrośniętej dużym głogiem. Kiedy jednak poczułem smród spalonej skóry, domyśliłem się, że Angronici już tam byli.

A potem znalazłem odciski stóp i zorientowałem się, że to wcale nie oni. Były to ślady wielkości stóp człowieka, do tego obutych stóp – a palce jednej pary skierowane były do środka. I wtedy usłyszałem płacz Ossara. Zacząłem go szukać i znalazłem jego matkę. Martwa, wciąż trzymała niemowlę. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego Seaxneat też go nie zabił. Disirze zadał cios w głowę toporem wojennym i pozostawił niemowlę w jej ramionach, żeby umarło, lecz sam go nie zabił. Pewnie brakło mu odwagi; ludzie potrafią być zabawni.

Siłą wydobywałem Ossara z jej rąk, powtarzając:

– Musisz go puścić, Disiro. – Wiedziałem, że to w niczym nie pomoże, mimo to wciąż powtarzałem te słowa. To też pewnie wydaje się zabawne. – Musisz go puścić. – Przez cały czas wbijałem wzrok w jej ręce, tak by nie patrzeć na twarz.

Potem razem z Ossarem znalazłem miejsce, w którym przedtem stała chata Bertolda Śmiałego. Zabrali, co im było potrzebne, a resztę spalili, tak że pozostał tylko krąg dymiących popiołów obrośnięty dzikimi fiołkami, które przestały kwitnąć, mimo iż wciąż była wiosna.

Zdjąłem Ossarowi pieluchę i umyłem go w rzece najlepiej jak potrafiłem, po czym zawinałem w jelenią skórę, która przypaliła się tylko na brzegu. Szukałem wszędzie ciała Bertolda Śmiałego, lecz nigdzie go nie znalazłem. Chciałem pochować Disirę, ale nie miałem niczego, czym mógłbym kopać

ziemię. Ostatecznie odciąłem gałąź i zestrugałem ją na płasko na grubszym końcu. Znalazłem pieniek, o który mogłem zaprzeć stopę, i przy jego pomocy wykopałem nieduży, płytki grób nad brzegiem rzeki Gryf i zasypałem go kamieniami z rzeki. Zaznaczyłem grób małym krzyżem, który zrobiłem z dwóch związanych ze sobą patyków. Jest to pewnie jedyny grób z krzyżem w całym Midgarze.

Pomimo późnej pory wyruszyłem do Glennidam. Miałem tylko wodę dla Ossara i wiedziałem, że muszę go zanieść do kogoś, kto ma krowie albo kozie mleko; liczyłem też na to, że może znajdę w Glennidam Bertolda Śmiałego. Chciałem też znaleźć Seaxneata i go zabić. Tamtej nocy, kiedy zrobiło się tak ciemno, że musieliśmy się zatrzymać, usłyszałem, że wyje do księżycy coś, co nie jest wilkiem. Wiedziałem, że nie jest wilkiem i że jest duże, lecz nie miałem pojęcia, co to mogło być.

A teraz coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Mam ochotę to pominąć, ale gdybym miał opuścić wszystko, czego nie jestem w stanie wyjaśnić, opuściłbym tyle, że nie zrozumiałbyś, jak tu jest ani jak wygląda moje życie od chwili przybycia tutaj. Po pierwsze, łania. Następnego dnia spotkałem łanię z młodym; byłem głodny i wiedziałem, że powinienem zdobyć mięso i je upiec – przede wszystkim dla siebie, bo traciłem siły, a także po to, żeby je przeżuć i nakarmić małego Ossara, zanim umrze z głodu. Od chwili śmierci matki pił tylko wodę. Tak więc kiedy zobaczyłem łanię, pomyślałem, że powinienem zastrzelić ją albo jej młode, lecz przypomniała mi się tamta śniada dziewczyna i w jakiś sposób wiedziałem, że to znowu ona i nie mogłem jej zastrzelić. Nazbierałem jeżyn, zgmiotłem je i nakarmiłem nimi Ossara, który je wypluł.

Miałem nadzieję, że dotrzemy do Glennidam przed nocą, ale nam się to nie udało. Chyba już wcześniej się tego domyślałem. Od miejsca, w którym stała chata Bertolda Śmiałego, Glennidam było oddalone zaledwie o dwa dni drogi, tyle tylko, że ja nie szedłem dwóch dni, a tylko trzy czy cztery godziny pierwszego dnia i następny dzień, do tego ze względu na Ossara szedłem

wolniej. Tak więc znowu się zatrzymaliśmy, a ja widziałem wyraźnie, że Ossar jest coraz słabszy. Ja także traciłem siły, mimo iż zjadłem wszystkie jeżyny, jakie udało mi się znaleźć, i byłem już tak głodny, że gotów byłem jeść korę. Myślałem o tym, żeby pójść w las i poszukać czegoś do jedzenia, lecz wiedziałem, że w ciemności będzie to strata czasu. Uznałem, że najlepiej będzie, jak pójdziemy spać, jeśli tylko uda nam się zasnąć i nie zaatakuje nas niedźwiedź albo wilk, a rano ruszymy szybko do Glennidam.

Gylf

– Sir Able?

Usiadłem, rozbudzony gwałtownie, i przetarłem oczy, drżąc z zimna. Północny wiatr kołysał wierzchołkami drzew, a na niebie widniał księżyc w pełni, prawie tak samo jasny jak słońce, lecz niedający ani odrobiny ciepła. Gapiłem się na niego, tak jak czasem człowiek patrzy na księżyc, i wydało mi się, że zobaczyłem płynący przed nim zamek otoczony murami i sześcioma wieżami, murami z blankami i strzelistymi wieżami, na których powiewały długie, ciemne proporce.

Oto coś jeszcze, czego nie potrafię wyjaśnić, mimo iż sam to zrobiłem. Disira nie żyła, Ossar miał prawdopodobnie umrzeć, zniknął też Bertold Śmiały; wszystko to spadło na mnie w tamtej chwili mocniej niż przedtem. Nie wiem, do kogo należał zamek, który mnie tam sprowadził, ani dlaczego powinienem prosić go o cokolwiek. Niemniej jednak uniosłem ramiona i zawołałem, domagając się sprawiedliwości, nie raz, może nawet ze dwadzieścia razy.

Kiedy wreszcie zamilkłem i dołożyłem drewna do ognia, usłyszałem, jak ktoś mówi:

– Sir Able.

Nie było przy mnie nikogo poza Ossarem, który był zbyt młody, żeby mówić. Wycieńczony i wygłodzony, spał mocno. Wziąłem go na ręce i wyjaśniłem, że idziemy dalej. Wiedziałem, że przy tak jasnym księżycu nie zgubię ścieżki i za jakieś trzy albo cztery godziny dotrzemy do Glennidam. Gdy tylko wyruszyliśmy, usłyszałem za plecami cichutki głosik:

– Sir Able?

Odwróciłem się na pięcie. Przez to, że tak nagle urosłem, stałem się trochę niezgrabny, ale nie aż tak bardzo. Zdążyłem się odwrócić całkiem szybko, lecz nie zobaczyłem nikogo.

– Jagnię.

Tym razem nie obejrzałem się do tyłu.

– Jest jagnię – powtórzył głosik. Jakby tuż za mną.

– Proszę – powiedziałem. – Nie bój się mnie, nie skrzywdzę cię. A jeśli ty zamierzasz skrzywdzić mnie, to przynajmniej nie krzywdź dziecka.

– W górę rzeki? Wilk je zostawił i myśleliśmy... Mieliśmy nadzieję...

Już podążałem szybko w górę rzeki z łukiem w jednej ręce i Ossarem w drugiej. Najpierw trafiłem na wilka; omal się o niego nie potknąłem pomimo światła księżyca. Nie zauważyłem w jego ciele strzały, nawet jeśli zginął od niej. Położyłem Ossara na ziemi i zacząłem sprawdzać po omacku. Żadnej strzały, za to miał rozdarte gardło. Licząc na to, że osoba, która poinformowała mnie o tym, przyszła tam ze mną, powiedziałem:

– Moglibyśmy go zjeść, chociaż jagnię byłoby lepsze. Gdzie ono leży?

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Podniosłem Ossara, wstałem i zacząłem szukać jagnięcia. Leżało w odległości kilkunastu kroków, tyle tylko, że było mniejsze, przez co trudniej je było zobaczyć. Zrzuciłem je sobie na plecy, podobnie jak wcześniej upolowanego jelenia, i zaniósłem do naszego ogniska. Ogień już prawie wygasł, tak więc zanim go znowu rozpałem i zdarłem skórę z jagnięcia, nastał świt.

– Mamy coś dla ciebie.

Nie patrząc na boki, powiedziałem:

– Już dużo od was dostałem.

– Jest dość duży. – Mówca zakasłał. – Ale nie jest cenny. Nie miałem na myśli cenny. To znaczy, jest cenny, ale nie tak jak złoto. Czy klejnoty. Nic w tym rodzaju.

Powtórzyłem, że nie musi mi niczego dawać.

– Nie tylko o mnie chodzi. My wszyscy, cały nasz klan. Jestem jego rzecznikiem.

– A ja jego rzeczniką – usłyszałem nowy głos.

– Nikt cię nie wybierał – zaprotestował pierwszy z głosów.

– Sama się wybrałam. Chcemy, żeby było jasne, że nie chodzi tylko o Leśne Żony, tak jak nie tylko Leśne Żony mieszkają w lesie. My też w tym lesie mieszkamy razem z nimi i wcale nie jesteśmy bezsilni.

– Dobrze powiedziane!

– Dziękuję. Wcale nie bezsilni, bez względu na to, co mówią.

I wcale nie musimy się ukrywać.

– Uważaj!

– Widział mnie dwukrotnie i nie strzelił, czego się więc boimy?

– A jeśli mu się to nie spodoba?

– Jest zbyt uprzejmy, żeby go oddać.

– No cóż, w końcu to najlepsza rasa. Szczeniak ze stada samego Yalfathera.

Zastygłem w bezruchu.

– Co możecie o nim powiedzieć?

– Nic! (To był męski głos, który usłyszałem na samym początku).

– Zupełnie nic. – Teraz przemówił głos kobiety. – Ty wiesz na jego temat więcej niż my. Wielu z was uważa go za Najwyższego Boga.

– W takim razie wiedzą mniej. Nie możemy zostać po wschodzie słońca, pamiętaj.

– Bertold Śmiały twierdzi, że on jest panem latającego zamku, który znajduje się w Skai – powiedziałem.

– Naprawdę?

– Nigdy go nie widzieliśmy. – Właściciel męskiego głosu odchrząknął. – A poza tym nie chcemy o tym mówić. Chodź tu, Gylf! Do mnie!

– Co zamierzacie? Chować się za mną?

– Tak, jeśli to konieczne. Siadaj! Dobry piesek!

– Czy wolno mi się rozejrzeć? – zapytałem. – Nie skrzywdzę nikogo.

– Czy nie mówiłem, że możesz?

Była wysoka i tak smukła, że wydawało się, iż złożono ją z giętkich patyków koloru mlecznej czekolady. – On był znacznie niższy, też brązowy i miał wielki nos i paciorkowate oczy, lecz nie od razu zobaczyłem go całego z powodu psa.

Nigdy wcześniej nie widziałem większego psa; ten był mocno ciemnobrązowy, z białą gwiazdą na piersi, i uśmiechał się. Wiesz, jak psy potrafią się uśmiechać? Miał łeb jak u byka i miękkie uszy, które opadały, a także pysk, w którym zmieściłbym swoją głowę, i jeszcze oczy, które mówiły: dam sobie radę.

– Oto Gylf. – Początkowo wydało mi się, że pies gada, lecz to był męski głos zza moich pleców.

– To jeszcze szceniak – powiedziała brązowa kobieta.

– Ale potrafi – no wiesz.

– Czy chciałbyś, żebyśmy się zaopiekowali niemowlęciem?

– Teraz będziemy mieli dużo czasu, rozumiesz. – Właściciel męskiego głosu wyjrzał ostrożnie zza Gylfa. Był okropnie brzydki. – Już nieraz zajmowaliśmy się waszymi dziećmi.

– Ja wykonam robotę – powiedziała brązowa kobieta – a on przypisze sobie zasługi.

– Zaraz wzejdzie słońce.

– Nakarmicie go? – zapytałem. – I...?

– Wyuczmy – dodała brązowa kobieta stanowczym tonem. – Zobaczysz.

– Nieprędko. Przecież on będzie w Aelfrice.

– No tak.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego jego słowa nakłoniły mnie do podjęcia decyzji, ale tak się stało. Po części może dlatego, że podejrzewałem, iż jeśli zostawię Ossara w Glennidam, to Seaxneat może go zabić podczas mojej nieobecności. Myślałem też o czymś, czego nie pamiętałem, o czymś, o czym

wiedziałem, mimo iż nie pamiętałem.

– Weźcie go! – powiedziałem.

Odebrała ode mnie chłopca i przytuliła, szepcząc coś.

A potem para Aelfów zaczęła się wycofywać. Brzeg rzeki, zamiast piąć się w górę, opadał, tak więc zaczęli schodzić i zanurzyli się we mgle.

– Nie obawiaj się – zawołała brązowa kobieta. – Opowiem mu o tobie.

– I o Gylfie – dodał właściciel męskiego głosu. – To się często zdarza. Po burzy ktoś znajduje takie szczeniaki.

– Tak jak my – dodała brązowa kobieta.

– Ale one należą do niego.

– Mamy się nimi opiekować, aż on zagwiżdże.

– Co też uczyniliśmy...

Znikli, a wraz z nimi Ossar; po chwili brzeg rzeki znowu piął się normalnie w górę.

Patrzyłem na psa pewnie dlatego, że nie było niczego innego, na co mógłbym patrzeć.

– To byli Bodachani, prawda? Aelfy Ziemi?

Jakby skinął łbem, a ja wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

– No cóż, jestem człowiekiem ziemi. Widzisz, jakie brązowe są moje ramiona? To nie powinno stanowić dla ciebie specjalnej różnicy.

Ponownie skinął łbem, tym razem bardzo wyraźnie, a ja powiedziałem:

– Jesteś bardzo mądrym psem, co? Przytaknął mi i uśmiechnął się.

– Naprawdę należałeś do Valfathera? Tak chyba powiedzieli. Jeszcze raz skinął łbem.

– Rozumiem. Ktoś nauczył się przytakiwać, kiedy słyszysz pytanie. Czy istnieje pytanie, na które byś nie odpowiedział skinieniem łba?

Zareagował tak jak poprzednio, zgodnie z moim oczekiwaniem. A potem spojrzał pytająco na jagnię, z którego wcześniej obdarłem skórę, a potem na mnie, przekrzywiając łeb.

– Masz rację. Powinienem je upiec. Dam ci trochę mięsa i wszystkie

kości, zgoda?

Skinął łbem, oczywiście.

Po kilku minutach trzymałem już cały udziec, nadziany na kij i skwierczący nad ogniem. Dopiero kiedy go powąchałem, poczułem, jaki jestem głodny. Ślina napłynęła mi do ust i wydało mi się, że nigdy wcześniej nie próbowałem niczego tak smakowitego jak mięso, które miałem zjeść.

Pies przybliżył się i położył przy mnie.

– Gylf? Tak się wabisz? – zapytałem.

Skinął łbem, jakby rozumiał każde moje słowo.

– Jesteś psem myśliwskim, czy tylko tak zrozumiałem? Na co polujesz?

Trącił mnie pyskiem, jakby chciał powiedzieć: „na ciebie”.

– Jak to? Na mnie? Naprawdę? Skinął łbem.

– Nabierasz mnie!

Oblizął się, zerkając na skwierczące mięso. W blasku ognia jego język miał kolor różowy, zupełnie jak galaretka Day-Glo, i był szeroki jak moja ręka.

– Dam ci, ale musimy poczekać z jedzeniem. Jest bardzo gorące. – Zabrałem mięso znad ognia; można piec mięso dłużej, jeśli tego wymaga, lecz jeśli przypieczesz je zbyt mocno, nie będziesz mógł przypiec go mniej. Odłożyłem mięso i poklepałem ogromnego psa, który tak szybko stał się moim psem. Jego gładka, brązowa sierść była miękka i bardziej gęsta, niż się wydawało. – Miło będzie spać przy tobie w zimną noc.

Skinął łbem i polizął moje kolano. Choć duży i szorstki, jego język był ciepły i przyjazny.

– Jak już się najemy, pójdziemy do Glennidam. Chcę odszukać Seaxneata i go zabić, jeśli zdołam. Może Toug już wrócił do domu. Mam nadzieję. Sprawdzimy. Jeśli zostaniesz ze mną, to będziesz moim psem, aż przyjdzie po ciebie Valfather. Jeśli nie zostaniesz ze mną, to nie będziesz moim psem; tak czy inaczej życzę ci szczęścia.

Dotknąłem mięsa i polizałem palec, a potem pomachałem mięsem, żeby je

trochę ostudzić.

– Też jesteś tak głodny jak ja?

Skinął łbem, a ja zauważyłem, że się zaczął ślinić.

– Wiesz, zastanawiałem się, co zabiło tamtego wilka. Niepotrzebnie, bo odpowiedź leży tuż obok. To twoja robota. Nie musisz przytakiwać, Gylf. Wiem, że ty to zrobiłeś.

I tak mi przytaknął.

– A potem zostawiłeś jagnię dla mnie, zamiast samemu zjeść. Może brązowa dziewczyna miała z tym coś wspólnego, ale i tak miło z twojej strony. – Oderwałem dolną część udźca i dałem mu.

Przytrzymał sobie mięso łapami, jak mają w zwyczaju psy, i zaczął je rozrywać zębami, które by mnie zdumiały nawet w paszczy lwa. Patrząc na nie, zastanawiałem się przez chwilę, dlaczego wilk po prostu nie porzucił jagnięcia i nie uciekł.

– No i jak? – zapytałem.

– Dobrze! – mruknął.

Stary Toug

Glennidam nie zmieniło się ani trochę. Na ulicy spotkaliśmy chłopaka, który chciał dać nogę, gdy zobaczył mnie z Gylfem, ale Gylf zabiegł mu drogę, a ja go przytrzymałem.

– Nazywasz się Ve?

Chłopak potrząsnął głową, przestraszony. Był młodszy niż ja przedtem.

– Ale znasz go.

Skinął głową, choć niechętnie.

– Nie gap się tak na mnie. Przecież widziałeś tu wcześniej obcych.

– Ale nie takich wielgachnych jak ty.

– Nazywam się sir Able – przedstawiłem się. – Na pewno się nie pokłócimy, jeśli będziesz się tak do mnie zwracał. Powiedz: tak, sir Able.

– Tak, sir Able.

– Dzięki. Chcę, żebyś znalazł Ve. Powiedz mu, że będę w domu Touga i że muszę z nim pomówić.

Gylf obwąchał twarz dzieciaka, który trząsał się jak galaretka Jell-O.

– Przekaż mu, że nie jestem wrogiem. Nie zamierzam go skrzywdzić, mój pies też nie. – Puściłem go. – A teraz odszukaj go i przekaż wszystko, co ci powiedziałem.

– Ja, hm-hm... – mruknął chłopak i wydusił z siebie coś, co mogło znaczyć „sir Able”.

– No, gadaj, jeśli to coś ważnego. A jeśli nie, to poszukaj Ve i powiedz mu wszystko.

Dzieciak dotknął piersi brudnym palcem i kiwnął głową.

– Ty jesteś Ve.

– T-t-t...

Wyjaśniłem mu, że chcę porozmawiać z nim i z Ulfą, i kazałem iść ze sobą.

Mieszkali na końcu ulicy. Walnąłem łukiem w drzwi, złapałem za brudną koszulę ich ojca, który je otworzył, po czym wepchnąłem go do środka i wszedłem za nim, schylając głowę.

– Gdzie jest twoja córka?

Musiała mnie usłyszeć, bo wyjrzała z jednego z małych pokoi w głębi domu. Przywitałem się z nią i powiedziałem:

– Sprowadź matkę i siadajcie tu obie.

Dłoń jej ojca flirtowała z rękojeścią dużego noża. Potrząsnąłem nim i powiedziałem:

– Zabiję cię, jeśli go wyciągniesz.

Nachmurzył się, a ja miałem ochotę znowu mu przyrznać, ale ostatecznie popchnąłem go na ławkę przed paleniskiem. Kazałem Ve usiąść obok niego, a Ulfę i jej matkę posadziłem na stołkach.

– Słuchajcie – zacząłem i usiadłem na stole. – Ulfo, kiedy byłem tu poprzednim razem, zabrałem ze sobą twojego brata. Może ojciec opowiadał ci o tym.

Skinęła głową przestraszona.

– Nie ma go już ze mną. Zabrała go Disiri. Nie sądzę, by chciała go skrzywdzić, ale nie wiem, jak długo będzie go trzymała u siebie. Nie powiedziała, czego chce od niego. Może zobaczysz go jeszcze dzisiaj, a może już nigdy, nie wiem. Zapytam o niego, jeśli ją spotkam. Tylko tyle mogę zrobić.

Czekałem, aż któreś z nich się odezwie, nie spuszczając z nich oczu i głaszcząc łeb Gylfa. Minęła minuta albo dwie, więc powiedziałem:

– Z pewnością macie pytania. A ja pewnie nie potrafię na nie odpowiedzieć. Ale wysłucham was i podpowiem, jeśli będę umiał. Ulfa?

Podniosła głowę.

– Jak długo był z tobą?

– Niecały dzień. Przez jakiś czas byliśmy w Aelfrice i trudno powiedzieć, jak tam płynie czas, ale niecały dzień to chyba właściwe określenie.

– Skrzywdziłeś go?

– Raz wykręciłem mu rękę, tak że zapiszczał, kiedy nie chciał mnie słuchać, ale nic poza tym. Poza tym nikt inny go nie skrzywdził, kiedy byliśmy razem. – Przyjrzałem się uważnie matce Ulfy i uznałem, że nie należy do osób, które by chciały rozmawiać z groźnie wyglądającymi obcymi.

– Jest w Aelfrice? – zapytał ojciec.

– Nie wiem, gdzie jest. Był tam, kiedy go widziałem po raz ostatni. Może już wrócił tutaj – do tego świata czy na tę planetę, jakkolwiek nazywacie to miejsce. Nie wiem. Jak widzicie, myślałem wtedy, że Mythgarthr nie jest innym krajem. A tak nawiasem mówiąc, nikt nie nazywał tego kraju Mythgarthrem – mówili nań Celidon. Po drugie, byłem przekonany, że w innych krajach na Ziemi nie ma Aelfów. Uznałem, że gdyby tak było, musiałbym o tym słyszeć.

Wiele przemawiało przeciwko temu. Księżyc w Mythgartrcie wyglądał tak samo jak nasz, a nawet jeśli gwiazdy były inne, to ja nie potrafiłem dostrzec różnicy. Wielka Niedźwiedzica była na swoim miejscu, także Gwiazda Polarna i inne rzeczy, co do których nie miałem wątpliwości.

– Pozwoliłeś Disiri, żeby go zabrała – powiedziała Ulfa i nie było to pytanie.

– Nie zabraniałbym jej, nawet gdybym mógł – odparłem – ale nie mogłem. Tak, pozwoliłem, żeby go zabrała.

– Spróbujesz sprowadzić go z powrotem? To mój brat.

– Oczywiście, jeśli to będzie możliwe. A teraz ja mam do was pytania. Czy jest tu Seaxneat? Mówiąc „tu” mam na myśli wioskę i jej okolice.

Ojciec Ulfy potrząsnął głową.

– Poszedł szukać żony.

– Już ją znalazł. Dlatego tu jestem.

– Co się stało? – zapytała Ulfa bardzo cicho. Myślę, że się domyślała.

– Powiem wam za chwilę, ale najpierw chcę opowiedzieć o Ossarze. Chcę wam o tym opowiedzieć – głównie tobie, Ulfo i tobie Ve.

Ossar też jest w Aelfrice. Sam go tam zostawiłem, u Bodachanów, małych, brązowych Aelfów. Mój brat (tak powiedziałem) pomagał im w przeszłości, a oni jemu. Mówił, że byli mili i nieszkodliwi, o ile się ich nie rozgniewało. W każdym razie chcieli zabrać Ossara i powiedzieli, że się nim zaopiekują, a ja nie miałem mleka ani pożywienia, którym mógłbym go nakarmić. Tak więc zostawiłem go z nimi. Nic nie odpowiedzieli.

– Czas płynie wolniej w Aelfrice, więc może się pojawi za jakieś dwadzieścia lat jako małe dziecko. To całkiem możliwe. Jeśli tak, to chcę, żebyście pamiętali, że wciąż jest synem Disiry, i zaopiekowali się nim. – Kazałem całej czwórce obiecać, że tak zrobią.

A potem powiedziałem:

– Seaxneat zabił matkę Ossara, a ja zabiję jego, jeśli tylko nadarzy się okazja. Ale może nie i będzie tutaj, kiedy wróci Ossar. Powiedzcie mu, że Aelfy wykarmiły Ossara i pewnie się zemszczą, jeśli Seaxneat coś mu zrobi. Mam nadzieję, że to pomoże.

Wtedy odezwała się matka Ulfy. Zabrała głos chyba tylko ten jeden raz.

– Królowa go zabrała, ta, co zabrała mojego syna? – zapytała. – Disiri?

Zaprzeczyłem.

– Jedna z Bodachanów, ale nie poznałem jej imienia. Ve, tamtej nocy, kiedy zabrałem ze sobą Touga, ojciec posłał cię po rozbójników. Musieli być gdzieś niedaleko, bo poszli za nami jeszcze tej samej nocy. Dokąd wtedy poszedłeś?

– Ojciec? Ja... nie mogę powiedzieć, sir Able.

– Powiedz mu – warknęła Ulfa.

– Mogę się tego dowiedzieć od twojego ojca – powiedziałem – ale wtedy może będę musiał go skrzywdzić. Obaj zaoszczędzicie wiele kłopotu, jeśli

wyznasz mi to teraz.

Ve przełknął ślinę.

– Nie ma go tutaj, sir Able.

– Czy on także poszedł szukać żony Seaxneata?

– Ni-nie wiem, sir Able.

– Ale wiesz, dokąd kazał ci pójść po rozbójników. Lepiej powiedz.

Gylf zawarczał, a ojciec Ulfy położył dłoń na ramieniu Ve.

– Nie ma tu twojego ojca – zwrócił się do Ve – ale ja jestem zamiast niego. Masz mu powiedzieć. To spadnie na moją głowę, nie na twoją.

– Do p-pieczary. Tej dużej pieczary.

– Rozumiem. Często tam siedzą?

– Nie-niektórzy, sir Able. Jedna z Wolnych Drużyn.

– Gdzie to jest?

– T-tam. – Ve pokazał ręką. – Trz-trzeba iść ścieżką do małego stawu i obejść go, a potem przez bukowy las, tylko trzeba skręcić przy dużym pniaku...

– Pokażę ci – wtrącił ojciec Ulfy. Zaskoczył mnie.

– Jeśli wyślesz tam chłopca, mogą go zabić. Ze mną będzie nas dwóch dorosłych, jeśli oni tam są.

Gylf znowu zawarczał, tym razem głośniej.

– Pies myśli, że cię zdradzę – powiedział ojciec Ulfy. – Może on, ale nie ja.

Rozwahałem przez chwilę jego słowa.

– Poprzednim razem posłałeś Ve po rozbójników.

– Vali go posłał, nie ja – odpowiedział. – Ja chciałem cię zabić. – Zamilkł i wbił wzrok w podłogę, a potem spojrzał mi prosto w oczy. – Gdybym wierzył, że jesteś prawdziwym rycerzem, to bym tego nie chciał. Ale nie wierzyłem i pomyślałem, że obaj z chłopakiem poradzimy sobie z tobą, a już na pewno damy ci radę z Valim. Tylko że on chciał sprowadzić Wolną Drużynę Jera i posłał po nich swojego chłopaka, a ja go nie powstrzymałem.

– Nie lubisz ich? Potrząsnął głową.

Ulfa chciała coś powiedzieć, lecz ją powstrzymałem.

– Jak masz na imię?

– Toug. Tak samo jak mój chłopak.

– Zgadza się, pamiętam. O co chodzi, Ulfo?

– Ciągłe są z nimi kłopoty – powiedziała. – Zabierają, co chcą. Czasem handlują z nami, czasem coś dadzą, ale przeważnie zadają się z Seaxneatem, dają i handlują.

– Vali chciały być taki jak on – dodał stary Toug.

– Rozumiem. – Badałem go uważnie, starając się dostrzec coś pod tą czarną brodą. – Jeśli tam siedzą, to ilu ich może być?

Wzruszył ramionami.

– Pięciu. Może dziesięciu.

Zapytałem Ve, ilu ich było, kiedy poszedł po nich.

– Sie-siedmiu, sir Able.

– Pobiegniesz ich ostrzec, kiedy wyruszymy? Wyglądasz na szybkiego chłopaka i znasz drogę. Pewnie dotrzesz tam przed nami.

– Nie, s-sir Able. Chyba że mi każesz.

– Nie mogę tak ryzykować. Ulfo, razem z matką musicie go tu zatrzymać. Przez dwie godziny, tyle chyba wystarczy. Zrobicie to?

Matka Ulfy skinęła głową, Ulfa zaś powiedziała:

– Zrobię to ze względu na ciebie, sir Able, a także ze względu na ojca.

Ojciec Ulfy wstał.

– Dojdziemy tam w godzinę albo trochę dłużej. Złamałeś moją pikę. Kiwnąłem głową.

– Masz jeszcze włócznię i nóż. Zabrać je?

Zgodziłem się, a on poszedł do jednego z pokoiów w głębi domu i wrócił z włócznią, którą jego syn, Toug, porzucił, zanim uciekł.

– Opowiedz, co się stało z Disirą – powiedziała Ulfa.

– Nieważne – mruknął stary Toug. – I tak już nie żyje.

– Chciałabym wiedzieć, tatku. Sir Able obiecał, że nam powie. Zgodziłem się.

– Jak już mówiłem wcześniej, udałem się z waszym bratem do Aelfrice. Disiri zabrała go, a ja wróciłem sam. Chciałem odnaleźć Disiri, więc wołałem za nią. Odpowiedziała Disira, która myślała, że wysłano mnie, żebym ją odnalazł. Ukrywała się z Ossarem w lesie, chyba nie pierwszy raz. Była głodna, wycieńczona i przestraszona. Powinienem był przyprowadzić ją tutaj, ale tego nie zrobiłem. Chata Bertolda Śmiałego była bliżej; liczyłem, że znajdę tam coś do jedzenia dla niej. Do tego rozbójnicy szli za mną i Tougiem. Uznałem, że bardziej będziemy ryzykować, jeśli znajdą mnie tutaj, a nie w chacie Bertolda Śmiałego.

Pogłaskałem łeb Gylfa, czekając, aż coś powiedzą. Wreszcie odezwała się Ulfa:

– Rozumiem. Mów dalej.

– Tak więc zostałem z nią i Ossarem u Bertolda Śmiałego. Bała się Seaxneata. Bardzo źle ją traktował i chyba obawiała się, że skrzywdzi Ossara, kiedy wrócą do domu. Przed kilkoma dniami poszedłem zapolować i spotkałem Angronitę...

– Gdzie? – zapytał stary Toug.

– Nad rzeką, spory kawał w górę rzeki. Postanowiłem ostrzec Bertolda Śmiałego i Disirę i wróciłem do chaty. Zastałem ją spaloną i pomyślałem, że to robota Angronitów. Ale znalazłem odciski ludzkich stóp. W jednym palce były wykrzywione do środka. Podejrzywałem, że to ślady Seaxneata, i nadal tak sądzę. Usłyszałem płacz Ossara, a potem znalazłem ciało Disiry – zabito ją siekierą. Łatwo teraz o tym mówić, kiedy siedzę tutaj i nie muszę na nią patrzeć. Straszny widok. Nie mogłem tego znieść i nie chcę już o tym myśleć.

Ve szepnął coś do Ulfy. Ona odpowiedziała skinieniem głowy i powiedziała:

– Boi się ciebie zapytać, ale chciałby wiedzieć, dlaczego zabrałeś Disirę

do jakiejś chaty, skoro jesteś rycerzem. Czy nie powinieneś mieć dużego domu?

– Dlatego, że nie jestem zamożnym rycerzem – odpowiedziałem Ve. – Jeszcze nie. Czasem jestem powolny i chyba trochę za bardzo lubię gadać, co nie jest cechą prawdziwego rycerza. – Położyłem dłoń na ramieniu starego Touga. – Ale nie wtedy, kiedy chciałeś mnie zabić.

Przytaknął mi z niechęcią.

– Złamałem twoją pikę i mogłem cię nią zabić. Jednak tego nie zrobiłem.

– Doceniam to.

– Twierdzisz, że chcesz być moim poplecznikiem. Będę lojalny wobec ciebie tak długo, jak długo ty zachowasz lojalność wobec mnie, lecz ani chwili dłużej.

– Rozumiem.

Dałem mu znak i wyszliśmy.

Cezura

Poszliśmy ulicą przez wieś i dalej, ramię w ramię, przez pola do lasu; Gylf biegł przed nami i sprawdzał każdą kępę zarośli, zanim ją minęliśmy. Niebawem ścieżka zwęziła się, wtedy wysunąłem się przed starego Touga i szedłem z łukiem gotowym do strzału, ale nawet wtedy Gylf sprawdzał teren przed nami. W okolicach Glennidam drzewa były małe i liche, bo lepsze wycięto na opał albo budulec. Trochę dalej rosły już większe i starsze, choć wciąż tu i tam sterczały pniaki po tych wyciętych. I dopiero za nimi zaczynał się prawdziwy las, potężny bór ciągnący się przez setki mil między Górami Północy a południowymi rolami. Rosły tam drzewa, który już były stare, kiedy nie chodził jeszcze między nimi człowiek, drzewa grubsze niż największy dom w Irringsmouth, drzewa, które wnoszą swoje piękne zielone głowy aż do Skai i kiwają nimi przyjaźnie do Overcynów.

Spomiędzy ich korzeni tryskają źródła, bo w pogoni za wodą korzenie te rozłupują skały głębsze niż najgłębsza studnia. Wokół nich rosną leśne kwiaty, małe i tak delikatne, że oko zachwyca się nimi, gdy tylko je dojrzy. Północną stronę pni porasta lśniący zielony mech, grubszy niż futro niedźwiedzia. Za każdym razem kiedy patrzyłem na niego, myślałem o Disiri, pragnąc, aby była z nami, lecz moje pragnienia nie sprowadziły jej ani tam, ani nigdzie indziej. Szczerze mówiąc, czułem, że się duszę z zachwytu, dlatego powiedziałem:

- Teraz rozumiem, jak to jest, że powietrze w Aelfrice wydaje się przepelnione światłem. Także i tutaj zdaje się być pełne światła.
- Aha – powiedział stary Toug. – To tak wygląda Aelfrice?
- Nie – odparłem. – Aelfrice jest o wiele piękniejsza. Drzewa, które tam

rosną, są większe i niewiarygodne w swoim rodzaju, dziwne, niebezpieczne albo przyjazne. Powietrze tam nie wydaje się świecić, ono świeci.

– Może mój chłopak opowie mi coś, jeśli wróci.

Zapytałem go, czy dał synowi takie samo imię, jakie on nosi, ponieważ chciał, aby syn był taki jak on, czy też to on znowu zapragnął być chłopcem; zastanawiam się, co pomyślał o młodym rycerzu, który wrócił do niego ranny, i o czym rozmawiali.

Niedługo potem ścieżkę przed nami przeciął biały jeleń, już w porożu; Gylf nie pobiegł za nim, a ja nie próbowałem nawet strzelać. Obaj wyczuliśmy, tak bym to określił, że nie jest to zwierzyna łowna.

– Podniebny kozioł – wyjaśnił stary Toug.

– Co przez to rozumiesz?

– Tak je nazywają – dodał i nie powiedział ani słowa więcej. Ziemia wznosiła się i opadała, najpierw łagodnie, jak w krainie pagórków, a potem bardziej stromo, aż wyrosły wzgórza podobne do tych, wśród których spotkałem Disiri. Drzewa zapuszczały tam korzenie między takie kamienie, po których mogli wędrować pies, chłopiec i mężczyzna.

Wreszcie wspięliśmy się na wzgórze wyższe niż wszystkie inne, łyse, nie licząc skąpych kępek trawy; rozciągał się stamtąd widok na północ, gdzie widniały białe od śniegu szczyty.

– Tuż niedaleko – powiedział stary Toug.

Gylf zapiszczał i obejrzał się na mnie. Wiedziałem, że chce porozmawiać, lecz nie chce tego robić w obecności starego Touga. Poleciałem więc staremu Tougowi, żeby poszedł przodem i zatrzymał się dopiero, kiedy straci nas z pola widzenia, i tam zaczekał, aż go dogonimy. Oczywiście chciał wiedzieć dlaczego, wtedy kazałem mu robić, co mówię albo wracać do żony i córki, tak więc poszedł do przodu.

– Wiedzą – ostrzegł mnie Gylf.

– Rozbójnicy? Kiwnął łbem.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Wyczuwam to.

Kiedy to powiedział, przypomniało mi się, jak opowiadałeś, że psy potrafią wyczuć strach. Zapytałem Gylfa, czy tamci się boją, a on to potwierdził.

– Skąd się dowiedzieli, że idziemy?

Nie odpowiedział; z czasem, gdy poznałem go lepiej, nauczyłem się, że zwykle reaguje w ten sposób, kiedy nie zna odpowiedzi na pytanie (albo uznaje, że pytanie jest głupie). Pewnie wystawili zwiadowców. Ja bym tak postąpił, gdybym był ich przywódcą.

– Myślałem, że mnie nie dogonicie – powiedział stary Toug, kiedy doszliśmy do niego.

Wyjaśniłem mu, że chcieliśmy się przekonać, czy ostrzeże przed nami rozbójników.

– Ty i pies? Przytaknąłem.

– Od razu go utłuką, a jakże.

– Pewnie tak, jeśli znajdzie ich przed nami.

– Widziałem kiedyś rycerza, co nawet swojemu psu założył taką koszulę z żelaznych kółek.

– Zdobędę taką dla Gylfa, jeżeli będzie chciał – powiedziałem. – Jednak od tej chwili chcę, żebyś trzymał się z tyłu razem z nim i pilnował, żeby szedł z tobą. Pójdę przodem.

– Masz tylko osiem strzał. Policzyłem.

Zapytałem, ile on ma, i kazałem mu się trzymać z tyłu. Potem to samo nakazałem Gylfowi i poleciłem mu, żeby trzymał przy sobie Touga.

Jak dotąd opowiadałem o tym, co zrobiłem i co inni robili, a także relacjonowałem to, co mówiliśmy. Teraz zatrzymam się, żeby wyjaśnić, co czułem wtedy i później i dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. Jestem kimś w rodzaju generała i powiem ci, że dobry generał maszeruje ostro, ale nie maszeruje dzień i noc. Jest czas na marsz, ale jest też czas na rozbięcie obozu, czas odpoczynku.

Wysunąłem się do przodu, jak już mówiłem, z łukiem gotowym do strzału, wsłuchując się w szepty wielu żyć, z których upleciona była moja cięciwa – w odgłosy ludzkiego życia, że tak to opiszę. Odgłosy życia. Ci mężczyźni, kobiety i dzieci tworzący cięciwę Parki nic o mnie nie wiedzieli, nic nie wiedzieli o moim łuku z kolczastej pomarańczy ani o strzale, którą poślą ze świstem w jakiegoś zbrojca, ale wszystko to wyczuwali, jak sądzę, wyczuwali, że ich życie zostało napięte i zbliża się bitwa. W ich głosach słychać było strach i podniecenie. Siedzieli przy ogniu albo zajmowali się swoją codzienną pracą, lecz wyczuwali, że nadciąga bitwa i że jej wynik będzie zależał od nich.

I ja czułem podobnie. Wiedziałem, że będę musiał walczyć z gromadą rozbójników również uzbrojonych w łuki i strzały, a także miecze, siekiery i włócznie. Gdybym skręcił w lewo czy prawo, uratowałbym życie a Gylf i jego towarzysz nie wiedzieliby o tym, jeśliby też nie skręcili, ponieważ zginęliby w chwili spotkania z rozbójnikami. Gdybym zawrócił, dowiedzieliby się, lecz wtedy uratowałbym życie im i sobie. Ratowanie życia towarzyszy uważane jest za coś wielkiego, natomiast zabijanie ludzi, którzy próbują cię (i twoich towarzyszy) zabić, nie liczy się tak naprawdę.

Tak czy inaczej, szedłem dalej.

Jeśli kiedykolwiek to przeczytasz, powiesz, że zrobiłem tak przez wzgląd na słowa sir Ravda. I słusznie – w dużej mierze ze względu na to, co powiedział. Chciałem zostać rycerzem. Pragnąłem nim być bardziej niż chciałem stworzyć drużynę albo znaleźć się na liście najlepszych uczniów. Nie chcę przez to powiedzieć, że zależało mi tylko na tym, aby nazywać siebie rycerzem, tak jak to robiłem, albo kazać innym tak mnie nazywać. Pragnąłem być prawdziwym rycerzem. W naszej drużynie było kilku zawodników tylko dlatego, że nie mogliśmy znaleźć lepszych. Na liście najlepszych uczniów był jeden, który znalazł się tam, ponieważ tak sobie założył, że tam się znajdzie. Wybierał łatwe kursy, a kiedy nie dostał piątki, szedł do nauczycielki i kłócił się, żebrał, a może nawet straszył ją, aż mu

podwyższyła ocenę. Wiedzieliśmy o tym, a ja nie chciałem być takim rycerzem. To był wielki test. Jak pod koniec meczu, kiedy przeciwnik jest na drugiej przy dwóch wybitych i zostaje ostatnia szansa. Ja bym nie dokonał takiego wyboru, gdybym mógł wybierać, tylko że człowiek nigdy nie może wybierać.

To była najmniejsza część. Pozwól, że wyznam ci w tym miejscu prawdę. Myślałem, że Bertold Śmiały nie żyje. Przypuszczałem, że po prostu nie udało mi się odnaleźć jego ciała, które leży pewnie gdzieś niedaleko miejsca, w którym stała jego chata. Disiry też bym pewnie nie znalazł, gdyby nie Ossar; po prostu nic nie doprowadziło mnie do ciała Bertolda Śmiałego. Gdybym był tam wtedy, możliwe, że uciekłbym przed rozbójnikami i być może spróbowałbym namówić Bertolda Śmiałego, żeby też uciekł, ale wtedy już znałem go dość dobrze i wiedziałem, że by tego nie zrobił.

Wcześniej Angronici zranili go tak bardzo, że wydawało się, iż powinien umrzeć. Nie mógł stanąć prosto. Trzęsły mu się ręce, czasem tak bardzo, że nie był w stanie jeść. Może i był szalony, kiedy zapominał o niedawnych wydarzeniach i wspominał rzeczy, które się nigdy nie wydarzyły. Tak bardzo był przekonany o tym, że jestem jego bratem, Able'em, że musiałem reagować na to imię, a czasem wręcz wierzyłem, że to prawda – on sam wciąż w to wierzył, nawet wtedy, kiedy wróciłem starszy i większy niż on.

Wszystko to prawda, lecz chodziło o coś więcej; nie sposób było go przestraszyć. Możliwe, że zbójcy go zabili; pewnie tak, ale nie mieli wyjścia. Nie byliby w stanie go przestraszyć, a wtedy broniłby Disiry i Ossara aż do śmierci.

Tak więc Bertold Śmiały nie żył.

Przygarnął mnie do siebie, kiedy nie miałem dokąd pójść. Kochał mnie jak brata i nauczył wszystkiego, co sam potrafił – uprawiać ziemię, obchodzić się z bydłem, koźmi i owcami. Polować, zastawiać sidła. Walczyć włócznią, kiedy nie miało się innej broni, i walczyć maczugą, kiedy miało się tylko maczugę. Nie znał się aż tak dobrze na strzelaniu z łuku, ale przekazał

mi to, co wiedział na ten temat, i był wyrozumiały, kiedy ćwiczyłem bez końca, i pomagał mi, jak tylko mógł. Kiedy musisz wcelować w to, w co mierzysz, jeśli chcesz się najeść, to musisz szybko nauczyć się strzelać. A kiedy trzeba trafić w cel, bo inaczej ukochana przez ciebie osoba też będzie głodna, uczysz się wszystkiego innego: jak podejść bliżej, jak trafić w jelenia, nie trafiając po drodze w gałąź, albo jak wytropić rannego jelenia, kiedy wydaje się, że został ledwie draśnięty, bo czasem wykrwawiają się do wewnątrz.

Jak odgadnąć, dokąd się uda, zanim on sam o tym zdecyduje. Kiedyś zraniłem jelenia, który potem udał się do kryjówki, przy której już na niego czekałem, i znalazłem się tak blisko, że mogłem powalić go na ziemię gołymi rękami. Szybko nauczyłem się tego wszystkiego, jak już mówiłem, a zawdzięczam to Bertoldowi Śmiałemu. Ci, którzy go zabili, mieli się zmierzyć ze mną, a ja nie byłem stary ani chory.

I Disira. Nigdy jej nie kochałem. Zawsze kochałem królową Disiri i nikogo innego, a jeśli tego nie rozumiesz, to nie zrozumiesz nic z tego, co zamierzam ci powiedzieć, ponieważ to zawsze było najważniejsze. Bo wszystko inne uległo zmianie z upływem czasu. Poznałem nowych przyjaciół, straciłem starych. Sir Garvaon nauczył mnie, jak się posługiwać mieczem, a Garsecg pokazał, jak być silniejszym i szybszym – a czasem milczącym albo tak zaciekłym i dzikim, że odważni uciekali na mój widok. I tylko to się nigdy nie zmieniło. Kochałem Disiri, żadną inną, byłem gotów umrzeć za nią w każdej chwili.

I coś jeszcze, o czym zamierzam opowiedzieć. Wiedziałem, że w środku jestem dzieciakiem. Toug zawsze myślał, że jestem mężczyzną, nawet kiedy mu powiedziałem, że tak nie jest. Również jego ojciec uważał mnie za mężczyznę (a także Ulfa), młodszego niż on, lecz mimo wszystko mężczyznę; do tego byłem o wiele większy. Wiedziałem, że tak nie jest, że stało się tak za sprawą Disiri i że naprawdę jestem dzieckiem. Nieraz miałem ochotę się rozplakać. Jak wtedy, kiedy szedłem do pieczary zbójców,

wypatrując ich za każdym kamieniem i na każdym drzewie jak Aelfów. Kiedy indziej naprawdę się rozplakałem, o czym opowiem za chwilę. Kiedy jesteś dzieckiem, które znalazło się w takim niebezpiecznym miejscu, w jakim ja się znalazłem, nie wolno ci się do tego przyznać, bo gdy to zrobisz, wszystko się rozpadnie.

Tak więc się nie przyznałem. Szedłem do pieczary rozbójników, stawiając kolejne kroki, i myślałem: no cóż, jak mnie zabiją, to mnie zabiją i będzie po wszystkim.

Lecz wciąż najważniejsza była Disiri. Zawsze tak czułem, przez cały czas kiedy szedłem do Jotunlandu i szykowałem się do Bitwy nad Rzeką i wszędzie indziej. Kochałem ją i bardzo jej pragnąłem.

Jeśli tego nie rozumiesz, nie będzie miało znaczenia, co rozumiesz, bo niczego nie zrozumiesz. Rozbójnicy znaleźli się między mną a nią, a wszystko, co znajdowało się między nami, musiało zostać zepchnięte na bok i wdeptane w błoto; zawsze tak było.

Złamany miecz

Poleciałem Gylfowi, żeby się trzymał z tyłu, podobnie nakazałem staremu Tougowi, lecz nie przejęli się tym zbytnio. W pewnym momencie zorientowałem się, że stary Toug stoi za mną (co mnie tak przestraszyło, że omal nie przebiłem go strzałą) i próbuje powiedzieć mi coś szeptem. A kiedy się odwróciłem, żeby sprawdzić, o co mu chodzi, zobaczyłem, że Gylf przemyka obok mnie, bezgłośnie i szybko.

– Widzisz tamtą czarną skałę? – Stary Toug pokazał włócznią. – Kiedy tam dotrzemy, zobaczą nas, jeśli tam są, a my zobaczymy ich.

Wtedy ja pokazałem do tyłu.

– A ty widzisz tamtą okrągłą skałę z boku? Skinął głową.

– Idź tam i czekaj albo wsadzę ci włócznię do nosa. Ruszaj! Poszedł, a ja stałem i czekałem, aż dojdzie na miejsce.

W tym samym czasie wrócił Gylf. Nic nie powiedział, ale po jego minie i po tym, jak szybko wrócił, domyśliłem się że zbójcy są tuż przed nami. Kazałem mu się wycofać, ale nie chciał wrócić na okrągłą skałę. Ruszyłem do przodu, a on szedł tuż za mną.

Niedługo potem wydarzyło się coś, czego nie przewidziałem. Jeden z rozbójników stanął na dużym kamieniu jakieś pięćdziesiąt kroków przede mną, zapytał, kim jestem i czy chcę pokoju, czy walki. Napiąłem cięciwę i wypuściłem strzałę tak szybko, że nie miał czasu się uchylić. Ugodziła go w pierś i przeszła na wylot, a on sam spadł z kamienia.

Wciąż nie widziałem pozostałych, za to oni widzieli mnie, bo usłyszałem ich wycie. Pobiegnąłem do czarnej skały, ponieważ wydawało się, że uda mi się wejść na nią, i wdrapałem się jak wiewiórka, ciężko przerażony, bo

myślałem, że dostanę strzałę w plecy. Na samej górze położyłem się plackiem, jakby się chciał przytulić do skały.

Otoczyli skałę i nie było ich sześciu czy siedmiu, tak jak przypuszczaliśmy, a prawie dwudziestu. Zobaczyli starego Touga, który stał tam, gdzie kazałem mu czekać, i ruszyli na niego, wywijając włóczniami i mieczami. Stary Toug rzucił włócznię i popędził jak dwa zajęce, wtedy ja wstałem szybko i położyłem strzałę ostatniego, a potem jeszcze dwóch przed nim, a wszystko to trwało krócej niż napisanie tych słów. Ostatni z nich miał łuk i kołczan, tak więc gdy zobaczyłem kołczan, skoczyłem.

To był długi skok. Tak sobie teraz myślę, aż dziw, że nie zламаłem nogi, ale nie zламаłem – opadłem równo na obie stopy i się przewróciłem. Zabrałem mu strzały i przełożyłem je do mojego kołczanu, gdzie miałem te bez grotów, a potem podniosłem z ziemi swoją strzałę i założyłem ją na cięciwę. Była na niej krew i pióra nie wyglądały tak ładnie, jak bym sobie tego życzył, ale grot był cały, więc uznałem, że jeszcze się nada.

Odebrałem sobie też pozostałe strzały. Jeden ze zbójców wciąż żył, ale go nie dobiłem. Zostawiłem go tam, gdzie leżał, ponieważ widać było, że i tak umrze, i to szybko. Żaden z zabitych nie był Seaxneatem.

Potem pobiegłem za tymi, którzy gonili starego Touga, a nietrudno było ich odnaleźć, bo wyli głośno. Po drodze minąłem mężczyznę wielkiego prawie tak jak ja, z oderwaną głową. Głowa była martwa, lecz na jej twarzy zastygł wyraz strachu. Był tak bardzo przestraszony w chwili śmierci, że zrobiło mi się go żal, chociaż sam też bym go zabił.

Może powinienem powiedzieć coś więcej na ten temat. Tam, gdzie jesteście, ludzie nieustannie zabijają innych ludzi, podobnie jak tutaj. A potem rozmawiają o tym, jakby to było coś najgorszego pod słońcem. Tutaj tylko morderstwo uważa się za złą rzecz, a walka jest tylko walką. Tutaj ludzie nie mają wyrzutów sumienia z powodu tego, co musieli zrobić; sir Woddet zabił kiedyś tylu Osterlingów, że jeszcze długo potem było mu niedobrze, ale samo zabijanie Osterlingów nie stanowiło dla niego żadnego problemu. Jak można

się przejmować zabiciem kogoś, kto by cię usmażył i zjadł? Ja także nie przejmowałem się zabijaniem rozbójników.

Kiedy znaleźliśmy starego Touga, wisiał powieszony za nogi, a rozbójnicy rzucali w niego nożami. Kazałem Gylfowi zejść ich z drugiej strony, na wypadek gdyby zaczęli uciekać. Kiedy już ich okrążył, zacząłem strzelać. Ruszyli na mnie, a ja wycofałem się prawie do okrągłej skały i wspiałem na inny kamień. Wyprostowałem się i czekałem na nich, dotykając palcami cięciwy Parki. Wydawała się cienka jak nić – tak cienka, że prawie przecięła mi palec; szeptała pod moimi palcami tysiącem głosów, a ja wiedziałem, że bez względu na wszystko nie zerwie się.

Z lasu wynurzył się rozbójnik z łukiem. Pozwoliłem mu strzelić; jego strzała uderzyła w głaz, na którym stałem. Nadbiegli kolejni. Z łukiem uniesionym nad głową zawołałem:

– Jestem sir Able Wielkie Serce! (Bo tak powiedziała Parka). Poddajcie się! Przysięgnijcie, że będziecie lojalni, a ja obiecuję, że was nie skrzywdzę!

Ten z łukiem sięgnął po kolejną strzałę, więc i ja się przygotowałem. Trafiłem go, kiedy naciągał cięciwę, a moja strzała przecięła jego cięciwę, przeszła go na wylot i rozłupała młode drzewko za nim, co tak przeraziło pozostałych, że omal nie uciekli do Muspelu. Byłem dumny z tego strzału, wciąż zresztą jestem. Potem też nieźle strzelałem, ale nigdy nie zrobiłem tego równie dobrze.

– Nie musisz zostawać ze mną – wyszeptał stary Toug, kiedy go odciąłem i rozwiązałem mu ręce i nogi.

Zapewniłem go, że zostanie, i pociąłem na bandażę koszulę uszytą przez jego córkę.

– Zabili psa?

– Nie – powiedziałem. – Nie widziałeś go? Próbował się uśmiechnąć.

– Pewnie nie patrzyłem. Coś cię trapi?

– Mój pies.

– Boisz się, że nie wróci?

Bąłem się, ale rozpałłem ognisko. Mogłem zanieść starego Touga z powrotem do Glennidam, ale robiło się ciemno i musiałbym go szybko postawić na ziemi, gdyby nas zaatakowano. Uznałem, że jeśli odpocznie przez noc, rano pójdzie o własnych siłach. Tak byłoby łatwiej.

Kiedy ogień już się dobrze rozpałił, przyniosłem mu wody w jego kapeluszu. Napił się i powiedział:

– Powinieneś pójść do ich pieczary. Może znajdziesz tam skarby.

Nie bardzo w to wierzyłem, ponieważ podejrzewałem, że rozbójnicy wydają wszystko, co zdobędą, ale obiecałem mu, że pójdziemy tam rano.

Gylf wrócił z dwoma królikami w pysku, położył je na ziemi i rozpałnął się w mroku. Obdarłem je ze skóry i skleciłem rożen z zielonych pędów, tak jak mnie uczył Bertold Śmiały. Kiedy już się piekły, stary Toug powiedział:

– Twój pies wyglądał jakoś inaczej. Pewnie w blasku ognia.

– Nie – odparłem.

– To wciąż twój pies? Skinąłem głową.

– Pytałeś, czy chciałem, żeby mój chłopak był taki jak ja, czy ja chciałem znowu zostać chłopcem. Wtedy chciałem, żeby był taki jak ja, ale teraz chciałbym być nim. – Westchnął.

Powiedziałem mu, że jeszcze całkiem niedawno sam byłem chłopcem.

– Wiem, co masz na myśli.

– Kiedy odkryłem, że zostałem zmieniony w mężczyznę, przestraszyłem się, ale później tak się ucieszyłem, że zacząłem skakać i wrzeszczeć. Dzisiaj chętnie cofnąłbym czas, gdybym mógł.

– No właśnie.

– Opowiadałem ci o tym, jak z twoim synem udaliśmy się do Aelfrice. Spotkaliśmy tam Disiri i zabrała mnie do siebie. Będąc chłopcem, spędziłem całe lata w Aelfrice, ale kiedy stamtąd odszedłem, nie pamiętałem, co się tam wydarzyło, i wyglądałem tak samo jak wtedy, kiedy tam przyszedłem. Przez wszystkie te lata ani trochę się nie zmieniłem.

– Tak bywa – mruknął stary Toug.

– Kiedy byłem sam i czekałem, aż Disiri powróci z twoim synem, zacząłem coś sobie przypominać. Teraz już nie pamiętam, co to było, ale pamiętam, że sobie przypominałem. Rozumiesz, co mam na myśli? To były dobre wspomnienia. Byłem tam szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy.

– Powinieneś był tam zostać i przypomnieć sobie więcej.

– Nie zamierzałem odchodzić. Ale chyba się mylisz. Straszne rzeczy zaczęły się wyłaniać z zakątków mojego umysłu. Może właśnie dlatego szukałem Disiri. Chciałem, żeby mnie uspokoiła. Żeby mi powiedziała, że wszystko jest w porządku.

Nagle usłyszałem nowy głos:

– Tego nie potrafię, ale mogę zająć się ojcem. Obejrzałem się i zobaczyłem Ulfę.

– Szłaś za nami, co? – powiedział stary Toug. – Domyślałem się, że tak zrobisz. Matka cię nie upilnowała?

– Wysłałam, kiedy zajmowała się Ve, tatku. Nawet jej nie pytałam. – Odwróciła się do mnie. – Śmiertelnie wystraszyłeś biednego Ve.

Odpowiedziałem jej, że nie miałem takiego zamiaru. Chciałem go tylko przestraszyć na tyle, żeby wykonał moje polecenie, bo nie miałem pieniędzy, a nie wiedziałem, jak inaczej powstrzymać go przed ostrzeżeniem rozbójników.

– Może wystarczyło być uprzejmym.

– Pewnie tak.

Stary Toug chyba nas nie słuchał, a jeśli nawet, to niezbyt uważnie, bo w tym momencie powiedział:

– Złoto, Ulfo! Prawdziwe złoto! W pieczarze jest skarb. Zobaczysz.

– A czy sir Able zechce się nim podzielić?

– Tak – powiedziałem. – Jeśli będzie się czym dzielić.

– Wiesz, Ulfo, zabiłem dwóch z bandy Jera – rzucił stary Toug. – Dwóch! Dasz wiarę?

Westchnęła i pokręciła głową.

– Po drodze wciąż się potykałam o kolejne ciała, tatku. A szłam długo. Skoro więc ty zabiłeś tylko dwóch, to sir Able musiał ich zabić ze dwudziestu.

Powiedziałem jej, że Gylf zabił ich więcej niż ja z Tougiem razem wzięci.

– To jego pies – wyjaśnił stary Toug. – Ja zabijałem i biegłem, zabijałem i znowu biegłem, a potem wpakowali mi strzałę w nogę. I powiesili na drzewie. On mnie odciął i rozwiązał. Przyniósł mi wody i w ogóle. – Z oczu Touga popłynęły łzy, mocząc jego potargane włosy. – Mówiłem mu, żeby poszedł. Mówiłem, że znajdzie złoto. A on został. Został tutaj ze mną.

Po raz ostatni obróciłem króliki na ruszcie, zdjąłem z ognia i pomachałem nimi, żeby je ostudzić. Ulfa i stary Toug nic nie mówili, ale widziałem, jak na nie patrzą, tak więc gdy tylko to było możliwe, oderwałem tylną łapę jednego z królików i podsunąłem staremu Tougowi, ostrzegając go, że mięso jest wciąż gorące.

– A ty, Ulfo? Też musisz być głodna.

Skinęła głową, więc dałem jej drugą tylną nogę. Kiedy zaczęliśmy jeść, zapytała:

– Nie potrzebujesz pieniędzy? Wytarłem usta wierzchem dłoni.

– Pewnie, że tak. Bardziej niż ty czy twój ojciec. Teraz mam dużo strzał i dobry łuk. I nóż, którym oparłem te króliki i psa. Ale potrzebuję wszystkiego tego, co powinien mieć rycerz. Rumaka, na którym bym walczył. Dobrego konia pod wierzch, na którym bym jeździł na co dzień, a także jucznego konia, który by woził wszystko to, czego nie mam. – Wysiłem się na uśmiech, żeby jej pokazać, że wcale mnie to nie smuci. – Nawet taki koń, na którym rycerz w ogóle nie jeździ, kosztuje pewnie fortunę. A ja nie mam nic.

– Rozumiem. – Ulfa pokiwała głową.

– Pamiętasz Svona, opowiadałaś, jaki był wystrojony. Powiedział mi kiedyś, że rumak taki jak Czarnogrzywy kosztuje tyle, ile dobre pole. Svon nie zawsze mówił prawdę, lecz myślę, że tym razem nie kłamał. A oprócz

trzech koni powinienem jeszcze mieć kolczugę, dobrą tarczę i z pięć albo sześć kopii.

Ulfa ponownie skinęła głową.

– I dwór dla swojej damy.

– Moja dama ma własne królestwo. Ale masz rację, nie mam nawet tyle ziemi, żeby uprawiać rzepę. – Tym razem uśmiechnąłem się szczerze, bo pomyślałem, jak dobrze jest mieć dwoje przyjaciół, z którymi można porozmawiać przy dobrym jedzeniu po tym wszystkim, co się wydarzyło tamtego dnia. – Przydałby się też taki sztylet, jakie noszą rycerze, i może jeszcze topór wojenny. – W tym momencie znowu zobaczyłem Disirę z włosami we krwi. – Nie, maczuga. Maczuga z kolcami. Ale o dworze i wszystkim innym nie mam nawet co myśleć. Ucieszyłbym się, gdybyś zechciała uszyć mi nową koszulę.

– Spróbuję. A miecz? Kiedy szylaś ci tamtą koszulę, mówiłeś, że tego ci właśnie trzeba.

Pokręciłem głową.

– Ktoś tego pilnuje. Nie byłoby mądrze rozmawiać o tym. Skończyliśmy drugiego królika i ułożyliśmy się do snu. Wkrótce rozległo się chrapanie Ulfy i starego Touga, lecz ja jeszcze nie spałem, kiedy wrócił Gylf w z łanią w pysku, tak więc przez następną godzinę leżałem, nasłuchując chrzęstu łamanych kości.

Wstał świt. Obudzony pierwszym brzaskiem, usiadłem i przetarłem oczy. Gylf, który leżał przy mnie, wydawał się być zwykłym ciemnobrązowym psem, tyle że większym niż wszystkie psy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Udaliśmy się do pieczary rozbójników; szliśmy powoli, ponieważ stary Toug kulał mocno, podpierając się drzewcem włóczni. Kruki już zajęły się ciałami rozbójników, które mijaliśmy po drodze, mimo to Ulfa pozbierała z nich całe srebro i złoto, jakie mogła im zabrać, i zebrała je do skórzanej sakiewki. Sakiewka, choć nieduża, stała się dość ciężka, kiedy dotarliśmy do pieczary. Też bym tak pewnie zrobił, gdybym musiał, chociaż by mi się to

nie podobało. Nie miałem ochoty nawet patrzeć na nich.

– Teraz rozumiem, dlaczego ludzie zostają rozbójnikami – powiedziałem, kiedy mi pokazała swój łup – ale skoro mogą zdobyć aż tyle, grabiąc ludzi na drodze, to ile może zdobyć rycerz na dobrej wojnie?

Uśmiechnęła się.

– Dwór, sir Able, i dwadzieścia zagród. Stary Toug prychnął.

– Grot piki w bebechach.

U wejścia do pieczary zastaliśmy popioły licznych ognisk; dokoła walały się kości, zepsute jedzenie i puste bukłaki. W środku znaleźliśmy grube płaszcze zimowe zawinięte w naoliwiony pergamin, a także rzucone bezładnie inne ubrania, mocno podeptane. Były też koce, głównie z szorstkiej, ale gęstej i dobrze zbitej wełny leśnego bydła.

Dalej ujrzelśmy stos srebrnych talerzy i kubków, całkiem dobre siodła i derki, uprząże z najlepszej skóry zdobione srebrnymi guzami, sztylety (wziąłem jeden), czterdzieści albo i więcej par wyszywanych rękawic, róg myśliwski z zielonym, aksamitnym sznurem, a także złamany miecz, który trudno było zobaczyć, ponieważ w pieczarze było ciemno, a on leżał między kamieniami. Ulfa go znalazła, a ja wziąłem miecz od niej i wyszedłem na zewnątrz, by mu się lepiej przyjrzeć. Rękojeść zakończona była złotą głową lwa, a na brzeszczocie tuż pod gardą zobaczyłem wyryte imię Lut.

Zapłakałem na ten widok.

Pouk

– Muszę się dostać do Forcetti – zwróciłem się do marynarza. – Potrafisz powiedzieć, czy któryś z tych statków tam płynie? – Wcześniej odwiedziłem dom Scaura, ale łowił ryby, a Sha mnie nie poznała i bała się ze mną rozmawiać.

Marynarz przyjrzał mi się uważnie, po czym dotknął swojej czapki.

– Spróbuj „Zachodniego Kupca”, sir.

Kiedy patrzył na mnie, zauważyłem, że nie widzi na jedno oko; miał wciąż gałkę oczną, jeśli wiesz, o co mi chodzi, lecz przypominała ona białą część usmażonego jajka. Za to spodobało mi się jego drugie oko. Nie przestraszył się mnie, ale widziałem, że nie szuka zaczepki i nie chce mnie okłamać. Chyba nikt jeszcze na mnie tak nie spojrział od momentu, kiedy wyszedłem z lasu.

– Jesteś pewny, że płynie do Forcetti, miasta księcia Mardera? – zapytałem.

– Nie wiem, sir, ale to jedyny statek w porcie, który mógłby tam popłynąć. A to zależy od tego, co tu znajdą, a ty byłbyś tego częścią, sir.

Zastanawiałem się przez chwilę nad tym, co powiedział, i odparłem:

– Potrzebuję twojej rady. Czy za tarczyna udzielisz mi najlepszej rady, na jaką cię stać?

Ponownie dotknął czapki.

– I zaniosę twój bagaż na pokład, sir. A co chcesz wiedzieć?

– Ile powinienem zapłacić, żeby nakłonić kapitana do popłynięcia do Forcetti?

Podrapał się po głowie.

– To zależy, sir. A mógłbym zobaczyć kolor tego tarczyna? Wyjąłem monetę i pokazałem mu ją.

– Chcesz spać na pokładzie, sir?

Od momentu przybycia do Mythgarthru często spałem pod gołym niebem, czasem przy ognisku, a czasem nawet i bez niego, ale miałem dwa koce z pieczary, więc by mi to specjalnie nie przeszkadzało, bo nie miałem zbyt dużo pieniędzy. Potem jednak razem z Ulfą i starym Tougiem sprzedaliśmy skarby z pieczary i podzieliliśmy się zyskiem. Moja działka była całkiem spora. Tak więc teraz oświadczyłem, że muszę mieć własny pokój, i to z zamkiem.

– W takim razie wystarczyłyby ze trzy takie, jaki mi pokazywałeś, sir, jeśli się dobrze potargujesz. Bo jeśli nie, to będziesz musiał znaleźć oficera, co by się chciał podzielić z tobą kabiną, i rzucić na nią okiem.

Zapytałem go, czy kabina na statku to taki domek do spania, ponieważ myślałem o naszej chacie w Ameryce, ale zaraz wydało mi się, że zauważyłem jedną i pokazałem na nią.

– To jest pokładówka, sir. Kabina, sir, to coś takiego jak pokój na łodzi. Mają je oficerowie. Tylko czasem śpi w niej dwóch albo trzech. Zależy od statku, sir.

– Rozumiem. A gdybym znalazł oficera, który ma kabinę, to myślisz, że zechciałby ją ze mną dzielić?

– Tak, sir. Za odpowiednią opłatą.

– Ile by to kosztowało? Zastanawiał się przez chwilę.

– Za dobrą trzeba by zapłacić kilka beret, sir. Za kiepską może osiem, dziesięć tarczynów, to zależy. Jakoś tak. – Wzruszył ramionami. – Może trochę więcej, może całe berło. I przyniesiesz swoje jedzenie, sir?

– A powinienem?

– Ja bym miał swoje. Dobrze mieć coś na zapas, nawet jeśli powiedzą, że cię dobrze nakarmią, prawda, sir? Zawsze można zjeść później, jak coś zostanie.

Jego słowa wydały mi się całkiem rozsądne.

– Może powiesz mi, co powinienem zabrać.

– Pójdę z tobą, sir, i pomogę ci kupić. I zaniosę, tak jak powiedziałem. Jesteś wojownikiem, sir? Wyglądasz na takiego.

– Jestem rycerzem – odpowiedziałem. Zawsze tak mówiłem, ponieważ wiedziałem, że ludzie nigdy mi nie uwierzą, jeśli sam w to nie uwierzę. – Jestem sir Able Wielkie Serce.

Marynarz dotknął czapki.

– Pouk Badeye, sir. Do usług.

Podaliśmy sobie ręce, tak jak tam mają w zwyczaju robić, to znaczy nie potrząsaliśmy nimi, a tylko je uścisnęliśmy. Jego dłoń była twarda jak drewno, za to moja była większa i silniejsza.

– Wojownik może dostać lepszą cenę, sir, bo pomaga ochraniać statek – wyjaśnił Pouk. – Tylko ja bym najpierw się postarał o miecz.

Potrząsnąłem głową, wracając myślami do Disiri.

– Masz go tam, gdzie się zatrzymałeś, sir?

– Nie – odparłem. – I nie zamierzam go tutaj kupować. Może topór. – Wiesz, o czym pomyślałem, gdy tylko to powiedziałem, tak więc dodałem: – Albo coś takiego. – Wiedziałem, że zabrzmiało to głupio.

– Dzisiaj w Irringsmouth został już tylko Mori, ale to dobry płatnerz. Zaprowadzę cię do niego.

– W takim razie idźmy. Muszę też kupić jedzenie.

– Suszone, sir, i wędzone. Jabłka są dobre i łatwo je kupić o tej porze roku. I cienkie piwo. Nie zepsuje się w beczułce jak woda, sir.

– Wino?

– Załoga zwędzi, sir, chyba że będziesz pilnował dzień i noc. – Pouk wsadził kciuk do ust, udając, że pije.

– Dużo wiesz na ten temat – powiedziałem.

– Ze niby sam tak robiłem, sir? Nie. – Patrząc na niego, uznałem, że jego zaprzeczenie jest szczere. – Czy mogę zapytać, dlaczego płyniesz do Forcetti,

sir? To nie moja wachta, tak pytam z życzliwej ciekawości, sir.

– Zamierzam oddać się na służbę u księcia Mardera, jeśli to będzie możliwe. Będzie mu potrzebny inny rycerz, a jeśli nie, to może wskaże mi kogoś, kto go potrzebuje.

– No, jest Mori, sir. – Pouk wskazał na długą, ciemną szopę z kilkoma kominami, z których snuł się dym. – Tutaj mógłbyś kupić dobry miecz...

– Nie.

– Albo topór, sir. Cokolwiek zechcesz. Zobaczyłeś coś, sir? Zaprzeczyłem, nie wiedząc, czy zobaczyłem, czy też nie.

– Jakoś tak drgnąłeś.

Udałem, że nie słyszałem, co powiedział, i wszedłem do frontowego pomieszczenia Moriego. Było duże i ciemne, zagracone stołami, na których rozłożono zbroje i broń. Reszta wisiała na ścianach – miecze, sztylety, noże wszelkiego rodzaju, topory wojenne, półtopory, młoty morgensterny, nabijane ćwiekami cepy. Hełmy, które zakrywają całą głowę, i hełmy, które nie zakrywają twarzy. Kolczugi, rękawice i inne części zbroi. Płaszcz ze skóry dzikiego wołu, kamizele z nabijanej ćwiekami skóry, kaftany z pikowanego płótna i wiele innych rzeczy, których nie zdołałbym wymienić, nawet gdybym potrafił je nazwać. W kątach stały wiązki kopii, pik, włócznie i halabard. Za szerokimi drzwiami w drugim końcu pomieszczenia dwaj krzepcy mężczyźni w skórzanych fartuchach pracowali w pocie czoła – jeden trzymał w szczypcach rozżarzoną sztabę, drugi zaś uderzał w nią młotem.

Po pewnym czasie starzec, który ich obserwował, zauważył nas.

– Rycerz, jak widzę. To dla nas zaszczyt, sir...?

– Able Wielkie Serce. Czy wolno mi zapytać, sir, jak poznałeś, że jestem rycerzem? Po stroju?

Starzec pokręcił głową.

– Po postawie, sir Able. A w szczególności po twoich barach. Przyznam, że dzisiaj nazywa się niektórych rycerzami, ale nigdy bym nie zgadł. – Westchnął. – Za moich czasów rycerze strzegli brodów. Pomagali biednym

podróżnym i walczyli z innymi rycerzami, którzy chcieli się przeprawić przez rzekę.

– Chyba o tym nie słyszałem – powiedziałem.

– Ten zwyczaj zaginał już ze trzydzieści lat temu. A był dobry, bo odsiewał oszustów. Dla mnie to były dobre czasy, bo przynosili miecze i zbroje.

Pouk uśmiechnął się pod nosem.

– Pewnie domagali się wynagrodzenia za ocalenie, sir?

– A jakże, marynarzu. I wciąż tak jest w walkach rycerskich. Zwycięzca zostawia pokonanemu ubrania i podjezdka, żeby mógł wrócić do domu. Ale zatrzymuje zbroję i broń. A także rumaka, jeśli przeżył, a zwykle tak jest. No i jego rządy – siodło, uzdę i całą resztę. Często też bierze okup. A teraz, jeśli chcesz coś kupić, mój pomocnik zajmie się tobą.

– Jestem z sir Able'em. Jego sługa, tak jakby. Rzecz w tym, mistrzu Mori, że próbuje go namówić, coby kupił sobie miecz. Nie ma żadnego i mówi, że nie chce żadnego, no to go przyprowadziłem do ciebie.

Wyjaśniłem, że spodziewam się otrzymać miecz z innego źródła i szukam czegoś innego, czym mógłbym walczyć do tego czasu.

– To nie to samo! Kapitan „Zachodniego Handlarza” nie uwierzy, że jesteś rycerzem, sir, jeśli nie będziesz miał miecza.

– Nie wszystkie miecze u mnie są drogie, sir Able – rzekł Mori. Pokażę ci udany miecz z dobrą, prostą rękojeścią...

Przerwałem mu gestem uniesionej dłoni.

– Powiedzmy, że ślubowałem nie nosić miecza. – Kolejne słowa przyszły mi z trudem, lecz wydusiłem je z siebie. – Topór byłby bardziej przydatny na statku. Czyż nie tak?

Mori patrzył na mnie zamyślony.

– A czy ten ślub wyklucza posługiwanie się bułatem? Mam doskonały egzemplarz.

– Nie składałem przysięgi. Zmyśliłem to. Chciałem tylko, żebyście z

Pukiem spróbowali zrozumieć, jak to wygląda z mojej strony. Jeśli teraz przyjmę miecz, nie dostanę tego, który mam nadzieję otrzymać, a jeśli go nie dostanę, to nie zobaczę osoby, która być może mi go podaruje. A zatem żadnych mieczy. Absolutnie żadnych. Nie możesz pokazać mi swoich toporów? A co powiesz o tym z podwójnym ostrzem i żółtym chwastem?

– To nie topór, tylko miecz! – oburzył się Pouk. Oczy Moriego rozbłysły pod krzaczastymi brwiami.

– A co powiesz na to? – Broń miała długi trzon i wąski brzeszczot. Podniosłem ją i zamachnąłem się nad głową. – Z jednej strony tnące ostrze, z drugiej młot, a zatem mamy topór i maczugę w jednym.

– Jeśli powiem, że jesteś rycerzem, a kapitan zobaczy cię z czymś takim, to jego śmiech zdmuchnie nas aż na brzeg!

Mori położył dłoń na moim ramieniu.

– Sir Able, wysłuchasz cierpliwie, co ma do powiedzenia starzec? Nie jestem rycerzem, ale mogę się poszczycić długim doświadczeniem w tych sprawach.

Odpowiedziałem, że chętnie go wysłucham, ale nie chcę miecza.

– A ja nie będę cię do niego namawiał. Wysłuchaj mnie, a przedstawię ci inną broń, która choć nie jest mieczem, w niektórych sytuacjach jest równie dobra jak miecz, a w innych nawet lepsza.

Skinąłem głową.

– Mów dalej.

– Pozwól, że wpierw wypowiem się na temat przydatności miecza i topora. Topór jest podobny do maczugi w tym sensie, że najlepiej się sprawdza przeciwko grubej zbroi. Rozłupie tarczę – czasem – w dłoniach męża tak silnego jak ty. Ale kiedy dojdzie do walki z kimś, kto walczy w lekkiej zbroi lub też w ogóle jej nie posiada, wtedy przeciwnik zabije cię w mig, o ile ma dobry miecz i potrafi się nim posługiwać. Jeśli zaś chodzi o młot wojenny, to byłby on bardzo przydatny w rękach jeźdźca walczącego przeciwko innemu jeźdźcowi. Natomiast komuś, kto walczy pieszo – kto

znajduje się na pokładzie statku na przykład – bardziej przyda się wiosło albo drąg.

Pouk wydal pomruk zadowolenia.

– Twój człowiek ma rację w tej kwestii także w sensie społecznym, bo miecz to bezwzględnie broń człowieka szlachetnie urodzonego. Ten, kto go nosi i kto spotyka innego podobnie uzbrojonego, którego nie uważa za dżentelmena, może go wyzwać i tak dalej.

Przytaknąłem mu, udając, że wiem, o czym mówi.

– Czy wolno mi przedstawić hipotetyczną sytuację? Dla dobra naszej dyskusji tylko założmy, że razem z twoim człowiekiem uknuliśmy spisek, aby przemyścić do twojego bagażu miecz. Miecz tak przemyślnie ukryty, że ani ty, ani nikt inny by go nie zobaczył. Jaki miałbyś z niego pożytek, kiedy już znajdziesz się na pokładzie statku?

– Żaden. Wyrzuciłbym go do wody, gdybym go znalazł. Pouk jęknął cicho, a Mori dodał cierpliwie:

– Zanim byś go znalazł, sir Able.

– Gdybym nie wiedział, że go mam, nie zrobiłbym z niego żadnego użytku.

– A czy kapitan i załoga nie uznają się za rycerza? Wzruszyłem ramionami.

– Uznają, ale nie na podstawie miecza, którego nie widzieli.

– No właśnie. Chodzi o to, żeby zobaczyć miecz – dostrzec go, to się liczy. Nie sam miecz. Spójrz tutaj. – Mori pokuśtykał w głąb pokoju i wziął ze stołu najdalej oddalonego od drzwi bogato zdobioną pochwę powleczonej białą skórą płaszczki, w której spoczywała broń z rękojeścią z kutego żelaza.

– Co ja tu mam, sir Able?

Wiedziałem, że szykuje jakąś sztuczkę, lecz nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, powiedziałem więc:

– Wygląda jak miecz. Powiedziałbym, że z tych krótszych, a sądząc po tym, jak go podniosłeś, nie jest ciężki. Ma pewnie wąski brzeszczot. –

Zamilkłem i czekałem, aż coś powie, lecz gdy nic takiego się nie stało, zapytałem: – Gdzie tu podstęp?

Moru zarechotał.

– Jeśli chodzi o wagę, to nie jestem aż taki słaby, na jakiego być może wyglądam w oczach kogoś w twoim wieku, a poza tym wykułem niejednego brzeszczot.

Pouk podszedł do stołu, żeby obejrzeć broń.

– Mówisz, że to nie jest miecz?

– Nie jest. – Mori przyniósł do mnie broń wciąż schowaną w pochwie.

– To jest buzdygan Lothuringów, którzy mieszkają tam, gdzie zachodzi słońce. Wątpię, by ktoś miał drugi taki po tej stronie morza. Wyjmiesz go, sir Able?

Wyjąłem. Ciężka stalowa głowica, podzielona na cztery części, była tylko trochę szersza niż grubsza, a jej krawędzie nigdy nie były ostrzone.

– Kiedy dostał się w moje ręce – powiedział Mori – uznałem go za najdziwniejszą broń, jaką kiedykolwiek widziałem. Ale potem wykopałem stary, duży hełm, wgnieciony i z zepsutym zapięciem, ale wciąż mocny i dobry. Nałożyłem go na pal i wypróbowałem na nim buzdygan – i wtedy uwierzyłem. Dwa berła w złocie, jeśli chcesz go kupić.

Spojrząwszy na mnie, szybko skorygował cenę.

– Albo berło i dziesięć tarczynów, jeśli obiecasz, że wrócisz tu i opowiesz, jak ci służyła.

– Bierzemy! – oświadczył Pouk.

„Zachodni Kupiec”

– Ten oto mąż to sir Able Wielkie Serce – zwrócił się Pouk do bosmana „Zachodniego Kupca”. – On i ja chcemy popłynąć do Forcetti.

Bosman dotknął palcami grzywki.

– I życzysz sobie pewnie kabiny, którą byś z kimś dzielił, sir? Powiedziałem, że najpierw chciałbym obejrzeć kabinę. Zimny szkwał, który nawiedził port, aby obwieścić nadejście jesieni, skłonił mnie wcześniej do nasunięcia kaptura nowego płaszcza i teraz gwałtowna ulewa zmoczyła go, a „Zachodni Kupiec” szarpnął się na cumach, kołysząc się i drżąc, żebyśmy wiedzieli, jak się czuje.

– Idź za mną, sir.

Bosman odwrócił się i zaczął schodzić po wąskich, stromych schodach. Kazałem Poukowi iść przodem, ponieważ wiedziałem, że jeśli nie zostaną dłużej na świeżym powietrzu, to zwymiotują. Rozglądałem się po statku przez minutę albo dwie – patrzyłem na chwiejące się kasztele z jasno malowanego drewna z przodu i z tyłu statku, na pokładówkę, na kołyszące się maszty z długimi ukośnymi żerdziami, na których rozpina się żagle, teraz zwinięte. Twarz miałem rozpaloną, dlatego chętnie wystawiłem ją na powiew zimnego wiatru. Wiedziałem, że w każdej chwili mogę zwymiotować, i przysięgłem sobie, że jeśli tak się stanie, to każę posprzątać Poukowi.

I zabiję go, jeśli odmówi.

– Sir?

To był on, oczywiście, spoglądający na mnie z dołu schodów.

– Staram się schować łuk przed deszczem – powiedziałem, majstrując przy naoliwionym skórzanym pokrowcu, który zdobyliśmy.

– Kabina jest ciutkę mała – powiedział Pouk.

Nie przesadzał. Kiedy wszedłem do niej za Poukiem i bosmanem, trudno było się obrócić.

– Tu jest moja koja, sir. – Bosman usiadł na koi, robiąc nam trochę więcej miejsca. – Górna będzie twoja.

Górna koja była brudna i rozpaczała smród, który był wszechobecny pod głównym pokładem.

– Kajuta kapitańska jest obok – wyjaśnił z dumą bosman. – Poza nią, ta tutaj to najlepsze miejsce na tym statku.

Pouk, odwrócony plecami do bosmana, zgiął palec i puścił do mnie oko.

– Ktoś śpi na tej koi. Kto to jest? – zapytał.

– Nasz drugi, sir, Nur się nazywa.

– Skoro mam mu zabrać łóżko, to powinienem targować się z nim.

Pouk wyszczerzył zęby zadowolony.

– Ja tu rządzę, sir – odparł bosman wyraźnie rozgniewany. – I nie będziemy się targować. Dwa...

Ponieważ już podjąłem decyzję, nie pozwoliłem mu dokończyć.

– Masz rację. Nie będziemy się targować. Nie spałbym tu, nawet gdybyś mnie zamknął na klucz. Pokaż mi kajutę kapitana.

– On sam to może zrobić. – Bosman wydawał się jeszcze bardziej rozzłoszczony.

– W takim razie chodźmy do niego. – Zapadła niezręczna cisza i dopiero po chwili zorientowałem się, że muszę opuścić kabinę, zanim będą mogli to zrobić Pouk i bosman. Wszedłem więc, uderzając głową o futrynę małych drzwi i wykręcając się bokiem. W całym tym bolesnym zamieszaniu zapomniałem na chwilę, że jest mi niedobrze.

Kiedy wyszliśmy z powrotem na pokład, bosman walnął (nieśmiało, jak mi się wydało) w drzwi kapitańskiej kajuty, podczas gdy ja łykałem długie hausty zimnego, przesyconego solą powietrza.

– Kapitanie?

Nikt nie odpowiedział. Pogoda była coraz gorsza i wiatr chlusnął mi deszczem w twarz, co przyjąłem z wdzięcznością.

– Kapitanie, sir? – Bosman grzmotnął w drzwi ponownie, trochę mocniej.

– Ostrożnie z pieniędzmi – szepnął Pouk.

Drzwi kasztelu dziobowego otworzyły się i przez chwilę ujrzałem w nich brudną twarz mężczyzny w średnim wieku o mętym spojrzeniu. Zaraz potem drzwi się zamknęły.

– Musicie przyjść później – oznajmił bosman wyraźnie zadowolony. – Jutro.

Odsunąłem go na bok i uderzyłem w drzwi. Kiedy kapitan znowu się pojawił z twarzą czerwoną z wściekłości, pchnąłem go do tyłu i wszedłem do środka.

Po kabynie bosmana ta wydawał się bardzo przestronna; długa na dobre cztery kroki i szeroka na trzy, była wyższa i miała trzy okna. Wskazałem na jedno z nich i powiedziałem:

– Otwórz je!

Kapitan (nagi) gapił się tylko na mnie, lecz Pouk pospiesznie wykonał moje polecenie.

– Widzę tylko jedno łóżko – powiedziałem. – Gdzie będziesz spał?

– Jesteś rycerzem? – Kapitan wziął spodnie z przykręconego do podłogi krzesła.

– Tak. Jestem sir Able Wielkie Serce.

– Wątpię. – Kapitan usiadł na jedynym łóżku w kajucie. – Nigdy o tobie nie słyszałem.

– Byłbyś mądry, gdybyś zachowywał się, jakbyś słyszał – odpowiedziałem mu. Wtedy już zaczynałem łapać, jak ci ludzie rozmawiają.

– Chcesz podróżować w mojej kajucie – prychnął. – Tak mówił Megister Kerl.

– I jeszcze raz tak. Do Forcetti.

– Jeśli na to pozwolę – wycedził powoli kapitan – to będzie cię to

kosztowało siedem złotych bereł. I to z dobrego złota. Płatne z góry i ani miedziaka mniej. Mógłbyś zawiesić hamak tam, ale na morze, deszcz i wiatr – zdejmiesz go raniutko, zanim siądę do śniadania.

Kerl, który wszedł chwilę wcześniej i stanął za mną, zachichotał. Kapitan wstał i zapiął pas.

– Bo inaczej, sir Able Nieśmiała Bździna, pokażę ci, jak należy słuchać rozkazów kapitana. Póki co, nie dostaniesz mojej kabiny. Masz tyle czasu, żeby zdążyć zwinąć żagle i zmyć się z mojego statku. – Wyjął spod materaca zakrzywiony miecz Osterlingów. – Albo wrzucimy cię do zatoki.

Chwyciłem go za nadgarstek lewą ręką, prawą zaś zacisnąłem na gałce rękojeści jego miecza. Zanim zdołałem mu go wyrwać, cios Kerla obrócił mnie do polowy.

Miecz wysunął się z dłoni kapitana. Uchyliłem się przed kolejnym ciosem i sam uderzyłem Kerla w pierś. Wciąż pamiętam ten odgłos, podobny do uderzenia drewnianego młota w palik namiotu. Wykorzystałem chwilę i wyrzuciłem miecz kapitana przez okno.

Gdy miecz zniknął za oknem, jego właściciel rzucił się na mnie, rycząc jak byk. Uciszył się, kiedy go uderzyłem. Upadł na podłogę, a ja go podniosłem i wypchnąłem za okno głową na zewnątrz, przytrzymując tylko za kostkę u nogi.

– Sir Able? Sir Able...

Spojrzałem w dół na kapitana. Grzywiasta fala obmyła mu właśnie twarz.

– Pouk, ty byś tak nie postąpił, będąc na moim miejscu, co? Pomagam mu stąd wyjść. Zmyło mu głowę, ale woda go trzeźwi, tak że poczuje się lepiej.

– Mam jego nóż, sir Able. To znaczy bosmana. Trzymał go za pasem, a jakże. Pewnie nie zauważyłeś, sir.

– Jasne, że zauważyłem. – Wziąłem od niego nóż i spojrzałem na niego. – Oddaj mu go. Należy do niego.

Pouk spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

– Może lepiej do wody, sir. Ma kłopoty z oddychaniem, ale wyjdzie z

tego, sir.

– Nie próbował mnie nim dźgnąć – powiedziałem do Pouka – pozwolę mu więc go zatrzymać.

– Wsadzi ci go w plecy, sir, jak nic.

– Ni-nie – wysapał Kerl.

– Dał nam słowo, Pouk. – Spojrzałem na kapitana, który zaczął wymachiwać ramionami i prychać. Kolejna fala wyrznęła jego głową o burte statku. – Jego słowo nam wystarczy.

Spojrzałem do tyłu na bosmana.

– Megister Kerl.

– Tak, sir? – wyrzucił z siebie Kerl, dysząc.

– Mój bagaż jest tam, gdzie go wyładował Pouk. Jest tam też łódkarz, który czeka na pieniądze. Zapłać mu i pomóż Poukowi przynieść tu moje rzeczy.

– Tak jest, sir.

Pouk już zdążył wyjść z kajuty. Kerl dźwignął się na nogi i podążył za nim.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, wciągnąłem do środka kapitana.

– Wstawaj – rozkazałem mu. – Może będę musiał znowu ci przyłożyć.

Spróbował wstać, lecz zaraz opadł na podłogę. Podniosłem go i wrzuciłem na stół.

– Możesz mówić?

– Nic mi nie jest. Tylko trochę kręci mi się w głowie. Przejdzie.

– Lepiej to ustalmy, zanim tamci dwaj wrócą – powiedziałem. – Będę tu spał, sam, przez całą drogę do miasta księcia Mardera.

– Tak jest, sir – wymamrotał.

– I jeszcze jedno. Nie mów do mnie „sir”. Pozwoliłem na to Poukowi, a teraz zrobił to też twój bosman. Ale ty masz się do mnie zwracać „sir Able Wielkie Serce”. Masz odpowiadać: tak, sir Able Wielkie Serce. Będę bardzo uważnie słuchał ostatnich dwóch słów. – Nic nie odpowiedział, dodałem

więc: – Pokaż, że mnie zrozumiałeś, albo znowu wyjdiesz oknem.

– Tak, sir Able Wielkie Serce. – Kapitan wyprostował się. – Doskonale rozumiem, sir Able Wielkie Serce.

– Doskonale. Zapłacę ci za ten pokój trzy berła, kiedy dotrzemy do Forcetti. Pod warunkiem, że dostanę najlepsze jedzenie, na jakie cię stać, a ty i twoi ludzie będziecie mnie traktować tak, jak powinno się traktować rycerza. Przekonaj mnie, że i to dobrze zrozumiałeś.

– Tak jest, sir Able Wielkie Serce. – Stał na niepewnych nogach, trzymając się rękoma małego stołu, który był przykręcony do podłogi, jak prawie wszystko inne. – Doskonale zrozumiałem, sir Able Wielkie Serce.

– Jeśli jedzenie nie okaże się zbyt dobre, a ty i twoi ludzie będziecie mnie przezywać za moimi plecami, zacznę odejmować od tych trzech berel. Zastanowię się, jak dużo, i...

Ktoś zastukał do drzwi.

– Zaraz!

Odwrociłem się do kapitana.

– Zrozumiałeś, co ci powiedziałem? Odnośnie odejmowania? Odpowiedz wyraźnie.

– Zrozumiałem, sir Able Wielkie Serce. Możesz na mnie liczyć, sir Able.

– Zobaczymy. – Czuję się parszywie i wydawało mi się, że zaraz zwymiotuję. – Wyprowadzisz się od razu. Zbierz swoje rzeczy – ubrania i przedmioty osobiste. Zostaw koce. Kiedy już stąd wyjdiesz, nic cię nie powstrzyma przed tym, żeby zebrać załogę i rozdać im wszystkie noże i kije, jakie tu macie.

Spojrzał na mnie przestraszony, co mi się spodobało.

– Ale pamiętaj o jednym. Nie wystarczy powiedzieć im, żeby na mnie napadli. Musisz ich poprowadzić. – Otworzyłem drzwi. – A teraz znikaj stąd.

Kiedy Pouk i Kerl przynieśli moje bagaże, także wyrzuciłem ich z kabiny, wypychając Pouka – który chciał porozmawiać – za drzwi, po czym zasunąłem żelazny skobel. A zaraz potem zwymiotowałem przez okno.

Kiedy już było po wszystkim i posprzątałem, poczułem się znacznie lepiej niż przez cały czas od chwili, kiedy wsiadłem do dużej łodzi, którą przypłynęliśmy na pokład „Zachodniego Kupca”. Zanim zacznę opowiadać dalej, powinienem opowiedzieć ci o statkach i okrętach (które różnią się od statków, o czym wtedy nie wiedziałem), a także o handlu przybrzeżnym i handlu na pełnym morzu. Niestety, prawda jest taka, że niewiele wiem na te tematy. Dla nich „Zachodni Kupiec” był wielkim statkiem; tylko te największe miały trzy maszty. Latem płynął na zachód, zgodnie ze swoją nazwą, i handlował między wyspami. Zimą zaś handlował wzdłuż wybrzeża Celidonu, tak by mógł się schronić do portu, kiedy psuła się pogoda, starając się utrzymywać kierunek południowy.

Kraj Osterlingów znajdował się na wschód od nas, oni jednak wyprawiali się wybrzeżem na południe, zachód i północ, grabiąc i mordując. Księżę Indign próbował ich powstrzymać, lecz go zabili i zburzyli jego zamek, a potem splądrowali i spalili okolice Irringsmouth.

Na kotwicy

Następnego ranka statek kołysał się i podskakiwał mniej więcej tak samo jak w nocy i poprzedniego dnia, lecz kiedy wyskoczyłem z łóżka (męczył mnie sen, od którego chciałem się uwolnić), poczułem się świetnie i stwierdziłem, że jestem tak głodny, iż zjadłbym starego buta. Wyjrzałem przez okno i zorientowałem się, że wciąż stoimy w porcie, a odgłosy, które mnie obudziły, wskazują na to, że załoga ładuje na pokład coś bardzo ciężkiego i nie przychodzi jej to łatwo. Słysząc było uderzenia, szurania, trzaski i stukot bosych nóg, a także liczne krzyki. Rozlegał się też dziwny pisk, który, jak sądziłem, mógł być odgłosem ptaka.

Za to poprawiła się pogoda; był to jeden z tych jesiennych słonecznych dni, kiedy czując na twarzy ciepły wiatr, chcesz pograć w piłkę. Wyobraziłem sobie, że mam na to ochotę, wiedząc, że z takimi nogami i barami mógłbym teraz grać dla drużyny Wikingów. Ubrałem się i przypiąłem ten zagraniczny buzdygan, który kupiliśmy u Moriego. Miał taki sam pas jak pas na miecz. Sprawdziłem łuk i kołczan. Prezentowały się dobrze, lecz ostatecznie uznałem, że zostawię je w kajucie razem z płaszczem. Kiedy wcześniej dręczyły mnie złe sny – a zdarzało się to niemal każdej nocy – działo się tak za sprawą cięciwy Parki. Teraz spoczywała w futerale na łuk, który złożyłem w przeciwległym końcu kajuty, choć podejrzewałem, że nie jest to dostatecznie daleko.

Kiedy wyszedłem na pokład, zobaczyłem, że marynarze wyładowują skrzynie, beczki i pudła z barki o kanciastym dziobie z czterdziestoma wioślarzami. Na jej najwyższym maszcie widniała ukośna żerdź z kołem na końcu i przeciągniętą przez nie liną. Mocno obciążone koło skrzeczało

głośniej niż stado mew. W ten sposób dźwigali pojedynczo kolejne ciężary, przynosili je nad luk ładowni i opuszczali.

Przybiegł Kerl i dotknął czapki. Zaraz za nim pojawił się Pouk, na którego widok przypomniałem sobie, że jestem mu winien tarczyna.

– Mam nadzieję, że ten hałas zbytnio ci nie przeszkadzał, sir Able. – Kerl znowu dotknął czapki. – Uznaliśmy, sir, że już pewnie wstałeś, ale nie chcieliśmy cię niepokoić. Zechcesz zjeść śniadanie, sir?

Skinąłem głową, nie przestając się rozglądać.

– U siebie w kajucie, sir?

Z jego pytania wywnioskowałem, że niekoniecznie muszę jeść w kajucie, co uważałem za oczywiste, więc po chwili zastanowienia powiedziałem:

– Nie znam się specjalnie na takich statkach, Megister Kerl. Skinąłem głową przestraszony.

– Macie tu te drewniane kasztele. Z przodu i z tyłu, gdzie mieszkam.

– Mamy, sir. Żeby się bronić, sir, jeśli trzeba walczyć. Ten tu to kasztel rufowy, a tamten dziobowy, sir.

– Czy mają płaski dach? Tak wygląda. – Pomyślałem, że miałbym stamtąd dobry widok na statek i cały port, a także przyjemny wiatr i słońce.

– Tak, sir. – Kerl kiwnął głową. – Stamtąd steruje się statkiem, sir. Tam jest ster.

– I tam właśnie powinieneś być, sir, a nie tu na dole – dodał Pouk.

– Prowadź zatem. Chcę tam wejść.

Pouk poszedł przodem, a Kerl tuż za nim. Niskimi schodami, które oni nazywali zejściem pod pokład, weszli na solidny pokład z drewnianymi ścianami, w których widniały kwadratowe wycięcia pozwalające strzelać z luku albo ciskać włócznią. Zwą się blankami, – widziałem je na murach zniszczonego zamku w Irringsmouth, tyle tylko, że tamte ściany były z kamienia. Na tym pokładzie znajdował się ster, a także magnetyt umieszczony na stojaku przed sterem.

Zastaliśmy tam też kapitana, który popijał cienkie piwo i jadł jajka na

bekonie, świeży chleb i sałatkę z rzodkiewek i kiełków. Podniósł się uprzejmie na mój widok i powiedział:

– Witam, sir Able Wielkie Serce. Ja także go przywitałem.

– Czy mogę się przyłączyć, kapitanie? Nie jadłem jeszcze śniadania.

Kiedy się zgodził, zwróciłem się do Pouka:

– Będę chciał z tobą porozmawiać, jak zjem. Nakarmili cię?

– Tak, sir, jadłem – odpowiedział i dotknął czapki.

– W takim razie przynieś mi krzesło i pogadaj z kucharzem.

– Weź moje, sir Able – wtrącił kapitan. – To będzie dla mnie przyjemność.

Przyjąłem jego ofertę.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, sir, przyniosę inne dla kapitana. Tylko bosman może porozmawiać z kucharzem, sir, i pewnie już do niego poszedł.

Kapitan, niezbyt pewny siebie, powiedział:

– Jeśli jesteś głodny, sir Able Wielkie Serce, skosztuj może czegoś z tego. Zieleninę zostawiłem sobie na sam koniec, a te dwie kromki są nietknięte.

Odpowiedziałem, że poczekam.

– Jeśli wolisz zostać sam, sir Able Wielkie Serce... Odpowiedziałem, że nie.

– Mam wiele pytań i chciałbym ci je zadać, kiedy będę jadł śniadanie, a ty będziesz kończył swoje. Załoga nie potrzebuje cię teraz?

– Przy załadunku? – Kapitan potrząsnął głową. – Megister Kerl może wszystkiego przypilnować równie dobrze jak ja.

– Ale to ty masz lepszą kajutę. Czy raczej miałeś. Kapitan nic nie odpowiedział.

– Wydajesz rozkazy, a Kerl je wykonuje. Czy potrafisz robić coś, czego on nie potrafi?

– Szczerze mówiąc, sir Able Wielkie Serce, z grubsza umie zrobić wszystko i w większości całkiem dobrze. Jestem lepszym nawigatorem, ale Kerl zna się trochę na nawigacji. Pochlebiam sobie, że potrafię zdobyć lepsze

towary na sprzedaż i lepiej handluję. Wątpię, by Kerl zapewnił nam równie dobre dochody, ale jest dobrym żeglarzem.

Zapytałem go o to z powodu mojego snu. Śniło mi się, że znalazłem się głęboko pod pokładem głównym. Było tam bardzo ciemno, lecz w jakiś sposób wiedziałem, że nasza matka wcale nie umarła – była tam w dole, związana i zakneblowana, żeby nikt jej nie usłyszał, i gdybym potrafił ją odszukać, mógłbym ją rozwiązać i przyprowadzić na pokład. Tylko że pod pokładem był też kapitan i miał linę, którą zamierzał mnie udusić. Poruszał się bardzo cicho, próbując zająć mnie od tyłu i zarzucić mi linę na szyję. Ja też starałem się być cicho, żeby mnie nie znalazł, ale wciąż się o coś potykałem albo coś przewracałem.

Tak więc pomyślałem, że może go zabiję, tak jak wcześniej zabiliśmy rozbójników. Był tak miły tego ranka, że zacząłem podejrzewać, iż zna moje myśli. Domyślałem się, że w głębi serca nienawidzi mnie za odwagę i pragnie odzyskać swoją kajutę. Kerl nie stanowił tak dużego problemu, ale nie potrafiłby zawieźć mnie do Forcetti.

Tam pod pokładem był jeszcze oprócz nas ktoś, kto się nie ruszał i nie hałasował, lecz nie wiedziałem, kto to jest.

Pouk wrócił z krzesłem dla kapitana.

– Pościelę łóżko i posprzątam kajutę, jeśli mnie nie potrzebujesz, sir. – Skinąłem głową, a on dodał: – Zawołaj, sir, jeśli będzie ci czego trzeba. Będę tuż pod tobą.

Kapitan usiadł.

– Dobry służący?

Nie potrafiłem powiedzieć, więc odparłem:

– W każdym razie przydatny. Większość życia spędził na statkach, jak mówi. Kiedy wyruszymy?

– Jutro wieczorem, z odpływem, sir Able Wielkie Serce, jeśli to cię zadowoli.

– Dlaczego nie dzisiaj?

– Musimy skończyć załadunek, To znaczy, jeśli pozwolisz, sir Able. Zejdzie nam dzisiaj i jutro, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Wyruszymy, gdy tylko złożymy wszystko bezpiecznie w ładowni. – Nie kontynuował posiłku, czekając, aż przyniosą mi jedzenie.

Powiedziałem, że się nad tym zastanawiałem. Czy mógłby wyruszyć od razu, nie czekając na odpływ? Uniósł ramiona i je opuścił.

– To by zależało od wiatru, sir Able. Dalibyśmy radę, gdyby Ran nam sprzyjał. Niestety, nie zawsze da się przewidzieć wiatr. Za to zawsze wiem, kiedy nadejdzie odpływ, i wiem, że wyniesie nas na pełne morze, jeżeli na to pozwolimy.

Zamilkł i czekał, aż coś powiem, lecz ja myślałem.

– Jeśli chcesz wyruszyć wcześniej, to mogę spróbować, sir Able Wielkie Serce. Ale ostrzegam, że i ryzyko wplynięcia na mieliznę będzie większe.

– Normalnie byś tego nie robił? Kapitan potrząsnął głową.

– W takim razie nie wypływaj jeszcze. Poczekamy na odpływ, tak jak mówisz. Kiedy dotrzemy do Forcetti?

– To będzie zależało od wiatru...

W tym momencie kucharz i jego pomocnik przynieśli moje śniadanie. Wtedy nie wiedziałem zbyt wiele o tym, co się je na statku, lecz Pouk powiedział mi na tyle dużo, że zorientowałem się, iż przynieśli wszystko, co im wpadło do rąk. Kiedy ustawiono na stole liczne naczynia i kucharz wraz z pomocnikiem wrócili do kuchni, kapitan powiedział:

– Przy dobrym wietrze zawiniemy do portu w Forcetti za pół księżyca, sir Able Wielkie Serce. Przy złym, no cóż, nie wiadomo. Za miesiąc. Za dwa. Albo nigdy.

Pół księżyca to dwa tygodnie, czego wtedy jeszcze nie wiedziałem. Powiedziałem, że pół księżyca wydaje się bardzo szybko i czekałem, co na to powie.

– Płyniemy dzień i noc – wyjaśnił – a przy dobrym wietrze możemy podróżować równie szybko jak jeździec na dobrym koniu. Tyle tylko, że ten

jeździec musi jeść, spać i dać odpocząć swojemu wierzchowcowi, podczas gdy my płyniemy, jakby słońce w ogóle nie zaszło.

On mówił, a ja jadłem.

– To by też zależało od tego, którądy byśmy popłynęli, sir Able. Czy pragniesz widzieć ląd przez cały czas?

Przełknąłem jedzenie i powiedziałem:

– Pragnę dotrzeć tam najszybciej, jak to możliwe, nie ryzykując w głupi sposób.

– Ludzie z lądu chcą przeważnie widzieć ląd – wyjaśnił kapitan – ponieważ nie wiedzą, w jaki sposób potrafimy znaleźć drogę na morzu. – Zarechotał. – Czasem my też nie wiemy. Najczęściej jednak wiemy. Podróż pełnym morzem jest i szybsza, i bezpieczniejsza. Wszędzie czyhają sztormy i Osterlingowie, lecz najbardziej niebezpieczne są okolice brzegu.

Skinąłem głową i powiedziałem, że widziałem Błękitnoszary Zamek.

– No właśnie. Zwykle czają się gdzieś wzdłuż brzegu i lądują tu i tam. W zależności od tego, ilu mają ludzi i jak pewnie się czują. Chcą zabijać, ale pragną też złota, czasem zaś pragną jednego bardziej niż drugiego. Jeśli napotkają statek, zaatakują go, o ile czują się na siłach. Za to na lądzie mają więcej złota i ludzi do zabijania. Sztorm może zaatakować statek zarówno przy brzegu, jak i na pełnym morzu, lecz zwykle pcha statek. Jeśli go rozbije, to zwykle o skały.

– Podczas sztormu specjalnie wam się nie przydam – powiedziałem – lecz mogę poprowadzić twoich ludzi do walki, jeśli pójdą za mną. – Nie sądziłem, by miało dojść do tego. – Masz dla nich broń?

Skinął głową.

– Głównie piki. I topory abordażowe.

Teraz zrozumiałem, dlaczego Pouk wysuwał obiekcje wobec topora wojennego. Kapitan chrząknął.

– Jak już mówimy o broni, to muszę cię o coś zapytać, sir Able Wielkie Serce. Wiem, że mi nie ufasz, i nie winię cię za to. Ale co było, to było, jeśli

rozumiesz, co mam na myśli.

Powiedziałem, że miło, iż tak mówi.

– Wyruszamy jutro wieczorem. Czy wolno mi zejść na ląd i kupić inny miecz? Mogę go potrzebować.

No cóż, miałem ochotę się nie zgodzić, ale wiedziałem, że znajdzie sobie jeden z tych toporów abordażowych czy coś takiego, więc ostatecznie się zgodziłem.

Sam

Kiedy obejrzałem wszystko, wróciłem do kajuty kapitana. Pouk zdążył już pościelić łóżko, pozamiatać i zetrzeć podłogę, teraz rozpakowywał moje rzeczy, które kupiliśmy na łodzi, rozkładając je w komodach i kredensach. Wyjąłem tarczyna, którego mu obiecałem, i dodałem jeszcze jednego, wyjaśniając, że zarobi tyle, a nawet jeszcze więcej, co było prawdą.

– Dziękuję bardzo, sir Able. Bardzo, sir. – Skłonił głowę, dotykając czapki, co w przyszłości miał często robić, a o czym wtedy jeszcze nie wiedziałem. – Starczy jeden, sir, nie musisz dawać więcej. Jak chcesz dać, to je wezmę, Ale oddam, jak ich potrzebujesz.

Potrząsnąłem głową.

– Są twoje. Zarobiłeś je, tak jak mówiłem. Może uda ci się wrócić na brzeg tą łodzią, którą właśnie rozładowują, ale musisz się pospieszyć. Już prawie skończyli.

Pouk potrząsnął głową.

– Zostaję, za pozwoleniem, sir. Szukałem, gdzie by tu zacumować, kiedy mnie zobaczyłeś na nabrzeżu. I rzuciłem kotwicę, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Masz zamiar żeglować na tym statku? – Usiadłem na łóżku.

– Tak jest, sir. Będę twoim człowiekiem, sir. – Widząc moją minę, dodał: – Potrzebujesz kogoś, kto by cię pilnował, sir. Dobry z ciebie człowiek jak mało kto, sir, i mądry, i pewnie wiesz dużo o książkach. Ale w niektórych sprawach jesteś zielony, sir. Zauważyłem to, jak się sposobiliśmy do podróży. By cię oszukali ze dwadzieścia razy, sir. Dlatego potrzebny ci ktoś zły – ktoś, kto zna różne sposoby.

Wściekłem się. Wściekłem się nie na Pouka – bo zwykle trudno było się na niego zezłościć – lecz na ludzi, na świat, w którym wielu ludzi tylko czekało, żeby kogoś oszukać. Może to z powodu czasu spędzonego w Aelfrice, nie wiem.

– Nie tak dawno jeszcze byłem chłopcem – powiedziałem do Pouka. – Całkiem niedawno, a w wielu sprawach wciąż nim jestem.

– Jasne, sir. Tak jak i ja, sir. Nie jestem aż taki zły jak oni, ale dość mocno zły. Wypróbuj mnie, sir, a się przekonasz.

– A co do ksiązek, to zajrzałem do kilku w Irringsmouth. Niestety, zobaczyłem tylko czarne znaczki na białym papierze. Nie potrafię ich czytać tak samo jak ty.

– Ale wiesz, co w nich jest, sir. A to najważniejsze.

– Wątpię. – Wzięłem głęboki oddech. – Za to wiem jedno. Wiem, że nie potrzebuję służącego i nie stać mnie, żeby mu płacić. A już na pewno nie tarczyna dziennie.

– No właśnie, sir! Tarczyna! To zapłata za miesiąc pracy dla marynarza, stajennego czy kogoś innego.

Odmówiłem po raz kolejny, okazując stanowczość, na jaką tylko potrafiłem się zdobyć.

– W takim razie jestem zakotwiczony na kilka miesięcy, a potem pociągnę jeszcze kilka następnych. Tylko że nie chcę zapłaty, sir. – Położył oba tarczyny na stole. – Pozwól mi tylko zostać, sir, a ja już zadbam o siebie. Schowałem mój worek marynarski między twoimi rzeczami i nawet nie zauważyłeś.

Martwiłem się o los mojego złota, tego w sakiewce zawieszanej u pasa i tego w starej sakiewce zawieszanej pod ubraniem na szyi. Powiedziałem mu, że nie może spać ze mną w kajucie i to przesądza sprawę.

Wtedy on wyszczerzył zęby w uśmiechu, przekonany o swoim zwycięstwie.

– Wcale tego nie chcę, sir. Będę spał pod twoimi drzwiami, tak jak

ostatniej nocy. W ten sposób obudzi mnie każdy, kto będzie chciał wejść do środka.

– Na tej drewnianej podłodze? – Wcześniej sypiałem na skórach i liściach, ale nie wyobrażałem sobie Pouka czy kogokolwiek innego śpiącego na gołych deskach.

– Na pokładzie, sir? Jasne, sir. Często spałem na pokładzie.

– Rycerze śpią czasem w zbroi – powiedziałem. – Ale tak jak ty śpisz – jak śpią marynarze – jest pewnie o wiele bardziej niewygodnie. A co zrobisz, jak zaczniesz padać?

– Drzwi twojej kajuty są trochę wpuszczone, sir. Tak jest, chociaż może tego nie zauważyłeś. I temu to ma służyć, a poza tym mam trochę płótna żaglowego, w które mogę się owinać.

Podjąłem ostatnią próbę.

– Będziesz mi służył za darmo? Ostrzegam cię, Pouk, bo nic ci nie zapłacę.

– Tak jest, sir! Widzisz te tarczyny, sir? Zabierz je. Nie wspomnę o nich ani słowem.

– Powiedziałem, że ci nie zapłacę, a nie, że cię obrabuję. Te już ci wypłaciłem i należą do ciebie. – Wtedy przypomnieli mi się rozbójnicy, których zabiłem, chata Bertolda Śmiałego i inne rzeczy. I powiedziałem: – Wydaje mi się, Pouk, że prawdziwy rycerz powinien szanować rzeczy innych ludzi, jeśli zdobyli je uczciwie. Gdyby ktoś chciał mnie obrabować, walczylibym z nim i może nawet bym go zabił. Ale jak mógłbym to zrobić, gdybym sam coś ukradł?

– Pewnie masz rację, sir. Zawsze ją masz, prawie.

– Tak więc schowaj pieniądze, bo jeśli je zostawisz na stole, to je wezmę, przysięgam.

Zawahał się, a potem zaraz skinął głową i wziął monety ze stołu.

– Chcieli, żebym się przyłączył do grupy poszukiwawczej. Drugi chciał, sir. Nur się nazywa.

– Jakiej grupy poszukiwawczej?

– Żeby przeszukać statek, sir. Nie wiem, czy co znaleźli. Pomyślałem, że wiem, czego szukają, mimo to zapytałem go o to.

– Psa, sir. – Pouk cofnął się, gdy zobaczył wyraz mojej twarzy. – Wielgaśnego psa, sir. Obserwator widział, jak podpływa do statku i wdrapuje się na pokład. Zeszłej nocy, sir.

– I nie wiesz, czy go znaleźli?

– Nie, sir. Tak jak mówiłem. Drugi chciał, cobym pomógł szukać, tylko że ja byłem zajęty usuwaniem rzeczy kapitana, żeby wnieść twoje, sir. Jedzenie jest tutaj, a piwo w tamtym kącie...

Powstrzymałem go ruchem dłoni.

– Chwileczkę.

– Tak jest, sir. Chcę tylko powiedzieć, że to jeszcze jeden powód, dla którego mnie potrzebujesz. Ludzie z załogi by się tu zakradli i podebrali sporo, sir, podczas twojej nieobecności. Szczególnie jedzenie. A tak to ja tu będę i nic nie zabiorą, sir.

– A ty nie podbierzesz? – Spróbowałem się uśmiechnąć. Pouk wydawał się zszokowany.

– Pewnie że tak. Tylko że karmić jednego to nie to samo co karmić dwudziestu.

– Chyba nie. Nie zdziw się, gdy stwierdzisz, że jest mniej do ukradzenia niż myślałeś. Nie znaleźli psa, Pouk. Wiem to. Ale ich jeszcze wypytaj. Znajdź Megistera Nura czy jak tam się nazywa i powiedz mu, że chcę wiedzieć.

– Tak jest, sir. Tylko tak się zastanawiałem, sir. Kiedy byliśmy na brzegu i widziałeś tego wielgaśnego psa, sir, to...

– Nieważne. – Czułem się zmęczony i chciałem zostać sam, choćby tylko na kilka minut. – Idź do Megistera Nura, tak jak ci mówiłem, i powiedz mi, co on mówi.

Po wyjściu Pouka wyjąłem mój zagraniczny buzdygan i obejrzałem go

uważnie. Cztery krawędzie głowicy były ostre jak potłuczone szkło. Koniec miał kształt diamentu, odcięty płasko i był pomalowany na czerwono. Pomyślałem, że zaostrzę go pilnikiem jak pikę, wyszedłem więc na pokład i zaczęłem marynarza. Powiedział, że może cieśla ma pilnik, więc wysłałem go do niego. Przyniósł mi pilnik i zabrałem się do piłowania końca ostrza, lecz pilnik ledwo zarysował metal; ostatecznie uznałem, że gdyby głowica była ostra, to cała broń przypominałaby zbytnio miecz. Disiri przyniesie mi miecz, pomyślałem, bo przecież nie mam żadnego, a kiedy to zrobi, znowu ją zobaczę. Tak więc porzuciłem swój pomysł.

Potem zarygłowałem drzwi, wyjąłem złoto i ułożyłem monety na stole, zastanawiając się przez cały czas, przed powiedzeniem czego powstrzymałem Pouka. Ze dzielny rycerz sir Able zbladł na widok mieszańca mastiffa? Ze podskoczył, jakby zobaczył ducha?

Ta ogromna czarna postać, którą zobaczyłem, kiedy Gylf zabił rozbójników, pies wielki jak koń o ociekających krwią szczękach, pazurach i kłach długości połowy mojego ramienia, była psem Valfathera. Jednym z psów Valfathera, których miał całe stado. Dziewięć albo dziesięć? Pięćdziesiąt, a może sto? Przez chwilę zastanawiałem się nad Valfatherem. Jak on wygląda, jaki jest, skoro ma takie psy? Wciąż pragnąłem dostać się do jego podniebnego zamku. W Skai. To była szalona myśl, ale pragnąłem tego. Chciałem pójść tam i zabrać ze sobą Disiri.

Wciąż tego pragnę.

Potem policzyłem wszystkie monety i dokładnie się im przyjrzałem, porównując ze sobą. To były złote berła, a kiedy skończyłem je oglądać, wciąż wydawało mi się, że są prawdziwe. Kiedy podzieliliśmy pieniądze, dałem Ulfie i jej ojcu wszystkie miedziane i mosiężne monety, a także srebrne. I wszystkie zagraniczne, których było sporo, a wiele ze złota. Dla siebie zatrzymałem tylko złote berła i wcale tego nie żałowałem.

Niektóre były już trochę wytarte, lecz większość była nowa lub prawie nowa. Wziąłem jedną z tych nowszych i podszedłem do okna, gdzie mogłem

się jej lepiej przyjrzeć w blasku słońca. Z jednej strony widniał na niej duży buzdygan, nie taki jak mój, bardziej wydumany, z końcem ostrza w kształcie korony. Z drugiej strony przedstawiono twarz króla widzianą z boku, tak jak podobizna na ćwierćdolarówce. Poniżej coś było napisane – pewnie jego imię, lecz nie potrafiłem odczytać. Dla mnie był to tylko ciąg znaków. Spojrzałem na króla i spróbowałem sobie wyobrazić, jaki on jest, bo wiedziałem, że nawet jeśli będę pracował dla księcia Mardera, to książę pracuje dla niego. Był młody i przystojny, ale i nieustępliwy, a może nawet więcej niż nieustępliwy. Wydawało się, że potrafi zrobić wszystko, czego zapragnie, a jeśli ci się to nie podoba, to lepiej usuń mu się z drogi i zamknij gębę.

Potem Pouk zapukał do drzwi, więc schowałem złoto i wpuściłem go. Oznajmił, że nie znaleźli psa, a „Drugi” powiedział, że pies pewnie uciekł ze statku albo czatownik miał zwidy. Pouk zapytał mnie:

– To twój pies, sir, prawda?

Zaprzeczyłem i powiedziałem, że to pies, którego trzymałem dla kogoś innego. Poczułem się źle i nieswojo, gdy tylko to powiedziałem, więc przywołałem z powrotem Pouka i powiedziałem:

– Miałeś rację, Pouku, to mój pies. Myślę, że on tu wciąż jest. Ale nie każę ci go szukać. Nie znajdziesz go, skoro oni go nie znaleźli. Chcę tylko, żebyś wystawił w ładowni kubeł ze świeżą wodą; nieprędko go tam znajdą.

Poszedł wykonać moje polecenie.

Tyle jeśli chodzi o tamten dzień, poza tym, że nie opuszczałem statku, ponieważ wiedziałem, że kapitan odpłynąłby, gdybym tylko to uczynił. Tamtego dnia i następnego wiele się nauczyłem o statkach i o pracy marynarzy, głównie obserwując i wypytując Pouka i Kerla.

Następnego dnia wypłynęliśmy kilka godzin po zapadnięciu zmroku, zgodnie z zapowiedzią kapitana. Patrzyłem przez okno mojej kabiny, jak światła Irringsmouth gasną, aż pozostała tylko ciemność i brudne morze. Niebawem miałem to zrozumieć o wiele lepiej niż rozumiem ludzi, lecz

wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Wtedy było to tylko coś, co kocham, coś pięknego, niebezpiecznego i podstępnego jak Disiri.

Potem siedziałem w kajucie. Może znowu wyjąłem buzdygan. Nie pamiętam. Jeśli tak, to nie widziałem go zbyt dobrze, bo nie zapaliłem światła w kajucie, czekając na to, co może nadejść.

Wreszcie pomyślałem, że wprawdzie nie mam swojego Maca, telewizora ani książek czy czasopism do czytania, ale w biurku są gęsie pióra, papier i atrament. Mogłem sporządzić notatki albo listy czy coś takiego.

Wyjąłem więc przybory z szuflady i zacząłem spisywać najważniejsze rzeczy, które mi się przydarzyły, jak znalezienie w lesie kolczastej pomarańczy, spotkanie z Parką i rycerzem, który się rozpląnął w powietrzu w tamtym zniszczonym zamku. Doszedłem aż do momentu, kiedy opuściła mnie Disiri i kiedy znalazłem Disirę i Ossara, i uznałem, że wystarczy.

Jeszcze jedno. Kiedy podniosłem zapisaną kartkę, zamierzając ją zwinąć i wyrzucić za okno, spojrzałem na nią. I nagle zobaczyłem pismo, które wcale nie przypominało tego, jakim posługiwaliśmy się w szkole. To było pismo Aelfów. Wcześniej nie wiedziałem, że potrafię pisać i czytać w ich języku.

Komora linowa

I teraz pewnie się wściekniesz. Wiem, że tak będzie, i wcale mi się to nie podoba, ale nic na to nie poradzę. Nie opowiem ci o bitwie z piratami Osterlingów. To wciąż bolesny temat, a zaboląoby jeszcze bardziej, gdybym musiał wszystko to opisywać. Najważniejsze, że się to wydarzyło, o czym już wiesz. Minęły dopiero trzy dni naszej podróży.

Po drugie, zostałem ranny. W Irringsmouth kupiłem kolczugę i hełm. Nosilem je na statku. To nie była taka prawdziwa kolczuga, jaką nosi rycerz. Miała krótkie rękawy i sięgała mi tylko trochę poniżej pasa, mimo to byłem z niej dumny i włożyłem ją, a także hełm, kiedy załoga rozciągała sieć. Kiedy mnie zraniono, myślałem, że ostrze weszło pod kolczugę. Tylko że tak nie było. Przeszyło ją na wylot. Sprawdziłem to później.

Którejś nocy w komorze linowej, kiedy myśleli, że umrę, znowu mi się to wszystko śniło i szukałem karabinu maszynowego, który zgubiłem. Prawdę mówiąc, o wiele lepiej pamiętam tamten sen niż prawdziwe wydarzenie i pewnie oba pomieszały się częściowo. Nie wiem.

Płynęliśmy najszybciej, jak to było możliwe, z tymi kijami na rejach do dodatkowych żagli, a statek przechylał się mocno, młóćąc pas wody na pianę. Ale Osterlingowie wiosłowali mocno i też szybko płynęli; mieli wąski statek z czterema masztami, a ten na przedzie był mocno wychylony do przodu i mieli chyba ze stu wioślarzy. Przy silnym wietrze pewnie byśmy im uciekli; teraz to wiem. Niestety, nie wiał zbyt silny wiatr, tak więc nie mieliśmy szans.

Zapytałem Kerla, czego chcą, a on mi odpowiedział:

– Chcą cię ugotować i zjeść.

To było we śnie, bez wątpienia, niemniej jednak jest prawdą. Chcieli nas wszystkich. Tak tu już jest. To, co jesz, sprawia, że upodabniasz się do tego, a im jest bliżej ciebie, tym bardziej cię przyciąga. Weź Scaura i Sha. Jedli dużo ryb, ale nie upodobnili się zbytnio do nich, byli szybcy, poruszali się z wdziękiem i wiedzieli dużo o morzu. Nigdy też nie mówili, że ich ręce są zimne, i nie próbowali ich ogrzewać przy ogniu. Ale kiedy cię dotykali, ich dłonie były zimne jak morską wodą. Lepsze są jelenie: jeśli jesz dużo ich mięsa, masz lepszy węch, poprawia ci się słuch i biegasz szybciej. Tak to działa i czasem wydaje mi się, że to dzięki krwi, bo kiedy napiłem się krwi Baki, poczułem się znacznie lepiej już po jednym dniu czy jakoś tak i w pewnym sensie bardziej przypominałem Aelfa. Wciąż chyba tak jest.

Ale wtedy to się jeszcze nie stało. W chwili, którą opisuję, najważniejsi byli Osterlingowie. Oni są ludźmi, może tylko niezbyt typowymi, szczególnie w dolnych partiach ciała. Caan, księżniczka i inni są dość ludzcy, pewnie dlatego, że potrafią dostać to, co chcą. Natomiast zwykli Osterlingowie mają twarze bardziej podobne do czaszek, do tego okropne oczy, które przypominają płonące dziury.

Zaraz powiem coś, czego może nie powinienem mówić. Są też chudzi. Możesz policzyć ich żebra i widzisz wyraźnie pod skórą wszystkie kości. W Ameryce lubiliśmy, kiedy ludzie byli szczupli, i wszystkie dziewczyny, które znałem, wciąż się odchudzały. Na zachód od gór jest inaczej, chyba głównie za sprawą Osterlingów. Mężczyźni powinni mieć mięśnie i szerokie bary, a także grube nogi i ramiona, coś na podobieństwo futbolowych zawodników. (Nikt nie spodziewa się, że będziemy też mieli grube głowy, ale często tak jest). Z kolei kobiety powinny mieć duże, okrągłe piersi niczym grejpfruty, wydatne biodra i dużo ciała na ramionach i nogach. Idnn tak nie wyglądała i może właśnie dlatego nie miała jeszcze męża. Za to patrząc na Gaynor, zawsze myślałem, że powinna zrzucić ze dwadzieścia funtów, tylko nie mogłem się zdecydować, gdzie chciałbym, żeby była mniejsza.

Tak wyglądało większość ludzi w Celidonie, bo tam właśnie

przebywaliśmy przed wyruszeniem na morze, i to sprawiło, że Osterlingowie tym bardziej pragnęli naszej śmierci. Choć prawdą jest (o czym dowiedziałem się dopiero później), że zabijali i zjadali niemal wszystko: konie, psy, szczury i koty.

Sieć, o której wcześniej wspominałem, zrobiono z mocnej liny, a służyła ona do powstrzymania atakujących. To był dobry pomysł, ponieważ trudno była ją przeciąć, a przez oka można było strzelać z łuku, co też robiłem. Ale w końcu dało się ją przeciąć, co też uczynili Osterlingowie, żeby nas dostać, tak więc lepsza by była sieć z łańcucha.

We śnie widziałem tego, który mnie zranił, a także ostrze sztyletu zbliżające się do mnie i wszystko inne. Po tym, jak zostałem pchnięty nożem, leżałem na pokładzie statku Osterlingów, wykrwawiając się w nieskończoność, aż nadszedł kapitan naszego statku, powłócząc nogami, który stanął przy mnie i kopnął mnie w twarz. Jednak nie sądzę, by wydarzyło się to naprawdę.

Obudziłem się i nikt mnie nie kopnął. Zobaczyłem Pouka, ale przez dobrą minutę nie wiedziałem, gdzie się znajduję (myślałem, że jestem w mojej sypialni w domu) ani kim jest Pouk. Wiesz, jak to bywa, kiedy ktoś cię wyrwie ze snu.

– To ja, sir. Pouk Badeye. Przyniosłem ci wody, sir, bo pomyślałem, że może ci się przydać.

Wziąłem od niego naczynie, coś w rodzaju drewnianego kufla, który nazywają bańką.

– Woda trochę parszywa, sir, ale możesz łyknąć. Sam ją piłem. Nakarmili cię, sir?

Nie potrafiłem sobie przypomnieć, tak więc w końcu odpowiedziałem:

– Raczej nie. Spałem prawie cały czas. I miałem sny. Gdzieś w zakamarku mojego umysłu zastanawiałem się, w jaki sposób moje łóżko zamieniło się w ogromny zwój liny.

– Myślałem, że ci dali jeść. Zakręcę się za jakimś jedzeniem, sir. Kucharz

na pewno coś mi da, jak mu powiem, że to dla ciebie.

Panował tam mrok, tak że ledwo widziałem twarz Pouka. Zapytałem go, gdzie jestem, a on mi odpowiedział:

– Kapitan chciał cię zabić, sir, ale mu nie pozwoliliśmy. Zbuntowalibyśmy się, gdyby to zrobił. Ale chciał, sir. Przyszedł do ciebie i zamachnął się mieczem tam, gdzie leżałeś, a ja poczułem, jakby to poszło przez cały statek i ludzie zerwali się, łapali za topory, noże i piki. No to nie mógł tego zrobić, nie wtedy. Kazał cię tu przynieść, a Nur miał cię pilnować. Muszę już iść, sir, bo zaczną mnie szukać.

Pouk stał się kolejną postacią ze snu. Słyszałem, jak mówi:

– Przyniosę ci coś. A jakże. – Lecz Osterlingowie zbliżali się do nas, ich smukły, czarny statek przeskakiwał fale, a tuż obok mojego ucha utkwiała strzała.

Pojawił się przyjaciel i polizał mi twarz.

Kiedy się obudziłem następnym razem, znowu byłem sobą. Słaby, a także przestraszony, gdy zobaczyłem, jaki jestem słaby. W komorze linowej panowała wilgoć; moja rana była rozogniona, a ja trząsałem się z zimna.

– Proszę, sir Able. Szprotki w cieście, sir.

Podniosłem wzrok na dźwięk obcego głosu. Nie potrafiłem rozpoznać twarzy w ciemności, lecz usłyszałem uderzenie metalu o metal i poczułem przyjemny zapach. Chwilę później jedzenie znalazło się tuż pod moim nosem, coś chrupkiego na wierzchu i miękkiego w środku, smakowite, ociekające tłuszczem, cudowne. Pogryzłem i połknąłem, a potem musiałem się powstrzymać, żeby nie zacząć łykać bez pogryzienia. Kiedy skończyłem jeść, zapytałem, kto jest przy mnie.

– Kucharz, sir. Hordsvin się nazywam. – Przełknął głośno ślinę. – Walczyłem u twego boku z moim toporem rzeźniczym, sir Able. Założyłem fartuch, ale nie było na nim świńskiej krwi. Mój pomocnik też walczył, sir. Sur się nazywa. Kazałem mu pilnować. Ma mój duży nóż.

Wsunął mi do ręki coś ciepłego. Ugryzłem za duży kęs i omal się nie zadławiłem.

– Wypij to, sir. Przyszedł twój człowiek, sir Able, tylko ja się bałem, że sam zje. To przyniosłem, sir. Moja specjalność, sir Able. Zostawię pokrywkę na patelni, żeby się szczury nie dobrały.

Potem sam już jadłem i zastanawiałem się, co będę musiał zrobić. Kiedy Pouk znowu mnie odwiedził, powiedziałem mu, a on na to:

– Nie możesz walczyć, sir. On cię zadźga, a my jego, ale nie wyniknie z tego nic dobrego. Zaczekaj, sir, aż nabierzesz sił.

– A jeśli osłabnę jeszcze bardziej? Spróbuję zawrzeć pokój, a jak mi się nie uda ucisnąć mu ręki, złamię mu kark. Naprawdę chciał mnie zabić?

– Tak, sir – odpowiedział Pouk zawstydzonym szeptem. – Trzeba było go zabić, ale tego nie zrobiłem. Obyłoby się bez kosztów. Tylko że ja to nie ty, sir, wiem o tym.

– I ja nie jestem tobą. Nie jestem żeglarzem. Pomóż mi wstać.

– Jesteś słabiutki, sir.

– Wiem. – Czułem, że powinienem się rozgniewać, ale nie byłem zły. – Dlatego chciałem, żebyś mi pomógł. – Chwytał mnie za rękę i podciągnął do góry. – Jestem rycerzem – powiedziałem. – A rycerz walczy, kiedy jest słaby.

– Dlaczego, sir? – Wydawało mi się, że głos Pouka dochodzi z oddali. Powiedziałem, że nie mogę mu teraz tego wytłumaczyć i że nie ma na to czasu. Spróbowałem zrobić krok i się przewróciłem.

Potem leżałem w łóżku i przyszła pielęgniarka, która powiedziała, że walczyłem z bandytami i że wszyscy są ze mnie bardzo dumni. Powiedziała, że w szpitalu jest jakiś pies, dlatego do mnie przyszła, i spytała, czy go widziałem.

Łamimiecz

Za drzwiami komory linowej rozległy się krzyki. Drzwi otworzyły się i do środka zajrzał marynarz.

– To kapitan, sir Able. Nie ma się co martwić, sir. Pilnujemy i nie wpuścimy go tutaj.

Powiedziałem, że chcę z nim porozmawiać, lecz on już zniknął za drzwiami. Znowu zapadła cisza i słychać było tylko trzeszczenie drewnianych burt głaskanych falami, odgłosy, które towarzyszyły mi już tak długo, że prawie ich nie słyszałem. Miałem koc i butelkę brandy. Koc należał do mnie, tak powiedział Pouk, a butelkę on sam zwędził z kapitańskich zapasów. Napilem się trochę już wcześniej; strasznie zakręciło mi się w głowie i przysięgłem sobie, że więcej już nie wypiję.

– Jestem dzieciakiem – powiedziałem do Pouka między kolejnymi kęsami. Nie zrozumiał słowa „dzieciak”, dodałem więc: – Chłopcem, który niby staje się mężczyzną po jednej nocy spędzonej w towarzystwie kobiety.

– Rozumiem, sir. Nieraz tak się czułem.

W tym momencie chcę się zatrzymać i powiedzieć, że coś takiego przydarzyło mi się wielokrotnie. Próbowałem opowiedzieć innym mężczyznom o Disiri, o sobie i o tym, jak się zmieniłem. A oni odpowiadali, że doświadczyli podobnego przeżycia. Nie sądzę. Oni tak się czuli, jakby to przeżyli. Ja także czułem się, jakbym to przeżył, ale ja się tak czułem dlatego, że naprawdę to przeżyłem. Oczywiście oni twierdzą to samo.

– Po prostu chłopak – powiedziałem do Pouka. – Chłopak, któremu się wydawało, że jest dzielnym rycerzem.

– Nie widziałem dzielniejszego człowieka niż ty, sir. – Mina Pouka

świadczyła, że jest gotów walczyć z każdym, kto by mu zaprzeczył. – Kiedy te Osterlingi przecięły sieć, to kto na nich poszedł?

Przestałem jeść, zastanawiając się, co mu odpowiedzieć.

– Pewnikiem pies. Ten, którego nie mógł znaleźć Megister Nur.

– Nie, sir! To byłeś ty. Reszta poszła za tobą, a jakbyś ty nie poszedł, my byśmy się nie ruszyli, sir. Te Osterlingi się nie spodziewały, że mamy na pokładzie rycerza. Przegoniłeś ich, zanim wzięliśmy oddech. Jak padłeś, to oni już czmychali.

Dopiero po chwili coś mi zaświtało i skinąłem głową.

– Pamiętam. A przynajmniej tak mi się wydaje. Wróg przede mną i z obu stron. Atakowałem ich buzdyganem, który kupiliśmy u Moriego. A tak przy okazji, gdzie on jest? Wiesz, co się z nim stało?

– Pewnikiem kapitan go ma, sir.

– Dowiedz się, jeśli możesz. Chciałbym go odzyskać. – Zamilkłem na chwilę, żeby się podrapać po głowie i wrócić do jedzenia. – Wiesz, Pouk, potrzebne mi coś do lewej ręki. Tarcza albo chociaż kij, którym mógłbym powstrzymać uderzenia. Musiałem się bronić buzdyganem.

– Tak jest, sir. Popatrzę za czymś takim.

– To przy okazji rozejrzyj się za moim łukiem i kołczanem. I za psem. Wciąż jest na pokładzie?

– Wyt widział go w nocy, sir. Mówi, że wyglądał na piekielnie wychudzonego i ślinił się, jakby chciał go zjeść.

– Przynajmniej kapitan go nie dopadł. Pouk zakasłał.

– Jak już mówimy o kapitanie... Ze tak powiem, sir, bo on je pewnie ma. A jak już o nim mówimy, to się dowiedziałem, co planuje. Powiedział bosmanowi, bosman powiedział Drugiemu, a Njors to usłyszał i mnie powiedział. Jak dopłyniemy do portu, sir, zapłaci załodze i puści wszystkich na ląd. Myśli, że wszyscy pójdą, ale ja nie, sir. Potem przyjdą tu razem z bosmanem, żeby się z tobą rozprawić, tylko że ja będę przy tobie.

Powiedziałem, że nie.

– Nie będę czekał, aż przyjdą. Kiedy dotrzemy do portu? Pouk wzruszył ramionami.

– Żaden ze mnie nawigator, sir. Może za pięć dni. A może za dziesięć.

– Do Forcetti?

– Nie, sir. Do Yens, sir. Tak mówią. Jeśli skończyłeś już jeść, sir...

– Nie. – Wstałem o własnych siłach i bez większego problemu. – Odniosę to. Skończyłem jeść, ale nie skończyłem z tym gulaszem, który mi przyniosłeś.

– Mówiłbym ciszej, sir. Pierwszy może węszyć gdzieś w pobliżu. Nawet nie zauważyłem, że podniosłem głos, lecz teraz zacząłem mówić jeszcze głośniej:

– Staralem się siedzieć cicho, tak jak radziłeś, i co dobrego z tego wynikło? Kapitan ma swoje plany. Muszę mu je pokrzyżować. Potrzebuję swój łuk, znajdź go jak najszybciej. Łuk i cięciwę – cięciwa jest bardzo ważna. Także mój kołczan i wszystkie strzały, które uda ci się odnaleźć, jeśli w ogóle je znajdziesz.

– Tak jest, sir.

Otworzyłem drzwi komory linowej.

– Gylf! – zawołałem głośno, lecz nie dość głośno. – Gylf! Do nogi, Gylf!

– Sir? Kto to...?

– Mój pies. To naprawdę jest mój pies, przynajmniej do czasu, kiedy nie zgłosi się po niego poprzedni właściciel. Nie chciałem go, bo się go bałem. Próbowałem się go pozbyć, zanim przeszliśmy rzekę Irring. Kazałem mu iść i nie wracać. Przykra chwila, ale przeżyłem jakoś. – GYLF! Do mnie, Gylf!

Myślę, że Pouk uciekłby, gdybym go nie przytrzymał.

– Myślałem, że się go pozbyłem, kiedy weszliśmy na statek. Zamilkłem na chwilę i zagwizdałem.

– Teraz jest noc, prawda? Dlatego tu tak ciemno – ani odrobiny słonecznego światła.

– Tak, sir.

– Jutro po śniadaniu porozmawiam z kapitanem. Tyle jestem mu winien. Możesz mu to powiedzieć, jeśli chcesz.

Usłyszałem drapanie tępych pazurów na deskach ładowni i zdjąłem pokrywkę z naczyń, które przyniósł Pouk, po czym postawiłem je na podłodze dla Gylfa.

Znałem tę kajutę i wiedziałem, że można ją zaryglować tylko od wewnątrz. Zamierzałem wejść do kajuty, kiedy pomocnik Hordsvina przyjdzie posprzątać ze stołu, o ile kapitan będzie tam jadł, ale tak się nie stało. Jadł na dachu kasztelu dziobowego, tak jak się spodziewałem. Obaj z Gylfem wyszliśmy z ładowni i udaliśmy się do kabiny, jakby to była nasza kabina. Co było prawdą.

Zanim wrócił, znalazłem już buzdygan kupiony w Irringsmouth i go sobie przypiąłem. Kiedy otworzył drzwi i zobaczył nas, ryknął, wzywając Kerla, po czym (chyba dlatego, że siedziałem i nie wyciągnąłem buzdyganu) zamknął drzwi i je zarygłował. Jego miecz leżał pod materacem, tak jak przedtem. Sprawdziłem i zostawiłem go tam. Z łatwością mogłem uniemożliwić mu dostęp do niego, ale tego nie zrobiłem.

Kiedy wydobył miecz, powiedziałem:

– Nie ufasz Kerlowi?

Kapitan spojrzał tylko na mnie, nic nie mówiąc. Poleciałem Gylfowi, żeby się pokazał, a ten zaraz mnie posłuchał. Dotąd leżał w ciemnym kącie, teraz zaś wynurzył się niczym nieduży brązowy obłok, tyle że namacalny i warczący.

– Mogę cię zabić, jeśli zechcę – zwróciłem się do kapitana. – Pokonałem cię wcześniej i pokonam cię teraz. Gylf też mógłby cię zabić, tak więc z nami dwoma nie miałbyś najmniejszych szans. Jesteś właścicielem tego statku? Marynarze mówili, że tak.

– W połowie.

– Dobrze. Nie chcę go. Nigdy nie chciałem. Nie zamierzam też cię zabić.
– Wstałem i wyciągnąłem rękę. – Odłóż miecz. Raczej się nie zaprzyjaźnimy,

ale nie musimy też być dla siebie wrogami.

Stał wpatrzony w nas przez jakieś pół minuty. Potem położył miecz na swoim łóżku i usiadł obok niego.

– Nie masz nic przeciwko, że usiądę we własnej kajucie?

– To moja kajuta – odpowiedziałem – ale tylko do czasu, kiedy znajdziemy się w Forcetti.

– Ja siedzę, więc i ty usiądź. Usiądź. Rana pewnie jeszcze ci dokucza.

Usiadłem.

– Oddaj mój łuk i pieniądze. Ktoś mi powiedział, że je masz, lecz za bardzo bał się ciebie, żeby przyjść tutaj po nie. Tak więc sam przyszedłem. Masz miecz, który należy do ciebie, i jakieś własne pieniądze. Przynies je i oddaj mi moje. Chcę tylko tego, co jest moją własnością. Oddaj mi te pieniądze, a także łuk, futerał i kołczan, a potem możesz odejść bez walki.

Potrząsnął głową przecząco.

– Tak myślałem. Dobrze, to moja ostatnia oferta. Wyjdę z Gylfem na pokład. Do następnej wachty wyniesiesz się z kajuty i zostawisz tylko moje rzeczy – pieniądze, futerał, zbroję i tak dalej – tak żebym mógł wszystko znaleźć. Dwadzieścia dwa berła w złocie, większość nowych, a wszystkie ze szczerego złota, do tego moje rzeczy. Zrobisz tak?

Wstał, a Gylf zawarczał głośniejsze. Bałem się, że znowu zamieni się w tę czarną istotę, która zabiła rozbójników, powiedziałem mu więc, by tego nie robił.

– Oddasz mi statek wraz z towarem, kiedy dotrzemy do portu?

– Pewnie – odparłem. – W ogóle ich nie chcę. Ja...

Chwycił miecz. Zdążyłem sięgnąć po buzdygan i zablokować cięcie. Rozległ się dźwięk podobny do uderzenia młota o kowadło. Następne cięcie pozbawiłoby mnie głowy, ale zdążyłem się zasłonić. Jeszcze nie wstałem całkiem. Przyklęknąłem na kolano przed krzesłem. Trzecim cięciem, bardzo szybkim, złamałem brzeszczot jego miecza. Wtedy właśnie postanowiłem, że nazwę swój buzdygan Łamimieczem. Gylf skoczył na kapitana, kiedy

złamałem mu miecz, i ściągnął go na podłogę, ja zaś uderzyłem go Łamimieczem, pragnąc go obezwładnić. Uderzyłem go zbyt mocno i głowica w kształcie diamentu zanurzyła się głęboko w jego głowie. Kiedy ją wyciągnąłem, była oblepiona krwią i strzępami mózgu. Stałem i gapiłem się na niego, wracając myślami do Disiry, i powtarzałem:

– Dobry Boże, dobry Boże.

Powiedziałem to chyba ze dwadzieścia razy. A potem Gylf przemówił:

– Mam go zjeść? – Wiedziałem, że ma rację i że powinniśmy pozbyć się kapitana. Tak więc wytarłem Łamimiecz o płaszcz kapitana, wypchnąłem trupa przez okno, a potem posprzątałem kajutę.

Później wyszedłem na pokład, żeby porozmawiać z Kerlem. Oznajmiłem mu, że teraz on jest kapitanem, a Nur pierwszym oficerem. Wyjaśniłem mu, że kapitan zaatakował mnie, i opowiedziałem, co się potem wydarzyło. Powiedziałem, że jeśli chce opowiedzieć o tym komuś, kiedy już dotrzemy do Forcetti, to w porządku, lecz wtedy pewnie zatrzymają w porcie „Zachodniego Kupca” do czasu rozprawy i tak dalej.

Odpowiedział mi, że lepiej będzie, jak wszyscy stwierdzą, że kapitan zmarł w czasie rejsu i pochowaliśmy go na morzu. Zgodziłem się z nim, bo przecież tak było naprawdę – no, prawie tak. Więc zebrał załogę i opowiedział o wszystkim, a marynarze przyjęli jego słowa ze spokojem.

Potem zastanawiałem się, czy może nazwać buzdygan Łamigłową, lecz ktoś by pewnie zapytał, czyja to była głowa, pozostałem więc przy Łamimieczu. Później podarowałem go Tougowi, a on też go tak nazwał, ponieważ tak mu poleciłem.

Widząc ich

Tamtej nocy rozmawiałem długo z Gylfem w naszej kabinie. On nie mówił zbyt wiele ani wtedy, ani nigdy potem, za to umiał słuchać, a kiedy już coś powiedział, to warto było tego wysłuchać. Niepokoiło mnie, że rana jeszcze się nie zagoiła, a obawiałem się, że może być jeszcze gorzej. Była rozpalona, a kiedy ją nacisnąłem, wypłynęła z niej krew zmieszana z czymś jeszcze.

Bąłem się. Wiem, że nie wspominałem zbyt dużo o strachu, ale bąłem się dość często przez cały czas pobytu w Mythgarthrcie. Nie byłoby sensu cofać się i opowiadać o wszystkim. Bo najgorsze momenty dotyczyły często zdarzeń, o których w ogóle nie opowiadałem, jak choćby ten, kiedy polowałem niedługo po tym, jak Bertold Śmiały przygarnął mnie do siebie, i strzeliłem do niedźwiedzia, który zagonił mnie na drzewo. Wcześniej nie sądziłem, że taki duży niedźwiedź potrafi się wspinać na drzewa, a poza tym ten był brązowy, a nie czarny. Zdaje się, że niedźwiedzie w lasach Celidonu różnią się od tych, które mamy w domu, ponieważ ten włąził na drzewo szybciej niż ja. Kiedy był już bardzo blisko, wpakowałem mu strzałę w gardło, a on spadł i poszedł sobie. Tak się bąłem, że nie potrafiłem zejść na ziemię. Po prostu siedziałem tam i trząsałem się. Uciekając, zgubiłem łuk, a niedźwiedź omal mi nie odgryzł ręki, kiedy chwycił ją zębami.

Tak czy inaczej, bąłem się i rozmawiałem z Gylfem o mojej ranie i o tym, co się może stać. Powiedział, że te głębokie rany są najgorsze, ponieważ nie można ich wylizać do czysta. Roześmiałem się, bo przecież nie mogłem się tam polizać. Mogłem przemyć ranę, lecz zaraz przypomniałem sobie, jaką wodę mamy na statku, i przyznałem mu rację. Lepiej byłoby polizać.

Później przypomniałem sobie, jak Bertold Śmiały opowiadał mi, że Bodachani potrafili ubić czasem sześć sztuk i zawsze mu pomagali. A przecież Disiri też była Aelfem i z pewnością by mi pomogła, jak wierzyłem, gdyby wiedziała, że jestem ranny. Tak więc uznałem, że powinniśmy skontaktować się z Aelfami, i zapytałem, czy są jakieś na statku.

Gylf schował łeb między łapy, a ja wyczułem, że coś przede mną ukrywa, dlatego powiedziałem:

– Jeśli wiesz, gdzie są, to może spróbujesz ich namówić, żeby mi pomogli? Jeśli nie to trudno, i tak nie może być gorzej niż jest.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem podszedł do drzwi i podrapał je pazurami, bym go wypuścił. Otworzyłem. Było już ciemno, na niebie świecił księżyc i gwiazdy, a wiatr był na tyle silny, by wypełnić żagle; to była moja ulubiona pora na pokładzie, zawsze kiedy płynąłem statkiem.

Gylf przepchnął się obok mnie, ponieważ drzwi były bardzo wąskie, pobiegł przez pokład i skoczył nad poręczą. Kiedy wrócił, odbyliśmy rozmowę, a potem wyszedłem na pokład i zapytałem Kerla, czy się boi Aelfów.

Podrapał się po głowie, tak jak i ja czasem robię, i powiedział:

– Nie wiem, sir Able. Nigdy nie widziałem żadnego.

– To zobaczysz – odparłem. Wskazałem na marynarzy pełniących wachtę. Wszyscy spali na pokładzie z wyjątkiem sternika i czatownika. Kazałem Kerlowi ich obudzić i odesłać pod pokład i powiedziałem, żeby podał im jakikolwiek powód.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Czy muszę podawać jakiś powód, sir Able?

Powiedziałem, że nie musi, wtedy on ryknął, żeby wstawali. Poleciałem jednemu z marynarzy, aby znalazł Pouka, kiedy zejdzie pod pokład, i przysłał go do mnie. Postawiliśmy go przy sterze, sternika zaś wysłałyśmy na dół. Przy takim wietrze i spokojnym morzu sam mógłbym stanąć u steru albo można było przywiązać koło sterowe. Pouk nie miał pojęcia, co się dzieje,

podobnie jak Kerl.

Kiedy marynarze zeszli pod pokład, Gylf znowu wyskoczył za burzę. Mogłem tylko czekać, tak więc usiadłem w jednym z blanków. Kerl, wyraźnie przestraszony, podszedł do mnie nieśmiało.

– To zwykły pies, prawda, sir? – zapytał. Zaprzeczyłem.

– Wybudza się, kiedy go nie widzimy, czy tak, sir?

Odpowiedziałem, że tak, wtedy Kerl zmył się szybko. Spojrzałem na księżyc, który przypominał cienki rogalik; był piękny. Po chwili zobaczyłem, że jest to łuk i że trzyma go Pani. Wtedy nic o niej nie wiedziałem, ale i tak ją zobaczyłem; jest córką Valfathera, tą najważniejszą. Bertold Śmiały zawsze mówił, że Skai jest trzecim światem, a jego mieszkańcy to Overcyni. Patrząc na nią, zastanawiałem się nad światem Numer Dwa i Numer Jeden. Pytałem go o nie, lecz powiedział, że nikt nie wie o nich zbyt dużo.

Zamrugalem i Pani znikła. Przypomniałem sobie wtedy, że Bertold Śmiały mówił mi, iż tam w górze życie płynie szybciej i to, co widzimy, u nich trwa całe lata. Czasem zostają zabici (o czym dowiedziałem się później), lecz nigdy się nie starzeją i umierają tak jak my.

A potem pomyślałem o najwyższym świecie. Numer Jeden. Wydawało mi się, że byłby dumny, żyjąc tam w górze i patrząc na nas. Później jednak uznałem, że się mylę, i mruknąłem pod nosem:

– Wcale nie. Byłbyś miły, jeśli byłoby w tobie dobro. – Zorientowałem się, że Pouk usłyszał, co powiedziałem, ale nie wiem, co z tego zrozumiał.

Bo mnie chodziło o to, co by było, gdybym to ja był tam w górze, zupełnie sam, razem z królikami i wiewiórkami? Albo gdybym był jedynym dorosłym pośród dzieci? Jasne, przechadzałbym się dumnie i popisował się, ale czy chciałbym tego? Gdyby któreś było niegrzeczne, dałbym mu klapsa, tak że rozplakałoby się. Ale przecież byłem rycerzem. Cóż by to było za zwycięstwo dla rycerza?

Uznałem, że dziećmi też się zajmę w nadziei, że kiedyś też wydorosną i staną się ludźmi, z którymi będę mógł porozmawiać.

Może się wtedy zdrzemnąłem, a może wcześniej. W każdym razie śniło mi się, że znowu jestem dzieckiem, które zasnęło na zboczu wzgórza. W moim śnie latający zamek przepłynął nade mną i przypomniał mi o tym, że żyłem w miejscu, w którym były miecze i nie było samochodów.

Obudziłem się, gdy poczułem, że spadam, wstałem więc i stanąłem u boku Pouka. Od zachodu napłynęła ciemna chmura i zobaczyłem, że zjeżdża z niej jeździec. Był bardzo daleko, dlatego wydawał się bardzo mały; jeździec w czarnej zbroi na ogromnym białym rumaku, który pędził z wyciągniętą szyją, otwartym pyskiem i patrzącymi dziko oczami. Jego kopyta płynęły. Zjechał z chmury i pędził coraz niżej, aż wydawało się, że galopuje po grzywach morskich fal.

– Patrz! – zawołałem. – Jeździec, tam, pod najniższymi gwiazdami. Widzisz?

Pouk spojrział na mnie, jakbym zwariował.

Kerl spojrział w stronę, w którą skierowałem ramię.

– Księżycowy Jeździec, sir Able? Widzisz go? – Tak.

– Ja nigdy go nie zobaczyłem. – Kerl zmrużył oczy. – Niektórzy widzą, tak przynajmniej mówią.

– Tam, dwa palce nad wodą, tam gdzie świeci ta jasna gwiazda. Kerl wyteżył wzrok, lecz zaraz pokręcił głową.

– Nic nie wiem, sir. Nur pokazywał tak jak ty i twierdził, że widzi jak w biały dzień, ale ja nie mam daru jasnowidzenia.

– Ja też nie.

Pouk, ustawiony przy sterze, powiedział cicho:

– Ty masz, sir Able.

Zacząłem opowiadać o tym, jak wyraźnie go widzę, i nagle sam przestałem go dostrzegać. Wciąż wyteżałem wzrok. Księżyc dalej przypominał rozświetlony luk, lecz nic więcej. Chyba było ich więcej. Gwiazdy wciąż świeciły, odbite w morzu, a na niebie widniało tylko kilka chmur; był to piękny widok. Pomyślałem, że powiem w tym momencie, iż

nikogo tam nie było, że niebo było puste. Ale to nie byłaby prawda. Wiedziałem, że ktoś tam jest. Może nawet wielu. Tylko ich nie widziałem.

Patrzyłem chyba z godzinę, a potem przybyły Aelfy. Były tak wyraźne i prawdziwe jak każdy tej nocy, niektóre pokryte rybią łuską, inne z rybimi ogonami. Byli niebiescy, ciemnoniebiescy, lecz nie jak jakieś niebo czy coś takiego. Nie był to kolor granatowy ani czarny jak noc czy granatowo-niebieski ani nic takiego. Raczej bliżej barwy bardzo głębokiej wody, choć nie do końca. To był ich własny kolor, a ich oczy przypominały żółty ogień słońca odbitego przez tafłę lodu. Miały cudownie piskliwy głos i wołały do siebie, a także do morza do statku. Rozpознаwałem większość słów, lecz nie rozumiałem, co mówią, i nie potrafię ich zapisać.

Wstałem, balansując na krawędzi blanka, i pomachałem do nich, wołając:
– Tutaj! Jestem Able!

Wtedy oni zaczęli wołać do siebie, pokazując w moją stronę, podpłynęli do statku, nurkując do wody i wyskakując z niej, czasem na wysokość głównego masztu. Rozkładali płetwy jak skrzydła. Kazałem Kerlowi wyrzucić linę za burtę, co też uczynił, lecz niewielu z niej skorzystało. Większość wspinała się po burtach albo wskakiwała bezpośrednio, aż pokład zaroił się od nich.

Ściągnąłem koszulę i zdjąłem bandaże, żeby mogły obejrzeć moją ranę, a oni weszli na pokład dziobowy, by się jej przyjrzeć, i zadawali liczne pytania, nie czekając na odpowiedzi.

Musiałem się domyślać, co mam odpowiedzieć, i ostatecznie powiedziałem, że chcę być wyleczony i że zrobię dla nich wszystko, jeśli potrafią tego dokonać. A nawet jeśli nie potrafią, to i tak zrobię dla nich wszystko, co zechcą.

– Nie – powiedzieli. A potem: – Nie, nie! – I jeszcze: – Nie, nie, nie, dzielny panie rycerzu. Nie moglibyśmy cię prosić, żebyś walczy dla nas z Kulili, dopóki nie jesteś silny i zdrowy. Chory i słaby z pewnością byś zginął.

– Z pewnością byś zginął... – powtórzył inny.

I wtedy zjawił się stary Aelf; przypominał istotę z cienkiego niebieskiego szkła, z rozwianymi siwymi włosami i splątaną niebieską brodą do kolan. Pozostali rozstąpili się na boki – od razu można było poznać, że to ktoś ważny. Ujął moją twarz w dłonie i spojrzał mi w oczy. Mimowolnie i ja spojrzałem mu w oczy i wydało mi się, że patrzę w głąb burzy o północy.

Kiedy wreszcie opuścił dłonie, wydawało się, że upłynęło dużo czasu. Długie godziny.

– Chodź z nami do Aelfrice – powiedział. – Morze zaleczy twoją ranę i nauczy cię być najsilniejszym spośród swojego rodzaju, nauczy cię być rycerzem, któremu żaden inny rycerz się nie oprze. Pójdiesz z nami?

Nie byłem w stanie nic powiedzieć, więc skinąłem tylko głową.

Gdy tylko to zrobiłem, osiem albo dziesięć panien aelfickich zaczęło szarpać moje ubranie. Odpięły mój pas z Łamimieczem i zdjęły ze mnie resztę ubrania, a gdy już zostałem nagi, zaczęły mnie całować wszędzie, chichocząc i trącąc się łokciami. Jedna chwyciła mnie za prawą rękę, inna za lewą, a jeszcze inna wskoczyła mi na ramiona. Wydawało się, że waży nie więcej niż kilka kropel wody, a jej długie, szczupłe nogi, którymi oplotła moja szyję, były zimne jak rosa.

Wszyscy czworo skoczyliśmy do morza. Nie zamierzałem tego uczynić, ale to zrobiłem. Wszystko to było bardzo dziwne. Wcześniej w miejscu statku było brudne wyniesienie, lecz zanim opadliśmy do wody, przelewały się tam już fale krystalicznie czyste – chimeryczne, podobne do duchów uwieczonych w taflach śnieżnobiałej piany, duchów rozświetlonych błyskami księżyca i gwiazd. Poczułem wstrząs, jakbyśmy wskoczyli pod zimny prysznic, i usłyszałem ryk podobny do huku fali uderzającej o inną falę, a potem zanurzyliśmy się pod wodę.

– Nie utoniesz – powiedziała ta po mojej lewej stronie i zachichotała. W ogóle się nie martwiłem, choć powinienem.

– Tak długo jak jesteśmy z tobą, panie rycerzu. – To była ta z prawej; roześmiała się, a jej śmiech przypominał śmiech nagich dzieci bawiących się

w kałużach pozostawionych przez odpływ.

– Ale cię zostawimy! – To była ta usadowiona na moich ramionach; pociągnęła mnie lekko za włosy, by przyciągnąć moją uwagę. – Zawsze tak robimy!

Wszystkie trzy roześmiały się. Nie było nic okrutnego w ich śmiechu, lecz nie brzmiał on też przyjemnie.

– Garsecg nam każe! – powiedziały.

Wokół nas pływały dziwne ryby. Niektóre z nich wyglądały niebezpiecznie, inne bardzo niebezpiecznie. Nie wiedziałem, do kogo należą. Kiedy zeszliśmy niżej, księżyc i gwiazdy zgasły, a cały świat słońc, księżyców i wiatrów wydawał się bardzo, bardzo odległy. Tak pewnie czuje się astronauta; pewnie tak bardzo przyzwyczał się do podobnych doznań, że nie przychodzi mu do głowy, iż mógłby zostać porwany, a kiedy do tego dochodzi, zastanawia się, jak to się stało.

Tak jak ja.

Niektóre z ryb tam w dole miały zęby jak długie igły, a na bokach wielu z nich widniały rozjarzone plamy albo paski, czerwone, żółte lub zielone. Widziałem węgorza, który wyglądał jak paląca się lina, i inne straszne istoty, a potem zapytałem panny aelfickie, czy tam właśnie żyją, ponieważ nie wydawało mi się, by ktokolwiek mógł tam mieszkać, o ile one mogły mieszkać gdzie indziej.

– Mieszkamy tam, gdzie jesteście – odpowiedziały – a nazywamy się Duchy Wodne. – W tym momencie rozświetlił je od wewnątrz blask, jakby te smukłe, ładne dziewczęta zrobione były z niebieskiego światła. Miały skrzela i ogony, a także długie, zakrzywione szpony, które wyglądały na równie ostre jak rybie zęby.

Garsecg

U wejścia do podwodnej pieczary spotkaliśmy starca, który obiecał mnie uleczyć. Kazał wodnym duchom pójść sobie, co mnie chyba ucieszyło. Zapytałem go, gdzie jesteśmy, a on powiedział, że w Aelfrice.

– Nie jestem najstarszy pośród mojego rodzaju – powiedział – ani najmądrzejszy. Ale wiem dużo. Nazywam się Garsecg.

Później odkryłem, że to nie jest jego prawdziwe imię, wtedy jednak mu uwierzyłem i wciąż używam imienia Garsecg, gdy o nim myślę; tak więc tak go będę nazywał. Zapytałem, w jaki sposób zamierza mnie uleczyć.

– Nie ja. Morze cię uleczy. Chodź ze mną, to ci pokażę. – Wziął mnie za rękę i popłynęliśmy do miejsca, w którym woda na dnie morza była równie ciepła jak w wannie, a bąbelki pary wyrzucały szczelinami błoto i piasek. – W twoim boku jest dziura – powiedział do mnie. – Widziałeś kiedyś szczelinę w dnie morza?

Powiedziałem, że nie.

– To popatrz.

Bąbelki zaczęły płynąć szybciej i ze szczeliny wyleciały kamienie a pod kamiennym dnem rozległo się dudnienie podobne do grzmotu. Z dna morskiego wyleciały rozgrzane do białości skały spowite ogromnymi obłokami białej pary, które wystraszyły wszystkie ryby kraby i inne zwierzęta, tak że zostaliśmy sami.

Para i kamienie buchały przez długi czas, a potem stopniowo dudnienie ucichło i teraz przypominało pomruki pogrążonego we śnie olbrzyma, jakby umierał Gilling w łóżku wielkości wielu ludzkich domów. Rozgrzane kamienie przestały wylatywać w górę i ostygły. Wypłynęliśmy na górę i

ujrzałem kamienną wyspę, na środku której powstało coś na podobieństwo basenu. Morskie ptaki zaczęły już tam budować gniazda, a fale lizały plażę z szarego kamienia, tak jak kot zlizuje śmietankę.

Patrzyłem, jak wyrasta trawa, a potem drzewa, których korzenie wślizgiwały się do szczelin i penetrowały je głęboko w poszukiwaniu świeżej wody. Przez chwilę widziałem Disiri; naga przemknęła między drzewami. Chciałem pobiec za nią, lecz Garsecg zatrzymał mnie i przez moment szarpaliśmy się trochę, tak jakby. Tylko ten jeden raz walczyliśmy ze sobą.

Nowe ptaki sprowadzone przez Disiri zakładały gniazda w konarach jej drzew, z których spadały orzechy; z morza wypełzły kraby i zaczęły je zbierać. Garsecg złapał jednego i zjadł tak, jak się je pralinę, lecz ja bałem się ich szczypiec.

Wyspa stawała się coraz piękniejsza i coraz mniejsza, aż wreszcie zanurzyła się cała w morzu, które ją pochłonęło.

– Tak więc zobaczyłeś rozdarcie w dnie morza – powiedział Garsecg. – A widziałeś, jak umiera turnia?

Powiedziałem, że nie, i znowu popłynęliśmy. Kiedy dotarliśmy do turni, która miała umrzeć, wspięliśmy się po jej nagim stoku i stanęliśmy na szczycie.

Przez cały czas wiał wiatr, który się wzmaczał. Z czasem spowił nas tak donośny ryk, że nie słyszało się własnych myśli. Coraz większe fale napierały na turnię, każda wielka jak pociąg, oblewała nas pianą, a czasem nawet zalewała nas woda. Turnia drżała, a ogromne fale niosły ze sobą otoczaki, które waliły w skałę jak młoty i opadały do morza, by powrócić z następną falą. Kiedyś podczas Halloween rzucałem świrem w okna; widok ten przywrócił wspomnienia, lecz kiedy to rosilem, nigdy nie myślałem, jakie to w rzeczywistości jest straszne, i teraz poczułem się, jakby znowu był pod morzem – dzieciak rzucający kamieniami. Zaczęło się robić tak niebezpiecznie, że musieliśmy się cofnąć na ląd. Ale nawet i tam wiatr nasuwał mi na myśl rycerza, wielkiego rycerza na ogromnym koniu, który

jechał pośród małych, zwykłych ludzi, takich jak Garsecg i ja, i ciął na lewo i prawo. Wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale tak właśnie wtedy myślałem.

Woda podniosła się tak samo jak setki razy wcześniej. Zalała turnię, lecz kiedy opadła, tym razem znikła cała turnia.

Zbliżyłem się do krawędzi i spojrzałem w dół. Nie było łatwo utrzymać równowagę na wietrze, ale mi się udało – musiało – i kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem to, co zostało; fale, coraz mniejsze za każdym razem, napierały na plażę. Garsecg stanął u mego boku. Potem wyciągnął rękę ze złożoną dłonią, tak bym mógł zobaczyć, co w niej trzyma. W pierwszej chwili wydało mi się, że nic w niej nie ma. To była woda. Po prostu woda. Zapytał mnie, czy rozumiem.

– Chyba tak – odpowiedziałem mu. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

– Wyspa?

– Muszę być jak morze, o to chodzi? Morze czeka, gra na czas i zalewa rozerwaną część.

– A turnia?

– Sama woda to nic, lecz woda z energią jest mocniejsza niż skała. Dobra odpowiedź?

Garsecg uśmiechnął się.

– Chodź ze mną – powiedział.

Wróciliśmy do morza; tym razem płynęliśmy na powierzchni, podskakując na falach i pozwalając się nieść ich prądom.

– Twoja krew jest jak morze – rzekł Garsecg. Nie zrozumiałem tego od razu, lecz w miarę jak płynęliśmy, zaczęło docierać do mnie znaczenie jego słów. Z początku uznałem to za szaleństwo, ale potem stwierdziłem, że może jednak ma rację, aż wreszcie nabrałem pewności – czułem w sobie morze, tak samo jak czułem je poza sobą. Płynęliśmy tak długo, aż wydało mi się, że morze i ja tworzymy coś, co stało się częścią mnie. Wciąż tak jest, wciąż jest to prawda Duchy Wodne i inne Aelfy Morza twierdzą, że one czują

podobnie, ale one kłamią. W moim przypadku tak jest naprawdę, tak samo jak i u Kulili. Potrafię długo tryskać humorem i uśmiechem. Ale potrafię się wzburzyć, tak jak wtedy, gdy walczyliśmy z Angronitami na przełęczy. Giganci uciekali przede mną, a ci, którzy tego nie zrobili, polegli.

Wreszcie powiedziałem do siebie:

– Mocą morza życie opuściło morze. Mogły odejść, bo zabrały je ze sobą. Był morską istotą w łonie Matki, a ona była morską istotą w łonie swojej matki; będę morską istotą tak długo, jak długo zachowam życie. Król musi wiedzieć, tak samo jak ja, ponieważ umieścił nykra na swojej tarczy.

– Jest moim bratem – powiedział Garsecg. Płynęliśmy wytrwale; spojrzałem na niego zdziwiony.

– Słyszysz moje myśli?

– Czasem.

– Jesteś Aelfem. Czy król nie jest człowiekiem?

– Jest.

Długo się nad tym zastanawiałem, lecz nic nie wymyśliłem. Garsecg musiał coś z tego usłyszeć, bo powiedział:

– Kiedy mężczyzna mojego rodzaju bierze sobie kobietę twojego rodzaju, ona może urodzić dziecko.

– Jasne – odpowiedziałem, wciąż nic nie rozumiejąc.

– Każde dziecko ma coś z ojca i coś z matki; z wyjątkiem potworów każde dziecko jest płci męskiej lub żeńskiej.

Zatrzymaliśmy się, by odpocząć, i leżeliśmy na plecach, unoszeni łagodnymi falami.

– Ja miałem kobietę Aelfów – powiedziałem. – Kobietę, którą darzę prawdziwą miłością jak nikt inny na ziemi.

– Wiem.

– Czy będziemy mieli dzieci?

– Tego nie potrafię powiedzieć.

– Przypuśćmy, że tak. – Wcześniej nie myślałem o podobnych rzeczach. –

Jeśli to będzie chłopiec, to czy wyrośnie na ludzkiego mężczyznę?

– Albo na aelfiego. Nie sposób powiedzieć, dopóki się nie urodzi.

– A jeśli będzie dziewczynka?

– Tak samo. Ojciec króla był z kobietą mojego rodzaju, tak jak ty ze swoją dziewczyną Aelfów.

Wtedy się zorientowałem, że Garsecg nie wie wszystkiego, i szczerze mówiąc, poczułem się trochę lepiej.

– Z ich związku zrodziło się troje dzieci, jedno mojego rodzaju i dwoje twojego.

– Troje?

Garsecg przytaknął mi.

– Nasza siostra ma na imię Morcaine.

Kiedy znowu zaczęliśmy płynąć, myślałem, że czeka nas długa droga jak dotychczas. Teraz widzę, że Garsecg chciał odpocząć, zanim dotrzemy do miejsca, do którego zmierzaliśmy. Wiedział o schodach i wiedział, że może będziemy musieli walczyć. Khimairy by go nie poznały, a on nie byłby w stanie powiedzieć im, kim jest. Tak czy inaczej, właśnie znowu się rozgrzewałem, kiedy Garsecg zatrzymał się i pokazał palcem.

– Oto wyspa, którą wasi żeglarze nazywają Glas – oznajmił.

Niebawem wspinaliśmy się po śliskich, ostrych skałach rozświetlonych w blasku słońca purpurą, złotem i szkarłatem, a także wieloma innymi barwami, piękniejszych, niż byłbym w stanie opisać.

– Czy nazywa się Glas dlatego, że jest ze szkła? – zapytałem. Pokręcił głową.

– Nie ze szkła, lecz z opalu ognistego.

– Smoczy kamień. Nie spojrzał na mnie.

– Kto ci to powiedział?

Powiedziałem, że Bertold Śmiały, i nazwałem go moim bratem.

– Nie żyje, jak sądzę.

– Mądry Bertold. Jeśli nie wiesz na pewno, że zginął, to trzeba wierzyć, że

wciąż żyje.

Opowiedziałem Garsecgowi o tym, jak szukałem ciała Bertolda Śmiałego i go nie znalazłem.

– Wielu szukało tej wyspy, lecz ci, którzy jej szukają, nigdy jej nie znajdują. Za to wielu ujrzało ją przypadkiem, a garstka żeglarzy wylądowała na jej brzegu.

Miałem wrażenie, że Garsecg wie więcej, niż mówi, zapytałem więc, co się z nimi stało.

– Różnie. Niektórzy wrócili bezpiecznie na swoje statki. Inni zginęli. Niektórzy pozostają z nami, a jeszcze inni udali się w inne miejsca. Widzisz tę wieżę?

Widziałem, była ogromna. Ktoś zbudował drapacz chmur i ustawił go samotnie na tej wysepce, a ja początkowo zastanawiałem się, dlaczego zbudowano coś aż tak wysokiego? Ponieważ w pobliżu nie było niczego, co by mogło przytłoczyć wieżę. Chociaż było. Morze. Wyspa nie była duża, jeśli więc chciałeś postawić na niej duży budynek, to musiał iść w górę.

I tak było. Wieża była okrągła, tylko trochę szersza na dole, pięła się w górę w nieskończoność niczym igła, wyższa niż najwyższa góra.

– Jej budowniczy pochodził z szóstego świata, to jest z Muspelu – powiedział Garsecg. – Moi ludzie nie budują niczego takiego, jeśli nie muszą. Oby nie musieli! Z tej wieży Setr siał grozę na całą krainę, którą wy nazywacie Światem Poniżej.

Powiedziałem, że przeważnie nazywamy ją Aelfrice. Garsecg skinął głową.

– Budował też mniejsze wieże, twierdze wzniesione na wielu wybrzeżach. Moja siostra mieszka w nich, jeśli ma na to ochotę.

– Ale ty nie?

– Mógłbym, gdybym chciał. – Garsecg stał na czymś, co wcześniej wziąłem za zwykły śliski kamień, a potem poszedł przed siebie. Kiedy zniknął mi z oczu, usłyszałem, jak mówi:

– Jak tam rana?

Pomacałem bok, lecz nic nie znalazłem.

– Zagoiło się?

Dogoniłem go i powiedziałem:

– Została blizna, ale jest dobrze ściągnięta i zaleczona.

– Blizna zniknie. Był czas, że mewa mogła dostrzec skały pod wodą.

– Kapuję. Czy naprawdę jestem teraz najpotężniejszym rycerzem na całym świecie?

– Sam musisz to wiedzieć.

– W takim razie jestem. – Nie poczułem się silniejszy, gdy to powiedziałem, lecz wiedziałem, że jestem bardzo, bardzo silny i bardzo, bardzo szybki. Nie wiedziałem dokładnie, jak silny i jak szybki. Wiedziałem też, że po części zawdzięczam to Disiri, a po części to wpływ morza – kiedy je zrozumiałem, jak i to, że są we mnie przyływy i odpływy krwi zalewające plaże moich uszu. Lecz w jakimś stopniu to i moje dzieło, a właściwie ta część dotycząca morza była także mną; była we mnie przez cały czas, choć o tym nie wiedziałem.

Przestałem myśleć o tym wszystkim, bo zobaczyłem schody. Na tym wieżowcu przypominały pajęczą sieć i ciągnęły się w górę do czegoś w rodzaju szczeliny widocznej wysoko w górze. Blask słońca sprawiał, że schody i ściana zdawały się płonąć. Człowiek miał ochotę założyć słoneczne okulary albo może takie spawalnicze. Zmrużyłem oczy i osłoniłem je dłonią, lecz Garsecgowi słońce ani trochę nie przeszkadzało.

– Tutaj Setr zebrał najniebezpieczniejszą broń naszego świata, żebyśmy nie mogli mu się oprzeć. Ten, który potrafi przenosić góry, nie pozwolił nam zachować nawet sztyletu. Ale ostatecznie go wypędziliśmy.

Chciałem wiedzieć, czy Garsecg uważa, że Setr wróci.

– Czasem powraca, a potem znowu odlatuje, zanim zdążymy zebrać nasze siły. A czy ty byś nas wypędził ze swojego Świata Środkowego, gdybyś mógł, sir Able?

Pomyślałem o Disiri i zaprzeczyłem tak kategorycznie, jak tylko potrafiłem.

– Wielu by tak postąpiło. Wielu walczy z nami nawet teraz. Ale my i tak byśmy kiedyś wrócili. Podobnie Setr.

– Cała broń, o której mówiłeś, jest wciąż tutaj? Garsecg skinął głową.

– Od tysiąca lat plądrujemy jego skarbiec, a broń, którą stąd zabraliśmy, została poniesiona do różnych światów.

– W takim razie już jej tu nie ma.

Kiedy Garsecg znowu się odezwał, przemówił tak cicho, że ledwo go usłyszałem:

– Jego skarb prawie się nie skurczył.

Na schodach

– Pamiętasz – powiedział Garsecg, kiedy dotarliśmy do schodów – jak ci mówiłem, że nie potrafię uleczyć twojej rany, lecz uleczy ją morze, jeśli tylko udasz się ze mną do Aelfrice?

Przytaknąłem mu i pomacałem bok, żeby się upewnić, że rany rzeczywiście nie ma.

– Obiecałem też, że będziesz najsilniejszy pośród twojego rodzaju. I tak jest, lecz nie stało się to za moją sprawą, lecz twoją, a także morza.

– Czy chcesz, żebym się rozpląszczył i podziękował ci za to? – zapytałem.

– Nie zrobię tego. Jestem ci wdzięczny i będę wdzięczny do końca życia.

Pokręcił głową.

– Czyż nie jestem człowiekiem honoru? Za nic nie musisz mi być wdzięczny. Chcę, żeby to było jasne.

Nie było czymś łatwym uśmiechnąć się do Garsecga i chyba tylko wtedy udało mi się wyszczerzyć zęby do niego.

– W porządku, nic ci nie zawdzięczam. Tylko chciałbym, żebyś ty zawdzięczał coś mnie, bo możliwe, że poproszę cię o przysługę. Co chciałbyś, żebym zrobił?

– Wejdz pierwszy na schody. Zrobiłem pierwszy krok.

– Proszę bardzo. Patrz teraz. – Przebiegłem kolejne sto albo jakoś tak, po czym zatrzymałem się i spojrzałem w dół na niego. – Nie idziesz?

– Idę – zawołał – lecz ty musisz iść pierwszy. Ostrzegam cię, że będzie niebezpiecznie.

Odpowiedziałem, że nie ma sprawy, i ruszyłem dalej. Chyba powinienem się tu zatrzymać i wyjaśnić parę rzeczy.

Po pierwsze, kilkaset stopni na tych schodach nie było niczym wielkim. Prowadziły prosto do drapacza chmur i dochodziły do niego w jakiejś jednej czwartej jego wysokości, a potem pięły się dalej coraz bardziej stromo. Kształtem przypominały lekko luźny sznurek. Tysiące, tysiące stopni.

Po drugie, nikt nie musiał mi mówić, że będzie niebezpiecznie. Schody wykonane z twardego opalu ognistego były wypolerowane i tak gładkie, że można było się w nich przejrzeć. Szerokie na jakieś dwie i pół stopy, nie miały poręczy.

Po trzecie, no cóż, trudno mi o tym mówić, ale powiem. Wciąż myślałem, że tak naprawdę to Garsecg wyświadczył mi trzy przysługi. Wcześniej obiecałem Gylfowi, że już nigdy się go nie pozbędę. Mówiłem poważnie i nigdy więcej tego nie zrobiłem, choć wciąż się go bałem. Niedługo opowiem o Mani. Jego też można się przestraszyć. Lecz bez względu na to, jak bardzo potrafił być straszny, był tylko kotem. Wielkim, niebezpiecznym kotem, ale tylko kotem, który potrafi gadać. Gylf był już wystarczająco groźny przy swoich normalnych rozmiarach, a już wtedy domyśliłem się, że przybiera je tylko dlatego, żeby nas nie straszyć. Bo prawdziwy Gylf to tamta czarna istota z kłami jak sztylety, istota wielka jak Czarnogrzywy. W porządku, nie próbowałem się go pozbyć. Niemniej jednak został na statku (tak przynajmniej myślałem), kiedy odszedłem z duchami wodnymi. Odpowiadało mi to. Garsecg dogonił mnie.

– Przyniosłem cię na tę wyspę, abyś wybrał sobie jakąś broni spośród tu zebranych, zanim poprosimy cię o przysługę. Młody jesteś, tak więc miałem nadzieję, że przyjmiesz to wyzwanie, pragnąc umoczyć w krwi swój skarb.

Powiedziałem, że nie ma sprawy. Zrobię to, cokolwiek miał na myśli.

– Obawiałem się, że uznasz to za podstęp, tak więc spieszę z wyjaśnieniem. Cieszę się, że tak nie myślisz. Mimo wszystko zgodziłeś się zbyt pochopnie.

– Wcale nie – odparłem. – Duchy Wodne mówiły, że chcesz, abym walczył z kimś, kto się nazywa Kulili. Tak więc wiedziałem, w co się pakuję.

– W którymś momencie zerknąłem poza krawędź schodów i zaraz tego pożałowałem. Potem patrzyłem już tylko przed siebie.

– Zejście na dół będzie o wiele trudniejsze – powiedziałem, czy raczej mruknąłem pod nosem.

Garsecg odparł:

– Zejście na dół może być nieskończenie łatwiejsze, sir Able. Spójrz do góry.

Spojrzałem.

– Masz na myśli te czarne ptaki?

– To nie ptaki. To Aelfy Ognia – a raczej istoty, które były nimi. Teraz te Aelfy Ognia są Khimairami.

– To złe wieści?

– Służą Setrowi. My, Aelfy, zmieniamy postać. Przypomniałem sobie, jak Disiri zamieniała się dla mnie w różne dziewczęta, i powiedziałem:

– Tak, wiem.

– Setr zamknął je w postaci, w jakiej je widzisz. On sam też potrafi zmieniać postać i posiada taki potencjał, że może nadawać innym wielką siłę. Takimi więc je uczynił. Nie potrafią wyzwolić się spod jego zaklęcia.

Gdzieś w górze rozległ się przenikliwy krzyk:

– Nie wyzwolą się!

– Mimo to strzegą tej wieży – powiedział Garsecg – czy też próbują.

Pomyślałem, że to wszystko przypomina jakąś ogromną grę wideo, tyle tylko że to ja jestem na ekranie. Albo może jest to rzeczywistość wirtualna. Dotknąłem głowy, szukając sprzętu, lecz nic nie znalazłem, a zaraz potem Khimaira spikowała wprost na mnie i wzbiła się w powietrze, zanim zdążyłem ją chwycić; ujrzałem nieduże, wychudzone ciało, w większości czarne i tylko w pęknięciach czerwone, wyposażone w szpony, szczęki i czarne skrzydła jak u nietoperza.

– Liczą na to, że cię przekonają, iż nie stanowią wielkiego zagrożenia – mruknął Garsecg. – Teraz, kiedy już je zobaczyłeś, boją się, że zawrócisz.

– Raczej nie.

– Jak wejdziemy wyżej, zrzucą nas ze schodów. Jeśli będziemy walczyć, z pewnością spadniemy. Unikaj ich więc i wchodź tak szybko jak potrafisz. W wieży też nie będziemy przed nimi bezpieczni, ale lepiej już być tam na górze.

Zatrzymałem się i spojrzałem na niego, zastanawiając się, ile ma lat.

– A ciebie nie będą próbowały zabić?

– Te Khimainy porwały się już na moje życie wcześniej – powiedział.

Pokonałem jakieś kolejnych sto stopni, wtedy jedna z nich przemknęła tak blisko mnie, że poczułem jej zapach. Druga nadleciała z tyłu i jej skrzydło musnęło moją głowę.

– Zachowaj czujność – ostrzegł mnie Garsecg. – Słuuuchaaaj! Obróciłem się, by spojrzeć na niego. Tylko że jego już tam nie było, a zamiast niego pojawiło się coś na podobieństwo aligatora z rogami, wielkiego jak krowa, z dziesięcioma albo dwunastoma nogami. Na końcach nóg miał ssawki, które trzymały się mocno stopni schodów. Aligator machnął ogonem, uniósł łeb i ryknął na Khimairy, kłapiąc paszczą na te, które podfrwały blisko. Nagle jedna z nich mnie zaatakowała. Upadłem i w ostatniej chwili chwyciłem się krawędzi schodów jedną dłonią. Moje palce ślizgały się po kamiennym stopniu i pomyślałem, że zaraz umrę, gdy poczułem, jak ssawka zaciska się na przegubie mojej ręki i wciąga mnie z powrotem na schody.

Wciąż trzymałem się kurczowo, kiedy aligator otworzył pysk i ujrzałem w jego wnętrzu twarz Garsecga.

– Pamiętaj o morzu – powiedział. – I biegnij.

Byłem tak przerażony, że z trudem dźwignąłem się na nogi, lecz gdy już to uczyniłem, porwała mnie ogromna fala. Wiesz, co mam na myśli? Nogi też mnie bolały, lecz nie miało to znaczenia. Pędziłem, jakbym frunął, pokonując schody po trzy stopnie za każdym razem. Atakowały mnie albo próbowały, a raz się potknąłem, lecz nie zatrzymałem się ani na chwilę aż do momentu, gdy jedna z nich opadła na schody przede mną z mieczami w obu rękach.

Była cała czarna, kości i skrzydła, a zęby nie mieściły się w ustach. Do tego oczy wydawały się nie takie jak trzeba. Były wypełnione żółtym ogniem jak oczy wszystkich Aelfów, nawet duchów wodnych i tych, które dały mi Gylfa; takie same oczy, jakie miała Disiri, kiedy wyglądała jak kobieta. Gdy patrzyłem na nie, od razu powracałem do niej myślami.

Istota rozłożyła skrzydła, gdy zobaczyła, że się zatrzymałem. Z tak rozłożonymi ogromnymi, czarnymi skrzydłami była duża jak dom.

– Musisssz z nami walczyćcc. – Jej głos przypominał syczenie, ale dało się go zrozumieć. – Rozumiesssz? Mam miecccze dla nasss obydwójga.

Podsunęła mi jeden z mieczy rękojeścią do przodu, lecz go nie wziąłem. Uderzyłem w gałkę rękojeści i pchnąłem miecz do tyłu, prosto w pierś Khimairy. Otworzyła szeroko oczy przerażona, a z jej rany buchnęło coś, co nie do końca było krwią, i zaraz osunęła się na schody. Pomyślałem, że to dość łatwe, lecz zanim zdążyłem zrobić choćby krok, opadło na mnie pięć innych, które nie próbowały mnie zrzucić, lecz chwyciły i unieśli w powietrze. Pędziliśmy tak szybko, że przypominało to opadanie w górę podczas huraganu. Widziałem okna i balkony, a także łuki i zniszczone kawałki ścian drapacza chmur, a wysoko w górze ujrzałem zbliżający się Mythgarthr: drzewa i ludzie, zwierzęta i góry.

Mniej więcej wtedy ta, która trzymała mnie za lewą kostkę, krzyknęła, jakby się przestraszyła, po czym puściła mnie i odleciała. Domyśliłem się, że zamierzają mnie upuścić, więc wykręciłem tułów i chwyciłem za nadgarstki te, które trzymały mnie za ręce. Kopnięciem odpędziłem tę, która trzymała mnie za drugą nogę. Teraz machały skrzydłami jeszcze szybciej, mimo to zaczęliśmy tracić wysokość. Ta, która trzymała mnie za włosy, powiedziała:

– Spadamy! – Wtedy jej powiedziałem, żeby mnie opuściły na schody, lecz mnie nie puściły.

Chwilę później ta, która trzymała mnie za lewe ramię, wrzasnęła, że zaraz zginiemy. Ja wciąż darłem się, żeby mnie opuściły na schody, i w końcu to zrobiły, choć zeszyły zbyt szybko i wyrzneliśmy mocno o stopnie. Nie było

łatwo trzymać się Khimair tak, jak to robiłem, ale udało mi się, tak więc gdy tylko odzyskałem oddech, złapałem za łby dwie z nich i waliłem nimi o siebie, aż zaczęły błagać, żebym przestał.

Przestałem.

– A wy, koleżanki, pracujecie dla Setra?

– Sssetr to onnn.

Jeszcze razem grzmotnąłem ich głowami.

– Nie o to pytałem. Pracujecie dla niego?

– Taaak!

– W porządku. Koniec z tym. Od teraz pracujecie dla mnie.

– Nie możemy wyrzecć się Sssetra! – odpowiedziały.

– W takim razie umrzecie. Połamię wam skrzydła i zrzucę was z tych schodków.

Za moimi plecami pojawił się Garsecg, lecz nie był już aligatorem.

– To złe istoty, sir Able, ale oszczędź je, proszę. Powiedziałem, że to czyste wariactwo.

– Tak, sir Able, proszę o to przez wzgląd na dobro, jakie ci wyświadczyłem.

Przewróciłem jedną i postawiłem stopę na jej szyi, drugą zaś przerzuciłem sobie przez kolano twarzą do góry. Wciąż byłem obolały od upadku i ogłupiały ze strachu, tak że gotów byłem je zabić za dwa centy. Oparłem się o tę na moim kolanie i usłyszałem chrzęst jej kręgosłupa podobny do skrzypienia furtki na wietrze.

– Ona nie może wyrzec się Setra – powiedział za moimi plecami Garsecg.

Nic nie odpowiedziałem i przycisnąłem Khimairę trochę mocniej.

– Czy nic mi nie zawdzięczasz?

Wiedziałem, że wiele mu zawdzięczam, ale czułem, że zaczyna mnie irytować. Po krótkim zastanowieniu powiedziałem:

– Temu jak-mu-tam też coś zawdzięczam. Gdyby nie on, już bym nie żył. Dlatego zamierzam wyzwolić go z niewoli Setra, żeby już nie musiał tak

wyglądać.

Kiedy przycisnąłem Khimairę trochę mocniej, powiedział:

– Wyrzekam się go!

– Powiedz imię. Kogo się wyrzekasz?

– Ssetra. Wyrzrzekam się Ssetra na zawsze. Zerknąłem przez ramię na Garsecga.

– I co o tym myślisz? Wzruszył ramionami.

– Wystarczy ci takie mruknięcie?

– Myślisz, że nie mówił poważnie?

– Nie wiem. To nie ma znaczenia – każdy może powiedzieć, co chce. Mówiłem ci, że ona nie może wyrzec się Setra. Czy kajdany opadną z rąk więźnia, w chwili kiedy wyrzeknie się ich?

– Na co musiałyby przysiąc, żeby było naprawdę? Garsecg pokręcił głową.

– Nie ma takiej przysięgi.

Zastanawiałem się przez moment nad tym i powiedziałem:

– W jaki sposób Setr zmusza je do tego, żeby robiły, co chce?

– Kto to wie?

– Ona. – Przycisnąłem mocniej Khimairę i powiedziałem: – Słuchaj no. Powiedz, w jaki sposób cię zniewolił, albo zaraz złamię ci kark.

Garsecg powiedział o wiele więcej, ale nie będę tego relacjonował. Chciał, żebym puścił Khimairę.

– Zzzabij mnie – powiedziała. – Zzzakończ moje żżżycie i moją agonię.

Zepchnąłem ją z mojego kolana i chwyciłem za kark.

– Przysięgałaś na Setra, prawda? Powiedz prawdę!

– Taaak.

Ze dwadzieścia innych kręciło się nad nami, uznałem więc, że lepiej będzie, jak wejdziemy do środka. Pozwoliłem wstać Khimairze i także chwyciłem ją za kark. Zmusiłem je, żeby złożyły skrzydła, wpakowałem każdą pod pachę i pobiegłem co sił w nogach. Nie były ciężkie, a poza tym

morze płynęło przeze mnie. Mimo to nie było łatwo, tak więc kiedy wreszcie dostaliśmy się do środka, czułem, że mam dość. Cisnąłem je na ziemię i kazałem siedzieć cicho, czekając, aż odzyskam oddech i dogoni nas Garsecg. Znaleźliśmy się w ogromnym pokoju, dość ciemnym, w którym cuchnęło zgniłym mięsem i pleśnią i w którym panowała taka cisza, że słychać było bicie własnego serca. Tron ustawiony w przeciwległym końcu miał jakieś dwadzieścia pięć stóp wysokości i pięćdziesiąt szerokości.

– Tutaj Setr planuje osąd nad naszym światem – powiedział Garsecg. – Zmuszając nas, byśmy wiedli prawe życie.

Wciąż byłem wściekły. Powiedziałem, że dla mnie to dość wygórowane żądanie i że choć Aelfy, które dotąd spotkałem, były w porządku, to powszechnie mówi się, że nie należy im wierzyć i że potrafią podstępem przegnać ptaki z drzewa. Spodziewałem się, że Garsecg zjedzie mnie za takie słowa, lecz on wyglądał raczej na zasmuconego i tylko mi przytaknął.

– No cóż, my też nie jesteśmy najuczciwszymi ludźmi na świecie – rzekłem.

I wtedy on powiedział coś, co mnie zupełnie zaskoczyło:

– Mimo to jesteście bogami Aelfrice.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ktoś tak powiedział. (W porządku, powiedział, ale wtedy o tym nie pamiętałem). Wiedziałem, że mówi to poważnie, i nie miałem pojęcia, jak zareagować. Nie chciałem dać poznać tego po sobie i czułem, że muszę się nad tym zastanowić, tak więc chwyciłem jedną z Khimair i ponownie zapytałem, czy wyrzeka się Setra, a kiedy potwierdziła, kazałem jej przybrać normalną postać Aelfa, ponieważ ta postać zdecydowanie bardziej mi się podobała. Spróbowała, lecz bez powodzenia.

Powiedziałem Garsecgowi, że miał rację.

– Znasz pewnie Disiri – rzekłem. – Ja też ją znam. Kiedyś zmieniała się dla mnie. Wydawało się, że to dla niej nic trudnego. Czy ciężko ci było przeistoczyć się w aligatora z tymi wszystkimi nogami?

Potrząsnął głową.

– To kwestia koncentracji, sir Able. Patrz. – Zanim skończył mówić, zaczął się rozpląwać i unosić. Z pewnością nie wiesz, co mam na myśli, nawet jest myślisz, że wiesz. Ale nie potrafię opisać tego inaczej. Znasz technikę claymation? To było podobne, jakby ktoś, kogo nie widziałem, lepił go między kolejnymi klatkami. Zaczął wyglądać jak ja. (To znaczy jak ja po tym, kiedy Disiri mnie przeniknęła). Stawał się coraz bardziej podobny do mnie, aż nie było różnicy i mógłby nabrać każdego. Nie było żadnego dymu, lecz nie myślałem o tym.

I wtedy po raz pierwszy zwróciłem uwagę na jego wzrok. Mówiłem już to chyba z tuzin razy, że wszystkie Aelfy mają takie ognistożółte oczy. Do tego momentu nie przejmowałem się tym, że Garsecg ma inne. Oczy aligatora były malutkie, dlatego pewnie nie zwróciłem na nie uwagi. Ale kiedy upodobił się do mnie, jego oczy stały się wyraźniejsze i przyjrzałem im się dokładnie. Wcale nie miał oczu

Aelfów ani psa czy kota, czy czegoś takiego. Jego oczy przypominały porywisty wiatr w ciemną noc.

I tak już byłem nieźle przestraszony, lecz teraz jeszcze bardziej się spietrałem. Udałem, że niczego nie zauważyłem, ale cały się trząsałem w środku. Żeby ukryć strach, kazałem drugiej z Khimair wyrzec się Setra.

Odmówiła, wtedy powiedziałem:

– Nawet jeśli sprawię, że będziesz brzydka i zostaniesz tutaj? Czy on coś kiedykolwiek zrobił dla was?

– Niccc nie dossstałyśśmy – powiedziała pierwsza – pozzza tą possstacją. Wiele obiecccywał, mówił, że dossstaniemy, kiedy wykonamy kolejne zzzadanie.

Ta, z którą rozmawiałem, przytaknęła.

– Zzzawsze kolejne zzzadanie. Garsecg wszedł między mnie i ją.

– Skoro tak, to dlaczego nie chcesz wyrzec się Setra tak jak twoja towarzyszka?

Tamta Khimaira obeszła mnie i przyklękła przede mną.

– Panie, będę ci sssłużyć we wszyssstkim. Czy to nie wysstarczy? Uratowałam cię, tak sssamo jak Baki. Rozzzkazuj, a ssspełnię każde twoje życzenie.

Potrzebowałam czasu na zastanowienie się, tak więc zapytałam ją:

– Jak masz na imię?

– Twoja niewolnicca, panie, nazywa się Uri. Garsecg znowu przybierał swoją normalną postać.

– Nie wierz, sir Able, że to ich prawdziwe imiona, których można by użyć w zaklęciach.

– Tak, tak! – zapewniły mnie obie. – Prawdziwe!

Chciałem pomyśleć. Czasem naprawdę odczuwam podobne pragnienie. Wcześniej zastanawiałem się nad kilkoma rzeczami, jak choćby nad tym, dlaczego Garsecg ma inne oczy i dlaczego chce, żeby puścił te dwie Khimairy.

– Nie zawsze dobrze jest rozpowiadać na prawo i lewo prawdziwe imiona, prawda? – powiedziałem. – Bo tak na przykład mnie wszyscy nazywają tu Able. Czy będzie dobrze, jeśli zacznę cię nazywać twoim prawdziwym imieniem? Czy raczej powinienem pozostać przy Garsecgu?

– Masz rację – odparł Garsecg. Nie wymawiaj mojego prawdziwego imienia, nawet kiedy jesteśmy sami.

– W porządku. Wiesz chyba, że te tu jak-im-tam omal mnie nie zabiły.

Potrząsnął głową.

– I tak bym cię uratował. – Jeśli kłamał, to był dobrym kłamcą. Rzeczywiście był.

Odpowiedziałem, że nie będę się sprzeczał, ale wydawało mi się, że jest mi coś winien.

– Odwdzięczę ci się i pozwolę ci zabrać zgromadzoną tu broń, której będzie ci zazdrościł cały świat.

– Masz na myśli Eterne?

– Nie. Jego tu nie ma i jestem zdziwiony, że wiesz o jego istnieniu. Wzruszyłem ramionami, tak jakoś.

– Tylko jego pragnę, a ty i tak chciałeś mi coś dać, żebym mógł walczyć dla ciebie z Kulili. Zamiast broni wezmę te dwie. Porzuciły Setra, powinny więc zdjąć już swoje uniformy. Tak mi się wydaje.

– Jedna z nich wyrzekła się Setra, jak mówisz, a druga przysięgła ci służyć. Będziesz walczył z Kulili?

– Powiedziałem, że tak. Nie cofam danego słowa, Garsecgu.

– A zatem nie widzę powodu, dla którego nie miałybyś zatrzymać tych dwu tutaj – jeśli rzeczywiście je chcesz. Pamiętaj tylko, że jeśli człowiek ma niewolnicę, niewolnica ma pana.

Powiedziałem, że dla mnie może być.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałem. Ich nowy uniform będzie...?

– Taki jak ich naturalna postać – odparłem. – Postać Aelfów. Jeśli nie zamienią się tutaj, to zabiorę je na samą górę tego drapacza chmur. To powinno załatwić sprawę.

Garsecgowi wcale się nie spodobały moje słowa. Chciał, żebym je puścił i żebym poszedł z nim prosto do zbrojowni zgodnie z jego planem. Nie chciałem i kiedy doszliśmy do wewnętrznych schodów, poszedłem z Khimairami na górę zamiast na dół. Wreszcie się zgodził i powiedział, że spotkamy się na górze.

Słoneczny brzeg

Gdybym opowiedział o wszystkim, co się potem wydarzyło na schodach we wnętrzu drapacza chmur, i o tym, co mówiłem do Uri i Baki oraz co mi odpowiedziały i w jaki sposób, zużyłbym na to stos papieru równie wysoki jak same schody. Dlatego nie zamierzam opowiadać wszystkiego i ograniczę się tylko do najważniejszych rzeczy.

Chciałem się dowiedzieć, dlaczego Aelfy wypędziły Setra, a stało się to dlatego, że pragnął zostać królem ich wszystkich. Nie spodobało się to niektórym ich królom i królowym.

Chciałem się też dowiedzieć, dlaczego niektórzy z nich, jak Uri, stali po jego stronie. Powodem tego była Kulili. Nienawidzili jej, a Setr próbował wcześniej ją zabić. Zebrał ogromną armię, wszystkie Aelfy morza i Aelfy ognia, a także inne. Zaatakowały ją tłumnie, a ona wybiła połowę z nich, resztę zaś przepędziła. Próbowałem się też dowiedzieć, dlaczego pragnęły jej śmierci, ale nigdy nie dotarłem do samego dna. Przybierała najróżniejsze postacie, a zatem też potrafiła się zmieniać. Żyła w morzu podobnie jak Aelfy Morza, ale głębiej.

Tamtego dnia nie dotarliśmy na samą górę, następnego też. Chyba powinienem to zaznaczyć. Uri i Baki wiedziały, gdzie można znaleźć jedzenie po drodze, tak więc zatrzymywaliśmy się przy tych miejscach, żeby odpocząć i się posilić, jeśli było czym. Mogliśmy też znaleźć pokój, w którym dało się zabarykadować. Zrobiliśmy tak dwukrotnie, kiedy zatrzymaliśmy się na nocleg.

Tylko że tak jakby straciłem poczucie czasu i nie wiem, ile upłynęło dni, lecz kiedy wreszcie dotarliśmy do ogrodu na dachu, była noc. Nie widziałem

nigdzie księżyc, lecz w jasnym świetle gwiazd ujrzałem liczne drzewa owocowe obwieszane owocami. Ucieszyłem się, bo byliśmy gotowi jeść wszystko. Baki podfrunęła na palmę daktylową i przyniosła kiść dojrzałych daktyli. Nigdy wcześniej ich nie jadłem, a teraz mogę powiedzieć, że to najsmaczniejsze owoce na świecie. Rosły tam też pomarańcze, niezupełnie takie jak u nas w domu, ale też nie całkiem podobne do mandarynek. Takie małe i słodkie.

Gdy już się najedliśmy, nakazałem Uri i Baki, żeby się położyły, i powiedziałem, że będę trzymał wartę. Widziałem, że im bliżej jesteśmy dachu, tym mniej chętnie idą ze mną, dlatego bałem się, że jeśli postawię którąś na warcie, to uciekną.

Tak więc poszły w kimę, a ja usiadłem oparty plecami o pień drzewa i starałem się nie zasnąć, mrugając mocno i ziewając. Potem spojrzałem na gwiazdy i zacząłem rozmyślać o człowieku, którego Kerl nazwał Księżycowym Jeźdźcem. Oczywiście niedługo potem pojawił się księżyc.

I wtedy to sobie uzmysłowiłem. W Aelfrice nigdy nie widziało się gwiazd ani słońca, księżyc czy czegoś takiego. Nigdy ich nie widziałem – ani wtedy, gdy udaliśmy się tam z Tougiem, ani kiedy razem z Garsegiem płynęliśmy i patrzeliśmy, jak rodzi się, żyje i umiera wyspa, jak umiera turnia i tym podobne. Jeśli dopisało ci szczęście, mogłeś zobaczyć miejsce, z którego przyszedłem, miejsce, w którym był „Zachodni Kupiec”, Irringsmouth i wiele innych rzeczy. Widziałeś Mythgarthr, tamtejszych mieszkańców oraz ich życie, tak jak oglądasz czyjeś życie w filmie. (Choć niezupełnie jak w filmie, bo to, co oglądałeś, było dłuższe i zawierało więcej szczegółów, a ty traciłeś z pola widzenia kogoś i szedłeś do kogoś innego – wiesz, o co chodzi) . Tak więc to w ogóle nie była Aelfrice. Dół znajdował się w Aelfrice, lecz góra w Midgarze, tak samo jak nasz księżyc i nasze gwiazdy znajdowały się tak naprawdę w Skai.

Tak więc miałem rację i jeśli coś w ogóle mogło mnie powstrzymać przed snem, to właśnie to. Ale nie powstrzymało. Zasnąłem. Nie mogłem nic na to

poradzić.

Księżyc wspiął się po misie Skai stał teraz wyżej i świecił jaśniej, lecz nie to mnie obudziło. Zrobił to Garsecg. Pojawił się, machając skrzydłami, zupełnie jak jakiś latający dinozaur większy niż samolot. Obudził mnie głośny trzepot jego skrzydeł i strumień powietrza. Wciąż jeszcze kurczył się do rozmiarów Garsecga, kiedy powiedział:

– To je może zabić. – Wskazał na Uri i Baki. – Wiesz o tym? Ziewnąłem i odpowiedziałem:

– Chyba tak, ale niespecjalnie mnie to obchodzi. Może powinno, ale tak nie jest.

– Nie słuchały cię?

– Musiałem je przeciągnąć po podłodze i przylałem im trochę. Nie bardzo mi się to podobało, ale tak było. Staralem się zbytnio ich nie krzywdzić.

Garsecg, który przybrał już swoją normalną postać, skinął głową.

– One wiedzą, że mogą umrzeć.

– Nie sądzę – odparłem. – Myślę, że Setr zakazał im przychodzić na górę i wciąż nie mogą tego robić, nawet jeśli chcą. Zaczarował je, rzucił na nie zaklęcie, nie ma znaczenia, jak to nazwiesz.

Garsecg uśmiechnął się.

– Dlaczego miałyby to zrobić? Wiesz? – zapytał.

– Chyba tak – powiedziałem. – Odpocząłeś?

– Bardziej niż ty, to pewne.

– W takim razie stań na warcie. Obudź mnie o świcie.

– O wschodzie słońca?

Sprawdzał, czy wiem, gdzie jestem, ale nic mnie to nie obchodziło.

– Jak tam chcesz – mruknąłem i poszedłem spać.

Kiedy się obudziłem, słońce dawno już wstało. Myślałem, że Garsecg sobie poszedł, lecz kiedy obmyłem twarz w strumieniu, zobaczyłem go (jakbyś zobaczył ducha) siedzącego w głębokim cieniu pod dużym drzewem. Usiadłem obok; nie bardzo wiedziałem, czy powinienem się wściec, że mnie

nie obudził wcześniej.

– To jest durian – powiedział i pokazał mi dziwny owoc. – Chcesz spróbować?

Powiedziałem, że tak, i wziąłem od niego owoc, on zaś sięgnął po inny dla siebie.

– Nie pachnie zbyt ładnie – wyjaśnił – za to miąższ jest smaczkowy i zdrowy.

Owoc miał kolczastą skorupę, dlatego nie umiałem go otworzyć.

– Nie znalazłeś żadnej broni? Odpowiedziałem, że nie.

– Cała broń jest na dole, w zbrojowni. Tak przynajmniej mówiła Uri. A tak przy okazji, dlaczego nie obudziłeś mnie o wschodzie słońca? Obiecałeś.

– Wcale nie. – Garsec obierał swojego duriana. – Zasugerowałeś tylko, żebym cię obudził o świcie. Zapytałem, czy masz na myśli wschód słońca. Powiedziałeś, że tak, i zasnąłeś. Miałeś jakiś sen?

Skinąłem głową.

– Jak się to obiera?

– To dobre miejsce na sny. Może nawet najlepsze. Co ci się śniło?

– W moim śnie miałem kolczugę, hełm, tarczę i miecz. – Już mało co pamiętałem. – Zjechałem z nieba jak Księżycowy Jeździec. Przybyłem chyba na ziemię wymierzyć sprawiedliwość, tylko że ziemia mnie połknęła. Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Chyba nic.

– Ty wiesz. Wiesz wszystko o tych sprawach. Potrząsnął głową.

– Nie wiem i nie zamierzam niepokoić cię moimi spekulacjami.

– Tak jak nie zamierzałeś mnie obudzić. Mogę spróbować twojego? Podał mi owoc. Powąchałem go, tak jak by to zrobił Gylf, i stwierdziłem, że śmierdzi. Pomyślałem o śmierdzącym serze, który lubię.

Ugryzłem owoc.

– Miałeś rację. Jest dobry.

– Przekonasz się, że generalnie mam rację. Kto cię obudził? Oddałem mu

duriana.

– Słońce na twarzy.

– Zakładam, że nie dotknęło twoich niewolnic.

– One nie są moimi niewolnicami. Jeszcze nie, tak przynajmniej mi się wydaje.

– Myślę, że będziemy wiedzieli, kiedy to się stanie. Poszukałem ich wzrokiem i zobaczyłem, że leżą w tym samym miejscu, w którym się położyły. Od słońca odgradzała je kępa kwiatów.

– Naprawdę myślisz, że umrą? – zapytałem go.

– Możliwe.

Garsecg zamilkł i siedział, głaszcząc palcami brodę, podczas gdy ja próbowałem otworzyć duriana paznokciem. Wreszcie przemówił:

– Zanim to się stanie – albo i nie – powinienem ci powiedzieć o wielu rzeczach. Zacznę od kilku. Po pierwsze, pozwoliłem ci spać, ponieważ musisz walczyć z Kulili. Wiem, że i tak byś walczył, nawet zmęczony. Tylko że wtedy byś zginął i w niczym mi nie pomógł.

– Wolę myśleć, że i tak bym wygrał – odparłem.

– Możliwe, lecz ja nie mogę pozwolić sobie na podobne kaprysy. Zamilkł, spodziewając się mojego protestu, lecz nic nie odpowiedziałem.

– Po drugie, okłamałem cię. Powiedziałem, że nie znam zaklęcia, którym można zniewolić Aelfa.

Spojrzałem na niego.

– Co to za zaklęcie?

– Aelfy poddają mu się, kiedy przysięgają na swoich dawnych wysokich bogów.

Kiedy to mówił, odniosłem dziwne wrażenie, że latający zamek przemieszcza się właśnie nad nami. Spojrzałem do góry, lecz zobaczyłem tylko połąć błękitu i kilka dużych chmur.

– Masz na myśli mieszkańców Skai, Overycnów?

– Tak – odparł Garsecg – i nie.

– Nie kumam.

Skinął głową, jakby się tego spodziewał.

– I wątpię, byś to pojął. Dawni wysocy bogowie Aelfów to w rzeczywistości ich podniebni ludzie. To znaczy ludzie widziani na niebie Aelfrice.

– Chcesz powiedzieć...? Chwileczkę.

– Jak najbardziej.

– Masz na myśli... Bertolda Śmiałego czy Kerla? Facetów ze statku? Takich ludzi?

Garsecg skinął głową.

– Twierdzisz, że i ja jestem bogiem. To czyste wariactwo!

– Jesteś nim nie dla siebie, lecz dla Aelfów. Jeśli przysięgną na twoje imię, są związani.

– Nie jestem bogiem!

– Masz psa. – Garsecg uśmiechnął się. – Rozmawiałem z nim. Różni się od Aelfów tym, że oni zbuntowali się przeciwko tobie, lecz w niczym innym.

Powróciłem myślami do Gylfa i przypomniałem sobie, jak poszedł za mną od brodu i przepłynął na statek, a potem głodował ukryty w ładowni.

– Chyba masz rację – powiedziałem – ale czasem się go boję.

– Aelfy wielbią mnie teraz. – Garsecg znowu się uśmiechnął. – Wielu teraz, a w przyszłości wszyscy. Nieraz mnie przestraszyli.

Też się nad tym zastanawiałem. I doszedłem do wniosku, że jest to jedna z tych rzeczy, które brzmią sensownie, lecz w rzeczywistości wcale takie nie są. Wreszcie mnie olśniło i powiedziałem:

– Overcyni są nieśmiertelni. Żyją szybciej niż my, tak mówił Bertold Śmiały. Całe lata ich życia to u nas jeden dzień. Tylko że nigdy nie umierają.

Garsecg skinął głową.

– Dawni wysocy bogowie Aelfów też są nieśmiertelni. Co się stanie z twoim duchem, kiedy umrzesz?

Próbowałem sobie przypomnieć.

– Też umrze?

– Nie sędę.

– Mój umrze. – Garsecg wskazał na Khimairy. – Podobnie jak ich duchy. Płynąłeś statkiem, sir Able. Co się dzieje z wiatrem, kiedy przestaje wiać?

W tym momencie rozległ się krzyk jednej z Khimair, wstałem więc i poszedłem do nich. Garsecg zawołał za mną:

– To była Uri czy Baki?

Nie potrafiłem powiedzieć, lecz nie miało to znaczenia, ponieważ w tej samej chwili druga krzyknęła dotknięta promieniami słońca. Obie trzęsły się i poruszały ustami i wydawało się, że oczy wyskoczą im z głów. Przyglądałem im się przez jakiś czas, a potem zawołałem Garsecga:

– Chodź zobacz! Skrzydła im się zmniejszają! Nic nie odrzekł, więc powiedziałem:

– Nie przyjdiesz?

Jedna z Khimair próbowała coś powiedzieć. Wywalila język tak, że mogłaby polizać się po brzuchu, mimo to wciąż próbowała coś mówić. Zaczęła z niej opadać czarna powłoka, pod którą Khimaira była czerwona. Pomyślałem, że przypomina kłodę wrzuconą do ognia. Jak się ją uderzy twardym kijem, to opada spalona skorupa i widać ogień, który ją trawił od środka.

– Mają sutki! – zawołałem do Garsecga.

Miały je, za to nie miały już pazurów. I wargi zakrywały im już zęby. Wreszcie wróciłem do Garsecga.

– To naprawdę jest dla nich bolesne – powiedziałem. – Już po wszystkim? Potrząsnął głową.

– Dopiero początek. – Myślałem... Roześmiał się.

– I bardzo dobrze, jeśli tylko nie będziesz z tym przesadzał.

– Kocham Disiri. Ale jak mogę, skoro jestem dla niej bogiem?

– Będąc sobą.

– Nigdy mnie nie wielbiła i nie chciałbym, żeby tak było. To ja ją wielbię.

Garsecg spojrział na mnie tak, jak zwykła spoglądać na mnie pani Collins.

– Czy ona powiedziałaaby to samo, sir Able?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jedna z Khimair wstała, tyle tylko że już nie była Khimaira. Była cała czerwona, a jej włosy płynęły, jakby rozwiewał je wiatr. Falowały i trzaskały. Patrzyła na nas niewidzącym spojrzeniem. Po chwili odeszła, potykając się.

– Rzuci się z pierwszego klifu, do którego dojdzie – powiedział Garsecg. – Próbuje polecieć z powrotem do Aelfrice. Zatrzymasz ją?

Wstałem i zatrzymałem ją bez problemu, a potem zaniósłem pod drzewo durianowe.

– Będzie dobrze, jak ją położę w cieniu?

Garsecg odpowiedział skinieniem głowy, więc położyłem ją w miejscu, które wydało mi się odpowiednie. Jej ciało miało barwę nowiutkiego centa i było smukłe i zgrabne.

Kiedy znowu usiadłem obok Garsecga, powiedziałem:

– Wiedziałeś, że tak będzie.

– Obawiałem się czegoś gorszego, że umrze. Wciąż boję się, że obie umrą, choć teraz wydaje się to mniej prawdopodobne.

– Kiedyś razem z Disiri bawiliśmy się w wodzie – powiedziałem. Przypomniałem sobie, jak stopa Disiri zmieniła się, gdy dotknęły jej promienie słońca, a kiedy powiedziałem „w wodzie”, Baki musiała to usłyszeć, bo zaczęła błagać o wodę. Strumyk płynął niedaleko, więc przyniosłem jej trochę wody w dłoniach.

Garsecg pokazał ręką w tamtą stronę.

– Znajdziesz tam lepszy pojemnik, jeśli chcesz. – Zacząłem się rozglądać, wtedy powiedział: – Pod drzewem limony, z innymi przedmiotami.

Musiałem odejść trochę dalej. Zapytałem go, czy zaopiekuje się naszymi czerwonymi dziewczynami, a on się zgodził.

Wydawało mi się, że ten ogród na dachu drapacza chmur to najpiękniejsze miejsce, w jakim byłem kiedykolwiek. Dżungla, która wyrosła na nowej

wyspie, też była ładna, lecz tu podobało mi się bardziej. Otaczało mnie mnóstwo kwiatów i owoców.

W pierwszej chwili wydawało się, że pod drzewem limony rośnie tylko trawa i nie ma tam nic więcej. Lecz potem coś znalazłem. Białą kość. A potem resztę, żebra, kości nóg i inne małe kości, być może dłoni lub stóp. Kiedy zobaczyłem czaszkę, podszedłem, żeby ją podnieść, i wtedy nadepnałem na tubę, która wyglądała, jakby wykonano ją z grubego zielonego szkła. Moja stopa była naga, podobnie jak cała reszta, ale szkło nie pękło. Podniosłem tubę, a kiedy wyjąłem korek, zobaczyłem we wnętrzu papierowy zwój. Zabrałem wszystko w bardziej słoneczne miejsce, żeby się przyjrzeć.

Po pierwsze

Kiedy wróciłem do duriana, aelfickie panny leżały obok siebie tak spokojnie, że bałem się, iż nie żyją. Nazwałem je tak, a nie Khimairami, ponieważ teraz nimi były. Nie miały w sobie już nic z Khimair. Kiedy się upewniłem, że oddychają, podałem Garsecgowi puchar, który znalazłem pod drzewem limony, i zapytałem, czy to miał na myśli. Odpowiedział, że tak, wtedy ja zapytałem:

– Czy mam im teraz przynieść wody?

Wróciwszy do strumienia, wziąłem garść piasku i wyczyściłem nim wnętrze naczynia. Było matowe i jakby poplamione, lecz potem błyszczało całe. Wypłukałem je i napełniłem czystą, zimną wodą.

Posadziłem jedną z aelfickich dziewczyn, chyba Uri, podtrzymując ją, i podsunąłem jej puchar do ust. Garsecg obserwował mnie, ale się nie uśmiechał ani nie marszczył brwi, po prostu patrzył.

– Kiedy promienie słońca dotknęły stopy Disiri, nie wydawało się, aby ją to bolało – powiedziałem.

Skinął głową.

– Dlatego uznałeś, że nic im nie będzie, kiedy je tu sprowadzisz. Zamierzałeś zerwać więzy Setra i przywrócić im pierwotną postać. Rozumiem. Ale skąd wiedziałeś, że szczyt tej wieży sięga do twojego Mythgarthru?

– No cóż, kiedy mnie pochwyciły i poniosły, sądziłem, że tam właśnie zdążają. Początkowo wydawało mi się, że zamierzają mnie po prostu zrzucić w dół i zabić, lecz by to zrobić, nie musiały lecieć ze mną aż tak wysoko. Pomyślałem więc, że kierują się na sam szczyt i że kiedy będą próbowały

mnie tam zjeść, uda mi się je pokonać. Tylko że jedna z nich się przestraszyła i puściła moją nogę, a kiedy już trochę opanowałem własny strach, zacząłem się zastanawiać, co ją tak przestraszyło. Przypomniałem sobie o słońcu i wiedziałem, że Khimaira spadnie, jeśli przyjmie postać aelfickiej panny. Tylko że w Aelfrice nie ma słońca, tak więc jeśli przestraszyła się, że zbliżamy się niebezpiecznie do słońca, to musiała mieć na myśli Mythgarthr.

Baki usiadła. Wtedy jeszcze nie bardzo je rozróżniałem, lecz teraz wiem, że to była Baki.

– Cudownie jest móc latać – powiedziała słabym głosem, przyciskając dłonie do skroni. – Czy będę jeszcze kiedyś latała?

– Możesz powrócić do postaci Khimairy, kiedy tylko zechcesz – obiecał jej Garsecg – a także zrzucić ją z siebie, gdy tak postanowisz.

Widząc, że nie zrozumiała, powiedziałem:

– Znowu jesteś wolna. – Wsunąłem jej w dłonie puchar z wodą.

– Nie, panie. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem, a ja o mało się nie rozplakałem. – Nie jestem i wcale nie chcę być wolna. Teraz mam nowego pana.

– Twoja niewolnica – wyjaśnił Garsecg – tak jak cię ostrzegałem.

– Nigdy nie obiecywałaś pracować dla mnie – zwróciłem się do niej. – A jeśli nawet, to była to tylko obietnica, a nie przysięga.

– P-panie, mylisz się. Przysięgałam w sercu, gdzie nie mogłeś słyszeć.

Potem próbowałem się dowiedzieć czegoś na temat żeglarzy, bo wciąż nie dawały mi spokoju kości, które znalazłem. Zapytałem Garsecga, czy oni widzieli wyspę tak samo jak on i ja i czy wchodzili tam na górę.

– To jest wyspa, którą widzą – powiedział i zatoczył luk ręką, by mi pokazać, co ma na myśli.

Po chwili odezwała się druga z aelfickich panien, nie wstając:

– N-nie widziałeś całej, kiedy byłeś w A-Aelfrice, panie.

– W porządku, nie widziałem góry czy drugiej strony, ale czy to taka różnica? Czy kiedy wy, Aelfy, umieracie, zostają po was kości, tak jak po

nas?

Obie zaprzeczyły, a Garsecg zapytał, dlaczego chcę to wiedzieć.

– Kiedy niosłem Disiri, wydawało się, że jest normalną kobietą. Opowiadałem ci o tym?

– Nie – odparł Garsecg. – Nie wspominał też o tym twój pies, który wyznał, że często opowiadałeś o swojej miłości do niej, gdy nie chciałem przyjść, żeby cię uleczyć.

– Myślałeś, że się ciebie przestraszę? – zapytałem go.

– Nie. Obawiałem się, że nas zaatakujesz, tak jak wielu twojego rodzaju.

– Nie zrobiłem tego. W każdym razie nigdy wcześniej nie niosłem kobiety na rękach i spodziewałem się, że będzie o wiele cięższa. Tymczasem Disiri ważyła tyle co dziecko, a przecież była... Wiesz. – Nakreśliłem dłońmi kształt jej ciała.

Garsecg uśmiechnął się.

– Przedstawiłeś zgrabną altówkę miłosną.

– Powiedzmy. W każdym razie podobało mi się to, tymczasem prawdziwa Disira nie była ani trochę tak powabna. Bardzo mi się to podobało.

– I tak miało być.

– Domyślam się. Tylko, że teraz znalazłem kości w miejscu, do którego mnie posłałeś, i pomyślałem, że mogą to być kości żeglarzy, o których wspominałeś, bo Aelfy są lekkie i zmieniają postać. Ale chciałem się upewnić.

– Wątpię – powiedział Garsecg.

– No cóż, jeśli to ludzkie kości...

– To są kości kobiety. Zanim się obudziłeś, znalazłem miednicę. Miednica zawsze wszystko wyjaśnia.

– Nie sądziłem, że znasz się na takich rzeczach.

– Dlatego, że nie oglądamy ludzkich kości? Chciałbym, by tak było. A czy myślisz też, że chociaż wasi mężczyźni obcuja czasem z pannami aelfickimi, to my w Aelfrice nigdy nie korzystamy z wdzięków waszych kobiet?

Baki także chciała się napić, więc przyniosłem jej wody. Ręce zbyt jej drżały, dlatego przysunąłem puchar do jej ust. Kiedy piła, zastanawiałem się nad tym, co powiedział Garsecg i jak to powiedział, a gdy skończyła, stwierdziłem, że to nie mój interes, i zapytałem, czy zna jakieś kobiety ludzi.

– Tak, i widziałem ich kości.

– Przykro mi – bąknąłem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Mnie też. Młody jeszcze jesteś, sir Able. Przekonasz się, że życie bywa okrutne.

– Nie pozwólmy, żeby było jeszcze gorsze. Pójdziemy teraz do tej zbrojowni?

Garsecg potrząsnął głową przecząco.

– To dobrze, bo nie chcę zostawiać ich samych, zanim nie poczują się lepiej.

Gdy to powiedziałem, Baki odezwała się szeptem:

– Pójdę z tobą.

– Może tylko do zbrojowni. Tak powinno być dobrze.

– Dokądkolwiek się udasz, panie. – Jej głos brzmiał tak słabo, że ledwo ją słyszałem.

Taki głos nie powinien nikogo przestraszyć, lecz mnie przestraszył.

– Masz na myśli walkę z Kulili? To szaleństwo...

– Dokądkolwiek się udasz...

– Nie sprzeczasz się z nią, sir Able – powiedział Garsecg. – Zmęczysz ją.

– Nie będę. – Miałem wiele do przemyślenia, ale próbowałem pomyśleć też i o tym. – Powiedziałaś, że jestem jeszcze młody, i masz rację. Jestem młodszy niż sądzisz. Nie wiem, czy ci opowiadałem, że już dwukrotnie byłem w Aelfrice, lecz jednego razu nie pamiętam. Mamy chyba sporo czasu, jak się wydaje, więc chciałbym ci o tym opowiedzieć.

– Dobrze.

– Jak mówiłem, nie pamiętam tego. Nie straciłem poczucia czasu, raczej straciłem poczucie wszystkiego. Nie wiem, z kim rozmawiałem ani co

robiłem. Po powrocie, opowiedziałem o tym kobiecie o imieniu Parka. Wydawało się, że jest Overcynką czy kimś takim. Znasz ją?

Potrząsnął głową.

– Powiedziała, że mam poznać krzywdy Aelfów, tak bym mógł opowiedzieć o nich ludziom tutaj, na górze. Czy znałeś mnie, kiedy byłem wcześniej w Aelfrice?

– Nie. Sądzisz, że Aelfy zabrały ci pamięć?

– Pewnie tak.

– Nie mam pewności – odparł Garsecg zamyślony – ale wydaje się całkiem prawdopodobne, że uczyniła to ta, którą nazywasz Parką. Dlaczego Aelfy miałyby się użalać nad swoimi krzywdami przed tobą, a potem kazać ci o tym zapomnieć?

– Mówiłem jej, że ich nie lubię. Nie wściekła się ani nic takiego. Uniósł brwi.

– Wciąż tak czujesz? Potrząsnąłem głową.

– To dobrze. Zamierzałem wyjaśnić, że nie byłoby sensu w tym, aby Aelfy zabierały ci pamięć, skoro chciały, żebyś coś zapamiętał.

– Potrafisz to robić? Zabierać wspomnienia?

– Nie. Niektórzy twierdzą, że jestem mądrzejszy niż inne Aelfy, lecz tego nie potrafię robić. A które wspomnienia chciałbyś wyrzucić z pamięci?

– Te o Ameryce. Te dotyczące mojego prawdziwego imienia i życia tam.

– Czy Ameryka to twoje prawdziwe imię? – zapytała Uri.

– To miejsce, w którym żyłem. Zanim udałem się po raz pierwszy do Aelfrice.

– Złe miejsce, skoro pragniesz o nim zapomnieć, gdybyś tylko mógł – zauważył Garsecg.

– Niezupełnie. Tylko...

– Tylko co?

– Tylko jestem jak ta dziewczyna z filmu, nie potrafię wyrzucić tego z głowy. Nie zamierzam wracać, nawet jeśli znajdę rubinowe pantofelki,

ponieważ Disiri jest tutaj, a nie tam. Ale chciałbym móc zapomnieć o tamtym miejscu. Wiesz, czasem myślę, że Bertold Śmiały był moim prawdziwym bratem. Nie był, ale myślę, że był. Kocham go, jakby był moim bratem, choć wiem, że nie był.

– O czym chciałbyś zapomnieć.

– Tak. Kiedyś był dużym, silnym mężczyzną z długą czarną brodą. Opowiadał mi o tym i myśli, że to pamiętam. A potem przybyli giganci. Angronici. Odniósł poważne rany i chyba nigdy z tego nie wyjdzie. W przeszłości myślałem, że kiedy ludzie chorują, to kiedyś wydobrzeją. Może i jestem dzieciakiem, ale już tak nie myślę.

– Tęsknisz za człowiekiem, którego nie znałeś.

– Tak. Był silny, mądry i dzielny. Siadywaliśmy nocami w jego małej chacie – jeszcze przed Disiri – a on opowiadał o rzeczach, które się wydarzyły zanim został ranny, tak więc mogłem się dowiedzieć, jaki był wtedy. Wciąż myślałem, że byłoby cudownie być takim jak on, tylko że nigdy nie będę.

Baki usiadła. Wciąż wyglądała na bardzo osłabioną.

– Nie będziesz taki jak teraz?

Spróbowałem się uśmiechnąć. Nie przyszło mi to łatwo, ale chyba się udało.

– Och, jestem dość silny. Garsecg powiedział mi wszystko o morzu, więc jestem silniejszy, niż był kiedykolwiek Bertold Śmiały. Lecz nie jestem dzielny ani mądry. W środku pozostałem dzieciakiem. Na zewnątrz jestem mężczyzną, a przynajmniej tak wyglądam. Ale kiedy walczyliśmy z Osterlingami, byłem śmiertelnie przerażony.

Zapadła cisza, zapytałem więc Garsecga, czy mu o tym opowiadałem.

– Ty nie, ale twój pies mi opowiadał. Walczyłeś dzielnie i otrzymałeś ranę, którą uleczyło morze.

– Bałem się. Bardzo. Nasi marynarze walczyli z nimi przez siatkę z lin, którą rozpięliśmy, i ja też strzelałem przez nią, aż skończyły mi się strzały.

– Zabijając wielu. Przytaknąłem mu.

– To było najskuteczniejsze, co można było zrobić. Moje Aelfy Morza nie używają łuku, który byłby zupełnie nieprzydatny pod wodą, za to Aelfy Mchu twojej Disiri są wybornymi łucznikami i widziałem, jakie spustoszenie u wroga potrafi uczynić jeden wojownik.

– Potem przecięli sieć. – W moich wspomnieniach pojawiło się o wiele więcej, niż wyrażały słowa. – Była zrobiona z mocnych lin, grubszych niż mój kciuk, lecz przecięli je, a nasi ludzie zaczęli uciekać. Nie mogłem zrobić nic innego.

Garsecg uśmiechnął się.

– Pewnie, to nie wymagało w ogóle odwagi.

– Zgadza się. Po prostu musiałem to zrobić. Chwyciłem za Łamimiecz, krzyknąłem i skoczyłem z kasztelu, a jeden mnie dźgnął i upadłem.

– Tak więc twój statek został zdobyty i pozostaje teraz w rękach straszliwych Osterlingów. – Garsecg pokręcił głową, jakby chciał wyrazić swoje współczucie dla mnie. – Nie zauważyłem żadnych, kiedy wszedłem na pokład, ale to zapewne z powodu mojej nieuwagi.

– Nie, przepędziliśmy ich z powrotem na ich statek. Przecięli liny i zostawili haki, a potem... uciekli.

Uri spojrzała na mnie.

– Dlaczego, panie?

– Może bali się, że go zajmiemy i zabijemy resztę załogi. Pewnie byśmy to zrobili, gdyby nie przecięli lin.

– Nie powiedziałaś o czymś, co dotyczy ciebie – rzekł Garsecg. – Tak myślałem. Wspomniałaś o tym, że się bałaś, sir Able Wielkie Serce.

– Tak.

– I o tym, jak skoczyłaś z kasztelu z mieczem w dłoni. Wyjaśniłem, że to nie jest miecz.

– Z Łamimieczem w dłoni, niech będzie. A potem, jak powiedziałaś, zostałeś ranny. I padłeś na pokład, jak sędzę.

Potwierdziłem.

– Ale przecież nie zostałeś ranny i nie padłeś na pokład zaraz po tym, jak skoczyłeś. Co się zatem wydarzyło po skoku?

Opowiedziałem, jak pokonałem kilku wrogów, raniąc ich Łamimieczem.

– Osterlingów.

– Nie o tym chciałem rozmawiać – powiedziałem – wcale nie o tym. Chcę opowiedzieć o tym, jak dzielny i silny był Bertold Śmiały. Tylko że kiedy go poznałem, już taki nie był. Mocno zgarbiony i myśli mu się czasem plątały. Broda już mu posiwiiała i nie chciał wrócić do Gryfford. Za nic w świecie. Wolał mieszkać w lesie, gdzie nie mogli go znaleźć. I tak znaleźli. Znaleźli i go nie ma. – Otarłem oczy i dodałem po chwili: – Przykro mi.

– Z powodu utraty brata? W takich chwilach nawet najsilniejszy zapłacze.

– To właśnie chciałem powiedzieć. Myślę, że za sprawą Disiri dojrzałem, tak jak bym dojrzał, gdybym nie był w Aelfrice.

Garsecg najwyraźniej nie zamierzał dodać nic więcej na ten temat.

– Wydaje się, że przybyto mi z dziesięć lat. To znaczy, gdy pomyślę o tym, jaki byłem tamtej nocy, kiedy dojrzałem za jej sprawą, a jaki jestem teraz. Jakieś dziesięć lat.

– Albo mniej.

– Tylko że Bertold Śmiały jest jakieś trzydzieści, może czterdzieści lat starszy...

– Czuję się już lepiej, panie – powiedziała Uri. – Myślę, że wstanę, jeśli mi pomożesz.

Pomogłem, a ona tak jakby przytuliła się do mnie.

– Po prostu chciałaś, żeby cię objął – powiedziała Baki. Uri wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Ma takie ładne ramiona.

– Czasem śnią mi się Osterlingowie – powiedziałem do Garsecga, a raczej mruknąłem pod nosem.

– Mnie też – poświęcili się dla nas, kiedy utrzymali Górę Ognia. Chcesz

wiedzieć, co mam do powiedzenia na ten temat?

Odparłem, że jak najbardziej.

– Nie sądzę. Czy raczej wątpię, abyś był skłonny przyjąć oba punkty widzenia.

Garsecg milczał długą chwilę, jakby się zastanawiał, od czego zacząć.

– Po pierwsze, Osterlingowie. Wierzysz, że brakuje ci odwagi, ponieważ bałeś się ich. Myślisz, że twój brat by się nie bał?

– Walczył z gigantami.

– A ty z Osterlingami, sir Able. Bałeś się, ale opanowałeś strach. Myślisz, że oni nie bali się ciebie? Jeśli tak uważasz, to znajdziemy staw, w którym będziesz mógł się przejrzeć. Walczyłeś w zbroi?

– Miałem kolczugę i stalową czapkę. Kupiłem je, zanim przybyliśmy na statek.

– I Łamimiecz w dłoni. Do tego byłeś tym, który wcześniej położył wielu z nich z łuku. Uwierz mi, sir Able, bali się ciebie od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyli.

– No cóż, w każdym razie nie pokazali tego po sobie. – Sięgnąłem po duriana, którego wcześniej próbowałem zjeść, i znowu zabrałem się do otwierania jego skorupy. Szło mi równie beznadziejnie jak przedtem.

– A ty pokazałeś, że się boisz?

Nie bardzo wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

– Nie było mnie tam, ale znam odpowiedź. Podobnie jak ty, który tam byłeś. Panowałeś nad swoim strachem aż do momentu, kiedy zostałeś ranny. Oni opanowali własny strach – do pewnego momentu. Kiedy statek ma na swoim pokładzie rycerza, kapitan wywiesza jego proporzec na fokmaszcie. Czy twój kapitan to uczynił?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Nie mam swojego proporca, a poza tym nie wiedziałem, że tak się robi. Może dlatego kapitan nie wierzył, że jestem prawdziwym rycerzem.

– Przeważnie Osterlingowie nie atakują takiego statku. Musieli być

zaskoczeni i przerażeni, gdy cię zobaczyli na pokładzie.

Powiedziałem, że możliwe, i zapytałem, co jeszcze chciał mi powiedzieć.

Po drugie i po trzecie

– Dobrze, idźmy dalej. Przyniosłeś szklaną tubę i puchar spod drzewa limony. Pomyślałeś zapewne, że zechcę ją obejrzeć. Pokażesz mi ją?

– Pomyślałem, że pokażę ci ją, kiedy skończymy naszą rozmowę – odparłem. Leżała ukryta w wysokiej trawie, do tego była zielona. Podniosłem ją i podałem Garsecgowi. – Jest w niej papierowy zwój.

Skinął głową.

– Zerwałś pieczęć?

Odpowiedziałem, że nie ma pieczęci, a Uri nachyliła się z zaciekawiona. Baki podeszła do nas, żeby zobaczyć. Nie miały nic na sobie ani wtedy, ani potem, więc starałem się nie patrzeć na pewne części ich ciała, ale mi się nie udało.

Garsecg zdjął zamknięcie i wyjął papier.

– To jest zwój – wyjaśnił nam. – Coś w rodzaju księgi. – Rozwiązał rzemienie.

– Też je rozwiązałem – powiedziałem – były zawiązane tak jak teraz.

– Czytałeś? Pokręciłem głową.

– Spojrzałem na papier, ale nie potrafię odczytać tego pisma.

– Ja też nie. To jest pismo Celidonu, tak myślę.

Podał zwój Baki, a ta powiedziała:

– Hu-hu. Potrafię czytać nasze pismo, lecz nie to. Uri przysunęła się bliżej.

– Skoro Baki nie potrafi, to ja też nie – powiedziała. Garsecg wziął zwój od Baki, zwinął go, zawiązał i schował do tuby.

To może być testament kobiety, której kości znaleźliśmy, ale nie wiem

tego na pewno. Możesz go zatrzymać, jeśli chcesz, sir Able, albo zostawić w miejscu, gdzie go znalazłeś.

Kiedy położyłem zwój pod drzewem, zapytałem go, czy jego zdaniem kobieta wiedziała, że umrze.

Garsecg wskazał na puchar.

– Kiedy ktoś znajduje puchar obok ciała, przychodzi mu na myśl trucizna. Dlatego sugerowałem, żebyś go dobrze opłukał, choć pewnie leżał tu długo i zwietrzał. Jeśli zabiła ją trucizna, to mogła sama się otruć z testamentem w ręku.

Próbowałem sobie wyobrazić, dlaczego jakaś kobieta chciałaby się zabić w tak pięknym miejscu.

– Masz pewnie wiele innych pytań. Pytaj, lecz muszę wyznać, że nie mam więcej odpowiedzi.

– Mówiłeś, że widziałeś kości – przypominałem mu. – Szklaną tubę też widziałeś?

Potrząsnął głową.

– Rozglądałem się, lecz słońce dopiero co wstało. Nie widziałem jej.

– Wspominałeś o wielkiej wojnie, kiedy Aelfy wypędziły Setra. – Ująłem to w ten sposób, ponieważ sądziłem, że Garsecg nie chce, żeby Uri i Baki dowiedziały się, kim jest naprawdę. Myślałem, że postąpiłem mądrze, lecz Uri zaczęła się trząść i musiałem jej obiecać, że już nie wymówię tego imienia.

– Miałyśmy umrzeć – powiedziała do mnie.

– Miałyśmy umrzeć, kiedy się tu znajdziemy – dodała Baki.

– On wam wybacza – zwrócił się do nich Garsecg. Widziałem, że nie zrozumiały, co ma na myśli, lecz powiedział to w taki sposób, że uwierzyły albo prawie uwierzyły.

– Od tamtej wojny upłynęło tysiąc waszych lat – rzekł Garsecg. – Mogę ci dużo o niej opowiedzieć, ale czy chcesz tego?

– Chyba nie. Zastanawiałem się tylko nad tą kobietą. Te kości nie mogły

chyba leżeć tu tak długo, a może mogły?

– W tak dobrze nawodnionym miejscu? Z pewnością nie.

– A zatem osoba, która zbudowała drapacz chmur, na którego dachu jesteśmy, nie sprowadziła jej tutaj?

– Kto wie? Tysiąc lat tutaj może oznaczać sto w Aelfrice, albo i mniej.

– A poza tym on tu wraca – wtrąciła Baki. – Nie mówmy o nim.

W głowie kotłowało mi się od myśli. Z jednego strony pomyślałem, że kobieta ta mogła pochodzić z rozbitego statku, lecz skoro tak, to dlaczego się zabiła? Jeszcze raz zapytałem Garsecga, czy szczyt drapacza chmur jest wyspą w Mythgarthricie, a on to potwierdził. Wtedy powiedziałem:

– W porządku, jeśli to jest wyspa, to dlaczego nie słyszę szumu morza? Nie słyszałem go od chwili, gdy ty przybyliśmy.

– Kiedy morze jest spokojne, co się często zdarza, nie szumi głośno.

– Sprawdzę. Zostań tutaj z naszymi chorymi dziewczynami.

– Uri i Baki, panie – odezwała się nieśmiało Baki. – Ja jestem Baki. – Wtedy wreszcie nauczyłem się ich imion i potem nigdy już ich nie pomyliłem.

Garsecg pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że nie ma zamierza zostać, lecz nie zwracałem na niego uwagi. Słońce przebyło dopiero połowę swojej drogi na niebie, więc żeby mnie nie oślepiło, odwróciłem się do niego plecami i poszedłem na zachód. Po drodze odłamywałem gałązki i wieszałem mniej więcej co sto kroków. Po jakimś czasie usłyszałem za sobą kroki Garsecga.

– Po co to robisz? – zapytał mnie.

– Żeby znaleźć drogę powrotną, a po cóż by innego? – odpowiedziałem, nie odwracając się.

– A dlaczego chcesz tam wracać?

– Bo te dziewczyny są chore i powinniśmy się nimi zająć. Miałem nadzieję, że zostaniesz z nimi.

– Od wieków Aelfy walczą, by uwolnić się od potwora zwanego Kulili.

Jesteś ich ostatnią, największą nadzieją. Nie zamierzam spuścić cię z oka, nawet gdyby chodziło o dziesięć tysięcy rzygających dziewic.

Zatrzymałem się przy drzewie, którego odcienia zieleni nigdy wcześniej nie widziałem. Byłem pewny, że pochodzi z Aelfrice, lecz wyglądało tak świeżo, jakby Bóg dopiero co je stworzył. Jakby posadził je tam na chwilę przed moim nadejściem. Miało niebiesko-purpurowe kwiaty, a długie macki w ich wnętrzu, czy jak tam się to nazywa, były jasnoczerwone. Dobrze zapamiętałem to drzewo, bo nigdy wcześniej nie widziałem podobnego.

Usłyszałem za plecami śmiech Garsecga, lecz nie spojrzałem na niego. Jednak kiedy ruszyłem dalej, zapytałem go, czy idziemy w dobrym kierunku.

– Nie potrafię powiedzieć. Czy też raczej powiedzmy, że wiem tylko, iż każdy kierunek będzie dobry, jeśli będziemy się go trzymać odpowiednio długo. Kto wie, może jest to najkrótsza droga, a może najdłuższa. Tak czy inaczej, w końcu dojdziemy do morza.

– Wciąż nie słyszę fal.

– Ja też nie. Lecz jeśli będziemy szli w tę samą stronę, usłyszymy je, jeśli w ogóle są jakieś.

Myślałem o tym, a także o pogodzie. Prawie nie wiało, tak więc powiedziałem:

– Zgadza się. Jest bardzo spokojnie.

– Tak, i właśnie przy takiej pogodzie żeglarze spotykają najczęściej wyspę. Widzą ją przeważnie o zmierzchu, spowitą ciszą i upałem.

– Skoro morze jest zbyt spokojne, by dało się po nim żeglować, to czy nie mogą podpłynąć tu na wiosłach?

– Mogą i niektórzy to robią.

Byłem zły na Garsecga, że zostawił Uri i Baki same. Ale potem przypomniałem sobie wszystko, co dla mnie zrobił, a także to, że ja też je opuściłem. Zatrzymałem się więc i dałem mu znak, żeby dołączył do mnie, i dalej poszliśmy razem. Przez cały czas wędrowaliśmy w cieniu drzew.

Niedługo potem dotarliśmy do miejsca, gdzie cień skurczył się tylko do

plam, a ziemia upstrzona była cętkami blasku słońca przepływającego między liśćmi. I wtedy wydało mi się, że obok mnie idzie coś o wiele większego niż Garsecg. Lecz tak nie było.

To nie był właściwie wąż, ptak też nie. Nie potrafię tego lepiej opisać. To coś było piękne i straszne. Nie pamiętam wszystkich kolorów, które i tak się zmieniały, ale bez względu na to, jakie były, zawsze zachowywały swoje najciemniejsze odcienie. Niebieski był ciemniejszy niż zwykle jest czarny, podobnie złoty, właściwie brązowozłoty przesycony głębokim połyskiem, do którego, miało się wrażenie, można było wpaść. I ciemny, jakby się oglądało coś złotego w środku burzy, a jednocześnie coś równie ulotnego jak dym.

Wtedy już ledwo widziałem Garsecga, on zaś wyglądał na rozbawionego. Powiedziałem mu, że wolę go raczej pod postacią Garsecga.

– Wiem.

– To twoja prawdziwa postać, prawda? Setr to ty. Naprawdę pogodzisz ze świata pod Aelfrice?

– Tak. Czy możesz się trochę przesunąć, sir Able? Jest tu coś ważniejszego do zobaczenia niż widok morza i ja ci to pokażę, jeśli się zgodzisz.

Zgodziłem się, chociaż miałem wrażenie, że już zobaczyłem coś ważnego.

Kulili

Nie było żadnej ścieżki, a tylko miękka trawa i paprocie pod drzewami, dalej w dół i wokół, i znowu w dół, aż doszliśmy do malutkiej doliny, która nie mogła mieć więcej jak sto jardów długości i szerokości. Widok aż zapierał dech. Spomiędzy skał wypływały malutkie wodospady, a na środku widniał staw obrośnięty białymi liliami i jakimiś innymi białym kwiatami jeszcze ładniejszymi niż lilie. I znowu paprocie. Te, które widziałem wcześniej, były małe, tu zaś rosły ogromne, takie jak paprocie w Aelfrice. Łuki ich liści wznosiły się nad moją głową tak wysoko, że mógłbym przejechać pod nimi na koniu, nawet w hełmie. Panował tam głęboki cień, a Garsecg wyglądał zupełnie normalnie, tak normalnie, że wiedziałem, iż gdybym go dotknął, nie poczułbym tego, czym był naprawdę.

W miejscu, gdzie cień był najciemniejszy, stał biały posąg. Przedstawił nagą kobietę, która w tym półmroku wynurzyła się z cienia niczym duch. Jedną ręką zdawała się zakrywać piersi, drugą zaś miała wysuniętą, jakby o coś prosiła.

Sam też byłem nagi, o czym zdaje się już wspominałem, i kiedy ujrzałem posąg, zdarzyło mi się to samo, co w szkole, kiedy oglądałem dziewczęta grające w siatkówkę. Nie chcąc, żeby Garsecg to zauważył, wskoczyłem do stawu. Pomogło, bo woda była zimna. Kiedy wynurzyłem się z wody, odrzuciłem włosy z czoła, jak mam w zwyczaju robić, i wysiliłem się na uśmiech.

Garsecg pochylił się i spojrzał na mnie.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Żeby się ochłodzić i zmyć pot. Nie jest ci gorąco po takim marszu? Ja

się zgrzałem.

Wyciągnął rękę, a ja podpłynąłem i wyszedłem na brzeg.

– Spójrz. Poczekaj, aż woda się uspokoi i przyjrzyj się uważnie.

– Mówiłeś, że chcesz mi pokazać moje odbicie – powiedziałem. – Żebym wiedział, dlaczego Osterlingowie przestraszyli się mnie. Tylko że ja nie sądzę, żeby się mnie przestraszyli. O to chodzi?

– Nie. Patrz głęboko w wodę, sir Able.

Spojrzałem. Wydawało się, że dno opada głęboko i jest jakby przekrzywione i przesunięte, i tak to opisałem.

– Jak w wielu podobnych wodach. To jest brama prowadząca do Aelfrice – wyjaśnił Garsecg. – Pokazuję ci to przejście, żebyś wiedział, jak takie bramy wyglądają. Nie zorientowałeś się, kiedy niosły cię do mnie Duchy Wodne, że wkraczasz do Aelfrice?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Nie wydaje ci się, że powinieneś zobaczyć w dole najwyższe piętro Wieży Glas?

Nie przyszło mi to do głowy, ale miał rację. Ziemia na wyspie nie mogła mieć więcej głębokości niż dziesięć, dwanaście stóp. Rzeczywiście patrzyłem głębiej; przypomniałem też sobie, że choć zanurzyłem się głęboko, kiedy wskoczyłem do wody, nie dosięgłem dna.

– W tym miejscu, stojąc w Mythgarthricie, można przyjrzeć się bramie – powiedział Garsecg. – Zapamiętaj ten widok. Niech to pozostanie w twoim umyśle. To, czego się tu nauczysz, może ci się przydać w przyszłości.

Nie chciało mi się wierzyć, że staw prowadził aż do Aelfrice, i wyraziłem swoje obiekcje głośno. Tam w dole widok był zabawny, bardzo zabawny. Lecz już wskoczyłem i jedyną rzeczą, jaka się wydarzyła, było to, co chciałem, żeby się stało. (Wciąż nie mogłem patrzeć na posąg. Przy nim Uri i Baki wyglądały jak chłopcy).

– Chcesz powiedzieć, że mógłbym w taki sposób dostać się do Aelfrice, gdybyś pilnował, żebym nie utonął?

– Nigdy nie utoniesz – odparł Garsecg. – Związałeś się z morzem bardziej niż ci się wydaje.

Ton jego głosu sugerował, że jest tak naprawdę. A ja myślałem już tylko o tym, że Disiri jest w Aelfrice. Że pragnę jej bardziej niż czegokolwiek innego w życiu. I od razu skoczyłem. Zrobiłbym to jeszcze raz.

Za drugim razem woda nie była już tak zimna, więc gdy tylko poczułem, że zwalniam, zacząłem płynąć energicznie. Byłem niezłym pływakiem nawet tam w Ameryce, a w towarzystwie Garsecga tak się wyrobiłem, że pomyślałbyś, iż cię podpuszczam, opowiadając, jaki jestem dobry. Zanurzałem się coraz głębiej.

Powinno było robić się coraz ciemniej, tyle tylko że tak się nie działo. Otaczało mnie cudownie błękitne światło, jakie widziałem już wcześniej w głębi morza, co nie znaczy, że teraz było mniej piękne. Po jakimś czasie uznałem, że mogę trochę odpocząć, i pozwoliłem wodzie się unosić, usiłując jednocześnie zorientować się, gdzie jest góra. Myślisz pewnie, że nie powinienem mieć z tym trudności, lecz kiedy nie pływają nigdzie żadne ryby, a ty widzisz tylko cudownie niebieską mgiełkę, to zaczynasz się zastanawiać.

Długo się unosiłem, a przynajmniej tak mi się wydawało. Słaby prąd obrócił mnie powoli, i jeszcze raz, a potem zabrał ze sobą i czułem się fantastycznie. Myślałem o Disiri i o kobiecie-posągu i obie zlały się w moim umyśle, a ja zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle istnieję naprawdę. Wydawało mi się, że tak może być, kiedy jesteś tylko wspomnieniem, i że może Disiri wspomina mnie i zawsze będzie mnie pamiętać, zawsze będzie mnie kochać, tak jak ja ją zawsze będę kochał, i że to ja jestem w jej umyśle.

Jestem Kulili.

Ten głos tak naprawdę wcale nie zabrzmiał w moich uszach. Był to raczej dźwięk przenikający kości mojej czaszki.

W dół. Zejdź w dół.

Zrobiłem tak i wiedziałem już teraz, gdzie jest dół, ponieważ stamtąd dochodził głos. Błękitne światło przeszło w purpurę, a potem wszystko

ogarnęła ciemność. Poczułem na twarzy dotyk palców, tylko że wiedziałem, iż to nie są naprawdę palce. Wydało mi się to trochę niesprawiedliwe, więc powiedziałem:

– Nie widzę cię.

Zobaczysz, jeśli zechcę.

– Kim jesteś? – zapytałem. Nagle wydało mi się, że nie wiem, kim ja sam jestem. Czy byłem tylko dzieciakiem z Ameryki? Rycerzem? Bratem Bertolda Śmiałego?

Jestem Kulili. A ty jesteś tym, który przysięgał walczyć z Kulili.

– Able – wyjaśniłem jej. – Nazywam się... Able.

Będziesz ze mną walczył?

– Nie wiem. – Wydawało mi się to bez znaczenia, czy będę, czy też nie. – Chyba muszę spróbować, bo przecież obiecałem.

Tak sądzę. Honor jest dla ciebie świętością.

– Jesteś potworem. Tak mówił Garsecg. – Do tej pory panowały całkowite ciemności, lecz gdy to powiedziałem, gdzieś w oddali pojawiło się zielone światło. Co to takiego, kurczę? – pomyślałem.

Świecąca ryba. Przyływają tu czasem.

– Trudno jest myśleć. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, ale to była prawda. – Dlaczego tak trudno tu się myśli?

Moja woda jest zimna.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? Nie odpowiedziała.

– Nie masz nic przeciwko, żebym popłynął z powrotem na górę? Chciałbym się znowu zagrzać.

Zanim mnie zabijesz?

Śmiała się ze mnie, lecz wcale mnie to nie zezłościło. A nawet tak jakby mi się spodobało.

– Mogłabyś mnie łatwo zabić tu w dole, gdybyś chciała.

Nie zabiję.

– Zabiłaś Aelfy, kiedy przybyły, żeby cię zabić. O tym też mi Garsecg

opowiadał.

Ten świat należał do mnie. Był mój, kiedy nie było jeszcze Aelfów. Wypędziły mnie z ziemi do wody, a z wody w te głębiny. Już dalej nie można. Widzisz mnie?

W moim umyśle pojawił się wyraźny obraz, jakby go tam ktoś umieścił. Ujrzałem posąg, tylko żywy.

Spojrzałeś do stawu. I ujrzałeś siebie, jakim widzą cię inni. A teraz widzisz mnie taką, jaką jawię się innym.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł nienawidzić kogoś tak pięknego. Zapytałem, dlaczego Aelfy jej nienawidzą.

Zapytaj ich.

– A dlaczego ty ich nienawidzisz?

Nie nienawidzę ich, ale muszę się ich bać tak długo, jak długo one boją się mnie.

Piękna kobieta znikła. Teraz ujrzałem dziwny las. Rosły w nim drzewa podobne do słupów telegraficznych z kilkoma dużymi liśćmi na czubku. Wszędzie widniały kałuże wody, a w dole, tam gdzie były korzenie, coś dużego stawało się jeszcze większe i wypuszczało wszędzie macki. Drzewa rozmawiały z kobietą pod nimi, podobnie jak mniejsze rośliny; była wspaniała i odpowiadała kolejno na ich pytania. Widziała je wszystkie i widziała ich dusze, bo każda zawinięta była w duszę tak jak okryty płaszczem człowiek. Ich dusze miały piękne barwy, a wszystkie bez względu na kolor były jakby rozjarzone.

Owady zjadały liście i rozlewały sok, a wiele innych różnych zwierząt zjadało korę, by zabić drzewa. Tak więc kobieta pod nimi uczyniła dla nich obrońców, biorąc kawałki ich dusz i kawałki siebie, bladyszara mądrość, która lśniła jak perły. Patyki, liście i bioto, ogień, dym, woda i mech. Różne rzeczy.

Początkowo obrońcy bardziej przypominali zwierzęta, lecz duża kobieta pod korzeniami spojrzała w niebo i zobaczyła Mythgarthr i mieszkających

tam ludzi zajętych oraniem pól, sadzeniem kwiatów i dogładaniem sadów. Tak więc sprawiła, że obrońcy stali się bardziej podobni do nich. Początkowo przypominali strachy na wróble, lecz poprawiali się stopniowo, aż wreszcie mogli zmieniać kształty, tak by być jeszcze lepszymi.

Niektórzy do dzisiaj bronią lasów, nawet przede mną. Znasz ich?

Ujrzałem Disiri i serce zamarło mi w piersi. Czułem, że umrę, jeśli nie będę mógł jej dotknąć, przemówić do niej.

– Tak, kocham ją – powiedziałem.

Ja też, powiedziała Kulili, a Disiri znikła. Widzisz mnie teraz? Swoim cielesnym okiem?

Powiedziałem chyba, że tak.

Czekaliśmy. Nie dziesięć minut czy dziesięć sekund. To był czas, jaki upłynął, zanim ktoś zbudował pierwszy zegar. Unosiłem się w zimnej morskiej wodzie, obracając się i czekając, nic więcej. Wokół mnie krążyły światła, białe, żółte, zielone, a także światła o barwie siana i nieba.

Nasza lampa.

Przybyły razem, a ja zobaczyłem, że to naprawdę są ryby. Małe pomarańczowe rybki, rozjarzone niczym płomienie świec, czarne, o dużych głowach i zębach jak ze złego snu, które zwisały przed pyskiem niczym niebiesko-czerwone przynęty, a także długie, srebrzyste ryby o skrzelach i ogonach jak żarówki, i duże błękitne ryby z paskami niebieskich świateł na bokach, jak również wiele innych, których już nie pamiętam. Wszystkie odcienie czerwieni, żółci i różu, wszelkie kolory.

Ale ryby nie były ważne. Ważniejsze było to coś pod nimi, biała nić, ogromna płatanina białej nici, ożywiona i jakby sięgająca po omacku. Gdy ją zobaczyłem, wydawało mi się, że jest pozbawiona kształtu, lecz nabrała go, gdy tylko o tym pomyślałem. Ujrzałem usta, w których zmieściłby się „Zachodni Kupiec”, i nos wielki jak wzgórze. Lecz był to piękny nos i piękne usta. Wkrótce zobaczyłem też oczy, białe, jakby ślepe. Kiedy zamrugały, ujrzałem źrenice, do których mógłbym wskoczyć, niebieskie oczy i policzki

koloru kwitnącej róży. To była kobieta, na podobieństwo której wykuto posąg. Tyle tylko że posąg jest zwykle większy niż osoba. Tam w dole, w głębi morskiej toni znajdowała się prawdziwa osoba, tak duża, że mogłaby zawiesić sobie posąg na szyi.

Wciąż chcesz mnie zabić?

Po pierwsze, nie chciałem. Po drugie, nie sądziłem, bym mógł to zrobić.

– Będę musiał spróbować, Kulili – powiedziałem. – Muszę zrobić, co w mojej mocy, bo przecież obiecałem. Lecz mam nadzieję, że ci się uda. Mam nadzieję, że mnie się nie uda.

Teraz?

– Nie. Te twoje ryby zabiłyby mnie z łatwością, a ja nie mam nawet miecza.

A zatem obyśmy się szybko znowu nie spotkali.

Trzy lata

Długo płynąłem na powierzchnię. To zabawne, lecz kiedy jest się głęboko pod wodą, zawsze wydaje się, że jesteś bliżej powierzchni niż w rzeczywistości. Tam w dole jest ciemno, ciemniej niż w najciemniejszą noc. Płyniesz długo do góry, aż robi się jaśniej i zaczynasz widzieć różne rzeczy i wydaje ci się, że jesteś tylko jakieś dziesięć albo dwanaście stóp pod wodą. Lecz wciąż nie ma powierzchni i nic się specjalnie nie zmienia. Kilkakrotnie wydawało mi się, że już jestem na powierzchni, zanim dotarłem tam naprawdę.

Za to kiedy już to się stało, przeżyłem coś w rodzaju szoku. Przede wszystkim nie oddychałem wcześniej, a byłem do tego przyzwyczajony. Moja głowa wynurzyła się w korycie fali. Wypuściłem powietrze i woda z mojego nosa i ust popłynęła mi po brodzie. A potem fala uderzyła mnie w twarz. Zachłysnąłem się, a kiedy znowu wynurzyłem się na powierzchnię, zacząłem wydawać odgłosy jak imbryk do kawy. Kiedy wreszcie odzyskałem oddech, roześmiałem się.

Potem zanurzałem się w fale i wynurzałem się, świetnie się bawiąc. Dokazywałem tak chyba z pół godziny.

Widziałem słońce, wiedziałem więc, że opuściłem Aelfrice i wróciłem do Mythgarthru. Wiedziałem też, że tam głęboko w wodzie razem z Kulili to była Aelfrice. Domyślałem się, że jestem gdzieś niedaleko wyspy i że gdy będę chciał, mogę popłynąć tam i spotkać się z aelfickimi dziewczynami i Garsegiem i opowiedzieć mu że potrzeba czegoś więcej niż zwykłej włóczni czy wojennego topora, żeby zabić Kulili, i że tak naprawdę to ja wcale nie chcę jej zabić. Kiedy się nad tym zastanawiałem, miałem nadzieję, że uda mi

się wyświadczyć mu inną przysługę zamiast tej. Może nawet ze dwie albo trzy.

W końcu uznałem, że wystarczy tej zabawy i pomyślałem, że może jednak trzeba będzie płynąć długo do wyspy, więc lepiej wyruszę w drogę. Wyskoczyłem z wody, tak jak to robią czasem ryby, i się rozejrzałem. Potem zrobiłem to znowu i jeszcze raz. Nigdzie nie zobaczyłem wyspy. W ogóle żadnego lądu. Jedyne statek oddalony ode mnie o jakąś milę. Postanowiłem, że popłynę do niego, choćby tylko po to, żeby wspiąć się wyżej. Wiatr był dość silny, lecz statek zmierzał ukośnie w moją stronę, wystarczyło więc przeciąć mu drogę i zaczekać na niego. A poza tym płynąłem szybciej niż on, więc dogonienie go, jak myślałem, nie powinno sprawić mi kłopotu.

Rozpoznałem go dopiero, gdy znalazłem się blisko. Z kasztelu rufowego obłaziła farba, zeszła także część złotej powłoki z drewnianej kobiety z koszykiem umieszczonej z przodu. Nie miałem wątpliwości, że to „Zachodni Kupiec”. Nie mogłem w to uwierzyć nawet wtedy, kiedy wspinałem się po burcie.

Obserwator wrzasnął coś (nie zrozumiałem go) i zsunął się ze sztagu, lądując przede mną na pokładzie. Trochę wywalił gały, a potem zaraz opadł na kolana.

– Sir Able! Nie wiedziałem, że to ty, sir, nie wiedziałem, co to takiego, sir. Wybacz, sir. Nie chciałem cię urazić, sir. Na wiatr i wodę, przenigdy.

– I nie uraziłeś – odpowiedziałem. – Nie ma sprawy. Jeśli tylko... zaraz! Ty jesteś Pouk!

– A jakże, sir.

– Zmieniłeś się. To przez tę brodę. Jak długo mnie nie było, Pouku?

– Trzy lata, sir. – Myśleliśmy... myślałem że przepadłeś na dobre, sir. Kapitan też. I wszyscy.

– Kapitan? Myślałem, że go zabiłem.

– Kaptan Kerl, sir, co był bosmanem. A ja... podpisałem papiery, sir, bo nie chcieli mnie żywić, jak nie podpiszę. Ja... ja cały czas tu jestem, sir. Za

główny odpowiadam, sir, bywało już gorzej.

Pokręciłem głową i powiedziałem, że jestem z niego dumny.

– Ale już nie będę, sir, jak każesz kapitanowi, coby mnie skreślił z listy. Teraz jestem twoim człowiekiem, sir Able, tak jak przedtem, chyba że się obraziłeś, że robiłem co innego, jak cię nie było, sir. – Pouk zamilkł i przełknął ślinę. – A nawet jak się obraziłeś, sir, to i tak jestem twój.

Nie wiedziałem, co mam o nim myśleć, powiedziałem więc:

– Masz tu dobrą robotę. Sam mówiłeś.

– Tak, sir.

– Nie zapłacę ci i nie dam ci jeść. Spójrz na mnie. Nie mam nawet portek.

– Moje ci pożyczę, sir. Tylko że będą kapkę za małe.

– Dzięki. Masz rację, podarłbym je, a pewnie w ogóle bym ich nie włożył na siebie. Musimy porozmawiać z kapitanem. Kapitanem Kerlem?

– Tak, sir. – Pouk skinął głową.

– Wiem, że masz obowiązki i nie powinieneś nawet rozmawiać ze mną. Ale zanim pójdę poszukać Kerla, chciałbym, żebyś mi powiedział, dlaczego jesteś gotów porzucić dla mnie swoją pracę, skoro wiesz, że nie mam pieniędzy.

– Samolubny jestem, sir – odparł Pouk, unikając mojego spojrzenia.

– Co masz na myśli?

– Załoga musi trzymać się razem, sir. Trzeba trzymać się swoich kamratów, nie? Ale... to jest moja wielka szansa, sir. Pewnikiem jedyna. Biorę ją. – Odwrócił się, żeby ukryć twarz.

Poklepałem go po ramieniu i udałem się na poszukiwania Kerla. Wzdłuż kasztelu dziobowego biegł wąski pokład; idąc nim, zastanawiałem się, co powie reszta załogi na mój widok.

Dowiedziałem się, gdy tylko wyszedłem z za kasztelu. Zdążyłem może ujść ze dwa kroki i zaraz otoczyli mnie pokrzykujący marynarze.

– Hej, tam na dole! – zawołał nowy bosman z pokładu kasztelu rufowego.

– Co to za trajkotanie? Na stanowiska, wszyscy! Na stanowiska!

Marynarz, którego nie pamiętałem, zawołał głośno:

– To sir Able, sir! Wrócił!

Ktoś inny dodał głośno:

– Niech żyje, chłopaki razem! – Ryknęli razem, a hałas wywabił z kajuty Kerla. Zaczął zadawać pytania, lecz potem dostrzegł mnie pośród marynarzy i otworzył usta zdumiony.

Nie było łatwo przepchnąć się przez tłum tak, żeby nikogo nie poturbować, ale udało mi się. Przecisnąłem się do niego i powiedziałem, że musimy porozmawiać, po czym obaj poszliśmy do kajuty.

– Na liny Rana! – rzucił. – Na Skai, wiatr i deszcz! – dodał, po czym mnie uściskał. Nieraz bywałem zaskoczony podczas mojego pobytu w Mythgarthcie i Aelfrice, ale nie wiem, czy byłem kiedyś bardziej zaskoczony niż wtedy, gdy Kerl mnie uściskał, no może kiedy zrobił to pewien rycerz z czaszką zamiast grzebienia na hełmie, z którym walczyłem w Górach Myszy. Nie ma chyba człowieka, który potrafiłby uściskać mnie tak mocno, by połamać mi żebra – nawet brat Heli, Heimir, nie dałby rady, a poza tym Hemir nie był całkiem człowiekiem. Wielu twierdziło, że w ogóle nie jest człowiekiem. Podczas letnich upałów pocił się jak koń, nawet kiedy siedział pod drzewem.

Kerlowi prawie się to udało. Usłyszałem niebezpieczny trzask.

– Byłem w Aelfrice – wyjaśniłem mu, gdy mnie wreszcie puścił. – Nie wiem, jak długo. To znaczy nie potrafię powiedzieć, jak długo według ich czasu.

– Siadaj! Siadaj! – Kerl wyjął i odkorkował butelkę, po czym przyniósł kielichy.

Myślałem o wyspie, która wyrosła z pęknięcia w morzu i na której widziałem Disiri, o tym, jak przyglądałem się rosnącym tam drzewom, dlatego powiedziałem:

– Może i tam trwało to całe lata. Nie wiem, czy w ogóle mierzą czas w latach. Używają tego słowa, lecz może tylko dlatego, że my się nim

posługujemy.

– Do dna! – Kerl przysunął kielich w moją stronę. – Trzeba to uczcić!

Pokręciłem głową, ponieważ wciąż myślałem o Garsegu, co z kolei przypomniało mi o Uri i Baki i całej sprawie z wyspą Glas. Mimo to napiłem się wina i stwierdziłem, że jest dobre, najlepsze, jakie do tej chwili piłem, o czym wspomniałem Kerlowi.

– Dostałem je od kogoś, kto potrzebował kilku beczulek z wodą.

– Uśmiechnął się szeroko. – Dał mi pięć butelek. Aż kusi, żeby wypić ze trzy albo cztery kieliszeczki wieczorem do kolacji, lecz się powstrzymuję. No, ale dzisiaj jest inaczej. Specjalna okazja, a poza tym nie chciałbym umrzeć i zostawić choćby jedną z tych butelek z mokrym dnem.

– Cieszę się, że tak uważasz. – Znowu się napiłem. – Możesz zabrać mnie do Forcetti? Zrobisz to?

– A jakże! Popłynęliśmy na południe i teraz wracamy. Możemy się tam zatrzymać. – Uśmiech Kerla zgasł po chwili. – Ale po drodze muszę zarządzić kilka postojów, sir. Może być?

Powiedziałem, że tak. Pierwotnie wyruszyłem do Forcetti, spodziewając się, że książę Marder będzie potrzebował innego rycerza, lecz teraz, siedząc nagi w kajucie, uzmysłowiłem sobie, że nawet jeśli potrzebował kogoś na miejsce Ravda, to pewnie już go znalazł, a poza tym będę potrzebował wielu rzeczy, kiedy już tam dotrę. Choćby ubrania. Zapytałem Kerla, czy mają na statku cokolwiek, co mógłbym ubrać.

Na jego twarz powrócił uśmiech.

– Trzymaliśmy twoje rzeczy dla ciebie – odpowiedział. Otworzył skrzynię i wyjął z niej Łamimiecz, który wciąż spoczywał w pochwie zawieszanej na moim starym pasie do miecza. – Chyba o tym nie zapomniałeś?

Też się uśmiechnąłem.

– Dobrze pamiętam.

– Ubrania też są. – Kerl wyprostował się z naręczem ubrań. – Zachowałem je wszystkie. Wsypałem wiórów cedrowych, żeby ich mole nie zżarły, więc

powinny być jak nowe. – Położył ubrania na łóżku, żebym mógł je obejrzeć.

Podziękowałem mu, zapewniając go, że naprawdę tak myślę (bo tak było), i powiedziałem, że będę spał na pokładzie i będę wykonywał wszystkie prace, by zapłacić za jedzenie.

– Będziesz spał tutaj, sir. – Kerl powiedział to takim głosem, że gotów byłem uwierzyć, iż mówi szczerze. – To twoja kajuta, tak samo jak te buty tutaj, sir. Będzie twoja do czasu, aż wysiądziesz w Forcetti, sir, a ja jestem dumny, że mogę ci jej użyczyć.

– Nie mam ci czym zapłacić – zaraz... Kiedy odchodziłem z Aelfami, zostawiłem tu pieniądze. Jeśli je także dla mnie zachowałeś...

Kerl spojrzał w bok.

– Wydałem je, sir Able. Musiałem. Rozbiliśmy się niedaleko Needam i musieliśmy remontować statek. Siedem tygodni siedzieliśmy, sir. Zwrócę wszystko, sir. Ale teraz mogę oddać tylko trochę.

Otworzył sejf i pokazał mi jego zawartość. Rzeczywiście było tam niewiele, same miedziaki i mosiężne monety, a także cztery srebrne, tak że miałem ochotę pozwolić mu zachować wszystko.

Z drugiej strony wiedziałem, że muszę coś mieć, tak więc wziąłem połowę.

Kilka dni później ujrzeliśmy Wyspę Ognia. Byłem jej ciekaw po tym, co usłyszałem od Garsecga, więc wypytałem o nią Kerla, a także ludzi z niewielkiego portu w jej pobliżu, w którym sprzedaliśmy trochę sukna, którego Kerlowi nie udało się spieniężyć dalej na południu. Góra należała niegdyś do Osterlingów, a ci wpychali ludzi do otworu w jej szczycie, ponieważ omijał Aelfrice i prowadził prosto do Muspelu zamieszkałego przez smoki. Nic by nas to nie obchodziło, gdyby chodziło o ich ludzi, lecz oni dokonywali najazdów i zjadali pochwyconych w ten sposób ludzi, tych zaś, których mieliby ochotę zjeść bardziej niż innych, wpychali do otworu, prosząc o pomoc smoków.

Król Arnthor zdobył Górę Ognia, ufortyfikował ją i zostawił na niej swój

garnizon. Kiedy tam przybyliśmy, niektórzy z wojowników byli w mieście i popijali, usiłując poderwać dziewczyny. Byli pierwszymi wojami, jakich spotkałem, a ja nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę rycerzy. W stajniach można było wynająć osły, lecz miałem mało pieniędzy, Pouk zaś w ogóle ich nie miał, postanowiliśmy więc, że pójdziemy piechotą.

Mój zakład

Nigdy bym się tam nie wybrał, gdybym wiedział, co nas czeka. A gdybym nawet się zdecydował, nie pozwoliłbym Poukowi pójść ze mną. Zapowiadało się dobrze, więc wyruszyliśmy wczesnie rano, by uniknąć skwaru, i ścigaliśmy się w marszu za fanty. Kiedy słońce przygrzało, zwolniliśmy i szliśmy głównie od cienia do cienia, jeśli rozumiesz, o co chodzi. Dopisało nam szczęście, bo ocienionych miejsc tam nie brakowało, ale nie we wszystkim, bo było tam mnóstwo robali. Im też nie dopisało zbytnio szczęście, ponieważ zabiliśmy chyba z setkę, a ja zacząłem żałować, że nie można ich zebrać w jednego wielkiego robaka i poczęstować strzałami.

Zastanawiałem się właśnie, czy może jednak dałoby się to jakoś zrobić, gdy na drodze pojawił się farmer z wozem pełnym owoców, które wiozł na Górę Ognia. Wziął nas ze sobą i pozwolił jeść mango. Obiecaliśmy, że pomożemy mu rozładować wóz, kiedy już dojedziemy na szczyt, lecz on, dowiedziawszy się, że jestem rycerzem, sprzeciwił się temu. Gdy znaleźliśmy się już na miejscu, Pouk musiał wykonać robotę za nas dwóch.

Podczas gdy on rozładowywał wóz, ja rozmawiałem z niektórymi ze zbrojnych o murach, wieżach i tym podobnych i wypytywałem ich o to, kto tam mieszka. Wszystkim dowodził lord Thunroff. Minęliśmy już pierwszy mur, niewysoki, za to długi, który odgradzał całą tę część wyspy, w której można było się wspiąć na jej szczyt. Wyjaśniłem im, że jestem rycerzem, co było prawdą, i powiedziałem, że chcę udać się w górę drogą i zobaczyć większy mur i wieże położone wyżej, a może nawet wspiąć się na samą górę do miejsca, gdzie z góry wydobywa się dym. Kerl opowiadał, że dym płynie z Muspelu, w co nie bardzo wierzyłem i podejrzewałem, że ktoś mu po

prostu naopowiadał, dlatego chciałem się przekonać na własne oczy.

Odpowiedzieli mi, że na to, abym mógł jechać dalej, musi wyrazić zgodę lord Thunrolf. Powiedziałem, że w porządku, i zapytałem, gdzie on jest. Był oczywiście daleko w górze w zamku zwanym Okrągłą Wieżą, miałem więc okazję wiele obejrzeć, kiedy mnie tam prowadzili. Widok był piękny i przerażający zarazem. Patrząc daleko w górę, widać było głównie wieże, a dalej znowu wieże i mury wzniesione na innych murach i nagie skały między nimi. Z najwyższych wież powiewały flagi, królewska i flaga lorda Thunrolfa, sztandary zamożnych rycerzy i proporce innych. Na blankach wież wisały tarcze z rycerskimi herbami. A wszystko zbudowano z kamienia wydobytego z tej samej góry o różnych kolorach, lecz głównie czerwonego, czarnego i szarego. Nad wszystkim górował wierzchołek góry przykryty śniegiem, spod którego płynął dym. Czarny dym snujący się ku Skai, jakby smoki Muspelu próbowały wykurzyć nim Valfathera i innych Overcynów. Nigdy tego nie zapomnę. Droga była stroma, a po jakimś czasie zrobiło się chłodniej i zaczęło mocniej wiać; zanim dotarliśmy do połowy drogi domyślałem się już, dlaczego Thunrolf okopał się tam, zamiast na równinie. A poza tym nie było tam robaków.

Na górę prowadziła tylko jedna droga, tak więc żeby odzyskać górę, Osterlingowie musieliby zająć wszystkie fortyfikacje wybudowane przy tej drodze, jedną po drugiej, albo zamorzyć głodem garnizon. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, ile wody i jedzenia zgromadzono na górze, a Thunrolf powiedział mi, że mają tam ogromne cysterny wycięte bezpośrednio w skale, które przeważnie są pełne, jako że pada tam dość często. Zdobywanie tamtejszych murów czy wież wydawało mi się równie beznadziejne jak szturmowanie Wieży Glas. Wtedy nie wiedziałem, że Osterlingowie zamierzają odebrać nam górę, ani że my ją odbijemy. Gdybyś mi wtedy powiedział, że to ja wydam rozkaz poddania się i wycofania na południe, uznałbym cię za wariata.

Podczas naszego pierwszego tam pobytu głównym zajęciem Thurolfa i

jego ludzi było budowanie kolejnych murów i kolejnych wież. Podwyższali stare mury i wznosili nowe. Trochę musieli przy nich pracować wojownicy, ale wynajmowano też miejscowych ludzi. Prace nadzorowali rycerze, a rycerzy nadzorował Thunroolf. Rycerze nie powinni pracować fizycznie, ich zadaniem jest walczyć i przygotowywać się do walki. Dowiedziałem się co nieco na ten temat jeszcze w Irringsmouth, ale dopiero w Forcetti przekonałem się, jak bardzo przestrzega się tych zasad.

Wykorzystywali każde miejsce, w którym droga się zwężała, a zbocze było strome i zagradzali tam drogę murem z bramą i wieżami, z których łucznicy mogli ugodzić każdego napastnika. Zaczęli od samego dołu i budowali coraz wyżej.

Dotarliśmy do dużej wieży i wdrapaliśmy się na czwarte czy piąte piętro, gdzie rezydował Thunroolf. A potem czekaliśmy całe wieki. Wcześniej na wozie zjedliśmy po kilka mango, lecz od tego czasu dobrze już zgłodnieliśmy i chciało nam się pić.

Co jakiś ktoś przychodził ktoś do nas i rozmawiał z którymś, wypytywał, kim jesteśmy i czego chcemy. Byłem zmęczony i nie słuchałem uważnie, o co wypytywali Pouka, a chyba powinienem był. Wreszcie kazałem mu iść poszukać czegoś do jedzenia i picia i dalej czekałem sam. Robiło się coraz później, a ja zacząłem się zastanawiać, czy Thunroolf albo ktoś inny zechce nas tam przenocować.

Miałem właśnie spróbować wyjść, żeby przekonać się, czy ktoś mnie zatrzyma, gdy pojawił się służący i powiedział, żebym wszedł. Widziałem go już wcześniej, jak wchodził i wychodził kilkakrotnie z sali, w której przebywał Thunroolf. Tym razem dostrzegłem na jego twarzy drwiący uśmiech, który wcale mi się nie podobał, ale ponieważ nie mogłem nic na to poradzić, poszedłem za nim.

Thunroolf siedział przy stole, na którym stała butelka z winem i kilka pucharów. Wcześniej przedstawiłem się służącemu, on zaś przekazał moje imię Thunroolfowi. Ten polecił, abym usiadł, i dał znak służącemu, żeby nalał

mi wina, co uznałem za miły gest. Był wysokim mężczyzną o długich nogach. Większość mężczyzn w jego wieku nosi wąsy i brodę, lecz on ich nie miał. Patrząc na niego, odniosłem wrażenie, że za mało je i za dużo pije.

– A zatem jesteś rycerzem. Powiedziałem, że tak jest.

– Podróżujesz na statku, który zmierzał do Forcetti. Mocno zboczyłeś z kursu.

Spróbowałem skomentować całą sprawę żartem.

– Generalnie staram się jak najszybciej dotrzeć do miejsca, do którego pragnę dotrzeć, ale chyba nie jestem w tym najlepszy.

Zmarszczył brwi.

– Czy nikt cię nie nauczył mówić „panie”, kiedy rozmawiasz z baronem?

– Wybacz, panie. Chyba nie przebywałem zbyt często w towarzystwie baronów.

Machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że to nieważne, i napił się wina, a ja skorzystałem z okazji i też nieźle pociągnąłem z mojego pucharu. Czułem, że mam w ustach starego trampka, na szczęście wino było chłodne i smakowało wybornie.

– Chcesz iść na samą górę i się rozejrzeć? – powiedział.

– Tak, panie – odparłem. – Jeśli nie jest to dla ciebie zbyt kłopotliwe.

– Da się zrobić, sir...?

Służący podawał mu moje imię, mimo to podpowiedziałem mu:

– Sir Able Wielkie Serce.

– Zamierzasz więc wznieść swe serce wysoko, podobnie jak i resztę ciała.

– Thunroff roześmiał się z własnego dowcipu. Jego śmiech nie przekonał mnie bardziej do niego. Po chwili powiedział:

– Jadłeś kolację?

– Nie, panie.

– A jesteś głodny? Ty i twój człowiek?

– Pewnie.

– Rozumiem. Możesz zjeść z nami, sir Able, lecz jeśli chcesz tego, trzeba

wcześniej wyjaśnić dwie sprawy. Pierwsza dotyczy rangi twojego towarzysza. Mistrzowi Egorowi powiedziałeś, że to twój przyjaciel.

Przytaknąłem mu.

– Nie rycerz?

– Nie, panie. Po prostu przyjaciel. Rycerzom wolno chyba mieć przyjaciół, którzy nie są rycerzami?

– I nie jest zbrojnym?

– Nie, panie. Pouk jest żeglarzem.

– Rozumiem – odparł Thunrolf i znowu napił się wina.

Ja także, ale zaraz uznałem, że chyba wystarczy, bo poczułem zabawne mrowienie na ustach.

– A właściwie to nie rozumiem. Twój przyjaciel powiedział Atlowi, że jest twoim służącym. Wysłałem Auda, żeby z nim porozmawiał, i jemu powiedział to samo. To znaczy, że jeden z was kłamie.

Starąłem się wyjaśnić nieporozumienie.

– Pouk boi się, że ludzie pomyślą, iż nie jestem kimś ważnym, panie, co oczywiście jest prawdą. Chce, żeby myśleli, że jestem ważną osobą, dlatego tak mówi. Może byłoby to prawdą, gdybym mógł mu płacić, ale nie stać mnie na to.

– Jesteś biedny?

– Bardzo, panie.

– Tak też myślałem. I tu pojawia się druga z trudności, o których wspominałem. Mamy tu pewien zwyczaj, czy raczej powinienem powiedzieć: rycerze hołdują tu pewnemu zwyczajowi. Barbarzyński moim zdaniem, ale zwyczaj to zwyczaj. – Thunrolf beknął. – Nowy rycerz – jesteś rycerzem?

– Jestem, panie. Tak jak mówiłem.

– Tak, mówiłeś. Nie zapomniałem. Nowy rycerz musi walczyć z wystawionym przez nich przeciwnikiem. Tępyimi mieczami, na stole, przed kolacją. Musi walczyć z nim – wybacz – o jedno berło. Wyglądasz na przestraszonego, sir Able. Czyżbyś się obawiał walczyć?

– Nie, panie. Tylko...

– Tylko co?

Jego spojrzenie mówiło mi, że myśli, iż się boję, co mi się wcale nie podobało, ale nie mogłem na to nic poradzić, tak więc powiedziałem:

– No cóż, chodzi o to, że nie mam berła, panie. Wysunął szufladę ze stołu, pogrzebał w niej i wyjął monetę.

– Ale ja mam – rzucił. Podniósł ją do góry. – Mam ci ją pożyczyć?

– Tak, panie. Proszę. Oddam ci, jeśli wygram, obiecuję.

– A jeśli przegrasz? – Patrzył na mnie, lecz oczy miał prawie zamknięte. – Bo przecież przegrasz, sir Able. Nie łudź się.

– Nie będę mógł ci oddać. – Rozmawiając o zakładzie, przypomniałem sobie nasze fanty, jakie z Poukiem płaciliśmy w wyścigach na drodze. – W takim razie może wyświadczę ci wtedy jakąś przysługę, panie. Zrobię wszystko, czego zażadasz.

– Wszystko, sir Able?

Wiedziałem, że pakuję się w kłopoty, ale w tym momencie nie przejmowałem się tym zbyt. –

– Tak, panie. Wszystko.

– Zgoda. – Rzucił mi monetę. – Coś mi chodzi po głowie. Musimy udać się na szczyt góry, co cię pewnie ucieszy. Widzisz, dobry plan. Dobre plany pasują do siebie, zupełnie jak... kamienie w murze. Coś w tym rodzaju. Tak więc ty będziesz miał okazję pójść na szczyt mojej góry, tak jak tego pragniesz, a ja zrealizuję swój plan, zgodnie z zamierzeniem. – Nalał mi jeszcze wina i trącił się ze mną kielichem.

Napiłem się odrobinę.

– Jest jeszcze inny problem, panie, ale już chyba nie tak poważny. Wspomniałeś coś o tępych mieczach, lecz ja nie walczę mieczem. Może być to? – Wyjąłem Łamimiecz i pokazałem mu go.

Oglądał go przez chwilę, zamachnął się, tak jak się to robi, i oddał mi.

– Obawiam się, że nie, sir Able. To jest buzdygan. Sam tak powiedziałeś.

Zgodziłem się z nim.

– A zatem jest zbyt niebezpieczny. Nie chcę, żeby ktoś zginął. Znajdę dla ciebie coś innego. Masz tarczę?

Powiedziałem, że nie, a on odparł, że tym też się zajmie.

Była już pora kolacji, tak więc zeszliśmy do głównej sali. Zastaliśmy tam wiele osób, a inni wciąż przybywali. Staliśmy, przyglądając się im, gdy zjawiał się Pouk. Oznajmił, że nie znalazł niczego do jedzenia ani do picia i wyraził nadzieję, że może tam właśnie pozwolą nam coś zjeść. Wtedy wyjaśniłem mu, że zjemy, jak tylko stoczę pojedynkę na stole zgodnie z życzeniem Thurolfa.

Thunroolf wskazał Poukowi miejsce i kazał mu usiąść. Potem przeszliśmy do stołu, a on wyjaśnił mi, że rycerze siedzą przy nim przy wysokim stole. Przyjaciel rycerza, który sam nie jest rycerzem, powinien siedzieć w końcu wysokiego stołu razem ze zbrojnymi, a więc tam, gdzie wcześniej posadził Pouka. Dodał, że służący siedzą przy niskim stole ustawionym blisko drzwi, i zapytał, czy chcę coś zmienić. Odpowiedziałem, że nie.

Ktoś, chyba Aud, przyniósł tępe miecze. Normalne stare miecze, proste, tyle tylko, że miały sklepane ostrze i czubek. Rycerz, który miał walczyć ze mną, wziął jeden, a ja po raz kolejny wyjaśniłem, że nie walczę mieczem, nawet tępym. Wtedy Thunroolf posłał kogoś po szefa kuchni, a kiedy ten przyszedł, Thunroolf polecił mu, żeby przyniósł mi tarczę i coś, czego mógłbym użyć zamiast miecza. A potem zabrali mi łuk i Łamimiecz.

Szef kuchni wrócił całkiem szybko i przyniósł cynową pokrywkę, która miała mi posłużyć za tarczę, zamiast miecza zaś miałem użyć długiej żelaznej łyżki. Wcale mi się to nie spodobało, ale nie miałem wyjścia i musiałem wleźć na stół i wziąć swoją broń. Wszyscy krzyczeli, żebym to zrobił, wrzeszczeli i śmiali się. Szczerze mówiąc, podnieśli mnie i postawili na stole. Pomyślałem sobie, a niech tam, jestem większy i silniejszy niż ten gość, i zaraz im pokażę.

A teraz przedstawię kilka usprawiedliwień. Otóż wypilem za dużo z

Thunrolfem i niezbyt mocno trzymałem się na nogach. Szczera prawda. Do tego łapali mnie za kostki i próbowali przewrócić. Mówię, jak było. Ale tak naprawdę nie o to chodziło. On był po prostu dobrym szermierzem, a ja nie. Do tego momentu nie miałem najmniejszego pojęcia, co to znaczy być dobrym szermierzem. Przyłożyłem w jego tarczę tak mocno, że moja łyżka się wygięła, i co? On ani razu nie uderzył w moją pokrywkę. Zadawał ciosy poza nią i zmuszał mnie, żebym machał nią tam, gdzie chciał i kiedy chciał. Pewnie był to jakiś miły facet, bo widziałem, że jest mu naprawdę przykro. Zdzielił mnie ze dwa albo trzy razy, nie za mocno, a potem strącił ze stołu. Pozbierałem się, dałem mu berło, które pożyczyłem, i było po wszystkim.

Thunrolf śmiał się, podobnie jak inni, i poklepał mnie po plecach, po czym posadził obok siebie. Było piwo i więcej wina, a także zupa, mięso i chleb. Podali też coś jakby sałatkę, w której były pokrojone korzenie albo coś podobnego chrupiącego, olej i solona ryba. Nawet mi smakowała, podobnie jak chleb i mięso. Potem były też owoce, chyba te mango, na których przyjechaliśmy. Zjadłem furę, lecz Thunrolf nie jadł dużo. Wciąż pił i wcale nie był mocno pijany. Później poznałem Morcaine, która też potrafiła dużo wypić. Tyle tylko, że ona piła brandy. Potem miała kolory i czasem chodziła chwiejnym krokiem, ale nigdy nie śpiewała, nie wygłupiała się ani nie zemdlała. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tyle piła albo dlaczego Thunrolf pił tak dużo.

Góra Ognia

Kiedy kolacja dobiegała końca, Thunrolf wstał i uderzył w stół srebrnym pucharem, nakazując ciszę.

– Przyjaciele! – powiedział. – Prawdziwi rycerze, dzielni wojowie, odważni łucznicy. – Tak jakby zamilkł na chwilę i posłał im groźne spojrzenie, zanim powiedział: – Lojalni służący.

Przewrócił kopniakiem swoje krzesło i przeszedł do stołu służby.

– Mam powód przypuszczać, że ktoś tu doznał zniewagi. Dotyczy to nas wszystkich, ale w szczególności was, moi lojalni słudzy.

Powiedziawszy to, obrócił się na pięcie, niemal się przewracając, i wskazał na Pouka.

– Czyż nie jesteś sługą? Sługą sir Able'a? Pouk zerwał się na nogi.

– A jakże, sir!

Pozostali służący wydali ciche pomruki, podobnie jak wojownicy, przy których stole siedział Pouk.

– Wepchnąłeś się między swoich zwierzchników – zwrócił się do niego Thunrolf – i odwróciłeś plecami do kamratów. Gdybym pozwolił im wymierzyć ci karę, popamiętałbyś do końca życia. Chcesz tego?

– Nie, sir – odparł Pouk. – Ja tylko...

– Cicho! Oszczędzę ci lania. Czy jest tu kowal?

Kowal, który siedział przy stole wojów, wstał, a Thunrolf szepnął mu coś do ucha. Zaraz potem kowal opuścił salę.

– Potrzebuję sześciu odważnych rycerzy. Sześciu oprócz tego tam, sir Able'a. – Wyznaczył szóstkę i dodał, że każdy, kto zechce popatrzeć, też może przyjść.

Thunrolf miał konia, podobnie jak rycerze, lecz ja i Pouk musieliśmy iść pieszo, a także większość z tych, którzy podążyli za nami. Droga pięła się coraz wyżej, aż wreszcie doszliśmy do długich schodów, przed którymi jeźdźcy musieli zostawić konie, a potem znowu szliśmy drogą i znowu wchodziliśmy po schodach śliskich od śniegu i lodu. Niektórzy zatrzymali się tam i zawrócili, lecz my nawet nie próbowaliśmy, obserwowani przez wojowników. Pocieszyłem Pouka, że to żadna wspinaczka dla kogoś, kto wszedł na Górę Glas, a on odpowiedział, że to nic trudnego dla kogoś, kto wcześniej wspinał się na grotmaszt tak często jak on. Pocieszaliśmy się tak nawzajem, lecz w rzeczywistości droga była ciężka i stroma, a poza tym kiedy wchodziłem po schodach na dach Wieży Glas razem z Uri i Baki, często odpoczywaliśmy. Natomiast w drodze na szczyt Góry Ognia nie mieliśmy ani chwili wytchnienia.

Widok z samej góry był piękny, po prostu piękny. Na nizinach zapadła już noc i w wieżach najniższego muru paliły się światła, a także w kilku miejscach za nimi, w dżungli, gdzie stał czyjś dom albo może paliło się tylko ognisko. U nas na górze wiał świeży, chłodny wiatr i słońce dopiero zachodziło. Nad morzem płynęły złocisto-szare chmury, a ja, gdy na nie spojrzałem, pomyślałem, że w każdej chwili w dolinie może pojawić się grupa rycerzy. I rzeczywiście pojawili się, kiedy słońce nieco się obniżyło. Mocno oddaleni, byli bardzo mali, mimo to widziałem ich proporce i połyskujące zbroje i cały ten widok wydał mi się piękny. Nigdy go nie zapomnę.

Tyle tylko, że nigdy nie zobaczyłem, dokąd zmierzali, ponieważ usłyszałem uderzenia młota i odwróciłem się, by sprawdzić, co to za hałas. Wcześniej kowal zamknął żelazny pierścień wokół kostki u nogi Pouka, teraz zaś wbijał klamrę w duży kamień, tak by przykuć do niego Pouka.

Kiedy skończył, Thunrolf kazał Poukowi dźwignąć kamień i ponieść go dalej. Pouk spróbował, lecz kamień był tak ciężki, że upuścił go po kilku krokach. Wreszcie jeden ze służących, którzy poszli z nami, pomógł mu

nieść kamień i wszyscy udaliśmy się na sam szczyt. Znajdował się tam kamienny taras w kształcie obrzynka paznokcia, zbudowany jeszcze przez Osterlingów. Stojąc na nim, można było zajrzeć w głąb Góry Ognia. Dziura nie prowadziła prosto w dół, lecz opadała bez końca stromym zboczem najeżonym skałami. Widać było wyraźnie jej wnętrze daleko w dole, ponieważ na dnie płonął ogień. Na górze, gdzie staliśmy, otwór był szeroki na strzał z łuku albo trochę szerszy, lecz zwężał się ku dołowi.

Thunrolf kazał Poukowi podejść do krawędzi, a ja powtarzałem sobie w myślach, że nie zamierza wrzucić Pouka do dziury tylko dlatego, że tak robili Osterlingowie. Wierzyłem, że tak było. I wtedy służący, który pomagał Poukowi nieść kamień, puścił go, a Thunrolf popchnął lekko Pouka, tak że ten wypadł poza krawędź dziury.

Spadał, turlając się i obijając o kamienie, i próbował chwycić się czegoś, lecz kamień ciągnął go w dół. W tym momencie skoczyłem na Thunrolfa.

Wojownicy zabiliby mnie, gdyby im pozwilił, lecz ich powstrzymałem. Jednego rzuciłem na ziemię, innemu zaś złamałem rękę, lecz zaraz pozostali przytrzymali mnie mocno i zastąpili drogę do Thunrolfa. Przystawili mi do twarzy i piersi groty pik i halabard. Byłem bezbronny, unieruchomiony przez rycerzy, którzy mogli mnie naszpikować grotami. Thunrolf nakazał kowalowi nałożyć okowę na mój prawy nadgarstek. Thunrolf podniósł do góry drugi pierścień na końcu łańcucha.

– A teraz, dzielny sir Able – powiedział – czy wciąż twierdzisz, że ten człowiek jest twoim przyjacielem, a nie sługą?

– Tak – odpowiedziałem. – Mówiłem prawdę.

– Panie – dodał Thunrolf i tak jakby uśmiechnął się złośliwie. Rycerze, którzy trzymali mnie za ręce, próbowali mi je wykręcić, lecz moc morza wzbierała we mnie niczym sztorm. Słyszałem szum fal i czułem siłę ich uderzeń. Nie chciałem, żeby się zorientowali, że nie mogą mi wykręcić ramion nawet wtedy, kiedy po trzech trzymało moją rękę, dlatego powiedziałem szybko:

– Panie. Mówiłem prawdę, panie. To mój przyjaciel.

– Tak już lepiej. – Thunrolf uśmiechnął się. Wciąż trzymał wolną obręcz okowy i najwyraźniej dobrze się bawił. – Jeśli rzeczywiście jest twoim przyjacielem, to został niesłusznie oskarżony – wprawdzie przez własne słowa, ale niesłusznie. Spójrz w dół, widzisz go gdzieś?

Rycerze puścili mnie, a ja podszedłem do krawędzi i spojrzałem w dół. W pierwszej chwili nie widziałem nigdzie Pouka, lecz potem go dostrzegłem. Kamień, do którego go przykuto, zahaczył o skalny występ i Pouk próbował go uwolnić. Krzyknąłem do niego z całych sił, żeby został tam, gdzie jest, to zejść i mu pomogę.

– Ach! – rzucił Thunrolf. – Pewnie mu się to spodobało. Zejdiesz, jeśli ci na to pozwolę. Nie inaczej.

Zastanawiałem się, czy nie spróbować znowu skoczyć na niego i szukałem dogodnej chwili, lecz ostatecznie powiedziałem:

– Pozwól mi, panie, proszę. On nie zrobił nic złego. Pozwól mi zejść i pomóc mu wrócić na górę.

Thunrolf skinął głową.

– Uczynię to, sir Able, jeśli rzeczywiście tego pragniesz. Jesteś gotów narażać życie w mojej Górze Ognia, żeby ratować przyjaciela?

– Jestem gotów, panie – powiedziałem i zbliżyłem się do krawędzi.

Wtedy on skinął na rycerzy, a ci mnie powstrzymali. Miałem ochotę wepchnąć ich do przepaści i mogłem to zrobić.

– Możesz iść – powiedział Thunrolf – lecz nie sam. Będzie ci towarzyszył inny dzielny rycerz, który pomoże ci przyprowadzić twojego przyjaciela z kamieniem. Kto się zgłosi? – Znowu podniósł żelazną obręcz.

Nikt się nie odezwał.

– Czekam na ochotnika. Któryś z obecnych tu rycerzy. – Thunrolf machnął żelazem.

Myślałem tak jak on. Wierzyłem, że zgłosi się dwóch albo trzech, a może nawet wszyscy, i będzie musiał wybierać. Tylko że żaden się nie zgłosił, a

niektórzy cofali się dyskretnie. Miałem ochotę im powiedzieć, że sir Ravd by się zgłosił, bo wiedziałem, że by to uczynił.

Thunroolf wściekł się i wyzwał ich od tchórzy, a oni, jak widziałem, mieli ochotę zabić go za to, lecz wciąż nie zgłosił się nikt, kto by dał się zakuć w okowy.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że Pouk zniknął. W ogóle go już nie widziałem, ale domyślałem się, że wreszcie uwolnił swój kamień i próbując wejść z nim z powrotem na górę, stoczył się jeszcze niżej.

Wtedy chwyciłem Thunrolfa za ramię.

– Ja idę – powiedziałem. – Zakuj mnie w drugą obręcz.

– Nie – odpowiedział – jeden z tych tchórzy musi pójść z tobą. Chcę zobaczyć – i chcę, żeby oni zobaczyli – kto pierwszy zawróci.

Nawet się nie ruszyli, o czym mu powiedziałem, po czym zacząłem schodzić. Wciąż trzymał koniec mojego łańcucha, który teraz chwycił jeden z rycerzy i obaj mnie powstrzymali. Wiedziałem, że jeśli spróbuję ich pociągnąć, inni także chwycą za łańcuch.

– To wasza ostatnia szansa – zwrócił się do rycerzy Thunroolf – ostatnia okazja. Czekam.

Wystawiłem głowę ponad krawędź przepaści i ryknąłem:

– Załóż mi to na drugą rękę! Sam pójde!

Kilka razy przeżyłem tu duże zaskoczenie. Wiem, że już o tym wspominałem, ale tak było. To była właśnie jedna z takich chwil, bo oto Thunroolf założył sobie na przegub żelazny pierścień, zatrzasnął go, spojrzał po raz ostatni na swoich rycerzy i zaczął schodzić za mną.

W miarę jak schodziliśmy, powietrze stawało się coraz gorętsze, a oddychanie coraz trudniejsze. Wciąż kasłaliśmy z powodu dymu. Wiedziałem, że jest całkiem prawdopodobne, iż obaj umrzemy, czego wcale nie chciałem.

(To jeden z takich momentów, kiedy trudno jest mówić prawdę. Ten chyba jest najtrudniejszy. Tak myślę. Wyszedłem poza siebie, a potem

przeszedłem się wkoło i spojrzałem na morze, góry i to piękne miejsce, w którym mieszkamy. Gdyby Disiri albo Michał byli tam ze mną, porozmawiałbym z nimi o tym, lecz ich tam nie było, więc sam musiałem zdecydować. I zdecydowałem, co jest prawdą).

Gdyby Góra Ognia była takim samym wulkanem jak ten, który mamy w domu, nigdy bym tego nie zrobił. Ale wiedziałem, że tak nie jest, dlatego postanowiłem zejść. Wiedziałem też, że pod Aelfrice znajduje się inny świat, szósty świat zwany Muspelem. Wiedziałem, że dziura w Górze Ognia prowadzi do niego i że tam właśnie plonie ogień, który widzieliśmy, i stamtąd płynie dym.

To jedna sprawa. Po drugie, przypuszczałem, że nie będziemy musieli schodzić aż do Muspelu. Pouk zatrzymał się gdzieś na zboczu za pierwszym razem, sądziłem więc, że za drugim stanie się podobnie, niesłusznie niestety. Kiedy Thunrolf rozkaszał się na dobre i zaczął nalegać, żebyśmy zawrócili, ja uparcie ciągnąłem go w dół. Wiedziałem, że próbuje mi powiedzieć, iż najchętniej by mnie zabił, i momentami nawet udawało mu się wyrazić to słowami. Udawałem, że go nie rozumiem, i ciągnąłem za łańcuch, powtarzając, żeby się nie zatrzymywał.

Po jakimś czasie dziura znowu zaczęła się rozszerzać i już nie schodziliśmy po wewnętrznej ścianie góry, raczej zsuwaliśmy się zboczem klifu. Thunrolf znowu się przewrócił. Wcześniej zdarzyło się to z tuzin razy, lecz teraz sprawa była poważna. Zdążyłem złapać za łańcuch, na którym wisiał. Próbując go podciągnąć, by dać mu możliwość złapania się czegoś, zobaczyłem daleko w dole Pouka, do którego zbliżał się jeden ze smoków Muspelu.

Nie sądzę, by jakimkolwiek dwóm innym mężczyznom udało się zejść klifowym zboczem szybciej niż mnie i Thunrolfowi. Kiedy dotarliśmy na sam dół, krzyknąłem do Pouka i wrzasnąłem na smoka. Wtedy Thunrolf wyciągnął z pochwy miecz i zamierzył się na mnie, lecz ja chwyciłem go za nadgarstek i wykręciłem mu rękę, zmuszając, by puścił miecz.

Trudno to przedstawić słowami na papierze, ponieważ wszystko działo się bardzo szybko. Nie widziałem smoka, mocując się z Thunrolfem, lecz wiedziałem, że zbliża się szybko do Pouka. Potrzebowałem miecza. Wiem, że wcześniej mówiłem, iż wezmę do ręki tylko ten miecz, który wybierze dla mnie Disiri, ale teraz bardzo potrzebowałem miecza Thunrolfa. Uznałem, że to nasza jedyna nadzieja i że jeśli pozostanie w rękach Thunrolfa, to on zabije mnie, a nie smoka.

Thunrolf upuścił miecz, jak już mówiłem, a ten wpadł w szczelinę między skałami. Ze szczeliny buchał ogień, a miecz wpadł tak głęboko, że nie było go widać. Odwróciłem się szybko i zobaczyłem, że smok przygniótł Pouka do ziemi przednią łapą. Wyobraź sobie ogromnego węża, krokodyla wielkości łodzi i jednego z tych latających dinozaurów. Teraz połącz ze sobą ich najgorsze części i tak właśnie wygląda smok. Wygląda gorzej niż każde z nich z osobna i gorzej niż wszystkie razem wzięte.

Podniosłem kamień. Był tak gorący, że ledwo utrzymałem go w dłoni, ale udało mi się rzucić. Smok syknął jak rura wyrzucająca parę i rozwarł szeroko pysk, a ja zamiast języka zobaczyłem w jego wnętrzu twarz Garsecga.

– Sir, Able, czemu stajesz przeciw mnie? – zapytał. To wciąż był jego głos, choć teraz zabrzmiał jak rockowa kapela.

Wyjaśniłem mu, że Pouk jest moim przyjacielem, i dodałem, że jeśli zabije Pouka, to będzie też musiał i mnie zabić.

– A jeśli nie zabiję? – Garsecg uśmiechnął się w pysku krokodyla. Jego twarz była trzy razy większa niż przedtem.

– Wtedy dożyję chwili, by dotrzymać obietnicy. Obiecałem ci, że będę walczył z Kulili, i tak zrobię.

Wtedy smok rozpostarł skrzydła. Już wcześniej wydawał mi się wielki, lecz teraz był większy niż którykolwiek z samolotów, jakie dotąd widziałem. Wzniósł się w powietrze, wzniesając huragan. Wicher zarzucił nas piaskiem, kamieniami i ogniem i rzucił na ziemię, tak że turlaliśmy się po gładkiej powierzchni, jakbyśmy spadali w głąb Góry Ognia.

Odleciał. Spojrzałem do góry i zobaczyłem go wysoko na niebie – nawet tam wydawał się ogromny. Było to straszne niebo, czerwone od pyłu i rozjaśnione ogniem od dołu. Lecz jeszcze wyżej, gdzie płynęły najwyższe chmury, widać było Aelfrice, piękne drzewa i chmury, śnieg i kwiaty, a także Kulili widoczną w głębi zimnego, niebieskiego morza.

Nie potrafiłem rozerwać łańcucha, którym przykuto Pouka do kamienia, ale stanąłem na nim i wyciągnąłem klamrę. Gdybym tego nie zrobił, to nie bylibyśmy w stanie razem z Thunrolfem zanieść go z powrotem na górę zboczem dziury we wnętrzu Góry Ognia.

Z trudem nam to przyszło. Zatrzymywaliśmy się co jakiś czas, kaszląc i krztusząc się. Nękani pragnieniem, ledwo wydobywaliśmy z siebie głos, mimo to starałem się mu wyjaśnić, że nam być może wydaje się, iż spędziliśmy zaledwie kilka dni we wnętrzu Góry Ognia, lecz gdy z niej wyjdziemy, okaże się pewnie, że trwało to znacznie dłużej.

– Jeśli w ogóle się z niej wydostaniemy, sir Able – powiedział Thunrolf, po czym podniósł Pouka i zarzucił go sobie na plecy, tak jak ja przedtem, i ruszył pod górę. Pouk, który miał połamane nogi, tracił przytomność i odzyskiwał ją na przemian. Thunrolf szybko się męczył, więc musiałem znowu nieść Pouka, choć sam Thunrolf ani razu mnie o to nie poprosił. Ani razu. Zwróciłem na to uwagę po pewnym czasie.

Pięliśmy się niezmordowanie w górę. Coś tu się nie zgadzało, bo przecież nie mogliśmy zejść aż tak nisko, jak daleko zdążyliśmy już wejść pod górę, a wciąż nie dotarliśmy na szczyt. Opuściliśmy już Muspel i znaleźliśmy się w innym świecie pełnym skał, kamieni, gorąca i dymu. Wiedziałem, że umrzemy i że mogę położyć Pouka na ziemi, a wtedy on umrze szybciej, a i mnie będzie łatwiej umrzeć. Ale byłem uparty i nie zrobiłem tego. Miałem wrażenie, że trwa to w nieskończoność. Wydawało mi się wtedy, że nigdy nie byłem czyimś młodszym bratem w Ameryce, że nigdy nie wyruszyłem na poszukiwanie drzewa i nie mieszkalem w leśnej chacie razem z Bertoldem Śmiałym. Ze przez całe życie wspinałem się ostatkiem sił i krztusiłem.

I wreszcie poczułem powiem chłodnego wiatru. Miał zły smak i zapach, ale był chłodny, a ja byłem cały poparzony, tak bardzo, że już przestałem zwracać na to uwagę. Spojrzałem do góry, by sprawdzić, skąd płynie ten wiatr i jak strome jest zbocze nad nami, i ujrzałem gwiazdy. Nigdy nie zapomnę tamtej chwili. Mogę teraz zamknąć oczy i wciąż je widzę. Nie wiesz, czym są gwiazdy i jak mogą być piękne.

Ja wiem.

Znowu na morzu

Jaśniejsza, bliższa gwiazda płonęła gdzieś pod nami – ognisko w miejscu, gdzie zaczynały się schody. Kierowaliśmy się powoli na nią, posilając się śniegiem, a ja niosłem Pouka i podtrzymywałem

Thunrolfa, kiedy tego potrzebował. Dotarliśmy już blisko pierwszego stopnia schodów, kiedy Thunroolf zawołał: – Aud!

Mężczyzna siedzący przy ognisku zerwał się na nogi, Thunroolf zaś podbiegł do niego, potykając się, po czym uściskał go i zapłakał. Położyłem Pouka przy ognisku i rozciąłem mu spodnie. Ucieszyłem się, gdy zobaczyłem, że złamane kości nie przebiły skóry. Bertold Śmiały ostrzegał mnie, że jeśli ktoś spadnie z drzewa i złamana kość wyjdzie na zewnątrz, to prawdopodobnie umrze.

– To jest Aud, mój zarządca – wyjaśnił mi Thunroolf – a to jest Vix, mój służący. – Po jego twarzy płynęły łzy. – Pierwszy raz jestem tak szczęśliwy na widok tych dwóch łobuzów.

Mieli wino i wodę, więc usiedliśmy razem, popijając i pojąc Pouka. Był chory i oszołomiony i wydawało się, że nie wie, jak się nazywa ani gdzie jest.

– Minął dokładnie rok, wasza lordowska mość – powiedział Aud do Thunrolfa – od dnia, w którym zszedłeś w głąb Góry Ognia. Przybyliśmy tu dzisiaj, by uczcić ten dzień.

– Zamierzaliśmy wrócić do Seagirt, wasza lordowska mość. futro. Lord Olof dałby nam dach nad głową, ale odmówiliśmy.

– A zatem macie nowego pana w Okrągłej Wieży. – Thunroolf powiedział to tak, jakby mówił do siebie. – Wcale mnie to nie obchodzi. Ani trochę. W ogóle mnie to nie interesuje.

– Król go przysłał, wasza lordowska mość – rzekł Aud.

– Tak więc mogę wrócić do domu. Wrócimy do domu. – Otrząsnął się i opróżnił swój puchar. – Jestem tak bardzo zmęczony – będziesz musiał mi pomóc wstać. I Able, sir Able. Pomóż mi też. Udasz się do Seagirt ze mną, sir Able? Będziesz moim pierwszym rycerzem i moim spadkobiercą. Adoptuję cię.

Wyraziłem swoją wdzięczność i wyjaśniłem mu, że obaj z Poukiem zmierzaliśmy do Forcetti, by oddać się na służbę u księcia Mardera.

– Przenocuję tutaj. Okryj nas czymś, Vix. – Thunrolf położył się i zamknął oczy, a Vix okrył go swoim płaszczem.

Przyjechali tam na osłach, tak więc Aud pojechał na jednym z nich, by sprowadzić medyka. Spałem, kiedy wrócił, i był to jeden z tych nielicznych snów w Mythgarthricie, w którym nie pojawili się ludzie, z których żyć została upleciona cięciwa Parki. Setr też mnie wtedy nie niepokoił, choć potem wielokrotnie nawiedzał moje sny.

Nigdy wcześniej tak bardzo nie chciałem się obudzić ani wstać jak następnego ranka. Słońce stało już wysoko, kiedy usiadłem, ponieważ medyk przykrył nasze twarze muślinem.

– Twojego przyjaciela zaniesiono do Okrągłej Wieży – wyjaśnił mi medyk. – Opatrzyłem go, jak potrafiłem najlepiej, włożyłem mu w szyny nogi i ramię i posmarowałem maścią oparzenia. Także i twoje, jak również lorda Thunrolfa.

Nawet nie wiedziałem, że Pouk miał złamaną rękę.

– Lord Olof zgodził się, że nie powinniśmy was ruszać, aż będziecie gotowi.

Nasze głosy obudziły prawdopodobnie Thunrolfa. Zdjął muślin z twarzy i spróbował usiąść. Vix i Aud podbiegli, by mu pomóc.

– Nie wiem, czy mogę iść – zwrócił się do medyka – ale jeśli dacie radę podsadzić mnie na konia, to pojedę.

– To nie będzie konieczne, wasza lordowska mość. Mamy lektykę dla

ciebie i drugą dla sir Able'a.

– Z której nie skorzystam – oświadczył Thunrolf. – Za nic w świecie. Pomóż mi wstać, Aud. Gdzie mój koń?

Był tylko koń medyka. Razem z Audem pomogliśmy Thunrolfowi go dosiąść, ja zaś poszedłem pieszo, trzymając się jego strzemienia. Bałem się, że spadnie, a on chyba bał się, że ja się przewrócę. Kiedy prawie dotarliśmy na miejsce, Thunrolf powiedział cicho:

– Wyświadcz mi przysługę, sir Able. Wiem, że jesteś mi winien przysługę, niemniej jednak proszę, bądź tak dobry, a przekonasz się, że potrafię odpłacić się przyjaźnią.

Odparłem, że przecież jestem mu winien przysługę. Pożyczyłem od niego berło i straciłem je, lecz obiecałem, że uczynię wszystko, czego zażąda.

– Zapomniałem o tym. No, dobrze. Proszę, byś mi wybaczył. Dobrze?

Spojrzałem na niego.

– Tak, panie, ale to żadna przysługa. Już ci wybaczyłem.

– To jest przysługa, którą byłeś mi winien. Teraz proszę o jeszcze jedną, sir Able. Wyświadczysz mi ją?

– Jasne.

– W takim razie pozwól, że ja będę mówił, kiedy dotrzemy do Okrągłej Wieży. Zgódź się z tym, co powiem, i nie mów nic, co by mnie pogrzyżyło.

Wciąż zastanawiałem się, jak mu odpowiedzieć uprzejmie, gdy nadjechała grupa rycerzy. Po części byli to jego rycerze, inni zaś należeli do dworu Olafa, lecz wszyscy zorientowali się, że coś się dzieje, i wyjechali, żeby się przekonać. Rycerze Thunrolfa nie mogli uwierzyć własnym oczom.

– Napotkaliśmy smoka – wyjaśnił im – i straciłem miecz, chciałbym go odzyskać, ale nie za cenę innego smoka. Widziałeś wcześniej smoka, sir Able? Ja oglądałem je tylko na ilustracjach, lecz one nijak się mają do rzeczywistości.

– Raz widziałem, panie – odparłem – ale niewiele mi to pomogło. Chyba nie sposób przyzwycząić się do ich widoku.

Uśmiechnął się. Był to bardziej grymas ściągnięty poparzeniami, ale mimo wszystko uśmiech.

– Ja się raczej nie przyzwyczaję, jeśli mam tu coś do powiedzenia. Potem zdjęli nam łańcuch i działa się dużo więcej, lecz skupię się na najważniejszym. Niedługo potem rozstaliśmy się. Thunroolf udał się do portu i wrócił statkiem do domu. Większość jego ludzi odjechała już wcześniej łądem ze względu na konie. Ja zostałem z Poukiem, czekając, aż zacznie chodzić, a Olof był dla nas bardzo miły. Miał mój Łamimiecz, a także łuk i kołczan, które mi oddał i podarował wiele prezentów. Na odchodne pożyczył nam konie i wysłał z nami ludzi, którzy mieli je przyprowadzić z powrotem.

Nocowaliśmy trzy noce w karczmie, jakoś tak, i wcale mi się to nie podobało. Potem Pouk znalazł parę staruszków, którzy dali nam lepszy nocleg i niższą cenę. Staruszek był kiedyś kapitanem statku, ale musiał zrezygnować ze względu na oczy. Znał mnóstwo opowieści, bardzo ciekawych i wartych zapamiętania. Mieszkaliśmy u nich ponad miesiąc.

W ciągu dnia ćwiczyłem strzelanie z łuku i walkę Łamimieczem albo też udawałem się do stajni, by wynająć konia. Kosztowało to miedziaka za cały dzień lub dwa za lepszego. Jeździłem po polach galopem i kłusem i wydawało mi się, że będzie ze mnie niezły jeździec, ale wtedy dopiero się uczyłem.

Pouk pilnował w porcie, czy nie trafi się jakiś statek, i rozmawiał z marynarzami i dokerami. Któregoś dnia wróciłem do domu, a on czekał już na mnie uśmiechnięty od ucha do ucha. Oświadczył, że w porcie stoi statek, który płynie do Forcetti i który może nas zabrać.

– Świetnie – powiedziałem. – Chodźmy zapytać, ile nas to będzie kosztować. Dobry statek twoim zdaniem?

– Tak, sir! Tak myślę. Tylko, za pozwoleniem, już zarezerwowałem miejsca, sir. Przytulna kabina, a statek płynie wybrzeżem prościutko do Forcetti.

Interesowała mnie cena. Thunroolf dał mi dużo pieniędzy, ale pamiętałem,

że będę musiał kupić mnóstwo rzeczy w Forcetti. Kolczuga sporo kosztuje, a żeby kupić konia takiego jak Czarnogrzywy (wierzchowiec Ravda), trzeba by wydać fortunę.

– Ładnusiańka cena, sir. – Pouk wyszczerzył zęby jak małpa.

– Chcesz powiedzieć, że sam zapłaciłeś? Zamierzałem zapłacić za nas obu.

Roześmiał się.

– A jakże, sir. Zapłaciłem.

– W takim razie zwrócę ci pieniądze.

– A gdzie by tam, sir. Zapłaciłem z tego, co mi dał smok. Dobrze wiedziałem, że Setr nie dał mu niczego poza licznymi siniakami.

To był „Zachodni Kupiec”, jak zapewne już się domyśliłeś. Nie wydawało się, że jest w lepszym stanie niż przed rokiem, ale i nie wyglądał gorzej, a kiedy weszliśmy na pokład i rozejrzeliśmy się, zobaczyłem, że większość żagli jest nowych.

Przywitaliśmy się serdecznie z Kerlem, który opowiedział mi o swojej wyprawie do Okrągłej Wieży w poszukiwaniu mnie i Pouka, Wybrał się tam w tydzień po tym, jak zeszliśmy do wnętrza Góry Ognia, i usłyszał, że nie żyjemy, podobnie jak Thunroolf. Zdałem u relację z wydarzeń i powiedziałem, że Thunroolf chciał zawstydzić swoich rycerzy, co było prawdą – opuszczając szczegół, że próbował mnie zabić, gdy zobaczył Setra, a ja nie uciekłem.

W oczekiwaniu na rozładunek i załadunek „Zachodniego Kupca” poprosiłem staruszkę, u której mieszkaliśmy, żeby uszyła mi proporzec. Uszyła go z jedwabnych ścinków, jakie jej zostały z materiału, z którego szyła kiedyś suknię dla córki kapitana portu. Wycięła dwa serca z czerwonego jedwabiu i naszyła po jednym z obu stron zielonego proporca. Kerl wciągnął go na fokmaszt, gdzie wisiał przez cały czas mojego pobytu na pokładzie. Potem schowałem go i trochę, o nim zapomniałem, aż przypomniałem sobie o nim znowu, kiedy zrobiłem kopię z kolczastej pomarańczy. Wtedy zawiesiłem proporzec na kopii. Wisiał na niej, kiedy mi

ją przerąbano.

Obaj z Poukiem mieszkaliśmy u starego kapitana i jego żony aż do odpłynięcia statku. Po pierwsze dlatego, że było nam tam wygodnie. Po drugie, chciałem, żeby Kerl mieszkał w swojej kajucie tak długo, jak to możliwe. Nie chciał słyszeć o żadnej zapłacie, lecz postanowiłem, że gdy już dopłyniemy do Forcetti, podaruję mu nóż Osterlingów, prezent od Olofa. Jego srebrna rękojeść i posrebrzana pochwa były wysadzone koralami, tak więc miał dużą wartość, lecz jak dla mnie zbyt mocno przypominał miecz, żebym go polubił. Ale mnie się podobał.

Wydawało się, że nigdy nie wypłyniemy. Drzewce najwyższego masztu złamało się i Kerl musiał znaleźć długą żerdź z dobrego drewna, żeby cieśla mógł wykonać nowe, co trochę trwało, a potem jeszcze musieli dokończyć załadunek i odpowiednio rozmieścić towar. Kiedy z tobą mieszkalem, czytałem opowieści o żaglowcach, piratach i walkach z Napoleonem i tym podobnych, ale jakoś nigdy nie uświadomiłem sobie, jak wolno trwa to wszystko. I jak długo. Tysiące rzeczy musi być gotowych w tym samym czasie, a kiedy już wszystko inne zostało zrobione, ładuje się wodę, ponieważ woda psuje się w chwili, gdy zostanie wlana do beczulek. Cienkie piwo jest lepsze, jak powiedział Pouk, bo się lepiej trzyma. Tyle że kosztuje, a woda jest za darmo.

Mieliśmy z Poukiem w naszej kajucie cienkie piwo. Wino też. Tamtejsze wino to nie jest do końca wino, ponieważ nie mogą tam uprawiać winorośli. Za to pędzą inne trunki z owoców, które tam rosną, tak jak my robimy cydr. Tanio się żyło w tym portowym miasteczku przy Górze Ognia, do czego się przyzwyczailiśmy. Mieliśmy także chleb, ser i dżem, jak również trzy rodzaje solonego mięsa, dwa rodzaje wędzonej ryby i wiele innych produktów. Staruszka przygotowała nam cały kosz na pierwszy dzień podróży: kanapki, owoce i mnóstwo różnych marynat. Tyle tego było, że starczyło nam na trzy dni. Stary kapitan podarował mi swój mosiężny rożek skutniczy, który trzymał w marynarskiej torbie zachowanej jeszcze z jego pierwszego statku.

Poradził mi, żeby nauczył się splatać linę, gdy będę miał taką okazję. Twierdził, że to przydatna umiejętność i może mi się kiedyś przydać. Tak więc się nauczyłem.

Bo wreszcie wypłynęliśmy na morze. Czekaliśmy tak długo, że wydawało mi się to niemal niemożliwe, gdy wreszcie to się stało.

Większość ludzi nigdy wcześniej nie pływała na statku, a niektórzy nie widzieli nawet morza. (Disira nie widziała). Podobnie rzecz się ma z ludźmi z Ameryki, ale oni się tym nie przejmują. Tak więc jest kilka rzeczy, które powinienem wyjaśnić, choćby sprawę chleba, gotowania i tym podobnych. W kuchni na statku jest piec, w którym kucharz wypieka chleb dla załogi, kiedy jest to możliwe. Lecz nigdy nie rozpala w nim przy złej pogodzie, bo węgiel mógłby się rozsypać i spaliłby się cały statek. Podczas złej pogody je się suchary i zimne mięso. Wszyscy, nawet kapitan. Przy dobrej pogodzie kucharz gotuje mięso w morskiej wodzie, żeby nie było takie słone. Ale do gotowania potrzeba drewna, którego nigdy za dużo. Podczas zimnej pogody nie ma żadnego ogrzewania poza piecem w kuchni. Żadnego. W miarę jak płynęliśmy wzdłuż wybrzeża na północ, robiło się coraz zimniej. Zima miała się ku końcowi, lecz na północ od Kingsdoom wciąż panowały chłody. Mniej więcej trzy lata spędziłem z Garsecgiem w Aelfrice i dokładnie rok z Thunrolfem w Muspelu. Czas zawsze płynie wolniej w światach pod Mythgarthrem, ale nigdy nie wiesz, jak wolno. Czasem tylko trochę, czasem zaś o wiele wolniej.

Kiedy wracam myślami do tamtych dni, do wszystkich tych dni, tygodni i miesięcy, które minęły po tym, jak wyszliśmy z Góry Ognia, dwie rzeczy przypominam sobie bardziej niż wszystko inne. Przede wszystkim, to, jak kiepsko wyglądał Pouk, kiedy go wyciągnęliśmy. Kiedy leżał na kamieniach, czekając na medyka, a potem w łóżku w Okrągłej Wieży. Pouk nie był specjalnie przystojny, do tego dość niski. Miał duży zakrzywiony nos i wystającą szczękę. Jego niewidzące oko wyglądało paskudnie, a to dobre było małe i zezowate. Ale wtedy, ranny, wyglądał bardzo żałośnie, za to

trzymał się bardzo dzielnie. Kiedy Thunrolf powiedział mu, że już nigdy go tak nie potraktuje, odpowiedział po prostu „Dzięki ci, sir. Dzięki”. I zamknął oczy. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest mi drogi, do momentu, gdy zobaczyłem, jak bardzo cierpi i jeszcze próbuje się uśmiechnąć. Czasem pił za dużo, ale jakoś nigdy nie potrafiłem się wściec na niego, choć powinienem był.

Towarzyszył mi przez cały czas, z przerwami, do chwili kiedy odszedłem z Disiri. Dopiero gdy się rozstaliśmy, zrozumiałem, co miał na myśli, mówiąc, że jestem jego wielką szansą. Czuł się kimś ważnym (podobnie jak Ulfa), ponieważ tak bardzo był ze mną. Był wtedy panem Poukiem i pracował dla króla.

Drugą rzeczą, której nigdy nie zapomnę, jest widok Wyspy Glas. Słońce prawie już zaszło, a ja rozmawiałem z Kerlem na pokładzie rufowym. W pewnym momencie wydało mi się, że coś dostrzegłem,

I pożyczyłem od niego jego duży mosiężny teleskop.

I zobaczyłem ją. Wysokie, dumne drzewa, fale głaszczące plażę z piasku koloru krwi. Nie mogłem oderwać oczu, aż w końcu się rozplakałem. Gdybym wiedział dlaczego, powiedziałbym ci, ale nie potrafię. Łzy płynęły mi po twarzy i z trudem oddychałem. Opuściłem teleskop, otarłem oczy i wytarłem nos. A kiedy spojrzałem po raz drugi, wyspa znikła. Nigdy już jej nie zobaczyłem, dopiero gdy znalazłem się w Komnacie Utraconej Miłości Thiaziego.

O tych dwóch rzeczach chciałem opowiedzieć. Ale powinienem też wspomnieć tutaj, że nie wiedziałem, iż Uri i Baki mnie szukają. Nie miałem o tym pojęcia, a moja podróż do Muspelu znacznie im utrudniła poszukiwania. Trzy albo cztery razy przeszukały „Zachodniego Kupca” i dały spokój na długo przed tym, jak obaj z Poukiem wróciliśmy na pokład statku.

Wieża marszałka

– Nawet nie dotykaj rękojeści – wyszeptał wojownik za moimi plecami – i ani słowa. Głośniej dodał: – Ten tu to Able, mistrzu Agr.

– Sir Able, sir – powiedziałem.

– Twierdzi, że jest rycerzem, panie. Chciał się widzieć z Jego Miłością, pomyślałem więc, że przyprowadzę go do ciebie, panie.

W ten sposób zapłaciłem za to, że nie sprawiłem sobie odpowiedniego rumaka w Forcetti. Zamierzałem to uczynić i nawet obaj z Poukiem obejrzelśmy kilka wystawionych na sprzedaż. Niestety, żaden z nich do końca mi nie odpowiadał, a na któregoś z tych naprawdę dobrych nie było mnie stać, mimo iż dostałem sporo pieniędzy od Thunrolfa.

Chudzielec siedzący za stołem skinął głową i pogładził wąsy. Sprawiał wrażenie bystrego. A także kogoś, komu nie podoba się zbytnio to, co widzi, czyli mnie. Zawsze wydawało mi się, że ludzie powinni od razu zauważyć, że tak naprawdę nie jestem mężczyzną, a tylko chłopcem, który Disiri zmieniła tak, żeby wyglądał na mężczyznę. Tylko że oni tego nie widzieli. Ani Pouk, ani Kerl. Thunrolf też nie. I oto odniosłem wrażenie, że wreszcie natknąłem się na kogoś, kto to zauważy.

– Jestem marszałkiem na dworze księcia – oświadczył mężczyzna. Najwyraźniej nic go nie obchodziło, co o nim myślę. Po prostu informował mnie o faktach. – Pilnuję porządku w jego stajniach, u jego rycerzy, służby i wszystkich innych, którzy akurat przebywają w Sheerwall.

Uznałem, że nie jest to najlepszy moment na rozmowy, więc tylko skinąłem głową.

– Jeśli będzie pożądanego, abyś rozmawiał z księciem, to dopilnuję, żebyś

otrzymał audiencję. Jeśli nie, możesz porozmawiać ze mną. Albo też skieruję cię do właściwej osoby. Czy chciałbyś przedstawić na dworze jakąś krzywdę?

– Pragnę służyć u księcia Mardera – powiedziałem.

– Jako rycerz.

– Tak. Bo nim jestem.

– Rzeczywiście. – Uśmiechnął się i nie był to wcale miły uśmiech.

– Kto cię pasował na rycerza?

– Królowa Aelfów Mchu. Królowa Disiri.

– Opowiadaj swoje żarty przy winie, Able.

– Sir Able, sir, i nie żartuję.

– Dobrze, jesteś rycerzem, a póki co zapomnijmy o królowej Aelfów.

– Jestem rycerzem.

– Przynajmniej z budowy. I jako rycerz jeździsz dobrze konno? To właśnie umiejętność radzenia sobie z wierzchowcem odróżnia rycerza od innych. Wiesz o tym zapewne.

– Rycerza odróżnia od innych honor – odparłem. Agr westchnął.

– Ale umiejętność radzenia sobie z wierzchowcem to podstawowa umiejętność rycerza. Posiadasz swojego wierzchowca?

Zacząłem mówić, lecz mi przerwał.

– Czy masz za co go kupić?

– Nie tyle, żeby sprawić sobie takiego, jakiego pragnę mieć.

– Rozumiem. – Znowu pogładził wąsy. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że to robi. – A czy masz lenno, z którego mógłbyś sprowadzić posiłki? Gdzie ono leży?

Powiedziałem, że nie mam.

– Tak myślałem. – Agr wstał, podszedł do okna i spojrzał w dal.

– Jego Miłość potrzebuje wojów, sir Able. Na jakich warunkach gotów jesteś służyć?

W ogóle o tym nie pomyślałem, ani też o tym, jak wytłumaczyć, co myślę

na ten temat. Po jakiejś minucie odpowiedziałem:

– Chcę być jego rycerzem, to znaczy jednym z nich. Nie przyszedłem tu prosić go o pieniądze.

Na zewnątrz rozległ się szcęk stali i Agr wyjrzał przez okno, by zobaczyć, co się dzieje. Kiedy znowu się do mnie odwrócił, powiedział:

– Żadnej miesięcznej wypłaty? Tylko za pokrycie twoich kosztów?

Potrząsnąłem głową.

– Mam służącego, mistrzu Agr. Nazywa się Pouk. – Kiedy przedstawiałem Pouka Thunrolfowi, nazwałem go swoim przyjacielem, przez co wpakowałem nas w kłopoty. Tym razem chciałem tego uniknąć.

– Nie płacę Poukowi, a czasem nie mogę go nawet nakarmić ani zapewnić mu miejsca do spania. Sam troszczy się o siebie. – Przypomniałem sobie, jak byłem ranny i leżałem w komorze linowej, gdzie wpadały tylko pojedyncze promyki światła i gdzie obwąchiwały mnie szczury. – Czasem Pouk zajmuje się mną, kiedy tego potrzebuję – powiedziałem. – Będąc rycerzem księcia Mardera, czułbym się zawstydzony, gdybym traktował Pouka gorzej niż on sam mnie traktuje. Jeśli książę zechce mi coś dać, to przyjmę to i mu podziękuję. Jeśli nie, to postaram się służyć mu jeszcze lepiej.

Dopiero teraz Agr spojrział na mnie, jakbym był prawdziwą ludzką istotą, i powiedział:

– Dobrze powiedziane, sir Able. U króla jest baron, który mamrocze, że widzi w swoich pucharach Aelfy. Według mnie zwariował, podobnie jak ty. Ale może jeszcze będą z ciebie ludzie. Przyuczysz się trochę i może nawet będzie z siebie dobry wojownik. Potrafisz posługiwać się swoim łukiem?

– Tak, sir, potrafię – odpowiedziałem.

– Na dziedzińcu ćwiczebnym jest inny mistrz. Nazywa się mistrz Thope. Jest zbrojmistrzem i jeśli będziesz się do niego zwracał „sir”, tak jak do mnie, złamie ci łuk. Wiesz, kto to taki zbrojmistrz?

– Nie, sir. Nie wiem – odparłem.

– Uczy naszych giermków i wojowników posługiwania się bronią i jazdy

konnej. W tym celu dostarczam mu konie. Rozumiesz, takie, które nie są dostatecznie dobre dla rycerza wyruszającego na wojnę; gorszy koń jest lepszy dla jeźdźcy w szkoleniu niż bardzo dobry, bo potem młodzian doceni dobrego wierzchowca. Chcę, żebyś stanął w szranki z mistrzem Thope.

Zorientował się, że go nie rozumiem, bo zaraz dodał:

– Żebyś się z nim pojedynkował na kopie ćwiczebne. Pożycz ci konia, tarczę i co tam jeszcze trzeba. Jeśli się dobrze spiszesz, sprawdzimy, jak ci idzie z tym lukiem i co wiesz o szermierce.

Potem wojownik, który przyprowadził mnie do mistrza Agra, zaprowadził mnie do mistrza Thope'a. Był mężczyzną tak samo wielkim jak ja, ale już siwiał. Przedstawiłem mu się i wyjaśniłem, po co tam przybyłem, dodając, że mam się z nim zmierzyć. Miał wielkie ręce, do tego silne.

– To jest mięsień – mruknął – a nie tłuszcz. Potrafisz posługiwać się kopią, młodziku?

– Mogę spróbować – powiedziałem.

– Tyle każdy potrafi.

Dał mi tarczę ćwiczebną, która jest o wiele cięższa niż normalna, ponieważ jest mocniejsza.

– Będę w nią celował – wyjaśnił mi, kiedy poprawiałem rzemień – a ty celuj w moją. Tylko żadnych sztuczek.

– Dobra – powiedziałem.

Dostałem kasztanowatego wałacha, który się spocił, zanim jeszcze zaczęliśmy. Wiedział wszystko o walkach na kopie i nie chciał już w nich uczestniczyć. Bez strzemion, trzymałem tarczę na jednym ramieniu, a kopię ćwiczebną w drugiej ręce, tak więc nie było łatwo ustawić go odpowiednio. Może nie byłoby tak źle, ale jeden z przyglądających się rycerzy zawołał „Dźgnij go kopią!”, a ja spojrzałem na jej koniec i dopiero wtedy przypomniałem sobie, że jest tępy. Uznali to za dobry żart, ja zaś się wściekłem.

Miejsce, w którym rycerze się pojedykują, nazywa się szrankami. Nic to

specjalnie nie znaczy. Po prostu kawałek ziemi przegrodzony cienkimi drewnianymi listewkami. Każdy z walczących jedzie, mając te listewki po swojej lewej stronie, tak by obaj spotkali się tarcza w tarczę. To przypomina futbol. Chodzi o to, żeby nie wyrządzić krzywdy drugiemu. Taki pojedynek jest tak samo niebezpieczny jak blok w futbolu, a osoba, z którą się pojedynkujesz, będzie grała w twojej drużynie w prawdziwej bitwie.

Jak już wspominałem, miałem sporo kłopotów z koniem, ale kiedy już go odpowiednio ustawiłem, dobrze wiedział, na co się zanosi. Bał się i starał się być dzielny, podobnie jak ja. Próbowałem powiedzieć coś, co by mu dodało otuchy. W końcu w niczym nie zawinił, ale to on musiał biec i nieść mnie na tym ogromnym siodle, wiedząc, że może zostać ranny.

Sam nie czułem się zbyt pewnie, dlatego przemawiając do niego, powiedziałem:

– Mógłbyś pogrzebać ziemię kopytem, tak jak to robił Czarnogrzywy. – Gdy tak gadałem do konia, który mnie nie rozumiał i którego w ogóle nie obchodziło, co mówię, pomyślałem o Gylfie i o tym, jak bardzo mi go brakuje. Nigdy nie wrócił na pokład „Zachodniego Kupca” i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Miałem wtedy ochotę wrócić do Aelfrice i go poszukać, a także Disiri, lecz nie wiedziałem, jak to zrobić.

Blisko miejsca, w którym mieliśmy walczyć, stał chłopak z trąbką. Kiedy zagrał, mój koń ruszył kłusem i przeszedł w galop, a zaraz potem kopia mistrza Thope'a uderzyła z dużą siłą w moją tarczę, która wcisnęła się we mnie. Pamiętam, że obróciłem się w powietrzu i grzmotnąłem mocno o ziemię.

Pamiętam też, że leżałem cały obolały, podczas gdy inni rycerze ryczeli:

– Spróbuj jeszcze raz!

No to skoczyłem na nogi, choć wcale nie było mi do skoków, podniosłem pikę, złapałem swojego konia i znowu go dosiadłem.

I wtedy zjawił się mistrz Agr, żeby ze mną porozmawiać. Nie wiedziałem, że był tam już wcześniej i się przyglądał. Powiedział do mnie po cichu, tak

by nikt nie usłyszał:

– Nie musisz stawać jeszcze raz. Nie jesteś rycerzem.

Czułem w ustach krew, ponieważ rozciąłem sobie wargę, ale dzielnie wyszczerzyłem zęby w uśmiechu (wciąż jestem dumny, że się tak zachowałem) i powiedziałem:

– Jestem rycerzem, tylko takim, który nie opanował jeszcze bardzo dobrze sztuki walki kopią. Ale chcę walczyć.

Mistrz Thope nie miał na głowie żadnego hełmu ani kasku tak jak ja, ale musiał nas usłyszeć, bo wykonał gest, jakby podnosił przyłbicę i tak jakby się uśmiechnął.

Zrobiliśmy to jeszcze raz i poleciałem dokładnie tak samo jak za pierwszym razem. Myślałem, że za drugim razem uda mi się chociaż trafić kopią w jego tarczę, ale się nie udało. Byłem ogromnie rozczarowany, więc kiedy już wstałem, strasznie wrzeszczałem na siebie w środku. Starłem się tylko tego nie pokazać na zewnątrz i podziękowałem mistrzowi Agrowi za to, że pomógł mi wstać.

– Każdemu innemu też bym pomógł. – Jego twarz przypominała kamienną maskę, która ani trochę nie złagodniała, kiedy powiedział:

– Wiem, że trening jest pożyteczny, ale przykro mi, że cię w to wpakowałem.

– No cóż, muszę się uczyć – odparłem. I wtedy jeden z rycerzy zawołał:

– Żaden z ciebie rycerz, chłopcze!

Patrzyłem na niego długą chwilę, a potem powiedziałem:

– Ja jestem rycerzem, ale ty nie. – Tak jakby się zamknął się po tym, co powiedziałem.

Wcześniej obserwowałem uważnie mistrza Thope'a, kiedy jechał na mnie, tak więc przy trzeciej próbie pochyliłem się w siodle tak jak on i skupiłem na tym, by trafić kopią w jego tarczę. Oczywiście wcześniej zamartwiałem się tym, że jego kopia może mnie trafić. Teraz starałem się o tym nie myśleć. Musiałem wcelować w jego tarczę. Tylko to się liczyło.

I wcelowałem. Moja kopia uderzyła w jego tarczę i się złamała. A jego kopia trafiła w moją tarczę tak jak poprzednio i wyrzuciła mnie z siodła niczym lalkę, tak że znowu poleciałem na ziemię. Ciężki upadek. Tylko że tym razem pomógł mi wstać jeden z rycerzy, którzy się ze mnie naśmiewali, a kiedy już stanąłem na nogi, uderzył mnie w twarz.

Do tej chwili nie czułem w sobie mocy morza. Lecz pojawiła się natychmiast, z szybkością najszybszego sztormu, łamiąc kości jak drzewca masztów i rozrzucając ludzi niczym drzazgi z rozbitego statku. Pierwszemu, którego uderzyłem, złamałem chyba szczękę. Nie wiem. Wydaje mi się, że uderzałem bardziej w kark. Tak czy inaczej, runął na ziemię, przebijając nogami, a wtedy rzuciła się na mnie cała banda. Bijatyka zwykle trwa krócej, niż się o niej opowiada, lecz tym razem wydawało się, że im wciąż przybywa czterech czy pięciu nowych ludzi.

Pij! Pij!

Wydawało mi się, że jestem w komorze linowej. Nie, że zostałem tam ponownie umieszczony, lecz że nigdy jej nie opuściłem. Leżałem w ciemności okrutnie obolały, niezdolny nawet do myślenia.

Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że leżę w łóżku, a nie na zwoju liny, lecz przez jakiś czas myślałem, że znajduję się w szpitalu. Światło księżycy wlewało się przez okno, które miało kształt czubka ostrza miecza, więc nie mogła to być komora linowa ani szpital, ale nie miałem pojęcia, gdzie jestem, i specjalnie mnie to wtedy nie obchodziło.

Długo jeszcze leżałem, zanim spróbowałem wstać. Chciałem wyrzeć na zewnątrz i zobaczyć to, co można było stamtąd ujrzeć, ale się przewróciłem.

Potem znowu ocknąłem się w łóżku, w pokoju, który wydawał się wypełniony słonecznym blaskiem. Tak naprawdę był to dość ciemny pokój, jak wszystkie inne tam, lecz słońce wpadało przez okno, dlatego wydawało mi się, że jest tam tak jasno. Przy stole stał mały stół, a na nim puchar. Poznałem go; ten sam, który znalazłem na Wyspie Glas. Kiedyś wrzucono do niego truciznę, dlatego bałem się pić z niego.

Później poczułem zapach piwa, ale minęło sporo czasu, zanim usiadłem i się napiłem. Piwo nie było zimne ani nawet chłodne, mimo to smakowało mi. Na stole stała też drewniana taca, na której przyniesiono chleb, mięso i ser. Nawet nie miałem ochoty myśleć o jedzeniu, więc dopiłem piwo i znowu zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, wydawało mi się, że spałem całe wieki, ale nie potrafiłem powiedzieć, jak długo spałem. Znowu było całkiem ciemno. Niedługo potem przyszła jakaś kobieta w fartuchu, która coś do mnie

mówiła, lecz ja jej nie rozumiałem i w ogóle nie zwracałem uwagi na to, co mówi. Zdjęła mi opatrunki i założyła nowe, a potem powiedziała:

– Przyniosłam też jedzenie, sir, jeśli jesteś głodny. Czujesz się na siłach zjeść trochę?

Powiedziałem, że już mam jedzenie. A właściwie wyszeptałem. Nie zamierzałem mówić szeptem, ale tak wyszło.

– To? Och, to już wyszło, sir. Zaniosę psom. Przyniosłam świeżutki, gorący rosół.

Chciała mi pomóc usiąść, lecz ją powstrzymałem. Sam się dźwignąłem i poczułem, że wszystko mnie boli. Wziąłem też od niej łyżkę, ale pozwoliłem jej potrzymać miskę, kiedy jadłem.

– No, sir, bardzo dobrze. Biedny sir Hermad chyba umrze, jak mówią, z połamanymi żebrami. A sir Lud rzyga krwią. – Zachichotała. – Mówią, że też kipnie. Zakładają się w kuchni, sir.

– Sir Able, tak się nazywam. Jeśli cię obchodzi moja osoba, to mów do mnie sir Able.

Wstała szybko i przyklęknęła na kolano, tak jak mają w zwyczaju robić kobiety tutaj.

– Dobrze, sir Able. Nie chciałam cię obrazić, sir Able.

Od razu poczułem się lepiej, gdy się tak do mnie zwróciła.

– Wiem, że nie chciałaś – odpowiedziałem. – Usiądź. Jak masz na imię?

– Modguda, sir Able.

– Czy ja wciąż jestem na zamku księcia Mardera, Modgudo?

– Tak, sir. Jesteś w Sheerwall, sir Able. W wieży mistrza Agra. Tylko mistrz Agr ma dla siebie całą wieżę, no, poza Jej Miłością. Ona też ma swoją wieżę. Wieża Księżnej, tak ją nazywamy, sir Able. Ale ty jesteś gdzie indziej, a tamtej wieży nie widać nawet przez okno. To jest Wieża Marszałka. Mistrz Agr kazał cię tu przynieść, bo by cię pobili piką, którą złamałeś. Tak słyszałam. No to cię tu przynieśli.

Skinąłem głową i zaraz się przekonałem, że moja głowa nie chce, żebym

to robił.

– Skoro jesteśmy w wieży mistrza Agra, to znaczy, że on jest twoim szefem.

Nie zrozumiała mnie, więc musiałem jej to wyjaśnić. Wtedy odpowiedziała:

– Zgadza się, sir Able... sir. Uśmiechnąłem się, co już tak bardzo nie bolało.

– No, powiedz prawdę. Chcesz mi coś powiedzieć, tylko się boisz.

– No cóż, jesteś rycerzem, sir.

– Jestem.

– A wy, rycerze, nie darzycie zbyt wielkim szacunkiem mojego pana, sir, bo musicie go słuchać, a on nie jest jednym z was. Ani nawet baronem czy czymś takim, sir Able. Tyle tylko, że stoi za nim książę. Jest człowiekiem księcia, sir, więc musicie go słuchać.

– Nie masz racji – odpowiedziałem jej. – Nie mam nic przeciwko mistrzowi Agrowi. Ani trochę.

– No, to właśnie chciałam ci powiedzieć, sir, że nie masz powodu, bo cię położyli plackiem i przystawili miecze, gotowi cię zabić. Tylko sir Woddet nie chciał, sir. I giermek Yond – to giermek sir Woddeta, sir – giermek Woddeta zasłonił cię swoim ciałem i wtedy przybiegli strażnicy mojego pana, bo ich wezwał, kiedy razem z mistrzem Thope'em nie potrafili powstrzymać walki, i jeszcze dźgnęli mistrza Thope'a. No i przybiegli jego strażnicy. A potem...

– Zaraz. Mówisz, że zranili mistrza Thope'a? Strażnicy mistrza Agra?

– Och, nie, sir Able! – Spojrzała na mnie przerażona. – Mistrz Agr nigdy by im nie kazał tego zrobić, sir. Zranił go jeden z rycerzy, chyba, albo któryś z giermków. Bo te hultaje też się przyłączyły do walki, więc mógł to być któryś z nich. W każdym razie mistrz Agr i mistrz Thope próbowali cię obronić przed rycerzami, coś tak jak giermek Yond. I wtedy dźgnęli mistrza Thope'a, sir Able, kiedy próbował ci pomóc tak jak mistrz Agr. W końcu

strażnicy cię wyciągnęli, sir.

Kręciło mi się w głowie.

– Czy mistrz Thope nie żyje?

– Nie, sir. Jest tylko ciężko ranny. Tak mówią.

– Powinienem pójść do niego, Modgudo, w końcu został ranny, próbując mi pomóc.

– Tak, sir. Tylko że na razie nie za bardzo się nadajesz do chodzenia, sir Able. – Wstała i przyklęknęła na kolano tak jak przedtem. – Na pewno ucieszy się na twój widok, sir, ale powiem ci, jak już będziesz gotowy, sir.

Zacząłem się zastanawiać i skupiłem się na tym, co powiedziała, że dopiero za jakiś czas będę mógł wstać.

– Czy zanieśiesz wiadomość do miasta?

– Spróbuję, sir, albo poślę chłopaka.

– Dobrze. Mam służącego o imieniu Pouk. Zatrzymaliśmy się w karczmie w Forcetti. Na jej szyldzie była butelka i morska skorupa. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, sir, sir Able. To Pod Butelką i Muszelką, sir.

– Dzięki. Przekaż, proszę, Poukowi, że jestem ranny, i powiedz mu, gdzie jestem.

– Dobrze, sir. To wszystko, sir Able? Będą się zastanawiać, gdzie się podziałam.

Machnąłem ręką, a ona szybko wyszła.

Potem zjadłem trochę chleba i kawałek sera, choć nie byłem pewny, czy jedzenie to duży błąd, czy też nie. Wypiłem całe piwo i znowu się położyłem mocno oszołomiony.

We śnie obaj z Garsegiem byliśmy w sali tronowej Wieży Glas. Na tronie siedział ogromny niebieski smok, który syczał na nas i otwierał pysk tak samo jak Setr w Muspelu, a we wnętrzu jego pyska ukazała się twarz Garsega. Wtedy odwróciłem się do Garsega, by się przekonać, czy i on to widzi, i zobaczyłem, że to wcale nie jest Garseg. To był Bertold Śmiały.

Obudziłem się zziębnięty i tym razem udało mi się dotrzeć do okna. Nie dało się go zamknąć, bo to był tylko otwór w ścianie, naprawdę. Za oknem fruwały nietoperze, większe niż te u nas w domu. Polowały na robaki, tak jak to robią nietoperze, nurkowały i podrywały się pionowo, a także skrzeczały i piszczwały tak cienko, że ledwo je było słyszeć. Wydało mi się, że gdzieś tam wysoko na tle księżyca zobaczyłem Khimairy, tylko przez chwilę.

Z drugiej strony mojego łóżka znajdował się kominek, tyle że nie było drewna, więc nie mogłem rozpalić ognia. Postanowiłem, że wypytam o to Modgudę albo poproszę Pouka, kiedy przyjdzie, żeby przyniósł drewna. Potem wróciłem do łóżka i wpakowałem się pod koce, licząc na to, że nie wrócą takie sny jak ten ostatni.

– Panie? Panie?

Znowu byłem na wyspie. Rozejrzałem się i zobaczyłem mnóstwo drzew, kwiatów i ptaków.

– Panie?

Kolczaste pomarańcze tam nie rosły. A chciałem znaleźć jedną, żeby mi podziękowała za to, że ją posadziłem, choć wiedziałem, że i tak mnie nie słyszy, a poza tym nie rosły tam takie drzewa. Za to były ogromne czerwone węże. Owijały się wokół moich nóg, co mi się podobało, bo miałem zimne nogi, one zaś były gorące.

– Ugryź mnie, panie. Ugryź i pocałuj w to miejsce, a twój pocałunek uczyni cię znowu silnym.

Po tych słowach od razu się obudziłem. W pokoju było dość ciemno. W moim łóżku leżała strasznie chuda kobieta, czy raczej była spleciona ze mną, trzymając tę część mojego ciała, której normalnie nie pokazuję innym. Trzymała mnie też za głowę i przyciągała moje usta do swojej szyi.

– Pij! Pij!

– Pij! Pij! – Jej druga ręka tak jakby mnie ścisnęła i zsunęła się. Dopiero

wtedy zorientowałem się, że są ze mną dwie kobiety.

Nie zamierzałem jej ugryźć. Naprawdę, także i teraz mogę przysiąc. Tyle że coś w moim wnętrzu mnie przemogło i to zrobiłem.

Czułem się, jakbym umierał z głodu i nagle dostał świeżo upieczoną pieczeń. Poczułem w ustach coś parującego i skwierczącego. To coś ociekało tłuszczem, było brudne i piekielnie gorące. Ale smakowało wybornie.

– Wystarczy. – Jedna z kobiet przyciągała mnie, podczas gdy druga odpychała moje usta. Wreszcie dopięły swego, a ja leżałem, dysząc ciężko, i myślałem, o tym, jakie to było dobre. Kiedy już odzyskałem oddech, uderzyłem dłonią o koc i powiedziałem:

– Hej, ty tam, przestań! – To, co robiła, było cudowne, wręcz zbyt cudowne, jeśli wiesz, o co chodzi.

Pod kocem, tam gdzie uderzyłem ręką, leżał ktoś o wiele cieplejszy niż ja byłem, kto powiedział:

– Jestem Uri, panie. Nie chciałam cię skrzywdzić.

Tak jak mówiłem, w pokoju panowała ciemność, tak więc gdy druga z kobiet wystawiła głowę spod koca i pocałowała mnie w policzek, nie widziałem nawet jej twarzy.

– Napiłeś się z Baki, panie – powiedziała to tak, jakby właśnie wygrała zawody „I kto mi cię teraz odbierze?”.

– Ze mnie też się napij! – Uri wynurzyła się spod koca i wcisnęła między nas. – Wreszcie cię znalazłam!

– Aelfy Popiołu w ciemności – powiedziałem. – Bertold Śmiały opowiadał mi o nich.

– Aelfy Ognia! – Jedna z nich się roześmiała. – A czy mówił ci, jakie jesteśmy śliczne? Albo jaki ty jesteś śliczny? Twoja skóra przybrała tyle wspaniałych odcieni.

– To siniaki – odparłem. – Skoro wy potraficie je dojrzeć w ciemności, to czy nie ma takich możliwości, żebym ja was mógł widzieć?

Ich ciała rozjarzyły się. Jakby miały ciała z miedzi albo mosiądzu i

wypełnione ogniem. Nie były aż tak gorące, żeby mnie poparzyć, ale całkiem gorące. Uri wyskoczyła z łóżka i przyjęła pozę modelki.

– Spójrz na mnie! Czyż nie jestem piękna?

– On mnie woli – zwróciła się do niej Baki, która wciąż mnie oplatała swoimi członkami.

Chyba miała rację, ponieważ dotknąłem jej twarzy, a ona polizała czubki moich palców.

– Poświęciłam się dla ciebie – powiedziała, kiedy już skończyła z lizaniem – żebyś był silniejszy i żebyś pozostał moim panem na zawsze. Usiądź, a zobaczysz.

– Ja też się poświęcę – rzuciła Uri. – Ugryź mnie. Gdzie chcesz!

Usiadłem i przekonałem się, że Baki miała rację. Poczułem też, że się mocno spociłem, a w pokoju było zimno. Przynajmniej tak mi się wydawało. Wciąż mieliśmy wiosnę, dość wczesną wiosnę, i noce były jeszcze chłodne. Poprosiłem je więc, żeby przyniosły drewna i huby, a kiedy obiecały, że to zrobią, powiedziałem, żeby przyniosły też moje ubranie i Łamimiecz, a także mój łuk i kołczan. Kiedy im wyjaśniłem, co to jest Łamimiecz, obiecały, że się rozejrzą.

Przez chwilę wydawało się, że w pokoju lata mnóstwo nietoperzy, a potem drzwi się otworzyły. Zobaczyłem na progu czerwone światełko i zaraz drzwi się zamknęły, całkiem głośno, a ja wyszedłem z łóżka i owinąłem się kocem. Nie czułem się dobrze, ale nie czułem się też aż tak źle, tyle tylko, że miałem wrażenie, iż znikowałem. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że czerwone światło, które wcześniej widziałem, pochodzi od czegoś, co nazywają kagańcem. Wtedy nie znałem tej nazwy, ale jest to żelazny kosz, w którym można palić, co tylko się chce, żeby mieć światło. Jeden taki stał przy moich drzwiach, a później przekonałem się, że jest ich więcej w całym zamku. Ucieszyłem się, bo to oznaczało, że będę mógł rozpalić ogień, jeśli zdobędę drewno. Poszedłem się rozejrzeć i znalazłem pokój, w którym obok kominka stała skrzynka z drewnem. Przeniosłem ją do swojego pokoju i

rozpaliłem porządny ogień, zanim jeszcze wróciły Uri i Baki.

Będąc rycerzem

Kiedy się obudziłem rankiem, następnego dnia, Uri i Baki już nie było w pokoju. Tak działo się zwykle, kiedy były ze mną, więc może wyjaśnię to teraz i nie będę już do tego wracał. One nie lubiły naszego słońca. Jego blask ranił je, a kiedy w nim stały, stawały się prawie niewidoczne. Tak więc najczęściej o świcie wracały do Aelfrice, chyba że dzień był bardzo pochmurny. Jeśli musiały zostać, to trzymały się cienia, a przynajmniej próbowały. Wtedy tego nie rozumiałem i myślałem, że może mi się tylko śniły.

Miałem właśnie wyjść z łóżka, żeby sprawdzić, czy Łamimiecz i łuk rzeczywiście leżą pod nim, gdy usłyszałem pukanie do drzwi.

– Wejdz! – powiedziałem.

Był większy ode mnie, naprawdę potężny mężczyzna o jasnych włosach i gęstych wąsach, tylko trochę ciemniejszych niż jego włosy. Od razu go polubiłem, ponieważ widziałem, że chce się ze mną zaprzyjaźnić, tylko nie wie, jak się do tego zabrać. (Sam dość często zachowuję się podobnie).

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem – powiedział.

Nie miałem pewności, czy mnie obudził, czy nie, bo może pukał już wcześniej, ale powiedziałem, że nie. Po tym, jak jasno jest w moim pokoju i jak pachnie w nim świeżym powietrzem, zorientowałem się, że musi być już późny poranek.

– Jestem sir Woddet ze Wschodniego Dworu. – Wyciągnął rękę. Usiadłem i uścisnąłem mu dłoń.

– Sir Able.

– Nie powinienem tu przychodzić. – Rozejrzał się i sięgnął po niewielki

stołek.

– Mogę usiąść?

Powiedziałem, że jak najbardziej.

– Żadnych odwiedzających z rozkazu Jego Sknerości, a to dlatego, że boi się, iż ktoś cię zabije. – Woddet wypchnął do przodu dolną wargę i pociągnął za wąsy, który to gest oglądałem potem wielokrotnie. – Ktoś mógłby to zrobić. Nie ja, ale ktoś inny.

Wtedy rozbudziłem się na dobre i przypomniałem sobie, co mi mówiła Modguda.

– Uratowałeś mnie.

– Próbowałem. Podobnie jak inni.

– Twój giermek rzucił się na mnie, żeby mnie osłonić. Tak mi powiedziano. Ja tego nie pamiętam.

– Wtedy leżałeś już nieprzytomny. – Woddet znowu pociągnął za wąsy. – Na tym polega kłopot z podobnymi bójkami. Nie obowiązuje prawo szlachetnie urodzonego. Chociaż obawiam się, że i tak by ci go nie udzielili.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, lecz odpowiedziałem:

– Pewnie nie.

– Ja też stanąłem przeciwko tobie. Tu mi przyłożyłeś. – Pokazał ręką. – Aż straciłem oddech. A zanim się pozbierałem, ruszyli na ciebie z mieczami. Krzyczałem, żeby przestali, i wtedy Yond położył się na tobie.

– Mam u ciebie dług – powiedziałem. – Zawdzięczam ci życie.

– Wcale nie. – Potrząsnął głową. Był naprawdę duży, a przez te jego włosy koloru pakuł jego głowa wyglądała na rozmiar jedenaście.

– Mistrz Thope i mistrz Agr też próbowali cię bronić. Jakiś nędznik pchnął Thope'a mieczem w plecy za to, że usiłował bronić honoru domu Jego Miłości.

– Tak, słyszałem o tym. Odwiedzę go dzisiaj. Woddet spojrzał na mnie zdziwiony.

– Cieszę się, że już masz na to siły. Nie miałem zamiaru cię zabić. Tylko

przetrzepać ci skórę, co też próbowałem uczynić. Potrafisz walczyć rękoma.

– Ale nie kopią.

– To prawda – odparł i się uśmiechnął.

– Jeszcze nie, ale się nauczę. Dlaczego chciałeś mi przetrzepać skórę?

– Czy w twoich żyłach płynie szlachetna krew?

– Masz na myśli szlachectwo? Nie. Pokręcił głową.

– Szlachectwo oznacza odziedziczony tytuł i ziemię. Stan rycerski nie jest dziedziczny. Szlachetna krew oznacza to, że twoi przodkowie nigdy nie parali się handlem i nie żyli z pracy rąk.

Wyjaśniłem mu, że nasi dziadkowie byli farmerami, a nasz ojciec prowadził sklep.

– Chciałbym móc ci powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju zagubionego dziecka króla – powiedziałem – lecz nie byłoby w tym ani słowa prawdy.

Teraz nie patrzył mi w oczy.

– Bo widzisz, Able, kiedy ktoś jest szlachetnie urodzony...

– Sir Able – poprawiłem go.

– W porządku. Tak więc kiedy ktoś jest szlachetnie urodzony, tak jak ja czy inni, a ktoś inny, kto nie jest szlachetnie urodzony, twierdzi, że jest albo też twierdzi, że jest rycerzem, gdy nim nie jest, na przykład...

– Co na przykład?

– No cóż, w takim przypadku naszą powinnością jest go obić. Nie zabić, ale porządnie obić. Tak samo kiedy twierdzi, że ktoś szlachetnie urodzony nie jest szlachetnie urodzony.

– W porządku. Był tam ktoś, kto twierdził, że nie jestem prawdziwym rycerzem, ja zaś powiedziałem, że jestem, a on nim nie jest.

Woddet przytaknął mi.

– Nie mieliśmy pewności, że nie jesteś rycerzem, choć żaden z nas w to nie wierzył. Ale kiedy powiedziałeś, że sir Hermad nim nie jest, wtedy przeholowałeś.

– Rozumiem. Ja naprawdę jestem rycerzem. Jeśli mi nie wierzysz,

będziemy walczyć,

– Na kopie? – Woddet uśmiechnął się.

– Tutaj. Natychmiast. Masz miecz. Boisz się go użyć?

– Ja, nigdy! – Wyjął miecz, zanim jeszcze wstał, a wstawał bardzo szybko. Dostrzegłem tylko błysk stali i koniec jego ostrza znalazł się przy moim gardle.

– Twierdzisz, że jesteś rycerzem. Nie wolno mi zabić nieuzbrojonego rycerza. Prawo szlachetnie urodzonego.

– Opowiadałem ci o mojej rodzinie. W moich żyłach nie płynie szlachetna krew.

– Ale w moich płynie. – Woddet schował miecz do pochwy niemal równie szybko jak go wydobył. Starał się zachować powagę. – Będę musiał spytać herolda Jego Miłości.

Powiedziałem, że wolałbym, abyśmy zostali przyjaciółmi.

– Podałem ci rękę. – Wzruszył ramionami. – Mimo wszystko szkoda, że nie masz przodków, sir Able. Wtedy wszystko byłoby o wiele łatwiejsze dla nas obu.

– Ja jestem przodkiem – odpowiedziałem mu.

Potem poszedłem odwiedzić mistrza Thope'a, tak jak wcześniej zamierzałem. W drodze powrotnej doszedłem już prawie do swojego pokoju, gdy natknąłem się na mistrza Agra, któremu towarzyszył wysoki mężczyzna z siwą brodą w płaszczu z czerwonego aksamitu. Mistrz Agr zdziwił się, widząc mnie na nogach, i powiedział:

– Oto i on, Wasza Miłość.

Wiedziałem, że ten drugi to Marder, więc się skłoniłem. I tak bym się domyślił po ubraniu. Już wtedy dużo wiedziałem na ich temat, a przede wszystkim to, że są drogie.

Marder uśmiechnął się do mnie.

– Słyszałem, że leżysz złożony niemocą, młodzieńcze.

– Leżałem, Wasza Miłość – odpowiedziałem. – Lecz dzisiaj czuję się już

lepiej.

– O wiele lepiej.

– Tak, Wasza Miłość.

– Szukaliśmy cię – rzekł Agr – i zastaliśmy puste łóżko. Bałem się, że ktoś cię zabił i usunął ciało. Gdzie byłeś?

Wyjaśniłem, że chodziłem podziękować mistrzowi Thope'emu.

– Tobie też zamierzałem podziękować, mistrzu Agr, tyle że twoi ludzie powiedzieli mi, że jesteś z Jego Miłością. Ja... wyświadczyłeś mi wielką przysługę. W każdej chwili jestem gotów się zrewanżować, cokolwiek, powiedz tylko, Pewnie nigdy nie będę w stanie ci się odpłacić, ale spróbuję. Marder chrząknął.

– Wiesz, kim jestem, młodzieńcze. Wiem tylko tyle, co opowiedział mi o tobie mistrz Agr, ale chciałbym usłyszeć, co sam masz do powiedzenia na swój temat. Kim jesteś?

– Jestem sir Able Wielkie Serce, Wasza Miłość. Rycerz, który będzie ci służył ochoczo i lojalnie.

– Do tego biedny – mruknął pod nosem Agr.

– Niezupełnie, ale nie mam zbyt wiele pieniędzy. Marder skinął głową i przyjął poważną minę.

– Nie masz ziemi? I bardzo mało pieniędzy? Co posiadasz?

– Ubranie, które mam. na sobie, i trochę innych, o ile mój służący nie uciekł z nimi. A także prezenty podarowane mi przez lorda Olofa i lorda Thunrolfa. – Gdy tylko powiedziałem to o Pouku, od razu poczułem wyrzuty sumienia, więc zaraz dodałem: – Niesłusznie oskarżam mego służącego, Wasza Miłość. Nie zrobiłby tego, a ja nie powinienem tyle gadać.

– Nic więcej?

– Koszulę z metalowych kólek, tyle że jest rozerwana, Wasza Miłość. Oddaliśmy ją do naprawy w Forcetti. Stalową czapkę. Łamimiecz, łuk i kilka strzał.

– Trzymam jego broń pod zamknięciem – zwrócił się do Mardera Agr.

– Zwróć mu ją, kiedy poprosi.
– Tak uczynię, Wasza Miłość.
– Poślę cię przeciwko moim wrogom. A kiedy wrócisz, poślę cię przeciwko innym wrogom. Rozumiesz mnie?
Skinąłem głową.
– Wiem, co masz na myśli, Wasza Miłość. Przyjaźniłem się z sir Ravdem. Zauważyłem, że oczy Mardera rozszerzyły się nieznacznie.
– Byłeś przy nim na końcu?
– Nie, Wasza Miłość. Wtedy byłem jeszcze chłopcem, ale walczyłem dla niego, gdybym był. I gotów byłbym umrzeć, tak myślę.
Marder otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz się powstrzymał, a ja zauważyłem, że Agr jest jakby zmieszany.
– Zginął, walcząc w twojej sprawie, Wasza Miłość – powiedziałem.
Agr chrząknął.
– To już cztery lata – rzekł Marder – kawał czasu, jak sędzę, dla kogoś w twoim wieku. Wczoraj, jak słyszałem, zostałeś trafiony końcem kopii.
– Otrzymałem uderzenie w głowę, Wasza Miłość. Tyle tylko wiem.
– Sir Ravd był moim najbardziej zaufanym rycerzem, sir Able. Traktowałem go jak syna.
Odpowiedziałem, że wcale mnie to nie dziwi.
– Jego giermek twierdzi, że on sam otrzymał ranę w głowę na polu. Kiedy oprzytomniał, wilki rozszarpały ciała. A teraz ty mówisz, że byłeś przyjacielem sir Ravda?
– Byłem nim, Wasza Miłość. Byłem jego przewodnikiem w lesie. – Kiedy to powiedziałem, pomyślałem, że pewnie są tam też inne lasy, dodałem więc:
– W lesie na północny wschód od Irringsmouth.
– Ale nie było cię przy nim, kiedy umierał?
– Nie, Wasza Miłość. Robiłem wtedy coś innego.
– W takim razie musiałeś rozmawiać z kimś, kto cię poinformował o jego śmierci. Kto to był?

– Nikt. – Nagle poczułem się, jakby coś chwyciło mnie za kark. – Znalazłem jego miecz, Wasza Miłość. To wszystko. Był złamany. Zabiliśmy bandytów, Wasza Miłość. Ja, mój pies i człowiek o imieniu Toug. Złamany miecz był razem z innymi łupami. Zauważyłem go i podniosłem...

– Rozumiem. Byliście tylko we dwóch? Ty i ten wojownik, o którym wspomniałeś?

– Toug nie jest wojownikiem, Wasza Miłość. To wieśniak.

– Ilu, mówiłeś, było tam zbójców?

Nie mówiłem mu ilu, a kiedy o to zapytał, nie byłem pewny, czy pamiętam. Powiedziałem mu to i dodałem:

– Ulfa ich policzyła, Wasza Miłość. Policzyła ich ciała. To córka Touga. Naliczyła chyba dwudziestu trzech.

– Spodziewasz się, że Wasza Miłość w to uwierzy? – warknął Agr.

– Jestem rycerzem – powiedziałem. – Nie kłamałbym. Nie przed nim.

– Fe!

Marder dał mu znak, żeby się zamknął.

– Miałem nadzieję, że opowiesz mi, jak zginął sir Ravd.

– Powiedziałem wszystko, co wiem, Wasza Miłość.

– Także o tym, jak się spisał giermek – rzekł Marder. – Może być już pasowany na rycerza.

– Jest teraz giermkim sir Hermada. Sir Hermad, jak słyszałem, jest ranny? – Mówiąc to, Marder spojrzał na Agra.

Ten skinął głową z ponurą miną.

– W takim razie będzie mógł się opiekować swoim panem przez jakiś czas. Przynajmniej czymś się zajmie. Skoro byłeś przewodnikiem sir Ravda w tamtym lesie na północy, musiałeś też prowadzić giermka Svona.

Potwierdziłem, że tak było.

– Nie masz nic więcej do powiedzenia?

Domyślasz się, co miałem ochotę wtedy powiedzieć. Jednak się powstrzymałem.

– Wszystko już powiedziałem, Wasza Miłość.

– Ty sam zostałeś poturbowany w szrankach. Nikt mi nie opowiedział o tym wypadku. – Marder posłał Agrowi gniewne spojrzenie. – Sam się zorientowałem, kiedy zauważyłem podbite oko i wybite zęby. Nie wspomnę już o złamanym nosie sir Vidare'a. Przeprowadziłem śledztwo.

W tym momencie wołałem się nie odzywać.

– Pragniesz mi służyć, sir Able?

– Tak, Wasza Miłość. – Poszło gładko.

– Bez zapłaty, mimo iż sam masz zaledwie kilka tarczynów.

– Mam trochę, Wasza Miłość. To nie jest tak, że nic nie posiadam.

– Wspominałeś o służącym. Jak mu zapłacisz?

– Tak, Wasza Miłość. To Pouk. Służy mi za darmo, Wasza Miłość.

– Rozumiem. Choć on może nie. Jest ślepy? niesprawny? Kulawy? Może cierpi na jakąś chorobę skóry?

– Nie widzi na jedno oko, Wasza Miłość.

– Założę się, że i na drugie kiepsko widzi – mruknął Agr.

– Nie, sir. Pouk ma dobry wzrok – to znaczy w jednym oku. Chcecie z jego Miłością wiedzieć, dlaczego służy mi bez zapłaty, a ja nie potrafię tego powiedzieć, bo nie wiem.

– W takim razie nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Czy mistrz Agr wyjaśnił ci moją politykę wobec rycerzy? Moją politykę dotyczącą przyjmowania rycerzy do służby?

– Nie, Wasza Miłość.

– Jeśli rycerz jest już sławny, przyjmuję go od razu. Musi złożyć przysięgę na wierność. Podczas ceremonii.

– Chętnie to uczynię, Wasza Miłość.

– Nie wątpię. Jeśli rycerz nie tak sławny pragnie złożyć hołd lenniczy, to albo od razu go odrzucam, albo też przyjmuję nieformalnie i pozwalam służyć, aż się wykaże. Przyjmę cię na tych warunkach, jeśli chcesz.

– Chcę, Wasza Miłość – powiedziałem. – Bardzo dziękuję.

– Klękniij! – wyszeptał Agr. – Na kolano.

Opadłem na kolano i spuściłem głowę. Tak jakbym był pasowany na rycerza.

– Przyjmujesz mnie na próbę, Wasza Miłość, lecz ja przyjmuję ciebie, jako swojego pana... swojego pana – Moją uwagę rozproszyła Uri albo Baki, któraś z nich. Obserwowała nas i się śmiała. Marder i Agr jej nie słyszeli, lecz ja tak. – Mojego pana i władcę, aż do śmierci. – W taki sposób dokończyłem, choć dość niemrawo.

– Dobrze. Posiadasz niewielki ekwipaż, sir Able. Wstałem.

– Obawiam się, że tak jest, Wasza Miłość.

– Zamierzam wysłać cię przeciwko moim wrogom, by dać ci możliwość wykazania się – co zapewne uczynisz – ale na mój honor, nie mogę i nie wyślę cię nieuzbrojonego.

– Słyszałem, Wasza Miłość, że dawniej rycerz zwyczajowo czekał przy moście i wyzywał rycerzy, którzy chcieli przejść na drugą stronę. Gdybym mógł tak zrobić, zdobyłbym zbroję, kopię i dobrego konia. Wszystko, czego mi trzeba.

Agr prychnął pogardliwie.

– Bez konia, kopii i tarczy? Od razu by cię zabili. Uniosłem ramiona i je opuściłem.

– Mimo wszystko chcę spróbować.

– Sam tego spróbowałem w młodości, sir Able – powiedział powoli Marder. – Byłem mniej więcej w twoim wieku. To już nie jest turniej z tępą bronią. Mógłbym ci pokazać blizny.

– Ja jeszcze tego nie próbowałem, Wasza Miłość. Ale mogę pokazać bliznę i mnóstwo siniaków.

– Też je zdobyłem w swoim czasie.

– Z pewnością, Wasza Miłość – odparłem. – To był twój czas, jak mówiłeś. A teraz kolej na mnie. Chciałbym spróbować.

Marder przyglądał mi się przez chwilę spod zmarszczonych brwi. Potem

jego czoło wygładziło się, on sam zaś wybuchnął śmiechem.

– Zielony młokos z rozbitą głową! – Trącił Agra łokciem. – Chcesz posłać te bary przeciwko Angronitom? Dam głowę, że pójdzie!

Agr skinął głową z ponurą miną.

– Poszedłby, Wasza Miłość, gdybyś mu dał konia.

– Pieszko – powiedziałem. – Pójdę pieszo, jeśli się zgodzisz, Wasza Miłość.

– Słuchaj teraz. Będzie tak, jak powiem. – Marder przybrał znowu bardzo poważną pozę. – Zostaniesz w Sheerwall przez dwa tygodnie, aż wydobrzejesz. Potem mistrz Agr zaopatrzy cię we wszystko, czego ci trzeba. Udasz się w jakiś odległe miejsce, gdzie jest most, bród albo górską przełęcz, jak sam sugerowałeś, i zajmiesz stanowisko. Zostaniesz tam do zimy – do czasu, kiedy lód skuje wody portu. Gdy zima zacznie się na dobre, wrócisz tu i zdasz relację.

– Przypuśćmy, że przegra swój pierwszy pojedynek, Wasza Miłość – powiedział Agr. – Stracimy wszystko, co mu dam.

– Spójrz, jak się uśmiecha, Agr.

Agr spojrzał na mnie i chyba mu się nie spodobało to, co zobaczył.

– Będzie ryzykował życie, więc my możemy zaryzykować kilka koni, kilka kopii i kolczugę.

Pouk zjawił się popołudniem tego samego dnia i znalazł mnie na dziedzińcu ćwiczebnym, gdzie obserwowałem walki z drągiem. Przyniósł mi świeże ubranie.

– Chciałem przynieść wszystko, sir, ale karczmarz nie pozwolił. Chce, żeby mu najpierw zapłacić. Za kilka nocy i żarcie.

– Zajmiemy się tym później – powiedziałem. – To przecież kawałek stąd w dół zbocza.

– Kapkę dalej, sir.

– Niespecjalnie. Zanim pójdziemy, chcę trochę poćwiczyć. Obserwuj dokładnie i powiesz mi, czy robię coś nie tak.

Przyglądał się, a potem, kiedy po południu jechaliśmy do Forcetti na pożyczonych koniach, powiedział:

– Tak ćwiczą rycerze, nie? Tak jak jechaliście na siebie z tym sir jak-mutam.

– Sir Woddetem. Tak właśnie ćwiczą.

– No cóż, wygląda pięknie, ale dla mnie to nie ma sensu. Chciałem mu to wyjaśnić, ale od razu mi przerwał.

– Powiedzmy, że byłbym pieszo. Gdybyś nadjechał z tą długą włócznią...

– To jest kopia – wyjaśniłem mu.

– I na tym swoim wielkim koniu, uskokzyłbym w bok, no nie? Jakoś nie przepadam za końmi. – Spojrzał na swojego konia z wyraźną niechęcią. – A gdybym sam jechał na dobrym koniu, to bym cię objechał.

– Nie mam jeszcze wprawy z kopią – powiedziałem – ale doświadczony rycerz potrafi wcelować nią w kołyszący się pierścień nie większy niż wnętrze twojej dłoni, i to w pełnym galopie. Tak więc gdybyś chciał uskoczyć, to skacz daleko.

Pouk popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– A co do zajeżdżania z tyłu, to dobry jeździec zahaczyłby cię w bok dziesięć razy na dziesięć prób. Zanim byś się spróbował obronić, już by cię przyszpilił kopią. To znaczy, gdybyście walczyli sami.

– Pewnie tak.

– Podczas bitwy miałbyś przeciwko sobie długi szereg rycerzy, a za nim kolejny, gdyby to była armia króla Arnthora. Na ich flankach jechałaby lekka konnica składająca się z giermków i zbrojnych, a fortu z wozów pilnowaliby piechurzy i łucznicy. Widzisz, wiem to wszystko, bo podobne pytania zadałem mistrzowi Thope'emu. Oczywiście rycerzy można pokonać, szczególnie w górach, gdzie przeciwnik atakuje z góry włóczniami albo zrzuca kłody. Ale to nigdy nie jest łatwe.

Pouk skinął powoli głową.

– Tak, sir. Mam nadzieję, że ciebie nigdy tak nie pokonają.

– Jak też. Ale wiem, że żadna bitwa nie jest bezpieczna. Liczę na zaszczyty od księcia Mardera. Zaszczyty, dobre konie i jeszcze więcej. Własny dwór. Choć nigdy nie będę równy królowej Disiri, to chciałbym się do niej bardziej zbliżyć. Lord Olof opowiadał mi, że zdarza się, iż królowa poślubia rycerza. Tak, zdarza się.

Pouk pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że nie dasz się zabić, sir. Tylko o to mi chodzi.

– Dziękuję ci – odpowiedziałem i przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu w gorącym wiosennym słońcu. Sumienie nie dawało mi spokoju, więc wreszcie powiedziałem: – Pamiętasz, Pouk, jak wspominałem o piechurach broniących fortu z wozów? Jeśli zostaniesz ze mną, będziesz jednym z nich. Będziesz miał topór, płaszcz z garbowanej skóry i stalową czapkę, mam nadzieję. Więcej, jeśli będzie mnie na to stać.

– Nie gorsze niż walka na morzu z Osterlingami, sir. Wjeżdżaliśmy już na szczyt wzgórza; kiedy osłoniłem dłonią oczy, dostrzegłem zagrodę w dolinie, zasobną, przypomniałem sobie, bo mijałem ją w drodze do Sheerwall.

– W dole jest gospodarstwo z dobrą studnią. Napoimy konie i sami ugasimy pragnienie.

Tu żyły ogry

Pouk wciąż powracał myślami do wymagowanej bitwy.

– Skoro mam siedzieć z tyłu za tymi wozami, to jak mam pilnować ciebie? Dajmy, że to ciebie przyszpilili kopia, sir? Jak się dostanę do ciebie i jak cię znajdę?

– To jest zadanie mojego giermka, jeśli będę miał takiego.

– Ale wciąż uważam, że nie ma żadnego sensu tak jeździć na siebie, jakżeś jechał z tym sir...

– Woddetem.

– Właśnie. Żaden z was nigdy nie ranił drugiego, a tylko zwał z konia.

Poprawiłem go.

– On zrzucił mnie z mojego konia, Pouku. I to trzykrotnie.

– Tylko dwa razy się liczą, sir. Bo ten następny...

– A więc trzy. Twój argument jest mocno dziurawy, Pouku, i chyba szkoda czasu na zatykanie dziur.

– Skoro tak mówisz, sir.

– A poza tym dojedziemy już do tej zagrody, zanim udałoby mi się to zrobić. Lecz powinieneś wiedzieć, że nigdy dotąd nie brałem udziału w prawdziwej bitwie, w której rycerze walczyli konno. Wszystkiego, co wiem o nich i o rycerskiej walce, dowiedziałem się od sir Ravda, mistrza Thope'a i sir Woddeta. A w szczególności od mistrza Thope'a. Jest istną kopalnią wiedzy i mógłbym go słuchać godzinami.

– Wygląda na całkiem przyzwoite miejsce, sir – powiedział Pouk, spoglądając w kierunku gospodarstwa. Ściany z błota i plecionki były pobielone, a strzecha wyglądała na nową.

– Powodzi im się lepiej niż wielu innym, których spotkałem. – Zamilkłem i przypomniałem sobie chłodne pomruki mistrza Thope'a. – Zarzucasz mnie i sir Woddetowi, że nie raniliśmy się nawzajem i się nie pozabijaliśmy. Zrzucił mnie z konia, a raz mnie dopisało szczęście i też go zrzuciłem.

– Tak! – W tym krótkim słowie pobrzmiwało zadowolenie.

– Otóż przede wszystkim najważniejszą rzeczą, jaką musisz wiedzieć, jest to, że my wcale nie próbowaliśmy się zabić ani nawet zranić. Rycerze walczą na śmierć i życie podczas bitwy.

Pouk przytaknął mi, choć niechętnie.

– Używamy drewnianych kopii ćwiczebnych, które by nie wytrzymały z prawdziwymi. One nie mogą być zbyt mocne, bo ktoś mógłby zostać ranny albo nawet zginąć. Prawdziwa wojenna kopia jest bardzo wytrzymała. Ma też ostry, stalowy grot. Nasze były tępe. Pamiętasz, jeden z Osterlingów przebił moją kolczugę silnym uderzeniem mocnego sztyletu. Rozerwał kilka pierścieni i wystarczyło.

– Tak. Baliśmy się, że wyzioniesz ducha, sir.

– Mało brakowało, a może bym i umarł, gdyby nie Garsecg. A teraz przypuśćmy, że zostałem ugodzony ciężką kopią wojenną niesioną siłą rozpędzonego na koniu rycerza.

Pouk podrapał się po głowie.

– Przeszłaby jak przez ser, sir.

– Dobrze powiedziane. Co więcej, sir Woddet i ja celowaliśmy w tarcze. To właśnie w tarczę uderza się najczęściej kopią w prawdziwej bitwie.

– I co z tego? Jest tak, jak mówiłem, sir.

– Często nic. Lecz podczas bitwy używa się o wiele lżejszych tarcz niż te ćwiczebne, dlatego grot kopii może je czasem przebić. A nawet jeśli się tak nie stanie, rycerz uderzony w tarczę może zostać wyrzucony z siodła, tak jak ja. Pamiętasz, co mówiłem o drugiej linii rycerzy ustawionej za pierwszą? Udawaj teraz, że jesteś rycerzem, który został zrzuty z konia i ogłuszony upadkiem.

Znaleźliśmy się już bardzo blisko domu. Pouk powiedział:

– Jak ci to nie robi różnicy, sir, to może nie będę udawał. – Zsiadł z konia, płosząc kilka kaczek i gęsi. – Może puszczyć się przodem i powiem im, kim jesteś.

Na progu pojawiła się wiejska kobieta w średnim wieku. Zawołałem do niej:

– Jesteśmy niegroźnymi podróżnymi, którzy szukają wody dla koni i dla siebie. Pozwól nam się napić, a nie będziemy prosić o nic więcej.

Nic nie odpowiedziała, więc dodałem:

– Jeśli wolisz, żebyśmy odeszli spragnieni, to powiedz, a pójdziemy sobie.

Pouk potruchtał do niej, prowadząc swojego konia.

– Ten tutaj to sir Able, najdzielniejszy z rycerzy księcia Mardera. Kobieta skinęła głową i zmierzyła mnie uważnie spojrzeniem.

– Wyglądasz na dzielnego. I silnego.

– A także spragnionego. Brałem udział w turnieju i jechałem z gołą głową. Dostaniemy wody?

Wreszcie podjęła decyzję.

– Mamy cydr, jeśli chcesz. Będzie zdrowszy. Mogę dodać też kilka jaj na twardo, chleba i kiełbasy.

Wcześniej nie wiedziałem, że jestem głodny, lecz gdy wspomniała o jedzeniu, od razu poczułem, że tak jest.

– Możemy zapłacić, psze pani, i chętnie to zrobimy. Udajemy się do Forcetti, żeby zapłacić karczmarzowi, co mu jesteśmy winni, i tobie też możemy zapłacić.

– Nie trzeba. Wejdźcie.

Wprowadziła nas do kuchni, obszernego, słonecznego pomieszczenia z kamienną podłogą, w którym z krokwi zwisały plecione warkocze cebul.

– Usiądźcie. Rycerze przejeżdżają tą drogą tam i z powrotem codziennie, no prawie, i dobrze. Rabusie trzymają się od nas z daleka, tylko poborcy podatkowi nas nękają. Ale rycerze rzadko się tu zatrzymują. Albo

odpowiadają, kiedy ich pozdrawiamy.

– Może nie są tak spragnieni jak my.

– Zaraz przyniosę cydr. Beczułka jest w ziemiance. – Wyszła szybko.

– To może być mocniutki cydr. – Pouk oblizał wargi. Zgodziłem się z nim, lecz jednocześnie zastanawiałem się, czego może chcieć od nas ta kobieta.

Wróciła z trzema lipowymi antałkami, które postawiła na stole.

– Świeży chleb. No, prawie świeży. Wczoraj piekłam. – Z kieszeni fartucha wyjęła kiełbasę, którą położyła na drewnianej tacy i zaraz zaatakowała długim nożem, krojąc na grube plastry. – Letnia kiełbasa. Wędzimy przez trzy dni i potem dobrze się trzyma, jeśli nie weźmie jej wilgoć.

Podziękowałem jej i spróbowałem kiełbasy; smakowała wybornie.

– Sir Able? Tak się nazywasz? Jak na rycerza wyglądasz na dość przyziemnego człowieka.

Odstawiłem naczynie z cydrem i powiedziałem, że staram się być takim.

– Naprawdę jesteś najdzielniejszym rycerzem księcia?

– A jakże! – zawołał Pouk.

– Wątpię – powiedziałem. – Tak naprawdę to nie wiem. Prawdę mówiąc, nie wierzę, by w zamku Sheerwall był rycerz, który by się zawałał skrzyżować ze mną miecz. Ale i ja nie zawałałbym się z nimi zmierzyć.

– Boisz się duchów? Wzruszyłem ramionami.

– Nie ma takiego człowieka, którego bym się bał, i nie sądzę, by martwy człowiek był groźniejszy niż żywy.

– Duch to nie człowiek. – Zerknęła na Pouka, który, mimo iż opróżnił swój kufel, wyglądał na zadziwiająco trzeźwego. – Dolać ci?

Pouk potrząsnął głową.

– Jeśli to duch kobiety – powiedziałem – to być może szuka ona jakiejś własności lub czegoś, co zmierza do niej. Na południu rozmawiałem z pewną staruszką, która dużo wiedziała o duchach i która powiedziała mi, że duchy

kobiece przeważnie oznaczają, że kobieta została zamordowana. Najczęściej pragną sprawiedliwości.

– To nie kobieta. – Wstała, by przynieść bochenek chleba.

– Duch dziecka? To smutne.

– Żeby tak było. – Kroiła chleb z przesadną ostrożnością, jakby miało jej to pomóc zapanować nad uczuciami.

– Masz na myśli Aelfy? One nie są duchami.

– Chyba wiesz, skąd się wzięli twoi rycerze?

Przyznałem, że nie i że nigdy się nad tym nie zastanawiałem, i zaraz dodałem, że chętnie usłyszę tę opowieść.

– To nie opowieść. W dawnych czasach wszędzie tu żyły ogry. A także smok. Potwory. Olbrzymy mieszkają teraz w lodowym kraju. Mnóstwo ich tam jest. Człowiek, który zabił jednego, był rycerzem, ale po jakimś czasie wszystkie zostały wybite, więc musiało chodzić o inne istoty.

– Wciąż mi nie powiedziałaś, co to za duch.

– Duch ogra. Musiał zostać zabity w tej okolicy, bo nawiedza moją farmę. Pouk rozejrzał się, jakby się spodziewał, że zaraz go zobaczy.

– Nie bój się – uspokoiła go kobieta. – Przychodzi tylko nocą.

– W takim razie nie możemy ci pomóc – powiedziałem. – Musimy jechać do Forcetti. Sięgnąłem po kolejny kawałek letniej kielbasy i pomyślałem, że kobieta powinna odsunąć ją dalej. – Jednak nie możemy zostać na noc w Forcetti. Tutaj też nie, bo obiecaliśmy mistrzowi Agrowi, że do wieczora oddamy mu konie.

Kobieta posmutniała.

– Ale będziemy mijać wasz dom w drodze powrotnej już późną porą, pewnie o zmierzchu. Możemy się więc zatrzymać na krótko i upewnimy się, że wszystko jest w porządku.

– Bardzo się ucieszymy z synami, sir Able. Przygotujemy wam coś do przegryzienia i nakarmimy wasze konie.

Strzeliłem palcami.

– No właśnie, konie są spragnione. Zajmij się nimi, proszę, Pouku.

– Nie trza dawać im zbyt dużo, sir.

– Tylko wtedy, kiedy są rozgrzane po galopie. Teraz już pewnie ostygły, bo przecież stoją w cieniu i oganiają się od much. Daj im, czego trzeba.

– Tak jest, sir – odpowiedział i wyszedł pospiesznie.

– Obrabiam to gospodarstwo z synami, sir Able – powiedziała kobieta. Silne z nich chłopaki, obaj, ale na ducha nie pójda. Duns spróbował i tamten mało co go nie zabił. Ponad rok niedomagał.

Powiedziałem, że to chyba nie od samego strachu. Połamał mu ręce, a jedną prawie wyrwał.

– Gdy tylko to usłyszałem, zapragnąłem porozmawiać z chłopakiem, ale się okazało, że wyszedł za jakąś sprawą; zapisałem to sobie w pamięci.

Pod Butelką i Muszelką

W barze karczmy Pod Butelką i Muszelką (był to zwykły, duży i brudny pokój przesiąknięty zapachem rozlanego piwa) karczmarz podał mi rachunek zamaszystym ruchem.

– Nie potrafię czytać – powiedziałem do niego – a przynajmniej nie wasze pismo. Szkoda – chciałbym się nauczyć, ale na razie musisz mi wszystko wyjaśnić. – Rozłożyłem rachunek na stole. – Siadaj tu i wyjaśnij mi. Widzę znaczki na papierze, lecz nie wiem, co znaczą.

Spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi.

– Chcesz zrobić ze mnie głupca, co?

– Ani trochę. Nie umiem czytać, Pouk też nie, ale chciałbym wiedzieć, ile mi za co policzyłeś.

Stanął przy mnie i pokazał palcem.

– To tutaj jest najważniejsze. Wychodzi pięć tarczynów.

– Za trzy dni? To chyba strasznie dużo.

– Trzy dni w najlepszym pokoju, jaki mam. To jest tutaj. – Pokazał palcem. – A tu za jedzenie i picie.

Pouk wyraźnie unikał mojego spojrzenia.

– A tu jeszcze za żarcie dla twojego psa.

Złapałem go za ramię.

– Powtórz to. Opowiedz mi o tym.

– Żarcie dla twojego psa. – Karczmarz spojrzał na mnie niepewnie. – Wielkie, brązowe psisko z kolczastą obrozą. Kolce jak zęby rekina. Dawaliśmy mu kości z kuchni, kilka bochenków starego chleba umoczonych w tłuszczu, resztki mięsa i tym podobne, za co w ogóle nie policzyłem. Tylko

że on ukradł całą pieczeń, a to kosztuje.

– Nie miałem ze sobą psa, kiedy się u was zameldowałem. – Ścisnąłem mocniej jego rękę, ponieważ miałem wrażenie, że on pryśnie, jeśli tylko nadarzy się okazja. – Kiedyś miałem. Pouk go zna. Pokazałeś go Poukowi, co? I zapewne spytałeś go, czy wie, do kogo należy pies?

Pouk potrząsnął energicznie głową.

– Sir, nie pokazywał mi żadnego psa, przysięgam. I nigdy o żadnym nie wspominał.

– Miałem zamiar cię ukarać za to, że piłeś na mój koszt, wiedząc, że nie mam dużo pieniędzy. Jeśli jednak nie kłamiesz odnośnie do Gylfa, to cię nie ukarzę. A jeżeli skłamałeś w tej sprawie, to koniec z nami i lepiej trzymaj się ode mnie z daleka.

Pouk wyprostował się.

– Żadnuśkiego psa tu nie widziałem i nie słyszałem, żeby kto o nim mówił, sir. Ani on, ani nikt inny – ani twojego psa Gylfa, co wyskoczył za reling, dobrze wiemy kiedy, ani żadnego innego psa.

Karczmarz próbował się uwolnić z mojego uścisku.

– Dlaczego nie pokazałeś psa Poukowi?

– Próbowałem, ale spał.

– Wczorajszej nocy, z brzuchem pełnym twojego piwa. Czy mówił ci, że pozwoliłem mu pić tyle, ile chce?

Karczmarz nic nie odpowiedział.

– Powiedziałaś, że pies porwał pieczeń. Dlaczego nie pokazałeś go później Poukowi? Czy Pouk nie mieszkał tu do czasu, kiedy przyszła Modguda?

– Przysłała chłopaka na koniu, sir – wyjaśnił Pouk. – Wróciliśmy razem, a ja siedziałem za nim, tak jakby.

– A zatem nie ma wątpliwości, że Pouk nie spał rano, skoro chłopak Modgudy odnalazł go i rozmawiał z nim.

– Nie mogliśmy złapać tego psa, sir Able. Strasznie zły.

– Tak jak ty. – Pomyślałem o rachunku i tych kilku złotych berłach, które

mi zostały. Mogłem mu zapłacić, lecz wtedy straciłbym dużo więcej. – Nie zapłacę za pieczeń. Nie nakarmiłbyś psa tym wszystkim, co mu dawałeś, po tym, jak ukradł pieczeń, a zatem wiedziałeś, że tu jest, i nie zrobiłeś nic, żeby zapobiec kradzieży kawałka mięsa, który leżał pewnie gdzieś w kuchni. Pieczeń to cena, jaką zapłaciłeś za swoje zaniedbania.

– W porządku – powiedział karczmarz. – Puść mnie, to ją odejmę od rachunku.

– Ile za nią policzyłeś?

– Trzy puchary. Odejmę ją. Przecież powiedziałem, że to zrobię. Puść mnie.

Potrząsnąłem głową i wstałem.

– Jeszcze nie. Złóżę ci pewną propozycję. Zapłacę te trzy puchary – Wolną ręką wyjąłem trzy mosiężne monety z sakiewki zawieszanej u pasa – jeśli pokażesz mi tego psa i przekonamy się, czy należy do mnie. Wtedy cię puszczę. Zgadzasz się?

– Nie mogę ci go pokazać, bo uciekł. Zebrałem monety.

– W takim razie nie zapłacę ci za jedzenie dla psa. Pozwoliłeś mu uciec, zamiast poinformować mojego sługę. Nie zapłacę też ani puchara za to, co wypił. Odlicz obie te pozycje i porozmawiamy o reszcie. Jeśli mnie tam nie oszukałeś, zapłacę wszystko.

– Należy się pięć tarczynów – nalegał karczmarz. – Pięć, minus trzy puchary za żarcie dla psa. Płacisz albo wezwę straż.

Podniosłem go do góry, obróciłem i opuściłem na podłogę.

– Obecnie mieszkam na zamku Sheerwall. Możesz iść do księcia Mardera i dopominać się sprawiedliwości. Nie wątpię, że zostanie wymierzona. Tylko najpierw dobrze się zastanów, czy naprawdę tego chcesz. Niektórzy nie chcą.

Zostawiliśmy go leżącego na podłodze i poszliśmy na górę do pokoju, który wynajęliśmy. Umyliśmy się tam i ogoliliśmy, po czym spakowaliśmy wszystko, co przynieśliśmy z pokładu „Zachodniego Kupca”.

Kiedy wróciliśmy na dół, natknęliśmy się na rycerza w zielonej opończy,

który czekał przyczajony. Zadał mi cięcie w głowę, lecz uchyliłem się i klinga jego miecza utkwiała we framudze drzwi. Skoczyłem na niego, zanim zdołał uwolnić miecz, i powaliłem na ziemię. Gdy przyłożyłem mu do gardła ostrze jego własnego sztyletu, poprosił, bym mu darował życie. Powiedziałem, że daruję, po czym wstałem i otrzepałem ubranie.

– Jestem sir Able Wielkie Serce i roszczę sobie prawo do twojej tarczy i zbroi, a także twojej broni, poza mieczem, i twojego konia lub koni, jeśli masz ich więcej, oraz twojej sakiewki. Możesz zatrzymać swoje ubranie, życie i miecz. Nie będę żądał żadnego okupu za ciebie. Oddaj mi to wszystko i będziesz wolny.

– Jestem sir Nytir z Fairhall. – Podniósł się i skłonił głowę. – Jesteś szczodry w swej propozycji. Przyjmuję ją.

– Fe – mruknął Pouk, ja zaś posłałem mu spojrzenie rodzaju „zamknij się”.

Nytir odpiął tarczę i oparł ją o kontuar, a potem zdjął stalową czapkę, płaszcz z kolczugi, opończę, kolczugę i złożył wszystko na stole.

– Hełm zostawiłem przy siodle – powiedział. – Czy wolno mi zatrzymać opończę? Jest na niej mój herb.

Skinąłem głową.

– Dziękuję. – Odwiązał sakiewkę i podał mi ją. – Pięć tarczynów i kilka miedziaków. Powiedziałeś, że mogę zatrzymać miecz. Czy dotyczy to także pochwy i pasa na miecz?

Ponownie odpowiedziałem skinieniem głowy.

– Karczmarz nazwał cię rozbójnikiem. Rozmówię się z nim.

– Ja także – powiedziałem, po czym poleciłem Poukowi, żeby rozejrzał się za koniem dla mnie i żeby obejrzał wszystkie konie, jeśli jest ich więcej.

– Są trzy – wyjaśnił Nytir. Zgrabnym ruchem uwolnił swój miecz – Powiedz mojemu giermkowi, żeby tu przyszedł, kiedy będziesz je oglądał, człowieku.

Pouk wyszedł szybko.

Popełniłem błąd i popatrzyłem za Poukiem, tak że pchnięcie Nytir; niemal mnie przebiło. Podskoczyłem, omal się nie wywracając, a czubek klingi zahaczył o przód mojej tuniki. Kolejne cięcie znad głowy pewnie by mnie powaliło, gdyby klinga nie zaryła w niski sufit. Dzięki temu udało mi się dobyć Łamimiecza i zadać cios płaskim końcem głowicy prosto w twarz Nytira. Kiedy wrócił jego giermek, zastał go siedzącego na podłodze i usiłującego zatamować krwawienie. Giermek podbiegł, by mu pomóc, lecz Nytir nie pozwolił mu obejrzeć rany wciąż przyciskając dłonie do twarzy. Nie powiedział ani słowa.

– Wasze konie należą do mnie – zwróciłem się do giermka. – Pouku, czy jest wśród nich rumak?

– Ten, co był pod nim, jest dobry – rzekł Pouk. – Nie wiem, czy bym go nazwał rumakiem, ale jest niezły. Jest też jego koń – Pouk pokazał na giermka – no i juczny.

– Cokolwiek jest przy nim, też należy do mnie – zwróciłem się do giermka. – Zatrzymam tego konia i tego, na którym jeździł twój pan Czy ten, którego dosiadałeś, należy do ciebie, czy też jest jego własnością?

– Należy do sir Nytira, sir...?

– Able.

– Sir Able. Ja – ja... Nie masz zbroi.

– Już mam. Daruję ci konia, którego dosiadałeś. Słuchaj mnie uważnie. Koń należał do sir Nytira. Odebrałem mu go w pojedynku i przekazałem tobie. Teraz zaś, skoro jest już twój, chcę, żebyś wsadził na niego swojego pana i zawiózł go gdzieś, gdzie mają lekarza.

Giermek skinął głową.

– Ma tu dom, sir Able. Ja... Jesteś prawdziwym rycerzem. Ja także mam nadzieję wkrótce nim zostać.

Życzyłem mu szczęścia.

– Muszę wyznać, że byłem jednym z tych, którzy cię okładali na dziedzińcu ćwiczebnym. Nie musisz mi dawać Pogromcy i nawet nie

powinieneś.

Nytir powiedział coś niezrozumiale.

– Nie przyjmę z powrotem Pogromcy – odpowiedziałem giermkowi. – Jest twój. Wsadź na niego swojego pana i zabierz go stąd.

Wyszliśmy z Poukiem na zewnątrz i patrzyliśmy, jak odjeżdżają. Kiedy już znikli za pierwszym zakrętem tej podstępnej ulicy, Pouk zapytał, czy chcę, żeby przejrzał zawartość juków. Nie chciałem, żeby to robił, i kazałem mu poszukać karczmarza.

– Tu mam go szukać, sir? Pewnie halsuje gdzieś daleko stąd na pełnych żaglach.

– Mimo wszystko poszukaj go. Mają tu chyba jakąś pomoc, kucharz czy kogoś takiego. Ich też poszukaj. Pójdę do baru, żeby przymierzyć kolczugę sir Nytira.

Znalazłem tam też miecz Nytira. Nie chciałem go, ale ucieszyłem się, że mogę go obejrzeć. Był trochę większy niż miecz Ravda i trochę cięższy, lecz nie wydawał mi się równie dobry. Chcąc się przekonać, co można nim zrobić, wbiłem go w sufit baru. Wszedł w drewno jakieś pięć lub sześć cali i tak go zostawiłem.

Założyłem kolczugę Nytira i właśnie zawiązywałem sznurowania (co jest trudne, kiedy ma się na sobie kolczugę), gdy wrócił Pouk w towarzystwie kobiety o puciołowatej, czerwonej twarzy.

– To jest żona karczmarza – oznajmił – a ten tu to mój pan, sir Able Wielkie Serce.

Kobieta przyklękła na kolano, a ja wyjaśniłem, że wynająłem u nich pokój na trzy noce.

– Na górze, od frontu – dodał Pouk.

– Wiem, który. – Żona karczmarza pokazała kciukiem na Pouka. – Tylko że nigdy nie widziałam cię na górze, sir Able. On gadał, że jego pan jest rycerzem, ale ja mu za bardzo nie wierzyłam. To marynarz, a oni rzadko kiedy mówią prawdę.

– Marynarze oglądali rzeczy, w które inni nie wierzą. – Wzruszyłem ramionami. – Uwierzyłybyś mu, gdyby ci opowiedział o Wyspie Glas?

– Nie, sir!

– Nie winię cię za to. Lecz ja też ją widziałem, a nawet chodziłem po niej. Ludzie morza kłamią podobnie jak my i z tych samych powodów. Lecz teraz mówię prawdę.

– Gdzieżbym śmiała ciebie posądzać o kłamstwo, sir Able!

– Dzięki. Nie okłamuj nas, a pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Wiesz, gdzie jest twój mąż? Chciałbym z nim pomówić.

– Nie mam pojęcia, sir Able. Wyszedł gdzieś, na to wygląda.

– Tak. Zanim wyszedł, opowiadał o psie, który tu przyszedł. Mówił, że to był wielki brązowy pies z kolczastą obrozą.

Potwierdziła moje słowa skinieniem głowy.

– A przy obrozy wisiał nawet kawałek łańcucha, z którego się zerwał.

– Rozumiem. Twój mąż przypuszczał, że to może być mój pies, i chyba dobrze myślał. Mój pies zgubił się jakiś czas temu. Wiesz, gdzie jest teraz?

– Nie, sir. Wczoraj go widziałam, ale nie wiem, gdzie się podział. Wszyscy go goniliśmy, żeby mu odebrać pieczeń, co ją ukradł, ale uciekł. Wielki był, opuszczone uszy i potężna pierś.

– To mi wygląda na Gylfa. Jeśli wróci, bądź dla niego miła i zawiadom mnie. Będę w zamku Sheerwall.

– Spróbuję, sir. – Zona karczmarza skierowała swoją uwagę na miecz Nyтира.

Wyjaśniłem jej, do kogo należał, i poleciłem, żeby oboje z mężem zostawili go tam, gdzie jest, dopóki jego właściciel nie wróci po niego. Wtedy ona znowu przyklęknęła na kolano.

– Wiem, że będzie przeszkadzał – zacząłem. Potrząsnęła głową.

– Będą przychodzić, żeby go obejrzeć, sir Able, i golną sobie ze dwa kufelki, kiedy będziemy im o nim opowiadać. Zarobimy na tym.

– Mam nadzieję. Ale kiedy zjawi się tu sir Nytir, pozwolicie mu go

zabrać. Powiedzcie mu, że nie chciałem miecza i zostawiłem go dla niego.

– Czy to twój przyjaciel, sir Able? Pouk roześmiał się.

– U wziął się na mnie – wyjaśniłem jej. – Pewnie przyjechał tu za mną i chyba wystraszył twójgo męża, zanim zdążyłem się z nim rozmówić. Zauważyłaś, co się stało z framugą twoich drzwi?

Skinęła głową z niechęcią.

Mój rachunek leżał tam, gdzie go zostawiłem. Podniosłem go i pokazałem jej.

– Rozmawialiśmy o tym z twoim mężem. Policzył sobie pięć tarczynów, a ja uznałem, że mnie oszukał.

Spojrzała na rachunek.

– Czasem przesadza, sir Able, ten mój Gorn.

– Wszyscy czasem przesadzamy. Potrafisz pisać? Skinęła głową.

– W takim razie zapłacę ci cztery tarczyny w dobrym srebrze, jeśli napiszesz tutaj „zapłacono” i się podpiszesz. I postaw też datę.

Wyszła szybko po atrament, piasek i gęsie pióro.

Zielony rycerz

Dużo jeździłem tamtego dnia; byłem cały obolały, mimo to wsunąłem stopę w strzemień i wskoczyłem na siodło, prawie jakbym wiedział, co robię. Nytir jeździł na krępym gniadoszu z dużą białą gwiazdką, nerwowym i energicznym, lecz nie dość dużym ani silnym, by go uznać za rumaka. Zielona kopia (z powiewającym proporcem) wciąż tkwiła przy pięknym bojowym siodle z zielonej skóry.

Gniadosz podreptał w bok, uderzając o bruk podkutymi żelazem kopytami.

– Cieszę się, że to ty na nim jedziesz, a nie ja – rzucił Pouk, kiedy skończył przymocowywać tarczę Nyтира do juków konia jucznego.

– Uważaj na nią – powiedziałem. – To jedyna część, która pasuje do reszty.

– Ale jest tu jego znak, sir. – Pouk zaciągnął ostatni węzeł.

– Masz na myśli jego herb. – Ściągnąłem mocno cugle gniadosza.

– Tak, sir. Owca z dużymi rogami, sir, ale nie aż tak wielgaśne.

– Zamalujemy je. Trzy ulice w górę i cztery na zachód.

Pouk skinął głową i popatrzył z powątpiewaniem na swojego konia.

– Znak Młota i Szczypiec, sir.

– Pouk, dasz radę poprowadzić dwa konie?

– Jeśli dadzą się holować, to tak, sir. Niektóre się dają, inne nie, ale nigdy nie wiadomo, dopóki człek nie spróbuje.

Płatnerz, u którego wcześniej zostawiliśmy moją kolczą koszulę, był większy, młodszy i powolniejszy w mowie niż mistrz Mori. Podniósł do góry moją nową kolczugę, zagwizdał i podszedł do okna, gdzie było więcej

światła.

– Zdobyłem ją od sir Nytira, jeśli to może w czymś pomóc – powiedziałem.

– Podwójna. Nie nasza robota, ale niezła.

– Jeśli da się poszerzyć w ramionach i przedłużyć rękawy...

– Da się, sir Able. Ale to będzie kosztować.

– Zapłacę tymi drucianymi spodniami. Nie wiem nawet, jak się to nazywa. Dam ci je, jeśli mi poszerzysz kolczugę.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

– Muszę wziąć miarę, sir Able. Ostatnią przymiarkę zrobimy, kiedy przyjedziesz ją odebrać. Odbierzesz tego samego dnia, jeśli przyjedziesz rano.

– Zagadnij go o tarczę, sir – wtrącił Pouk. – Mówiłeś, że ci się podoba.

– Podoba. – Wziąłem od niego tarczę i podniosłem ją do góry. – Potrafisz zamalować barana tak, żeby nie wyglądało brzydko?

– Potrafię. – Płatnerz wziął ode mnie tarczę i obejrzał ją. – Wierzba obciążnięta skórą. Słoje pionowe i poprzeczne, żeby nie pękła. Ale musiałbym zdjąć skórę, żeby się upewnić. Znał się na robocie i pewnie nie zrobiłby pojedynczej. Nie będę zdejmował, jeśli nie chcesz, a tylko przemaluję. A co ma być zamiast barana?

Kiedy nic nie odpowiedziałem, Pouk powiedział:

– A jakby tak serce, sir? Serce, a pod nim słońce. Ładnie by było.

Pokręciłem głową.

– Może kosztować mniej lub więcej – rzekł płatnerz – zależy od wzoru. Im trudniejszy do namalowania dla mojego człowieka, tym drożej muszę policzyć. Jeden taki chciał trzy serca i trzy lwy, wszystko na jednej tarczy. Namalowaliśmy, ale kosztowało fortunę.

Powiedziałem, że nigdy bym sobie nie namalował lwa.

– A co byś namalował? W tym rzecz.

Pomyślałem o gwiazdach i paskach i przypomniałem sobie, że wszystkie

drużyny w szkole to były Rysie, lecz jakoś nic mi nie pasowało.

Pouk podszedł już wcześniej do ściany i zdjął z niej długi nóż. Przyglądał się z zaciekawieniem czarnemu ostrzu.

– Robota Aelfów – zwrócił się do niego płatnerz. – Mam tylko taki jeden. Widziałeś kiedyś podobny, sir Able?

– Nie, ale chętnie obejrzę.

– Lubię te ostrza w kształcie liścia. Dla mnie to wariactwo.

– Mnie się podoba – rzucił Pouk.

Obróciłem nóż w dłoni, by mu się lepiej przyjrzeć.

– W stali widać żyłki, jak prądy w strumieniu. Płatnerz odpowiedział skinieniem głowy.

– Mieszane metale. My też tego próbujemy, ale one mieszają się jak woda i ocet. U Aelfów mieszają się jak oliwa z wodą. Niby się mieszają, ale zostają osobno. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak – odparłem. – Widzę to. – Nie byłem pewny, czy powinienem powiedzieć coś więcej, ale powiedziałem: – Wierzysz w Aelfy. Wielu ludzi nie wierzy.

Płatnerz wzruszył ramionami.

– Wiem, co wiem. Pouk zaczął mówić:

– Mój pan...

Uciszyłem go ruchem dłoni.

– Tak jak jego pan. Wiesz też na pewno dużo o mieczach. Słyszałeś o takim, który nosi imię Eterne?

– Sławny miecz. Piszą o nim wiersze.

– Wiesz, gdzie jest? Płatnerz potrząsnął głową.

– To robota Aelfów Ognia, tak jak ten nóż. Kazał go wykuć król, a potem nasycił go magią. Nie złamiesz go i nie zegniesz. Można go naostrzyć smoczym pazurem, choć nie trzeba go ostrzyć. Mieli go znani ludzie, królowie, rycerze i tacy tam, i wróci, kiedy go wyciągniesz. Ale nie wiem, kto go ma teraz. Pewnikiem jest gdzieś w kraju Aelfów.

– Co się nazywa Aelfrice, no nie, sir? – rzucił Pouk. Płatnerz przytaknął mu.

– Wiem. Tylko nie myślałem, że ty wiesz. A tutaj jest Mythgarthr. Wiedziałaś to?

Pouk potrząsnął głową.

– Tak myślałem.

– Powiedziałaś, że wykuł go król Aelfów Ognia – ciągnąłem dalej. – Ja słyszałem, że zrobił go człowiek taki sam jak my, człowiek o imieniu Weland.

– Imię się zgadza – rzekł płatnerz – tyle że to był król Aelfów Ognia, tak jak mówiłem. Król Weland. Smok go dopadł, lecz ludzie wciąż o nim mówią.

– To prawda – wyszeptał cichy głos za mną. – Mówimy o nim i wciąż go oplakujemy.

Kiwnąłem głową, by dać do zrozumienia, że usłyszałem, lecz głośno powiedziałem tylko:

– Ta tarcza, którą tu przyniosłem. Pomalujesz ją na zielono?

– Niech będzie na zielono, sir. I co ma być na niej?

– Nic, cała na zielono – wyjaśniłem mu. – Nic na niej nie chcę. Zamaluj tylko barana, żeby go nie było widać.

Kiedy wyszliśmy z warsztatu płatnerza, powietrze było chłodniejsze i w pierwszej chwili pomyślałem, że ta zmiana – jakże miła – jest wynikiem tego, iż oddaliliśmy się od kuźni. Lecz kiedy wyjechaliśmy z Poukiem za miasto, zachodni wiatr rozwiął długą grzywę mojego gniadosza, ciskając mi w oczy jej kosmykami, i zaczął szarpać mój płaszcz, aż go w końcu zapiąłem. Wiatr był całkiem chłodny, żeby nie powiedzieć zimny.

– Niech Skai ma w opiece tych, co na morzu – mruknął Pouk. Patrzył za siebie, a ja podążyłem za jego spojrzeniem. Czarne chmury zbliżyły się do słońca. Kiedy na nie patrzyłem, jedną z nich rozdarła błyskawica.

Ścisnąłem piętami boki gniadosza. Jednej rzeczy nie wolno ci nigdy zabrać rycerzowi, którego pokonałeś w walce, nawet jeśli go zabiłeś. Mam na

myśli złote ostrogi. Bardzo chciałem mieć ostrogi Nyтира, ale nawet słowem o nich nie wspomniałem ze względu na prawo. Pragnąłem ich, ponieważ są oznaką rycerstwa, lecz kiedy wyjechaliśmy poza Forcetti, pragnąłem ich po prostu dlatego, że były ostrogami.

– Musimy się pospieszyć – krzyknąłem do Pouka – bo inaczej przemokniemy do suchej nitki!

Popędził swojego konia końcem wodzy, po czym kopnął go i zaczął kłać, aż wreszcie koń przeszedł w dudniący kłus, niemal wytrząsając go z siodła.

– Potrzebny mi jakiś kij, sir. Zatrzymam się przy jakich krzaczkach. Nie obawiaj się, sir, dogonię cię. Masz ochotę na rozmowę?

Ściągnąłem wodze mojego gniadosza ze względu na Pouka.

– Nieszczególnie, ale nie odczuwam też potrzeby niemówienia. A o czym chcesz pomówić?

– Byłeś taki zadumany, sir, że się tak wyrażę, więc nie chciałem się napraszać. Chodzi o to, sir, że nie ma co tak pędzić. Ta zawierucha z tyłu dmuchnie, zanim dotrzemy do zamku. Nie będzie miło tak jechać, sir, więc nie ma się co spieszyć. Tylko że będą czekać na nas z kolacją. Bo mówiliśmy, że wrócimy dzisiaj.

Pstryknąłem palcami.

– Tamta zagroda. Jasne! Chciałem pomówić z Dunsem.

– Byś o tym zapomniał, sir, taki zamyślony. I jeszcze jedno, sir. Zanim zajedziemy na kolację, rozleje się tak, że możemy okulać konie albo i spaść z nich. Myślisz, że mistrz Agr by coś miał przeciw, żebyśmy gdzieś przenocowali i schowali jego koniki przed burzą?

– Pewnie nie. Przymknąłby na to oko, nawet gdyby całkiem mu się to nie podobało.

– I ja tak myślę, sir. Tylko szczury lądowe, sir, myślą, że powinno się żeglować przy każdej pogodzie. Z tego, com widział na zamku, jaki już chodzi o konie, to wcale nie zachowują się jak szczury lądowe, jeśli rozumiesz, o co chodzi. Pouk chrząknął.

– Jest jeszcze coś, o co chciałem cię zapytać, sir. Nie obraź się, ale czegoś kazał kowalowi pomalować tarczę po prostu na zielono? Nic nie mów, sir, jak nie masz ochoty.

– To żaden sekret. Po zastanowieniu uznałem, że tak będzie najlepiej. Spójrz. – Zdjąłem z lęku siodła hełm i podsunąłem mu go. – Oderwałem z czubka małego drewnianego barana i go wyrzuciłem. Baran był żółty, a teraz jaki jest hełm?

– Zieloniutki, sir.

– Właśnie. Trzeba by zapłacić, gdybym chciał go przemalować, a nie stać nas na to. Stalowa czapka, którą mi spakowałeś, też jest emaliowana, nie wiem, czy zauważyłeś.

– Tak, sir. Tylko nie pomyślałem o tym.

– Wzór na tarczy sporo by kosztował, nawet tak prosty jak serce i słońce, które zaproponowałeś. Albo obrośnięte mchem drzewo, o którym myślałem. Uznałem więc, że wystarczy sam zielony – moja pani jest Królową Aelfów Mchu.

Wiatr w kominie

Zanim dojechaliśmy do zagrody, padało już mocno. Jeden z synów otworzył drzwi do stajni, tak że mogliśmy wjechać i uwiązać konie pośród innych zwierząt. Poleciałem Poukowi, żeby rozładował jucznego konia i dał mu trochę wytchnienia.

– Wystawnej kolacji to się nie spodziewajcie – ostrzegł mnie syn. – My tu proste ludzie.

– Tak jak ja i Pouk. – Podałem mu rękę. – Jestem sir Able. Syn wytarł dłonie w przemoczone spodnie.

– Duns się nazywam, sar. Mokre mam ręce za przeproszeniem.

– Ja także – odpowiedziałem. Przywitaliśmy się, a potem on uściskał dłoń Pouka.

Potem dołączył do nas Uns. W pierwszej chwili wydał mi się tylko mniejszym odpowiednikiem Duns, lecz później, gdy mu się lepiej przyjrzałem w świetle, zauważyłem, że coś jest nie tak z jego plecami.

Zapytałem o imię naszej gospodyni.

– Matka jest Nukara, sar – odpowiedział mi Duns. – Chodzi o to, że gotuje i nie może przyjść się przywitać, ale jak skończy, będziemy jeść.

– Rozumiem. Jeśli nie przestanie padać, poprosimy was nie tylko o posiłek, ale i o nocleg, jeśli to możliwe.

– Przestanie do wschodu księżycy – mruknął Uns. – Wiatr ustanie, ale deszcz wytrzyma trochę dłużej. – Później przekonałem się, że potrafi doskonale przepowiadać pogodę.

Duns skinął głową.

– Mamy tylko jedno łóżko i to wszystko, ale mogę ci oddać swoje, sar.

– Ja się prześpię na pokładzie, sir – wtrącił szybko Pouk. – Przecież zawsze tak robię.

Uśmiechnąłem się, domyślając się, co ma na myśli.

– Pod drzwiami, żeby duch nie zabił mnie we śnie? – A jakże, sir. Spróbuję, sir.

– Jutro musimy wracać do Sheerwall bez względu na pogodę – powiedziałem do niego. – W tym względzie jestem szczurem lądowym. Ale dzisiaj przenocujemy tutaj, o ile nasza gospodyni się zgodzi. Jeśli zostaniemy, to trzeba pamiętać, żeby rozsiodłać konie i je nakarmić. Co myślisz, Duns? Czy obaj z Poukiem będziemy mieli szansę zerknąć na tego waszego ducha, jeśli tu przenocujemy?

– Z nim nie ma żartów, sar.

– Rozumiem cię. Też chyba nie będę z niego żartował. Podczas naszej poprzedniej wizyty wasza matka powiedziała mi, że przez rok nie mogłeś dojść do siebie.

Duns skinął głową, a jego prosta, opalona twarz wyrażała ponurość.

– Przypuśćmy, że chciałbym go zobaczyć. Co powinienem zrobić?

Duns zerknął na Pouka i gdy się upewnił, że nasz juczny koń jest rozładowany, dał znak, żebyśmy poszli za nim.

– Przejdźmy najpierw do domu, żeby się osuszyć.

Uns ciągnął się za nami, kiedy szliśmy za Dunsem przez siekący deszcz w błocie po kostki, a u wejścia do domu powitał nas grzmot, od którego zatrzęsły się ściany.

– Gwizdek kapitana – rzucił Pouk, kiedy znaleźliśmy się już w środku i dało się rozmawiać.

Uśmiechnąłem się i przypomniałem mu, że większość ludzi powiedziałaby raczej, że to Valfather się gniewa.

– Nie na nas – oświadczył Duns. – Deszcz potrzebny. Uns złapał mnie za rękaw.

– Może gdybyś spał w kuchni. – Dopiero po chwili zorientowałem się, że

odpowiedział na moje pytanie, które zadałem jeszcze w stajni.

Duns przeczesał dłonią włosy, by strzepnąć z nich wodę.

– On jest rycerzem, matole! Rycerze nie śpią w kuchni. Przyniosę ręcznik, sar. Żebyś se mógł wytrzeć twarz.

Pouk przysunął się do mnie i szepnął:

– W kuchni będzie cieplusieńko przy ogniu, sir.

Zupełnie przemoczony i zziębnięty powiedziałem Unsowi, że chcemy się przywitać z naszą gospodynią, i obiecałem, że nie będziemy jej odrywać od gotowania. Wtedy poprowadził nas do przestronnej, pogodnej kuchni z kamienną podłogą, gdzie przywitaliśmy się z gospodynią i ogrzaliśmy przy ogniu, na którym przygotowywała posiłek.

– Chciałeś wiedzieć, jak możesz go zobaczyć, gdybyś tu został – powiedział Duns, kiedy zaczęliśmy jeść.

Skinąłem głową i dodałem, że chętnie prześpię się w kuchni, jeśli tylko dzięki temu będę mógł zobaczyć ducha. Nukara potrząsnęła głową.

– Mogę ci tylko powiedzieć, co ja zrobiłem. Mama pewno ci mówiła, co mi się przytrafiło.

Znowu skinąłem głową.

– Musiał to być bardzo silny duch.

Duns przytaknął mi z ponurą miną, a jego matka pokiwała energicznie głową. Uns siedział ze wzrokiem wbitym w talerz.

– Siedziałem cicho tamtej nocy, aż wreszcie coś usłyszałem. Wylazłem cicho. Mogę pokazać, gdzie go zobaczyłem.

– Może później.

– Było gorąco i okna były pootwierane, i on wyskoczył, a ja go dogoniłem na południowym pastwisku. Silny jestem.

– Wiem – odparłem. – Pamiętam, jak mi uścisnąłeś dłoń.

– Wtedy byłem jeszcze silniejszy. Ale on był silniejszy. Mocno silniejszy niżli ja. – Był wyraźnie zawstydzony.

Nukara spojrzała na mnie zaniepokojona.

– Chyba nie zamierzasz się z nim siłować, sir Able? Tak jak Duns? Myślałam, że będziesz chciał... sama nie wiem co.

– Ja nie... – Urwałem, gdyż pokój wypełniło dziwne wycie wiatru, duch nie tak solidny jak ten, którego miałem nadzieję upolować.

– Burza się rozszalała – mruknął Duns.

– Tak. – Wstałem.

Nukara spojrzała na mnie zdziwiona.

– To tylko wiatr w kominie, sir Able.

Zgodziłem się z nią, lecz przypomniałem sobie, co mi powiedziała Disiri podczas naszego rozstania, i wiedziałem, że muszę iść. Pouk też się podniósł, lecz dałem mu znak, żeby skończył kolację.

Odwrociłem się i wyszedłem z obawy, że powiem lub zrobię coś, co zdradzi moją tajemnicę. Dom miał z tyłu kryty ganek i tam chyba stałem jakieś pół minuty wpatrzony w deszcz. Dlatego pewnie jej nie zauważyłem.

Nie wiem, jak długo szedłem przez pola i łąki, zanim dotarłem do lasów za nimi. Szedłem ciężko i powoli, posuwając się mozolnie z kapturem naciągniętym na głowę, by osłonić twarz. Zbliżając się do lasu, zacząłem wołać jej imię i ucieszyłem się nawet głupio, że wiatr zelżał i ona może mnie usłyszeć. Deszcz nie przestał padać, lecz już tak nie lało.

– Jeśli po prostu chcesz kobiety – odezwał się cicho głos przy moim uchu – to znam jedną, która będzie zaszczyciona.

Podskoczyłem. To była ruda Panna Aelfów, wyższa ode mnie, lecz smukła jak rozżarzony pogrzebacz.

– Wróciłam, panie – powiedziała. – Jestem Baki. Pewnie o mnie zapomniałeś.

– Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, gdzie się podziewasz – odpowiedziałem. – Przyniosłaś mi Łamimiecz i mój łuk i zostawiłaś je pod łóżkiem.

– Po czym mnie odprawiłeś, bo wolałeś zostać sam.

Nie miałem ochoty z nią rozmawiać, choć czułem, że powinienem.

– Chciałaś znowu wleźć mi pod koc. Ty i ta druga. Zachichotała.

– Czy ktoś ci mówił, że śmiejesz się jak nietoperz?

– Tylko nietoperze, panie.

– To byłaś ty, prawda, tam w warsztacie płatnerza? Słyszałem cię, ale nie widziałem.

– To nie ja, panie. – Uśmiechnęła się. Miała duże białe zęby, które wyglądały na ostre. – To musiała być Uri. Albo twoja drogocenna królowa Disiri.

Westchnąłem.

– Powiniennem cię ukarać za kłamstwo.

– Mnie? A czyją krwią się syciłeś? Nie masz serca, panie.

– Masz rację, nie mam. – Znowu zacząłem wołać Disiri, choć niespecjalnie wierzyłem, że ją odnajdę.

– Nie muszę tak wyglądać. – Z jej oczu popłynął dym. Skurczyła się i przygasła, a potem rozszerzyła się biała i złota. Minutę później, może nawet niecałą, w miejscu, w którym stała Baki, ujrzałem nagą dziewczynę o zawstydzonym spojrzeniu z wydatną piersią i złocistymi włosami. Jej oczy wessały dym. – Czy teraz bardziej ci się podobam, panie? – Czubkiem głowy sięgała do mojego podbródka.

Wcześniej myślałem, że tylko Disiri potrafi tak się zmieniać.

– Aż tak bardzo nie szaleję za tobą ani w tej, ani w innej postaci.

– Twoja pokorna niewolnica płaszczy się przed tobą. – Blondynka skłoniła głowę. – Zrobi wszystko, by cię zadowolić, panie, a jeśli nie masz własnych pomysłów, może ci podsunąć kilka gorących propozycji.

– Nie jest ci zimno?

– Jest, panie, tak jak i tobie. Możemy się nawzajem ogrzać, jeśli tylko skorzystasz z jednej z moich najgorętszych sugestii. Najpierw uklęknię! A ty...

– Śledziłaś mnie przez cały dzień? – rzuciłem najszybciej jak potrafiłem. Blondynka potrząsnęła głową, nie podnosząc wzroku.

– Aż tu nad górę, panie? Oczywiście że nie. Ale obserwowałam cię w Aelfrice. Nie pójdziesz tam ze mną? Tam nie pada.

W oddali rozległo się wycie, lecz było zbyt niskie jak na wilka. Nasłuchiwałam przez chwilę, zanim powiedziałam:

– Spędziłem sporo czasu w Aelfrice razem z Garsegiem. Nie pamiętam, żebym spotkał tam kogoś mi znanego.

– Ponieważ nie umiałeś patrzeć, panie. Opuść tu głowę. Potrząsnąłem nią tylko przecząco.

– Nie pójdziesz? Poważnie, jeśli udasz się ze mną do Aelfrice, nauczę cię, jak patrzeć na Mythgarthr. To nie takie trudne. Nauczysz się w dzień albo dwa.

– A potem wrócę tu i okaże się, że nie było mnie trzy lata.

– Nie aż tak długo. A przynajmniej tak mi się wydaje, panie. Mało prawdopodobne. Panie, jeśli nie chcesz się ze mną zabawić, to czy mogę się zmienić?

Nic nie odpowiedziałem, ponieważ zaczęła się zmieniać w chwili, gdy to mówiła, i dopiero wtedy podniosła wzrok, by mi pokazać, że blondynka ma oczy Aelfów koloru żółtego ognia. Popłynął z nich dym, który spowił jej postać szatą utkaną ze zmięzchu i śniegu. Kiedy jej oczy wchłonęły dym, znowu była Baki.

– Naprawdę jesteś moją niewolnicą? – zapytałem.

Wciąż klęcząc, skłoniła głowę przed mokrą od deszczu paprocią.

– Jestem gotowa służyć mojemu panu w dzień i w nocy, choć wolę w nocy. Wystarczy, że poprosi.

– Kto jest twoim panem?

Jej oblicze barwy rozżarzonej miedzi rozjaśnił jeszcze błysk jej białych zębów.

– Ty. Kto mógłby być moim panem, jeśli nie najszlachetniejszy z rycerzy, sir Able Wielkie Serce?

– Rycerz i owszem – powiedziałem – ale nie najszlachetniejszy.

– Ja mam odmienne zdanie, panie.

– Płatnerz zdawał się mieć pewną wiedzę o was, Aelfach Ognia, i mówił, że pracujecie w żelazie.

– W metalach, panie. W żelazie i innych metalach. Czy chciałbyś zobaczyć próbkę moich możliwości? A może srebrny łańcuch z tylko jednym końcem? Za każdym razem, kiedy będziesz potrzebował pieniędzy, odetniesz kawałek i go sprzedasz.

Potrząsnąłem głową.

– Dlaczego Setr wybrał kowali metalu?

– Jego o to zapytaj, panie.

– Zapytam, kiedy się znowu spotkamy. Dlaczego twoi ludzie prześladowali Bertolda Śmiałego?

– Prześladowali to straszne słowo, panie. Droczyliśmy się z nim, być może. Czy był gorszy przez to, że go zaczepialiśmy?

– Przez długie lata Angronici i wy, wszyscy go raniliście. Dlaczego? Wiatr chlusnął w nas deszczem; przyniósł ze sobą wycie, które słyszałem już wcześniej, niskie i samotne jak wołanie rannego ptaka. Baki otarła rozjarzoną twarz z zimnej wody.

– Czy Bertold Śmiały jest ci wciąż drogi, panie? Bertold, którego na oczy nie widziałam, tak przy okazji. Czy możemy porozmawiać o czymś bardziej interesującym?

– Zawsze będzie mi drogi.

– Dobrze. To nie moja sprawa. Ja bardzo długo byłem Khimairą i służyłam Setrowi. To musiało być wieki temu. Jeśli Aelfy droczyły się z nim, to przepraszam w ich imieniu.

Byłem zmęczony i wiedziałem już, że nie znajdę Disiri, ale byłem też uparty.

– Szkoda, że nie wiedziałem, kiedy to zrobili.

– I ode mnie się tego nie dowiesz, panie, bo tego nie wiem. Mogę przedstawić pewne spekulacje, jeśli chcesz. – Baki spojrzała na mnie

nadašana.

– Mów – odpowiedziałem.

– Lubimy droczyć się z wami, ludźmi z góry. Myślicie, że jesteście lepsi, a nas macie za nic. No to się z wami droczymy, czy też was dręczymy, jeśli wolisz, niech ci będzie. Zwykle nie czynimy nikomu krzywdy, a czasem nawet pomagamy, szczególnie wtedy, gdy uznamy, że nasza pomoc zdziwi kogoś, z kim się droczyliśmy. My, Aelfy Ognia, lubimy pomagać kowalom i tym podobnym, ludziom takim jak ten twój płatnerz. Lubimy ich, ponieważ parają się taką samą pracą jak my w Aelfrice.

– Chcesz powiedzieć, że Disiri sprawia przyjemność dręczenie ludzi? Nie wierzę.

Baki wpiła wzrok w paprocie wokół jej stóp.

– Jest tak? Powiedz!

– Ona nie, chyba, panie. Ale my lubimy. Wybieramy przeważnie ludzi samotnych, bo wtedy bardziej cierpią. Nie mają pewności, czy to się dzieje naprawdę. Czy ten Bertold był zupełnie sam?

– Tak. Mieszkał w leśnej chacie.

– W takim razie to zupełnie naturalne. Z takimi właśnie lubimy się zabawiać.

– Dotąd spotkałem Aelfy Ognia, Aelfy Wody i brązowych Bodachanów. – Westchnąłem, ponieważ przypomniałem sobie o Disiri. – A także Aelfy Mchu, które były dla mnie bardzo miłe.

Baki wstała i nagle znalazła się tak blisko mnie, że dotknęliśmy się policzkami.

– Ja też byłabym dla ciebie bardzo miła, gdybyś mi tylko pozwolił. – Jej długie, ciepłe palce muskały sznur mojego płaszcza.

Uśmiechnąłem się – gorzko, jak mi się zdaje.

– A zatem teraz moja kolej? Sam w lesie, podobnie jak Bertold Śmiały.

– Myślisz, że cię uszczypnę i ucieknę? Wypróbuj mnie, panie. Tylko o to proszę.

Potrząsnąłem głową.

– Wiesz, możemy niejedno zrobić, nie kładąc się na tej mokrej ziemi. Lecz spójrz, jak miękka jest ta paproć, fest mokra, ale my też jesteśmy mokrzy. Rozpalmy własny ogień.

Wyciągnąłem przed siebie rękę.

– Idź do zagrody, z której przyszedłem. Obserwuj pilnie. Wszystkich a w szczególności młodszego brata. Tylko żeby cię nikt nie zobaczył i bądź gotowa, żeby mi zdać relację, jak wrócę.

– Jak sobie życzysz, panie.

Czekałem, aż zniknie w cieniu drzew, zastanawiając się, czy wykona moje polecenie i czy w ogóle jeszcze kiedyś ją zobaczę. Kiedy już ją straciłem z oczu, przywołałem Gylfa.

Powietrze przesycone mgłą

To Gylf znalazł mnie, a nie ja jego. Kiedy zaszedłem w las tak daleko, że zacząłem się zastanawiać, czy się aby nie zgubiłem, usłyszałem, jak truchta za mną. Usiadłem na kłodzie (równie mokrej jak ja sam) i skinąłem na niego w sposób, który, miałem nadzieję, był przyjazny. Był większy, niż go pamiętałem, ale można mu było policzyć zębra.

– Nie masz nic przeciwko? – Zbliżał się ostrożnie, niezbyt pewny mojej reakcji.

– Gdybym miał coś przeciwko, to bym cię nie wołał, nie sądzisz? – powiedziałem i się uśmiechnąłem. Wtedy podszedł i pozwolił się podrapać za uszami.

Po dłuższej chwili powiedziałem:

– Wiem, że próbowałem się ciebie pozbyć, zanim wszedłem na pokład tamtego statku. Przepraszam. Może już cię za to przepraszałem, ale nawet jeśli tak, to jeszcze raz przepraszam. Pomyślałeś pewnie, że miałem podobne zamiary, gdy nie wróciłem, żeby cię poszukać, lecz nie wiedziałem, że czekasz w Aelfrice. Sądziłem, że wróciłeś na statek. Poszedłem tam, a potem nie mogłem wrócić do Garsecga. Powiedział ci, co się stało?

Gylf pokręcił głową.

– Może nie wiedział. – Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Garsecg był równie mądry jak wszyscy inni, których spotkałem, i dużo wiedział, ale gdy ktoś jest taki, można go przecenić i przekonać samego siebie, że wie wszystko. A przecież nawet sam Valfather nie wie wszystkiego.

Wreszcie powiedziałem:

– Kiedyś myślałem, że to za jego sprawą spotkałem Kulili i rozdzieliłem

się z tobą. Nie mam pewności, ale teraz uważam, że się myliłem.

– Też tak myślę.

– Naprawdę? – Zastanawiałem się nad tym minutę lub dwie. Wydawało się, że Gylf czekał całkiem długo w miejscu, gdzie były Duchy Wodne, po tym, jak się rozdzieliłem z Garsecgim, a jeśli Garsecg wrócił tam, to Gylf mógł coś słyszeć na ten temat. Potem zacząłem mówić o ogrze, ponieważ wciąż o nim myślałem i chciałem omówić tę sprawę.

Opowiedziałem Gylfowi o tym, jak zranił Dunsę i przestraszył Nukarę.

– Nie wierzę, że to duch – powiedziałem. – Dlaczego duch miałby uciekać przed Dunsem? Mógł przecież zniknąć. Baki potrafi zniknąć całkiem nieźle, a nie jest nawet duchem. Ludzie myślą pewnie, że wszystkie ogry już wymarły, a przecież na północy wciąż mieszkają olbrzymy, mnóstwo olbrzymów. Myślę, że jest to prawdziwy ogr, który wciąż żyje i ma się dobrze, ponieważ wszyscy są przekonani, że ostatni ogr zginął dawno temu.

Gylf przytaknął mi, choć dopiero po dłuższej chwili, niemniej jednak to uczynił.

– Nie przyszedłem tu, żeby go szukać. Szukałem Disiri. Ale może powinienem był go poszukać. Pewnie mieszka w tych lasach.

Gylf pokręcił głową.

– Nie mieszka? Skąd wiesz?

– Zapach. – Gylf ziewnął i położył się u moich stóp.

– Nic dziwnego, że go nie wyczuwasz. Jakżeby inaczej? Wciąż pada, a przedtem mocno lało. Deszcz wypłukuje zapachy z powietrza. Każdy o tym wie.

Gylf leżał spokojnie, lecz jego spojrzenie mówiło mi, że go nie przekonałem.

– Posłuchaj – powiedziałem – wszystko składa się w całość, na pewno to widzisz. Okna były otwarte z powodu upału. Duch, czy też ogr – myślę, że ogr – mógł się dostać do domu przez okno.

Gylf po raz kolejny pokręcił głową przecząco.

– Myślisz, że jest za duży? Wskoczył przez okno, kiedy go goni! Duns, więc równie dobrze mógł wejść przez nie.

Gylf był zbyt uprzejmy, by mi odpowiedzieć, lecz ja wyczuwałem jego myśli.

– Coś tak wielkiego jak wąż mający postać człowieka. Tak go opisał Duns, a Duns wie, co mówi. Może powinniśmy wrócić, kiedy pogoda się poprawi, i wtedy wytropisz go dla mnie.

Gylf złożył łeb między łapami i zamknął oczy.

– Usypia cię moje gadanie? – zapytałem go. – Mam nadzieję, że się nie przestraszyłeś.

– Nie – odparł Gylf bardzo dobitnie.

– Bo ja się boję ciebie. Dlatego próbowałem cię zgubić, zanim przekroczyliśmy rzekę Irring.

Udał, że mnie nie słyszy.

– Lubię chodzić i opowiadać ludziom, jaki jestem dzielny. Ale ze mnie palant! Tamtej kobiecie na farmie powiedziałem, że nie ma na zamku Sheerwall rycerza, z którym bym się nie zmierzył. Może to i prawda – wiem, że tak myślałem, kiedy to mówiłem. Ale widziałem, jak się zmieniłeś, kiedy walczyliśmy z rozbójnikami, i strasznie się przestraszyłem. Nie bałem się, kiedy Disiri zmieniała postać. Ani kiedy zrobiła to Baki, dopiero co. Nawet Garsecg tak bardzo mnie nie wystraszył, kiedy zobaczyłem, kim jest naprawdę, chociaż potem w Muspelu się go przestraszyłem. Natomiast z tobą było zupełnie inaczej.

Gylf położył łeb odwrotnie na swoich łapach i tak jakby jęknął.

– Wybacz. Nie chcę, żebyś poczuł się źle. Przepraszam, że brakło mi odwagi. Jestem rycerzem, a rycerzowi nie wolno się bać czegokolwiek. A poza tym jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego mam.

– Psem. – Spojrzał na mnie. Miał brązowe ślepie osadzone głęboko w brązowym pysku, dlatego rzadko kiedy widziałem je wyraźnie, lecz kiedy powiedział „psem”, spojrział wprost na mnie, a ja wiedziałem, że błaga mnie,

abym zrozumiał, czym jest i jak się czuje.

– Tak – powiedziałem – jesteś moim psem i nikt nie powinien się bać przyjacielskiego psa. A już na pewno nie rycerz. Disiri powiedziała, że smok ma miecz zwany Eterne – to ktoś taki jak Garsecg. Jak mam walczyć ze smokiem, skoro boję się psa?

Gylf posłał mi tylko spojrzenie, które mówiło, że nie może się skurczyć. (Był naprawdę wielki, o wiele większy niż wszystkie inne psy, jakie widziałem).

– Mam też walczyć z Kulili. – Gdy tylko to powiedziałem, miałem ochotę schować twarz w dłoniach. – Dałem słowo Garsecgowi, w końcu tyle dla mnie zrobił. Tylko że ja nie chcę zabić Kulili. Aelfy nienawidzą jej tylko dlatego, że się jej boją. Tak właśnie działa strach. Sprawia, że pragniesz zabić coś, co nie wyrządziło ci żadnej krzywdy, tylko dlatego, że mogłoby to zrobić. To właśnie strach sprawił, że chciałem cię zgubić, zanim przeszedłem na drugi brzeg rzeki Irring. Tego też się wstydę.

Czekałem długo, aż coś powie, ponieważ sam nie chciałem już mówić nic więcej. Wreszcie zapytałem:

– Dlaczego nie wróciłeś na statek? Poszedłeś sprowadzić Garsecga i on przybył, ale w towarzystwie Aelfów Wody. Dlaczego nie przyszedłeś z nim?

– Uwiązał mnie na łańcuchu.

– Tak, żona karczmarza mówiła, że kawałek łańcucha został ci przy obroży. – Przekręciłem nabijaną kolcami obrożę i rzeczywiście zobaczyłem dwa lub trzy ogniwa łańcucha. Odpiąłem obrożę i ją wyrzuciłem. Mogła być wykonana ze skóry Aelfów, ale kolce były z zębów rekina. Zapytałem też Gylfa, czy wie, dlaczego Garsecg go uwiązał.

– Bał się mnie.

– Znowu strach. – Wziętem głęboki oddech i wypuściłem powietrze głośno. – No cóż, ja cię przeprosiłem, więc może Garsecg też to robi. Mimo wszystko wypuścił cię, kiedy się z nim rozstałem. Cieszę się z tego.

– Urwałem się – rzucił krótko.

– I przyszedłeś do Forcetti, żeby na mnie czekać?

Zza drzewa wynurzyła się Uri; wydawało się, że czekała tam od początku istnienia Mythgarthru.

– Przyszedł cię odszukać, panie. Szukał cię w tym lesie, a także w wielu innych miejscach. Obie z Baki widywaaliśmy go tu i tam, kiedy cię pilnowaliśmy.

– Nie podoba mi się, że to robicie – odpowiedziałem jej. – W takim razie dlaczego mi o tym nie powiedziałyście?

– Bo nie pytałeś. Rozmawiałeś z nami tylko o tym, żeby ukraść i przynieść ci twoją broń.

Nie kupiłem tego.

– Jakoś nigdy dotąd nie zauważyłem, żebyś ty czy Baki była nieśmiała w zachęcaniu mnie do rozmowy.

Uri ukloniła się tak, jak to robią kobiety, rozkładając spódnicę, której nie miała na sobie.

– Bo nie jesteś dość spostrzegawczy. Jesteśmy nieśmiałe bez względu na to, czy to widzisz, czy też nie, panie.

– W takim razie musisz mieć poważny powód, żeby się tak wpychać między mnie i Gylfa.

– Mam, panie. Ktoś musi ci powiedzieć, że nie pierwszy raz twój pies był widziany w tym lesie. Wręcz przeciwnie. Myślisz chyba, że dopiero co przybył...

– Nie! – rzucił Gylf. Zabrzmiało to w dużej mierze jak szczęknięcie, lecz słychać było też wyraźne „nie”.

– I nie potrafi wytropić ogra przez burzę. Ale przecież on tu bywał w różną pogodę. Czy kiedykolwiek go wyczułeś, psie?

Gylf spojrział na nią z dezaprobatą, lecz potrząsnął łbem.

– Czy w ogóle kiedyś go wyczułeś? Gdziekolwiek? – zapytałem. – Nie.

– A może go wyczułeś. – Chciałem go sprawdzić. – Może wyczułeś dziwny zapach i nie wiedziałeś, czyj to trop.

Zamknął oczy.

– Uważa, że nie ma sensu rozmawiać z tobą, bo i tak mu nie uwierzysz – wyjaśniła Uri. – Obie z Baki często czujemy się podobnie, więc dobrze rozpoznaję te symptomy.

Wstałem i pomachałem ramionami, żeby się rozgrzać.

– To jest możliwe, prawda?

– Nie, panie.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ powiedział, że nigdy go nie wyczuł. Ufam jego słowu i ty też powinieneś mu zaufać. Może ten ogr jest duchem. Nie wiem. Nigdy go nie widziałam ani nie czułam. Lecz nawet jeśli jest duchem, to nie ma go w tym lesie, bo bym wiedziała.

– A Disiri? Czy ona jest tutaj? Powinienem był cię zapytać o to wcześniej, a także Gylfa. Czy któreś z was ją widziało?

Gylf podniósł się i potrząsnął łbem.

– Jesteś głodny? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Uri. – Nie potrafię powiedzieć, że jej tu nie ma, ponieważ jej moc jest większa niż moja. Ale zdziwiłabym się równie mocno jak ty na mój widok, gdyby wyjrzała zza drzewa.

– Wracaj do Aelfrice – poleciłem jej. – Czeka tam, aż cię zawołam.

Skinęła głową i odeszła.

– Kiedy już znajdę tego ogra – powiedziałem do Gylfa – sam będę z nim walczył. Chcę tylko, żebyś pomógł mi go znaleźć, ale kiedy już dojdzie do walki, zostawisz go mnie.

Gylf nie wyglądał na zadowolonego.

Wyjaśniłem mu, że muszę sprawdzić się przed samym sobą, i dopiero kiedy skończyłem mówić, zorientowałem się, że nie wyraziłem tego głośno. Czy naprawdę polubiłem Kulili? Przecież Kulili była tylko zlepkiem robaków, czymś, co robią robaki, kiedy są razem. Może tylko sobie wmówiłem, że ją lubię, bo nie chcę z nią walczyć. Kiedy pokonałem sir

Nytira, czy była to jedna z tych zwariowanych chwil, kiedy drużyna sprawia łomot w piwnicy kapitanowi dywizji? Wiedziałem, że z kopią nie radzę sobie najlepiej. Czy w ogóle radzę sobie z czymś dobrze?

Nie wiedziałem tego, a niewiedza tak bardzo mi doskwierała, że gotów byłem zaryzykować wszystko, żeby się dowiedzieć.

Wreszcie przestało padać. Zaświeciło słońce i nie było to wrogie słońce, które wcześniej paliło nas niemiłosiernie z Poukiem, lecz piękne, z nowego złota. Na wschodzie pojawiła się wspaniała tęcza, most zbudowany przez Olbrzymów Zimy i Starej Nocy, by Obercyni mogli wspiąć się do Skai.

– Powietrze jest przesycone magią – powiedziałem do Gylfa. – Jest cudowne!

Nic nie odpowiedział, a ja zacząłem gwizdać.

Mieszkanie w piwnicy

Na kolację dostaliśmy świeżo upieczony chleb z masłem i ogromną miskę dobrej zupy jarzynowej. Nukara wysprzątała dla mnie wolny pokój, przygotowała na łóżku czyste koce i tak dalej. Kiedy jedliśmy, powiedziała, że jest bardzo miło.

Pokręciłem głową.

– Obiecałem Agrowi, że oddam mu konie wieczorem, wiem też, że księżę spodziewa się, iż będę nocował codziennie na zamku Sheerwall, aż do czasu, kiedy pozwoli mi udać się na północ. Myślałem, że będę miał wymówkę, by zostać tu na noc, ale burza już ustała. Będziemy musieli pożegnać się, gdy tylko Pouk przygotuje konie.

Przestała się uśmiechać i widać było, że naprawdę chciałyby, żebyśmy zostali.

– Może jednak uda mi się rozprawić z tym duchem – powiedziałem. – Jeśli dopisze nam szczęście, wasz duch zniknie na zawsze, zanim Pouk objuczy konia.

– Tak szybko? – Widziałem, że mi nie wierzy. Skinąłem głową i dałem Gylfowi kawałek chleba.

– Jeśli pożyczysz mi Unsa. Zgoda?

Spojrzała na Unsa, podobnie jak ja, lecz ten nie odrywał wzroku od swojego talerza.

– Nieśmiały jest – powiedziała. Wciąż patrzył w dół.

– Ale ty go nie... on nie zginie? I nie zostanie okaleczony tak jak Duns?

Potrząsnąłem głową.

– Ja będę walczył z ogrem, jeśli go odnajdziemy z Unsem. Unsovi nic się

nie stanie.

Pouk chrząknął.

– Będę bliziotko, jeśli pozwolisz, sir?

Zanurzyłem właśnie chleb w zupie dla Gylfa, co dało mi chwilę na zastanowienie, zanim odpowiedziałem. Wreszcie odparłem:

– Masz robotę. Sami z Unsem wyjdziemy na pole poszukać ogra. Może też do lasu. Mógłbyś się zgubić, szukając nas. Lepiej zostań tutaj.

– Niedługo się ściemni, sar Able – rzekł Duns. Odpowiedziałem mu, że moim zdaniem ogr nie pokaże się w ciągu dnia, więc mamy mnóstwo czasu na rozmowy i jedzenie.

– Po wszystkim – powiedziałem – pojedziemy do domu z Poukiem przy księżycu. Będzie świecił jasno dzisiejszej nocy, a kiedy już dotrzemy do zamku, strażnicy opuszczą dla nas most. – Czekałem, aż Uns coś powie, lecz tak się nie stało.

Kiedy wyszliśmy z domu, ruszyłem przed siebie, a Gylf truchtał obok mnie, podczas gdy Uns włókł się trochę za nami. Nie widząc innej drogi, poszedłem wąską ścieżką, która poprzednim razem zaprowadziła mnie między polami do lasu, co oznaczało, że musieli nią też chodzić Duns i Uns, kiedy wybierali się po drewno. Zatrzymaliśmy się na skraju lasu. Pamiętam, że księżyc wychylił się właśnie znad wierzchołków wzgórz na wschodzie. Kiedy Uns nas dogonił, powiedziałem:

– Nie przyszedłem tutaj polować na ogra, bo wiem równie dobrze jak ty, że go tu nie ma. Przyszedłem tu, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

Czekałem, aż coś powie, lecz on milczał.

– Nie mam czasu. Wiesz o tym. Zaoszczędzę go trochę, jeśli powiesz mi wszystko teraz. Nie chcę cię skrzywdzić i poczytam to sobie za przysługę.

Otworzył usta, zawahał się i zamknął je. Po chwili pokręcił głową.

– Jak chcesz. Potem nie masz już co prosić o cokolwiek. Ostrzegłem cię, więc potem już żadnych przysług.

Gylf zawarczał nisko.

– Zanim tu przybyłem – powiedziałem – czekała tu już na mnie para moich przyjaciółek. One nazywają siebie niewolnicami, ale tak naprawdę są moimi przyjaciółkami.

Z przetrąconym kręgosłupem Uns częściej patrzył w dół niż w górę. Także i teraz wybrał tę łatwiejszą pozycję i stał ze wzrokiem wbitym w swoje ubłocone stopy.

– Gylf nie znalazł w lesie tropu twojego ogra. Gylf to mój pies gończy. Mówiłem ci chyba. Ma doskonały węch.

Uns kiwnął głową.

– Ale ogr istnieje. Twój brat walczył z nim, a potem niedomagał przez rok. Nie wiem, czy wierzę w duchy, ale z pewnością nie wierzę w duchy, które zachowują się, jakby były żywe. Kazałem jednej z moich przyjaciółek obserwować twój dom pod moją nieobecność. Czy muszę ci mówić, co widziała? To twoja ostatnia szansa, Uns.

Odwrócił się i zaczął uciekać. Skinąłem na Gylfa, a ten powalił Unsa na ziemię, zanim ten przebiegł dziesięć jardów.

– Widziała, jak schodzisz do piwnicy i rozmawiasz z ogrem – powiedziałem, Gylf zaś zawarczał przyczajony nad Unsem. – Bo tam się ukrywa, jak sądzę. Kradnie pewnie jedzenie z kuchni twojej matki. Chciałeś, żebym tam spał. Liczyłeś na to, że mnie zabije podczas snu? A może zamierzałeś powstrzymać go przed kradzieżą choćby na jedną noc?

– Weź go ode mnie! – jęknął Uns.

– Za chwilę. To jest żywy ogr, musi być żywy, jeśli w ogóle to jest ogr. Zgadza się?

– Nie wiem. Tak myślę.

Po raz pierwszy przyznał cokolwiek, a ja uznałem, że lepiej będzie, jak udam, że tego nie zauważyłem. Zapytałem więc z kamienną twarzą, co mówi ogr.

– Nie gada dużo.

– Ale w ogóle mówi?

– Trochę. Nauczyłem go.

Uśmiechnąłem się, choć wcale nie było mi do śmiechu.

– Schwytałeś go pewnie, gdy był jeszcze młody. Jak ma na imię?

– Org. Zabierz go, bo nie powiem nic więcej.

Kazałem Gylfowi się wycofać, a on posłuchał, nie przestając warczeć.

Uns czekał jakiś czas, najwyraźniej niepewny, czy Gylf nie urwie mu ręki, kiedy spróbuje wstać. Wreszcie się podniósł. Co nie przyszło mu łatwo, bo ze względu na plecy trudno mu było balansować ciałem.

– Może wydaje się, że wiem wszystko – powiedziałem – ale tak nie jest. A ja przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy mogę pokonać twojego ogra w uczciwej walce. Ty mi tego nie powiesz, choć może myślisz inaczej. Złapałeś go, kiedy był młody?

– W ogóle go nie złapałem – mruknął Uns. – Jego matka leżała nieżywa w lesie naszpikowana strzałami, a Org zdychał z głodu. Powinienem być go zostawić. Ale dzieciak byłem i chciałem go mieć, no to zabrałem do domu.

– Ukryłeś go w piwnicy matki?

– Tak, sar. W takim składziku, o którym matka zapomniała. I tam mieszka Org.

– Rozumiem.

Uns przekrzywił głowę, by spojrzeć do góry, szukając u mnie zrozumienia.

– Śmierdzi okrutnie, bo śpi w swoim gównie, i czasem chcę go stamtąd wypędzić. Ale on się trzyma. Przez to zginęła jego matka. To go zostawiłem. Ale któregoś dnia trzeba będzie, zrobię to kiedyś.

Czekałem cierpliwie, przekonany, że powie mi coś więcej, jeśli dam mu czas na zastanowienie.

– Nauczyłem go trochę mówić, sar. Próbowałem nauczyć go mówić „ogr”, bo przecież nim jest. A on gada „org”. No to go nazwałem Org, sar. Mówi tak i nie, i Uns. Takie małe słowa.

Skinąłem głową.

– Myślę, że wiedząc, iż go masz – potwora we własnym domu, o którym nie wie nikt inny – czułeś się lepszy niż twój brat. A może nawet lepszy niż twoja matka.

– Tak dobry jak oni, tylko tyle, sar. Matka...

– Mów dalej.

– To moja matka, to wszystko, i czasem traktuje mnie jak dzieciaka. To jej zagroda, a kiedy już zemrze, da ją Dunsowi.

Kiwnąłem głową.

– A jak mam Orga, to też się liczę.

– Potrafisz wyprowadzić go z piwnicy i przyprowadzić tutaj, tak żeby was nikt nie widział?

Uns zastanawiał się przez chwilę, przygryzając wargę.

– Chcesz go zabić, sar Able?

– Zamierzam się z nim zmierzyć, jeśli będzie walczył. Może mnie zabije, przetrącając mi kark albo kręgosłup. Jeśli tak...

Gylf zawarczał głośniejsz; słyszałem już ten odgłos, lecz wtedy myślałem, że to grzmot.

– To ty, Gylf i Pouk będziecie musieli poukładać wszystko. Albo ja zabiję Orga. Zobaczymy.

– I będziesz z nim walczył uczciwie, sar?

– Tak. Bez broni, jeśli to masz na myśli. Możesz go przyprowadzić? Tylko żeby was nikt nie zobaczył.

Uns kiwnął głową.

– Tak, sar. Przez drzwi do piwnicy, sar. Nie dowiedzą się.

– W takim razie przyprowadź go tutaj. Zaraz. A ja się postaram, żeby nie stała mu się większa krzywda.

Gylf chciał pójść z Unsem, ale mu nie pozwoliłem. Po odejściu Unsa zdjąłem buty, pas od miecza i odłożyłem je na bok; Łamimiecz i sztylet zostawiłem w pochwach. Potem zdjąłem też z siebie ubranie. Wciąż było mokre, ale przekonałem się, że bez ubrania jest mi o wiele zimniej, niż kiedy

miałem je na sobie. Pas od miecza położyłem na butach, żeby ochronić go przed wilgocią, a Łamimiecz i sztylet wsunąłem w cholewy. Teraz wszystko to przykryłem ubraniem, żeby nie zmoczyło się jeszcze bardziej.

Rozebrany, przeciągnąłem się, tak jak uczą na sali gimnastycznej, przechylając się na prawo i lewo, by dotknąć palców. Czułem w sobie wyraźnie falowanie morza i wezwałem jego moc, rozluźniając mięśnie. Dzięki Disiri byłem dużym mężczyzną, który przewyższa innych o głowę, o potężnym barach i ramionach masywniejszych niż noga większości mężczyzn. Wiedziałem, że będą mi potrzebne, a przede wszystkim moc morza. Ogromne fale napierają i cofają się. Są silne, ale nie sztywne, i połykają wszystko, co im rzucić, a potem ciskają tym w ciebie z jeszcze większą siłą.

Gylf zawarczał, a ja od razu się zorientowałem, że zbliża się Org. Wzięłem głęboki oddech i wypuściłem powoli powietrze. Czekałem z rękoma skrzyżowanymi na piersi. To miała być próba, a ja nie wiedziałem, jak wypadnie.

Org

– Gryzie, sar. Musze cię uprzedzić. I teraz jest większy, niż kiedy go dopadł Duns.

Powiedziałem, że w porządku, i poczułem, że jest mi trochę niedobrze. Stojąc za plecami Unsa w blasku księżyca, ogr nie wydawał się specjalnie większy niż on, lecz bary miał potężne. O ile potrafiłem się zorientować, jego głowa, dwukrotnie większa niż Unsa, wydawała się zbyt mała na jego karku. Ramiona miał tak długie, że dotykały ziemi, lecz byłem wtedy zbyt głupi, żeby zauważyć, że chodzi na kłykciach.

– Szybko się uwinąłem, sar Able – oświadczył z dumą Uns. – Uważaj, sar. Nie myśl, że jest wolny, bo jest duży. Szybki jest i potrafi szybko przywalić łapą. Klepnie cię tylko, ale ty nie poczujesz tego jak klepięcia.

– Mówisz, jakbyś z nim walczył – powiedziałem.

– Nie tak jak Duns, sar. Łatwo mnie pokonał, ale mu pokazałem, że musi mnie mieć. Ze ktoś musi się nim opiekować. Myślę, że gdyby nie to, to by mnie zjadł.

– No cóż, mnie nie musi mieć. – Podeszedłem trochę bliżej. – Może mnie zjeść, jeśli chce.

Lewe ramię Orga przecięło powietrze szybciej niż kiedykolwiek mój miecz. Próbowałem się uchylić, lecz tyłem głowy zawadziłem o jego cielsko. Oszołomiony wiedziałem, że muszę się dostać między te ramiona, zanim mnie powali. Natarłem gwałtownie, uderzając barkiem w jego ogromny brzuch.

Jakbym zaatakował otoczak. Potem zacząłem go okładać pięściami, krótkie uderzenia napędzane mocą ogromnych fal, prawa, lewa, prawa, lewa i

jeszcze raz. Kłykcie miałem zupełnie otarte od jego łusek, lecz to zauważyłem dopiero później. A potem on podniósł mnie do góry i rzucił mną. Powinienem pamiętać, jak leciałem w powietrzu, ale nie pamiętam.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na mokrej trawie i czułem się, jakbym połknął mydło. Wiedziałem, że zasnąłem w chwili, gdy powinienem był coś zrobić, coś naprawdę ważnego, lecz nie potrafiłem sobie przypomnieć, co to było. Wydawało mi się, że zaraz przyjdzie Bertold Śmiały i zobaczy, że nie skończyłem roboty, ale będzie zbyt miły, żeby mi robić wymówki, a ja będę miał ochotę skończyć ze sobą ze wstydu.

Uznałem, że może sobie przypomnę, co miałem zrobić, jeśli tylko usiądę, a jeśli już usiądę, to zabiorę się ostro do roboty i wszystko będzie dobrze, kiedy przyjdzie. A potem usłyszałem psa, lecz pomyślałem, że to owca czy coś takiego. Pewnie obiecałem komuś, że mu Dopilnuję owiec, i zasnąłem. Tyle że było ciemno, świecił tylko księżyc, a owce powinny być zamknięte w zagrodzie, której pewnie nie zamknąłem, i zasnąłem jeszcze przed zachodem słońca.

Warczenie psa przypominało warczenie niedźwiedzia.

Bertold Śmiały prawdopodobnie nie żył. Podobnie jak Disira, a małego Osira oddałem pod opiekę Bodachanów, kiedy mi podarowali Gylfa. Usiadłem oszołomiony i dręczony nudnościami. Trawa okazała się jęczmieniem, wysokim, lecz nie na tyle, by się nadawał do skoszenia.

Kiedy odnalazłem Orga, zobaczyłem, że Gylf, czarny i wielki jak koń, trzyma go za gardło. Szarpał nim jak szczurem, podczas gdy dwugłowy, ognistomiedziany wąż atakował głowę ogra. Ryknąłem na węża, wtedy przestał walczyć i w obłoku dymu zmienił się w Uri i Baki.

Poleciłem im, aby mi pomogły uspokoić Gylfa. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek indziej obszedł się z kimś bardziej szorstko. Oboje z Baki usiłowaliśmy rozewrzeć mu szczęki, podczas gdy on rozrzucał nas na boki, kiedy szarpał Orgiem i łamał kolejne kije znalezione dla nas przez Uri. Kiedy wreszcie puścił Orga, ten opadł na ziemię bezwładnie, a ja dobrze

wiedziałem, jak się czuje. Powiedziałem mu, że jest mi przykro, że chciałem, abyśmy stoczyli równy pojedynek, i że on wygrał. Może powinienem był ofiarować mu moją zbroję i konie, lecz nie pomyślałem o tym wtedy, a poza tym on nie był rycerzem. Zapewniłem go, że nigdy nie będę twierdził, iż wygrałem, i zawsze, gdy ktoś zapyta, powiem prawdę.

Gylf nie chciał przybrać z powrotem rozmiarów psa, lecz go przymusiłem, a potem pomogłem Orgowi wstać i zapewniłem go, że Gylf już go nie zaatakuję.

– Jestem gotów walczyć jeszcze raz – oświadczyłem. (Wiedziałem, że to nieprawda, ale domyślałem się, że Org czuje się jeszcze gorzej niż ja).

– Jeśli chcesz odpocząć kilka minut, żeby złapać oddech, to nie ma sprawy. Ale nie mogę czekać zbyt długo, ponieważ musimy wracać do zamku Sheerwall.

W życiu spotkało mnie kilka niespodzianek i to była jedna z takich chwil. Bo oto Org opadł znowu na ziemię i podpełzł na brzuchu do moich stóp.

– On się poddaje, sir – powiedziała Uri. – Poddał się.

– Rzeczywiście, Org? – zapytałem. – Poddajesz się?

Jęknął tylko i postawił moją stopę na swojej głowie. Była zimniejsza niż skała.

– Chce się do nas przyłączyć, piękny, nagi panie – rzuciła Baki Uri się roześmiała, ja zaś miałem ochotę uciec i schować się w jęczmieniu.

– Te dwie Panny Aelfów nazywają siebie moimi niewolnicami – wyjaśniłem Orgowi. Zakryłem rękoma genitalia i poczułem się jak skończony głupiec. – Uważają, że i ty chcesz zostać moim niewolnikiem. – Zamilkłem, wciąż oszołomiony, i przez chwilę zastanawiałem się, czy on w ogóle mnie rozumie.

– Chcą, żebyśmy myśleli, że one tak myślą – powiedziałem wreszcie. – Chcesz tego?

Mruknął dwukrotnie.

– Widzisz! – Baki powiedziała to tak, jakby wygrała główny los na loterii.

– Widzisz, panie? Mówi „uhu”.

Wtedy się wściekłem.

– Nie widzę i nie wiem, co powiedział. Tobie też nie wierzę. Sięgnąłem po swój pas i założyłem go. Nie miałem pewności, czy dam radę rozłupać tę czaszkę Łamimieczem, lecz byłem gotów spróbować i mimowolnie zacząłem się zastanawiać, co powiedzą ludzie z zamku Sheerwall, kiedy się dowiedzą, że zabiłem ostatniego ogra. Kiedy tak leżał u moich stóp, poczułem wielką pokusę, dlatego kazałem mu wstać.

Podniósł się, lecz wciąż kucał blisko ziemi.

Uri przesunęła dłońią po moich plecach.

– Przyjąłeś go, panie. Boi się, że gdy się wyprostuje, uznasz to za wezwanie do walki.

Z dłońią na rękojeści Łamimiecza powiedziałem:

– Skoro jesteś moim niewolnikiem, Org, to mogę cię sprzedać. Rozumiesz mnie? Mogę i pewnie to zrobię. Czy tego pragniesz?

Potrząsnął głową. Bardzo nieporadnie, ale domyśliłem się, co chce powiedzieć.

– W takim razie czego oczekujesz? – zapytałem go. – Nie mogę cię zabrać z powrotem do domu Nukary. Obiecałem jej, że się ciebie pozbędę, jeśli to będzie możliwe. A gdybym cię puścił wolno... No cóż, Uns boi się, że zabijałybyś bydło i owce, a ja się obawiam, że także i ludzi.

– Z tobą – wymamrotał Org.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc oddałem pas Baki i ubrałem mokre ubranie. Kiedy już założyłem płaszcz, powiedziałem:

– To znaczy tak jak Pouk? Trudno mi będzie powstrzymać ludzi przez zabiciem ciebie.

Org znowu padł na ziemię i podpełzł do miejsca, w którym stałem.

– Z tobą, panie.

– Dobra, możesz być moim sługą. – Powiedziałem to, zanim się dobrze zastanowiłem, dlatego potem nieraz żałowałem, że nie zastanowiłem się nad

tym lepiej. – Tylko mnie posłuchaj. Jeśli zamierzasz mi służyć, to musisz obiecać, że nikogo nie zabijesz, chyba że się zgodzę. Nie wolno ci też zabijać żywego inwentarza bez mojego pozwolenia. – Nie byłem pewny, czy rozumie słowa „żywy inwentarz”, więc dodałem: – Nie wolno ci zabijać koni, bydła, owiec ani osłów. A także psów, kotów i ptactwa.

Spojrzał do góry (jego ślepia płonęły w blasku księżyca), a ja poczułem, że się zastanawia, czy mówię poważnie. Wreszcie skinął głową.

– Będziesz głodny, lecz głód nie ochroni cię przed karą, jeśli okażesz nieposłuszeństwo. Zrozumiałeś?

– Pewnie spodziewasz się, że go zatachamy do Aelfrice i będziemy tam niańczyć zawsze, kiedy będzie ci przeszkadzał – powiedziała Uri. – Niedoczekanie twoje.

– Tak mówisz? – Obróciłem pas, tak bym mógł sięgnąć szybko po Łamimiecz w razie konieczności. – To jednak nie jesteście moimi niewolnicami.

Baki próbowała udawać pokorną dziewczynkę.

– Zrobimy wszystko, o co poprosisz, panie. Musimy. Ale wątpię, byśmy mogły zabrać go ze sobą do Aelfrice. Jest za duży...

Uri przytaknęła jej energicznie.

– I zbyt głupi. Nie byłybyśmy w stanie go kontrolować. Nawet gdyby pomógł nam w tym Gylf.

Powiedziałem, że niech będzie.

– Wprawdzie nie pytałeś mnie o radę – rzekła Uri – mimo to ją przedstawię. Znałam te stworzenia, kiedy było ich więcej. Są głupie leniwe i podstępne. Za to potrafią bardzo dobrze się ukryć i pod kraść, ponieważ umieją przybierać kolory, jakie chcą. Jeśli każesz te mu tu iść za tobą tak, żeby pozostał niewidoczny, to niewielu go zauważy. Nie twierdzę, że będzie całkiem niewidoczny, bo wiele będzie zależeć od tego, którądy pójdzie i jak dobre będzie tam światło. Ale z pewnością zdziwisz się, jak niewielu go zauważy.

Wzruszyłem ramionami, żałując, że nie mogę zasięgnąć rad; Gylfa.

– W porządku. Spróbujemy tak zrobić. Ale najpierw chcę go zaprowadzić do zagrody i pokazać Dunsowi i Nukarze, a także dowiedzieć się, co się stało z Unsem. A potem przedstawię go chyba Poukowi. Bo to on głównie będzie pilnował i karmił ogra. Mam nadzieję, że sam Pouk nie stanie się jego posiłkiem.

Uri uśmiechnęła się.

– Unsa nie pożarł.

– Nie, ale może lepiej by się stało, gdyby to zrobił. Wracajcie do Ael...

– Co to jest? – zapytała Baki.

– Wracajcie i powiedzcie królowej Disiri, jeśli ją spotkacie – to znaczy, jeśli uda wam się ją odnaleźć – że bardzo pragnę być z nią I że bardzo ją kocham, i jestem ogromnie wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiła.

Obiecały, że to zrobią, i rozpląnęły się w cieniu. Spojrzałem na Gylfa.

– Skoro nie jesteś Psem Aelfów, a muszę przyznać, że nie zachowujesz się, jakbyś nim był, to czym jesteś?

Gylf posłał mi smutne spojrzenie, po czym położył się z pyskiem opartym na łapach.

Spojrzał znacząco na Orga.

– Chodzi o niego. To chciałeś powiedzieć? Nie chcesz rozmawiać przy nim?

Gylf skinął łbem, tak jak miał w zwyczaju robić na początku, kiedy go dostałem.

– Jeszcze jedna niedogodność. No cóż, Org, może i twoje towarzystwo niesie jakieś korzyści, ale jakoś jeszcze ich nie zauważyłem. Mam nadzieję, że się tak stanie. – Ruszyłem do koni, a oni podążyli za mną posłusznie.

Disiri obserwowała nas wtedy. Wiem to dzięki czemuś, co mi dała, kiedy tam dotarliśmy. Nie rysunek (choć początkowo myślałem, że to jest rysunek), ale wycinanka z czarnego papieru naklejona na niebieski papier: rycerz w dumnej postawie z dłonią na rękojeści krótkiego miecza, a za nim

monstrualny stwór większy od niego, stojący na kabłąkowatych nogach z ręką na ramieniu rycerza, a także wielki pies, który wygląda na małego, ponieważ podąża za potworem. Trzymam ją w miejscu, w którym mogę ją codziennie oglądać. Nie sprawiła, że pragnę wrócić do Mythgarthru, lecz wiem, że kiedyś to uczyni.

Okna kuchni przywitały nas przyjaznym blaskiem, kiedy ujrzeliśmy Nukarę, Dunsę i Pouka. Tak naprawdę to nie czułem, że wracam do domu, ale tak to wyglądało. Byłem głodny – nie jadłem zbyt dużo przed walką – i pragnąłem się ogrzać przy ogniu. Wydawało się, że mamy wszystko, czego można zapragnąć.

Lecz niezupełnie. Wcześniej rozmawiałem z Gylfem, Uri, Baki, a nawet z Orgiem i było to w porządku. Lecz teraz zza zapuszczonych skórzanych błon w oknach kuchni dochodziły głosy ludzkie, tylko ludzkie. Czasem to wielka różnica.

Pouk otworzył drzwi, kiedy zastukałem.

– A, jesteś, sir. Martwiłem się o ciebie, a jakże. Wiedziałem, że nic...

Zobaczył stojącego za mną ogra.

– Pouk, to jest Org. Nie rób mu krzywdy. Powiedz mi tylko, jeśli będzie niegrzeczny.

Pouk stał nieruchomo z otwartą gębą. Chyba w ogóle nie usłyszał tego, co powiedziałem.

– Org, to jest Pouk, mój inny sługa. Będzie cię karmił i opiekował się tobą. Masz robić wszystko, co ci każe, tak jakbym to ja ci kazał.

Org chrząknął i spojrzał na Pouka, ten zaś cofnął się kilka kroków. Może powinienem dodać, że Org nie zawarczał ani nic takiego. Nie uśmiechnął się i nie nasrożył. Jego oczy przypominały dwa czarne paciorki. Bardzo małe paciorki osadzone na ogromnej twarzy, którą w przeważającej części wypełniały usta. Pysk psa lub konia bardziej przypominał ludzką twarz niż twarz Orga.

Wszedłem do domu, a Org podążył za mną. Gylf obszedł nas i położył się

przy ogniu. Duns i Nukara siedzieli wcześniej przy stoku z Poukiem, a przynajmniej tak się wydawało. Podnieśli się, kiedy Pouk podszedł do drzwi. Teraz sprawiali wrażenie równie zaskoczonych jak on.

– Oto wasz duch – powiedziałem. – Bardzo konkretny. Słyszycie jak skrzypią deski podłogi? Gdybyście chcieli go dotknąć, to proszę, bardzo, śmiało.

Duns trzy razy otwierał usta, zanim wreszcie wydusił z siebie:

– Walczyłeś z nim?

– Tak, i wcale mi się to nie podobało. Pokonał mnie, a potem się poddał. To długa historia, więc nie będę się teraz wdawał w szczegóły.

– A gdzie Uns? – zapytała Nukara. – Gdzie jest mój syn?

– Nie wiem. Poszedł ze mną i pomógł mi; myślałem nawet, żeby go zabrać ze sobą na jakiś czas, żeby pracował razem z Poukiem, gdyby chciał. Lecz zniknął, kiedy walczyłem z Orgiem.

– Dał nogę? – Pouk doszedł już trochę do siebie.

– Nie widziałem, więc nie mogę nic powiedzieć. Jeśli nawet, to go za to nie winię. Sam miałem ochotę uciec.

Gylf warknął w stronę Orga, który wydawał się go nie słyszeć.

– Już ja sobie z nim porozmawiam, kiedy wróci do domu – rzucił Duns.

– Ale nie karz srogo, bo na to nie zasłużył – odparłem. Pouk wyciągnął nóż.

– Zadźgamy to coś teraz, tak, sir?

– Zabić po tym, jak się poddał? – Potrząsnąłem głową. – Gdybyś mnie słuchał, wiedziałbyś, co zrobimy. Zabierzemy go ze sobą do Sheerwall, a ty będziesz się nim opiekował.

Pouk skinął głową.

– Załatwimy go tam, sir, i znajdzie się z setka takich, co nam pomogą.

– Załatwią go, jak się wyraziłeś, jeśli ich nie powstrzymasz, a i tak wcześniej on zabije z dziesięciu albo dwudziestu. Musimy znaleźć jakiś sposób, by temu zapobiec.

Nukara poczęstowała mnie chlebem i serem i dołała jeszcze zupy. Przyniosła zdechłą owcę i przekazała mi, żebym nakarmił nią Orga. Zjadł ją do ostatniej kostki i wydawał się zadowolony.

Potem wyruszyliśmy w drogę, a ja wciąż myślałem o walce z Orgiem i o tym, co mam z nim zrobić. Pouk pewnie zadawał jakieś pytania, ale chyba mu nie odpowiedziałem. Kiedy wjechaliśmy na szczyt wzgórza, zobaczyliśmy Sheerwall na tle księżycy w pełni – korona wysokich kwadratowych wież zwieńczonych blankami. Później oglądałem zamek Utgard, o wiele większy (tak wielki, że można się było przestraszyć). A także Thortower, wyższy i ładniejszy. Ale Sheerwall był niepowtarzalny, przynajmniej dla mnie.

Minęła już chyba północ, kiedy dotarliśmy na miejsce. Mistrz Agr podał mi wcześniej hasło, chociaż zapewniałem go, że wrócimy przed zachodem słońca. Teraz przekonałem się, że miał rację. Zawołałem na strażników, a kiedy zażądali hasła, podałem im je, wtedy oni zlurowali drąg kołowrotu. Nigdy wcześniej nie widziałem, jak opuszczają most zwodzony, i żałowałem tego. Ze swojego miejsca widziałem tylko, jak sunie gruby łańcuch i podnoszą się kamienne przeciwwagi. Sheerwall otaczała szeroka fosa, przez którą przerzucono wąski most bez poręczy. Trochę się bałem, dlatego pocwalałem, żeby wyglądało, że się wcale nie boję.

Kiedy już się znalazłem po drugiej stronie, przywołałem strażników, żeby z nimi porozmawiać.

– Za jakąś minutę przez most przejdzie coś, w co nie uwierzycie – wyjaśniłem im. – Nie mogę kazać wam obiecać, że nikomu o tym nie powiecie. Jeśli uznacie, że waszym obowiązkiem jest złożyć raport, to go wypełnijcie, ale proszę was, żebyście o tym nie rozmawiali z nikim innym, żadnych plotek. Czy mam wasze słowo?

Zapewnili mnie, że tak.

– Dobrze. Tak jak mówiłem, możecie złożyć raport, jeśli uważacie, że tak trzeba. Tylko nie walczycie z nim i pozwólcie mu przejść przez most. Jeśli to

zrobicie, będziecie musieli zmierzyć się i ze mną. Po prostu pozwólcie mi przejść, a ja biorę odpowiedzialność za to, o co może zrobić.

– Uczynimy tak, jak mówisz, sir – odparł starszy ze strażników. Odpowiedziałem mu uśmiechem, tak jakby.

– Jeszcze go nie widzieliście. – Miałem właśnie zawołać na Polka, żeby kazał Orgowi przejść przez most, gdy usłyszałem stukot końskich kopyt. To był Pouk, który prowadził konie, a za nimi truchtał Gylf.

– Myślałem, że kazałem ci pilnować Orga, aż was zawołam.

– A jakże, sir. – Poul puścił lęk siodła na tyle długo, by dotknąć czapki. – Właśnie próbuję go pilnować, sir. On już jest za murami, sir.

– Chcesz powiedzieć, że wszedł tak, że go nie zobaczyłem?

– Nie, sir. Nie przez ten most, sir. Przepłynął fosę. – Pouk spojrzął na pograżony w ciemności dziedziniec za opuszczaną kratą. – I wlaź od tyłu, tak jakby.

– Rozumiem. Ale nigdzie go nie widzę, a ty? Pouk zawahał się, nie chcąc mnie rozzłościć.

– Nie, sir. Nie w tej chwili. Ale chyba wiem, gdzie jest, sir. Jak chcesz, to go przyprowadzę.

– Nie teraz. – Odwróciłem się do strażników. – Nie będę zdawał z tego sprawy, a wy zrobicie, co uznacie za stosowne.

Starszy ze strażników chrząknął.

– Jesteśmy z tobą, sir...

– Able Wielkie Serce.

– Sir Able, tak długo jak ty jesteś z nami.

– Jestem z wami i zamierzam zaproponować, aby mój sługa Pouk pozostał z nim w lochu.

– To dobrze, sir – rzucił młodszy strażnik.

– Wiedziałem, że wam się to spodoba. – Znowu wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. – Będę musiał znaleźć kogoś, kto tam dowodzi, i porozmawiam z nim, ale to może poczekać do rana. Pewnie już śpi, a i ja chciałbym się już

położyć? Kogo powinienem zapytać?

– Mistrza Caspara, sir. Służy pod mistrzem Agrem i jest dowódcą Straży Więziennej, Wiesz, gdzie jest Wieża Marszałka?

– Mieszkam w niej.

– W takim razie, sir, idziesz tam i zamiast iść schodami na górę, jakbyś szedł normalnie, schodzisz na dół. Pierwsze drzwi, jakie napotkasz, to drzwi do jego taburny, sir.

– Dzięki. – Dopiero kiedy zsiadłem z konia, poczułem, jaki jestem skonany.

– Pouk, zaprowadź konie do stajni, wszystkie. Rozsiodłaj je. I dopilnuj, żeby dostały wody i owsa, a także czyste przegrody.

– Tak jest, sir.

– Wiesz, gdzie jest mój pokój. Pouk kiwnął głową.

– Wiem, sir.

– Dobrze. – Ledwo trzymałem się na nogach, mimo to stałem mocno wyprostowany z wyprężoną piersią.

– Przyjdę tam, jak tylko sprawdzę, co się dzieje z Orgiem. Zanieś na górę nasze torby – wszystko, co przynieśliśmy ze statku i co zdobyliśmy od sir Jak-mu-tam-było. Gdyby stajenni robili ci jakieś trudności, powiedz, że wykonujesz moje rozkazy.

– Tak jest, sir.

Woda w fosie śmierdziała, a ja szedłem, rozchlapując końskie szczyny i gówna, ale nic sobie z tego nie robiłem; szedłem w najciemniejszy kąt muru zewnętrznego, zdecydowany, co mam zrobić, i przeświadczony, że gdy już to zrobię, będę mógł pójść spać.

Byłem kobietą leżącą w brudnym łóżku w dusznym, małym pokoju. Przy łóżku siedziała staruszka, która powtarzała, żebym parł mocno, chociaż to robiłem. Wiedziałem, że moje dziecko próbuje, lecz nie może oddychać i wkrótce umrze.

Dotąd próbowałem ratować, teraz zaś pragnąłem jedynie uciec. Nie

ustępował i napierał na mnie, wpychając mnie pod wodę.

Blask księżycy przebijał się przez ścianę deszczu, kiedy ruszyłem błotnistą ścieżką. Na jej końcu majaczył ogromny i czarny ogr. To był chłopiec, który poszedł do pieczary Disiri, a nie mężczyzna, który z niej wyszedł. Za miecz miałem krzyż z grobu Disiri, krótki patyk przywiązany rzemieniem do długiego. Wbiłem czubek w błoto, by zaznaczyć mój grób, i poszedłem dalej. Kiedy ogr rzucił mną, patyk zamienił się w miecz, jaki pragnąłem mieć, ze złocistą gałką i lśniącym brzeszczotem.

Uniosłem się nad ziemię, a potem zacząłem opadać, lecz nie mogłem już oddychać.

Jestem bohaterem

Obudziłem się spocony, odrzuciłem koc i spojrzałem w okno. Niebo zasnuwało szare światło. Uznałem, że lepiej się poczuję, gdy wstanę; umocniłem się w tym postanowieniu, nalewając wody do popękanej miednicy i szorując całe ciało tam, gdzie mogłem. Kiedy mieszkałem z Bertoldem Śmiałym, mylił się w rzece Griffin. Tak było o wiele lepiej – a przynajmniej przy cieplej pogodzie. Zastanawiałem się przez chwilę, czy książkę zażywa choć w połowie tak dobrej kąpieli.

Za drzwiami chrapał Pouk. Słyszałem wyraźnie każde jego chrapnięcie i sądziłem, że odgłosy mojego mycia i ubierania się go obudzą, lecz tak się nie stało. Przez chwilę miałem ochotę wylać na niego wodę po myciu, lecz ostatecznie zaniósłem miednicę do okna i wylałem ją na zewnątrz, po czym wychyliłem się i rozejrzałem.

Zamek może i nazywał się Sheerwall, tak jakby pionowa ściana, lecz jego mury wcale nie były takie proste. Ogromne, nie-całkiem-kwadratowe kamienie były surowe i nie do końca równo poukładane. Na pokładzie „Zachodniego Kupca” dużo się wspinałem, tak więc teraz wsadziłem buty za pas, z tyłu, żeby mi nie przeszkadzały, i przelazłem przez parapet.

W pewnym sensie nie była to łatwa wspinaczka, lecz w innym była. Wciąż natrafiałem na miejsca, w których nie mogłem schodzić dalej, nie ryzykując ześlizgnięcia się, a ściana była na tyle stroma, że z pewnością wylądowałbym na ziemi. Tak więc musiałem omijać te miejsca, przesuwać się w bok albo wracać wyżej i próbować innej drogi. Ale było to dobre, wymagające ćwiczenie, a ja ani przez chwilę nie pomyślałem, że mógłbym spaść. Toug wspinał się kiedyś na mur zamku Utgard w taki sam sposób, jak ja

tamtego ranka na Wieżę Marszałka, a kiedy mi o tym opowiedział, przypomniałem sobie tamten dzień. Tyle że mury Utgardu porastały pnącza, coś w rodzaju bluszczu. Napiszę o tym, kiedy dojdę do tego momentu.

Kiedy już zszedłem na ziemię, udałem się wprost do kuchni, idąc za zapachem świeżo upieczonego chleba. Byłem strasznie głodny, więc nigdzie nie zbaczałem.

– Nie powinieneś tu przebywać, sir – oznajmił kucharz. – Śniadanie w sali na dźwięk rogu.

Kiedy nic nie odpowiedziałem, dodał:

– Będzie świeża szynka, sir, i ser.

– Chleb z masłem i cienkie piwo. – Wiedziałem, ponieważ poprzedniego dnia jadłem tam dwukrotnie. – A jajka? Macie jajka? A może jabłka?

Potrząsnął głową.

– Nie, sir. Staramy się, jak możemy, sir.

– Dobrze. – Poklepałem go po ramieniu. – Skoro tak się starasz, to nie będziesz miał nic przeciwko, że go wezmę. – Wziąłem sobie gorący jeszcze bochenek, dobry, ciężki chleb z jęczmienia i orkiszu.

– Miła dama przygotowała mi wczoraj przepyszny posiłek – wyjaśniłem kucharzowi – lecz wiedząc, że będę walczył, nie jadłem zbyt dużo, żeby nie być ociężałym. Nie masz nic przeciwko?

– Nie, sir – odpowiedział kucharz, lecz wyraz twarzy przeczył jego słowom. – Ani trochę, sir.

– Dobrze. Wyjdź ze mną na chwilę do sali.

– Mam jeszcze chleb do... – Ruszył szybko przed siebie, widząc, jak na niego patrzę.

Sala była znacznie większa niż kuchnia i miała jakieś sto kroków długości i pięćdziesiąt szerokości. Znajdowało się w niej podwyższenie dla Mardera, jego żony i gości specjalnych. Dla reszty nas ustawiono długie drewniane stoły z surowego drewna, ławki i stołki. Służące nakrywały do stołu: potłuszczona tacka i dzban dla każdego.

– Mistrz Caspar je tutaj, prawda? – zapytałem kucharza. – Gdzie siedzi?

– Pracuję w kuchni – odparł kucharz. – Nie mam pojęcia, ale Modguda powinna wiedzieć.

Puściłem go.

– Pewnie masz rację. Będzie wiedziała. To moja stara znajoma. Dygnęła na kobietą modłę.

– Cieszę się, że już wyzdrowiałeś, sir Able.

– Ja również. – Spojrzałem na kucharza. – Miałeś piec chleb. Wracaj do pracy!

Modguda pokazała mi, gdzie siedzi mistrz Caspar. Miał krzesło. To z pewnością, coś oznaczało, choć nie wiedziałem co. Usiadłem na krześle i zacząłem jeść chleb, po czym poprosiłem Modgudę, żeby mi przyniosła dzban piwa.

– On... będzie zły, sir Able. Mistrz Caspar się rozgniewa. – Wydawała się przerażona.

– Nie na ciebie. Ani na mnie, bo ustąpię mu miejsca, gdy tylko się zjawi. Chcę tylko mieć pewność, że się z nim nie rozminę. – W sali pojawiło się już kilka osób. Próbowałem odgadnąć, którzy z nich są strażnikami i pracują w lochach.

Modguda była na tyle niska, a ja na tyle wysoki, że mogła mi szepnąć do ucha, nie schylając się.

– Wszyscy się go boją. Nawet wy, rycerze.

Mając usta pełne chleba, mogłem się chwilę zastanowić, zanim jej odpowiedziałem.

– Niemożliwe, żeby wszyscy – powiedziałem, kiedy przełknąłem ostatni kęs i popiłem go piwem. – Ja się go nie boję, więc chyba nie wszyscy?

– Jest panem lochów, sir. Nie chciałbyś się tam znaleźć, sir, lecz jeśli... Potrząsnąłem głową.

– O to mi właśnie chodzi. Zszedłem tam wczorajszej nocy, ale nie miałem latarki, to znaczy pochodni – i prawie nic nie widziałem. Chciałbym tam

pójść jeszcze raz i prosić mistrza Caspara, żeby mnie oprowadził po lochach. O to między innymi mam zamiar go poprosić.

I wtedy usłyszałem za plecami głos:

– Kogo poprosić i o co?

To był wielki facet, który lubił się ubierać na czarno. Zapytałem go, czy jest Casparem, a on kiwnął głową. Modguda zdążyła uciec, zanim się odwróciłem.

Wstałem z jego krzesła i wyciągnąłem rękę.

– Jestem sir Able Wielkie Serce. Wtedy on odpowiedział: – Hu!

– Usiadłem tutaj, bo nie chciałem się z tobą rozminąć, kiedy przyjdiesz na śniadanie. Pragnę z tobą o czymś porozmawiać i pomyślałem, że moglibyśmy pomówić podczas śniadania.

– Mów teraz. – Usiadł ciężko. – Ja jem ze swoimi ludźmi, a nie z wami.

Do tego czasu przy stole zebrało się z pół tuzina ubranych na czarno strażników, którzy przysuwali sobie stołki, zajmując miejsca, kilku innych zaś stało, by posłuchać tego, co mówimy.

– Dobra, pójdę do twojego lochu...

– Większość tam trafia.

Strażnik siedzący obok Caspara się roześmiał; jego śmiech nie był tylko reakcją na żart szefa, wyrażał raczej wszystko, co zamierzał mi zrobić któregoś pięknego dnia. Zrzuciłem go ze stołka, a kiedy zaczął się podnosić, złapałem stołek i wyrzuciłem go nim.

W sali zapadła cisza. Chwilę wcześniej postawiono przed Casparem tacę ze świeżą szynką. Przysunąłem ją sobie i zjadłem kawał z moim chlebem.

– To ty poobijałeś innych rycerzy – rzekł Caspar.

– Trzech czy czterech. Może pięciu. – Sięgnąłem po dzban i napiłem się piwa.

Skinął głową.

– Podaj wieprzowinę. Przysunąłem mu tacę.

– Byłoby lepiej, gdybyś powiedział, podając wieprzowinę, „proszę”, sir

Able. Tym razem przemilczę to.

Chrząknął.

– Pragnę, byśmy zostali przyjaciółmi, mistrzu Casparze. Mój służący mieszka u ciebie i chciałbym, żebyś się nim dobrze zaopiekował.

Spojrzał na mnie, przeżuując szynkę.

– Pomyślałem więc...

Kiedy rozmawialiśmy, podszedł do nas Woddet i teraz wtrącił się do naszej rozmowy.

– Nie wolno walczyć w Wielkiej Sali. Mistrz Agr chce cię widzieć po śniadaniu.

– Chętnie z nim porozmawiam – odparłem. – Zważ, że my nie walczyliśmy. Nasza rozmowa dotyczy sprawy osobistej.

Woddet przykucnął, by obejrzeć strażnika leżącego na podłodze; sprawdził mu puls i takie tam.

– A on?

– Ach, on. Nic mu nie będzie. Gdybym go uderzył mocno, pewnie bym go zabił, lecz tego nie uczyniłem.

Woddet wstał.

– Lepiej udaj się do mistrza Agra prosto stąd, bo inaczej... – Wzruszył ramionami.

– Bo inaczej będziesz mój – dokończył Caspar.

– Wolę porozmawiać z księciem – powiedziałem do Woddeta – ale skoro mistrz Agr chce mnie widzieć, to nie ma sprawy. Powiedz mu, że z przyjemnością.

– Pójdiesz ze mną? Przygotuję dla ciebie miejsce przy stole rycerzy.

– Wiem, gdzie to jest, ale muszę najpierw porozmawiać z mistrzem Casparem, a dopiero potem pomówię z mistrzem Agrem.

Woddet wrócił do stołu rycerzy. Po chwili ktoś z siedzących przy jednym ze stołów zaczął rozmawiać głośno i niebawem wszyscy pograżyli się w rozmowach, jak mieli w zwyczaju przy śniadaniu. Modguda przyniosła na

dużej tacy okrągły ser, z którego odkroiłem sobie plaster sztyletem. Zawsze lubiłem szynkę i ser, nawet jeśli jedliśmy je na każdy posiłek.

– Czasem znakujemy naszych więźniów – powiedział Caspar. – To zależy od księcia. Znakujemy wichrzycieli, złodziei. Byłeś kiedyś oznakowany?

Potrząsnąłem tylko głową, ponieważ miałem pełne usta.

– Ja byłem. – Zsunął z głowy kaptur, by mi pokazać znak na czole. – To nie było przyjemne.

Przełknąłem jedzenie.

– Nikt nie lubi, kiedy go boli głowa. Tak czy inaczej, czasem cierpimy na ból głowy.

Caspar zaśmiał się cicho. Był to złowieszczy śmiech.

– Mówisz, że masz dla mnie nowego więźnia? Przypomniał mi się przyjaciel, który wyjechał do szkoły z internatem, dlatego powiedziałem:

– Raczej pensjonariusza. Nie musisz go zamykać, ale będzie mieszkał u ciebie do czasu, kiedy wyruszę na północ, żeby ustawić się przy jakimś moście czy coś takiego.

– Będzie mieszkał z nami.

– Tak. – Przytaknąłem mu. – Wiem, że musisz karmić swoich więźniów – umarliby z głodu, gdybyś tego nie robił, a przecież nie jedzą tutaj. Wystarczy, że wystawisz talerz z jedzeniem dla mojego służącego. – Przypomniało mi się, co wcześniej powiedział Uns. – Wystarczy co drugi dzień. Po prostu zostaw talerz w miejscu, gdzie go znajdzie, a gdyby nie odbierał jedzenie przez kilka dni, wybierz inne miejsce.

– Nie pozwolę, żeby ktoś mi się wałęsał po całym lochu. – Caspar powiedział to stanowczym tonem, jakby podjął jakąś decyzję...

– On już tam jest. Musisz go tylko nakarmić.

Oblicze Caspara poczerwieniało, a jego oczy zrobiły się jeszcze mniejsze.

– Umieściłem go tam zeszłej nocy i kazałem tam siedzieć. Obiecał, że zostanie, i myślę, że tak będzie, jeśli go tylko nakarmisz.

Miałem nadzieję, że po tych słowach Caspar trochę się rozluźni, lecz tak

się nie stało.

– Znajdziesz pewnie jego odchody, ale w lochu to chyba nie ma większego znaczenia.

Caspar wytarł sztylet o rękaw i wsunął go do pochwy.

– Już tam jest.

– Tak. – Ucieszyłem się, że się w końcu z tym pogodził. – Umieściłem go tam zeszłej nocy. Spałeś już i nie chciałem cię budzić.

Przyjaciółka odryglowała drzwi, a potem z powrotem je zamknęła, kiedy już go zostawiłem w twoim lochu. – Usiłowałem sobie przypomnieć, czy naprawdę słyszałem, jak Uri zamyka zasuwę. Nie byłem tego pewny, dlatego powiedziałem: – A przynajmniej kazałem jej to zrobić. Myślę, że wykonała moje polecenie.

– Masz na myśli inną przyjaciółkę – rzucił powoli. – To nie ta sama osoba, którą zostawiłeś mi do niańczenia?

– Zgadza się. – Strażnik, którego rozłożyłem, podnosił się powoli i sięgnął po duży nóż, który nosił u pasa. Chwyciłem go za nadgarstek. – Jeśli go wyciągniesz, będę musiał ci go zabrać. Lepiej usiądź i przegryź coś, zanim zjedzą cały ser.

Strażnik usiadł, a Caspar wstał.

– Niewykluczone, że niebawem lepiej poznasz Hoba.

– To dobrze – powiedziałem. – Chciałbym wyprostować sprawy, jeśli to możliwe. Póki co, zaopiekujesz się moim służącym, prawda? Wiem, że proszę cię o przysługę.

Odwrócił się i opuścił Wielką Salę pewnym, powolnym krokiem.

Mistrz Agr stał odwrócony plecami do okna, kiedy wszedłem. Skinął głową i chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, lecz wciąż milczał. Po chwili chrząknął ponownie.

– Witaj, sir Able.

– Witam, mistrzu Agr. O co chodzi? – Poinstruowano mnie wcześniej, żebym stał wyprostowany, co też teraz uczyniłem.

– Sir Able, ja...

– Tak, mistrzu Agr? – powiedziałem. Agr westchnął.

– Nie mogę tak prowadzić naszej rozmowy. Usiądź, proszę. – Pokazał ręką na krzesło. – Przysuń je tutaj, proszę. – Sam zajął miejsce za stołem z raportów i ksiąg.

Przyniosłem krzesło i usiadłem na nim.

– Z rozkazu Jego Miłości walki w Wielkiej Sali są surowo zabronione. Wiedziałaś o tym?

Skinąłem głową.

– Wiem o tym. I wiedziałem wcześniej.

– A mimo to zaatakowałeś strażnika stołkiem. Tak mi przynajmniej doniesiono, bo sam tego nie widziałem.

– Najpierw uderzyłem go pięścią, mistrzu Agr. A dopiero potem stołkiem, kiedy próbował się podnieść.

Agr kiwnął głową. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział go pogodnym i z pewnością w tamtym momencie jego oblicze też nie było radosne.

– Dlaczego to zrobiłeś, sir Able?

– Ponieważ musiałem porozmawiać z mistrzem Casparem. A wiedziałem, że jeśli pozwolę mu się podnieść, to nam przeszkodzi w rozmowie. Bo to, co miałem do powiedzenia, było i tak wystarczająco trudne do przekazania, nawet gdybym nie musiał kazać mu siedzieć cicho przez cały czas. – Wzięłem głęboki oddech, czując, że pogarszam jeszcze sprawę, ale wiedziałem, że muszę to zrobić. – Powiem to, a potem ty powiesz swoje. Nie zamierzam bronić tego, co zrobiłem, lecz nie czuję się winny. Czasem trzeba uczynić wyjątek, bez względu na to, jakie obowiązują reguły. Ukarzesz mnie za to, wiem i nie protestuję. Nie winię cię za to. Przepraszam, że wszcząłem awanturę i sprawiłem ci kłopot. Lecz gdyby sytuacja się powtórzyła, rozłożyłbym go tak samo jak wtedy.

Agr skinął głową z kamiennym wyrazem twarzy.

– Tych, którzy nie są rycerzami, tak jak ja, odprawia się ze służby zwyczajowo. Rycerzy zaś skazuje się na wygnanie, które może trwać miesiące albo lata.

– W porządku. I tak zamierzałem udać się na północ. Jak długo powinienem tam pozostać?

Agr wstał i podszedł do okna. Stał wpatrzony w dal tak długo, że zacząłem podejrzewać, iż czeka, aż wyjdę. Wreszcie wrócił na swoje miejsce i powiedział:

– Zdarzały się już wcześniej walki w Wielkiej Sali, ale były to proste sprawy. Ten przypadek jest o wiele bardziej skomplikowany. Przede wszystkim, niektórzy z naszych rycerzy wciąż twierdzą, że nie jesteś jednym z nich. Musisz mieć tego świadomość.

– Powiedziałem, że mam.

– Nie chcę, byś zasiadał z nimi przy jednym stole. Jeśli ukarzę cię jak rycerza, jeszcze bardziej ich rozgniewam. Nie patrz tak na mnie, proszę. Nie zamierzam odprawić cię jak sługę.

– Myślę, że się wykazałem.

– I ja tak myślę. A także Jego Miłość. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli cię ukarzę jak rycerza, ich niezadowolenie będzie tym większe.

– Nie z mojej strony, mistrzu Agr. Nie musisz się obawiać mojego niezadowolenia.

– Nie muszę się obawiać niczyjego niezadowolenia – odpowiedział Agr – lecz moim obowiązkiem jest zachować porządek wśród rycerzy. Między innymi.

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– I tu się pojawia pierwsza komplikacja. Druga to taka, że kiedy wcześniej dochodziło do walk, zwykle był to spór między dwoma rycerzami. Pamiętam jeden przypadek, kiedy zwaśnione strony były niższego urodzenia. To był wyjątek. Wtedy odprawiłem ich obu, lecz teraz dałem słowo, że nie odprawię cię jak sługę, sir Able, i dotrzymam słowa. Jeśli jednak skażę cię na

wygnanie, rycerze się zbuntują. Niektórzy dlatego, że ukarałem cię jak rycerza, pozostali zaś dlatego, że ukarałem rycerza za to, iż uderzył zuchwałego gbura. W najlepszym razie poskarżą się Jego Miłości.

– Nie ja – powiedziałem.

– Nie. Wiem o tym. Lecz mamy tu doświadczonych rycerzy, których Jego Miłość bardzo poważa. Gdyby przyłączyli się do protestu, a mogą... – Agr wzruszył ramionami.

– Przykro mi, że to się stało – powiedziałem. – Naprawdę.

– Dziękuję. Ostatnia rzecz, choć nie mniej ważna. Wszyscy tu nienawidzą i boją się więziennych strażników. Nie tylko rycerze, wszyscy. Nie chcę urazić twojej ewidentnej skromności, lecz myślę, że jesteś bohaterem w oczach większości tych, którzy wiedzą, co się wydarzyło rano.

– Jestem bohaterem – powiedziałem. – Nie dlatego, że powaliłem strażnika. To nie było nic wielkiego.

Uśmiechnął się, lecz jego uśmiech był zaprawiony goryczą.

– Pewnie masz rację, sir Able. Tak, wierzę w to. No cóż, skoro przedstawiłem już wszystkie trudności, chciałbym usłyszeć, co masz do powiedzenia na swoją obronę. Jeśli przygotowałeś jakąś przemowę, to masz okazję ją wygłosić.

– Nie przygotowałem. – Pomyślałem o tym, co się stało, i że na pokładzie „Zachodniego Kupca” nikt by się tym nie przejął. – Wiem, że cię to nie przekona, mistrzu Agr, ale w rzeczywistości to nie był pojedynek. Uderzyłem go pięścią, a potem stołkiem. To nie była walka, bo on ze mną nie walczył.

– Mów dalej.

– Uderzyłem go, ponieważ zamierzał mnie zastraszyć i robił to do chwili, aż go uderzyłem. Zakaz walki wydany przez Jego Miłość to dobry pomysł w sytuacji, kiedy wszyscy działają uczciwie. Czy naprawdę jest czymś gorszym sporadyczna walka niż obecność ludzi takich jak on, którzy lubią ranić innych, kiedy ci nie mogą się bronić, którzy plują im w twarz, gdy tamci próbują rozmawiać z kimś innym?

– Rozumiem cię – odparł mistrz Agr. – Coś jeszcze? Potrząsnąłem głową.

– W takim razie ja mam coś jeszcze do powiedzenia, sir Able. Lecz zanim zacznę, wiedz, że cię lubię. I chciałbym być twoim przyjacielem na tyle, na ile pozwala mi mój urząd. Chciałbym, żebyś i ty czuł się moim przyjacielem.

– Czuję się nim – odpowiedziałem. – Wiem, że dużo dla mnie zrobiłeś. Dużo ci zawdzięczam.

– Po pojedynku na dziedzińcu ćwiczebnym zamknąłem twoją broń, łuk, kołczan i ten twój... fałszywy miecz, który nosisz. Musiałem ją zatrzymać, bo i tak by ci ją odebrano. Jego Miłość nakazał mi zwrócić ci broń, kiedy o to poprosisz. Pamiętajsz zapewne.

Nic nie odpowiedziałem, ponieważ wiedziałem, do czego zmierza.

– Wczoraj pomyślałem, że nigdy o to nie poprosiłeś, poszedłem więc, by wyjąć twoją broń i przekazać ją tobie przez pazia. Tylko że jej tam nie znalazłem. Dzisiaj widzę, że nosisz swój pas. Zakładam, że łuk także odzyskałeś? A także strzały? Bo u mnie ich nie ma.

– Są w moim pokoju. – Zamrugąłem, kiedy przypomniałem sobie sny, jakimi obdarzyła mnie cięciwa poprzedniej nocy.

– Czy możesz mi powiedzieć, w jaki sposób je odzyskałeś? Potrząsnąłem głową.

– Nie, bo byśmy się tylko pokłócili, a ty byś mi nie uwierzył.

– Wypróbuj mnie, sir Able. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób dostałeś się do mojego kredensu.

– Czy wierzysz, że zostałem pasowany na rycerza przez królową Disiri?

Agr nic nie odpowiedział. Ktoś biegł na zewnątrz, co obaj usłyszeliśmy. Była to ciężka osoba i poruszała się niezgrabnie, ponieważ kroki nie były regularne. Usłyszeliśmy, jak zatrzymała się przed drzwiami i sapie, z trudem łapiąc oddech.

– Strażnik go odeśle, ktokolwiek to jest – rzucił Agr.

Tak się jednak nie stało. Zanim Agr skończył mówić to, co miał do powiedzenia, dębowe drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich

Caspar, który zrobił kilka chwiejnych kroków i padł u mych stóp.

Wojenny trakt

Z całej długiej podróży na północ najlepiej pamiętam noc, w którą się rozstaliśmy. Svon zajął się końmi, pozostawiając Poukowi resztę roboty poza pilnowaniem, by została dobrze wykonana. Gylf poszedł polować, a ja usiadłem przy ognisku i wpatrzony w płomienie rozmyślałem o sir Ravdzie, o Muspelu i o nocach spędzonych w naszej leśnej chacie – jak zbieraliśmy razem chrust, a potem rozpaliliśmy duże ognisko w kamiennym kręgu i piekliśmy kiełbaski i prawoślaz.

A także, powiem szczerze, zastanawiałem się, w jaki sposób u licha dostałem się stamtąd tam, gdzie byłem teraz. Agr powiedział mi, że jeśli się pospieszę, to przy odrobinie szczęścia dotrę do gór w sześć tygodni. Kiedy to mówił, nie wydawało się, by trwało to aż tak długo.

Spotkaliśmy się w dużym, miłym pokoju w prywatnych komnatach księcia; my, to znaczy Agr, Caspar, księżę i ja. Żałowałem, że nie ma z nami Hoba, choć w pewnym sensie był z nami, ponieważ myśleliśmy o nim wszyscy. Org zabił go i pożarł.

– To twoje zwierzątko – powiedział do mnie Marder – ten ogr, którego umieściłeś w moich lochach, to najmniejszy z naszych problemów. Zacznijmy więc od niego. Czy możesz go odesłać?

– W ten sposób przesądziłbym o jego losie, Wasza Miłość.

– Rozmawiałem już o tym z Agrem, zanim przyszliśmy do Mardera. – Powiesz zapewne, że trzeba go zabić, podobnie twierdzi mistrz Agr, a także mistrz Caspar. W porządku, może i macie rację. Tylko że ja przyjąłem go do służby u siebie. Nie mogę go teraz odesłać i skazać na śmierć.

Marder przeczesał brodę palcami, Agr zaś udawał, że cała ta sprawa nie

ma z nim nic wspólnego. Wreszcie głos zabrał Caspar:

– Musimy go stąd zabrać, Wasza Miłość. Trzeba go wyprowadzić na mur, gdzie się nim zajmą rycerze.

Marder wzruszył ramionami; nigdy wcześniej nie wydawał się tak stary i zmęczony.

– Sir Able z pewnością nie nakłoni go do wyjścia z lochów, wiedząc, że tym samym wysyła go na śmierć. Może posłać do lochów rycerzy i kazać im go zabić.

Caspar potrząsnął głową, co oznaczało: zapomnij o tym.

– Nie mam jednak pewności, że im się powiedzie. Z tego, co mówisz, nie ma pewności, że go w ogóle znajdą.

Agr powtórzył coś, co już raz mówił, tyle że wyraził to innymi słowami.

– Skoro ten ogr jest sługą sir Able'a, to sir Able powinien był wydać mu ścisłe instrukcje i zaznaczyć, że nie będzie chroniony, jeśli je złamie.

– Nakazałem mu, żeby nie ranił nikogo – powiedziałem – a on obiecał, że mnie posłucha. Pewnie usłyszał, że uderzyłem Hoba. Myślał, że Hob jest moim wrogiem i można go zabić.

Marder skinął głową, lecz chyba głównie do siebie samego.

– Hob byłby moim wrogiem, gdyby żył. Wszyscy w twoim zamku boją się strażników więziennych, Wasza Miłość, z wyjątkiem mnie i ciebie. Nie wiem, jaka jest tego przyczyna, ale przypuszczam, że chodzi o coś więcej niż tylko brzydkie gęby i czarne ubrania. Jeśli zejdziesz do twoich lochów, Wasza Miłość, mistrz Caspar i jego ludzie zrobią wszystko, co w ich mocy, żebym już z nich nie wyszedł. Co do tego nie mam wątpliwości. Jeśli jednak chcesz, abym...

– Wasza Miłość! – Caspar zerwał się na nogi. – Przysięgam, on – sir Able nie...

Marder kazał mu się zamknąć ledwo dostrzegalnym ruchem dłoni.

– Pójdę tam, jeśli mi każesz – powiedziałem. – I wyjaśnię Orgowi, że nie powinien już nikogo więcej zabijać, nawet mistrza Caspara.

Marder zakrył usta dłonią, lecz zauważyłem, jak jego wąsy drgnęły.

– Chociaż mam lepszy plan, jeśli tylko go zaakceptujesz. Rozwiąże to wszystkie problemy, o któryś dyskutowaliśmy. Org opuściłby lochy, a ja otrzymałbym karę, której nie sprzeciwi się żaden z twoich rycerzy.

Marder westchnął.

– Chcesz powiedzieć, że zginiesz. Im lepiej cię poznaję, sir Able, z tym większą niechęcią myślę o tym, że cię stracę.

– Mam nadzieję, że nie, Wasza Miłość. Zamierzałeś wysłać mnie gdzieś na posterunek. Rozmawialiśmy o tym przed moim pokojem.

– Pamiętam. – Skinął głową.

– W takim razie pamiętasz też, jak powiedziałeś, że możesz mnie wysłać przeciwko Angronitom. Uczyni to teraz. Nie wiem, w jaki sposób przedostają się do twojego księstwa...

– Narysuję ci mapę z Wojennym Traktem – powiedział Agr. (Zrobił to potem).

Skinąłem głową, dając do zrozumienia, że słyszałem, co powiedział.

– Ale nie ma chyba zbyt wielu dróg prowadzących przez góry. Pozwól mi zająć stanowisko w miejscu, przez które muszą przejść. Zabiorę ze sobą Orga i zostanę tam do czasu, aż śnieg zasypie przełęcz.

Rozmawialiśmy o tym jeszcze przez jakiś czas i Marder powiedział, że o ile nie wrócę, zanim lód skuje zatokę, on będzie zakładał, że dotrzymałem słowa i zostałem do chwili, gdy przełęcz staną się nieprzejezdne. Potem Agr posłał Caspara po pazia, pazia zaś pchnął do płatnerza w Forcetti, któremu nakazał przyspieszyć prace dla mnie wykonywane.

Na koniec Marder powiedział:

– Istnieje jeszcze jedna trudność, która zniknie, jeśli przyjmiemy to rozwiązanie, sir Able.

To był Svon. Pamiętam, jak tamtej nocy podniosłem wzrok znad ognia, żeby spojrzeć na niego, i zobaczyłem, że śpi i że Gylf położył blisko jego głowy zabitego zająca. Obdarłem zająca ze skóry, nabiłem jeden udziec na

długi kij, tak jak ty robisz, i piekłem go nad ogniem.

Przyrumienił się już, kiedy Svon usiadł.

– Zamierzasz go zjeść całego, sir Able? Podniosłem pozostałą część zajęcia.

– Tu jest więcej. Weź, ile chcesz.

– Milo z twojej strony. Trochę niedojadaliśmy, co? Przypomniałem mu, że przyniósł sobie dodatkowe jedzenie, kiedy zatrzymywaliśmy się w gospodach lub wioskach. Nietrudno było – szczerze mówiąc, zbyt łatwo – wkurzyć się na Svona. Może nawet równie łatwo przychodziło nam wściekać się na niego, jak jemu na nas. Rozumiałem go po głębszym zastanowieniu. Był wciąż giermkim, podczas gdy wielu młodszych od niego zostało już rycerzami. Ja sam byłem jednym z nich.

Svon poszedł przyciąć sobie kij. Kiedy wrócił, nabił na niego udziec i przysunął go nad ogień.

– Zjadłbym go na surowo, jak twój potwór, sir Able, ale jestem człowiekiem, więc go trochę podpiekę.

Nic mu nie odpowiedziałem, ponieważ wiedziałem, że próbuje mnie zdenerwować.

– Twój, ogr, powinienem był powiedzieć. Nie lubię go. Zerknąłem na swoje mięso i obróciłem patyk.

– Miło się spało, aż poczułem zapach tego królika. Ty spałeś w ogóle?

Powiedziałem, że nie.

– Bo się boisz spać, kiedy nie pilnują cię twój pies i twój potwór. Mam rację? Boisz się, że cię pchnę nożem.

– Już tego doświadczyłem – odpowiedziałem mu.

– Nie z mojej ręki. – Zacisnął usta. – Nie.

– Pozwól, że ci coś powiem, sir Able. Wiem, że i w to nie uwierzysz, ale i tak to powiem, bez względu na to, czy dasz wiarę moim słowom, czy też nie. Nie pchnę cię nożem, a przynajmniej nie podczas snu. Ale któregoś dnia twój pupilek ogr zwróci się przeciwko tobie, nieważne, czy będziesz spał, czy nie.

– Broniłbyś mnie wtedy?

– Jak mam to przyjąć? Chcesz, żebym powiedział, że to zrobię, tak byś mógł powiedzieć o mnie coś dobrego, kiedy wrócimy?

Potrząsnąłem głową.

– Masz to przyjąć poważnie, to wszystko. I odpowiedz uczciwie – choćby przed samym sobą. Próbowałem zdjąć z kija udziec tak, żeby nie poparzyć sobie palców; kiedy mi się to udało, spróbowałem kęs. Mięso było tak gorące, że poparzyło mi język, i żyłaste. Ale smakowało wybornie.

– Ty zawsze mówisz prawdę. Czy tak?

Miałem pełne usta mięsa, więc tylko potrząsnąłem głową.

– Lecz jesteś świadomy tego, że próbujesz sprawiać takie wrażenie. – Skierował na mnie palec wskazujący. – Już samo to wrażenie jest kłamstwem.

Przeżułem mięso i przełknąłem je wreszcie.

– Pewnie. Skoro już się obudziłeś, to zajrzyj do koni. Zignorował moje słowa.

– Powiedziałaś Jego Miłości, że byłeś przewodnikiem moim i sir Ravda w lasach wokół Irringsmouth. Kolejne kłamstwo.

Krzyk jakiegoś zwierzęcia sprawił, że obaj podskoczyliśmy. Svon wziął głęboki oddech i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Twój pupilek znowu kogoś zabił.

Obszedłem ognisko i powaliłem go na ziemię jednym ciosem. Możliwe, że przewracając się, trącił Pouka, ponieważ Pouk usiadł. Spojrzał na Svona, mrugając i przecierając oczy. Podniosłem kij z mięsem, który upuścił Svon, i podałem go Poukowi.

– Masz. Mięso trochę się ubrudziło, ale ci nie zaszkodzi. – Potem podszedłem do miejsca, w którym złożyliśmy nasze bagaże, i sięgnąłem po łuk i kołczan ze strzałami.

Svon usiadł. (Myślał może, że odszedłem – już wtedy przekonałem się, że od chwili spotkania z Baki czasem stawałem się trudno widoczny) . Pomacał

szczękę i szyję z boku w miejscu, w którym go uderzyłem.

– Zbierało ci się – powiedział do niego Pouk.

– Powinienem mu oderznąć tę jego pospolitą głowę – powiedział Svon, a ja odsunąłem się jeszcze dalej. Nie chciałem go zabić, a wiedziałem, że gdyby mnie zobaczył, to może musiałbym to zrobić.

Pouk siedział wpatrzony w mięso, które mu dałem. Uznał, że jest niedopieczone, i przysunął je nad ogień.

– Na twoim miejscu nie próbowałbym tego, sir.

– Jestem dżentelmenem, a dżentelmen odpłaca zemstą za doznane krzywdy – rzucił Svon sztywno.

– Należało ci się – powtórzył Pouk – więc to żadna krzywda.

– Ty nic nie wiesz. Przecież spałeś.

Odwróciłem się i ruszyłem przed siebie. Odchodząc, usłyszałem jeszcze, jak Pouk mówi:

– Znam go, sir, i znam ciebie.

– Zabiję go! Ledwo usłyszałem:

– Gdybym wiedział, że naprawdę tak myślisz, sir, sam bym cię zabił.

Michał

Gdybym tylko wiedział, dokąd zmierzałem, odchodząc od ogniska, to bym ci powiedział. Prawda jest taka, że nie miałem pojęcia. Nie miałem ochoty być ze Svonem ani z Orgiem. Tylko o to chodziło. Chciałem znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym odpocząć i pozbierać myśli, zanim znowu się z nimi spotkam. Mogłem spróbować rozpałcić ognisko tam, gdzie się zatrzymałem, lecz w ciemności zajęłoby to dużo czasu, a ja byłem zmęczony i niespecjalnie zziębnięty, mimo iż była noc. Podejrzewam, że to był koniec czerwca albo początek lipca, ale nie mam pewności.

W każdym razie owinąłem się płaszczem, tak jak ty to robisz, i położyłem się. Nie zdjąłem nawet butów, o czym później powiedziały mi Uri i Baki. Znalazły mnie tam śpiącego, podobnie jak Gylf, który przyszedł do ogniska i wytropił mnie po zapachu. Cała trójka została przy mnie, żeby mnie bronić, choć nie bardzo wiem, przed czym.

Kiedy się obudziłem, słońce świeciło już jasno. Gdy tylko otworzyłem oczy, Gylf polizał mnie po twarzy; czekał na okazję, a robił to zawsze, gdy uważał, że trzeba mi dodać otuchy. Uśmiechnąłem się, tak jakby, i powiedziałem, że czuję się dobrze, a kiedy nic mi nie odpowiedział, domyśliłem się, że w pobliżu jest ktoś jeszcze.

Baki pomachała z cienia, kiedy zobaczyła, że patrzę w jej stronę, i zaraz spod tego samego drzewa pomachała mi Uri.

– Baliśmy się, że może ci się coś stać, panie. Cała nasza trójka martwiła się o ciebie.

– Dzięki. – Wstałem i rozejrzałem się za jakimś strumieniem, w którym mógłbym opłukać twarz i zaspokoić pragnienie, a może nawet wziąć kąpiel,

kiedy sobie pójdą. Ponieważ nie zauważyłem żadnego, zapytałem, gdzie mogę znaleźć Pouka i Svona.

– Nie wiem, gdzie są teraz, panie – powiedziała Uri – ale poszukamy ich z Baki, jeśli chcesz tego.

– Może Gylf wie – rzuciła Baki, lecz Gylf potrząsnął łbem.

Uri podpłynęła do mnie, ładna dziewczyna, szczupła jak większość dziewcząt, o ciemnorudych włosach, lecz przezroczysta w blasku słońca. (Wyobraź sobie nagą, miedzianorudą dziewczynę przedstawioną na witrażu).

– Dlaczego poszedłeś do lasu sam, i to w nocy? To nie było mądre.

– Nie byłoby mądre zostać tam, gdzie byłem. Czy jest tu gdzieś jakaś woda?

– Nie ma – odparła Uri – a przynajmniej nie w promieniu mili. – Tymczasem Gylf kiwnął łbem.

– Miałeś wodę tam, gdzie rozbiliście obóz – zauważyła Baki. – W pojemnikach.

– Gdybym tam został, doszłoby do walki między mną i Svonem – wyjaśniłem. – A poza tym wiedziałem, że Org polował i chciałem zobaczyć, co zabił.

– Och, możemy ci to powiedzieć – rzuciła Baki.

– Muła – powiedziała Uri. – Drogą nadjechała kobieta na mule i Org zaatakował go. Chyba nie chciał jej zabić.

– Lecz ona myślała, że chce – dodała Baki.

– Muł stanął dęba i zrzucił ją. Wtedy Org go dopadł. Słyszałeś.

– Zjadł go. A przynajmniej znaczną jego część. Zastanawiałem się przez chwilę.

– Kobieta uciekła? – Tak.

Chmura zasłoniła słońce i Baki wysunęła się do przodu, teraz bardzo prawdziwa.

– Miała miecz, mimo to uciekła. Nie winię jej za to. Kto chciałby walczyć z Orgiem w ciemności?

– Ja – powiedziałem – a przynajmniej walczyłem. Kiedyś spróbuję jeszcze raz. Nie wiecie pewnie, gdzie on jest teraz?

Obie potrząsnęły głowami.

– W takim razie poszukajcie go. Albo Svona i Pouka. Jak już któregoś znajdziecie, przyjdźcie mi powiedzieć.

Rozpłynęły się w powietrzu.

– Mówiłeś, że wiesz, gdzie jest woda – zwróciłem się do Gylfa. Daleko stąd?

Pokręcił łbem.

– Przyjemny staw.

– Zaprowadź mnie do niego.

Skinął łbem i ruszył przed siebie, zerkając nad barkiem, jak to zwykle robią psy, by sprawdzić czy idę za nim. Musiałem biec truchtem, żeby nadążyć.

– Jesteśmy sami, prawda? Możesz mówić?

– Przecież mówiłem.

– Czy Uri albo Baki też wiedziały o tym stawie?

– Uhu.

– Nie powiedziały mi nic. Chyba nie dlatego, że chciały, żebym umarł z pragnienia. Jesteśmy w lesie, a nie na pustyni, więc znalezienie wody tutaj nie jest aż tak trudne. Dlaczego nie chciały, żebym dowiedział się o istnieniu tego stawu?

– Jest tam bóg.

Zatrzymał się w miejscu. W pierwszej chwili pomyślałem o Parce, potem o Thunorze – był jednym z Overcynow, o którym ludzie dużo mówili.

– Nikt nie nazywa Overcynow bogami – powiedziałem do Gylfa. – A przynajmniej nikt tutaj. Czy to była Parka? Wiesz, kim jest Parka?

Nie odpowiedział i ruszył przed siebie tak szybko, że prawie straciłem go z oczu. Pobiegłem za nim najszybciej jak potrafiłem, ale dogoniłem go dopiero przy stawie, gdzie się zatrzymałem.

Rozejrzałem się za jakimś bogiem, lecz żadnego nie zauważyłem, przyklęknąłem więc i obmyłem dłonie i twarz (mocno się pocilem), a potem napiłem się wody.

Po chwili ponownie ochłodziłem twarz wodą, a następnie zaczerpnąłem jej w ręce i wylałem sobie na głowę; kiedy to robiłem, znowu wyszło słońce. Jego promienie zamieniły krople spływające z moich placów w diamenty i zanurzyły się głęboko w wodę. Gdzieś w głębi, bardzo, bardzo głęboko zobaczyłem Uri i Baki. Znajdowały się w sali wielkości lotniska, jak się zdawało. Na jej ścianach, na stojakach i długich stelażach wisiały miecze i włócznie, tak że wszędzie pobłyskiwała stal. Rozmawiała z czymś wielkim i ciemnym, co się wiło jak wąż. Kiedy patrzyłem, Uri znowu zamieniła się w Khimairę.

Po jakimś czasie obraz zniknął. Słońce wciąż świeciło, lecz już nie padało prosto na wodę. A przynajmniej tak mi się wydawało. Zaraz po tym, jak zniknął obraz, przypłynęła chmura – albo coś, co przypominało chmurę – a Gylf powiedział:

– Tam jest bóg. – Czasem się podniecał i w tej chwili tak wyglądał, ale był spokojny i uprzejmy.

Spojrzałem w górę i nie zobaczyłem żadnej chmury. To było skrzydło lśniące bielą i o wiele większe niż największy żagiel „Zachodniego Kupca”; wychodziło z pleców mężczyzny w zbroi, który siedział na brzegu stawu. Nie mogłem uwierzyć, że skrzydła – miał ich cztery – należą do niego. Musiał wyczytać z mojej twarzy, że nie wierzę, bo je złożył wokół siebie. Gdy to uczynił, nie było widać jego zbroi i wyglądał, jakby nosił długą szatę z białych piór.

– Ja też zostałem wysłany – powiedział.

– Ty też! – Byłem tak bardzo zdziwiony, że nie za bardzo wiedziałem, co mówię. – Zostałem wygnany z dworu księcia Mardera do czasu, aż zatokę skuje lód.

– Tak więc przychodzę do ciebie.

Powiedział to tak, jakby wiedział wszystko o mnie. Szczęka opadła mi tak nisko, że omal nie uderzyłem nią o sprzączkę pasa miecza.

– Nie wiem, a jednak znam cię lepiej, niż mogła cię poznać twoja matka, ponieważ słyszę twe myśli. – Uniósł prawą dłoń. (Później poznałem króla Arnthora, który bardzo chciałby móc podnosić dłoń w taki sposób, lecz nie potrafił tego robić. Żaden człowiek nie potrafi) . – Twoja matka cię nie знаła – powiedział. – Ja, który wiem tak niewiele, wiem to teraz. Widzisz, popełniam błędy. Jestem prawie doskonały.

Opadłem na kolana i opuściłem głowę.

– Masz moje podziękowanie – powiedział – ale musisz wstać. Nie przybyłem tu, byś mnie wielbił, lecz żeby ci pomóc. Ja także jestem rycerzem, który służy panu. Nazywam się Michał.

Gdy to powiedział, byłem w stanie pomyśleć tylko o tym, że jest to imię z naszego świata. Uznałem to wtedy za cud. Wciąż tak myślę. Nosił imię mieszkańca Ziemi i przybył z Mythgarthru, żeby mi pomóc.

– Oddając ci do dyspozycji swoją wiedzę.

Byłem tak szczęśliwy, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Przypomniałem sobie, że chciał, bym wstał, podniosłem się więc i gapiłem na niego. Jego oczy nie miały białek ani czarnej kropki w środku. Wydawało się, że patrzę przez jego głowę na Skai.

– Myślisz o Skai, o trzecim świecie. Myślisz, że zostałem przysłany z zamku, który widziałeś.

Skinąłem głową, choć nie przyszło mi to łatwo.

– Ja... mam taką nadzieję.

– Otóż nie. Pochodzę z drugiego świata, zwanego Kleos, Świata Dobrej Sławy.

– Nie znałem nawet jego nazwy, mój panie – Omal się nie zakrztusiłem, kiedy zdałem sobie sprawę, że rozmawiam z nim tak, jak musiałem rozmawiać z Thunrolfem. – Ja... chciałbym się dostać do tamtego zamku, jeśli to możliwe. Czy to coś złego?

– Twoje ambicje sięgają wysoko.

– Czy możesz... – Pomyślałem o Ravdzie i zaraz się zorientowałem, że popełniłem gafę. – Czy powiesz mi, jak to zrobić?

Michał spojrzał na mnie uważnie i chyba długo tak patrzył. Aż wreszcie powiedział:

– Znasz podstawy walki kopia?

Skinąłem głową, zbyt przestraszony, by coś powiedzieć.

– Uczył cię ktoś, kto wprawnie nią włada? – Michał strzelił palcami, Gylf podszedł i położył się u jego stóp; sprawiał wrażenie bardzo dumnego.

– Tak – odparłem. – Mistrz Thope. Odniósł zbyt ciężkie rany, by ćwiczyć ze mną, ale dużo mi powiedział, a trenował ze mną jeden z jego pomocników.

Michał uśmiechnął się. Był to ledwo dostrzegalny uśmiech, lecz wydawało się, że słońce zaświeciło jaśniej w tym momencie.

– Nie złościsz się, że twój pies woli mnie od ciebie?

– Nie – odparłem. – Ja także wolę ciebie niż siebie.

– Rozumiem. Mistrz Thope dobrze włada kopia, lecz nigdy nie dostanie się do zamku, o którym mówimy. Co leży u podstaw zręczności?

Już otworzyłem usta, żeby powiedzieć coś głupiego, lecz się powstrzymałem. Nawet nie pamiętam, co chciałem wtedy powiedzieć.

– Pójdiesz tam, kiedy się tego dowiesz. Nie wcześniej. Chcesz jeszcze o coś zapytać? Pytaj teraz, bo niebawem odejdę.

– Jak mogę znaleźć królową Disiri? Teraz już się nie uśmiechał.

– Módl się raczej, żeby to ona cię nie znalazła. Poczuję się, jakbym dostał kopniaka.

– No dobrze. Sam nie jestem ideałem, o czym się boleśnie przekonałem. Naucz się ją wzywać albo którąś z nich, a przyjdzie do ciebie.

– Uri i Baki przychodzą czasem, kiedy je wzywam – powiedziałem. – To masz na myśli?

– Nie. – Michał podrapał Gylfa za uchem. – Musisz wezwać ją lub którąś

z nich, tak samo jak wezwaliby cię ci, których nazywasz Overcynami.

– Nauczysz mnie? Michał potrząsnął głową.

– Nie mogę. Nikt nie może. Musisz sam się tego nauczyć. Jak wszystkiego innego. – Zamknął oczy i w tym samym momencie spomiędzy drzew wynurzył się jednooki mężczyzna z włócznią, który przyklęknął i złożył włócznię u stóp Michała. Gylf zaczął się łąsić do przybysza.

A potem mężczyzna zniknął, a z nim włócznia.

– Widzisz? Jak ja, czy ktokolwiek inny, mógłby tego nauczyć?

Rozejrzałem się, spoglądając na roziskrzony staw i oblaną słonecznym blaskiem polanę. Tak naprawdę to szukałem jednookiego mężczyzny – w porządku, Valfathera, bo to przecież był on – lecz nawet wtedy wiedziałem, że nie mógłbym o nich zapomnieć. Tak uważałem. Później, kiedy zapomniałem o wszystkim, nawet na krótko o Disiri, ich wciąż pamiętałem.

– Pójdę już, sir Able, jeśli nie masz więcej pytań.

– Mam, sir Michale. – Ledwo wydobyłem z siebie te słowa. – Mogę je zadać? Jeszcze trzy, jeśli...

– Jeśli to nie za dużo. Pytaj.

– Kiedyś znalazłem się na... na pewnej wyspie, na której stał niegdyś Błękitnoszary Zamek.

Skinął głową.

– I zobaczyłem tam rycerza, tylko przez chwilę. Rycerza, który miał na swojej tarczy czarnego smoka. Czy ja przywołałem go tak samo, jak ty przywołałeś Valfathera?

– To on przywołał ciebie. – Michał wstał.

Rozłożył nieco skrzydła, a ja dostrzegłem błysk dobywający się spod białej poświaty.

– Czy potrafisz latać w zbroi? – zapytałem.

W jego oczach koloru nieba pojawiło się coś bliskiego wesołości.

– To nie było twoje drugie pytanie.

– Nie. Chciałem zapytać, kim był rycerz, którego widziałem.

– Owszem, potrafię. Ale przybyłem tutaj, żeby zejść, a nie latać. A co do rycerza, którego widziałeś na wyspie, to powiem ci, że nie było tam nikogo poza tobą.

– Nie rozumiem.

– Twoje trzecie pytanie jest najmądrzejsze. Zawsze tak wypada. Zadaj je.

– Miałem zapytać, o co powinienem cię zapytać? Znowu się uśmiechnął.

– Powinieneś zapytać, skąd pochodzą szczypce, które trzymały Eterne. Zauważ, proszę, że nie powiedziałem, iż odpowiem na twoje pytanie. Zegnaj. Udaję się do Aelfrice w poszukiwaniu tego sławnego rycerza, sir Able'a Wielkie Serce.

Po tych słowach Michał przeszedł po wodzie na środek stawu i zanurzył się w jego głębi.

Chata w lesie

Przez resztę dnia zajmowałem się czymś, czego nigdy wcześniej nie robiłem i czego, mógłbym przysiąc na stos Biblii, nigdy bym nie zrobił. W Sheerwall widziałem kamienny stół, na którym składano ofiarę przed wojną albo bitwą, wybudowałem więc podobny, na tyle, na ile się dało, nad brzegiem stawu. Gylf polował, a ja nosiłem kamienie przez cały dzień i dopasowywałem je do siebie jak puzzle. Skończyłem tuż przed zmrokiem.

Następnego ranka zebrałem mnóstwo drewna – tyle, że można było z niego rozpalić naprawdę duże ognisko, a to było o wiele łatwiejsze niż kamienie. Większość znalezionych przeze mnie patyków dało się złamać na kolanie, a jeśli trafił się jakiś większy kawałek, kładłem go tak, żeby się nie poruszył, i waliłem Łamimieczem. A potem obaj z Gylfem udaliśmy się na polowanie. Wcześniej przyniósł kuropatwę, a jeszcze przedtem świstaka, lecz szukaliśmy czegoś większego, co można by złożyć na stole ofiarnym. Mniej więcej w czasie, kiedy słońce dotknęło koron drzew, trafiliśmy na całkiem zgrabnego łosia. Był to dość duży byk, choć oczywiście bez poroża o tej porze roku. Gdyby miał rogi, byłyby całkiem okazałe. Dostrzegłem go na grzbiecie wzgórza jakieś dwieście jardów od nas. Poprzedniej nocy cięciwa omal nie doprowadziła mnie do szaleństwa, ukazując mi sny innych ludzi, tak że rozważałem nawet możliwość pozbycia się jej. Ale kiedy ujrzałem łosia, ucieszyłem się, że mam ją pod ręką. Moja strzała poleciała jak błyskawica i ugodziła go w łopatkę. Najpierw wciąż uciekał szybko, lecz Gylf zabiegł mu drogę i go zawrócił, kierując w stronę naszego stołu, aż wreszcie łosć padł.

Jestem duży, dzięki Disiri, i wielu mówiło mi, jaki jestem silny; niestety nie miałem tyle siły, żeby ponieść tamtego łosia. Musiałem go ciągnąć po

ziemi, w czym pomagał mi Gylf, wbijając zęby w jego twarde części. Wreszcie zrezygnowałem. Stwierdziłem, że w ten sposób nie damy rady i będziemy musieli zabrać tylko część zwierzęcia, a resztę zostawić. Wtedy on stał się ogromny i czarny, po czym chwycił łosia, jakby to był królik, i poniósł go. Zabawne było to, że nawet kiedy był taki duży, miał obawy, jak zauważyłem, że się wścieknę. A ja wcale się nie wściekłem. Bałem się, owszem. Ale się nie wściekłem.

Złożyliśmy łosia na drewnie przygotowanym na stole i przykryliśmy drewnem. A potem oddaliśmy cześć bogom Kleosu, obaj, i podpaliłem drewno. Byliśmy sami, tylko ja i Gylf, ale nigdy nie czułem się tak dobrze, jak wtedy, gdy to zrobiłem tamtej nocy.

Kiedy wreszcie poszedłem spać, znowu czekały na mnie sny. Byłem kimś, potem kimś innym i jeszcze kimś innym. W którymś momencie byłem z tobą i Geri, tyle że wszyscy byliśmy starsi. Szczerze mówiąc, ucieszyłem się, kiedy obudziła mnie Uri. Wiem, że powinienem być zły, ale nie mogłem się w tym połapać.

– Mówiłeś we śnie, panie – powiedziała. – Uznałam, że lepiej będzie, jak cię obudzę.

Powiedziałem jej, że byłem dziewczynką, która miała być operowana, a ja wiedziałem, że narkoza nie zadziała i będę czuł wszystko.

– No, dobra, o co chodzi? Baki pokłoniła się.

– Zrobiliśmy tak, jak kazałeś, panie. Uri przytaknęła.

– Odnalazłam twego sługę Svona, a Baki twój sługę Pouka. Powiedziałem, że to świetnie i że wyruszę rano.

– Do swojego sługi Svona? Czy do swojego sługi Pouka?

– Rozdzielili się?

– A jakże – odparła Baki. – Twój sługa Pouk jest o dwa dni drogi na północ wzdłuż drogi, którą podróżowaliśmy, zanim skręciłeś sam do tego lasu, panie.

Wiedziałem, że będę musiał opuścić staw – wiedziałem to od początku –

lecz wcale nie miałem na to ochoty.

– A gdzie jest Org? – zapytałem.

– Twój sługa Org jest ze Svonem, panie – odpowiedziała Uri.

– Rozumiem. Mistrz Agr dał mi ogiera, kasztanowatego ogiera o imieniu Magneis. Gdzie on jest?

– Znam go dobrze, panie – rzekła Baki. – Jest z twoim sługą Poukiem. Tak jak pozostałe konie.

– W takim razie najpierw udam się do Pouka. Którędy do drogi? Znajdę go, jeśli udam się na północ?

– Tego nie potrafię powiedzieć, panie. On podróżuje szybciej, ale z pewnością się zatrzyma, gdy dotrze do gór.

– Zatrzyma się wcześniej – powiedziałem – jeśli mu każesz to zrobić. Odnajdź go znowu i powiedz, że kazałem mu zawrócić na południe.

Obie pokręciły głowami przecząco.

– Nie uwierzy nam – oświadczyła Uri. – Nie widział nas dotąd i z pewnością nam nie zaufa.

– Będzie próbował zakłść, które mogą nas zniszczyć, panie – powiedziała Baki. – Wyślesz nas na śmierć?

Roześmiałem się.

– Chcecie powiedzieć, że Pouk – mój Pouk – zna zaklęcia, które działają na Aelfy?

Uri rozejrzała się, by się upewnić, że nikt nie słucha, i odpowiedziała przepęknionym winą szeptem:

– Jest ignorantem, panie, a tacy ludzie są niebezpieczni. Wierzą w swoje zaklęcia.

– Jest jednym z dawnych bogów, panie, podobnie jak ty – dodała Baki. – Jego rodzaj nie zapomniał.

– Musicie nas słuchać. – Była to dla mnie nowa myśl.

– Tak, panie. Mimo że was wykarmiliśmy, to i tak musimy. Tak jak ty słuchasz Overcynów, panie.

To była cięta uwaga. Byliśmy posłuszni Overcynom głównie wtedy, gdy uznawaliśmy, że nie da się inaczej. Byłem tam wystarczająco długo, by się o tym przekonać.

Ostatecznie kazałem im udać się na południe i zostać w Mythgarthcie ze Svonem i Orgiem, ja zaś miałem wyruszyć na poszukiwania Pouka i koni. Potem znowu zasnąłem i spałem jak niemowlę.

Kiedy szliśmy przez las następnego ranka, Gylf zainteresował się tym, jak to się stało, że Pouk ma wszystkie konie.

– On i Svon walczyli – wyjaśniłem mu – Pouk wygrał. Pozwolił Svonowi zatrzymać pieniądze i broń, ale zabrał konie, w tym także konia Svona i sprzęt obozowy.

– Nie ma miecza. Pokręciłem głową.

– Zgadza się. Pouk nie ma miecza, ale jest z nim kobieta, jak twierdzą Uri i Baki, która ma miecz. Przyłożyła go do gardła Svona, kiedy Pouk powalił go na ziemię. Tak powiedziały.

Zatrzymałem się, żeby się nad tym zastanowić, i powiedziałem:

– To pewnie ta sama kobieta, której muła zjadł Org. Gylf chrząknął.

– Skąd się tu wzięła?

– Uri i Baki nie wiedziały. A nawet jeśli, to nie chciały powiedzieć.

Gylf nie pytał o to, co widziałem, kiedy zajrzałem do stawu. Chyba nic z tego nie widział, a ja mu nic nie powiedziałem. Zapytałem o to Uri i Baki i one potwierdziły, że ciemną istotą, którą widziałem, był Setr, którego nazywały Garsecgim, żeby jego imię nie brzmiało tak groźnie. Jest nowym bogiem, powiedziały, i muszą mu służyć.

Niedługo po południu dotarliśmy do Traktu Wojennego i szliśmy nim całe popołudnie, lecz nie spotkaliśmy nikogo, a potem rozbiliśmy obóz tuż przy drodze.

Mniej więcej w porze, kiedy powinno wzejść słońce, zaczęło padać i deszcz wkrótce mnie obudził. Było mi zimno – poczułem się zziębnięty po raz pierwszy od dłuższego czasu – i trząsałem się przemoknięty. Nie miałem

nic do jedzenia, a Gylfa nie było ze mną. Zebrałem patyki na miejscu ogniska i przeklinając dym, próbowałem się ogrzać i osuszyć.

Wreszcie nastał dzień. Zgasilem ogień i poszedłem drogą w deszczu, wiedząc, że Gylf mnie dogoni.

I rzeczywiście dogonił mnie za jakieś dwie lub trzy godziny. A pogoda była coraz gorsza. Padało bez przerwy, czasem mniej, czasem mocniej. Deszcz zmył zapachy zwierzyny, przez co Gylf nie mógł nic wytropić. Po kilku dniach nie czułem już głodu i zacząłem słabnąć; wiedziałem, że trzeba będzie się zatrzymać i coś upolować, bo inaczej umrzemy.

Wreszcie ubiliśmy młodego żubra i był to pierwszy żubr, jakiego widziałem. Gylf przygwoździł go do ziemi, a ja przybiegłem i wbiłem mu sztylet w kark. Żubry są podobne trochę do byka i trochę do bizona. Zabiliśmy go w najgorszym z możliwych miejsc, w zaroślach porastających dno głębokiego zagłębienia. Mogłem poprosić Gylfa, żeby poniósł żubra tak samo jak łosia, lecz tego nie zrobiłem. Odciąłem z niego udziec i zaniósłem w miejsce, w którym przy odrobinie szczęścia można było rozpalic ognisko. Udziec ważył ze sto funtów albo i sto pięćdziesiąt, lecz zanim znaleźliśmy odpowiednie miejsce, wydawało się, że waży dwie tony. Rozpaliliśmy ogień i najedliśmy się do syta, a potem słuchaliśmy, jak wilki walczą o resztę mięsa.

Następnego ranka obudziła mnie burza, prawdziwa nawałnica siekająca deszczem i ciskająca piorunami. Chcąc zażartować, powiedziałem do Gylfa, że boję się, iż burza pozrywa wszystkie maszty Mythgarthru.

– Tak jak w domu – odparł; nasz ogień już zgasł, lecz jego ślepiec rozjarzały się szkarłatem za każdym razem, kiedy błysnął piorun.

– Co masz na myśli, mówiąc „dom”? – zapytałem go. – Nie mieszkaliśmy w miejscu, gdzie by panowała równie podła pogoda.

– Moją matkę. Braci. Także siostry.

Chciałem się dowiedzieć, gdzie to było, lecz przestał mówić. Wiedziałem, że chodzi mu o Skai, ale chciałem, żeby mi o tym opowiedział. Nigdy nie

mówił dużo o Skai. Usłyszałem ujadanie tysięcy ogarów takich jak Gylf i tętent kopyt, gdy po niebie przemknęli uczestnicy Dzikich Wołów Valfathera. Gylf chciał pobiec za nimi, lecz mu nie pozwoliłem.

Następnego dnia pogoda nieco się poprawiła, lecz znowu nie mogliśmy odnaleźć Traktu Wojennego. Wiedziałem, że skręciliśmy na zachód, kiedy zeszliśmy z drogi, żeby zapolować, tak więc teraz próbowaliśmy iść na wschód albo północny wschód, lecz nie mieliśmy pewności co do kierunku, ponieważ nie widzieliśmy słońca. Do tego co rusz napotykaliliśmy coś, co zmuszało nas do skierowania się na południe albo północ, czy nawet zachód – zarośla, płatanina wrzośca, wezbrane deszczową wodą strumienie czy parowy.

Wreszcie trafiliśmy na dość dobrą ścieżkę i postanowiliśmy pójść nią tak długo, aż skręci w nieodpowiednim dla nas kierunku. Zaprowadziła nas do samych drzwi kamiennego domku, który wyglądał na niezamieszkały od lat. Połowa dachu zapadła się, a oderwane okiennice leżały zardzewiałe w trawie. Drzwi, otwarte, wisiały na jednym zawiasie.

– Nikt tu nie mieszka – powiedziałem do Gylfa. – Zatrzymajmy się tu. Rozpalimy ogień i upolujemy coś do jedzenia. Może udam się nam wysuszyć przez noc.

– Ścieżka – rzucił Gylf.

– Masz rację, ktoś wydeptał ścieżkę. Ale tu nie mieszka. Nie ma warunków. Pewnie zagląda tu tylko czasem. – Nie miałem pojęcia, po co miałby zaglądać, lecz Gylf nie spytał mnie o to.

– Zapukaj – rzucił, kiedy stanąłem na progu.

Wydawało mi się to głupie, ale zastukałem gałką sztyletu w zdezelowane drzwi. Nikt nas nie przywitał ani nie zaprosił. Zapukałem głośniejsze, by pokazać, że nie mam złych zamiarów, i zawołałem:

– Halo? Halo?

Gylf, który węszył przez cały czas, powiedział: – Kot.

Rozejrzałem się zdziwiony. – Co?

– Śmierdzi. W środku jest kot. Wszedłem do domu i powiedziałem:

– Ja też jestem w środku.

Gylf wszedł za mną, a wtedy ogromny czarny kot w przeciwległym końcu pokoju prychnął tak, że można się było przestraszyć, po czym wdrapał się po ścianie i zniknął na strychu.

Palenisko wypełniał popiół, lecz na podłodze leżało kilka suchych kłód, a w skrzyni liście i patyki na rozpałkę. Postawiłem pionowo jedną z kłód i rozłupałem ją Łamimieczem.

– Nieźle! – warknął Gylf i w tej samej chwili wydało się, że ktoś inny powiedział:

– Jedzenie... – Rozejrzałem się, lecz nie zobaczyłem nikogo. Zebrałem grubsze kawałki na podpałce i podpałem wszystko przy pomocy mojego krzesiwa i stali. Zostało nam trochę mięsa z żubra. Wyjąłem je i położyłem na palenisku.

– Weź, ile chcesz – powiedziałem do Gylfa. – ale zostaw mi kilka kawałków.

Potem wyszedłem, żeby przyciąć świeży patyk.

Mani

Przycinanie patyka nie trwało pewnie długo, ale w zimnym deszczu, kiedy wiedziałem, że w domu pali się ogień, wydawało się, że trwa to całe wieki. Uciąłem więc patyk i wróciłem do domu, a kiedy wchodziłem, wydało mi się, że słyszę jakąś rozmowę, która ucichła, kiedy tylko przekroczyłem próg.

Znikły dwa z kawałków mięsa, które zostawiłem na palenisku. Nabiłem jeden na patyk i przysunąłem mięso nad ogień, próbując się jednocześnie osuszyć. Gylf podszedł i położył się przy mnie, a ja zapytałem go:

– Z kim rozmawiałeś?

Potrząsnął łbem, po czym przeniósł się w suchy kąt pokoju i znowu się położył.

– Wiesz – powiedziałem – czasem żałuję, że nie jesteś zwykłym psem, który nie potrafi gadać. Gdybyś nim był, nigdy bym się na ciebie nie wściekał za to, że nie chcesz mówić. Tak jak teraz. Dobrze wiesz, że jest tu ktoś jeszcze oprócz nas, i ja też o tym wiem. Tylko że ty nic nie powiesz.

Nic nie powiedział; zdziwiłbym się, gdyby to zrobił.

Kiedy moje mięso już się prawie upiekło, powiedziałem:

– Wiem, że ktoś tu jest. Jestem rycerzem i moje słowo dużo dla mnie znaczy. Kimkolwiek jesteś, nie chcę cię skrzywdzić. Jeśli chcesz ten ładnie upieczony kawałek mięsa, to wyjdź i się przywitaj, a dam ci go.

Cisza.

Rozejrzałem się uważnie po pokoju, który teraz, w blasku ognia, był o wiele lepiej widoczny, niż kiedy przyszliśmy. Nie było tam nikogo poza mną i Gylfem, żadnych mebli, za którymi ktoś mógłby się ukryć.

Odgryzłem kawałek mięsa, przeżułem go i znowu się rozejrzałem

zamyślony. Na ścieżce też nikogo nie zauważyłem. Wystawiłem głowę przez jedyne okienko i wyjrzałem na zewnątrz, ale i tam nic nie zobaczyłem. Ciemne wejście prowadziło do małego pokoju w głębi domku. Stało w nim stare, rozklekotane sznurowe łóżko, na którym leżała tylko kupka brudnych gałganów.

– Gdyby tu nie było nikogo – powiedziałem głośno – mój pies rozmawiałby ze mną. Skoro chcesz się ukrywać, to cię poszukam. Chciałbym zjeść i wysuszyć ubranie. W porządku? Gdy tylko deszcze przestanie padać, pójdziemy sobie. Bez urazy.

Nikt nic nie odpowiedział, lecz Gylf podszedł do drzwi i pomachał ogonem, co oznaczało, że chce wyjść.

– Przecież nie jesteś uwiązany – powiedziałem. – Jeśli chcesz iść, nie będę cię zatrzymywał.

Wrócił w kąt pokoju.

– Czy to jest ktoś, kto mógłby wyrządzić nam krzywdę? – zapytałem go.

Zamknął oczy.

– Jak chcesz. – Wbiłem patyk w ostatni kawałek mięsa. – Nie będziesz ze mną rozmawiał? W porządku, to i ja przestanę się do ciebie odzywać.

Mięso było już prawie gotowe, kiedy usłyszałem szept:

– Proszę...? Rozejrzałem się.

– Jeśli chcesz kawałek, przyjdź i weź sobie. (Zwykłeś tak mawiać, kiedy podawałeś do stołu, pamiętasz?)

– Proszę...?

Tym razem zorientowałem się, skąd dochodzi szept. A jednak ktoś był w drugim pokoju. Zaniósłem tam mięso.

– Jesteś zbyt chory, żeby chodzić?

Nikt nie odpowiedział, ale kupka gałganów na łóżku poruszyła się. Wyciągnąłem przed siebie rękę z mięsem i nagle przestraszyłem się jak nigdy wcześniej w życiu.

– Ja... Dziękuję ci. Ty... miły dla starej kobiety. – Teraz będzie coś, w co,

jak się domyślam, nigdy nie uwierzysz. To mówił deszcz na zewnątrz. Krople stukały tak, że tworzyły słowa. Powiedziały: – Jej błogosławieństwo... gdziekolwiek...

Przykucnąłem przy łóżku przeświadczony, że pozwalam się przestraszyć, poddając się nastrojowi, i że na łóżku leży ktoś – musi tam być – kto potrzebuje pomocy.

– Może oderwę dla ciebie kawałek mięsa? – powiedziałem.

– Nigdy nie umrze...

Uznałem to za zgodę i oderwałem kawałek mięsa.

Pośród gałganów otworzyły się usta – a właściwie dziura. Włożyłem do niej kawałek mięsa. A potem z gałganów wynurzyła się jej głowa. Tylko jej głowa. Potoczyła się do miejsca, w którym były zerwane sznurki, i spadła na podłogę, a mięso wyleciało jej z ust.

Nigdy tego nie zapomnę. Chciałbym zapomnieć i próbowałem, ale nic z tego. Wciąż to widzę.

Nie było łatwo zmusić się, by ją podnieść, ale w końcu to zrobiłem. Przypominała w dotyku starą zwierzęcą skórę; nie czułem, żeby była brudna czy coś takiego. Zniosłem ją do drugiego pokoju, żeby pokazać Gylfowi, mogłem też ją tam lepiej obejrzeć w blasku ognia. Tkwiło na niej jeszcze kilka brudnych, siwych włosów, ale nie miała oczu.

– Do mnie też przemówiła – powiedziałem do Gylfa. – Ale chyba nic już więcej nie powie. Kiedy włożyłem jej do ust kawałek mięsa, zorientowała się, że nie żyje, a przynajmniej tak się wydaje. Odeszła, a więc możesz już mówić.

Naprawdę myślałem, że teraz Gylf zacznie mówić. Dlatego to powiedziałem. On tymczasem wstał i wyszedł na deszcz.

Początkowo zamierzałem wrzucić głowę do ognia. Myśl ta nie dawała mi spokoju, ale ostatecznie tego nie zrobiłem. Położyłem ją na palenisku i stanąłem na progu, by umyć ręce w deszczu, po czym ruszyłem za Gylfem.

Deszcz zelżał nieco przed zachodem słońca. Zdjąłem z siebie ubranie i je

wykręciłem. Było porządnie brudne, ale deszcz je wypłukał, a i mnie dobrze obmył.

– Zbroja mi zardzewieje – powiedziałem do Gylfa. – Nic na to nie poradzę. Rdzę zetrze piasek, jeśli w ogóle jakiś znajdziemy. A jak ją naoliwię, to już więcej nie zardzewieje. Albo ją posmaruję tłuszczem, jeśli nie znajdę oliwy. – Trząsałem się.

– Ogień? – Gylf przemówił po raz pierwszy, odkąd zamknął pysk w leśnym domku.

– Jeśli znajdę dość suchego drewna. Rozejrzę się.

– A ja zapoluję – odpowiedział Gylf.

Powiedziałem mu, żeby to zrobił, ale żeby też szukał drogi. Kiedy już się ruszył, przyszło mi coś do głowy.

– Zaczekaj. Nie rozmawiałeś chyba z tą zmarłą osobą, co? Bo jeśli tak, to chyba byś mi powiedział, kiedy przyniosłem głowę? To kto to był?

Nie patrzył na mnie.

– Myślałem, że to ta osoba. Ale przecież głos, z którym rozmawiałeś, było słyhać wewnątrz. Tymczasem gdy ona mówiła, głos dochodził z zewnątrz, w jakiś sposób deszcz mówił za nią. A poza tym te głosy się różniły. W porządku, skoro nie rozmawiałeś ze zmarłą osobą, to z kim?

Gylf odszedł, zanim skończyłem mówić. Zakląłem pod nosem, nazywając go upartym, głupim psem i tym podobne, a kiedy wreszcie się zamknąłem, ktoś powiedział przestraszonym, płaczącym głosem:

– To ja byłem.

Chwyciłem za Łamimiecz, lecz nikogo nie zobaczyłem.

– Masz wspaniałe mięśnie – powiedział nowy głos. – Dużo się rozciągasz? Skinąłem głową, wciąż się rozglądając i wciąż nie widząc nikogo.

– To tak jak ja. Pokażę ci takie drzewo, które pali się nawet, kiedy jest mokre. Chcesz je zobaczyć?

Usiłowałem się zorientować, czy jest to mężczyzna, czy kobieta, lecz uznałem, że głos może należeć do jednego lub do drugiego, a poza tym

pobrzmiwały w nim tony, które w ogóle nie pasowały do ludzkiego głosu.

– Tak – powiedziałem. – Możemy wykorzystać takie drewno. Pokaż mi, proszę, gdzie rośnie to drzewo.

– To zaledwie o rzut kamieniem. – Głos przybrał nutę niepokoju, niczym głos zmęczonego dziecka. – Myślisz, że będziemy mogli się ogrzać przy tym ogniu?

– Jasne – odparłem. – Założę buty, ale ubranie i zbroję zostawię :utaj. Dobrze będzie?

Nic nie odpowiedział, więc ja powiedziałem:

– Posłuchaj, nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz, ale może mógłbyś mi zdradzić, o czym tam rozmawialiście z Gylfem?

– On mnie nie lubi.

Wkładałem buty. To nigdy nie należy do przyjemności, lecz moje stopy były tak samo mokre jak buty, więc czułem się po prostu parszywie. Kiedy udało mi się włożyć lewy but, powiedziałem:

– Przykro mi to słyszeć.

– A ty co czujesz? To znaczy, jeśli o mnie chodzi? – Był to szemrzący, kwilący i popłakujący głos, który momentami przypominał wołanie mew.

Nie bardzo mi się podobał, ale miałem przeczucie, że szybko się do niego przyzwyczaję. A poza tym obiecał pokazać mi to drzewo, tak więc powiedziałem:

– Jest miło. Jeśli to drzewo, o którym wspominałeś, rzeczywiście jedzie się paliło, to będę twoim przyjacielem tak długo, jak zechcesz.

– Naprawdę? – Głos przybliżył się.

– Absolutnie – odparłem, wciągając drugi but.

– Byłeś miły dla wiedźmy, ale ja żyję.

– Dopiero potem się zorientowałem, że ona nie żyje – powiedziałem. – Nie wiedziałem też, że jest wiedźmą. Ze względu na ścieżkę myśleliśmy z Gylfem, że ona wciąż żyje.

– Och, czasem wstawała. I wychodziła.

Aż się wzdrygnąłem, co on zauważył i się roześmiał. Nie był to przyjemny śmiech ani też śmiech, jaki bym słyszał wcześniej. Kiedy wstałem, powiedział:

– Nazywają je smołową sosną. Mówiłeś poważnie? Odnosnie naszej przyjaźni? Będziesz musiał najpierw nastrugać trochę wiórów. Nie mówiłem, że nie trzeba będzie tego robić.

– Nie ma sprawy.

– A to o przyjaźni – zapytał – mówiłeś poważnie?

– Murowane – powiedziałem. – Zostaniemy kumplami do końca życia.

– No cóż, potrzebuję nowego właściciela, a rycerz mógłby być niezły, tylko że ty masz ten wielki luk. Czy cięciwa zmokła?

– Cięciwę mam schowaną w sakiewce. – Podniosłem ją i pokazałem mu. – Jest pewnie całkiem sucha, ale nie będę jej wyjmował, żeby się przekonać.

– Nie polubisz mnie.

– Lubię cię. Słowo – powiedziałem.

– Żeby zjeść. Pewnie nas nienawidzisz. Tak jak wielu ludzi, tak jak twój pies.

Próbowałem przypomnieć sobie, coś, czego bardzo nie lubiłem. Kiedy znajdowałem się w tym pomieszczeniu na liny na statku, początkowo nienawidziłem szcurów, ale potem uzmysłowiłem sobie, że to głupie. Przecież to tylko zwierzęta. Pewnie, że próbowałem je zabić, bo ugryzły mnie raz czy dwa podczas snu. Ale uznałem, że nie ma sensu ich nienawidzić, i przestałem. Ostatecznie powiedziałem sobie:

– Spróbuję niczego nie nienawidzić, nawet szcurów.

– Ja nie jestem szcurem.

– Nie powiedziałem, że jesteś.

Gałęzie krzaków z mojej prawej strony poruszyły się nieznacznie, zrzucając kilka kropli wody. Pomyślałem, że nie jest to nic dużego. W pewnym sensie miałem rację, ale z drugiej strony myliłem się.

– Czy jesteś niewidzialny? – zapytałem.

– Tylko w nocy. Idź za mną.

– Nie widzę cię.

– Idź za moim głosem.

Opuściłem polankę, na której miałem zamiar rozpalić ognisko, i ruszyłem przez las mokry po deszczu. Było mi piekielnie zimno.

– Tutaj.

I wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy (no, właściwie to drugi). Dostrzegłem coś czarnego na leżącej kłodzie, co znikło, zanim zdążyłem się lepiej przyjrzeć.

– Tutaj. Widzisz to drzewko?

– Chyba tak – odpowiedziałem.

– Odłam gałązkę i powąchaj ją. Zapamiętaj ten zapach. Jak sok skapnie ci na ręce, będą ci się lepić.

Z torby, w której trzymałem też cięciwę, wyjąłem niewielki nóż, którym wystrugałem mój łuk. Najpierw zgodnie z jego poleceniem odłamałem gałązkę, a potem odciąłem kilka następnych.

– Widzisz, jak leci sok, tam, gdzie zraniłeś drzewo?

– Pewnie – odparłem. – Będzie się palić.

– Będzie. Igły też.

Zaniosłem gałęzie do miejsca, gdzie zostawiłem swój pas i inne rzeczy, i zestrugałem je na wiórki, aż usypałem duży stos takich kawałków i igieł mokrych od soku. Kiedy skończyłem, mój nóż był czarny. Podobnie jak moje ręce.

– Też tego nie lubię – powiedział cichy głos – ale kolor jest ładny.

– Masz na myśli kolor soku. Wydaje się czarny, ponieważ brud się do niego przykleja. – Próbowałem wytrzeć dłonie o mokre liście, lecz bez większego sukcesu.

– Czarny to najwyraźniejszy kolor i najlepszy. Najbardziej dramatyczny.

– W porządku – powiedziałem. – Wszystko mi się podoba, bez względu na kolor, jeśli tylko to się będzie palić. – Przestałem wycierać ręce i

sięgnąłem po krzesiwo i stal. Gdy tylko iskry sypnęły się gęściej, od razu zatańczył syczący płomień.

– Widzisz?

– Pewnie, że widzę. – Zbierałem patyki i dorzucałem do ognia. – Wiesz co? Jesteś całkiem sympatycznym kotem.

– Widziałeś mnie?

– Tak, jak uciekałeś na strych. To byłeś ty.

– I nie nienawidzisz nas? Bo wielu ludzi nas nie lubi. – Kot wychylił głowę z kępy kwiatów po drugiej stronie polanki. Był bardzo mały jak na osobę, i cholernie duży jak na kota, chyba największy, jakiego widziałem.

– Lubię cię – powiedziałem. – Chciałbym cię pogłaskać. To znaczy, kiedy będę miał czyste ręce.

– Mógłbyś je oblizać, czy nie? – Kot nie miał pewności co do tego, ale chciał to wypróbować na mnie. – A tak przy okazji, nazywam się Mani.

– A ja jestem sir Able Wielkie Serce – powiedziałem. – Miło cię poznać, Mani.

Kiedy rozpałem naprawdę duże ognisko, Mani ocierał się już o moje nogi.

Dobry mistrz Crol

– Króliki. Najlepsze, jakie udało mi się złapać. – Gylf położy: króliki na ziemi blisko mojej głowy. – Ale znalazłem go.

Usiadłem, przecierając oczy.

– Znalazłeś Wojenny Trakt? – Tak.

– Cudownie!

Gylf chrząknął i położył się. Widać było, że jest zmęczony.

– Ludzi też znalazłem.

Obcinałem łapy i głowę największego z królików, tak bym mógł go obdrzeć ze skóry.

– Miłych ludzi?

– Próbowali mnie uwięzić.

– Rozumiem. Czy to byli jacyś drwale albo ktoś taki? Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Nie wiem.

Zdejmowałem skórę z królika.

– Upieczesz coś dla mnie?

– Jasne. Nawet całego królika, jeśli chcesz. W końcu ty je upolowałeś.

Mani odezwał się ze swojego miejsca na gałęzi jakieś dziesięć stóp w górze:

– Mógłbyś rzucić tu tę głowę, jeśli nikt jej nie chce tam na dole. Gylf zawarczał.

Złapałem króliczy łeb za uszy i rzuciłem między liście, gdzie go przechwycił Mani.

– Mani jest naszym przyjacielem – powiedziałem do Gylfa. Gylf tylko

pokręcił łbem.

– Daj sobie spokój z tym niegadaniem w jego obecności. On przecież nie jest mężczyzną czy kobietą ani nawet żadnym Aelfem. Jest takim samym zwierzęciem jak ty, a poza tym i tak już słyszał, jak mówisz. Przecież do niego mówiłeś, kiedy mnie tam nie było.

– Zgadza się.

– Dzięki. – Wytarmosiłem go za uszy. – Jesteś najlepszym psem pod słońcem, wiesz o tym? A także moim najlepszym przyjacielem.

Mani zapytał ze swojego miejsca na gałęzi:

– Znasz jakieś Aelfy? Tak zrozumiałem.

– Tak. Kiedy się spotkaliśmy, myślałem, że jesteś jednym z nich. Ale kiedy rozpalaliśmy ogień, do pokoju zajrzało na chwilę słońce, a ty się przed nim nie schowałeś.

– Jestem kotem – wyjaśnił Mani. Gylf wykrzywił pysk.

– Rozumiem. Gylf, a może byś mi powiedział, o czym rozmawiałeś z Manim, kiedy wszedłem do domu? Czy jest to coś, o czym powinienem wiedzieć?

Potrząsnął energicznie łbem, aż zatrzepotał uszami.

– Nie!

– Wstydzisz się tego, co powiedziałaś? Wszyscy gadamy różne rzeczy w złości, których się potem wstydzimy.

Nic nie odpowiedział.

– Wszyscy gadamy – powiedziałem – ale tylko wielki pies potrafi się do tego przyznać. – Poczułem się trochę głupio, ale szczerze mówiąc, wolałem wtedy rozmawiać ze zwierzętami niż z ludźmi.

– Wstydzi się tego, że rozmawiał ze mną – wyjaśnił Mani – tak samo jak ja wstydzę się tego, że gadałem z psem. Pamiętasz pewnie to mięso, które zostawiłeś na palenisku.

Wtedy przypomniałem sobie o królikach i zabrałem się z powrotem do pracy.

– Objadał się nim, a ja, strasznie wygłodzony, zwędziłem mu zręcznie kawałek spod żarłocznego pyska.

– Rozumiem. – Wstałem, żeby uciąć świeży patyk.

– Wyzywał mnie, jak to psy. Perfidnie mnie wyzywał. Próbowałem mu powiedzieć, że sam jest zwykłym włóczęgą, który wlaźł do domu mojej pani bez zaproszenia czy też usprawiedliwienia. Wtedy on poinformował mnie – przemilczę jego zniewagi – że jest psem szlachetnego rycerza, i podał twoje imię.

Nabiłem na patyk królika, którego zamierzałem upiec dla Gylfa.

– Zauważyłem, że nie próbowałaś ukraść mięsa, kiedy opraciałem króliki.

– Mam nadzieję, że upieczesz dla mnie kawałek z jednego z tych, które jeszcze zostały – rzucił Mani uprzejmie.

– Masz jeszcze łeb – zauważyłem, przysuwając królika nad ogień.

– To prawda. Dziękuję ci za niego.

– W takim razie Gylf dostanie pierwszy kawałek. Potem ja, bo w ogóle jeszcze nie jadłem. Ty też dostaniesz, jak coś zjemy.

– Wierzę w twoją hojność.

– Będziesz rozmawiał ze mną przy innych ludziach? Bo Gylf nie chce.

– Świetnie! Niech przyjdą, to przynajmniej będzie siedział cicho. – Mani rzucił na ziemię czaszkę królika. – feśli o mnie chodzi, to zależy, co to za ludzie. Co myślą o kotach i tak dalej. Zobaczę. – Zaczął czyścić swoje łapy.

– Ja też. Masz coś przeciwko sprawdzianowi?

Nic nie odpowiedział, a ja uznałem, że jego milczenie wyraża zgodę, i zawołałem:

– Uri! Baki! Jesteście mi potrzebne.

Spodziewałem się, że któraś z nich albo nawet obie wynurzą się z cienia otaczających nas drzew, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Uri! Baki!

Mani zakasłał uprzejmie.

– Bez obrazy, ale jak będziesz się tak wydzierał, to możesz sprowadzić

nieproszonych gości.

– Wściekają się na mnie, że każę im tu siedzieć, kiedy świeci słońce – wyjaśniłem. – Słoneczny blask specjalnie im nie szkodzi, o ile słońce nie świeci bezpośrednio na nie, mimo to go nie lubią.

– Rozumiem, że Uri i Baki są Aelfami. Uważaj na nasze mięso, proszę. Spojrzałem na mięso.

– Naprawdę znasz Aelfy? To znaczy, jesteś z nimi w dobrej komitywie? Tak na co dzień?

– Nie jestem z nimi zaprzyjaźniony aż tak bardzo, jak bym pragnął się przyjaźnić z jedną z nich – powiedziałem.

Mani chciał, żeby mu o tym opowiedział coś więcej, więc to zrobiłem, ale mi się to nie spodobało. Kiedy się zorientował, przestał wypytywać. Upiekliśmy pozostałe króliki i podzieliliśmy je między siebie, ale spożyliśmy je raczej w milczeniu.

Trawa wciąż była mokra od deszczu, kiedy następnego ranka weszliśmy na Trakt Wojenny. Gylf pokazywał mi drogę, a Mani, kiedy nie jechał na moim ramieniu, trzymał się z tyłu, by pozostać z dala od Gylfa. Po jakiejś pół godzinie szybkiego marszu ujrzeliśmy duże namioty, przy których krzątali się zaspani służący doglądający też setki albo więcej mulów i koni. Drogę zastąpił nam zbrojny i jego towarzysz.

– Jestem sir Able Wielkie Serce – przedstawiłem się – rycerz z zamku Sheerwall, który się zgubił w lesie. Jeśli pożyczycie mi konia, będę wdzięczny i oddam go, gdy tylko połączę się znowu z moim służącym, który ma nasze konie.

Zbrojny przywołał swojego sierżanta i jakiegoś innego starszego zbrojnego, który nosił stalową czapkę i skórzaną koszulę. Kiedy wyjaśniłem wszystko jeszcze raz, sierżant powiedział:

– Będziesz musiał porozmawiać z mistrzem Crołem, sir. To twój pies?

– Tak. Wabi się Gylf.

– Widzieliśmy go wczorajszego wieczora i próbowaliśmy złapać, ale się

nam wymknął. Dobry na polowanie?

– Nie ma lepszego.

– Chodź ze mną, sir. – Sierżant poklepał Gylfa po łbie, a ten mu na to pozwolił, by pokazać, że nie żywimy złych zamiarów.

– Jedliście śniadanie? Pokręciłem głową.

– Wczoraj wieczorem zjedliśmy kilka królików i szczerze mówiąc, ucieszyłem się, że nam się trafiły. Musiało tego starczyć dla Gylfa, mnie i mojego kota, więc żaden z nas się nie najadł.

– Masz kota, sir? – Sierżant rozejrzał się, lecz nigdzie nie zobaczył Maniego.

– Jest tu gdzieś. – Uśmiechnąłem się mimowolnie. – Staje się niewidoczny tylko w nocy i pokazuje się dopiero wtedy, gdy się przekona, jakie kto żywi zamiary.

Gylf szczechnął cicho.

– No cóż – powiedziałem. – Ja rozmawiam z moim kotem. Dużo można się nauczyć od takiego kota.

Służący wniósł do najbliższego namiotu dużą tacę pełną parującego jedzenia.

– To śniadanie dla mistrza Crola – powiedział sierżant – i innych wyższych sług, sir. Zobaczymy, czy mistrz Crol zechce z tobą rozmawiać podczas śniadania. Jeśli tak, to może i tobie trafi się jakiś kąsek.

Wyraziłem nadzieję, że tak się stanie.

– Mistrz Crol lubi koty, jak sądzę. W zamku ma ich z tuzin. Byłoby lepiej, gdybyś zostawił ze mną psa, sir. Nie stanie mu się żadna krzywda.

– Wiem, że nie – odpowiedziałem – ale wezmę go ze sobą. Jeśli mistrz Crol będzie miał coś przeciwko niemu, to go wyprowadzę.

Sierżant uśmiechnął się i dotknął stalowej czapki.

– Zaczekaj tu, sir. To nie potrwa długo.

Trwało dłużej, niż się spodziewałem, ale w tym czasie zdążyłem się rozejrzeć dobrze po dużym obozie, drapiąc Gylfa za uszami. Zauważyłem

tam z pięćdziesięciu różnych służących, a także łuczników i zbrojnych.

– Przyjmie cię teraz, sir – oświadczył sierżant, kiedy wyszedł z namiotu. Gdy zbliżył się do mnie, dodał ściszym głosem: – Wspomniałem mu o psie, a on powiedział, że nie ma nic przeciwko niemu.

We wnętrzu namiotu panował półmrok, lecz mimo to zobaczyłem trzech mężczyzn siedzących przy stole.

– Dobry mistrz Crol?

Mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie dał mi znak, bym podszedł bliżej.

– Ty jesteś sir Able, jeden z rycerzy księcia Mardera? Potwierdziłem.

– Zgubiłeś się? I jesteś głodny?

– Przede wszystkim chciałbym pożyczyć porządnego konia – powiedziałem – ale i przegryzłbym coś, jeśli nie sprawię kłopotu.

– A jeśli sprawisz?

Nie potrafiłem powiedzieć, czy szuka zaczepki, czy tylko żartuje.

– W takim razie pożycz mi konia, proszę, i już mnie nie ma. Klasnął w dłonie.

– Nie masz na czym siedzieć, sir Able. Czy ten pies je tyle, na ile wygląda?

Gylf pomachał ogonem, a ja powiedziałem:

– Więcej.

– Każę przynieść też coś dla niego. Jeden z jego ludzi wstał.

– Najadłem się już, trzeba doglądnąć ludzi. Zajmij moje miejsce, sir Able, jeśli chcesz.

Podziękowałem mu i usiadłem.

– Mam też kota. Gdzieś się chyba schował.

– Rozumiem.

– Chciałbym dać mu coś do jedzenia, jak już się znajdzie. Wszedł służący i Crol polecił mu zabrać brudną tacę, na której jadł jego człowiek, i przynieść czystą.

– Przynieś też kości. Tylko żeby było na nich trochę mięsa.

– Jestem mistrz Papounce – przedstawił się mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie. – Trzymam pieczę nad służbą. Mistrz Egr, który właśnie wyszedł, ma pod sobą poganiaczy mułów i cały tabor. Sir Garvaon dowodzi zbrojnymi i łucznikami.

– Mieszkają w dużym namiocie – dodał Crol. – Potrafisz się posługiwać tym łukiem?

To samo pytanie zadał mi już mistrz Agr.

– Potrafię strzelać nie gorzej od innych mężczyzn – odparłem.

– Możliwe, że będziemy mieli wieczorem zawody – rzucił Papounce. – Sir Garvaon jest wybornym łucznikiem.

– Będę już daleko przed wami – powiedziałem – jeśli pożyczycie mi konia.

– To zależy od mistrza Crola. Jest heroldem lorda Beela i ma pod sobą wszystko z wyjątkiem ludzi sir Garvaona.

Crol pokręcił głową.

– Jego Lordowska Mość musi go zobaczyć. Ja...

Dwaj służący wnieśli czystą tacę dla mnie, a na niej masło, koszyk z bułkami, a także ogromną miskę pełną kości i ochłapów dla Gylfa.

Kiedy wyszli, a Gylf zaczął chrupać kości, Crol pociągnął za swoją brodę. Nosił czarny zarost w kształcie trójkąta, a jego twarz wydawała się na tyle stara, że zacząłem się zastanawiać, czy aby ta czerń nie jest farbowana.

– Nie jesteś szlachetnie urodzony, sir Able? – powiedział.

Potrząsnąłem głową i spróbowałem mu wytłumaczyć, że mój ojciec prowadził sklep z towarami żelaznymi, lecz gdy się zorientowałem, że może mnie to tylko pograżyć, dodałem, że wychował mnie brat Bertold Śmiały, który był wieśniakiem.

– Ale czy nie jesteś rycerzem? – zapytał Papounce. – Tam nam powiedziano.

– Jestem – odparłem. – Jestem w rycerzem w służbie księcia Mardera z Sheerwall.

– Moi rodzice też byli wieśniakami – rzekł Crol. – Ja zostałem wojownikiem. Ojciec był ze mnie dumny, ale bracia mi zazdrościli.

– Bertold Śmiały byłby ze mnie dumny, wiem to – powiedziałem. – Gdybym znowu był młody, sprawiłbym mu drucianą koszulę i metalową czapkę. Nie znałem dzielniejszego człowieka, do tego był tak silny, że potrafił poradzić sobie z bykiem.

– Ty jesteś silny? – Zęby Crola błysnęły między jego czarną brodą i czarnymi wąsami.

Wzruszyłem ramionami. Wyciągnął rękę nad stołem.

– Ściśnijmy sobie dłonie.

Źle chwyciłem i dłoń Crola (większa nawet niż moja) zacisnęła się na mojej ręce niczym imadło. Przestałem myśleć o bólu i wzbudziłem w sobie moc burzy ciskającej falami o skaliste wybrzeże, na którym stałem z Garsecgiem, a każda fala niosła otoczaki, jakby to były piłeczki pingpongowe.

– Wystarczy. Zwolniłem uścisk.

– Gdybym był księciem Marderem, sam bym cię pasował na rycerza. Nie mam pojęcia, co powie o tobie lord Beel. Najadłeś się? Jeśli tak, to możemy pójść i sprawdzić, czy on i jego córka już wstali. – Papounce nachylił się do Crola i szepnął mu coś do ucha, a ja skorzystałem z okazji i wepchnąłem w siebie jeszcze trochę szynki.

– Nie wspomnę nic o twoim ojcu i bracie – zwrócił się do mnie Crol. – Okażesz rozsądek, jeśli też nie będziesz o nich wspominał.

– Tak zrobię, chyba że lord Beel...

Coś dużego, ciężkiego i puszystego wylądowało na moich kolanach i nad krawędzią stołu pojawiła się głowa Maniego (większa niż moja ręka), który wbił wzrok w moją tacę. Uśmiechnąłem się, a Crol i Papounce wybuchli śmiechem. A potem z wielkiej czarnej łapy wysunęły się pazury na tyle duże, że mogłyby chwycić łososia, i porwały resztę mojej szynki.

– W porządku. Zostaniemy jeszcze chwilę – rzucił Crol.

– Dzięki. Chciałem powiedzieć, że nie wstydzę się swojej rodziny. Mogę poczuć się zraniony, podobnie jak w Sheerwall, lecz żadne słowa nie sprawią, żebym się ich wstydził. A co do Bertolda Śmiałego, to opowiadałem ci o nim. Opowiadałem też o nim sir Ravdowi, i jego zdanie było bardzo zbliżone do mojego.

– Z tego, co słyszałem, to dzielny rycerz – rzekł Papounce.

– Nie żyje – wyjaśniłem im. – Zmarł przed czterema laty. – Odsunąłem stółek i wstałem.

Zbyt łaskawy

Namiet Beela był najokazalszy. Miał ściany i dach z purpurowego jedwabiu, a linki uplecione ze srebrnego jedwabiu. Paliki wytoczył tokarz z jakiegoś ciemnego drewna, które w słońcu nabierało purpurowego odcienia. Strzegący wejścia zbrojni zsalutowali Crolowi, a w tej samej chwili z namiotu wyszły pospiesznie trzy służące podobne do stadka rozświetgotanych wróbli; pierwsza z nich niosła misę z gorącą wodą, druga ręczniki, a trzecia mydło, gąbki i coś jakby kupkę bielizny.

– Będziemy musieli poczekać – oświadczył Crol. Jeden ze zbrojnych uderzył w pał namiotu i zaraz w wejściu ukazał się służący o twarzy przebiegłej myszy, który polecił nam wejść.

Beel siedział przy składanym stole, na którym stała taca z dymiącymi jeszcze i skwierczącymi przepiórkami; jego córka, może szesnastoletnia dziewczyna o oczach sarny, siedziała obok niego na składanym krześle i skubała kawałki przepiórczego mięsa.

Sam Beel, mężczyzna w średnim wieku, tak niski, że rzucało się to w oczy nawet wtedy, gdy siedział, spojrzał uważnie na Maniego, Gylfa i na mnie, po czym uśmiechnął się i powiedział:

– Widzę, mistrzu Crolu, że przyprowadziłeś do mnie rycerza czarnoksiężnika. A może szalonego rycerza. Co powiesz?

Crol chrząknął.

– Dzień dobry, wasza lordowska mość. Ufam, że dobrze spałeś. Beel skinął głową.

– Uznałem, że lepiej będzie, jeśli pozwolę sir Able'owi przyprowadzić tu psa i kota, wasza lordowska mość, bo i tak wasza lordowska mość miał o

nich usłyszeć. Wtedy z pewnością wasza lordowska mość zapytałby mnie, dlaczegoż to nie pozwoliłem waszej lordowskiej mości zobaczyć ich na własne oczy, i całkiem słusznie. Jeśli będą zachowywać się niestosownie, każemy je wyprowadzić, wasza lordowska mość.

Słaby uśmiech powrócił na usta Beela, kiedy ten powiedział do mnie:

– Zwykle widuję tylko mojego herolda z kotem na ramieniu. To dla mnie coś nowego dowiedzieć się, że ktoś jeszcze nosi swojego kota. Czy lubisz je tak bardzo jak Crol?

– Tego tak, panie – powiedziałem.

– Wreszcie ktoś rozsądny. On ma ich z tuzin, przysięgam. Najbardziej lubi białego, który jednak ani trochę nie dorównuje rozmiarami temu potworowi. Myślisz, że miałby ochotę na ptaka?

Beel podniósł kuropatkę, a Mani od razu zeskoczył z mojego ramienia na stół, chwycił kuropatkę w przednie łapy, po czym uklonił się z wdziękiem nieznacznie, zeskoczył na ziemię i zniknął za obrusem.

– Wiedźma, czarodziej albo czarownik – mruknął Beel. – Zostaw nas samych, mistrzu Crolu.

– Ale, wasza lordowska mość...

Beel nakazał mu milczenie gestem dłoni, a kolejnym wyprosił go.

– Czy to czary, sir Rycerzu? Czy jesteś wiekowym starcem? W jakiej postaci byś się ukazał, gdyby uderzył cię w twarz różdżką z oczaru?

– Nie wiem, panie – odparłem. – Tak naprawdę to jestem chłopcem mniej więcej w wieku twojej córki. Może gdybyś to zrobił, takim byś mnie zobaczył. Nie mam pewności.

Jego uśmiech zadrżał i zgasł.

– Znam to uczucie, sir Able, dobrze mówię? Jesteś rycerzem? Tak mi wszyscy mówią.

– Tak, panie. Nazywam się sir Able Wielkie Serce.

– Czy chciałbyś podróżować z nami do Jotunlandu? Tak wywnioskowałem z rozmowy z moim człowiekiem.

– Nie, panie. Chcę tylko pożyczyć konia, żeby dogonić służącego. – I wtedy pomyślałem, że może Pouk mijają ich gdzieś po drodze, więc zapytałem:
– Spotkałeś go może? Młody, z dużym nosem i jednym okiem.

Beel potrząsnął głową.

– Założmy, że dam ci konia, i to dobrego. Wtedy nas opuścisz?

– Natychmiast, panie, jeśli taka będzie twoja wola. Oddam konia, jak tylko to będzie możliwe.

– Jedziemy na północ i zatrzymamy się dopiero w Utgardzie. Pojedziesz tam za nami? Żeby zwrócić konia?

– Wyprzedzę was – wyjaśniłem mu. – Mam się ustawić przy górskiej przełęczy i wyzwać każdego, kto będzie tamtędy przejeżdżał. Zanim staniemy naprzeciw siebie, zwrócę ci konia i podziękuję za niego.

Córka Beela zachichotała.

Ojciec posłał jej spojrzenie, które zamknęłoby usta prawie każdemu.

– Ja jadę z rozkazu króla, sir Able.

– To wielki zaszczyt, panie. Zazdroszczę ci – powiedziałem.

– Mimo to mnie wyzwiesz?

– Tak mi nakazuje honor, panie. Albo będę walczył z twoim rycerzem, jeśli wyznaczysz takiego.

Beel skinął głową.

– Jest ze mną sir Garvaon, najdzielniejszy z moich rycerzy i najwyborniejszy. Wystarczy?

– Nie ma sprawy, panie.

– Czy kiedy ci rozbije głowę i połamię kilka innych kości, będziesz oczekiwał, że opóźnimy naszą misję, żeby się tobą zająć?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem.

– Nie uważasz się za niezwycięzonego? Pytam, bo mówiono mi, że tak jest?

– Nie, panie. Nigdy niczego takiego nie powiedziałem i nigdy nie powiem.

– Nie mówiłem, że powiedziałeś, a tylko, że mi przekazano, iż tak

myślisz. Wczoraj sir Garvaon wspominał, że jeden z jego ludzi przegonił kulawego żebraka.

Zamilkł, czekając, aż coś powiem, tak więc odpowiedziałem mu:

– Mam nadzieję, że dał mu coś, zanim go odprawił.

– Wątpię. Kazałem go do siebie przyprowadzić. Widok żebraka nie dziwi w Kingsdoom, ale nie na takim pustkowiu, tak więc chciałem się dowiedzieć, co ten żebrak tam robił. Powiedział człowiekowi sir Garvaona, że szuka najszlachetniejszego z rycerzy, sir Able'a, który obiecał przyjąć go do służby u siebie. Wyglądasz na zdziwionego.

Przyznałem, że jestem zdziwiony.

– Kim był ten żebrak, sir Able? Potrafisz powiedzieć? Potrząsnąłem głową.

– Pewnie wcześniej obdarowałeś go kilkoma monetami i dobrym słowem – wtrąciła córka Beela. Na dźwięk jej miękkiego głosu przypomniałem sobie gitarę, na której pewna dziewczyna grała sama nocą w ogrodzie.

Czekałem, że powie coś jeszcze, ponieważ chciałem jeszcze posłuchać jej głosu, lecz już tylko milczała, tak więc powiedziałem po chwili:

– Jeśli nawet, panie, to całkiem o tym zapomniałem.

– Dobrze powiedziane – rzucił Beel, jakby mówił do samego siebie, choć tak nie było. – Mój dziadek był też dziadkiem Jego Królewskiej Mości, sir Able.

Skłoniłem głowę, nie bardzo wiedząc, czy powinienem to zrobić, czy nie.

– To zaszczyt rozmawiać z tobą, panie.

– Mój ojciec był księciem, młodszym bratem ojca Jego Królewskiej Mości. To nie lada wyróżnienie.

– Wiem – powiedziałem.

– Ja sam jestem zaledwie baronem, lecz mój starszy brat jest księciem. Gdyby on i jego syn zmarli, ja bym został księciem, sir Able.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc tylko skinąłem głową.

– Zaledwie baronem. A mimo to mój kuzyn darzy mnie zaufaniem. Tak

więc zostałem wysłany ze szczodrymi podarunkami do króla Angronitów z nadzieją, że moje protesty położą kres jego najazdom. Nie opowiadam ci tego wszystkiego, sir Able, żeby się chwalić. Nie muszę się chełpić ani starać się, by wyrzeć na tobie wrażenie. Wspominam o tym, abyś zrozumiał, że wiem, o czym mówię.

Jeszcze raz skinąłem głową.

– Nie wątpię w to, panie.

– Mógłbym ci wymienić wszystkich królów szlachetnie urodzonych – podać nie tylko ich imiona, lecz także rodzinne koneksje i bohaterskie czyny każdego z nich. Nie tylko kilku. Nawet nie większości, a wszystkich.

– Rozumiem, panie.

– Znam też wszystkich młodych szlachetnie urodzonych mężczyzn pasowanych na rycerzy. I powiem ci, że w całym Celidonie nie ma szlachetnie urodzonego rycerza o imieniu Able. Ani nawet szlachetnie urodzonego młodziana o tym imieniu, który by aspirował do stanu rycerskiego.

Powinienem był się wcześniej zorientować, do czego zmierza, ale dopiero teraz się połapałem.

– Nie jestem szlachetnie urodzony, panie – rzekłem. – A ten żebrak powiedział pewnie, że jestem? Prawdopodobnie nic o mnie nie wie.

– Croi myślał, że jesteś szlachetnie urodzony. Wyczułeś to? Pokręciłem głową.

– Powiedziałem mu, że tak nie jest.

– Ale on tak myślał. Na to wskazywało jego zachowanie. Twoja wspaniała postura, budowa i twarz – przede wszystkim twarz – z pewnością przemawiałyby na twoją korzyść, gdybyś twierdził, że jesteś szlachetnie urodzony.

– Nie będę tak twierdził. – Poczułem się jak czasem w szkole i trudno było usiedzieć na miejscu spokojnie.

– Miałem ochotę zaprosić cię do stołu, kiedy cię przyprowadził Crol.

Wciąż mam na to ochotę.

Jego córka uśmiechnęła się przyjaźnie, co mogło oznaczać, że nie ma nic przeciwko temu.

Beel zakasłał.

– Jednak tego nie zrobię, sir Able. Musisz wiedzieć, że nie mam w zwyczaju siadać przy jednym stole z niżej urodzonymi ode mnie.

– To twój stół – powiedziałem.

– Owszem. Zasiadanie przy jednym stole skłania do poufałości i potem muszę karać ludzi, których sam zepsułem. – Beel pokręcił głową. Zdarzyło się to raz czy dwa. Nic przyjemnego.

– Zapewne – powiedziałem.

– To prawda. Ale...

W tym momencie wtrąciła się córka:

– Czy mogę pogłaskać twojego kota? – Gdy tylko to powiedziała, Mani wynurzył się spod stołu i wskoczył jej na kolana.

– Zapytałem mężczyznę, którego wypytywałem, czy ten szlachetny rycerz, o którym mówił wieśniak, uważa się za niepokonanego. – Spodziewałem się raczej, że Beel się rozgniewa, on tymczasem tylko się uśmiechnął, czekając na moją odpowiedź.

– Zabawne pytanie, jak się wydaje – powiedziałem. – Wątpię, czy w ogóle istnieje taki rycerz.

Muszę tu przerwać i wyjaśnić, że namiot Beela był przedzielony zasłoną na dwie części – wykonaną także ze szkarłatnego jedwabiu, lecz nie tak grubego jak ten, z którego uszyto ściany i sufit. Wspominam o tym, ponieważ w pewnym momencie zza zasłony wyjrzała uśmiechnięta Baki.

– Zgadzam się – rzekł Beel. – Może raczej dziwne pytanie. Zadałem je ze względu na to, co powiedział mi poprzedniego dnia jeden z synów mojego krewnego, lorda Obra.

Czasem potrafię być głupi, ale tym razem od razu zrozumiałem, kogo ma na myśli.

– Giermek Svon?

– Tak. Znasz go chyba.

– Jest moim giermkim, panie. Beel pokręcił głową.

– Już nie, jeśli cię opuścił. Powiedział, że tego nie zrobił, lecz podejrzewam, iż jest inaczej.

– Nie zrobił tego. – Łatwo mi przyszło to powiedzieć, a myślałem, że będzie gorzej; wiedziałem, że taka jest prawda, i chciałem ją ujawnić.

– Miło mi to słyszeć. Udajesz się w Góry Północne, żeby się ustawić przy przełęczy. Na jak długo, sir Able?

– Aż lód skuje morze, panie. W Zatoce Forcetti.

– Innymi słowy do połowy zimy. – Beel westchnął. – Nie zdziwiłbym się, gdybyś mi powiedział, że Svon cię opuścił.

Potrząsnąłem głową.

– Nie zrobił tego.

Beel znowu westchnął i odwrócił się do córki.

– Jest krewnym ze strony twojej babki, młodszy syn lorda Obr. A Obr jest siostrzeńcem twojej ciotecznej babki.

Skinęła głową.

– Młody Svon opowiadał mi różne rzeczy. Nie jest przyjemnie poddawać w wątpliwość prawdomówność szlachetnie urodzonych, lecz jego... on...

Machnąłem ręką.

– Rozumiem.

– Idnn też zapewne rozumie – rzucił Beel i ponownie spojrzął na nią. – Był giermkim niejakiego sir Ravda, rycerza wielkiej sławy. Ponoć opuścił go na polu bitwy. Nie twierdzę, że to uczynił – raczej wątpię. Lecz ma taki charakter, że można by uwierzyć w podobne kłamstwo. Rozumiesz?

– Poznałeś go pewnie lepiej niż mój ojciec, sir Able – powiedziała córka.
– Wierzysz w to?

– Nie, pani – odparłem. – Nigdy nie wierzę w podobne gadanie, dopóki nie zobaczę dowodów, a takich nikt chyba nie przedstawił.

Słaby uśmiech znowu powrócił na usta Beela.

– Zapytałem go, co robił na tym pustkowiu, bo każdy zadałby mu podobne pytanie. Wiele mi opowiadał, lecz nie we wszystko uwierzyłem. Wyznał między innymi, że został giermkim wieśniaka, którego teraz nazywają rycerzem.

– Ty, sir Able, jesteś, ma się rozumieć, szlachetnie urodzony?

– Nie jestem. Nie będę się rozwodził nad moją rodziną – i tak byś nie uwierzył. Ale generalnie rzecz biorąc, Svon ma rację.

Oczy Beela tylko trochę się rozszerzyły.

– Niemniej jednak to chcę powiedzieć. Posłuchaj, proszę. Naprawdę jestem rycerzem i w niczym cię nie okłamałem. Twojego herolda też nie okłamałem. Ani sierżanta, który mnie do niego zaprowadził.

Gylf trącił moją nogę, by mi zasygnalizować, że jest po mojej stronie.

– To przedstawia wszystko w nowym świetle. – Beel klasnął w dłonie i do namiotu natychmiast wbiegł myszowaty służący.

– Swert, zbyt długo kazaliśmy stać sir Able'owi. Przynies krzesło. Służący skinął głową i pobiegł po krzesło.

– Chcę się upewnić, że dobrze zrozumiałem. Twój ojciec był wieśniakiem.

– Mój ojciec sprzedawał młotki i gwoździe. I tym podobne rzeczy. Zmarł, kiedy byłem jeszcze młody, więc muszę przyznać, że prawie go nie znałem. Lecz wiem, co mówił mój brat i co mówili inni ludzie. Gdybyśmy byli z powrotem w domu, pokazałbym ci, gdzie miał sklep.

– Dobrze. Dobrze! A w jaki sposób poznałeś sztukę tajemną? Czy wolno mi o to zapytać? Kto cię jej nauczył?

– Nikt, panie – odpowiedziałem. – Nic nie wiem o magii. Idnn zachichotała.

– Rozumiem. Widzisz, Idnn, człowiek składa przysięgę. Przysięgę, której mu nie wolno złamać. – Beel uśmiechnął się do mnie. – Sam jestem adeptem, sir Able. Nie będę cię więcej wypytywał, jeśli i ty nie będziesz zadawał pytań. Ale mogę powiedzieć, że młody Svon, będąc w twoim towarzystwie,

zauważył pewne... nieprawidłowości to chyba zbyt mocne słowo. Pewne zjawiska.

Służący przyniósł krzesło, bardzo ładne, ze srebrnymi okuciami. Rozłożył je i postawił przy stole naprzeciwko Idnn. Beel skinął głową, a ja usiadłem, ostrożnie, ponieważ nie miałem pewności, czy krzesło wytrzyma mój ciężar. Gylf położył się przy mnie.

– Znaczoną część swojego dzieciństwa spędziłem w wiejskim domu – mówił dalej Beel. – Był to dom mojej niańki, która mieszkała tuż za murami Coldcliff, zamku mego ojca. Kiedy moi starsi bracia szli na lekcje w pokoju dzieciennym, niańka zabierała mnie do swojego domu, żebym mógł się pobawić z jej dziećmi. Świetnie się bawiliśmy i biegaliśmy po lesie. Łowiliśmy ryby i pływaliliśmy. Ty też pewnie tak się bawiłeś.

Skinąłem głową, sięgając pamięcią wstecz.

– Rzeczywiście, i jeszcze czasem kładłem się na plecach w trawie i obserwowałem chmury. Chyba tego nie robiłem, odkąd tu przybyłem.

Beel odwrócił się do Idnny.

– Dobrze, że możesz tego wszystkiego posłuchać, choć pewnie tak nie myślisz.

– Oczywiście, że to dobrze, ojcze – odpowiedziała.

– Ty widzisz naszych chłopów głównie jak orzą i sieją, a ich kobiety przędą; harują często od świtu do nocy. Lecz musisz zrozumieć, że mają własną dumę i własne przyjemności. Bądź dla nich miła, ochraniaj ich i okaz im uczciwość, a nigdy nie zwrócą się przeciwko tobie.

– Spróbuję, ojcze. Znowu spojrzał na mnie.

– Muszę ci wyjaśnić, co mi chodzi po głowie. Ten górzysty kraj wcale nie jest bezpieczny, a w górach będzie jeszcze gorzej. Naszego bezpieczeństwa strzeże sir Garvaon ze swoimi zbrojnymi i łucznikami. Lecz gdy tylko cię ujrzałem, od razu pomyślałem, że chciałbym cię zatrzymać przy sobie. Młody rycerz – więcej niż rycerz – odważny i silny, bardzo by wzmocnił nasze siły.

– Miło, że tak mówisz – zacząłem – ale...

– Jednakże przyjrzawszy ci się z bliska, uznałem, że możesz okazać się zbyt atrakcyjny dla Idnn.

Poczułem, że się czerwienię.

– Panie, jesteś zbyt łaskawy.

Wąty uśmiech powrócił na jego usta.

– Tak, jestem. Ona mogłaby ci okazać zbyt wiele łaski. – Zerknął z ukosa na córkę. – Jeszcze nie tak dawno w jej żyłach płynęła królewska krew. Teraz należy ona do najlepszych spośród szlachetnie urodzonych. Niedługo przestanie być dzieckiem.

Pomyślałem, jak to było ze mną, i powiedziałem:

– Dla jej dobra mam nadzieję, że zostanie dłużej tam, gdzie jest.

– I ja żywię taką nadzieję, sir Able. Zastanawiając się nad tym wszystkim, pomyślałem, że dam ci konia, tak jak prosiłeś, i pozwolę odjechać jak najszybciej.

– To...

– Ale wieśniak! – Wreszcie Beel uśmiechnął się trochę szerzej. – Przecież wiejski młodzian nie mógłby ani trochę zainteresować prawnuczki króla Pholsunga.

Gdy to powiedział, lewa powieka Idnn jakby nieco opadła. Nie widział tego, ponieważ patrzył na mnie, lecz ja zauważyłem.

– Tak więc, sir Able, zostaniesz z nami tak długo, jak długo uznamy to za stosowne. W namiocie sir Garvaona znajdzie się miejsce na jeszcze jedno łóżko, z pewnością. A sam Garvaon ucieszy się towarzystwem kogoś mu równego, wiem o tym.

– Nie mogę, panie.

– Nie możesz pojechać z nami, jeść dostatnio i spać godziwie jak człowiek?

Idnn zagrała na akustycznej gitarze swojego głosu, wtórując gulgocącemu tenorowi ojca.

– Dla mnie, sir Able? A jeśli mnie zabiją dlatego, że nie było cię przy mnie?

Zagrała bardzo ckliwą nutę.

– Panie. Pani, obiecałem – nie, przysięgałem – że udam się prosto w góry, gdzie stanę u wejścia do przełęczy. Tak ustaliliśmy z Jego Miłością księciem Marderem.

– I zostań tam – rzekł Beel – aż do połowy zimy. Innymi słowy prawie przez pół roku. Powiedz mi coś, sir Able. Czy jechałeś szybko, gdy do nas przyszedłeś? Czy przygalopowałeś tutaj, a potem zeskoczyłeś z siodła, by stanąć przede mną z mistrzem Crolem?

– Panie...

– Nie miałeś konia. Czy nie tak? Wszak przyszedłeś do mnie, żeby go pożyczyć.

Przytaknąłem mu, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Dam ci go. Nie pożyczę, lecz sprezentuję. Podaruję ci go pod warunkiem, że będziesz towarzyszył mnie i mojej córce, aż dotrzemy do przełęczy, przy której zamierzasz stanąć. Zadam ci jeszcze tylko to jedno pytanie. Będziesz podróżował szybciej konno, towarzysząc nam, czy też piechotą? Bo przecież zrobisz jedno lub drugie. – Mani wystawił głowę nad krawędź stołu, szczerząc zęby w uśmiechu, a ja miałem ochotę go trzepnąć.

Synowie Angronitów

W górę, wciąż w górę pięła się droga tamtego dnia i następnego, i później, aż zrozumiałem, że znaleźliśmy się pośród wysokich, skalistych wzgórz, które raz czy dwa udało mi się dostrzec z pól na północ od lasu, w którym mieszkałem niczym banita razem z Bertoldem Śmiałym, i że prawdziwe góry, góry, o których czasem tylko słyszeliśmy skąpe opowieści, góry, których ośnieżone szczyty sięgały Skai, znajdują się wciąż daleko przed nami.

Któregoś dnia zjechałem z Traktu Wojennego, pozostawiając za sobą sunącą mozolnie karawanę jucznych koni i mułów Beela, i udałem się w górę zbocza jednego z tych wzgórz tak daleko, jak daleko mógł mnie ponieść biały ogier, którego dostałem, a potem uwiązałem konia i wdrapałem się na sam szczyt. Zobaczyłem stamtąd niziny, ciemne lasy za nimi, a nawet błyski srebrzystej nitki rzeki Gryf.

– Jutro znajdę źródło, z którego bierze swój początek – obiecałem sobie – i napiję się z niego wody na cześć Bertolda Śmiałego i Gryfford. – Nie powiedziałem tego do Gylfa, ponieważ Gylf został, by pilnować mojego konia. Ani do Mani, jako że Mani jechał z Idnn, ułożony w torbie z czarnego aksamitu, z której wystawały mu przednie łapy i łeb. Powiedziałbym to do Uri i Baki, gdybym były ze mną, lecz nie widziałem ich od chwili, gdy Baki wyjrzała zza zasłony Idnn.

Tak więc powiedziałem to do siebie i wcale mnie to nie rozbawiło, choć zdawałem sobie sprawę, że to głupie.

Wiał zimny wiatr, więc owinąłem się płaszczem ze statku, który Kerl zatrzymał dla mnie, i naciągnąłem kaptur na głowę. Żałowałem nawet, że nie

jest cieplejszy, ale zostałem tam ponad godzinę, podziwiając widoki i rozmyślając o dziecku, którym kiedyś byłem, i tym, kim jestem teraz. Byłem zupełnie sam, kiedy mówiłem Bertoldowi Śmiałemu, że idę polować, i wędrowałem przez las, tropiąc wspomnienia, zapuszczając się czasem aż na jego skraj albo jeszcze dalej, na równiny, gdzie zawsze widziałem łosia, który niezmiennie pozostawał za daleko.

No dobrze, nie miałem zamiaru pisać o tym, ale to zrobię. Kiedy już poukładałem sobie trochę w głowie, siedząc tam na górze, przypomniałem sobie o Michale i spróbowałem przywołać Disiri, tak jak on przywołał Vałfatera. Nic z tego nie wyszło, a ja się rozplakałem.

Kiedy wróciłem do mojego konia i Gylfa, słońce opuściło się już nisko.

– Pojechali dalej – oznajmił Gylf, a ja wiedziałem, że ostatni muł z karawany i straż tylna – miałem być jej dowódcą – dawno już minęła go na drodze w dole.

Powiedziałem, że wiem o tym i że szybko ich dogonimy.

– Chcesz, żebym pobiegł przodem?

Zastanawiałem się nad tym, zjeżdżając w dół. Już dość długo byłem sam i miałem dość samotności. Teraz chciałem być z kimś, z kim mógłbym porozmawiać. Ale wtedy dobrze już znałem Gylfa i wiedziałem, że gdy proponował polowanie albo zwiad, to sugerował, że tak należy postąpić. Zawsze wtedy usłyszał, zobaczył albo, co najbardziej prawdopodobne, wywęszył coś, co go zaniepokoiło. Oczywiście od razu wyteżyłem słuch i wystawiłem nos na wiatr, choć wiedziałem, że ona ma o wiele lepszy słuch, a ja w ogóle mógłbym się obejść się bez nosa.

– Chcesz?

Wyczułem, że jest naprawdę zaniepokojony.

– Tak – powiedziałem. – Idź przodem. Będę ci wdzięczny.

Gdy tylko to powiedziałem, pomknął przed siebie jak strzała. Najpierw była to brązowa strzała, a później czarna, zanim zniknął. A potem usłyszałem, jak zawył, biegnąc; gardłowe wycie, jakie nieraz płynie ze Skai,

kiedy prowadzący polujące stado ogar jest sam z przodu i nawet Valfather na swoim ośmionogim koniu do polowania nie potrafi go dogonić.

Obudził grzmot. Powiesz, że to niemożliwe, ale tak było. Rozległ się gdzieś daleko pośród stoków prawdziwych gór, ale zagrzmiął i się zbliżał. Chciałem ponaglić mojego ogiera, lecz koń wciąż schodził ostrożnie między kamieniami. Wreszcie, by poczuć się lepiej, powiedziałem do niego:

– Biegnij najszybciej jak możesz, ale tak, żebyś nie złamał nogi sobie albo mnie. Bo złamana noga w niczym nam tu nie pomoże.

Ogier kiwnął łbem, jakby mnie zrozumiał. Wiedziałem, że tak nie jest, ale poczułem się dobrze. Mani lubił się przechwalać, a on sprzeczać, ale w tej chwili zdecydowanie wołałem mojego białego konia.

– Hej! – powiedziałem. – Odwałam całe gadanie! Ekstra!

Koń zastrzygł uszami. Myślę, że chciał w ten sposób powiedzieć, iż jest dobrym słuchaczem.

Gdy tylko znalazł się na trawiastym gruncie, ubodłem go ostrogami (żelaznymi, połączanymi ostrogami, które znalazł gdzieś dla mnie mistrz Crol), a on ruszył galopem, tak że szybko wróciliśmy na Wojenny Trakt, a potem pędził jeszcze szybciej przez rozpadlinę, która wydawała się równie głęboka jak wzgórze, na które się wspiałem, i dalej przez wąski wąwóz. I wtedy usłyszałem dudnienie kamieni. Zatrzymałem konia w miejscu, gdy usłyszałem ten odgłos, ponieważ domyślałem się, co to może być.

Zbocze wąwozu było niższe niż stok wzgórza, na które wspiałem się wcześniej, lecz byłem już zmęczony i zziębnięty, a na niebie ukazały się już pierwsze gwiazdy. Nie widziałem, gdzie można się zaczepić rękoma, a nawet kiedy wydawało mi się, że widzę, to były to tylko cienie. Musiałem macać rękoma po omacku, dlatego wydawało się, że wspinaczka trwa całe wieki.

W połowie zbocza znowu usłyszałem dudnienie kamieni. Potem zapadła cisza, a chwilę później rozległo się dzikie wycie. Musiało to być gdzieś daleko, lecz wydawało się, że jest bliżej, ponieważ odgłos odbijał się od skał. Księżyc świecił jasno. Z jakiegoś szalonego powodu spojrzałem na niego, a

kiedy to zrobiłem, ujrzałem latający zamek, który właśnie przepłynął na jego tle, czarny na tle białej tarczy, podobny do zabawki. Nie byłem nawet pewny, czy to zamek Valfathera (ale tak jest), lecz jego widok bardzo mi pomógł. Wiem, że powiesz, iż to nie ma sensu, ale tak czułem. Byłem morzem i patrzyłem na księżyc, i ten sześciocienny zamek, i sięgałem do niego ogromnymi, spienionymi falami podobnymi do białych dłoni. I pach! Oto znalazłem się na szczycie, a moje palce krwawiły pościerane, a w powietrzu szalała wojna i było zbyt ciemno, żeby strzelać z łuku. Pobiegłem w dół, przeskakując rozpadliny i skacząc z niedużych zboczy i nic nie mogło mnie powstrzymać.

Aż nagle zrobiła to włochata łapa wielkości blachy łopaty. Dwie ręce uniosły mnie w górę, lecz na szczęście miałem wolne lewe ramię, tak więc wbiłem sztylet w szyję ogromnego człowieka, zanim zdążył zrzucić mnie z klifu. Runął na ziemię ciężko niczym ścięte drzewo i upadliśmy niebezpiecznie blisko krawędzi przepaści; krwawił i rzucał się, usiłując wstać. Ja pierwszy się podniosłem i uderzyłem go w głowę Łamimieczem. Usłyszałem trzask rozłupywanej kości. Olbrzym opadł na ziemię i już się nie poruszył.

Gdzieś w dole rozległ się okrzyk:

– Finefield! Finefield! – Wydawało mi się, że rozpoznałem głos Garvaona i domyśliłem się, że jest to nazwa jego majątku. Nie miałem własnego dworu, tak więc ryknąłem:

– Disiri! Disiri! – Żeby Garvaon wiedział, że jestem na górze i mogę pomóc.

Potem już zawsze okrzyk „Disiri!” pozostał moim okrzykiem bojowym. Może nie pamiętam, żebym pisał o tym za każdym razem, kiedy opowiadam o moich wałkach, ale tak było. Kiedy dotarłem do Skai (powiem to teraz, zanim zapomnę), też tak krzyczałem. Wreszcie kiedyś Alvit zapytała, co to znaczy, a ja nie pamiętałem. Próbowałem sobie przypomnieć. Bardzo bolesne doświadczenie.

Oczywiście biegnąc po tamtym klifie, nie miałem o tym pojęcia. Niebawem natknąłem się na trzech największych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałem. Toczyli ogromny głaz na skraj rozpadliny. Pierwszego z nich ugodziłem Łamimieczem w czoło – wyżej nie potrafiłem dosięgnąć – kiedy się odwrócił i spojrzał na mnie. Kamień uderzył w moją stalową czapkę i strącił mi ją z głowy. Chyba wtedy zatoczyłem się trochę. Ktoś chwycił mnie za nadgarstek, lecz zadałem cios sztyletem i zaraz mnie puścił. Pamiętam, że zobaczyłem jego kolano na wysokości mojego krocza i grzmotnąłem w nie z całych sił Łamimieczem.

Ktoś inny cisnął włócznią. Nie przebiła mojej kolczugi, lecz siła uderzenia przewróciła mnie. Obaj próbowaliśmy sięgnąć po nią, lecz to on ją podniósł, a wraz z nią mnie, ponieważ zdążyłem chwycić za drzewce. Kiedy go kopnąłem w twarz, upuścił włócznię. Podskoczyłem i zaatakowałem go mniej więcej tak, jakbym grał w futbol, wyrzucając go poza krawędzi urwiska, za którą omal sam nie wypadłem. Kiedy już odzyskałem równowagę, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że wciąż opada, obijając się o skały. Wreszcie zniknął w ciemności i zaraz potem usłyszałem, jak uderza o dno rozpadliny.

Wcześniej upuściłem Łamimiecz i sztylet. Ostrze sztyletu, mocno wypolerowane, świeciło w blasku księżyca, ale Łamimiecza musiałem szukać po omacku.

Kiedy się wyprostowałem, zobaczyłem, że idzie na mnie piekielnie wielki mężczyzna z maczugą, wyższy niż potrzeba do NBA. Przycisnąłem się na ugiętych nogach – zamierzałem skoczyć na niego, kiedy uniesie maczugę – lecz zaatakowało go coś czarnego i jeszcze większego niż on. I nagle wcale już nie był taki wielki i stał się jednym z maluczkich, który chodził sobie po świetle, a teraz miał umrzeć. Wydał przeraźliwy okrzyk, kiedy zacisnęły się na nim szczęki. (Słyszałem odgłos łamanych kości, co zawsze jest bardzo nieprzyjemne). Gylf potrząsnął nim jak szczurem i rzucił na ziemię.

– Lepiej zmywaj się stąd, panie. – To była Uri, która wyrosła nagle u

mego boku ze smukłym, długim mieczem w dłoni; nie słyszałem i nie widziałem, kiedy przyszła, ale oto stała przy mnie.

Z mojej lewej strony usłyszałem głos Baki:

– Zginiesz, panie, jeśli to potrwa dłużej.

– Widzicie w ciemności lepiej niż ja – powiedziałem. – Jest ich więcej?

– Setki, panie, tam, dokąd zmierzasz. Kazałem im iść za mną.

Po skończonej walce trzeba było zdjąć juki z zabitych koni i mulów, a ich bagaże założyć tym, które przeżyły. Na samym wierzchu złożyliśmy ciała zabitych ludzi. Około północy wyruszyliśmy w dalszą drogę i posuwaliśmy się aż do świtu; całą karawanę prowadził Gamoń, natomiast ja i Gylf szliśmy przed nim jakieś sto, sto pięćdziesiąt kroków. Słońce wzeszło mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wyjechaliśmy z wąwozu na górską łąkę porośniętą gęstą trawą i leśnymi kwiatami. Była przekrzywiona jak pokład statku przy wietrze prostopadłym do kursu, lecz wyglądała bardzo zachęcająco. Rozładowaliśmy zwierzęta i rozbiliśmy namioty. Większość z nas od razu położyła się spać, lecz Garvaon i tuzin jego zbrojnych stanęli na warcie, tymczasem ja i Gylf wróciliśmy na miejsce bitwy. Mani, usadowiony na torbach przy moim siodle, udał się z nami.

Zostaliśmy na łące cały dzień i noc. Następnego ranka Beel wezwał mnie do siebie. Nakryto już do stołu i rozłożono dwa krzesła.

– Usiądź – zwrócił się do mnie. – Zaraz powinni przynieść śniadanie.

Podziękowałem mu.

– Wdrapałeś się na urwisko, żeby walczyć z Ludźmi Gór. Tak mi powiedziano, a poza tym sam widziałem cię tam przez chwilę. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Skinąłem głową.

– To dla mnie zaszczyt, panie.

– Leciały na nas ogromne głazy. – Wydawało się, że Beel mówi do siebie. – A także ciała. Ciała naszych wrogów. Kiedy przenoszono bagaże na inne muły, pozwoliłem sobie na chwilę rozrywki, podobnie jak sir Garvaon, i

przyjrzałem się im z bliska w świetle latarni. Może i ty to uczyniłeś, sir Able?

– Nie, panie. Musiałem wrócić po konia. – Darowałbym sobie śniadanie, gdybym tylko mógł wtedy wstać i opuścić namiot.

– Rozumiem. Normalnie jem śniadanie w towarzystwie córki, sir Able. Ale dzisiaj jej tu nie ma, jak zapewne zauważyłeś.

Skinąłem głową.

– Mam nadzieję, że nie zachorowała.

– Jest cała i zdrowa. Dzięki tobie w dużej mierze, jak sądzę.

– Też chciałbym w to wierzyć.

Beel złożył dłonie, stykając je palcami, i siedział wpatrzony we mnie do chwili, aż przynieśli jedzenie.

– Częstuj się, sir Able. Nie musisz czekać na mnie. Powiedziałem, że poczekam, wziął więc wędzoną rybę, chleb i ser.

– Lubię jeść śniadanie z córką.

Odpowiedziałem skinieniem głowy, tak jak przedtem.

– Z pewnością jest dobrym towarzyszem do rozmowy, panie.

– Mam wtedy jakąś godzinę na rozmowę z nią. Bo często cały dzień jestem zajęty.

– Zapewne, panie – rzekłem.

– Wielu mi równych albo i wyżej postawionych niewiele pracuje, sir Able. Niewiele albo w ogóle nic nie robią. Snują się na po dworze, a w swoich posiadłościach są równie leniwi. Zarządcy sprawują pieczę nad ich majątkami, tak jak mój zarządza moim. A gdy król próbuje ich namówić na objęcie jakiegoś urzędu, co rzadko czyni, będąc człowiekiem rozsądnym, wymigują się, stosując najróżniejsze wymówki. Ja mam ambicje być człowiekiem innego pokroju. Nie będę ci wymieniał wszystkich urzędów, jakie sprawowałem za rządów obecnie panującego Jego Królewskiej Mości i jego ojca. Różne to były obowiązki, nieraz bardzo uciążliwe. Na przykład byłem Pierwszym Lordem Skarbnikiem przez niemal siedem lat.

– Domyślałem się, jak trudna to musiała być praca. Bel pokręcił głową.

– Wydaje ci się, że wiesz, sir Able, ale tak naprawdę nie masz pojęcia. To był koszmar, który zdawał się nie mieć końca. A teraz to.

Skinąłem głową, pragnąc wyrazić współczucie.

– Śniadanie pozwala mi spędzić codziennie godzinę w towarzystwie córki. Staram się być dla niej ojcem i matką, sir Able. Nie powiem, że mi się powiodło, ale przynajmniej próbowałem.

Beel wyprostował się na krześle. Nie ruszył jeszcze swojego jedzenia.

– Poprosiłem ją, żeby zjadła dzisiaj śniadanie w towarzystwie swoich pokojówek. Była zaskoczona i zadowolona.

– W rzeczywistości nie była pewnie zadowolona – powiedziałem. Ja także nie zacząłem jeszcze jeść, ale uznałem, że już najwyższy czas.

– Dziękuję, sir Able. A jednak była. Odesłałem ją, ponieważ chciałem pomówić z tobą. Nie jak z rycerzem, lecz jak z synem, bo pragnę całym sercem, by Overcyni zechcieli łaskawie obdarzyć mnie takim synem jak ty.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, aż wreszcie odpowiedziałem mu:

– To wielki zaszczyt, panie.

– Nie zamierzam prawić ci komplementów, a jedynie wyrazić prawdę. – Beel zamilkł; chciał chyba przekonać się, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa. – Ludzie tacy jak ja, możnowładcy zasiadający w radach Jego Królewskiej Mości, nie cieszą się wielką reputacją w kwestii prawdomówności. Bardzo uważamy na to, co mówimy, i jak to wyrażamy. Nie da się inaczej. Kłamałem, gdy wymagał tego obowiązek. Choć mi się to nie podobało, robiłem to najlepiej, jak potrafiłem.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Teraz jednak powiem ci prawdę i tylko prawdę. I proszę, byś mi uwierzył. A także, abyś był ze mną szczery, tak jak ja jestem z tobą szczery. Zgoda?

– Oczywiście, panie.

Beel wstał i podszedł do skrzyni, po czym otworzył ją i wyjął z niej zwój pergaminu.

– Masz dwór, sir Able? Gdzie?

– Nie, panie.

– Żadnej posiadłości?

– Żadnej – odpowiedziałem.

Wrócił na swoje miejsce z pergaminem w dłoni.

– Twój suzeren wysłał cię, byś stanął przy przełęczy W Górach Myszy. Na pół roku.

– Nie słyszałem, by ktoś tak nazywał te góry. Ale rzeczywiście, tam mnie wysłała.

– Tak nazywają je Angronici. My nazywamy je Górami Północnymi, całe albo tylko poszczególne łańcuchy. Jak myślisz, czemu Angronici tak je nazwali?

Odłożyłem kromkę chleba, którą miałem zjeść.

– Nie widzę innego powodu, panie, jak ten, że jest tam dużo myszy.

– Nie ma ich tam więcej niż w innych miejscach, a na pewno mniej niż w wielu innych. Nazywają je tak ze względu na ludzi, z którymi wczoraj walczyłeś. Są oni synami Angronitów – synami spłodzonymi przez Angronitów z naszymi kobietami. Widzę zdziwienie w twoich oczach.

Kto powiedział mojej córce?

Ugryzłem kawałek chleba, przeżułem go i połknąłem.

– Nie wiedziałem, że coś takiego jest w ogóle możliwe, panie.

– Jest możliwe. – Beel zamilkł na chwilę bębniąc palcami po blacie stołu.

– To chyba bolesne doświadczenie dla kobiety, a przynajmniej na początku.

Skinąłem głową.

– Angronici najeżdżają nasz kraj w poszukiwaniu kobiet i bogactw. Moim zadaniem jest ich powstrzymać w miarę możliwości. Albo przynajmniej ograniczyć częstotliwość i rozmiary ich najazdów. Nie wszyscy wykonują rozkazy króla Gillinga, a im dalej od Utgardu, tym bardziej bezkarni czują się jego poddani. Lecz gdy zobaczą, że patrzy na to z dezaprobatą, z pewnością ograniczą swoją działalność.

– Życzę powodzenia – powiedziałem – z całego serca.

– Król Gilling uznał, że zaakceptuje mnie jako ambasadora jego Królewskiej Mości, co najmniej. Ale przecież mówiłem o Myszach, jak ich nazywają Angronici – o tych olbrzymach, którzy nas zaatakowali. Spłodzeni przez swoich panów z kobietami porwanymi w niewolę, stają się członkami społeczności Angronitów. Po śmierci swoich ojców próbują często pozostać w Jotunlandzie. Oddają się na służbę ich prawowitych synów, na przykład.

Skinąłem głową na znak, że go rozumiem.

– Czasem im się udaje, a przynajmniej na jakiś czas. Zostają wtedy niewolnikami, tak ich matki, pasą świnie albo pracują w polu. O ile wiem, świnie i bydło Angronitów nie jest większe niż nasze.

– Na jakiś czas, powiedziałaś.

– Tak, bo w końcu zostają wypędzeni. Albo zgładzeni. Królewskiego

syna, syna wolnej kobiety nigdy by w ten sposób nie potraktowano, ale z nimi tak się obchodzą. Ci, którzy zachowali życie, wędrują z miejsca na miejsce i chowają się po dziurach jak szczury albo myszy, które po części dały im imię, aż dotrą do tych gór, gdzie już nie ma Angronitów. Jest tu wiele jaskiń, które Angronici nazywają Mysimi Dziurami. Myszy mieszkają w nich jak zwierzęta, gorzej niż zwierzęta. Co zamierzałeś dzisiaj robić, sir Able?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

– Pojechać z wami na północ, jak sądzę, panie. Beel pokręcił głową.

– Dzisiaj nie pojedziemy. Jesteśmy wszyscy zmęczeni i musimy się pozbyć pewnej części zapasów, żeby zbyt nie obciążać mułów. Trzeba też przekazać innym obowiązki tych, którzy zginęli, a także obmyślić, jak transportować rannych, tak by zbyt nie cierpieli.

– W takim razie prześpię się z rana, a potem udam się na poszukiwanie źródeł rzeki Gryf.

– Niewiele spałeś ostatniej nocy, jak sądzę. Tylko nieliczni cieszyli się snem.

Spałem, lecz zanim poszedłem spać, był dzień, noc i znowu dzień. Wciąż byłem otumaniony, o czym mu powiedziałem.

– Rozumiem. Czy zechcesz wyświadczyć mi przysługę, sir Able?

– Oczywiście, panie. Cokolwiek.

– W takim razie prześpij się rano, tak jak planowałeś, ale zaniechaj poszukiwań źródeł Gryfa, przynajmniej na jeden dzień. Tak czy inaczej, to dość ryzykowne przedsięwzięcie. Czy wzięłeś pod uwagę, na jakie niebezpieczeństwo się narazisz, wędrując samotnie w tych górach?

– Tak, panie. – Uśmiechnąłem się. – Ale i to niebezpieczeństwo będzie narażone na spotkanie ze mną.

– Dobrze powiedziane. Niemniej jednak proszę cię, byś zaniechał swoich poszukiwań przez wzgląd na mnie. Zrobisz to?

– Oczywiście, panie. Chętnie.

– Jesteś dobrym łucznikiem?

– Tak, panie.

– Widzę, że nie owijasz w bawełnę. To mi się podoba. – Po raz pierwszy tego ranka słaby uśmiech zagościł w kącikach jego ust. – Mistrz Papounce nagabuje mnie, abym zorganizował pojedynek między tobą i sir Garvaonem. Garvaon jest wybornym łucznikiem.

– Tak wszyscy mówią, panie.

– Drugą jest Idnn, która poluje. Strzela dobrze jak na kobietę. – Jego słaby uśmiech zmąciła gorycz. – Dotąd mu odmawiałem, ponieważ uważałem, że powinniśmy jechać dalej. Skoro jednak wyruszymy dopiero jutro, taki pojedynek mógłby podnieść ludzi na duchu. Napastnicy – może olbrzymom podobałoby się, gdybym nazwał ich myszami, lecz nie mnie – znajdowali się wysoko nad nami. Bombardowali nas ogromnymi kamieniami, a my godziliśmy ich strzałami, widząc często tylko przemykający cień. Nie trzeba lepszej okazji, by pokazać, jak dobrymi powinniśmy być łucznikami.

Opróżniłem swój kufel i nalałem sobie ponownie piwa.

– Zrobisz to?

– Oczywiście, panie. Przecież powiedziałem.

– Jeśli pomylisz się niedużo, nic się nie stanie, lecz jeśli chybisz znacznie, mogą cię wyśmiać. Dobrze by było, gdybyś się przygotował.

– Dobrze by było, panie, gdyby przygotowali się ci, którzy odważą się mnie wyśmiać.

– Nie możemy stracić choćby jednego człowieka, sir Able. Miej to, proszę, na względzie.

– Dobrze, panie, pod warunkiem, że i oni o tym pomyślą.

– Rozumiem. No cóż, już powiedziałem Papounce'owi i Garvaonowi, że się zgodzę, więc muszę przez to przejść. Postaraj się zapanować nad sobą.

– Postaram się, panie.

Beel przygryzł wargę, tymczasem ja poczęstowałem się wędzonym jesiotrem. Kiedy otarłem usta, powiedział:

– Możesz odejść, sir Able, jeśli jesteś syty. Pokręciłem głową.

– Przecież nie odesłałeś lady Idnn tylko po to, żebyśmy mogli porozmawiać o strzelaniu do celu, panie. O co chodzi?

Beel zawahał się.

– Byłem bliski poruszenia tego tematu już podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy przyprowadził cię Crol. Z pewnością pamiętasz tamten dzień.

– Pewnie. Beel westchnął.

– Wspomniałem wtedy o Svonie. Jest moim dalekim kuzynem, jak mówiłem.

Skinałem głową, zastanawiając się, do czego zmierza.

– Zamierza zostać rycerzem. Nic lepszego nie może go spotkać. – Beel wstał i podszedł do wejścia do namiotu, skąd widział skaliste zbocze i ośnieżone szczyty gór. Wciąż trzymał w ręku zwój.

Kiedy się do mnie odwrócił, powiedziałem:

– Nigdy nie robiłem mu trudności, panie.

– Pokłócił się z twoim sługą. Tak mi powiedział. Twój służący obił go i przepędził. Mówiłem ci o tym?

– Wiedziałem to, wasza lordowska mość. Ale chyba nie od ciebie się o tym dowiedziałem.

– Może sam Svon ci powiedział? Potrząsnąłem głową.

– A zatem dowiedziałeś się o tym od innego podróżnika.

– Tak, panie.

– To niezręczna sprawa, a ja nie mam pewności, czy mogę ją sprawiedliwie ocenić. Widziałeś moją córkę Idnn.

– Tak, wasza lordowska mość. Piękna młoda dama.

– No właśnie. Bardzo młoda i subtelna urodą i charakterem. Czy twój sługa mógłby ją pobić? Gdyby zechciał?

Musiałem się chwilę zastanowić – nie nad odpowiedzią, lecz nad tym, o co mu chodzi. Wreszcie odpowiedziałem:

– Mam nadzieję, że nigdy by się do tego nie posunął, panie. Znam dobrze

Pouka i wiem, że ma swoje wady, ale nie jest okrutny ani brutalny.

– Mógłby to zrobić, gdyby zechciał?

– Oczywiście, panie, gdyby mnie przy nim nie było, żeby go powstrzymać. Pouk ma jakieś dwadzieścia lat. Jest silnym, pełnym wigoru mężczyzną.

– Pewnie. Załóżmy zatem, że to się stało. Moja córka czułaby się ogromnie zawstydzona faktem, że pobił ją prostak. Z drugiej strony nie czułaby wstydu, ponieważ ten prostak był w stanie ją pokonać. Nikt o zdrowych zmysłach nie spodziewałby się, że taka delikatna dziewczyna jak Idnn mogłaby zmierzyć się w szrankach z pełnym życia dwudziestoletnim młodzianem.

Przytaknąłem mu.

– Svon, mając dziesięć lat, mógł się czuć podobnie, co było zupełnie usprawiedliwione. Lecz mnie niepokoi... Niepokoi mnie to, że Svon, jak się wydaje, poczuł się tak teraz. Ma zostać rycerzem. Gdyby ksiązę Marder zaofiarował mu pas rycerski, złote ostrogi i wszystko inne, od razu by je przyjął. Jak byś się czuł, gdyby cię pobił służący?

Spróbowałem coś powiedzieć, lecz wydawało się, jakbym się krztuszę.

– No właśnie. Nie jestem miłośnikiem wojaczki, sir Able. Podczas gdy ty zdobywałeś umiejętności rycerskie, ja uczyłem się czytać i pisać, a także historii, języków i innych rzeczy. Gdybym, powiedzmy, stanął w szrankach przeciwko sir Garvaonowi, nie wstydziłbym się porażki. Ale służący? Naostrzyłbym miecz i szukał kolejnej okazji.

– Cieszę się, że Svon tego nie uczynił, panie.

– Naprawdę? Dla dobra Svona?

– Zawstydzasz mnie, panie. On był – jest – moim giermkiem. Mam wobec niego obowiązki.

Beel skinął głową i złączył palce dłoni.

– Powiedziałem ci o tym, ponieważ wyczuwam, że jesteś człowiekiem honoru. Możliwe, że Svon wróci do ciebie. Jeśli tak, to może będziesz mógł

coś zrobić. Taką mam nadzieję.

– Spróbuję, panie. Tylko w jaki sposób... No cóż, tego jeszcze nie wiem. Będę się musiał zastanowić. – Wstałem.

Beel pokazał na krzesło.

– Usiądź, skoro już zdecydowałeś się zostać. Mamy do omówienia inne sprawy. Postaram się nie zabrać ci całego snu.

Usiadłem.

– Svon powiedział mi, że wysłałeś za nim demona. Jesteś zdziwiony?

– Owszem, panie. Ja... wiem, co ma na myśli, lecz nic takiego nie uczyniłem. Czy wolno mi to wyjaśnić?

– Z chęcią cię wysłucham.

– Mam innego sługę, panie. Nazywa się Org i nie jest demonem. Słaby uśmiech powrócił na jego usta.

– Sir Able, w światach nad Aelfrice nie spotyka się ani demonów, ani smoków. To jedna z rzeczy, której się nauczyłem, podczas gdy ty poznawałeś tajniki obrony tarczą. Nie powiedziałem, że Svona gonił demon, a jedynie, że powiedział, iż tak było, i dodał, że to ty wypuściłeś za nim tego demona.

– Wcale nie, panie. Ale podejrzewam, że po odejściu Svona Org udał się za nim. Mógł nie być najprzyjemniejszym towarzyszem podróży.

– Czy ten twój Org jest ogromnym, silnym mężczyzną? Ma potężne bary? Uważałem, by starannie dobrać słowa.

– Jest wielki i bardzo silny, panie. Większy ode mnie i potężniejszy w barach.

– Nie napuściłeś go na Svona?

– Nie, panie. Nie było mnie przy nich, kiedy Svon i Pouk się pobili, a potem rozdzielili. Czy wolno mi wysunąć pewne przypuszczenie?

– Proszę.

– Może Org się boi, że Svon mnie zaatakuje, i dlatego idzie za nim, żeby go powstrzymać.

Beel skinął głową.

– To wydaje się całkiem prawdopodobne. Svon wyznał mi, że zamierza wrócić do Sheerwall. Posilił się z nami, kupił konia i przenocował u nas. Jakieś dwa tygodnie temu. Mniej więcej.

Kiwnąłem głową.

– Tamtej nocy jeden ze strażników mówił, że widział w blasku księżyca ogromnego mężczyznę w pewnej odległości. Mówił też, że znalazł odcisk stopy. Ogromnej stopy, jak powiedział, nagiej, o długich palcach. Zakończonych pazurami, jak twierdził. Nie dziw się więc, że mnie to ciekawi.

– Rozumiem, panie.

– Nie masz nic więcej do powiedzenia? Skinąłem głową.

– Wyznam wszystko ochoczo, panie.

– Dobrze. Svon ma moje poparcie. Nie wstawaj, proszę, sir Able, bo widzę, że masz taki zamiar. Chciałem jeszcze poruszyć sprawę, która mi najbardziej leży na sercu.

Beel rozłożył dłonie i pochylił się do przodu, wyraźnie zatroskany i zamyślony.

– Oboje z córką znaleźliśmy się na tej przeklętej pochyłości, kiedy zostaliśmy zaatakowani. Nie opuściłem jej ani na chwilę. Niewiele mogłem zrobić, ale byłem zdecydowany jej bronić, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Naturalnie, panie.

Głos Beela zniżył się do szeptu.

– Koniec końców poślubi króla. Wyjdzie za króla i w naszych żyłach znowu popłynie królewska krew.

– Rozumiem, panie.

– Jest mi bardzo droga, dlatego cały czas miałem ją na oku. Ani przez chwilę nie było jej na urwisku, gdzie zaatakowali nasi wrogowie.

– Oczywiście że nie, panie.

– A mimo to, sir Able, opowiada tak, jakby tam była. Cale urwisko, powiedziała mi, jest zaścielane trupami włochatych ludzi monstrualnych

rozmiarów zabitych przez ciebie i twojego psa. Trudno mi uwierzyć, by pies był w stanie zabić choćby jednego takiego człowieka, a co dopiero tuzin, lecz ona tak twierdzi. W przeszłości chełpiłeś się swoją uczciwością.

Widząc moją minę, Beel poprawił się.

– Chełpiłeś to może zbyt mocne słowo, ale zapewniałeś o swojej prawdomówności. Zapewniałeś mnie, że nie okłamałeś ani mnie, ani mistrza Crola. Zaprzeczysz temu?

– Nie, panie.

– Powiesz tak samo i dzisiaj?

– Powiem, panie. Bo tak jest.

– W takim razie oczekuję szczerych odpowiedzi na kilka pytań. – Beel zamilkł, obserwując moją twarz, a potem spojrział na swoje dłonie. Nie ruszył jedzenia i nic nie wypił.

– Lubię cię, sir Able. Lubię cię bardziej niż kogokolwiek innego spośród tych, których poznałem od czasu spotkania z Jego Królewską Mością. Mam nadzieję, że jesteś tego świadom.

– Nie byłem, panie, ale mi to pochlebia. Niech mi wolno będzie powiedzieć, że jesteś naprawdę dobrym człowiekiem, lojalnym sługą króla i kochającym ojcem swojej córki.

Beel przytaknął mi.

– Teraz moja uwaga skupia się na córce.

– Wiem, panie. Nie skrzywdziłem jej ani nawet nie próbowałem.

– Widzisz tę zasłonę, która przedziela na pół nasz namiot? Ona śpi z tamtej strony, a ja z tej. Ja myję się i ubieram tutaj, ona zaś tam.

– Rozumiem.

– W ten sposób nie widzimy się nawzajem. Za to słyszymy się bardzo dobrze. Zasłona wykonana jest z jedwabiu, co znaczy, że jest bardzo lekka i zajmuje bardzo mało miejsca. Zasłania nam oczy, że się tak wyrażę, jeśli pozwolisz. Za to ani trochę nie tłumi dźwięków.

Skinąłem głową.

– Tak więc rozmawiamy często ze sobą, leżąc już w łóżku. Także rano, kiedy ją ubiera pokojówka, a mnie Swert.

– Jasne.

– Tego ranka opowiadała o bitwie i opowiadała tak, jakby była tam na urwisku – mówiła o rozbitych głowach, połamanych rękach i nogach, o zmiażdżonych i porozrywanych ludziach, jakby zamknęły się na nich szczęki lwa. Powiedziała, że zabiłeś wielu z nich, sir Able. Czy to prawda?

– Tak, panie.

– Czy mogę zapytać, jaką bronią się posługiwałeś?

Wyjąłem z pochwy sztylet i położyłem go na stole, a także Łamimiecz, który złożyłem obok sztyletu. Beel sięgnął po Łamimiecz, by mu się lepiej przyjrzeć, a ja powiedziałem:

– To nie jest miecz, panie. Podobny, ale to jest buzdygan. Przesunął palcem po krawędziach głowicy Łamimieczy i spróbował go zgiąć, a potem odłożył go na stół.

– Teraz widzę, że jesteś nisko urodzony. Lecz jesteś rycerzem, a nie chłopem, rycerz zaś ma prawo nosić miecz.

– Będę nosił miecz, jeśli zdobędę ten, którego pragnę, panie.

– Jaki to miecz?

– Eterne, panie.

– Ten idealny miecz to legenda, sir Able – powiedział cicho. – I tylko legenda.

– Nie sędzę, panie.

– Czarnoksiężnik, wiedźma czy czarownik. – Westchnął. – Którym z nich jesteś? Sam posiadam pewną wiedzę o sztuce, choć nie mogę się pochwalić wielką mocą.

Nic nie odpowiedziałem.

– Mówię to, żebyś wiedział, że nie jestem twoim wrogiem. Możesz mi wszystko wyznać, tak jak innemu adeptowi.

– Mogę jedynie wyznać, że nic nie wiem o sztuce, panie.

– Czarnoksiężnicy nigdy nic nie mówią. Tak mawiała moja niańka, lecz wtedy nie wiedziałem, jak bardzo prawdziwe są jej słowa. Byłeś na tym urwisku, sir Able? Ty zabiłeś naszych wrogów?

– Tak, panie. Niektórych z nich. Większość zabił mój pies. Innych uśmierciły strzały twoich łuczników.

– Zabrałeś tam moją córkę? Po bitwie?

– Nie, panie.

– Widziałeś ją tam, kiedy tam byłeś?

– Nie. Jeśli tam była, to ja nic o tym nie wiem.

– Oto akt wydany dla dworu Swiftbrook, sir Able. – Beel podniósł zwój. – Czy rozmawiałeś z nią bez mojej wiedzy i opowiedziałeś jej o bitwie?

– Nie, panie.

– Czy był ktoś z tobą na urwisku?

– Mój pies i mój kot, panie. Widziałeś ich.

– W takim razie kto opowiedział mojej córce o bitwie? O tych, których zabiłeś, i jak tego dokonałeś?

– Nie ja, panie. Czy nie powinienes raczej jej o to zapytać? Zamilkł, a ja wiedziałem, że nie za bardzo mogę mu powiedzieć coś więcej, nie pogarszając sprawy. A poza tym sam musiałem przemyśleć pewne rzeczy. Posmarowałem masłem chleb, położyłem na nim jesiota i złamałem pajdę.

– Masz nadzieję, że odeślę cię, abys mógł odnaleźć swojego sługę – przemówił wreszcie Beel.

– Zgadza się, panie.

– Nie zrobię tego. Odpocznij lepiej, jeśli masz się zmierzyć z sir Garvaonem.

Skinąłem głową, wstałem i schowałem do pochwy sztylet i łamimiecz.

– Wciąż chcesz się z nim zmierzyć?

– W każdej chwili, panie. – Nie mówiłem tego, lecz każdej nocy przeżywałem piekło z powodu mojej cięciwy. Uznałem, że nadszedł czas, abym coś z tym zrobił.

– Będę twoim sędzią. Skinąłem głową.

– Oczywiście, panie.

– I postaram się być sędzią sprawiedliwym, sir Able. Kładę na szali mój honor.

– Rozumiem, panie.

– Możesz odejść. – Beel westchnął. Kiedy wychodziłem z jego namiotu, dodał cicho: – Mam nadzieję, że wygra sir Garvaon.

Łuczniactwo

Tamtego ranka śniło mi się, że dla odmiany jestem sobą, za to bardzo młody, o wiele młodszy niż byłem w chwili, kiedy wyszedłem z pieczary Parki. Siedziałem w małej łodzi i wiosłowałem w górę rzeki Gryf. Bertold Śmiały przyglądał mi się z brzegu, a Setr pływał obok łódki, wzniecając wodę i mgiełkę niczym wieloryb. W górze rzeki czekała na mnie mama. Po jakimś czasie Bertold Śmiały został w tyle. Dostrzegłem twarz mamy między liśćmi wierzby i głogu, piękną, uśmiechniętą i ozdobioną koroną kwiatów głogu, lecz prąd poniósł mnie dalej i kiedy minąłem krzak głogu, już jej nie zobaczyłem. Od czasu do czasu dostrzegałem kamiennego gryfa, z którego pyska wypływała rzeka. Chciałem do niego dotrzeć, tymczasem znalazłem się u wylotu tuby z grubego zielonego szkła.

I wynurzyłem się w jednej chwili; jechałem na siwym bojowym rumaku uzbrojony w krótką kopię z proporcem. Kamienny gryf tkwił przede mną, wysoki jak góra i jeszcze groźniejszy. Opuściłem kopię i zaatakowałem... i w jednej chwili zostałem połknięty.

Kiedy się wreszcie obudziłem, minęło już południe. Ziewnąłem i przeciągnąłem się, wracając pamięcią do twarzy mamy widocznej pośród wierzbowych liści i kwiatów głogu. Była jeszcze dziewczynką; mimo że myśl tę w dużej mierze wypełniał sen, więcej było w niej smutku niż snu.

Wciąż była dziewczyną, niewiele starszą niż Sha, kiedy odeszła.

– Obudziłeś się w samą porę. Ufam, że spałeś dobrze? – Mani siedział w nogach mojego łóżka i czyścił pysk łapami.

Znowu ziewnąłem.

– Myślałem, że jesteś z Idnn.

– Twój pies chciał wyżebrać trochę jedzenia. A ponieważ dostałem aż za dużo od jego lordowskiej mości, poprosił mnie, żebym go zastąpił na warcie.

Spuściłem nogi z łóżka.

– Cieszę się, że już rozmawiacie ze sobą.

– Och, rozumiemy się doskonale – rzekł Mani. – On uważa, że jestem wstrętny, a ja mam podobne zdanie o nim. Oczywiście obaj mamy rację.

– Rozmawiałeś z Idnn.

Oczy Mani (piękne, zielone, jakby rozjarzone) rozszerzyły się.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Czy to miała być tajemnica?

– Miała nikomu nie mówić. Obiecała.

Znalazłem ubranie i rozłożyłem je na łóżku, a potem sprawdziłem wszystkie kąty namiotu Garvaona, żeby się upewnić, że jesteśmy sami z Mani.

– Powiedziała swojemu ojcu, a on nagadał tobie na mnie. Tak było?

– Nie. – Zawiązałem bieliznę i wyprostowałem świeżą parę skarpet. – Opowiadała ojcu o rzeczach, które usłyszała od ciebie, a on próbował się dowiedzieć, skąd się o tym dowiedziała.

– Och. – Mani przeciągnął się i wygiął ogon w literę S. – Powiedziałeś mi?

– Nie.

– Chyba dobrze zrobiłeś. Nie masz nic przeciwko, że potarłoszę trochę twój koc?

– Postaraj się go nie podrzeć. Włożyłem skarpety.

– Dobrze. – Mani pociągnął za koc; jego pazury były duże, ostre i czarne.

– To zabrzmiało głupio, ale myślałem, że będziesz rozmawiał tylko ze mną.

– Dlatego że twój pies rozmawia tylko z tobą? – Mani ziewnął. – Mógłby rozmawiać z innymi, ale nie chce. Wściekłeś się, że rozmawiałem z jej lordowską mością? Nie mówiłeś, żebym nie rozmawiał.

– Ja – nie.

– Powiedziałem jej, że jesteś moim właścicielem. – Uśmiechnął się. – A także wiele innych komplementów na twój temat. I tak już miała na ciebie oko, więc chętnie słuchała.

– W takim razie powinienem ci chyba podziękować.

– Niekoniecznie. Zaznałem dużo niewdzięczności w życiu i nauczyłem się z nią żyć.

Zapiąłem pas. Zanim znowu się odezwałem, wsunąłem stopy w buty.

– Postaram się, by moja wdzięczność przybrała bardziej wymierną postać, ale na to trzeba czasu.

– No cóż, mógłbyś pozwolić mi z nią rozmawiać. Jeśli nie, to będę musiał jej unikać i czasem będzie dość niezręcznie.

Skierowałem palec na czyściutki, czarny nos Maniego.

– Dobrze wiesz, że i tak byś z nią rozmawiał, nawet gdybym ci tego zakazał.

– Musiałbym, nie sądzisz? To znaczy, gdyby mnie przyparła do muru. Powiedziałyby zapewne „Dobrze wiem, że potrafisz mówić, Mani, więc jeśli nie będziesz chciał ze mną rozmawiać, to każę łucznikom ojca użyć cię jako tarczy”. Wtedy ja bym odpowiedział: „Och, pani, proszę!”. I znowu bym gadał.

– No, dobra – zgodziłem się – możesz z nią rozmawiać, kiedy będziecie sami. Z wyjątkiem mnie. Możesz z nią rozmawiać w mojej obecność i Gylfa.

Mani udał, że się kłania.

– Panie.

– Nie rób tego, bo mi to przypomina o Uri i Baki. Nie lubię, kiedy się tak zachowują.

– Twe życzenie jest moim życzeniem, Wielki Właścicielu. Wiedziałem, że Mani próbuje mnie wkurzyć, mimo to z trudem powstrzymałem śmiech.

– W zamian za to, że okazałem się taką życzliwość, spodziewam się, że odpowiesz na kilka moich pytań. Dobrze?

– Pytaj, Bardziej Niż Boski Mistrzu.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że nie jesteś z Aelfrice. Dalej tak twierdzisz? – Tak.

– Czy w takim razie jesteś ze Skai?

– Obawiam się, że nie. – Mani zaczął myć prawą przednią łapę; mały, zaskakująco zgrabny różowy język wysuwał się błyskawicznie i znikał w dużym, poznaczonym bliznami pysku. – Czy nie byłoby prościej zapytać, w którym świecie się urodziłem?

– W takim razie pytam. – Podniosłem kolczugę i wsunąłem się w nią.

– Tak z ciekawości zapytam: będziesz w tym strzelał w zawodach z sir Garvaonem?

– Tak.

– Co, u licha – w porządku. Wróćmy do tematu kota Mani. Urodziłem się tutaj, w Mythgarthricie, chociaż byłem kilka razy w Aelfrice. Zaraz zapytasz, jak to możliwe, że potrafię mówić. Nie wiem. Niektórzy z nas posiadają tę umiejętność, ale tylko nieliczni. Niektóre psy też potrafią mówić, lecz nie wszyscy nas rozumieją. Moja nieżyjąca już pani potrafiła przekazać mówiącego ducha i mnie nim obdarowała.

– Twierdzisz, że Gylf też się tu urodził?

W wejściu do namiotu ukazała się głowa jednego ze zbrojnych:

– Czeka ją już na ciebie, sir Able.

– Zaraz przyjdę – odparłem.

– Tego nie twierdzę – odpowiedział Mani, kiedy zbrojny wycofał się – i nie sądzę, by to była prawda. Choćby z tego względu, że nigdy nie widziałem, żeby jadł własne odchody.

Wsunąłem Łamimiecz do pochwy.

– Powiedziano mi kiedyś, że nikt nie może podróżować dalej niż jeden świat poza ten, w którym się urodził albo urodziła.

Mani kiwnął głową.

– Słyszysz się różne rzeczy.

– Ale od tamtej chwili przekonałem się, że to nieprawda. Byłeś kotem

wiedźmy, więc powinieneś dużo wiedzieć na ten temat. Opowiesz mi o tym? Jak jest naprawdę?

– Skoro nalegasz. Po pierwsze, nie powinieneś się wściekać na osobę, która ci to powiedziała. Po prostu nie chciała, żeby ci się od tego pomieszało w głowie. – Mani uśmiechnął się z przekąsem. – Takie są fakty. Możesz mi wierzyć albo nie. Jak chcesz.

Założyłem cięciwę na luk.

– Mów dalej.

– Teoretycznie – mówił dalej Mani wyraźnie zadowolony z siebie – każdy może się udać do któregośkolwiek z siedmiu światów. Nie da się zejść niżej niż pierwszy ani wejść wyżej niż ostatni, ponieważ nie ma już niż poniżej i powyżej.

– Rozumiem.

W praktyce trudno jest iść w górę, ale łatwo zejść w dół, tak samo jak przy wspinaczce na górę. Czy trudno jest ci podróżować do Aelfrice?

– Trudno jest trzymać się od niej z daleka – odparłem.

– No właśnie. Łatwo byłoby ci też podróżować do niższych światów. Ale mógłbyś nigdy nie wrócić na górę.

Skinąłem głową, po czym sięgnąłem po kołczan i wyszedłem na zewnątrz.

Garvaon wyszedł mi naprzeciw.

– My już strzelaliśmy. Teraz twoja kolej – oznajmił. – Obaj mamy po pięć strzał. Czy lord Beel powiedział ci, jaka jest nagroda?

Potrząsnąłem głową.

– Hełm. Piękna robota, bogato zdobiony złotem. Złotem, nie pozłacany.

– Dobrze się składa, bo zgubiłem swój.

– Wiem. Kiedy walczyliśmy z tymi wielkoludami. Ponownie skinąłem głową.

– Jego lordowska mość myśli, że wygrasz, dlatego wystawił ten hełm.

Dotarliśmy do tłumu, który zebrał się, by obserwować zawody; stali tam łucznicy, zbrojni, służący i poganiacze mułów. Za kłębiącym się tłumem

zobaczyłem hełm zawieszony na palu i samego Beela.

– Proponuję osobisty zakład, tylko między mną i tobą – powiedział Garvaon. – Jeśli wygrasz, będziesz mógł mnie prosić o przysługę, a ja ci nie odmówię związany honorem. Jeśli ja wygram – a tak się stanie, ostrzegam cię – ty będziesz mi winien przysługę.

– Przyjmuję zakład – zgodziłem się.

Uścisnęliśmy sobie ręce i ruszyliśmy przez tłum uśmiechnięci.

Mistrz Crol zadał w trąbę, przy której wisiał haftowany sztandar, i obrócił się na północ, wschód, południe i zachód, nie przestając grać, tak że srebrzyste wyzwanie cywilizowanego świata wypełniło górską dolinę, odbijając się echem od jej skalistych zboczy. Gdy wreszcie opuścił trąbę, zawołał:

– Sir Garvaon z Finefield! Sir Able Wielkie Serce!

W tym momencie cięciwa mojego luku, jakby trącona dźwiękiem, zanuciła jak struny lutni, kiedy orkiestra zaczyna mówić bez niej.

Jestem rycerzem, pomyślałem. Wreszcie jestem prawdziwym rycerzem i nie ma tu nikogo, kto by temu zaprzeczył.

Wyprostowałem się, podniosłem wyżej głowę i wypiąłem pierś. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że przewyższam Garvaona o dobre trzy palce, choć jego stożkowa metalowa czapka dawała wrażenie, że to on jest wyższy.

– Oto cel, moi dobrzy rycerze – powiedział Beel. Pokazał palcem na okrągłą tarczę z żelaznym środkiem. Zawieszono ją na lichym drzewie, które rosło na końcu doliny, jakieś dwieście jardów od nas.

– Będziecie strzelać na zmianę, aż każdy z was wystrzeli swoje pięć strzał. Zaczyna sir Garvaon, potem sir Able i znowu sir Gamoń, aż wypuścicie dziesięć strzał. Czy to jasne?

– Tak, wasza lordowska mość – powiedział Garvaon.

– Strzały, które nie doleczą do celu, nie będą się liczyć. Te, które doleczą, lecz go nie trafią, będą zaliczone za jeden. Te, które uderzą w cel, za dwa. – Beel zamilkł na moment, spoglądając kolejno na jednego i drugiego. – Te

zaś, które ugodzą w żelazny środek, policzę za trzy. Rozumiecie?

Przytaknęliśmy.

– Mistrz Papounce zajmie pozycję do jazdy.

Zobaczyłem go na skraju tłumu, gdzie stał, trzymając w dłoniach wodze nerwowego deresza.

– Jeśli nie będzie pewności, czy strzała trafiła w cel, sprawę rozstrzygnie świadectwo mistrza Papounce'a.

Przez tłum przetoczyła się fala podnieconych szeptów.

– Sir Garvaonie! Jesteś starszy. Stań na linii.

Garvaon zajął pozycję i wyjął z kołczanu strzałę z pierzyskiem wykonanym z szarych gęsich piór i bojowym grotem. Jednym ruchem naciągnął cięciwę, przyciągając wycięcie do ucha, i wypuścił strzałę, która znikła jak zaczarowana. Cięciwa jego łuku zaśpiewała.

Wszyscy próbowaliśmy podążyć za wysokim, świszczącym łukiem, jaki znaczyła w powietrzu, zanim zamilkła. Opadła prosto na brązowy cel niczym jastrząb spadający na królika.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Pierwsza strzała Garvaona trafiła w tarczę w połowie między jej krawędzią a żelaznym środkiem. Sterczała tam mocno wbita.

– Sir Garvaon dwa – oznajmił Beel. – Sir Able? Strzelasz? Kiedy stanąłem na linii, zjawiała się Idnn z Manim na ramieniu.

Podąła mi szarfę z zielonego jedwabiu.

– Czy przyjmiesz moją chustę, sir Able?

Tak mnie zaskoczyła, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Wziąłem od niej chustę i zawiązałem ją sobie wokół głowy, tak jak nosili je – czerwone, niebieskie, różowe, żółte, białe – rycerze w Sheerwall zawiązane na hełmach.

Ktoś krzyknął „Niech żyje lady Idnn!” i czapki poleciały w górę, a ja przez jakieś pół minuty zastanawiałem się nad tym, jak się będę czuł, jeśli strzelę gorzej niż Gatraon.

Wszystko zależy ode mnie, powiedziałem sobie. Tu nie ma żadnego

przypadku, bo to ja prowadzę strzałę.

Lekki wiatr poruszył chustą Idnn. Wiał mi prawie prosto w plecy, ale na tak długim odcinku mógł znieść strzałę nieco na lewo.

Wybrałem długie, jasne drzewce z kolczastej pomarańczy, które sam wystrugałem, dlatego wiedziałem, że jest tak proste jak prosta jest linia między okiem a dłonią. Spojrzawszy na nie, przypomniałem sobie dzikiego łabędzia, z którego piór wykonałem pierzysko. Jakże byłem z niego dumny! I jak wybornie smakował, kiedy razem z Bertoldem Śmiałym upiekliśmy go tamtej nocy! Cięciwa już się wpasowała w nacięcie, jakby szukała strzały. Zapomnij o ludziach, zapomnij o dziewczynie z kotem. Myśl tylko o celu. Patrzyli z zapartym tchem, jak opuszczam łuk i biorę długi, głęboki oddech. Ta płasko lecąca strzała nigdy nie doleci do celu. Zamknąłem oczy, wiedząc, że za chwilę będę musiał się uśmiechnąć, wzruszyć ramionami. I przygotować do następnego strzału. Gdzieś z daleka popłynął ku nam cichy odgłos, jakby wrzucono kamyk do cynowego kubka.

Do Pouka

– Chybił! – zawołał ktoś.

– Trafił!

– Trafił w środek!

Także i tym słowem zaprzeczono, a ja otworzyłem oczy. Beel zmarszczył brwi i uniósł ręce, by uciszyć tłum.

– Jeśli strzała sir Able'a trafiła żelazny środek tarczy, to musiała się od niego odbić i z pewnością go uszkodziła. Będzie też rysa. Mistrzu Papounce! Sprawdzisz?

Papounce już siedział w siodle. Ruszył galopem, gdy Beel dał mu znak głową.

– Gdyby trafiła w środek, widziałbym, jak się odbiła – powiedział *ktoś z boku*.

– Ja i moi łucznicy strzelaliśmy z odległości stu jardów – wyszeptał Garvaon. – Jego lordowska mość wydłużył dla nas odległość, ale nie chciał słyszeć, żeby Papounce stał w pobliżu i sprawdzał. A przecież byłby bezpieczny w zbroi ustawiony kilka kroków z boku.

Ja tak nie myślałem, ale kiwnąłem głową z uprzejmości; obserwowałem Papounce'a, który zatrzymał konia przy tarczy i zsiadł, żeby obejrzeć jej środek. Przyglądał mu się, a potem poszedł z tyłu tarczy, jakby oglądał drzewo, na którym ją zawieszono.

– Zamierzasz wygrać tę stalową czapkę, sir Able? – To był Crol, który wciąż trzymał w dłoniach trąbę.

Starąłem się powstrzymać uśmiech.

– Wątpię. Szczerze mówiąc, będę się cieszył, jeśli nie przyniosę sobie

wstydu.

– Król kazał wykonać taki hełm dla króla Gillinga – wyjaśnił Crol. – Większy niż moja umywalka. Ale spodobał się jego lordowskiej mości tak bardzo, że kazał wykonać dla siebie taki sam. – Crol pokazał na hełm zawieszony na palu. – Ten właśnie. Hełm króla Gillinga jedzie na jednym z mułów.

– Dobrze ci w nim będzie – rzucił Garvaon – ale wpierw musisz mnie pokonać.

Papounce dosiadł już konia i jechał kłusem z powrotem do obozu. Idnn chwyciła mnie za rękaw.

– Wiem – powiedziałem. – Wkrótce się przekonamy, pani. Wspięła się na palce. Widząc, że chce mi coś powiedzieć szeptem, pochyliłem się.

– Coś się stało! Nie jedzie galopem. Potrzebuje czasu na przemyślenie czegoś.

Spojrzałem przed siebie i znowu się pochyliłem.

– Twój kot mi powiedział i ma rację! Jedzie kłusem, chociaż czeka na niego mój ojciec? Coś się święci!

Papounce zsiadł z konia i odciągnął Beela na bok. Naradzali się jakies dwie minuty, a ja (przysunąłem się trochę do nich) usłyszałem, jak Beel wyraźnie czemuś nie dowierza.

– Rozłupał skałę?

Wreszcie podniósł ręce, by uciszyć rozmowy i powiedział:

– Sir Able ma trzy.

Rozległy się szept i głośne pytania, lecz on je zignorował.

– Sir Garvaon strzela po raz drugi. Zrobić miejsce! Strzała poleciała w prawo i nie trafiła w cel.

Tym razem Beel podał wynik Crolowi, który zaraz ryknął:

– Sir Garvaon ma trzy!

Za pierwszym razem wystrzeliłem moją najlepszą strzałę. Teraz wybrałem dobrą spośród tych, które mi zostały i założyłem ją na cięciwę, powtarzając

sobie stanowczo, że nie muszę znowu trafić w środek. Wystarczy, żebym w ogóle trafił w tarczę.

Wypuściłem strzałę i Papounce musiał pogalopować, żeby sprawdzić, tak jak poprzednio, a my czekaliśmy. Zdjąłem cięciwę i rozluźniłem się, unikając spojrzenia każdego, kto mógłby chcieć ze mną porozmawiać.

Znowu trzy. Miałem już sześć.

Garvaon oddał kolejny strzał. Jego trzecia strzała uderzyła blisko pierwszej.

Miałem wrażenie, że oszukuję, i wcale mi się to nie podobało. Tak więc następnym razem zamiast strzelić w tarczę, wycelowałem w liście marnego drzewka, na którym powieszono tarczę. Wystrzeliłem i patrzyłem, jak moja strzała zmierza prosto do celu. Przebiła liście i uderzyła w skaliste zbocze za nimi. Posypało się kilka kamieni, a potem kilka następnych.

I nagle cała ściana runęła, osypując się z wielkim hukiem.

Gylf znalazł mnie jakąś milę od obozu i obudził, liżąc moją twarz. Prychnąłem i usiadłem; przez jakiś czas wydawało mi się, że zobaczyłem za nim twarz staruchy ze snu, właścicielki leśnej chaty. Było bardzo ciemno.

– Dlaczego tutaj? – zapytał Gylf.

– Ponieważ jest tu zacisznie i liczyłem na to, że nie będzie zbyt zimno.

„Tu” oznaczało rozpadlinę między skałami.

– Ciężko tu jest – wyjaśnił Gylf – coś wytropić.

– I twardo się śpi. Mocno zeszywniałem – powiedziałem, szczękając zębami.

– Tam mają ogień. I jedzenie.

Zgodziłem się z nim.

– Ale i tak nie zjadłbym zbyt dużo. Wszyscy chcieli ze mną rozmawiać. Powiedziałem lordowi Beelowi, że spotkam się z nim później w jego namiocie...

– Dał ci go?

– Ten ładny hełm? – Wstałem, przeciągnąłem się i owinąłem płaszczem, a

potem jeszcze kocem, który przyniosłem ze sobą z obozu. – Nie wiem. I niespecjalnie mnie to obchodzi.

– Wszyscy śpią. – Gylf pomachał ogonem i spojrzał na mnie z nadzieją.

– Chcesz, żebym wrócił? Miło, że się o mnie martwisz. Gylf skinął łbem.

– Lecz jeśli tu zostanę...

– To ja też.

– Przy tobie będzie cieplej. Szkoda, że nie miałem cię wcześniej. Pobiegł do przodu, by mi pokazać drogę, a ja podążyłem za nim powoli, zziębnięty i zmęczony. Liczyłem na to, że znajdę jedną z tych pieczar, które Angronici nazywają Mysimi Dziurami, i byłem wściekły na siebie, że mi się to nie udało. Wiedziałem, że Gylf by którąś znalazł. Albo Uri i Baki, gdybym je przywołał. Ale wtedy to on by ją znalazł albo one. A ja chciałem zrobić to sam.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł i obóz wyglądał upiornie – purpurowy namiot Beela był zupełnie czarny, namioty Garvaona i Crola trupioblade, postacie śpiących strażników i poganiaczy mułów przypominały świeże groby, a dopiero co ścięte cedry wyglądały jak Osterlingowie, którzy przyszli, żeby ich zjeść.

Jeden z uwiązanych mułów zaryczał gdzieś w oddali.

– Wyślę cię do Pouka – zwróciłem się do Gylfa, informując go o świeżo podjętej decyzji. – Nie teraz, bo przecież zasługujesz na solidną porcję jedzenia i odpoczynek. Wyruszysz rano. Odnajdź go i pokaż mu się, żeby wiedział, że jestem w pobliżu. Potem wróć i powiesz mi, gdzie jest i czy wszystko u niego w porządku.

Gylf odwrócił się i zaskomlał, a zaspany strażnik zawołał:

– Sir Able? Czy to ty, sir?

Kiedy wreszcie dotarłem do swojego łóżka w namiocie Garvaona, znalazłem na nim zdobiony złotem hełm. Ktoś wyregulował wewnętrzne paski, tak że pasował, jakby był robiony na miarę.

Prośby

Następnego ranka zasiedliśmy do śniadania sami, ponieważ Garvaon nakazał swoim łucznikom i zbrojnym, by nie wpuszczali nikogo; dołączył do nas, to jest do mnie, Garvaona i Gylfa, a także Mani, który wskoczył mi na kolana i jadł wszystko, co mu podsunąłem, jak normalny kot.

– Wygląda na to, że lady Idnn zaadoptowała tego twojego kocura – zwrócił się do mnie Garvaon.

– Może go mieć u siebie, jeśli on ją chce. Garvaon spojrział na mnie, a potem się roześmiał.

– Oryginał z ciebie. – Wsunął sobie do ust kawałek letniej kiełbasy nabity na czubek ostrza sztyletu i zaczął ją przeżuwać, lecz widać było, że myślami jest gdzie indziej.

– Czy mogę porozmawiać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną?

– Wolno mi – powiedziałem. – Jasne. Oczywiście.

– Powiedziałem jak mężczyzna z mężczyzną, ale to niezupełnie tak. – Garvaon jakby unikał mojego spojrzenia. – Jestem niezłym rycerzem. Pokonam w zawodach i w walce wszystkich, których mam pod sobą. Wygrałem kilka turniejów i brałem udział w siedmiu decydujących bitwach.

Zamilkł na chwilę, jakby oczekiwał, że zakwestionuję liczbę bitew.

– Tak, w siedmiu decydujących bitwach i już nawet nie pamiętam, w ilu potyczkach podobnych do tej w wąwozie. Ale ty to coś zupełnie innego.

– Jestem od ciebie o wiele młodszy – zauważyłem – i o wiele mniej doświadczony. Wiem o tym.

– Jesteś bohaterem. – Garvaon powiedział to niemal szeptem. – Jesteś takim rycerzem, o którym piszą wiersze i śpiewają piosenki, takim, który

zostaje zabrany do Zamku Skai.

Znieruchomiałem w tym momencie.

– Nie słyszałeś o zamku tam w górze? Tam mieszka Valfather.

– Słyszałem – odpowiedziałem powoli – ale nie wiedziałem, że ktoś inny może też o nim wiedzieć.

– Nieliczni.

– I my... zostajemy tam zabrani? Czasem? Garvaon wzruszył ramionami.

– Tak mówią.

– Znałeś kogoś, którego... zabrali?

– Kogo – poprawił mnie Garvaon. – Dotąd nie, ale teraz znam ciebie. Ciebie zabiorą.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, a ja podsuwałem Gylfowi i Mani więcej jedzenia niż sam jadłem. Wreszcie Garvaon powiedział:

– Masz u mnie przysługę, wiesz o tym. Wyświadczę ci każdą przysługę, o jaką poprosisz. Pamiętasz nasz zakład?

Pokręciłem głową.

– Nie wygrałem.

– Ale tam! Wiesz, że tak.

– Mieliśmy strzelać po pięć strzał każdy. Wypuściliśmy tylko po trzy.

– A ty celowo chybiłeś przy ostatniej próbie.

Miał rację, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć, żeby nie skłamać.

– Nie chciałeś mnie pogrążyć w oczach moich ludzi. Myślisz, że nie wiem?

Zająłem się jedzeniem.

– Myślisz pewnie, że to ja zostawiłem hełm na twoim łóżku. Nie, zrobił to mistrz Crol. Na polecenia lorda Beela.

– Powinienem go oddać. Sir Garvaonie...?

– Zatrzymaj go. Jest ci potrzebny. Wytarłem sztylet o rękaw i odłożyłem go.

– Chciałbym ci zaproponować pewną umowę. Chcesz mi wyświadczyć

przysługę.

Garvaon potrząsnął głową.

– Nie tyle chcę, co jestem ci winien przysługę. Mogę to zrobić w każdej chwili.

– Jesteś związany honorem, to masz na myśli. Garvaon przytaknął mi.

– To także sprawa honoru.

– Nigdy nie wątpiłem, że jesteś człowiekiem honoru.

– W takim razie zajmijmy się naszymi przysługami. Ja ci coś ofiaruję, o cokolwiek poprosisz. A potem ty możesz uczynić to samo. Co ty na to?

– Wolno ci. Mów. Wzięłem głęboki oddech.

– Chcę, żebym mnie nauczył walczyć mieczem. Wiem, że nie jestem w tym najlepszy.

– To wszystko?

– To bardzo dużo. Zrobisz to? Możemy zacząć od dzisiaj. Wieczorem, kiedy już wszyscy pójdą spać.

Gylf wstał, położył mi łapę na kolanach i wybiegł na zewnątrz.

– Teraz kolej na mnie – rzeki Garvaon. – Tyle że nie potrzebuję już tej przysługi. Ale powiem ci, co to było, dobrze?

– W porządku. Chętnie usłyszę.

– Miałem zamiar cię zapytać, dlaczego lord Beel był taki pewny twojej wygranej. Teraz już wiem. Mogę zatrzymać swoją prośbę?

– Absolutnie.

– A tak przy okazji, to on chce się z tobą spotkać, zanim wyruszymy. Miałem ci o tym powiedzieć.

Beel i Idnn jedli jeszcze, kiedy przyszedłem. Mani zeskoczył z mojego ramienia i zajął miejsce na kolanach Idnn. Skłoniłem głowę.

– Chciałeś mnie widzieć, panie? Beel skinął potakująco głową.

– Obiecałeś wczoraj, że porozmawiamy później.

– Próbowałem, panie.

– Opuściłeś obóz. Skinąłem głową.

– Żeby móc wrócić niezauważonym, panie. Czekałem zbyt długo i zdążyłeś się położyć. Uznałem, że nie będę ci już przeszkadzał.

– Przyszedłeś do naszego namiotu? – zapytała Idnn.

– Nie do twojej części, pani. Nigdy bym tego nie zrobił. Uśmiechnęła się.

– Jak to? Nigdy?

– Rozumiem, że było już ciemno – wtrącił pospiesznie Beel.

– Właśnie wschodził księżyc, panie.

– Nie słyszałam cię – powiedziała Idnn – a źle spałam ostatniej nocy. Wiesz, co robiłam o wschodzie księżyca?

– Wie – odpowiedział jej Beel. – Spójrz na jego twarz. Wyszłaś na zewnątrz w samej koszuli, prawda?

Trudno było dalej rozmawiać, ale zebrałem się w sobie.

– Podziwiałaś księżyc, pani – powiedziałem. – Pomyślałem, że nie powinienem ci przeszkadzać.

Mani uśmiechnął się z kolan Idnn, gdy ta zapytała:

– Czy wartownik cię zatrzymał, sir Able? Nie słyszałam.

– Nie, pani.

Beel zmarszczył czoło.

– Przekradłeś się między nimi?

– Tak, panie. Przynajmniej między strażą tego namiotu. Wiedziałem, że by mnie zatrzymali.

– To nie powinno się zdarzyć.

– Dla jednej osoby nie jest zbyt trudne, panie – powiedziałem.

– Osoby w zbroi. Próbowałem zmienić temat.

– Tak, panie. Lecz bez hełmu, ponieważ nie miałem żadnego – teraz mam, dzięki twojej szczodroblewości.

Beel zajął się swoim jajkiem na miękko, a Idnn uśmiechnęła się do mnie.

Kiedy już zjadł jajko, powiedział:

– Pasuje do ciebie ten czarny kot. Do mnie bardziej by pasował twój pies. Gdzie on jest?

- Odesłałem go do Pouka, panie.
 - Przypomnij mi, proszę, kim jest Pouk?
 - To mój służący, panie. Pojechał na północ i ma czekać na mnie przy przełęczy.
 - Służący, który pobił Svona.
 - Tak, panie.
 - Twój pies to zrobi? Pójdzie do kogoś, kto jest oddalony o całe mile, ponieważ ty mu kazałeś?
 - Nie wiem, panie, ale myślę, że tak. Iddn patrzyła na Mani.
 - Twój kot uważa, że to bardzo zabawne.
 - Wiem, pani. Pewnie liczy na to, że Gylf będzie miał kłopoty. Mam nadzieję, że tak się nie stanie.
 - Pojedziesz dzisiaj ze mną, sir Able? Chciałabym mieć cię za towarzysza. Pokręciłem głową.
 - Wielki to dla mnie zaszczyt, pani, lecz muszę jechać przodem, by się upewnić, że nie wpadniemy znowu w zasadzkę tych Ludzi Gór.
 - Proszę, sir Able. Odmówisz mi tej przysługi? Beel chrząknął.
 - Odnośnie strzelania z łuku. Wczoraj... Kiwnąłem głową.
 - Rozumiem. Ale łatwiej byłoby mi wyjaśnić, w jaki sposób przekradłem się między twoimi strażnikami, niż to, dlaczego chybiłem tak okrutnie przy trzecim strzale.
- Idnn uśmiechnęła się do Beela.
- Czarnoksiężnicy nigdy nie mówią, ojcze. Pamiętasz?

Idnn

Poranne słońce zdążyło rozpędzić nocny chłód, zanim zwinęliśmy obóz. Góry, w których wpadliśmy w zasadzkę, przeszły w rozległą, dość mocno zalesioną dolinę, której dnem płynęła wartka rzeka. Za nią Trakt Wojenny piał się nieustannie w górę tak długo, jak długo moje oko podążało za kolejnymi zakrętami, które wreszcie znikły za szczytami sięgającymi chmur.

– Pouk tam będzie – szepnąłem do białego ogiera, którego dostałem od Beela – a z nim Gylf. – Miałem ochotę puścić się galopem, lecz ostatecznie uznałem, że wystarczy szybki kłus. Jutro, pomyślałem. Jutro dotrzemy do pierwszej z wysoko położonych przełęczy; ale dzisiaj rozbijemy obóz w tej dolinie, to raczej pewne, gdzie jest woda i otwarta przestrzeń.

Czy Gylf przeszedł już na drugi brzeg rzeki? Wydawało się to możliwe.

Drzewa, które z daleka zdawały się tworzyć zwartą ścianę lasu, rosły w rzeczywistości w kępach zagajników, jak zobaczyłem z bliska, zbyt oddalonych od siebie, by zorganizować tam zasadzkę. Zatrzymałem konia przy pierwszym zagajniku i czekałem, aż zobaczyłem błysk słońca odbitego od hełmu Garvaona, a potem pojechałem dalej kłusem na odległość długiego strzału z łuku, gdzie się znowu zatrzymałem i zacząłem nasłuchiwać.

Przez dłuższy czas nie usłyszałem niczego nadzwyczajnego poza westchnieniami wiatru i szeptem liści przerywanym czasem wołaniem ptaka, lecz w którymś momencie usłyszałem tętent galopującego konia. Pozostałem na miejscu, sądząc, że ktoś pędzi, by się ze mną spotkać, tymczasem tętent osłabł i ucichł zupełnie.

W pierwszej chwili chciałem założyć cięciwę na luk, lecz tylko poluzowałem Łamimiecz w pochwie i ruszyłem przed siebie.

Droga omijała ogromny szary otoczek z kępą karłowatych drzew na czubku, który przypominał oblepioną ziemią czaszkę obrośniętą innymi lichymi drzewami. Dalej Wojenny Trakt biegł niemal prosto jakąś milę albo i więcej i właśnie na środku tego odcinka ujrzałem nieruchomego jeźdźca.

Skorzystałem z okazji i ruszyłem galopem.

Idna uśmiechnęła się, gdy ściągnąłem wodze konia, a Mani przeskoczył z jej siodła na moje.

– Nie powinnaś narażać się na takie niebezpieczeństwo, pani. Uśmiechnęła się szerzej.

– A jak to zrobić najlepiej?

Wziąłem głęboki oddech, gotowy niemal ją obrazić dla jej własnego dobra.

– Można by... Och, nieważne.

– Nie chciałeś pojechać ze mną, więc ja postanowiłam pojechać za tobą.

Skinąłem głową.

– Wlokłam się z tyłu i jechałam razem z mułami, gdzie jest moje miejsce, a potem, kiedy wjechaliśmy między drzewa, zjechałam w bok na tyle daleko, żeby nie zauważyli, jak ich mijam. Cudownie jest pędzić galopem przez taki las. Wiedziałaś, że to ja, gdy tylko mnie zobaczyłeś, prawda?

Przytaknąłem jej.

– Nie wyciągnąłeś tego swojego niby-miecza. Po prostu pojechałeś do mnie szybko. A teraz chcesz mnie odesłać z powrotem.

– Zabrać cię z powrotem, pani. – Nie przyszło mi łatwo powiedzenie tego, choć nie tak trudno jak to, czego nie powiedziałem.

– Boisz się, że nie będę słuchała twoich poleceń. – Jej uśmiech niósł w sobie bezbrzeżny smutek.

– Jestem prostym chłopakiem, pani. Mój ojciec zajmował się handlem, a dziadek był farmerem, czy też chłopem, jak byś powiedziała. Ludzie wciąż mi o tym przypominają. Twój pradziadek był królem, więc nie mam prawa ci rozkazywać.

– A gdybyśmy byli małżeństwem? Mąż ma prawo rozkazywać żonie bez względu na to, kim był jej pradziadek.

– Nigdy nie będziemy małżeństwem, pani.

– Zauważ, że nie mówiłam, iż bym cię słuchała. – Wyciągnęła do mnie rękę, a kiedy ją zignorowałem, chwyciła za ramię mojego kołczanu. – Naprawdę chcesz mnie zabrać z powrotem?

– Muszę.

– Ale nie chcesz tego, prawda? – wtrącił Mani. – Robienie rzeczy, których nie chce się robić, zawsze się kończy kłopotami.

Idnn roześmiała się, przepędzając smutek, który wcześniej gościł na jej twarzy.

– Zastanawiałam się, czy będzie chciał rozmawiać przy nas, kiedy jesteśmy sami.

– On ma rację – powiedziałem. – Robienie rzeczy, których nie chcesz robić, zwykle przynosi kłopoty. Tyle że czasem trzeba to zrobić i stawić czoła kłopotom.

Iddn przyznała mi rację skinieniem głowy.

– Dlatego nie odłączę się już więcej i pojedę na południe zamiast na północ. Wrócę do Kingsdoom. – I zaraz dodała, jakby czuła, że potrzebuje wyjaśnienia. – Mamy tam dom.

Próbowałem się uwolnić, lecz ona wciąż trzymała swojego spoconego wałacha blisko mojego ogiera.

– To mi zamierzałeś powiedzieć, prawda? Wracajmy do domu do Kingsdoom. Przed chwileczką, zanim straciłeś odwagę.

– Byłabyś głupia, gdybyś posłuchała mojej rady, pani, a jeszcze głupsza, gdybyś posłuchała samej siebie.

– Mogłabym też pojechać do Thortower i opowiedzieć królowi jakąś zmyśloną historyjkę. Przez chwilę zapomniałeś o tej „pani”. Szkoda, że na tak krótko.

Zebrałem się w sobie i powiedziałem:

– Muszę cię odprowadzić z powrotem do twojego ojca, pani. Przestała się uśmiechać.

– Sir Able?

– Tak, pani?

– Pozwól mi towarzyszyć sobie przez godzinę. Porozmawiamy przez ten czas, a potem wrócę posłusznie do ojca.

– Nie mogę na to pozwolić, pani. Musisz wrócić do niego natychmiast.

– Pół godziny.

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Mam szybkiego konia, sir Able. Założmy, że się przewróci i będę ranna. Chwyciłem za nadgarstek jej dłoni, którą trzymała mój ramię.

– Powiem ojcu, że mnie dotykałeś! Skinąłem głową.

– Bo to prawda, pani. Dlaczego nie miałabyś tego powiedzieć?

– W ogóle cię nie obchodzę?

– Pozwólcie mi rozsądzić – wtrącił się Mani. – Lubię was oboje. Nie będziecie musieli walczyć, jeśli obiecacie, że zrobicie tak, jak wam powiem. Nie sądzicie, że tak będzie lepiej?

Idnn odpowiedziała skinieniem głowy.

– Jesteś jego kotem, a to daje mu przewagę, ale niech będzie. Posłucham cię, nawet gdyby to oznaczało, że mam wracać w tej chwili.

– Panie?

– Nie powinienem się zgadzać, jednak to zrobię.

– Dobrze. – Mani oblizał pysk. – Oto mój sąd. Będziecie kontynuować swoją rozmowę do czasu, kiedy dojedziecie do tamtego dużego drzewa, tego bez czubka. Potem Idnn wróci prosto do ojca i nie powie, że jej dotykałeś, ani nic takiego, co by ci mogło zaszkodzić. Musicie tak zrobić. Obiecaliście.

Wzruszyłem ramionami.

– Obawiam się, że do tego miejsca będziemy jechać przez pół ranka. Ale trudno, obiecałem i dotrzymam słowa.

– To nie potrwa dłużej niż jeden taniec – powiedziała Idnn – tylko że

zanim tam dojedziemy, zaatakują nas Ludzie Gór. Porwą nas, całą trójkę, i następne dziesięć lat spędzimy w zimnych lochach. Zanim nas uwolnią, zdążę już zbrzydnąć i nikt mnie nie będzie chciał, ale oboje z Mani zmusimy cię, żebyś się ze mną ożenił.

Prychnąłem.

– A kiedy już będziemy zgrzybiałymi, zgarbionymi starymi małżonkami, którzy spłodzili trzydzieści troje dzieci, pojedziemy tą drogą jeszcze raz. Potem zatrzymamy się przy tamtym drzewie i ty wzniesiesz się do góry albo zjedziesz w głąb ziemi i nigdy już cię nie zobaczę.

– Mi-iau! – powiedział Mani.

– Och, tak, zatrzymam cię.

– O tym chciałaś ze mną porozmawiać? – zapytałem ją.

– Nie. Po prostu nie potrafię powstrzymać umysłu. Przyzwyczaiałam się do wymyślania podobnych historii, żeby nie myśleć o innych rzeczach. Wymyśliłam ich chyba z tysiąc, lecz jak dotąd słyszał je tylko Mani i moja stara opiekunka w domu. No, a teraz ty. Widziałeś kiedyś Angronitę, sir Able?

Gdy usłyszałem to pytanie, zdałem sobie sprawę, że rozmowa z nią uspiła moją czujność. Przeczesałem wzrokiem polanki po obu stronach Wojennego Traktu, wiedząc, że powinienem to robić przez cały czas, odkąd ujrzałem Idnn, a nie robiłem.

– Nie chcę powiedzieć, że teraz widzę jakiegoś. Nigdy nie widziałam. A ty?

– Tak, pani. Ale krótko.

– Ludzie Gór byli ogromni. Tak powiedział Mani. Tak duzi jak ty?

– O wiele więksi, pani.

– A Angronici?

– Tak wielcy, jak ja jestem duży dla dziecka.

Idnn zadrżała i jechała dalej w milczeniu. Po jakimś czasie powiedziała:

– Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy się spotkaliśmy? Ze powinnam

była trzymać się z tyłu razem z mułami. Nie sprzeciwiłeś się tym słowom. Chciałeś mnie obrazić, czy zrozumiałeś, co mam na myśli?

– Chyba zrozumiałem, pani.

– I to cię nie rusza? Ani trochę?

Nic nie odpowiedziałem, bo czułem się tak podle jak nigdy wcześniej.

– Te muły niosą nasze zapasy. Żywność, którą codziennie jemy, namioty. Ale przede wszystkim niosą podarunki dla króla Gillinga, władcy Jotunlandu.

– Wiem.

– Jest wśród nich ogromny hełm. Taki sam jak ten, który nosisz. Hełm wielkości wazy do ponczu, zdobiony złotem.

– A także jedwab, aksamit i diamenty. Idnn przytaknęła mu.

– Próbuje kupić pokój. Pokój u króla Gillinga i jego Angronitów. Na wschodzie trwa wojna, a Osterlingowie czają się na południu, jakby nie dość było kłopotów z nomadami. Wiedziałaś o tym?

– Ktoś wspominał o kłopotach na południu, kiedy byłem w Sheerwall, pani – powiedziałem. Chyba sir Woddet. Nie słuchałem zbyt uważnie. Sądziłem, że martwią się trochę na zapas, bo na południu panował spokój, kiedy tam byłem. Myślałem, że gdyby było naprawdę źle na wschodzie, to by nas tam wysłali.

– Gdyby Marder posłał tam swoich rycerzy, odsłoniłby północ dla króla Gillinga – powiedziała i zaraz dodała z goryczą: – Pewnie byśmy mu oddali całą północ, gdyby przysiągł, że zostawi resztę królestwa w spokoju.

– Jeśli nie zgodzi się na pokój, powinniśmy go najechać i tam z nim walczyć.

– Odważnie powiedziane. Choć nie za bardzo jest tam co ukraść. Masz pojęcie, ile je taki Gigant Mrozu?

– Nie, pani.

– Ani ja. Mam tylko nadzieję, że nie będę musiała gotować dla mojego. Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

– Wiedziałaś od początku. Mam rację? Potrząsnąłem głową.

– Nie od początku, pani. Od chwili kiedy dowiedziałem się, że Ludzie Gór, ci olbrzymi, których Angronicy nazywają Myszami, to w rzeczywistości ich dzieci spłodzone z naszymi kobietami. Ale...

– Ale nie potrafiłeś sobie wyobrazić, jak coś takiego jest możliwe. To tak, jakby pozwolić rumakowi rycerza, żeby pokrył kucyka, na którym jeździ dziecko.

– Tak, pani.

– Mnie też się to nie mieści w głowie. Nie, mieści się. Tylko nie potrafię rozmawiać o tym, co on mi robi, i jak się będę potem czuła.

Idnn wyprostowała się i odrzuciła grzywę długich, ciemnych włosów.

– Coś takiego zdarzyło się w Coldcliff, kiedy byłem dzieckiem, sir Able. Naprawdę. Coldcliff to posiadłość mojego wuja, gdzie udaliśmy się z wizytą. Miałam tam kucyka. Bardzo go lubiłam, a ojciec pozwalał mi na nim jeździć. Kiedy wróciliśmy do domu i przyszedł jej czas, trzeba było wyciąć z niej źrebaka. Dali go innej klaczy do wykarmienia. Musieli, bo matka zdechła. Myślisz, że zmyślam?

– Nie, pani.

– Chciałabym, żeby tak było, bo wtedy mogłabym dodać szczęśliwe zakończenie. Ojciec chciał, żebym na nim jeździła, kiedy już można go było dosiąść i ja urosłam. Ale nie chciałam, tak więc go sprzedaliśmy.

Idnn rozplakała się, a ja pojechałam do przodu.

Gdy dotarłem do drzewa, zawróciłem mojego rumaka w jej stronę.

– Teraz musisz jechać do lorda Beela, pani. Tak się umówiliśmy. Ściągnęła cugle swojego konia.

– Ja jeszcze nie dojechałam do drzewa, sir Able. Jeszcze nie. Kiedy się pojawiłeś, myślałam, że przybył mój wybawiciel.

– Pani, wysłuchałem cię i nauczyłem się więcej, niż bym tego pragnął. Wysłuchaj, proszę, głosu rozsądku, choćby tylko przez chwilę.

– Jestem winna posłuszeństwo ojcu. – Wypluła z siebie te słowa. – To chciałeś powiedzieć. Mój ojciec jest młodszym synem młodszego syna. Masz

pojęcie, co to znaczy?

– Niewielkie.

Jej cudowny głos ściszył się do szeptu.

– Jeszcze nie tak dawno temu należeliśmy do królewskiego rodu. Prawie za ludzkiej pamięci. Mój dziadek był księciem, a teraz księciem jest mój wuj. Mój duży brat odziedziczył tytuł barona. Mój mały brat zostanie rycerzem. W najlepszym razie rycerzem, który zamieszka w ciasnej posiadłości z kilkoma wioskami, oddalonej o tydzień drogi od wszystkich ważniejszych miejsc.

Położyła wodze na karku wałacha i otarła oczy.

– To zżera mojego ojca. Jakby połknął szczura, który zjada mu serce. Wysłuchaj mnie, sir Able.

Skinąłem głową.

– Służył wiernie koronie przed dwadzieścia pięć lat, wiedząc przez cały czas, że jeśli tylko rzeczy potoczą się trochę inaczej, odrobinę inaczej, to sam ją włoży na głowę. Ale król potrafi okazać wdzięczność. A jakże! Jest hojny. Wiesz, jaka jest jego nagroda?

– Ty mi to powiedz, pani.

– Ja nią jestem. Nagrodą jest jego córka, córka zwykłego barona ma zostać królową Jotunlandu. Podarują mnie królowi Gillingowi, tak jak się daje w prezencie puchar, srebrny kielich, który napelni swoją spermą. W ten sposób kiedy ojciec wróci do Thortower, będzie mógł powiedzieć: „Jej Królewska Mość, moja córka”.

Skinąłem głową.

– Rozumiem, pani. Ale nie miałem zamiaru mówić o twoim obowiązku wobec lorda Beela. Prosiłem cię, byś posłuchała głosu rozsądku. Obowiązek jest jak honor. Jest poza rozsądkiem. Mówisz, że pragniesz, abym cię uratował. I rozumiesz przez to, że porwę cię do Krainy Słodocy, gdzie spełni się każde twoje życzenie. Nie znam takiego miejsca, a nawet gdybym je znał, nie wiedziałbym, jak się tam dostać.

Idnn znowu zaczęła płakać, pochlipując jak mała dziewczynka, którą była

jeszcze tak niedawno.

– Nie masz zbyt dobrego zdania o rycerzach. A rycerze w Sheerwall nie mieli zbyt dobrego zdania o mnie. Spójrz na mnie. Moja zbroja wciąż jest zardzewiała po podróży przez las w deszczu i spaniu gdzie popadnie. Wistan poinstruował mnie, jak o nią dbać. Mój własny giermek opuścił mnie pełen pogardy. Połowę ubrań mam pożyczonych od sir Garvaona i jego ludzi. Twój ojciec podarował mi tego konia. Nie posiadam ziemi ani pieniędzy, a gdybym miał dostać którąś z tych marnych posiadłości, którymi tak gardzisz, byłbym równie szczęśliwy jak twój ojciec pragnący zobaczyć cię królową.

Idnn nie przestawała płakać. Wróciłem do niej, chwyciłem za uzdę jej konia i go zawróciłem, po czym klepnąłem go mocno w zad.

Ruszył kłusem, niosąc na grzbiecie zapłakaną Idnn. Kiedy oddalili się trochę, Mani zeskoczył z łęku mojego siodła i pobiegł, skradając się przez wysoką, ostrą trawę, która rosła po obu stronach Traktu Wojennego.

Miecz i tarcza

– Przyjrzyj się, jak trzymam miecz – powiedział Garvaon. – Kciuk na wierzchu. Trzymaj swój tak samo.

Garvaon trzymał w rzeczywistości świeżo ucięty kij, a ja miałem podobny.

– Kiedy walczysz toporem lub buzdyganem, koncentrujesz się na sile uderzenia. Zamierzasz uderzyć tak mocno, jak tylko potrafisz, bo jeśli tego nie zrobisz, nie wyrządzisz nikomu większej krzywdy. Walcząc dobrym mieczem, już lekkim cięciem możesz poważnie zranić przeciwnika, dlatego tutaj najważniejsza jest precyzja ruchu. Nie będziesz próbował rozłupać tarczy przeciwnika. Nie do tego służy miecz.

Zamilkł, by sprawdzić, jak trzymam kij.

– Trochę bardziej do przodu. Dłoń ma być bliżej jelca, a nie gałki rękojeści.

Przesunął dłoń odrobinę do przodu.

– Tak lepiej. Czasem chcesz opuścić tarczę i chwycić rękojeść obiema dłońmi, żeby wykonać silniejsze cięcie.

– Tak jak toporem?

– Nie. Mieczem nie rąbiesz, ale tniesz. – Garvaon cofnął się o krok, jakby zamyślony. – Miałem z tym sporo kłopotu jako chłopak. Żeby nauczyć się ciąć zamiast rąbać. Nieraz dostałem za to porządne lanie. Kiedy rąbiesz toporem, spodziewasz się, że zostanie już na miejscu. Pomyśl o tym, jak się rąbie drzewo. Ale kiedy zadajesz cięcie, spodziewasz się, że ostrze pójdzie dalej. Jego krawędź ma przeciąć szyję przeciwnika w odległości jakiejś dłoni od czubka. A potem cała ta część między tym miejscem a czubkiem klingi

ma się przesunąć po cięciu. A potem sam czubek. Cała klinga musi się uwolnić, żebyś mógł wykonać kolejne cięcie, z prawa lub z lewa.

Kiwnąłem głową, choć nie miałem pewności, czy go do końca zrozumiałem.

– Starasz się, aby ciężar twojego ramienia był przedłużeniem ciężaru klingi, lecz jeśli zablokujesz nadgarstek, będziesz tylko rąbał. A teraz spójrz na tamto drzewo. To twój przeciwnik. Chcę zobaczyć, jak go zaatakujesz i wyprowadzisz cięcie.

Spróbowałem.

– Szybciej!

– Chciałem, żebyś zobaczył, co robię – wyjaśniłem.

– Zobaczę. Posłuchaj. – Garvaon złapał mnie za ramię. – Szybkość nie jest tu ważna. Nie jest najważniejsza. Szybkość to po prostu wszystko. Jeśli nie jesteś szybki, nie ma znaczenia, czy trzymasz miecz odpowiednio, czy jesteś odważny albo czy znasz dużo sztuczek.

Przytaknąłem, starając się przybrać minę bardziej pewną siebie niż czułem się naprawdę.

– Widziałeś kiedyś, jak walczą byki? Dwa naprawdę dobre byki? Potrząsnąłem głową.

– Są szybkie. Trudno uwierzyć, że potrafią być tak szybkie. Ustawiają się i grzebią w ziemi, żeby sprawdzić, czy mają dobre odbicie. Gdy tylko pierwszy ruszy, idą na siebie jak błyskawice. Mam na myśli dobre byki, rozumiesz? Jeśli są dobre, są też szybkie, bo jeśli nie są szybkie, to siła nie ma znaczenia. Wystarczy, że jeden spóźni się trochę, wtedy drugi ubodzie go w bok i po wszystkim. No, jeszcze raz. Tylko szybko.

Zadałem cięcie, blokując uderzenia wyimaginowanego przeciwnika tarczą pożyczoną od jednego ze zbrojnych, i nacierałem nieprzerwanie, aż się zdyszałem i spociłem.

– O wiele lepiej – oznajmił Garvaon. – A teraz mnie zaatakuj.

Natarłem na niego, lecz wszędzie tam, gdzie opadał mój kij, trafiał na

tarczę Garvaona, natomiast jego kij nieustannie obijał moje łydki i kolana.

Kiedy już dostałem nawet po uszach, cofnął się i opuścił kij.

– Szybki jesteś, ale popełniasz kilka poważnych błędów. Każde twoje cięcie jest osobną operacją.

Skinałem głową.

– A nie tak powinno być. Następne cięcie musi być płynnym przedłużeniem poprzedniego. – Wykonał kilka cięć, a jego kij popłynął gładko w powietrzu. – Teraz jest łatwo, ponieważ kij jest lekki. Kiedy ćwiczę w domu, walczę mieczem ćwiczebnym, który jest jeszcze cięższy niż Bitewna Wiedźma.

Ponownie skinąłem głową, gdy pomyślałem, że Łamimiecz jest cięższy od wszystkich mieczy, jakie dotąd trzymałem w ręku.

– Twoja kolej. Tniesz z góry w dół i z powrotem do góry. Potem w lewo i z powrotem na prawo. W górę i w poprzek. Ramię idzie za mieczem. Nie machasz kijkiem, tylko tniesz mieczem. Przeciwnik ma na sobie kolczugę, a pod nią skórzany kaftan...

– Zwalniasz. Szybciej! Umrzesz, jeśli się zmęczysz. Teraz lepiej. Kolejne cięcia były teraz falami spokojnego morza Aelfrice, zielony kij zamienił się w Zielony Miecz, Eterne, który zawijał się jak fala i opadał niczym lawina, by powrócić do morza i ponownie natrzeć na ląd.

– Dobrze! Bardzo dobrze!

– W porządku. Wystarczy. Opuściłem kij zasapany.

– Tak było dobrze. Jeśli będziesz tak walczył prawdziwym mieczem, można cię nazwać szermierzem. – Garvaon zamilkł, a nieprzeniknione spojrzenie jego zmrużonych oczu zmętniało na moment. – Mistrz Tung zwykł mawiać, że prawdziwy szermierz jest jak kwitnąca w ogniu lilia.

Zakasłał.

– Mistrz Tung uczył mnie, kiedy byłem nie wyższy niż twój patyk. Rozumiesz, co miał na myśli?

Przypomniawszy sobie walkę na pokładzie statku Osterlingów,

powiedziałem:

– Być może. Trochę.

– Wszyscy Overcyni w Skai wiedzą, że ja nigdy nie rozumiałem. – Garvaon roześmiał się zażenowany. – Lecz ponieważ powtarzał to w kółko, uznałem, że jest to coś ważnego dla niego, a był cudownym szermierzem.

– Musiał być też dobrym człowiekiem. Bo inaczej nie opowiadałbyś o nim w ten sposób.

– Ty nie jesteś cudownym szermierzem – zwrócił się do mnie Garvaon – ale idziesz w dobrym kierunku. Możesz staniesz się nim, jeśli rozgryziesz do końca, o co chodzi z tą lilią w ogniu.

Uderzył kijem w moją tarczę.

– Powiedziałem, że robisz źle dwie rzeczy. Pamiętasz? Co to było?

– Powiedziałeś, że... że mój miecz nie jest jak morze. Ze nie płynie jak morze. – Zastanawiałem się przez chwilę nad drugą rzeczą. – Powiedziałeś też...

– Nic takiego nie powiedziałem. Nie pytam cię, co powiedziałem. Pytam, co robiłeś źle. Dobrze określiłeś pierwszą rzecz. Twój kij powinien płynąć. A to drugie?

– Nie wiem.

– Zastanów się. Przypomnij sobie naszą walkę i to, jak walczyłeś. Skupiłem myśli.

– Ty myśl, a ja tymczasem zdradzę ci pewną tajemnicę – rzekł Garvaon. – Jeśli chcesz być dobry, musisz zawsze wracać myślami do walk, które stoczyłeś. Nieważne, czy to były prawdziwe pojedynki, czy tylko ćwiczenia, ani jaką bronią walczyłeś. Musisz wrócić do nich w myślach i przyjrzeć im się. Zobaczyć, co zrobił twój przeciwnik i co ty zrobiłeś. Jaki był wynik poczynań każdego z was.

– Wciąż obijałeś mnie po nogach – powiedziałem. – A potem po głowie. A ja wciąż waliłem w twoją tarczę. Wcale tego nie chciałem, ale jakoś tak wychodziło.

– Nieźle. Kiedy zaatakowałeś, uderzyłeś bokiem, w ten sposób. Garvaon zademonstrował cięcie.

– Zrobiłeś tak, ponieważ myślałeś: miecz, miecz, miecz, podczas gdy powinieneś był pomyśleć: miecz, tarcza, miecz, tarcza, miecz. Twoja tarcza jest tak samo ważna jak miecz. Nigdy o tym nie zapominaj.

Zamilkł i spojrzał na swój kij.

– Czasem walczyłem z kimś, kto nigdy nie nauczył się dobrze walczyć, i wiedziałem o tym już po kilku chwilach. Szybko padają.

Przełknąłem ślinę.

– Tak jak ja bym padł, gdybyś walczył prawdziwym mieczem. Wystarczyło pierwsze cięcie w kostkę nogi.

– Masz rację. A teraz spróbujemy czegoś innego. Przełóż tarczę do prawej ręki, a miecz weź w lewą. Chcę, żebyś myślał: tarcza, miecz, tarcza, miecz. Rozumiesz?

I tak nauczyłem się walczyć lewą ręką. Wiem, że to brzmi głupio, ale to była dobra lekcja. Bo kiedy trzymasz tarczę na prawym ramieniu, a miecz w lewej ręce, to zaczynasz posługiwać się tarczą jak mieczem, co jest dobrą drogą do zwycięstwa. Początkujący zawsze myślą głównie o tym, jak zadać cięcie albo pchnięcie. Wytrawny szermierz myśli o tym, żeby pozostać w jednym kawałku, kiedy będzie zadawał to pchnięcie lub cięcie. Co więcej, wiedzą, że możesz tarczą posłużyć się jak bronią, a miecz wykorzystać do obrony.

Lecz przede wszystkim szybkość. Co Garvaon podkreślał w kółko. Jeśli nie potrafisz zrobić tego szybko, w ogóle nie potrafisz tego zrobić. Młody rycerz – jakim ja byłem – ma w sobie tę szybkość, której może zabraknąć komuś starszemu jak Garvaon. Obaj o tym wiedzieliśmy. Mimo to był szybszy, ponieważ wcześniej walczył i ćwiczył tyle, że walka stała się jego drugą naturą. Nie uczył mnie zbyt długo. Pojechałem do Jutlandu, zanim zdążyliśmy się zagłębić w tajniki szermierki. Ale nauczyłem się na tyle dużo, że gdy znalazłem się w Skai, niektórzy z tamtejszych rycerzy, rycerzy wciąż

znanych w Mythgarthr, stwierdzili, że walczą lepiej niż większość z nowo przybyłych.

Garvaon był prostym człowiekiem i właśnie ta prostota sprawiała, że trudno go było zrozumieć, mimo iż sam jestem prosty. Przy każdej sposobności ćwiczył ze swoimi ludźmi i uczył ich w miarę swoich możliwości, które były ogromne. Wyznał mi kiedyś, że boi się zawsze przed bitwą, lecz nigdy, gdy już zacznie walczyć. Z tego powodu niektórzy atakują czasem zbyt wcześnie, ale czy Garvaon zachował się tak kiedykolwiek, o tym nigdy nie słyszałem. Kiedy nadchodził czas, nakazywał ludziom iść za sobą i zanurzał się w wir walki. Dumny był z tego, jak wygląda i jak wyglądają jego ludzie. Wykonywał swój obowiązek tak, jak to widział, i widział, że większość ludzi tak nie postępowała, z którego to powodu trochę nimi pogardzał. Należał do tego typu wojowników, który sprawdza, czy żaden z koni nie ma luźnej podkowy.

Popioły na przełęczy

Przez jakąś godzinę, kiedy pięliśmy się w górę Wojennym Traktem, widziałem przełęcz. A potem niespodziewanie ujrzałem kogoś – nie, dwie osoby – stojące na drodze, purpurowe na tle zachmurzonego nieba. Chciałem spiąć ostrogami mojego ogiera, lecz mocno pracował całe rano, a siły, jakie jeszcze zachował, mogły się przydać po południu.

Jedna z postaci machała rękoma i pokazywała palcem z wypchniętymi biodrami, by utrzymać w równowadze zgrabne ciało; dopiero po chwili zorientowałem się, że wcale nie są oświetlone słońcem, a po prostu czerwone.

I do tego są kobietami.

– Uri! Baki! Czy to wy?

Coś zgiętego i tak brudnego, że wydawało się ulepione z błota na drodze, wynurzyło się z rowu i chwyciło mnie za strzemień.

– Mistrz? Sar Able? Mistrz? Zatrzymałem konia zaskoczony.

– Mistrzu! Znalazłem cię!

Wpatrywałem się zdumiony w wychudzoną, brudną twarz.

– Miałeś mnie wziąć. Dać mi miejsce, mistrzu. Tak powiedziałaś mamie.

– Wybacz – odpowiedziałem najuprzejmiej jak umiałem. – Czy my się znamy?

– Uns, mistrzu. Uns ci jestem. Walczyłem dla ciebie z Orgiem, jak cię majtnął w jęczmień.

– Syn farmerki – zastanawiałem się głośno. – Młodszy syn.

– Tak, sar. Tak, panie. Jakby nie ja, to Org by cię zabił.

– Zranił cię – powiedziałem. – Myślałem, że uciekłeś. Uns pokiwał głową

energicznie.

– Tak mama powiedziała. Ze chciałeś mnie wziąć, tylko że myślałeś, że uciekł. No to poszłem za tobą. Wyprostować to się nie mogę, ale potrafię szybko chodzić. – Na ubrudzonej twarzy Unsa pojawiło się coś, można by wziąć za dumę. – W zamku mi powiedzieli, gdzie poszłeś. Pomywacz podział i dał mi co nieco. Daleko było i trudna droga, ale że przyszedł. Wiedziałem, że cię znajdę, mistrzu, i że wszystko będzie dobrze.

Uri, stojąca po drugiej stronie mojego białego ogiera, trąciła mnie w udo.

– Skończ już gadać z tym żebrakiem, panie, bo obie z Baki mamy ci coś ważnego do pokazania.

Spojrzałem na nią.

– To coś pilnego?

– Raczej tak.

– Jadę dalej, Uns – powiedziałem i pokazałem przed siebie. – Spotkamy się tam. A gdybym pojechał jeszcze dalej, zanim tam dotrzesz, idź za mną, tak jak dotąd. Jak tylko to będzie możliwe, załatwię ci konia.

– Czy mogę usiąść z tyłu, panie? – zapytała Uri. – Biegłam do ciebie. Zastanawiałem się przez chwilę nad jej propozycją.

– Nie, nie możesz. – Zsiadłem z konia. – Masz całe siodło dla siebie. Ja poprowadzę konia.

– Nie mogę jechać, kiedy ty będziesz szedł! – zawołała oburzona.

– W takim razie musisz iść razem ze mną i Unsem.

– Będę się wspinać po skałach – uznała po chwili – tam jest więcej cienia. – Przez jakiś czas widać było, jak wślizguje się w skalne rozpadliny niczym cień albo skacze z miejsca na miejsce niczym kozica, uchylając się przed plamami słońca, kiedy wychylało się zza chmur, a potem jakby rozplynęła się na wietrze.

– To jest Aelf, mistrzu – oświadczy! Uns. – Ona i jej siostra przychodziły węszyć kilka razy, kiedy byłem na drodze, ale nic im nie powiedziałem.

– Nic by nie zaszkodziło – powiedziałem. – Dobrze, że ci nie zrobiły

krzywdy.

Uns zarechotał.

– Och, robiły, co mogły, mistrzu, tyle że niewiele mogły.

– Cieszę się, że potrafisz się z tego śmiać, Uns. Bo mało kto by potrafił.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, krzywe i pożółkłe.

– Znalazłem cię, co nie, sar? No to wszystko dobrze, co by nie było. Co mnie obchodzą jakieś tam Aelfy.

– Jeśli idziesz z nami – powiedziałem powoli – to dla ciebie nie wszystko będzie dobrze. Jesteśmy już na rubieżach Jotunlandu.

Uns popatrzył na mnie przestraszony.

Wieczorem rozbiliśmy obóz w dolinie po drugiej stronie przełęczy, w niemal równym miejscu, gdzie morderczy szlak schodził w dół wąwozu do spienionego strumienia. Poszedłem do namiotu Beela i zastałem go pogrążonego w rozmowie z Garvaonem; Idnn obserwowała ich z boku.

– Usiądź – powiedział Beel, gdy jego sługa przyniósł składany stołek. – Rozmawialiśmy z sir Garvaonem o niebezpieczeństwach, jakie mogą czyhać teraz na nas. Miałem już wysłać strażnika po ciebie, kiedy mi oznajmiono, że czekasz na zewnątrz. Jesteś naszym najlepszym łucznikiem, co może mieć ogromne znaczenie.

– Ale kiepskim szermierzem. – Uśmiechnąłem się z goryczą; byłem zmęczony, tak bardzo zmęczony, że z wdzięcznością usiadłem na stołku i żałowałem tylko, że nie ma oparcia.

Garvaon pokręcił głową.

– Nie wierz mu, wasza lordowska mość. Lepiej macha mieczem niż większość z nas, a idzie mu coraz lepiej. Może poćwiczymy trochę, skoro już tu jesteś, sir Able?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Wstydz się, sir Garvaonie – rzuciła Idnn. – Spójrz na niego. Oklapł jak lilia.

– Potrzebuje ognia, który by go pobudził. Wtedy rzuci się na mnie jak lew.

Chrząknąłem.

– Przyznaję, jestem zmęczony. Ale otrzymałem dzisiaj złe wieści. Beel zapytał, co to za wieści.

– Mówiłem, że cię opuszczę, wasza lordowska mość, kiedy dotrzemy do przełęczy, przy której będzie czekał mój sługa. Z pewnością pamiętasz.

– Ja pamiętam – rzekła Idnn.

– Tymczasem minęliśmy ją, a ja wciąż tu jestem. Mówiłem ci też, jak sądzę, że pošlę Gylfa przodem, żeby powiadomił Pouka, że nadchodzę.

– Gylf to twój pies? – zapytał Beel.

– Tak, panie.

– Czy wolno mi pożyczyć znowu twojego kota, sir Able? – zapytała Idnn.

– Stęskniłam się za nim.

Rozłożyłem rękę.

– Chętnie bym ci go pożyczył, pani, gdyby był ze mną. On tymczasem opuścił ciebie, lecz nie wrócił do mnie.

– A twój pies? – zapytał Beel.

– Uprzedziłeś mnie, panie. Gylf nie wrócił.

– Opowiedz nam wszystko – rzekł Garvaon.

– Postaram się streszczać. Otóż mój człowiek, Pouk, uznał, jak się zdaje, że tamta przełęcz będzie dobrym miejscem na zajęcie pozycji, tak jak ślubowałem. Bez wątplenia obozował tam przez kilka dni. Znaleźliśmy tam ślady dwóch ognisk, a nawet miejsce, w którym pasły się jego konie.

Garvaon uniósł brwi. – My?

Uznałem, że nie czas na przedstawianie im Uri i Baki, dlatego powiedziałem:

– Mój sługa Uns i ja. Uns to ten kaleki żebrak, o którego pytał jeden z twoich wojów. Po tym, jak się ze mną rozdzielił, musiał żebrnąć.

Czekałem, aż ktoś coś powie, lecz pozostali milczeli.

– Teraz ja jestem zmuszony żebrnąć dla niego, panie. Nie ma konia i właśnie w tej sprawie przyszedłem. Czy możesz mu użyczyć jakiegoś? Albo

choć muła?

– Znalazłeś obóz swojego sługi – rzekł Beel. – Kontynuuj, proszę, od tego miejsca.

– Znalazłem ich obóz, lecz ich tam nie było. Ani mego sługi, ani kobiety, która rzekomo z nim podróżowała. Ani śladu Gylfa czy Mani. To mój kot, tak dla ścisłości.

– Udali się na północ? – zapytał Beel.

– Tak, panie. Najwyraźniej. Jest tam tylko jedna droga, ten Trakt Wojenny. Gdyby poszli na południe, spotkalibyśmy ich na drodze. Tak więc musieli pójść na północ.

– Do Jotunlandu – wtrącił Garvaon. Beel wzruszył ramionami.

– Sami już jesteśmy w Jotunlandzie. Przekroczyliśmy jego granice z chwilą, gdy przebyliśmy przełęcz i zaczęliśmy schodzić. Z pewnością dzisiaj grozi nam większe niebezpieczeństwo niż wczoraj, choć szczerze mówiąc, nie widać specjalnej różnicy.

– Myślisz, że twój sługa – powiedziała Idnn – i ta kobieta, która, jak mówisz, jest dla ciebie tajemnicą – poszliby sami na północ?

– Pouk z pewnością nie. A co do kobiety, to nie mam pojęcia, do czego byłaby zdolna albo do czego potrafiłaby go namówić.

Garvaon chrząknął potakująco.

– Kto wie, do czego jest zdolna kobieta? Idnn posłała mu znaczące spojrzenie.

– Inne kobiety. A przynajmniej czasami.

– Nie ma czasu na kłótnie – mruknął Beel.

– Nie kłóć się, ojczu. Wyjaśniam tylko coś, co sir Garvaon sam powinien był odkryć. Ale chciałabym, żeby sir Able wyjaśnił mi kilka rzeczy. Czy mogę zadać ci kilka pytań, sir Able?

Westchnąłem i pochyliłem się na swoim siedzeniu.

– Tak, pani. Wolno ci.

– A zatem zadam to bardzo oczywiste. Ten twój człowiek, Pouk? Czy

stanąby do walki, gdyby Giganci Mrozu próbowali pochwycić jego i jego konie?

– Wątpię, pani.

– A ta kobieta, która, jak wspominałeś, jest z nim. Czy ona by walczyła?

Uśmiechnąłem się.

– Ponoć miała miecz, pani. Możliwe więc, że tak. Ty nam to powiedz, mnie i sir Garvaonowi.

– Niektóre kobiety by walczyły – rzucił z powagą Garvaon.

– Bo przecież znalazłeś krew – mówiła dalej Idnn. – Znalazłeś popiół, a nie zauważyłeś krwi? Sir Garvaon ją widział i mi ją pokazał.

Beel westchnął.

– Nieraz mówiłem córce, żeby nie jechała z awangardą. Najwyraźniej muszę też zapowiedzieć ludziom z awangardy, żeby nie jeździli z moją córką.

– Pani nadjechała, kiedy badałem ślady po obozie, wasza lordowska mość. Zsiadłem z konia, a ona musiała zobaczyć, że coś znalazłem. Po prostu powodowała nią ciekawość.

Idnn uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć „Widzisz, jak sir Garvaon mnie broni?”.

Beel skierował swoją uwagę na moją osobę.

– Zauważyłem krew, oczywiście. A także popiół i całą resztę. Odkryłem też odcisk stopy w popiele, z boku, przy później rozpalonym ognisku, częściowo zamaskowany przez cień kamienia. Widziałeś go?

Potrząsnąłem głową zbyt zniechęcony, żeby mówić.

– Ślad łapy bardzo dużego psa albo wilka. A krew wskazywałaby, że twój sługa się opierał. Być może źle go oceniłeś. Albo kobieta walczyła, jak sugeruje Idnn. A może nawet oboje.

– Możliwe – powiedziałem.

– Możliwe też, niestety, że jedno z nich lub oboje zostali ranni, mimo iż nie stawiali oporu. Albo że kobieta pobiła twojego sługę lub on ją. Tego nie

wiemy.

– Panie...

– Tak? O co chodzi?

– Nie w tej sprawie tu przybyłem. Przyszedłem w nadziei, że dostanę konia dla Unsa. Ale ty znasz się trochę na magii. Czy potrafiłbyś się dowiedzieć w jakiś sposób, co się z nimi stało?

Na chwilę namiot Beela wypełniła cisza, którą zmącił tylko gwałtowny oddech Idnn.

Po chwili Beel powiedział:

– Czemu sam o tym nie pomyślałem? Może nam to coś powiedzieć. Będę z tobą szczerzy, sir Able. Częściej doświadczam porażki niż sukcesu.

– Lecz gdyby ci się udało, panie...

– Moglibyśmy dowiedzieć się czegoś istotnego. To prawda. Kiedy jego córka uśmiechnęła się i nachyliła do niego, powiedział:

– Pragniesz podniecenia. Sztukmistrze udają czary dla pokazu, Idnn. Udają, że połykają miecze i ropuchy. Lecz magia, prawdziwa magia nie ma nic wspólnego z rozrywką. Czy wiesz, w jaki sposób narodziły się Aelfy?

Potrząsnęła głową.

– Nie, ojcze, ale chciałabym się dowiedzieć, nawet jeśli one nie istnieją.

– Istnieją. A ty, sir Garvaonie? Sir Able? Czy któryś z was potrafi odpowiedzieć na to pytanie?

Garvaon pokręcił głową przecząco, lecz ja skinąłem głową.

– W takim razie powiedz nam.

– W Aelfrice jest ktoś, kto się nazywa Kulili, panie. Może powinienem był raczej powiedzieć: w świecie zwanym przez nas Aelfrice, ponieważ w rzeczywistości nie należy on do Aelfów, a właśnie do Kulili. – Zamilkłem na chwilę. – Opowiadam wam tylko to, co sam usłyszałem, lecz wierzę, że to prawda.

– Mów dalej.

– Dobrze. Otóż w Aelfrice istniały pozbawione ciał duchy, istoty podobne

do duchów, choć nigdy wcześniej nie żyły. Kulili lepiła zaczarowane ciała z błota, liści, mchu, popiołu i tak dalej i wlewała w nie te duchy. Jeśli ulepiła ciało z ognia, stawało się Aelfem Ognia, Duchem Żaru. Jeśli posłużyła się głównie wodą morską, stawali się Aelfami Morza, Duchami Wodnymi.

– Zgadza się. – Beel spojrział najpierw na mnie, a potem na Garvaona i Idnn. – My nie jesteśmy jak Aelfy. Bardziej przypominamy Kulili, stworzeni, tak jak ona, przez Ojca ojców Overcynów, Boga najwyższego świata. Tutaj, podobnie jak tam, on także stworzył efemeryczne istoty. Tak jak mówi sir Able, przypominają bardziej duchy. Te prastare istoty posiadają wiedzę nabytą przez stulecia.

Garvaon zakasłał i poruszył się niespokojnie.

– Mają nadzieję, że kiedyś zrobimy dla nich to samo, co Kulili uczyniła dla Aelfów. A przynajmniej tak to widzę. Wtedy być może spróbują odebrać nam Mythgarthr, tak jak Aelfy zabrały Kulili Aelfrice. Nie wiem. Tak więc posiadamy coś, co nazywamy magią, a co polega na tym, że kontaktujemy się z nimi, żeby ich namówić, aby pomogli czarnoksiężnikowi dla nagrody albo z litości – podobnie jak czasem pomagają nam Overcyni – albo po prostu żeby zdobyć nasze zaufanie.

– To może być niebezpieczne – rzekł Garvaon. – Tak słyszałem, wasza lordowska mość.

Beel skinął głową.

– Owszem, mimo to spróbuję dzisiejszego wieczora, jeśli sir Able będzie mi asystował. Uczynisz to, sir Able?

– Oczywiście, panie.

– Być może znajdziemy twojego psa, twojego sługę, a może nawet tę tajemniczą kobietę z mieczem. Jeśli nam się powie, możemy się dowiedzieć rzeczy przydatnych w Jotunlandzie. Lecz najbardziej prawdopodobnym jest, że niczego się nie dowiemy. Chcę, żebyś to zrozumiał.

– Rozumiem, panie.

– Sir Garvaon może mi towarzyszyć lub nie, sam zdecyduje.

– Ja będę ci towarzyszyć, ojczy. Możesz na mnie liczyć – oświadczyła Idnn.

– Tego się obawiałem.

– Będę przy tobie, wasza lordowska mość – powiedział Garvaon. – Możesz na mnie polegać, zawsze.

– Wiem. – Beel znowu odwrócił się do mnie. – Porozmawiam z mistrzem Egrem w sprawie konia dla twojego żebraka. Spotkajmy się tutaj, gdy księżyc stanie na niebie wysoko. A teraz możesz odejść.

Garvaon także wstał.

– Odpocznij. A potem może poćwiczymy trochę przed zmrokiem.

Prośba Garvaona

Kiedy rozmawialiśmy, rozbito pozostałe namioty. W kuchni już się palił ogień, mimo iż kilkunastu ludzi wciąż znosiło drewno, a z górskich stoków dochodził dźwięk siekier. Poganiacze mułów prowadzili w szeregu swoje ryczące, zmęczone zwierzęta, które znikwały za krawędzią wąwozu, zmierzając prawdopodobnie w dół do strumienia.

W namiocie Garvaona trzech zbrojnych rozkładało łóżka. Moje czekało już rozłożone i przykryte kocem, który znalazł dla mnie Garvaon, a na nim siedział Mani.

– No, proszę – powiedziałem – gdzie się podziewałeś? Mani spojrzał znacząco na wojów.

– W porządku, ty rozpuszczony kocie. – Usiadłem i ściągnąłem buty. – Nie musisz ze mną rozmawiać, jeśli nie chcesz. Tylko pozwól mi się położyć.

Mani zrobił mi miejsce i położył się tak, że jego łeb znalazł się przy moim uchu. Zdrzemnąłem się na kilka minut. Kiedy się obudziłem, Mani powiedział:

– Przynoszę nowiny. Te aelfickie dziewczyny znalazły twojego psa. Jeden z olbrzymów uwiązał go na łańcuchu.

Ziewnąłem i odpowiedziałem mu:

– Nie mogą go uwolnić?

– Próbują. Ja bym tego nie robił, lecz one uznały najwyraźniej, że tego od nich oczekujesz. Tak mi przynajmniej powiedziała jedna z nich i kazała obiecać, że ci to przekażę. Chciała wrócić i pomóc przy uwalnianiu tego twojego psa – czy też czymkolwiek ta bestia teraz jest.

Chcąc mieć chwilę na zastanowienie, zapytałem go:

– A która to była?

– Ta brzydka – odpowiedział szeptem Mani. Odwróciłem głowę i spojrzałem na niego.

– Obie są całkiem ładne.

– Ty przynajmniejnosisz futro.

– Masz na myśli ubranie. One też by mogły, gdyby chciały. Ale w Aelfrice jest ciepło, dlatego większość Aelfów nie nosi ubrań. Tam ubrania są wyrazem... – Szukałem właściwego słowa. – Dostojności. Noszą je królowie i królowe.

– W takim razie wszystkie koty to władcy – oświadczył Mani tonem, który sugerował, że się wścieknie, jeśli mu zaprzeczę. – Podobnie jak ja.

W chwili kiedy Mani to powiedział, namiot opuszczał ostatni z wojów, który, jak zauważyłem, trzymał dwa palce skierowane ku ziemi.

– Usłyszał cię, Wasza Kocia Mość – powiedziałem do Maniego.

– Nie kpij ze mnie, bo nie będę tego tolerował – powiedział głośniejszym głosem Mani i usiadł.

– Przepraszam. To było nieuprzejme, wybacz mi.

– Zapomnieliśmy o tym incydencie. A o tych tu się nie martw, im i tak nikt nie wierzy. A wracając do twoich aelfickich dziewczyn, to muszę przyznać, że kolor czerwony jest całkiem atrakcyjny, no i noszą futerko tu i tam. Mówiąc „ta brzydka”, miałem na myśli tę, która mniej przypomina kota.

– Sądzę, że masz na myśli Baki.

– Nie będę się sprzeczał. – Mani zabrał się do czyszczenia swoich intymnych części ciała.

– Mani, przyszło mi coś do głowy.

– Naprawdę, sir Able? – Spojrzał na mnie wyraźnie rozbawiony. – Tobie?

– Może nie, ale coś mi przyszło do głowy. Na pewno nieraz widziałeś, jak ktoś rzuca zaklęcie albo przepowiada przyszłość.

– Widziało się to i owo – przyznał Mani.

– A zatem sam pewnie wiesz sporo o magii. Dzisiejszego wieczora Beel

ma spróbować poszukać Pouka przy pomocy magii.

Mani zamruczał cicho.

– Będę tam, podobnie jak lady Idnn. Chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko, żebym przyszedł z tobą. Pójdziesz?

Mani polizał ogromną czarną łapę, spojrzął na nią i znowu ją polizał.

– Rozważę to.

– Dobrze. Nie proszę o nic więcej. Obserwuj wszystko i powiedz mi, jeśli coś zwróci twoją uwagę.

– Nie znam Pouka – powiedział Mani zamyślony. – Czy on lubi koty?

– Jak najbardziej. Na „Zachodnim Kupcu” był kot i Pouk bardzo go lubił.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Przecież bym cię nie okłamywał w takiej sprawie.

– A jak się nazywał ten kot?

– Nie wiem, ale Pouk...

Urwałem, ponieważ do namiotu wszedł Garraon.

– Gotowy na kolejną lekcję, sir Able?

– Jak najbardziej. – Usiadłem.

– Zmierzcha już. – Garvaon usiadł na swoim łóżku. – Tak więc porozmawiamy w zasadzie o pchnięciu. I tak nie zostało nam zbyt wiele czasu. Księżyc wyszedł już zza gór.

– Co to jest pchnięcie?

– Natarcie czubkiem miecza. – Garvaon zademonstrował dłonią. – Mam przecucie, że niedługo znowu będziemy walczyć. Może się mylę, ale takie mam przecucie.

– Ja też tak myślę.

– Pchnięcie to jeden z najlepszych sposobów położenia przeciwnika w prawdziwej walce. Ludzie nie lubią o tym mówić.

Czekałem, co powie dalej.

– Ja też nie, ponieważ niektórzy z nas uważają, że tak nie wolno atakować w walce. Ale kiedy walczysz na śmierć i życie...

– Rozumiem.

– Pchnięcie jest zabronione w pojedynkach, a także w turniejach. Głównie z ich powodu zabrania się nim posługiwać. Ale nie jest zabronione dlatego, że jest tak niebezpieczne. Nawet jeśli spiłujesz czubek ostrza miecza, możesz zranić dotkliwie przeciwnika pchnięciem.

Wstałem.

– Mogę ci pokazać mój buzdygan?

– To coś podobnego do miecza? Pewnie.

Wyjąłem z pochwy Łamimiecz i podałem go Garvaonowi.

– Koniec jest spiłowany. Widzisz? Garvaon skinął głową.

– Tak, i chyba wiem, co zamierzasz powiedzieć.

– Kiedyś uderzyłem nim rycerza w twarz. – I jak wypadło?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Dorównywał mi wzrostem, o ile pamiętam. Ale padł i już się nie podniósł. Przez cały czas trzymał się za twarz.

Garvaon skinął głową i się uśmiechnął.

– Udzieliłeś sobie lepszej lekcji, niż ja bym ci mógł udzielić. Pewnie wybiłeś mu zęby, a może nawet złamałeś szczękę. Lecz gdybyś walczył prawdziwym mieczem z ostrym końcem, to byś go zabił. I tak jest lepiej.

Wyciągnął miecz.

– Taki nadaje się najlepiej do pchnięcia. Klinga lekko zwężona i ostro zakończona. Do finezji ruchu potrzebny jest lekki koniec, lecz klinga musi mieć swoją wagę, wtedy pchnięcie jest mocne. To najlepszy sposób na przebicie kolczugi. Wiedziałeś o tym? Pokręciłem głową przecząco.

– Tak jest. Pchnięciem zadajesz też najgłębsze rany bez względu na to, czy twój przeciwnik ma na sobie kolczugę, czy nie. Angronicy rzadko noszą kolczugi.

– O tym też nie wiedziałem.

– Uważają chyba, że nie są im potrzebne w walce z nami. Walczyłeś kiedyś z takim?

– Nie, widziałem go, ale nie walczyłem. Strasznie się bałem.

– Przy następnej okazji też będziesz się bał. Tak jak wszyscy. Na widok jednego czujesz, że potrzebujesz do pomocy całej armii.

– Walczyłeś z nimi? Garvaon skinął głową.

– Z jednym. Dawno temu.

– Zabiłeś go?

Garvaon ponownie odpowiedział skinieniem głowy.

– Było ze mną kilku łuczników i jeden z nich ugodził go strzałą w podbródek. Wyrzucił ręce do góry, tak samo jak twój przeciwnik, kiedy go uderzyłeś w twarz. Podbiegłem i zadałem mu cięcie tuż nad kolanem. – Garvaon pokazał palcem miejsce. – Dokładnie tutaj. Kiedy się przewrócił, przebiłem mu szyję. Przyciągnęliśmy jego głowę dwoma końmi, żeby pokazać lordowi Beelowi. – Garvaon uśmiechnął się na wspomnienie tamtych wydarzeń. – Była wielka jak beczka.

– A zatem rzeczywiście są tak ogromni, jak mówią ludzie. Ten, którego widziałem, wyglądał na przeraźliwie ogromną istotę.

– Zależy od tego, kim są ludzie, jak zawsze. Ale rzeczywiście są ogromni. Ich widok zawsze robi okropne wrażenie. Nie są do końca zbudowani tak jak my. Nogi mają grubsze niż powinni mieć. Mają wielki tułów, a ich głowy powinny być mniejsze. Jak się odetnie taki łeb, tak jak ja zrobiłem, to można się przestraszyć.

Chyba po raz setny próbowałem wyobrazić sobie cały oddział napadających Angronitów. Nie jednego, lecz kilkudziesięciu, czy nawet setkę Angronitów maszerujących Traktem Wojennym.

– Teraz rozumiem, dlaczego ta droga jest taka szeroka.

– Ale są wolni. Nie że wolno chodzą. Przemieszczają się z miejsca na miejsce o wiele szybciej niż ty, bo stawiają wielkie kroki. Są powolni w ruchach. Gdyby nie to, nie mielibyśmy z nimi szans.

– Najważniejsza jest szybkość – powiedziałem.

– Zgadza się. Pokonałem cię. To znaczy, kiedy ćwiczyliśmy. Jesteś silnym

mężczyzną, jednym z najsilniejszych ludzi, z jakimi kiedykolwiek walczyłem. Ale każdy z nich jest silniejszy od ciebie, tak więc musisz być szybszy. I mądrzejszy. Tylko niech ci się nie wydaje, że to takie łatwe.

– Nigdy tak nie myślałem – powiedziałem. – Znałem kogoś, kto z nimi walczył.

– Wygrał? Pokręciłem głową.

– Powiedz mi coś więcej o pchnięciu. Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, co myślisz o tym, co lord Beel zamierza zrobić dziś wieczór?

– Szczerze? Tak między nami dwoma?

– Tak między nami trzema. – Uśmiechnąłem się i pogłaskałem Maniego po głowie.

– Niech będzie. Wątpię, by cokolwiek się wydarzyło, i nie wierzę, że się czegoś dowiemy.

– Myślałem, że cię to niepokoi – powiedziałem – to znaczy, kiedy byliśmy w namiocie.

– Bo tak było. – Garvaon zawahał się i rozejrzał ostrożnie. – Już wcześniej towarzyszyłem mu w chwilach, kiedy próbował robić coś takiego. Zwykle do niczego nie dochodzi, ale czasem coś się dzieje. Nie lubię rzeczy, których nie rozumiem.

– Czy wolno mi zapytać, co się wydarzyło? Garvaon potrząsnął głową z ponurym wyrazem twarzy. Wypuściłem powietrze.

– Dobrze. Sam się przekonam dziś wieczór. Myślisz, że powinniśmy sprawdzić księżyc?

– Za wcześnie. Chcę ci jeszcze powiedzieć to i owo, bo przecież dopiero co zaczęliśmy naszą rozmowę. Robię, co w mojej mocy, żeby ci przekazać moje nauki, tak jak obiecałem. Pozwolisz mi na to?

– Oczywiście.

– Walczyliśmy przecież razem z Ludźmi Gór.

– A jakże.

– Tak więc jesteśmy przyjaciółmi i jesteś mi winien przysługę.

Mani, który nie zwracał na nas większej uwagi, gdy stało się jasne, że porzuciliśmy temat magii, teraz spojrział z zaciekawieniem na Garvaona.

– Zgodzisz się ze mną, sir Able?

– Pewnie. Nic się nie zmieniło.

– Zatrzymałem dla siebie swoją prośbę i nie miałem zamiaru z niej korzystać, skoro wygrałeś. Obaj o tym wiemy.

– Jestem ci winien przysługę – powiedziałem. – Powiedz tylko, o co chodzi.

Garvaon przyglądał mi się dłuższą chwilę.

– Jestem wdowcem. Wiedziałaś o tym? Potrząsnąłem głową przecząco.

– Tak jest. Jesienią miną dwa lata. Mój syn także zmarł. Voila próbowała mi urodzić syna.

– Przykro mi. Piekielnie mi przykro. Garvaon chrząknął.

– Lady Idnn nigdy nie okazywała zainteresowania moją osobą. Czekałem, co jeszcze powie, czując, jak pazury Mani przebijają grubą wełnę moich spodni.

– Aż do dzisiaj. Dzisiaj uśmiechnęła się do mnie i rozmawialiśmy jak para przyjaciół.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Jest młoda. Młodsza ode mnie o dwadzieścia dwa lata. Ale mamy zamieszkać w twierdzy tego króla Olbrzymów Mrozu, a tam nie będzie zbyt wielu prawdziwych mężczyzn.

– Będziesz ty i jej ojciec – powiedziałem. – A także twoi zbrojni i łucznicy oraz słudzy jej ojca.

– A ty nie?

– Nie. Zamierzam odszukać Pouka i odzyskać konie i całą resztę. Kiedy już się to stanie, ustawię się gdzieś przy przełęczy w tych górach. Zgodnie z obietnicą daną księciu Marderowi. Nie może być inaczej.

– Nie zostaniesz z nami?

– Nie pojedę nawet do twierdzy króla Gillinga, jeśli wcześniej znajdę

Pouka. Wciąż prosisz o przysługę? Co to takiego?

– Jesteś młodszy ode mnie.

– Pewnie. Znacznie młodszy.

– A także większy i przystojniejszy. Zdaję sobie z tego sprawę.

– Jestem rycerzem bez reputacji – przypomniałem mu. – O tym też powinieneś wspomnieć. Jeśli zastanawiasz się, dlaczego tak mi zależy, żeby znaleźć Pouka, to jednym z powodów jest to, że on ma wszystko, co posiadam. Ty masz posiadłość zwaną Finefiled, prawda?

– Tak.

– Duży dom otoczony murem.

– Z wieżą – doda! Garvaon.

– Masz też pola i chłopów, którzy je obrabiają i pasą twoje trzody, Ja nie mam niczego takiego. – Kiedy tak rozmawialiśmy, ja przez cały czas zastanawiałem się nad tym, co mi powiedziała Idnn o tym, że Beel zamierza oddać ją królowi Gillingowi, lecz nie mogłem nic powiedzieć Garvaonowi, bo nie wiedziałem, co mógłby zrobić, gdyby się o tym dowiedział. Pomyślałem też, że skoro Idnn chciała, żeby ją ktoś uratował, to oto znalazł się kandydat.

– Chcesz, żebym przedstawił swoją prośbę – rzekł Garvaon – co nie jest dla mnie łatwe.

– Chyba się domyślam, więc nie musisz.

– Chcę, żebyś mi dał słowo, słowo honoru, że nie uczynisz niczego, aby mnie pomniejszyć w jej oczach. Jesteś lepszym łucznikiem niż ja, wszyscy o tym wiedzą. Poprzestańmy na tym.

– Daję słowo.

– Powiem ci, jeśli mnie odrzuci. Lecz do tej chwili chcę, żebyś obiecał, że nie będziesz próbował wygrać jej dla siebie.

Z powrotem do popiołów

– Masz moje słowo. – Podałem rękę Garvaonowi.

Przyjął ją; jego dłoń była taka jak on cały, nie większa niż inne, ale twarda i silna.

– Pragniesz jej oczywiście. – Nie.

– Jest piękna.

– Pewnie że jest. – Skinąłem głową. – Ale to nie ją kocham.

– Jest też córką barona. – Przez chwilę wydawało się, że Garvaon się podda. – Jedyłą córką.

– Masz rację. Beel nie odda jej łatwo. Gatraon wyprostował ramiona.

– Mam twoje słowo, sir Able. A teraz czego jeszcze chciałeś się dowiedzieć o pchnięciu?

– Co powinienem zrobić, kiedy je zada przeciwnik? Jak się przed nim obronić?

– Ach. – Garvaon wstał i podniósł swoją tarczę. – Istnieje dobry sposób. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że trudno jest się obronić przed pchnięciem. Jeśli przeciwnik lubi się nim posługiwać, to musisz potraktować go bardzo poważnie.

– Tak zrobię.

– Po drugie, musisz wiedzieć, w którym momencie najprawdopodobniej zada pchnięcie. Masz jeszcze tarczę, którą się wczoraj posługiwałeś?

Potrząsnąłem głową.

– Oddałem ją Beawowi.

– Zatem weź moją. – Garvaon sięgnął po kije, które służyły nam jako miecze ćwiczebne.

– Nie za ciemno? – Postawiłem Mani na ziemi.

– Nie będziemy walczyć. Chcę ci tylko pokazać kilka rzeczy. Pamiętasz, jak ci mówiłem, żeby nie atakować z wysuniętą prawą nogą? Jeszcze jednym powodem, dla którego powinieneś wtedy uważać, jest to, że przeciwnik może cię wtedy pchnąć, jeśli jest w tym dobry.

Garraon kontynuował:

– Dobrze, przyjmij postawę. Nie będę próbował pchnąć cię w twarz czy nogę, co bym normalnie uczynił w walce. Zaatakuję twoją tarczę. Atakuj, a potem wycofaj się dostatecznie daleko, tak żebym musiał wykonać trzy, cztery kroki, by pchnąć twoją tarczę.

Zrobiłem kilka krótkich kroków do tyłu zasłonięty tarczą.

– Już? Uważaj. – Zanim Garraon skończył to zdanie, koniec jego kija uderzył w moją tarczę.

Odskoczył do tyłu.

– Widziałeś, co zrobiłem? Wysunąłem odrobinę lewą nogę, a potem wykonałem długi krok prawą. Jak dodasz długość mojego ramienia do długości mojej klingi, otrzymasz mój wzrost.

– To było jak czary – powiedziałem.

– Może, ale to nie była magia. Musisz poćwiczyć ten długi krok. Wbrew pozorom to nie takie łatwe. A kiedy go stawiasz, trzymaj tarczę nad głową. W tym momencie jesteś zupełnie odkryty na cięcie znad głowy, jeśli twój przeciwnik będzie szybki.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedziałem. Garvaon zerknął na wejście.

– Na zewnątrz jest jaśniej. Nauczę cię, jak zmusić przeciwnika do wycofania się, a potem już pójdziemy do jego lordowskiej mości.

Zademonstrował pchnięcie z tarczą na ramieniu, po czym kazał mi zrobić to samo. Przy trzeciej próbie poczułem na nodze pazury Mani.

– Idziemy? – zapytał Garvaon.

– Powinienem wrócić po hełm – odpowiedziałem mu. – Lord Beel pewnie będzie chciał mnie w nim zobaczyć. Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

Wróciwszy do namiotu, zwróciłem się do Maniego:

– O co chodzi?

– Pobiegłem do Idnn, żeby zobaczyć przygotowania – wyjaśnił Mani. – Zamierza tam to zrobić. A powinien wrócić do miejsca, gdzie jest popiół. I powiedz mu, żeby wsypał trochę popiołu do czary.

Kilkanaście świec oświetlało wejście do namiotu Beela. Wyrównano kamienistą ziemię i rozłożono dywan. Beel siedział na nim ze skrzyżowanymi rękami, a przed nim leżał bukłak, złota czara i złoty puchar. Idnn siedziała na rozkładanym krześle przed jedwabną kotarą, a Garvaon stał obok niej.

– No, jesteś – rzucił Beel. – Możemy zaczynać. Skłoniłem głowę.

– Czy moglibyśmy porozmawiać chwilę na osobności, panie? Beel zawahał się.

– Coś ważnego?

– Tak myślę, panie. Śmiem twierdzić, że i ty uznasz to za coś ważnego.

– W takim razie my z sir Garvaonem poczekamy na zewnątrz, ojcze – oznajmiła Idnn. – Zawołaj nas, kiedy już będziecie gotowi.

– Nie pozwolę, żeby moja córka chodziła gdzieś po nocy. – Beel spojrzał na mnie. – Wystarczy, jak się przejdziemy kawałek?

Poszliśmy jakieś sto jardów w górę doliny, a potem Beel zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Możesz zacząć wyjaśniać, dlaczego nie chciałeś mówić w obecności mojej córki i mojego zaufanego dostojnika.

– Ponieważ zamierzałem ci przekazać pewną radę – wyjaśniłem. – A jako zwykły rycerz...

– Rozumiem. O co chodzi?

– Nazwałeś mnie czarnoksiężnikiem. Nie jestem nim, lecz mam przyjaciela, który zna się trochę na magii.

– I on nauczył cię kilku prostych rzeczy, jak sądzę. Twoja skromność pasuje do ciebie.

– Dziękuję, panie. Bardzo dziękuję. – Rozejrzałem się za Manim, lecz nigdzie go nie zobaczyłem.

– Mam pytanie, sir Able. Wcześniej nie całkiem szczerze odpowiadałeś na moje pytania.

– Być może. Wybacz, panie.

– Jeśli więc teraz posłucham twojej rady – rady twojego przyjaciela, choć sądziłem, że przyszedłeś do mnie sam, gdy prosiłeś o pożyczenie konia – to czy odpowiesz na jedno pytanie szczerze i wyczerpująco? Z ręką na sercu? Bo jeśli nie, to nie zamierzam wysłuchać twojej rady.

Potrząsnąłem głową.

– To dla mnie bardzo ważne, panie.

– Tym bardziej powinienesz być gotów przysiąc.

– Dobrze. Obiecuję. Ale pod warunkiem, że wysłuchasz i zastosujesz się do mojej rady.

– Rozkazujesz mi?

– Nigdy, panie. Ale... No cóż, muszę znaleźć Pouka. Nie zastosujesz się do mojej rady? Błagam cię.

– A czy do mnie należy wybór? Przecież nie przysięgniesz, jeśli nie zastosuję się do twojej rady.

– Nie, panie.

– W takim razie cię wysłucham.

Gdy tylko wróciliśmy do namiotu, nakazał przygotować konie dla nas wszystkich. Na innego konia załadowano dywan, bukłak i pozostałe przedmioty, a na szóstym jechał jego sługa.

– Wracamy do przełęczy – Beel zwrócił się do Gairaona.

– Myślę, że powinienesz pojechać przodem. Sir Able zostanie z tyłu, bo chyba stamtąd może nam grozić większe niebezpieczeństwo.

W rzeczywistości było to najbardziej osamotnione stanowisko, pomyślałem, obejmując tylną straż. Wciąż musiałem hamować mojego ogiera, żeby pozostał za jucznym koniem.

Trudno byłoby przeciwnikowi ukryć się za skałami oraz rzadkimi drzewami i krzewami rosnącymi po obu stronach Traktu Wojennego. Nasłuchiwałem pilnie, lecz słyszałem tylko samotną pieśń wiatru i stukot końskich kopyt. Księżyc świecił jasno, a zimne gwiazdy skrywały swoje tajemnice.

Kiedy wjechałem na skalny występ wysoko na zboczu góry i spojrzałem w dół na obóz, jego ciemne namioty i dogasające ogniska wydawały się równie odległe jak gwiazdy...

W Jotunlandzie

Beel nakazał rozłożyć dywan między popiołami obu ognisk i zwrócił się zapytaniem do wszystkich, dlaczego rozpalono tam dwa ogniska. Pokręciłem tylko głową, lecz Idnn powiedziała:

– Sir Garvaon będzie wiedział. Powie nam pan, panie rycerzu?

– Pierwsze ognisko rozpalili tutaj. – Garvaon pokazał ręką. – To miejsce było najlepiej osłonięte przed wiatrem, który przeważnie wieje z zachodu. Następnej nocy, a może jeszcze później, któreś z nich zauważyło, że mogą być widoczni z północy.

– I zostali zauważeni – mruknął Beel. – A teraz zobaczymy to, co ja sam zobaczę, jeśli w ogóle coś zobaczę. Ostrzegam was po raz kolejny, że być może nic z tego nie wyjdzie.

Zerknął na czarę, którą trzymał jego służący.

– Dlaczego srebrna? Gdzie jest moja złota czara, Swert?

– Kazałam mu ją zabrać, ojciec – powiedziała Idnn. – Będziesz czarował przy blasku księżyca, a nie w blasku słońca. To moja czara na owoce. Myślę, że przyniesie ci dzisiaj szczęście.

Beel uśmiechnął się.

– A ty co, zostałam czarownicą?

– Nie, ojciec. Nie znam się na magii, ale posłuchałam rady przyjaciela, który posiada wiedzę magiczną.

– Masz na myśli sir Able'a? Potrząsnęła głową przecząco.

– Obiecałam, że nie powiem, o kogo chodzi.

– Pewnie któraś z twoich służących. Idnn nic nie odpowiedziała.

– To i tak nie ma znaczenia. – Beel uklęknął na dywanie. Służący podał

mu srebrny puchar i bukłak z winem, a on napełnił winem czarę i puchar.

Mani podpełzł bliżej i wskoczył mi na ramię, żeby lepiej widzieć.

– Proszę wszystkich o zachowanie milczenia – powiedział Beel. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niedużą skórzaną sakiewkę, z której wziął dużą szczyptę suszonych ziół. Wsypał je po połowie do czary i do pucharu. Następnie zamknął oczy i zaczął recytować zaklęcie.

Zapadła cisza, a mnie się wydało, że teraz wiatr nuci inną pieśń, w języku zupełnie dla mnie niezrozumiałym.

– Mongan! – zawołał Beel. – Dirmaid! Sirona! – Jednym haustem opróżnił puchar i pochylił się, by spojrzeć w głąb czary.

Przyklęknałem obok niego i też spojrzałem do jej wnętrza. Po chwili dołączyli do mnie Idnn i Garvaon. Jakby patrząc przez wejście do Pieczary, ujrzałem niezmiernie piękny las. Disiri, Królowa Aelfów Mchu, stała na polance porośniętej dziwnymi kwiatami, naga, piękniejsza i zgrabniejsza niż ziemskie kobiety; jej zielone włosy płynęły za nią w powietrzu uniesione lekkim wiatrem, który kołysał kwiatami. Toug, młodszy, przykucnął przed nią, a ja czekałem na kolanach. Dotknęła kolejno moich ramion smukłym srebrnym mieczem.

– To obraz z przeszłości – wyszeptałem do Beela. – Wsyp popiołu do wina.

Beel skierował na mnie niewidzące spojrzenie, ale Idnn przyniosła szczyptę popiołu i wsypała go do czary; zmącił połysk powierzchni wina.

Po chwili przybrał postać szarego płaszcza barczystego mężczyzny, który szedł długą błotnistą drogą, wijącą się przez równinę zasnutą chmurami. W oddali widać było wieże, ogromne i przysadziste. Mężczyzna uderzył kijem kobietę, jeszcze bardzo młodą. Ubrana w łachmany postać, która prowadziła przed nimi konie wielkości psów, osłoniła ją swoim ciałem, nadstawiając swój grzbiet. Mężczyzna w szarym płaszczu uderzył go w geście pogardy i trącił ich oboje czubkiem buta.

Czubek czarnego buta, który trącił Ulfę, zaczął się powiększać, aż

wypełnił całą czarę, w której przecież nie było niczego innego poza popiołem unoszącym się na powierzchni wina.

– Posłuchajcie! – Garvaon wstał.

Też się podniosłem i wyteżyłem słuch, lecz usłyszałem tylko zawodzenie wiatru, pusty jęk, jakby to, co w niego weszło, już nie istniało.

Idnn i służący pomogli Beelowi dźwignąć się na nogi. Chwilę później Gatraon siedział już w siodle i się oddalał.

– Atakują nasz obóz – wyjaśniłem Idnn. Zebrałem Maniego z ramienia i przekazałem go Idnn. – Muszę jechać. Zostań tutaj, aż przyjadę po ciebie.

Zawołała coś, kiedy odjeżdżałem, lecz nie wiem, czy prosiła, bym został, życzyła mi szczęścia, czy może błagała, żebym czuwał nad bezpieczeństwem Garvaona. Spiałem ostrogami mojego wierzchowca i pomknąłem w dół drogi, zastanawiając się nad tym i nad innymi rzeczami.

Przez chwilę wydawało mi się, że w miejscu, gdzie przedtem był nasz obóz, teraz chodzą drzewa. Ani śladu ognisk i namiotów. Mój koń uskoczył w bok, gdy coś dużego uderzyło głośno o ziemię tuż przy mnie.

Zdjąłem z siodła łuk i kołczan, i zsunąłem się z końskiego grzbietu. Gdzieś w ciemności zadźwięczała inna cięciwa.

Kolejny kamień spadł z góry i uderzył w białego ogiera. Koń zarżał przeraźliwie z bólu i pogalopował przed siebie. Zaczepiwszy stopę o łuk, przygiąłem go i założyłem pętle cięciwy w zaczepy.

Przyciągnąłem strzałę do ucha i ją wypuściłem. Oddalony o jakieś sto kroków olbrzym, który wcześniej ranił kamieniem mojego konia, wydał z siebie ryk podobny do grzmotu.

Wypuściłem drugą strzałę za tą pierwszą i trzecią za drugą, celując w oczy, których nie widziałem.

Olbrzym runął na ziemię.

Świt zastał dwóch znużonych rycerzy na drodze, którą wspinali się z powrotem do przełęczy. Mój biały ogier kulał, więc częściej szedłem, niż

jechałem, a siodło (ogromne, bojowe, ważące tyle co niejeden mężczyzna) niósł Uns.

Garvaon mógł nas z łatwością wyprzedzić, lecz wydawał się zbyt zmęczony, by choćby ponaglić swojego konia. U jego boku wisiała pusta pochwa, w której kiedyś tkwił miecz Bitewna Wiedźma. Kiedy Idnn pomachała nam ze skalnego występu widocznego nieco poniżej linii śniegu, ścisnął boki konia piętami i zniknął na kolejnym zakrętem.

– Ach, ukochany! – westchnął bezczelny głos gdzieś blisko mojego ucha; rozejrzałem się zdziwiony i zobaczyłem Uri siedzącą na moim koniu.

– Wróciłaś!

Uśmiechnęła się do mnie.

– Nie, to moja siostra.

– Nie boisz się, że Uns cię zobaczy? Idzie niedaleko za nami.

– Mam gdzieś, czy mnie zobaczy, a poza tym zabiorę się stąd, gdy tylko wyjdiesz z cienia.

Zatrzymałem się i przygryzając wargę, pogłaskałem pysk konia.

– Opowiedziałem lordowi Beelowi o tobie i o twojej siostrze, musiałem.

– Ona nie jest moją siostrą. Tak tylko mówimy.

– Nie jesteś głodna?

Uri znowu się uśmiechnęła.

– Przysporzyłoby to więcej kłopotów tobie i jemu niż nam. Czy wyjaśniłeś, mu, że ja i moja siostra jesteśmy twoimi niewolnicami?

Potrząsnąłem głową.

– Nazwałem was moimi przyjaciółkami. Chciałem, żeby tu przyszedł, kiedy będzie próbował zobaczyć, gdzie jest Pouk, a on obiecał, że to zrobi, jeśli udzielę mu odpowiedzi na jedno pytanie, wyczerpującej odpowiedzi. Zapomniałem, co dokładnie powiedział, ale mniej więcej o to mu chodziło.

– I udzieliłeś?

– Tak. Obaj dotrzyaliśmy słowa. Chciał wiedzieć, dlaczego nie mogę użyć własnej mocy, żeby poszukać Pouka. Tak więc musiałem mu wyjaśnić,

że mogę go tylko poszukać w jeden sposób: wysyłając was na poszukiwania.
– Zamilkłem. – Nie wyjawiałem mu waszych imion.

– Dobrze. – Uri uśmiechnęła się.

– Powiedziałem, że wysłałem Gylfa za Poukiem, a teraz wy próbujecie się dowiedzieć, co się dzieje z Gylfem.

– To proste. Złapał go olbrzym i kazał swoim niewolnikom uwięzić go na łańcuchu. Znamy się na łańcuchach, ale musiałyśmy udać się do Aelfrice po narzędzia, a potem wrócić tutaj i odnaleźć go po raz drugi, bo go zabrali w inne miejsce. A tak przy okazji, gdzie jest twój kot? Jego też zgubiłeś?

– Jest z lady Idnn.

– Już nie. – Mani wskoczył na górę otoczaka. – Był z Idnn, kiedy ci pomachała, ale potem przyleciał tamten rycerz, uznałem więc, że jedyne co mogę zrobić, to wyjść ci na spotkanie. Nie byłem jej potrzebny w tamtej chwili.

– Nie wiedziałam, że wiedziałeś – powiedziała Uri.

– Chcesz powiedzieć, że zakłócam tête-à-tête twoje i mojego drogiego, ogromnie uwielbianego pana, sławnego rycerza sir Able'a Wielkie Serce. Wystarczy, że poprosi, a zniknę w jednej czarnej chwili o wiele ładniejszej niż ten twój wyblakły jakiś tam kolor. Panie?

– Wolno ci zostać, jeśli chcesz.

– Słuszna decyzja. – Teraz z kolei Mani się uśmiechnął. – Oparta na prawie, że kotu wolno robić, co mu się podoba. Jesteś jego niewolnicą, młoda kobieto? Bo tak chyba się wyraziłaś.

– Tak.

– A ja jestem jego kotem. O wiele wyższe stanowisko. Dałem znak Uri.

– Uns zaraz tu będzie, więc jeśli nie chcesz, żeby cię zobaczył... Zsunęła się z konia i stanęła pod jego łbem.

– Baki poszła odnieść narzędzia, a ja przybyłam tutaj, żeby ci powiedzieć, że twój pies jest wolny.

– I idzie tutaj?

– Żadnych podziękowań za wykonanie tak trudnego zadania? Mówiłam jej, że okażesz mi niewdzięczność.

– Ależ jestem wam wdzięczny. Ogromnie wdzięczny, tylko zamierzałem podziękować wam obu, a poza tym teraz nie mamy czasu.

– Pobiegnę do przodu i dopilnuję, żeby Uns potknął się o mnie i wywalił na drodze – zaproponował Mani.

Uri zaśmiała się szyderczo.

– On nie widzi na dwa kroki przed sobą. Tylko spójrzcie na niego.

Spojrzałem i zobaczyłem, że Uns idzie zgięty niemal do ziemi.

– Wrzucę siodło na grzbiet konia, kiedy Uns tu przyjdzie.

– Jest przynajmniej prawdziwym mężczyzną, tak jak ja jestem prawdziwym Aelfem.

Mani wydał pogardliwy pomruk.

– Twój pies jest czymś więcej, panie, za to ten kot nie jest tak naturalny jak ja.

– Bodachani podarowali mi Gylfa – powiedziałem. – Twierdzi, że wychowali go od szczeniaka.

– Tylko czy mieli prawo ci go oddać? Boją się zimnego żelaza. Oddalony o jakieś sto kroków w dół Traktu Wojennego Uns zawołał:

– Panie! Sar Able! Zaczekaj!

Co widziałeś?

Sprawił wrażenie zdyszanego, a mnie przyszło do głowy, że być może wołał tak od dobrej godziny, a ja go nie słyszałem.

– Czekam! – krzyknąłem głośno do niego. – Założymy koniowi siodło, kiedy tu przyjdiesz. – Rozejrzałem się za Uri.

– Czmychnęła – rzucił Mani – choć bardzo możliwe, że kręci się gdzieś tutaj, żeby nas szpiegować.

– Chciałem ją zapytać, czy Gylf wraca – wyjaśniłem. – A właściwie to ją zapytałem, tylko mi nie odpowiedziała.

– Ja mogę odpowiedzieć – oświadczył Mani. – Mnie zapytaj.

– Ty raczej... – Spojrzałem w dół drogi, lecz zobaczyłem tylko Unsa. – W porządku, zapytam. Czy Gylf wraca tutaj?

– Oczywiście, że nie. Wiem, że i tak mi nie uwierzysz, ale nie wraca. Nic nie odpowiedziałem, wpatrując się w niego.

– Chcesz pewnie wiedzieć, skąd wiem – mówił dalej Mani. – No cóż, po prostu wiem. Tak samo jak ty powinieneś wiedzieć. Wiem, ponieważ znam twojego psa. Lepiej niż tym sam, ma się rozumieć. Wysłałeś go na poszukiwanie Pouka?

– Tak. Byłeś wtedy z nami.

– A także sir Garvaon, więc nie rozmawialiście ze sobą. Skoro wysłałeś psa, żeby wytropił Pouka, to będzie go tropił tak długo, aż mu powiesz, żeby przestał. Albo kiedy całkiem zgubi trop i będzie musiał wrócić i powiadomić nas o porażce.

Niedługo potem dołączył do nas Uns. Wziąłem od niego siodło, osiodłałem kulawego wierzchowca i dosiadłem go. Kiedy zaciągałem popręg,

Mani wskoczył na łęk.

– Musisz odpocząć – powiedziałem do Unsa. – Dołączę do lorda Beela, jego córki i sir Garvaona na przełęczy. Potem wrócimy wszyscy. Czekać tu na nas.

Uns potrząsnął głową z uporem.

– Moje miejsce jest przy tobie, sar Able. Pójdę najszybciej jak potrafię.

– Jak chcesz – odpowiedziałem i trąciłem piętami boki konia. Ruszył kulejącym kłusem. Kiedy już straciliśmy Unsa z pola widzenia, powiedziałem:

– Pewnie myślisz, że jestem podły.

– No cóż, w końcu on jest kaleką – stwierdził Mani – lecz ja wyznaję surową filozofię. Żadnego współczucia dla ptaków, myszy i wiewiórek. Ani dla mężczyzn, kobiet czy dzieci, z wyjątkiem kilku bliskich przyjaciół.

– Obchodzę się z nim tak surowo właśnie dlatego, że jest kaleką – wyjaśniłem. – Mógł mieszkać z matką i trochę tylko pracować albo nawet w ogóle, a gdyby jej zabrakło, brat by się nim zajął. Lecz właśnie dlatego odszedł.

– Znam to uczucie – powiedział Mani. – Czasem masz ochotę się wyrwać i samemu zapolować.

– Dokładnie tak. – Zbliżaliśmy się do przełęczy, więc zwolniłem konia. – Chce być użyteczny – wykonywać prawdziwą robotę, tyrać, pocić się i dzielić losy pana.

Mani nic nie odpowiedział.

– Sam zapracowałem na godność rycerza. To duże osiągnięcie jak na biednego chłopaka, który wcześniej stracił rodzinę. Uns boi się, że nigdy nie będzie miał swojego miejsca. Próbuję mu pokazać, że je ma – że ktoś chce go mieć przy sobie ze względu na to, co robi, a nie dlatego, że mu współczuje.

– Tutaj, sir Able! – To był służący Beela. – Jego lordowska mość czeka na ciebie.

Skierowałem w bok kulejącego ogiera, który niechętnie szedł między

kamieniami.

– Czy mówiłeś coś do mnie, zanim cię zawołałem, sir Able? Jeśli tak, to cię nie usłyszałem. Pokornie proszę o wybaczenie, sir Able.

– Nie. Mówiłem do kota. Nie masz za co przepraszać.

– Dziękuję, sir Able. Jesteś bardzo łaskawy. Są tam, nad potokiem. Pewnie widzisz konie.

Skinąłem głową.

– Zdaje się, że jego lordowska mość nie chciał rozbić obozu w tym samym miejscu, co Pouk.

– Czy Pouk to dżentelmen?

– To mój sługa. – Przyłożyłem ostrogi do boków mojego wierzchowca. – Rozbił tu obóz i czekał na mnie.

– Ach, rozumiem, sir Able. Jego lordowska mość uznał, że nie będzie rozsądnym gotować, spać i... po prostu mieszkać, sir Able, w miejscu, w którym miał wizję.

Służący chrząknął, delikatnie i uprzejmie.

– Nie dane mi było być tego świadkiem, sir Able. A z tego, co opowiadały przy mnie ich lordowskie moście, było to coś niezwykłego.

– Rzeczywiście – zgodziłem się z nim.

– Jego lordowska mość pragnie skonsultować się z tobą w tej sprawie, sir Able – dodał sługa już mniej ożywionym głosem. – Pewnie zechcesz przygotować swój umysł.

Zobaczyłem Beela siedzącego na kamieniu. Wydawał się pogrążony w ożywionej rozmowie z Idnn, usadowionej na innym kamieniu, i z Gairaonem, który stał za nią, trzymając wodze swojego konia.

W pewnym momencie Beel podniósł wzrok, pomachał do mnie i wstał.

– Sir Garvaon powiedział mi, że wierzchowiec, którego ci podarowałem, okulał. Szkoda, że nie mogę ci dać innego.

Zsiadłem z konia.

– Ja też żałuję, panie. Zostało niewiele koni i mułów, a niektóre z tych,

które przeżyły, są w gorszym stanie niż mój. Jest posiniaczony i poobijany, ale kość chyba cała.

– Pokonałeś ich. – Beel uśmiechnął się.

– Nie, panie. Walczyliśmy z nimi. Tylko tyle możemy powiedzieć. Nasi ludzie – to znaczy ludzie sir Garvaona i twoi – są z tego dumni. – Zamilkłem, czekając, aż coś powie, lecz on milczał.

– To ich nie boli – mówiłem dalej – a może nawet wyjdzie im na dobre. Lecz jeśli chodzi o mnie, to nie zadowala mnie sama walka. Wolałbym wygrać.

– Zabiliście czterech – rzekła Idnn. Tak nam powiedział sir Garvaon.

– Zdumiewający wyczyn – dodał Beel.

– Dwóch rycerzy, dwudziestu łuczników i zbrojnych...

– Dwudziestu dwóch – wtrącił Garvaon.

– Dzięki. – Skinąłem głową. – A zatem przypada sześciu naszych na każdego zabitego. Nie za dobrze to wypadło.

– To niesprawiedliwe! – zawołała Idnn.

– Oczywiście, że nie, pani. To była bitwa i nikt nie mówił, że ma być sprawiedliwe.

– Chciałam powiedzieć, że nie jesteś sprawiedliwy wobec sir Garvaona i jego ludzi! – Wyglądała na zagniewaną.

Garvaon zamierzał położyć dłoń na jej ramieniu, lecz cofnął rękę.

– Sir Able zabił jednego sam!

– Rzeczywiście, sir Able? – zapytał Beel. – Jeśli tak, to zasługujesz na dużo więcej niż na konia, którego ci podarowałem.

– Było ciemno, panie. Nie widziałem, ilu naszych go atakowało.

– A widziałeś innych?

– Nie w tym rzecz, panie.

– Odpowiedz na moje pytanie, sir Able. Czy widziałeś, by ktokolwiek inny atakował Angronitę, którego ubiłeś?

– Nie, panie.

– Nie ma rycerza w Thortower, który by się nie szczyił takim dokonaniem, sir Able. – Beel spojrział w kierunku Idnn i Garvaona, szukając u nich potwierdzenia swoich słów, i je otrzymał. – Tak, na święty Skai! A potem kazałby sobie namalować Angronitę na tarczy, takiego z oszronioną brodą i maczugą w ręku.

– W takim razie cieszę się, że nie jestem rycerzem z Thortower, panie. Jeśli chodzi o moją tarczę, to ma ją Pouk. Jest cała zielona i taka pozostanie aż do chwili, gdy dokonam czegoś więcej ponad to, co zrobiłem do tej pory.

Idnn wstała z rękoma na ustach.

– Posłuchaj mnie.

– Już to uczyniłem wcześniej – odparłem – i chętnie wysłucham cię ponownie.

– To dobrze! Nie było was tutaj, kiedy zaatakowali. Zbrojni i łucznicy musieli walczyć bez was, ale nie uciekli tak jak służba, lecz walczyli najdzielniej jak potrafili. Ile czasu ci zabrało, żeby tu przybyć? Dam głowę, że z godzinę!

– Mniej, pani.

– Godzinę, i obaj jechaliście na złamanie karku. Lecz rzuciliście się obaj w wir walki i zrobiliście wszystko, co mogło zrobić dwóch rycerzy, stawiając czoła w ciemności olbrzymom wielkim jak skały.

– Niezupełnie. – Westchnąłem. – Pani, nie chcę się z tobą sprzeczać.

Beel zarechotał.

– Ale to zrobisz, sir Able. Pozwól jednak, że zadam ci wcześniej jedno pytanie. Zadałem je już sir Garvaonowi i otrzymałem odpowiedź. Czy udzielisz mi szczerzej i wyczerpującej odpowiedzi, tym razem bez przekupstwa?

– Nie zamierzałem nikogo przekupywać, panie.

– Bez stawiania warunków. Odpowiesz?

– Tak, panie. Jeśli będę potrafił.

– Walczyłeś konno czy pieszo? Powiedziałbym, że raczej na koniu, skoro

twój wierzchowiec został ranny.

– Głównie pieszo, wasza lordowska mość. Przeważnie walczyłem łukiem. Czy wolno mi zapytać, dlaczego chcesz to wiedzieć?

Uśmiech na ustach Beela zgasł.

– Być może przyjdzie taki dzień, sir Able, kiedy będę musiał poprowadzić setkę rycerzy przeciwko Angronitom. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jestem zdecydowany zrobić wszystko, by temu zapobiec. Ale może się tak zdarzyć. Tak więc, prowadząc ich, chciałbym okazać odwagę, lecz także rozagę – o ile to będzie możliwe.

– Wy, rycerze, nie dbacie o to, czy będziecie żyć, czy umrzecie – powiedziała Idnn. – My musimy się o to troszczyć bardziej niż wy. Powiedziałam my, lecz mam na myśli mężczyzn takich jak mój ojciec i brat.

– Ty też – zwrócił się do niej Beel – jeśli kiedykolwiek zostaniesz królową.

Zobaczyłem, jak szczeka Garvaona opadła, gdy to usłyszała. Widząc to, powiedziałem szybko:

– Wjechałem na koniu, panie, lecz potem zsiadłem z niego, gdyż pomyślałem, że Angronita, którego atakowałem, widzi mojego konia. I wtedy właśnie wierzchowiec został ranny. A ja puszczałem kolejne strzały, starając się trafić go w oczy.

Beel skinął głową zamyślony.

– Ilu tam było Angronitów? – zapytała Idnn. – Czy ktoś potrafi mi to powiedzieć?

– Nie ja, pani.

– Moi ludzie twierdzą, że było ich ze dwudziestu albo i więcej – rzekł Garvaon. Nie mam pewności, że było ich tylu. Kiedy ich ujrzałem w twojej czarze, wydawało się, że jest ich mniej, ale więcej niż dziesięciu.

– Zobaczyłeś ich w mojej czarze? – zapytał Beel ożywiony.

– Owszem, wasza lordowska mość. Tak samo pewnie jak ty.

– Nie, ja nic takiego nie widziałem. Rozmawiałem o tym z Idnn i wydaje

się, że każde z nas widziało coś zupełnie innego. Opowiedz dokładnie, co widziałeś. Ze szczegółami!

– Łoże śmierci mojej żony. – Głos Garvaona nie wyrażał żadnych emocji.
– Zmarła w czasie połogu, wasza lordowska mość.

Beel skinął głową.

– Pamiętam.

– Zobaczyłem jej łóżko i siebie klęczącego przy nim. Położne zabrały wcześniej mojego syna. Próbowaly go uratować. Modliłem się za Volle, kiedy jedna z nich przyszła i oznajmiła, że on też nie żyje. – Głos Garvaona zadrżał nieznacznie; rycerz zamilkł na chwilę, by się tego pozbyć.

– W tym momencie sir Able powiedział, że oglądamy przeszłość.

– Tak, pamiętam.

– A potem obraz we wnętrzu czary się zmienił. Zobaczyłem nasz obóz i schodzących ze wzgórz Angronitów. Więcej niż dziesięciu, ale nie dwudziestu. Może trzynastu albo czternastu.

– Sir Able też ich pewnie zobaczył – powiedziała Idnn – ponieważ powiedział mi, że widzi walczących.

Potrząsnąłem głową.

– Nie zobaczyłem. Sir Garvaon podniósł wzrok i kazał nam posłuchać, a potem wskoczył na konia. Nietrudno było się domyślić, co usłyszał.

– A co ty zobaczyłeś, sir Able?

Wszyscy musicie walczyć

– Nic, co byś uznał za istotne, panie. Ujrzałem samego siebie w chwili pasowania na rycerza, a potem mojego sługę i znajomą kobietę pobitych przez Angronitę...

– Tak? – powiedział Beel zaintrygowany. – I co jeszcze?

– Może tylko jeden szczegół jest wart wspomnienia, panie. Widziałem w oddali ogromną budowlę – dużo potężnych wież zakończonych iglicami. Może ma to znaczenie, ponieważ Angronita, który pobił Pouka i kobietę, zmierzał chyba w tamtym kierunku. Wiesz, co to może być?

Przez chwilę wydawało się, że Beel nie zamierza odpowiedzieć na moje pytanie, lecz wreszcie powiedział:

– Utgard, jak sądzę. Zamek króla Gillinga. Sam nigdy go nie widziałem, ani nawet nie rozmawiałem z nikim, kto by go widział. Ale słyszałem pogłoski. Potężny zamek wzniesiony na równinie? Bez muru, otoczony tylko szeroką fosą?

– Nie widziałem fosy, panie. Był zbyt oddalony.

– Jego Królewska Mość ma talerz, na którym go namalowano. Z pewnością widziałeś takie talerze?

– Z obrazkami? Jasne.

– Ponoć namalował go artysta, który rozmawiał z kobietą, która uciekła z zamku. – Beel zamilkł na chwilę zamyślony. – Przybyłem tutaj, by uzyskać pokój, sir Able. Zapewne mówiłem ci już o tym.

– Wspominałeś, panie.

– A czy mówiłem, że jest to ostatnia desperacka próba? Nie? Tak jest. Próbowaliśmy rozmawiać z nimi wcześniej. Niestety, wszystkie negocjacje

spełzły na niczym, może choćby tylko z tego powodu, że nie mieliśmy możliwości rozmawiania z nikim ważnym. Tak uważał Jego Królewska Mość, a ja podzieliłem jego zdanie, sir Able. Moja córka i sir Garvaon słyszeli już o tym wszystkim, więc muszą mi wybaczyć, że się powtarzam.

– Ależ oczywiście, wasza lordowska mość – powiedział Garvaon.

– Ponieważ chcę to powiedzieć jeszcze raz teraz, kiedy poniosłem porażkę. Liczyliśmy na to, że przybywając z pokojowymi zamiarami i hojnymi podarkami dla króla Gillinga, nawiążemy kontakty z jego Kresowcami i dostaniemy eskortę do Utgardu. Niestety, straciliśmy te podarki.

Idnn zerknęła na mnie i zaraz spojrzała w bok.

– Przepadły, a także muły, które je niosły, jak wynika ze słów sir Garvaona. Ponieśliśmy porażkę.

– To nie twoja wina, wasza lordowska mość – powiedział Garvaon. – Niczego nie zaniedbałeś.

– Nawet mnie tam nie było. Nawet nie sięgnąłem po miecz. Będę musiał to powiedzieć Jego Królewskiej Mości.

– Wiem, że to mnie należy winić za twoją nieobecność. – Stałem wyprostowany tak samo jak wcześniej przed mistrzem Agrem. – Nie musisz tego mówić, lecz możesz, jeśli chcesz.

– Wolno ci – mruknął Garvaon.

– Nie oszczędzaj słów. I twoja córka też niech się wypowie. Albo sir Garvaon. Nic z tego, co powiesz, nie zabrzmie gorzej niż to, co sam sobie powiedziałem.

Beel uniósł barki i je opuścił.

– Idnn, sir Able chciał odnaleźć swojego sługę, swoje konie i broń – tarczę i hełm, a także kopię. Jeśli chcesz odegrać przekupkę, to jest to odpowiednia chwila.

Potrząsnęła głową.

– Śmiało. Powiedz mu, że błędne planowanie doprowadziło do naszego

nieszczęścia.

– Nie, ojcze.

– Tak myślałem. Poprosiłbym sir Garvaona, żeby zwymyślał rycerza, z którym walczył ramię w ramię, gdybym nie znał go na tyle, by mieć choć cień nadziei, że przyjmie moje zaproszenie. Swert? Podejź tutaj.

Służący o myszowatej twarzy zbliżył się szybko.

– Tak, wasza lordowska mość?

– Jesteś sługą, Swert. Moim sługą.

– Tak, wasza lordowska mość.

– Chcę się ciebie poradzić, jako że ten tu sir Able także ma służącego. Innego, oprócz tego żebraka.

– Tak, wasza lordowska mość. Pouk, wasza lordowska mość. Sir Able mówił mi o nim, wasza lordowska mość.

– Ten Pouk został schwytany i uprowadzony do niewoli przez Angronitów.

– Tak, wasza lordowska mość.

– Sir Able pragnął go uratować i zwrócił się do mnie o pomoc. Udzieliłem mu jej i przez to poniosłem porażkę, jak również pogrzyłem misję, z którą wysłał mnie Jego Królewska Mość. Z tego też powodu sir Able powinien zostać skarcony, a ty jesteś osobą, która to uczyni. Obraza, która wyjdzie z twoich ust, będzie podwójnie bolesna. Nie obawiaj się, że sir Able cię uderzy albo zaatakuje bronią. Obaj z sir Garvaonem jesteśmy tu, by cię bronić, choć jestem pewny, że nie będzie to konieczne. Zaczynaj.

– Mam...? – Służący spoglądał bezradnie to na mnie, to na Beela.

– Zwymyślać go – wyjaśnił cierpliwie Beel. – Nie wątpię, że masz na podorędziu setkę paskudnych imperatyw. Zrób z nich użytek.

– Ojcze... – Oczy Idnn lśniły od łez.

– Sir... sir Able'a, wasza lordowska mość?

– Dokładnie. – Beel nie miał zamiaru ustąpić. – Zaczynaj, Swert.

– Sir, Able, ty... ty...

– Śmiało.

Służący przełknął ślinę.

– Przykro mi, sir Able z powodu tego, co się stało, cokolwiek to było. I...

Idnn wyprostowała się.

– Dalej, Swert. Wiesz, o co chodzi mojemu ojcu. Wypełnij jego polecenie.

– I jeśli stało się to z twojej winy, sir Able, to jesteś bardzo złym człowiekiem. Tak... Tak jak i ja. Kimkolwiek cię nazwą, tak samo mogą i mnie nazwać.

– No – rzucił Beel. – Zostałeś pohańbiony, sir Able. Znieważony przez mojego sługę. A teraz przestań się prężyć junacko i posłuchaj mnie.

– Dobrze, wasza lordowska mość.

– Jestem ambasadorem Jego Królewskiej Mości w Jotunlandzie. Gdyby moja misja się powiodła, mnie by za to chwalono i tylko mnie. Ale się nie powiodła i na mnie spada wina. Przyjmuję to i jestem gotów stanąć przed królem Arnthorem i wyznać, że to ja zgubiłem podarki, a potem przyjąć każdą karę, jaką zarządzi.

Zerknąłem na Idnn, lecz nic nie powiedziała. Nawet jeśli ucieszyła się na myśl o możliwości powrotu do Kingsdoom, to nie dała poznać tego po sobie. Garvaon siedział ponury i nieszczęśliwy.

– A zatem wracasz, wasza lordowska mość? – zapytałem.

– Tak. Myślałem, żeby zostać tu z Idnn do czasu, gdy sir Garvaon i mistrz Crol dołączą do nas z tymi, którzy pozostali z naszej świty, ale musimy pochować zmarłych. Wielu, jak wynika ze słów sir Garvaona. Jest też mnóstwo innych rzeczy do zrobienia. Wrócimy z tobą i przenocujemy w tym, co pozostało po naszym obozie. Myślę, że zdążymy pochować naszych zmarłych do zachodu słońca i wyruszymy jutro rano. Zobaczymy.

– Wyruszysz na południe?

– Tak, mówiłem przecież.

Mani, usadowiony na kolanach Idnn, uniósł brew.

– Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, iż pojedę z wami, wasza

lordowska mość?

Myszowaty służący uśmiechnął się i zaraz przybrał poważną minę, lecz nie dość szybko, bym tego nie zauważył.

– Nie myślałem o tym – odparł Beel – ale nie jesteś moim dostojnikiem. Możesz robić co chcesz, choć twoje towarzystwo byłoby mile widziane. Oczywiście koń, którego ci dałem, jest twój. I hełm. Co zrobisz?

Przybył Uns spocony i zdyszany. Spojrzałem na niego i powiedziałem:

– Spróbuję znaleźć konia dla mojego sługi, panie.

– Nie mogę ci dać drugiego, sir Able. Według słów sir Garvaona nie mamy dość koni i mułów nawet na własne potrzeby.

Garvaon przytaknął mu.

– Wiem o tym równie dobrze jak on – odpowiedziałem. – Ale Angronici mają ich dużo. Zdobędę jednego dla Unsa, jeśli się uda.

– Sam pojedziesz za nimi?

– Tak, panie.

Uns, i tak już zgięty kalectwem, zgiął się jeszcze niżej.

– Nie tak caluśko sam, wasza lordowska mość. Ja będę trzymał strzemię sar Able'a.

– Sam, nie licząc tego... garbusa?

Mani jednym skokiem znalazł się na moim ramieniu – bardzo imponujący skok.

– Będzie ze mną też mój kot, panie, a także rumak, którego mi podarowałaś. Mój pies wciąż szuka Pouka, ale być może wróci. Żywię taką nadzieję. Następnym razem Angronitom nie pójdzie z nim już tak łatwo. Będą też ze mną przyjaciółki, o których ci wczoraj opowiadałem, a przynajmniej przez jakiś czas.

Idnn wstała i uściskała mnie. Płakała i nie powiedziała nic, co bym zapamiętał.

Beel wziął głęboki oddech.

– Uścisk mojej córki jest jak mój uścisk, sir Able. Nie wątpię, że wolisz

jej uścisk, ale czy naprawdę wierzysz, że mamy szansę?

– „My”, panie?

– Jestem baronem, który ma prawo zasiadać przy królewskim stole. Mogą sobie mówić w Thortower, że zawiodłem, lecz nie powiedzą, że kaleka wykazał większą odwagę niż ja.

– W takim razie wierzę, panie. Wysłuchałem cię. Czy teraz ty mnie wysłuchasz, jeśli przestanę junaczyć?

Beel odpowiedział skinieniem głowy.

– Rozmawiamy o Angronitach, jakby byli wielcy jak wieża albo wysocy jak grotmaszt. Kiedyś dobry przyjaciel powiedział mi, że doznam szoku na ich widok.

Postanowiłem kłamać, i to na całego.

– W porządku, rzeczywiście tak było. Ale byłem zszokowany raczej tym, jak są mali. Wyglądali tak, jak byśmy wyglądali z sir Garvaonem w oczach chłopców. Nazywamy ich olbrzymami albo Olbrzymami Mrozu i mówimy o nich Synowie Angr. Tymczasem oni są po prostu wielkimi, brzydkimi mężczyznami.

– Śmiało powiedziane.

– Bo trzeba nam śmiałych czynów. – Zdjąłem Maniego z ramienia, pogłaskałem go i postawiłem na ziemi. – Potrzebuję konkretnej liczby, by o nich mówić, więc wybiorę trzynaście. Może to nie jest ich dokładna liczba, ale nie będę się sprzeczał. Wczoraj zostaliśmy zaskoczeni przez trzynastu dużych mężczyzn. Mimo to walczyliśmy i zabiliśmy jedną trzecią.

Beel znowu skinął głową.

– Sir Garvaon i ja nie uczestniczyliśmy w bitwie od samego początku, a śmiem twierdzić, nie pozostałoby to bez znaczenia, gdybyśmy walczyli od początku.

– Jak najbardziej zgadzam się z tobą w tej kwestii – powiedział Garvaon – lecz nie zapominajmy, że sami też straciliśmy ludzi.

– Wiem. Wrócę do tego za chwilę. Najpierw jednak chcę zapytać, co by

się stało, gdyby było na odwrót. Gdybyśmy to my zaskoczyli tych ogromnych ludzi?

Nikt się nie odezwał.

– Pytam cię, panie, podobnie jak wszystkich pozostałych. Pytam lady Idnn i sir Garvaona. A także Swerta i Unsa.

– Ja walczyłem z Orgiem, sar. Gołymi rękami.

– I w pojedynkę. Wiem. Wiem, też, jak to się skończyło. I walczyłybyś jeszcze raz?

– Jeśli ty byś walczył, sir Able, to i ja, sar.

– Nie mogę prosić o nic więcej. – Zastanawiałem się przez chwilę. – Kiedy tu przyszedłem, lady Idnn, powiedziałaś, że łucznicy i zbrojni nie uciekli tak jak służba. Czy spodziewałaś się, że twoja służba będzie walczyć?

– Moje służące? Z pewnością nie.

– A Mistrz Crol? A poganiacze mułów? A Swert?

– Mistrz Crol pewnie walczył. Wcale by mnie to nie zdziwiło – powiedział Beel.

– Tak było – rzekł Garvaon. Skinąłem głową.

– A inni, pani?

– Nie sędzę.

– Żaden z nich? A ty, Swert? Walczyłybyś, gdybyś był tam wtedy?

– Wierzę, że tak, sir Able. Gdybym tylko miał czym walczyć. Tego wieczora przemawiałem do służby, łuczników i zbrojnych.

– Mam wam do powiedzenia tylko trzy rzeczy – zacząłem. – Opowiem o nich szczegółowo, bo myślę, że tego oczekujecie. Na wasze pytania odpowiem najlepiej jak potrafię. Ale wszystko, co mam do powiedzenia, sprowadzi się do tych trzech rzeczy, dlatego usunę je z naszej drogi, zanim pójdziemy dalej. – Zamilkłem i patrzyłem na nich w nadziei, że milczenie doda wagi moim słowom.

– Proszę was, żebyście walczyli. Wszyscy. Wszyscy jak tu jesteście. Lord Beel nakazał wam walczyć, lecz nie może was zmusić, byście to zrobili. Ja

też nie. Może was jedynie ukarać, jeśli odmówicie. Czy będziecie walczyć, czy nie, zależy tylko od was – to po pierwsze.

Nie będziecie walczyć sami. Każdy łucznik i każdy zbrojny będzie odpowiedzialny za dwoje, troje lub czworo z was, w zależności od układu, i nauczy was wszystkiego, co powinniście wiedzieć, a potem poprowadzi, kiedy wyruszymy, aby odebrać Angronitom nasze dobra. Zbrojnych i łuczników poprowadzi z kolei sam lord Beel, a także sir Gatraon i ja. To druga sprawa.

Spoglądali po sobie, a ja im na to pozwoliłem przez dobrą minutę.

– Większość z was słyszała, że zabiłem jednego z Angronitów wczorajszej nocy. Sir Garvaon też zabił jednego, lecz miał do pomocy dwóch łuczników i zbrojnego. Lubi mówić, że to umniejsza jego dokonanie w porównaniu ze mną. Lecz nie ma większego znaczenia to, czego obaj dokonaliśmy. Za to ważne jest, że nasi zbrojni i łuczniczy zabili dwóch wrogów, zanim obaj z sir Garvaonem wróciliśmy z przełęczą. Garstka dzielnych ludzi potrafiła dokonać tego bez pomocy rycerza, który by ich poprowadził. To trzecia rzecz, którą chciałem powiedzieć. I najważniejsza. – Znowu zamilkłem.

– Zapewne będziecie mieli pytania do mnie, do lorda Beela lub do sir Garvaona. Niektórzy być może będą chcieli zapytać o coś nawet lady Idnn. Pytajcie śmiało. Ja sam pytałem lorda Beela o różne rzeczy, a on miał pytania do mnie. Nikt nie będzie was karał za to, że pytacie.

Podniósł się służący w średnim wieku.

– Czy jest ktoś, kto nie będzie walczył?

– Nie wiem – odparłem. – Zobaczymy. Mężczyzna usiadł szybko.

– Lord Beel będzie walczył. Także lady Idnn. Jak również sir Garvaon. Będą walczyć łuczniczy i zbrojni. Ja też będę walczył.

– I ja! – zawołał mistrz Crol.

– Oczywiście, że mistrz Crol będzie walczył. Ani przez chwilę w to nie wątpiłem, dlatego o nim nie wspomniałem. Za to nie wiemy, co wy zamierzacie. I tego między innymi pragniemy się dowiedzieć.

Jedna ze służących Idnn podniosła się z wahaniem.

– My też mamy walczyć?

– A czy lady Idnn wam nie mówiła? Służąca skinęła głową nieśmiało.

– W takim razie znasz odpowiedź. Pozwólcie, że wam wyjaśnię. Normalnie kobiety nie walczą, ponieważ nie dorównują mężczyzną siłą. Ale cóż znaczy moja siła, czy siła sir Garvaona wobec siły tych olbrzymów? Możecie walczyć z nimi tak samo jak my, jeśli tylko się na to zdecydujecie. Lady Idnn nauczy was wszystkiego i poprowadzi. Niejednego jelenia położyła swoim łukiem, lecz teraz poluje na grubszego zwierza, a waszym obowiązkiem jest jej pomóc.

Siedzący obok służącej kucharz powiedział:

– Czy mamy wybrać sobie zbrojnych?

– Wstań – powiedziałem. – Pozostali cię nie słyszą. Kucharz podniósł się nieco speszony.

– Mówiłeś, że każdy zbrojny będzie miał pod sobą dwie lub trzy osoby, które nauczy walczyć. Czy sam możemy sobie ich wybrać?

– Albo łucznik. Nie. Oni wybiorą was.

Służący, który pierwszy zabrał głos, podniósł się ponownie.

– Chciałem tylko powiedzieć, że będę walczył, jeśli dacie mi jakąś broń.

– Kiedy lord Beel dowiedział się, że zabiłem Angronitę, zapytał, jak tego dokonałem – mówiłem dalej. – Odpowiedziałem mu, że przy pomocy strzał, on zaś zastanawiał się, jak to było możliwe w ciemności. Wyjaśniłem mu, że Angronicy są tak ogromni, iż pozostawali widoczni na tle nocnego nieba – tak duzi, że trudno było ich nie trafić.

Podniosłem łuk.

– Sam go wystrugałem. Nie wszystkie moje strzały są moim dziełem, lecz te najlepsze sam zrobiłem. Rosną tu drzewa na tyle mocne, by zgiąć się pod naporem wiatru z gór i wyprostować, gdy przestanie wiać. Angronicy zabrali nam wiele skarbów, lecz dużo też zostawili; mam na myśli żelazne ruszty i garnki, a także elementy z brązu w namiotach. Człowiek, który podkuwa

nasze konie i muły, może je przetopić i wykuć z nich groty strzał, a wy siedzicie na ostrych kamieniach, którymi będziecie mogli je wyostrzyć.

Zamilkłem, dając im czas na przemyślenie wszystkiego. Słońce prawie już zaszło, a pale z grobów na szczycie wzgórza rzuciły długie cienie, które zdawały się wyciągać ku nam niczym liczne palce.

– Być może niektórym z was będą pomagać Aelfy Ognia – powiedziałem.
– Mam taką nadzieję. – Jeśli tak się zdarzy, to słuchajcie uważnie tego, co wam powiedzą. Umieją obrabiać metal.

Śladem najeźdźców

Góry skurczyły się do wzgórz, zanim zatrzymałem się na postój; były to wysokie, brązowo-zielone wzgórza, których kamienie piaskowego koloru maskowała sucha trawa. Jechałem – a potem szedłem, prowadząc kulejącego konia – aż do zachodu słońca, licząc na to, że znajdę wodę i drewno. Woda w dziurze, na którą w końcu trafiłem, miała niemal gęstość błota, lecz koń pil chciwie.

Przywiązałem go do siodła, rozłożyłem na ziemi koc z siodła i położyłem na nim drugi koc. Przydałby się ogień, lecz mógłbym podpalić suchą trawę i spalić pół świata. Tak mi się przynajmniej wydawało: wszędzie dokoła, niczym morze, rozciągała się jałowa ziemia.

A poza tym nie miałem drewna.

Potem leżałem, trzęsąc się, długie godziny, jak się zdawało, zawinięty w płaszcz i jeszcze jeden koc; wpatrzony w gwiazdy słyszałem tylko wolne kroki pasącego się konia i ciche zawroźnienie wiatru.

Było późne lato. Późne lato i ciepła pogoda w wyniosłym szarym zamku księcia Mardera. Ciepła pogoda w Zatoce Forcetti. Jeszcze przez długie miesiące jej wody nie zetnie lód.

Upalne późne lato w lesie, gdzie mieszkałem z Bertoldem Śmiałym. Przed okresem rui samce zapuszczają rogi, które muszą jeszcze długo rosnąć; broń do rycerskich pojedynków, wciąż schowana w aksamitnej pochwie. Świadomość, że lato snuło się jeszcze nad rzeką Gryf, przyniosła mi niewielką pociechę, a moja kolczuga jeszcze mniejszą. Bo oto znajdowałem się na północnych stokach Gór Myszy, daleko na północ od równin, o wiele wyżej, jak podejrzewałem, niż uśmiechnięte ziemie południowe.

Fale napierały na urwisko, a ja podskakiwałem i dokazywałem między nimi razem z pannami Aelfów Morza, pannami, które z wyjątkiem oczu były równie niebieskie na całym ciele jak niebieskie były oczy prześlicznych panien z Mythgarthru, jasnowłose młode kobiety, które roziskrzone śmiały się, wyskakując z falującego morza w burzę, która rozświetlała niebiosy i trzęsła nimi.

Rozświetlała i trzęsła Mythgarthrem. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Przewróciłem się na bok, owijając się szczelniej kocem i płaszczem.

Garvaon i Garsecg znajdowali się na urwisku; Garvaon z obnażonym mieczem, Garsecg zaś w postaci smoka zięjącego stalowobłękitnym ogniem. Duchy Wodne wznosiły wdzięczne ramiona i prześliczne twarze, dając wyraz swemu podziwowi i wykrzykując modlitwy do Setra; zawołały ożywione, gdy szkarłatny płomień wyrzucił Garvaona poza krawędź urwiska.

Spadał, objając się o kolejne skały. Zgubił hełm, a jego miecz grzechotał, objając się o skały tak jak on sam; całkowicie pogruchotany, zmieniony w bezkształtną masę zbroi i krwawiącego ciała, spadł do morza.

Obudziłem się rozdygotany. Na moim morzu wciąż falowała wysuszona trawa, oświetlona słabym światłem księżyca wciśniętego między pędzące chmury. Urwisko, z którego spadł Garvaon, było teraz Górąmi Północnymi, górąmi, które kopyta mojego wierzchowca zamieniły w jakiś sposób w południowe góry, a Duchy Wodne okazały się wyjąłym wiatrem.

Trzęsąc się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, spróbowałem znowu zasnąć.

Armie Zimy i Starej Nocy posuwały się po niebie, monstrualne ciała oświetlone od wewnątrz błyskawicami. Latający zamek, przedmiot nie większy niż zabawka, zagroził im drogę – tylko on. Z jego murów wołał tysiąc głosów: Able! Able! Able!.

Lecz ja spałem na wzgórzach, podczas gdy ci więksi Angronicy

wymachiwali włóczyniami chaosu i rykiem wyrażali swoją nienawiść.

Obudziłem się i stwierdziłem, że moja twarz jest mokra od deszczu. Niebem wstrząsnął grzmot, a biały ogień rozdarł ciemność nocy. Struga zacinającego deszczu zmoczyła mnie zupełnie jak morska fala, a potem następna i jeszcze jedna.

Nie miałem gdzie się schować przed deszczem. Zacisnąłem nabijany ćwiekami rzemień hełmu i nałożyłem na głowę kaptur płaszcza, błogosławiąc grubą wełnę, z której go wykonano.

Nic nie widziałem. Może był dzień, a może noc – nie miałem pojęcia. Łańcuch opasujący moją szyję trzymał boleć wbity w szczelinę w ścianie. Kiedyś spróbowałem go wyciągnąć i nigdy więcej.

Kiedyś drżałem. I już nigdy potem.

Kiedyś miałem nadzieję, że jakiś przyjaciel przyniesie mi koc albo trochę szmat. Ze widząca kobieta, która kiedyś była moją żoną, przyniesie mi skórkę chleba albo trochę rosołu. Nic takiego się nie wydarzyło i nigdy się nie wydarzy.

Kiedyś trząsałem się na wietrze, ale się sprzeciwiłem i nigdy już nie zadrzę. Byłem śpiący i choć śnieg muskał moją twarz i pełzał po mych stopach, wcale nie było mi niewygodnie. Już nie czułem bólu.

Coś szorstkiego, ciepłego i mokrego otarło się o mój policzek; Obudziłem się i zobaczyłem znajomą włochatą twarz, równie wielką i brązową jak moje siodło. Zamrugąłem – a wtedy Gylf polizał mnie po nosie.

– Czas wstawać. Spójrz na słońce. Wspięło się do połowy zachmurzonego nieba.

– Znalazłem go. – Gylf pomachał energicznie ogonem. – Pokażę ci. Chcesz iść?

– Tak. – Zrzuciłem z siebie koc; byłem cały mokry, ale nie aż tak bardzo zziębnięty. – Nie, nie mogę. Nie teraz. Muszę opóźnić marsz Angronitów, a

także wyczyścić zbroję i porozmawiać z tobą.

– W porządku. – Gylf położył się na ziemi. – Bola mnie łapy.

– Przede wszystkim muszę znaleźć mojego konia. Gdzieś poszedł w nocy.

– Wstałem i rozejrzałem się, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Idź pod wiatr. Wyczuwam go.

Po jakiejś pół mili ślady ciągniętego po ziemi siodła były tak wyraźne, że nawet ja je widziałem. Warcząc i kłapiąc zębami, Gylf zatrzymał mojego ogiera na tyle długo, że udało mi się go złapać i spętać.

Kiedy wróciliśmy do dziury z wodą, zdjąłem hełm i kolczugę i wyjąłem z torby przy siodle flaszkę z oliwą.

– Nie miałem czegoś takiego, kiedy obaj zgubiliśmy się w lesie – powiedziałem do Gylfa – ale od tamtego czasu dużo się nauczyłem. Być rycerzem to jak być marynarzem. Płacisz za chwałę i wolność, oliwiąc, szorując, łatając i polerując. Albo wszystko zaniedbasz.

– To były dni. – Gylf przewrócił się na grzbiet w mokrej trawie, wstał i otrząsnął się.

– Podobało ci się na statku?

– W lesie. Podobało mi się tam. Tylko ty i ja. Dobre tropy. Polowanie. Ognisko nocą.

Uśmiechnąłem się.

– Było nieźle.

– Złe miejsce. – Gylf kichnął.

– Las? Myślałem, że ci się tam podobało. – Kolczuga, którą dobrze naoliwiłem po rozstaniu się z Beelem, nie zaczęła rdzewieć. Otrząsnąłem ją z wody, wzniecając fontannę kropel i wytarłem czystą, miękką szmatą, wsuwając jej rożki między zbite ciasno stalowe kółka w miejscach, w których mogła jeszcze pozostać woda.

– Tutaj – wyjaśnił Gylf.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co powiedział.

– I tak, i nie. Wiem, co masz na myśli. Zbyt odkryty teren, żeby dało się

upolować zwierzynę, do tego mało wody, chociaż trudno byłoby tak powiedzieć wczorajszej nocy. No i jeszcze Angronici. Jotunland to ich ziemia, a oni sami są strasznymi wrogami. Lord Beel wspominał o tym, że mógłby poprowadzić przeciw nim setki rycerzy, a do tego ten kraj nadawałby się idealnie. Daj lordowi Beelowi i księciu Marderowi pięciuset łuczników i dwa tysiące rycerzy, a dostaniesz bitwę, o której będą śpiewać „do upadku niebios”.

Gylf mruknął.

– Dzielni rycerze na bojowych rumakach z długimi, mocnymi kopiami. Łucznicy z długimi łukami i setką strzał dla każdego. To wspaniały kraj na przeprowadzenie konnego ataku i dobry teren dla łuczników. – Na samą myśl o tym zapragnąłem się tam znaleźć. – W ciągu roku od tamtego dnia Angronici staliby się równie rzadcy jak dzisiaj ogry. A po stu latach mieszkańcy Forcetti mówiliby, że istnieli tylko w legendach.

Gylf sprowadził mnie na ziemię.

– Polujesz na nich. Tak powiedziałaś.

– Owszem. Napadli na obóz lorda Beela pod nieobecność moją i sir Garvaona, a także lorda Beela i jego córki. Zabiliśmy czterech, lecz pozostali uciekli z podarunkami przeznaczonymi dla ich króla.

– To i tak je dostanie – zauważył Gylf.

– Możliwe, albo tylko niektóre. Ale to już nie będzie to samo, gdyby lord Beel wręczył je im w imieniu króla Arnthora. Dlatego szukamy tych Angronitów. Pojechałem przodem, a pozostali jadą za mną najszybciej, jak to możliwe; niestety, wielu z nich idzie pieszo, więc nie poruszają się zbyt szybko.

– Mógłbym ich wytropić. Chcesz?

– Masz obolałe łapy.

Gylf polizał przednią łapę, jakby chciał sprawdzić.

– Nie aż tak bardzo.

– Chcę, żebyś został ze mną – zdecydowałem. – Długo cię nie było, kiedy

szukałeś Pouka, i wcale mi się to nie podobało. A poza tym przyda ci się kilka dobrych posiłków.

– Pewnie! – Gylf pomachał ogonem.

– Mam tu trochę suszonego mięsa. – Wyjąłem mięso z torby i dałem Gylfowi kawałek. – Słonawe. Możesz pić wodę z dziury? Nie jest taka najgorsza po deszczu.

Gylf pokiwał energicznie łbem, przeżuując mięso.

– Zastanawiasz się pewnie, co się stało z Mani. Gylf zaprzeczył ruchem głowy.

– Został z lady Idnn. Gylf przełknął kęs.

– Złe kocisko! Złe!

– Wcale nie. Omówiliśmy to wcześniej. Nie pomógłby mi specjalnie w czasie polowania na olbrzymy, za to będzie miał oko na wszystko w obozie lorda Beela. Mam nadzieję, że to nie jest konieczne, ale nigdy nie wiadomo. Lepiej się zabezpieczyć, jeśli to możliwe.

Chmura zasłoniła słońce, a Gylf mruknął:

– Aelfy.

– Masz na myśli Uri i Baki?

Gylf kiwnął łbem, wpatrzony w drugi kawałek mięsa.

– Szukają Angronitów, którzy nas obrabowali.

– Nie.

– Chcesz powiedzieć, że cię odnalazły i uwolniły. Poleciałem im zająć się tym najpierw. Teraz szukają Angronitów.

– Czuję je – mruknął Gylf.

– Gdybyśmy były Angronitami, mogłybyśmy was rozdeptać – odezwała się Baki.

– Wy, Aelfy, potraficie zaskoczyć każdego.

– Nie, tylko takich głupców jak wy. – Baki pokręciła głową.

– Inni zawsze wiedzą, że jesteś w pobliżu. Zapytałem ją, czy Angronici wiedzą.

– Nie, panie.

Słońce, które wcześniej schowało się za drzewem, znowu się wychyliło na kilka sekund i sprawiło, że Baki (podobnie jak Uri) stała się przezroczysta, gdy powiedziała:

– Oni są równie głupi.

– To znaczy, że ich znalazłyście.

– Tak, panie. Ale...

– O co chodzi?

– Podróżują szybko. Potrafią iść szybko i cały czas popędzają muły.

– Dalej na północ teren jest bardziej płaski – powiedziała Baki – i przechodzi w równinę.

– Rozumiem. – Skinąłem głową.

– Na niej stoi zamek ich króla. Ogromna budowla, którą nazywają Utgard. Miasto też tak się nazywa.

Ponownie skinąłem głową.

– Byłyśmy tam – powiedział z powagą Uri. – Bardzo, bardzo duże miejsce. Czy twoim zdaniem Wieża Glas była duża?

– Pewnie. Ogromna.

– To powinieneś zobaczyć ten zamek. Panie, to nie żarty.

– Straszne miejsce. Chcemy, żebyś dał sobie spokój – powiedziała Baki.

– Myślicie, że mnie zabiją? Skinęły głowami.

– To mnie zabiją. Gylf zawarczał głucho.

– Panie, to głupota. Ty...

Uniosłem dłoń i zobaczyłem, że wciąż trzymam w niej szmatę, tak więc wróciłem do czyszczenia kolczugi.

– Głupotą jest bać się śmierci przez całe życie.

– Wierzysz w to, co powiedzieli ci inni rycerze.

– Masz na myśli sir Ravda. Nie, on mi tego nie powiedział. Przekazał mi tylko, że rycerz ma robić to, czego wymaga od niego honor, i nie powinien liczyć swoich wrogów. Owszem, usłyszałem to od rycerza, ale innego. Tym

rycerzem byłem ja sam. Ludzie, którzy się boją śmierci – należy do nich lord Beel, jak sądzę – wcale nie żyją dłużej niż ci, którzy się jej nie boją, za to żyją w ciągłym strachu. Wolę być takim rycerzem, jakim jestem – rycerzem, który nic nie ma – niż wieść życie takie jak on, w którym nigdy dość władzy i pieniędzy.

Wstałem i włożyłem kolczugę.

– Boicie się, że Angronici dotrą do Utgardu, zanim ich dopadnę. Czy to chciałyście mi powiedzieć?

Uri pokręciła głową.

– Nie, panie. Oni są niedaleko. Dogonisz ich jeszcze dzisiaj, jeśli zechcesz.

– Lecz byłbyś sam – dodała Baki – i z pewnością byś zginął. Pozostali, ten lord Beel, o którym mówiłeś, i inni dawni bogowie, którzy z nim idą, nigdy ich nie dogonią.

– Nawet gdyby Utgard był o wiele dalej – potwierdziła Uri.

– W takim razie trzeba opóźnić ich marsz. – Zwinąłem koce i podniosłem derkę. – Obiecałem lordowi Beelowi, że to zrobię, i żałuję, że nie mogę się skupić tylko na tym.

– Chodzi o Pouka – zwrócił się Gylf do Uri i Baki.

– Właśnie. Musimy uwolnić Pouka i Ulfę. Jeśli Angronici mnie zabiją, to oni zostaną tu w niewoli do końca życia. Znalazłeś ich, Gylf?

Kiwnął łbem.

Osiodłałem konia, włożyłem na głowę hełm i przypiąłem Łamimiecz.

– Dobrze. Gdzie oni są?

– W Utgardzie.

Jotunlandzka dolina

Zanim dotarliśmy do obozu Angronitów, zapadła już noc. Na szczęście zatrzymali się nad brzegiem strumienia płynącego pośród drzew, a ognisko, które rozpalili – przy pomocy całych drzew, niektórych tak grubych, że człowiek nie dałby rady ich zrąbać siekierą w godzinę – oświetlało całą okolicę. Dwa muły obracały się na rożnach nad płomieniami.

Zdjąłem hełm i kolczugę, po czym podpełzłem daleko w krąg światła ogniska, żeby na własne oczy zobaczyć Angronitów. Kiedy wróciłem do lasu, do Uri, Baki i Gylfa, miałem już w głowie gotowy plan.

– Jest ich tylko siedmiu. – Usiadłem na kłodzie, którą ledwo widziałem. – Dyskutowaliśmy o tym, ilu ich było, i wszyscy myśleli, że więcej.

– W takim razie nie będziesz potrzebował naszej pomocy – oświadczyła Uri. – Tylko siedmiu olbrzymów? Ty i twój pies załatwicie ich sami jeszcze przed śniadaniem.

– Nie będziecie z nimi walczyć? Uri potrząsnęła głową przecząco.

– Obie z Baki walczyłyście z Ludźmi Gór.

– Głównie odwracałyśmy ich uwagę, żebyś mógł walczyć z nimi.

– Niewiele z nas pożytku w walce na tym poziomie, panie. – Baki unikała mojego spojrzenia.

– Dlatego, że kiedyś byli waszymi bogami?

Baki westchnęła; upiorny szept w ciemności pod drzewem.

– Wy byliście naszymi bogami, panie. Oni nigdy nimi nie byli.

– Mogłybyśmy się pojawić w ich ognisku – zasugerowała Uri – jeśli myślisz, że mogłoby to w czymś pomóc.

– Giganci nie boją się nas – dodała Baki. – Kazaliby nam odejść, a my

musiałybyśmy ich posłuchać.

– Żeby tylko, panie. Gylf warknął.

– A zatem nie chcecie nam pomóc? W takim razie równie dobrze możecie wracać do Aelfrice.

– Zrobimy tak, jeśli nam każesz, panie – odpowiedziała Uri – ale wolałybyśmy zostać.

Byłem oburzony.

– Powiedzcie mi, dlaczego miałbym was tu trzymać.

– Bądź rozsądny, panie. – Uri przysunęła się do mnie tak blisko, że jej biodro przywarło do mojego; było miękkie i ciepłe jak biodro kobiety. – Sam nie zamierzasz walczyć z nimi wcześniej, niż uwolnisz swojego sługę...

– I kumpla – dodał Gylf.

– Z Utgardu. Założmy, że będziemy walczyć. Cała czwórka. Baki i ja, mało przydatne w walce, oraz ty i twój pies. Co by z tego wynikło? Zginęłybyśmy, czy też, co jest bardziej prawdopodobne, wy byście zginęli, a ja z Baki musiałabym uciekać do Aelfrice albo umrzeć.

Zamilkła, by dać mi możliwość odpowiedzi, lecz nic nie powiedziałem.

– Co dobrego by z tego wyszło? Jeden olbrzym by zginął? Dwóch? Żaden, jeśli zaufasz mojemu osądowi. Zostałby rycerz i pies wydani wronom na żer. Lepiej będzie opóźnić ich marsz. Czy nie w tym celu wyruszyliśmy?

Dziesięć minut później, czołgając się w wysokiej trawie w kierunku stadka uwiązanych mułów, pomyślałem, że to, co robię, jest chyba bardziej niebezpieczne niż walka. Trawa szeleściła przy każdym moim ruchu i nawet jeśli nie usłyszeli mnie Angronici, to z pewnością słyszały mnie muły uwiązane do powyginanej brzozy, do której zmierzałem. Widać je było wyraźnie w blasku ognia; trzymały wysoko głowy i strzygły uszami. Ich nerwowe tupanie zagłuszało szemranie strumyka. Wydawało się, że Angronici muszą mnie usłyszeć, do tego, kiedy już znalazłem się blisko mułów, przypomniałem sobie, że potrafię kopać i gryźć tak samo jak konie albo nawet lepiej. Myślały, że coś chce je zaatakować, a wcale nie były

bezbronne.

– Ci Giganci Mrozu pieką właśnie dwóch z was – wyszeptałem.

Mani powiedział kiedyś, że tylko nieliczne zwierzęta potrafią mówić; nie uwierzyłem mu wtedy i teraz też nie wierzę, lecz w tamtym momencie wydawało się to dość prawdziwe stwierdzenie.

– Mówią, że mądre z was zwierzęta. Nie chcecie stąd uciec?

Przemawiając do nich, wciąż się skradałem, aż wreszcie poczułem na twarzy dotyk liny. Kiedy ją przeciąłem sztyletem, usłyszałem parsknięcie zadowolonego mularza, którego właśnie uwolniłem.

Wreszcie dotarłem do drzewa i odważyłem się wstać, chowając się za pniem. Mój sztylet był ostry, lecz pęta były grube; wciąż je piłowałem, kiedy uwolniony mularz odszedł w noc. Nieco zmęczony i roztargniony, zastanawiałem się przez chwilę, czy był to ten uwolniony przeze mnie, czy też przez Uri i Baki.

Wreszcie przeciąłem linę i sięgnąłem po kolejne pęta.

Rozległy się rozgniewane głosy, niskie i głośnie, dochodzące od strony ogniska. Jeden z Angronitów wstał, drugi krzyknął coś, trzeci zaś warknął. Zdesperowany przeciąłem pęta.

W odległości połowy strzału z łuku mularz przeciął płamę blasku księżyca, galopując niezdarnie, ponaglany przez aelficką pannę, która leżała na jego grzbiecie niczym czerwony cień.

Kolejne pęta ustąpiły pod ostrzem. Zacząłem szukać na pniu kolejnych lin, niemal gubiąc sztylet, lecz wszystkie wisiały już luźno. Trzech Angronitów zmierzało już w moim kierunku, dwaj szli obok siebie, trzeci zaś został nieco z tyłu.

– Gylf! – zawołałem. – Gylf!

Usłyszałem w odpowiedzi ujadanie ogara, który znalazł trop, a po chwili, która wydawała mi się bardzo długa, przeszło ono w podniecone skamlenie psa, który już widzi swoją ofiarę. Gdzieś tam rozległo się przeraźliwe rżenie mularza wyrażające czyste zwierzęce przerażenie, a kilkanaście innych zwierząt

rozpierzchło się na wszystkie strony. Jeden z gigantów rzucił się za jednym z nich, co wyglądało, jakby mężczyzna moich rozmiarów rzucił się za uciekającym kozłem, lecz zwierzę wymknęło mu się z rąk. Przez chwilę trzymaj muła za ogon, lecz ten kopnął go w ramię i zniknął w ciemności.

Czarna bestia, która zabiła tyle Myszy, skoczyła do gardła innego Angronity. Objęły ją ramiona grubsze niż tułów człowieka.

– Disiri! – Pobiegłem w stronę walczących. Trzeci z Angronitów sunął ku mnie wielkimi krokami, gdy nieoczekiwanie tuż przed nim przemknął muł z purpurowym cieniem na grzbiecie, o którego olbrzym potknął się i przewrócił.

Zobaczyłem, jak Angronita toczy się w moją stronę, mocując się z istotą, która nie była ani psem, ani wilkiem, za to była o wiele większa niż lew. Niczym gład rzucony przez falę, Łamimiecz z głowicą w kształcie diamentu o twardych krawędziach uderzał raz po raz. Nie pamiętam, w jaki sposób, znalazłem się na grzbiecie żarłocznej bestii, której broniłem, pędząc poprzez wzgórze.

Wydawało mi się, że dosiadłem burzy.

Jeszcze przed wschodem słońca Gylf skurczył się do normalnych rozmiarów, a niedługo potem znaleźliśmy białego ogiera, którego uwiązałem poprzedniej nocy. Nie dosiadłem go, a tylko odwiązałem i zdjąłem mu siodło.

– Jesteś zmęczony – zauważył Gylf. – Potrzebujesz snu. Popilnuję.

– Tak, jestem zmęczony – przyznałem – ale nie chcę i nie zamierzam spać. Mam ochotę porozmawiać.

– Pójdę.

– Nie. Należysz do mnie, o ile Bodachani mieli do ciebie prawo. Bardzo cię lubię, bardzo, i chcę cię zatrzymać. Ale muszę wiedzieć pewne rzeczy.

– Boisz się mnie.

– Każdy by się bał. – Nie znalazłszy żadnej kłody ani kamienia, na którym można by usiąść, usiadłem w paprociach niedaleko wody.

– Pójdę.

– Powiedziałem, że nie chcę. Nie chcę nawet, żebyś polował dla mnie. Wciąż jesteśmy zbyt blisko tych Gigantów Mrozu. Powiedz mi, czym jesteś.

– Psem. – Gylf usiadł.

– Żaden zwykły pies nie potrafi robić takich rzeczy jak ty. A przede wszystkim nie potrafi mówić.

– Bo jestem dobrym psem.

Układałem w myślach pytanie, które mogłoby mi dostarczyć pożytecznej odpowiedzi.

– Dlaczego zmieniasz rozmiary, kiedy walczysz nocą?

– Bo potrafię to robić.

– Kiedy spotkaliśmy Mani, chciałem myśleć, że jesteś taki jak on. Gylf zawarczał.

– Dobra, może powinien raczej powiedzieć, że chciałem, żeby on był taki jak ty, tylko żeby był kotem. Tak się wydawało wielokrotnie, lecz teraz wiem, że tak nie jest.

Gylf położył się i nic nie odpowiedział.

– Mani nauczył się sporo o magii, obserwując wiedźmę, która była jego właścicielką. Ty nic nie wiesz o magii, więc to, co robisz, nie jest magią. Nie wiem, co to jest, ale wiem, że muszę się nad tym zastanowić. Chyba że mi powiesz.

– Nie mogę.

– To może Uri albo Baki. – Zawołałem je, lecz się nie pojawiły.

– Nie jest dobrze – powiedziałem. – Musimy dotrzeć do Utgardu i uwolnić Pouka i Ulfę, a potem wrócić, zanim przybędzie tu lord Beel ze swoimi ludźmi. Bardzo by się nam przydały Uri i Baki, ale mogą być niedostępne.

Gylf uniósł łeb.

– Myślisz, że wiedzą? Mogłyby wiedzieć?

– Tak – odparłem – i mogłyby nam powiedzieć. Aelfy potrafią zmieniać postać. – Zastanawiałem się przez chwilę. – Lecz nie w blasku słońca. W

Aelfrice Setr zmienił się w człowieka o imieniu Garsecg, a Uri i Baki zostały zamienione w Khimairy. A może same się zamieniły. Nie wiem, jak to działało.

Gylf posłał mi pytające spojrzenie, więc dodałem:

– Latające potwory. Tylko że coś mi tu nie pasuje. Nie potrafię tego sprecyzować, ale coś tu jest nie tak.

– Musisz się przespać – zasugerował Gylf. Wzruszyłem ramionami.

– Masz rację. Potrzebuję snu, a kiedy się wyśpię, zastanowię się nad tym. Ale tylko do zmroku, dobrze? Obudź mnie o zmierzchu, o ile sam nie będziesz spał.

Jest niebezpiecznie; tak pomyślałem, kiedy się kładłem na chłodnej paproci. Znajdowaliśmy się zaledwie kilka mil od obozu Angronitów, którzy mogli nas znaleźć, jeśli przeszukiwali lasy w poszukiwaniu mułów. Albo mogą znaleźć mojego białego rumaka i użyć go jako konia jucznego. Z drugiej strony nie wolno mi było pozwolić, abyśmy, ja, koń i Gylf, doprowadzili się do stanu wyczerpania, co byłoby jeszcze gorsze; ponadto, z tego co słyszałem, na ziemiach położonych bliżej Utgardu mieszkało więcej olbrzymów niż na tych wysuszonych wzgórzach.

Coraz bliższy zaśnięcia, próbowałem sobie wyobrazić Angronitę orzącego mułem, podobnego do naszego farmera posługującego się małym traktorkiem, ale mi się to nie udało.

Woda pędziła, niosąc mnie ze sobą. Obok przepłynęła ławica ryb podobnych do szkarłatnych klejnotów i spotkała się z inną ławicą mieniących się srebrzyście ryb. Przemieszały się na chwilę i popłynęły dalej. Opalizujące ryby otoczyły mnie i zaraz się rozpierzchły.

Ujrzałem pod sobą dziewczęcą twarz Kulili, tak jak lecący ptak widzi pod sobą wyspę. Jej ogromne usta poruszały się, lecz głos rozlegał się tylko w moim umyśle.

Ja ich zrobiłam. Ja je ukształtowałam tak jak kobieta lepi ciasto, biorąc trochę z drzew, trochę z bestii, które powaliły drzewa i trochę z samej siebie.

Zobaczyłem jej dłonie, dłonie utkane z milionów nitek robaków, które wijąc się, nadawały postać Disiri. Ten sen rozpląnął się pośród wielu innych snów o śmierci na długo przed tym, gdy moje powieki drgnęły.

Ale nie przepadł całkowicie.

Obudziłem się o świcie, a godzinę później zmierzałem już na północ w towarzystwie Gylfa biegnącego obok mojego rumaka. Mniej więcej w porze, gdy wzeszedł księżyc, powiedziałem:

– Chyba zrozumiałem. Nie wszystko, ale wiele z tego, co mi nie dawało spokoju.

Gylf spojrział na mnie.

– Odnośnie mnie?

– Nie tylko. Myślałem, że zmieniasz się tylko nocą.

– Przeważnie.

– Tak, przeważnie. Ale nie zawsze. Na przykład nie wtedy, gdy razem ze starym Tougiem walczyliśmy ze zbójcami.

Zmierzałyśmy przed siebie w ciszy, a mój koń płynął w ciemności, tak jak księżyc sunie po zimnym niebie.

– Gylf, pamiętasz swoją matkę? Przypominasz ją sobie w ogóle?

– Pamiętam jej zapach.

– Zostałeś od niej zabrany w jakiś sposób. Pamiętasz coś z tego?

– Nie miałem odejść – odpowiedział Gylf niskim głosem, jakby zamyślony. – Ale tak się stało.

Pomyślałem o małych dzieciach w domu.

– Zgubiłeś się?

– Zostałem z tyłu. Znaleźli mnie brązowi ludzie.

– Bodachani. Chrząknął przytakująco.

– Skłonili się przede mną, kiedy mi cię oddawali. Pamiętasz? I próbowali ukryć twarz.

– Tak.

– Wiesz, Gylf, myślę, że ktoś w Aelfrice poddał mnie naukom. Mam

wrażenie, że dużo mnie uczono. Ale nie wiem dlaczego ani czego się nauczyłem.

– Hu!

– Nie potrafię nawet powiedzieć, czy naprawdę się tego nauczyłem. Myślę, że ciebie uczyli Bodachani. Wyćwiczyli cię czy jakkolwiek to nazwiesz. Może nawet nauczyli cię mówić. I pewnie opowiedzieli ci o zmienianiu postaci, o tym, jak to się robi i że nie powinieś robić tego w blasku słońca, a przynajmniej nie tutaj, w Mythgarthrze.

– Świnie.

Zatrzymałem konia.

– Co powiedziałaś?

– Świnie. Czuję je.

– Są blisko? – Wyteżyłem wzrok, próbując zobaczyć coś w ciemności, i wyczułem bardziej niż zobaczyłem, że Gylf uniósł łeb, węsząc.

– Nie.

– To możemy jechać dalej – uznałem po jakiejś minucie. – Jeśli nie da się jechać przez ten teren nocą, to tym bardziej jest to niemożliwe w dzień.

Kiedy znaleźliśmy się na szczycie kolejnego wzgórza, Gylf rzucił:

– Lubię je.

– Świnie? – zapytałem pograżony we własnych myślach.

– Aelfy.

– To znaczy, że byli dla ciebie dobrzy. Cieszę się.

– Ty też.

– Ze mną nie było ci tak dobrze.

– Tylko raz.

– Na statku?

– W pieczarze.

Nic nie odpowiedziałem i jechałem dalej w milczeniu. W drzewach nad rzeką śpiewał słowik, a ja zastanawiałem się, dlaczego ptak, który wszędzie byłby mile widziany, wybrał Jotunland. Słuchając go, przypomniałem sobie,

jak wynosiłem się do chaty, żeby ci się nie plątać pod nogami. Wcale mi to nie przeszkadzało, a nawet lubiłem tam przebywać; gdy to pomyślałem, uzmysłowiłem sobie, że w Jotunlandzie też jest mi dobrze samemu. Ludzie są w porządku, a niektórzy nawet bardzo dobrzy, tyle tylko, że przebywając z nimi, człowiek nie widzi zamku Yalfathera.

Cieszyłem się też, że znowu jestem sam z Gylfem. Miał rację co do czasów spędzonych w lesie, a ja nie myślałem wtedy o tym zbyt dużo. Za to wciąż się zastanawiałem, w jaki sposób on się robi większy, i o tym, żeby pojechać na jego grzbiecie zamiast na koniu. Nawet mały był wielkim psem, ponieważ nie potrafił sprawić, żeby być już mniejszym. Gdyby mógł to zrobić, zmniejszyłby się do rozmiarów szczeniaka, jak miniaturowa ming toya pani Cohn. Wydawało mi się, że pies – taki duży jak Gylf – jest najlepszym przyjacielem, jakiego można mieć.

Zastanawiałem się, czyje towarzystwo wolałbym, jeśli nie Gylfa. Disiri, gdyby mnie kochała. A gdyby mnie nie kochała? Pewnie, była piękna, ale była też ostra i niebezpieczna. Nie będzie ze mną, aż znajdę Eterne, a może i wtedy też nie. Pomyślałem, że gdyby ona czuła to samo co ja, to nie odstępowałaby mnie ani na krok.

Albo Garsecg, tyle tylko, że Garsecg był tak naprawdę Setrem. Idnn byłaby wiecznym utrapieniem. Pouk nie byłby najgorszy. Pewnie wciąż by gadał, a ja musiałbym kazać mu się zamknąć, ale już wiedziałem, jak to zrobić.

Wreszcie doszedłem do Bertolda Śmiałego. Byłby idealny. Gdy tylko pomyślałem o Bertoldzie Śmiałym, od razu zatęskniłem za nim. Za czasów naszej znajomości nigdy nie był całkiem w porządku, ponieważ miał wgnieciony bok głowy. Zapominał o rzeczach, o których powinien pamiętać, i przeważnie chodził jak pijany. Lecz kiedy się z nim dużo przebywało, można było zobaczyć w nim człowieka, którym był kiedyś, siłacza, który mocował się z bykami i który wciąż zachował dużo ze swojej siły. Nigdy nie chodził do żadnej szkoły, ale uczyła go matka. Wiedział dużo o farmerce i

robotach leśnych, a także o Aelfach. Nigdy nie zapytałem go, co powinienem powiedzieć, kiedy wstawiałem się za nimi, a teraz już było za późno. Ale czułem, że on by wiedział. Tak, Bertold Śmiały byłby idealnym towarzyszem.

Cudownie byłoby też być z Ravdem. Dlaczego najlepsi ludzie, których spotykałem, musieli umrzeć? Przypomniałem sobie jego złamany miecz – jak go podniosłem, a potem położyłem z powrotem na ziemi i się rozpląkałem. I pomyślałem, że pieczara, w której znaleźliśmy złamany miecz Ravda, byłaby pewnie tą, którą Gylf miał na myśli. Wreszcie powiedziałem:

– Nigdy nie byliśmy w pieczarze poza tą, w której zbójcy trzymali swoje łupy, a i tam nie byliśmy długo. Chodziło ci o komorę linową? Tam było kiepsko.

– Tylko ja – wyjaśnił Gylf. – Ciebie tam nie było.

– W pieczarze Garsecga? Słyszałem coś o tym. Siedziałeś tam uwięzany na łańcuchu?

– Tak.

A zatem Garsecg uwiązał Gylfa na łańcuchu tak samo jak Angronici. Zastanawiałem się przez chwilę, dlaczego Gylf pozwolił im i jemu to zrobić, i doszedłem do wniosku, że nie chciał się przemieniać w to, czym jest naprawdę. Robił tak, kiedy musiał walczyć, lecz poza tym wolał dać się uwiązać, niż się przeobrazić.

– Jaskinia Garsecga prowadzi nas z powrotem do zmiany postaci – powiedziałem – a twoja postać się nie zmienia, a jedynie stajesz się większy. Garsecg powiedział mi kiedyś, że Aelfy potrafią wprawdzie zmieniać postać, lecz zawsze zachowują swoje rozmiary.

– To kiepsko.

– Och, myślę, że to nie jest najgorsze. Uri i Baki potrafią przyjąć postać latających istot. Chciałbym móc latać. Lecz jeśli jest to prawdą, to ty się tak nie zachowujesz. Mamy do czynienia z dwoma różnymi rzeczami, które wydają się być podobne.

Szukałem w myślach jakiejś analogii.

– Kiedy po raz pierwszy opuściłem pokład „Zachodniego Kupca”, otoczyły mnie te Duchy Wodne, Aelfy Morza. Bałem się, że utonę, lecz zapewniły mnie, że tak długo, jak długo jestem z nimi, nic mi się nie stanie.

Gylf uniósł łeb, wężąc.

– Później byłem już tylko z Garsecgim, ale i wtedy unosiłem się na wodzie. A potem zanurkowałem z stawie na wyspie Glas. Zanurzyłem się w głąb morza, morza Aelfów, i byłem tam sam, do momentu kiedy spotkałem Kulili, ale i wtedy się nie utopiłem.

– Widzisz ten żywopłot? – zapytał Gylf.

– Widzę długą ciemną linię – powiedziałem. – Zastanawiałem się, czy to jest mur.

– Ktoś tam się czai. Poluzowałem Łamimiecz w pochwie.

– Najlepiej zrobimy, udając, że nic nie zauważyliśmy. Kiedy znajdziemy się bliżej, przyjrzyj mu się z bliska.

– Dobrze.

– Chciałem powiedzieć, że Wodne Duchy potrafią pewnie strzec ludzi, którzy przebywają z nimi, lecz mnie pomagało coś innego. Coś, co zdobyłem, będąc po raz pierwszy w Aelfrice, i co na pozór wyglądało podobnie.

– Hu!

– A zatem ty nie zmieniasz się tak, jak to robią Aelfy. Disiri jest wysoka i szczupła, ale kiedy byliśmy sami – w pieczarze, gdzie cię nie było – nadała swojej postaci, no wiesz, krągłości. – Poczułem pieczenie na policzkach, kiedy o tym pomyślałem. – I to było przyjemne. Tyle tylko, że aby to zrobić, musiała stać się niższa. Czy w tym żywopłocie jest tylko jedna osoba?

– I borsuk.

– Ale jeden człowiek? Gylf węszył przez chwilę.

– Chyba tak.

– Opowiedziałem Garsecgowi o Disiri, o tym, że musiała być niższa, żeby

nabrać kształtów. Ale powinienem był pomyśleć o nim samym. Zamienił się w smoka o wiele większego od niego. Upodobił się też do mnie, a przecież jestem znacznie większy niż on. Czy ty potrafiłbyś się upodobnić do mnie?

– Nie.

– A czy teraz możesz stać się tak wielki, jak nieraz jesteś?

Gylf powiększył się. Jego oczy płonęły jak węgle, a z pyska wyrosły kły długie na dwie stopy. Z wnętrza żywopłotu dobiegł jęk strachu, dość cichy, lecz nie na tyle cichy, by go nie usłyszeć. Gylf popędził przed siebie, a ja za nim.

Ślepiec z siwą brodą

Kiedy dogoniłem Gylfa, znowu był taki jak zwykle. Najwyraźniej uznał, że zwykły ogromny pies wystarczy do zatrzymania staruszki. Odsunął się od niej na moje polecenie, podczas gdy ona leżała skulona na liściach pod żywopłotem, płacząc i dysząc.

– Spokojnie. – Zeskoczyłem na ziemię, przyklęknąłem przy niej i położyłem dłoń na jej ramieniu. – Uspokój się, matko. Gylf nie zrobi ci krzywdy, ja też nie.

Staruszka wciąż płakała. Coś ciemnego łączyło jej ręce, którymi zakryła twarz, i dopiero gdy tego dotknąłem, zorientowałem się, że jest to żelazny łańcuch, trochę dłuższy niż moje przedramię.

– Szkoda, że nie mam lampy – powiedziałem.

– Och, nie, sir! Tylko nie lampa! – Kobieta spojrzała na mnie przez palce. – Mój pan na pewno by nas zobaczył, sir, jakbyś zapalił lampę. Nie zrobisz tego, nie zrobisz?

– Nie. Zaczniemy od tego, że jej nie mam. Czy to twój pan założył ci łańcuch? Kim on jest?

– Tak, sir. On założył, sir. A ty jesteś jednym z tych rycerzy, sir, co? Jak ci tam na południu?

– Zgadza się.

– Jeszcze jako dziewczynka, sir, widywałam ich czasem, jak przyjeżdżali do wioski. Wielcy tak jak ty, na wielgachnych koniach. W żelaznych ubraniach. Ty też masz takie ubranie, sir? – Dotknęła dłonią mojego ramienia. – Ja nigdy nie miałam.

– Jesteś niewolnicą? – Kiedy to powiedziałem, w moim umyśle rozległo

się dziwne zawodzenie; zadrzałem, lecz jęk ucichł po chwili. – Pytałem o imię twojego pana. Czyją jesteś niewolnicą?

– Och, jego, sir. Nie jest dobry, sir, nie jak jego ojciec, ale widziałam gorszych, sir. Twardy, sir. Twardy. – Staruszka zachichotała. – Bardziej by mnie lubił, jakbym była młodsza, sir. Wiesz, jak to jest. Jego ojciec mnie lubił, sir, to znaczy Hymir. Ja go nie lubiałam, sir, bo był dwa razy większy od twojego konia, sir, ale był miłszy za to, że taki był, tylko ja nie wiedziałam, że jest miłszy, sir, i żałował, że nie jestem większa, sir, no wiesz, i ja się przekonałam później, a teraz jestem za stara, sir, no to Hyndle mnie zostawił. Kobita ma robić ciepłą robotę, tak mówią, sir, bo jak nie to głód i chłód. Tylko ja nie wiem, co gorsze.

– Hyndle to twój pan? Staruszka usiadła i skinęła głową.

– Tak, sir.

– Z tego, co o nim mówiłaś, wnioskuję, że jest Angronitą.

– Masz na myśli olbrzymy, sir? Mówią, że jest ich matką, sir.

– Jeśli uciekłaś od niego...

– Och, nie, sir! – Staruszka spojrzała na mnie przestraszona. – Gdzie tam, nie zrobiłabym tego. Gdzie tam, zdechłabym z głodu, sir, i nigdy bym nie wróciła do normalnych ludzi. A nawet jakbym uciekła, to tam bym zdechła z głodu, sir. Kto by chciał karmić taką staruchę?

– Ja, gdybym mógł – powiedziałem. – Ale masz rację. Nie mógłbym, a przynajmniej nie teraz. W takim razie co robisz tu w nocy, zamiast leżeć w domu w łóżku?

Staruszka zachichotała.

– Jesteś Aelfem? Przybrałaś tę postać, żeby sobie ze mnie zadrwić?

– Och, nie, sir!

– To dlaczego chodzisz tu po nocy?

– Nie uwierzysz, sir.

Gylf zaskomlał, a ja pogładziłem go po łbie, dając mu do zrozumienia, że zaraz pozwolę mu pobiec.

– Chodzi o mężczyznę, sir. Tak, o mężczyznę, a ja nie powinnam się śmiać. Jednak to kawał drogi, a ja jestem skonana robotą przez cały dzień. Gdybyś tak... gdybyś tak mnie podwiózł kawałeczek, sir, to bym ci dziękowała aż do mojej śmierci, sir.

Skinąłem głową, zastanawiając się.

– Chciałem powiedzieć, że jeśli uciekasz, to życzę ci dużo sił, ale nie mogę specjalnie pomóc. Muszę się dostać jak najszybciej do Utgardu. Nie chcę też obciążać bardziej tego konia, bo i tak już kuleje. Ale ty jesteś o wiele lżejsza niż ja, a moja zbroja waży połowę tego co ja. – Wstałem i pomogłem jej się podnieść; w blasku księżyca widać było wyraźnie, jak jest wychudzona i zabiedzona. – Tak więc posadzę cię na koniu.

Zapisała cicho, kiedy podsadziłem ją na bojowe siodło mojego białego ogiera.

– Tak będzie dobrze. Nie musisz siedzieć okrakiem i pewnie byś nawet nie mogła przez tę spódnicę. Siedz tak jak teraz i trzymaj się łęków. Poprowadzę konia, a on nie pobiegnie szybciej niż ja. Dokąd idziemy?

Pokazała wzdłuż żywopłotu.

– To bardzo długa droga, sir.

– Niemożliwe – powiedziałem, patrząc przed siebie. – Nie może być tak długa, skoro planowałaś przebyć ją tej nocy. Potem zamierzałaś wrócić do domu? I pójść spać?

– Tak, sir.

– W takim razie to nie może być daleko. – Ruszyłem truchtem, a nie robiłem tego od jakiegoś czasu.

– Nie boisz się, sir, że zgubisz psa?

Wyteżyłem wzrok, by spojrzeć na Gylfa, lecz zobaczyłem tylko, jak jego brązowy jak u foki zad i długi ogon znikają w cieniu oblanego światłem księżyca żywopłotu.

– Nie boję się, matko. Pobiegł do przodu, żeby wywęszyć niebezpieczeństwo. Sam kazałbym mu to zrobić, gdybym o tym pomyślał.

– No i króliki, sir. Z tego co widziałam, ma wielką paszczę.

– O tak, ale dzisiaj nie będzie ganiał za królikami. – Przebiegłem jakieś sto kroków w milczeniu i dalej maszerowałem. – Chyba jeszcze nie mówiłaś, w jakiej to sprawie szłaś, matko? Wspomniałaś coś o mężczyźnie.

– Tak, sir. – Powiedziała to bardzo smutnym głosem. – Powiesz, że zblizkowałam, skoro w tym wieku biegam za mężczyzną.

– Dla mnie istnieje tylko jedna dziewczyna – rzekłem – a ludzie uważają, że zblizkowałem z jej powodu. Tak więc wariatka dosiada rumaka rycerza wariata. My, dziwacy, musimy się trzymać razem i pomagać sobie nawzajem, bo inaczej przyjdzie nam wyć do księżycyca na bagnach.

– Opowiesz mi o niej, sir?

– Mógłbym o niej mówić bez końca, lecz jej tu nie ma, a twój mężczyzna jest. Albo będzie wkrótce, mam nadzieję. Dobry z niego człowiek? Wie, że przyjdiesz?

– Tak, sir. – Westchnęła. – Dobry. I wie, sir. Chcesz, żebym ci opowiedziała, jak to z nami jest, sir? Mnie by ulżyło, a ty możesz się śmiać, jak chcesz.

– Wolno ci – mruknął i znowu pobiegłem. – Tak, wolno mi się śmiać, ale raczej nie będę.

– To było lata temu, sir. Oboje mieszkaliśmy w małej wiosce na południu. Wszystkie dziewczyny łypały za nim oczami, ale on patrzy! tylko na mnie. Żadnej innej nie chciał. Tak powiedział, sir, i tak było.

– Wiem, jak to jest, matko.

– Niech wszyscy Overcyni cię za to błogosławią, i ją też. – Staruszka zamilkła, zatopiona we wspomnieniach.

– Zabrali mnie, sir. Giganci przyszli po kobiety, tak jak zwykle to robią w porze wędnienia liści, kiedy mogą się ruszać. No i mnie znaleźli. Hymir, sir, co był moim panem. I musiałam... musiałam robić, co mogłam i najczęściej cała w tym byłam, aż... aż urodził się Hemir, sir, co był moim synem. Tylko mistrz Hyndle go przepędził, bo by mi pomógł, na pewno. – Znowu zamilkła.

– Nie jest z niego urodziwy chłopak, sir, a ja to mówię, jego matka. Pociągający też nie, do tego zaczął mówić, dopiero jak był większy ode mnie. Ale dobry był. Sir, twoje serce nie jest większe od serca Hemira. Nie ma kobiety, co by miała lepszego syna.

– Dobrze wiedzieć.

– A jakże, i dla mnie dobrze. Nie zmęczyłeś się, sir? Ja mogę pójść, a ty pojedziesz.

– Nie zmęczyłem się. – Szczerze mówiąc, poczułem się bardzo dobrze, mogąc rozprostować nogi, a poza tym wiedziałem, że koń zasłużył na odpoczynek.

– Biegłeś już sporo, a przed nami jeszcze szmat drogi.

– Zamykam umysł. – Chciałem jej to wytłumaczyć, co nie było proste. – I myślę o morzu, o falach, które zalewają plażę, jedna po drugiej, bez przerwy. Te fale zamieniają się w moje kroki.

– Chyba rozumiem, sir. – Staruszka powiedziała to tak, jakby nie rozumiała.

– Unoszę się na nich. Ktoś kiedyś mnie tego nauczył, a może tylko mi o tym opowiadał i pozwolił morzu mnie tego nauczyć. To nie jest magia. Morze jest w każdym z nas. Ale większość ludzi nie czuje go w sobie. – Opowiadając o tym, pomyślałem o Garsegu i znowu zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie przyszedł do mnie w Mythgarthrze.

– Wtedy się otworzyłam, jak urodziłam Helmira. I wtedy mogliśmy, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Tak jak prawdziwa żona, sir, regularnie.

– Ty i ten Angronita, który cię porwał, matko? Ten Hymir?

– Tak, sir. Nie żebym tego chciała, sir. Za każdym razem okrutnie bolało. Ale on chciał, a co on powiedział, tak było. No i potem miałam Hełę, ale też ją przepędził. Mistrz nie powinien jej dotykać, bo była jego siostrą przyrodnią, i jeszcze ona... No, sir. Ty byś tak nie powiedział. Ma wielką szczękę tak jak oni wszyscy. I wielkie oczy, no wiesz. I policzki jak rogi cielaka, sir, jeśli wiesz, co mam na myśli. Za to miała dobrą skórę i płowe

włosy, takie jak ja miałam. To przez te złote włosy mój pan, co był jej ojcem, mnie wziął, sir. Powiedział mi o tym kiedyś, no i wyszło, że przyniosły mi pecha. Ale jakby były czarne albo brązowe, jak u większości kobiet, to by mnie pewnie zabił.

Żywopłot skończył się, lecz ścieżka biegła dalej, wijąc się pośród drzew i zarośli wzdłuż rzeki.

– Nieraz – wyszeptwała staruszka – nieraz żałowałam, że tego nie zrobił.

– Idziemy na spotkanie z twoim synem, Helmirem?

– Och, nie, sir. Nie wiem, gdzie on jest, sir. Idziemy do mężczyzny, o którym ci mówiłam, a którego miałam wtedy poślubić. Porwali go teraz, sir, dasz wiarę? Za to, że z nimi walczył, porwali, choć ma siwą brodę, uwierzysz? Mam... mam nadzieję, że twój koń go nie przestraszy. No, jego hałas.

Uśmiechnąłem się.

– Człapie nie głośniejsze niż inne konie, mam nadzieję, a ktoś, kto miał odwagę walczyć z Angronitami, nie przestraszy się żadnego konia. Poza tym ciebie zobaczy na jego grzbiecie, chyba że księżyc...

– Och, nie! Nie zobaczy, sir! To dlatego... dlatego myśli, sir, bo wiesz...

Staruszka zamilkła i jakby załkała, więc spojrzałem na nią.

– Co myśli?

– Że jestem taka sama jak wtedy, sir. Ty, sir, jesteś jeszcze młody.

– Wiem, matko. Młodszy niż się domyślasz.

– I pomyśleć, że on mnie widzi taką samą tam głęboko w sobie... Och, powiedziałam mu, sir. Nie mogłabym go okłamać. Tylko że kiedy mnie widzi w sobie taką – a tylko tak może mnie widzieć, sir...

– Jesteś znowu młoda. Dla niego.

– Tak, sir.

– Czasem sam chciałbym być znowu młody, matko. Na zewnątrz, jak i wewnątrz. Rozumiem, że jest ślepy?

– Tak, sir. Oni ich oślepiają, przeważnie. Mężczyzn. Chociaż są tak

wielcy, to boją się naszych mężczyzn. – Duma wyraźnie rozjaśniła oblicze staruszki. – No to ich oślepiają i jego też oślepili, chociaż jest już stary. On mnie widzi, sir...

Gylf wyłonił się z cienia, skamłąc.

Wypuściłem wodze i położyłem dłoń na jego ciepłym, wilgotnym łbie.

– Znalazłeś kogoś?

Gylf skinął łbem, co bardziej wyczułem niż zobaczyłem.

– Ktoś niebezpieczny? Potrząsnął łbem.

– Ślepiec z siwą brodą? Kolejne skinieniem łbem.

– Tam się spotykamy, sir – powiedziała staruszka z końskiego grzbietu. – Widzisz to duże drzewo na tle nieba? Na szczycie tamtego pagórka, tylko najpierw musimy przejść przez rzekę.

– Przejdziemy – odpowiedziałem.

Uwolnię was

Bród okazał się płytki, a spokojna woda sięgała nam zaledwie do kolan. Na drugim brzegu wytarłem nogi szmatą z torby przy siodle i z powrotem naciągnąłem pończochy i buty.

– Wiosną jest głębiej – wyjaśniła staruszka. – tylko w tym miejscu da się przejść na drugi brzeg. Pomożesz mi zsiąść, sir?

Wstałem.

– Na Wojennym Trakcie widziałem bród tak głęboki, że nie odważyliśmy się przejechać z obawy, że nas porwie prąd. – Ująłem kobietę w pasie i postawiłem na ziemi. – Musieliśmy prowadzić konie, trzymając strzemię drugiego, a woda kotłowała się strasznie wokół nas.

– Wiosną by wam się nie udało, sir. Tylko giganci mogą przejść na drugi brzeg.

Skinąłem głową.

– Stąd już pójdę pieszo, sir. Będę szła najszybciej jak potrafię, a ty idź za mną. Nie zostawisz mnie, prawda? Chcę, żebyś się z nim spotkał i... i porozmawiał.

– Nie zostawię cię – obiecałem jej. – Chcę porozmawiać z obojgiem was o drodze do Utgardu.

– Razem z koniem będziecie musieli poruszać się dość powoli, bo inaczej dojdziecie tam przede mną.

Skinąłem głową, patrząc, jak znika w ciemności nocy, i powiedziałem cicho:

– Lepiej poczekajmy z minutką albo dwie, Gylf.

– Jasne.

– Był tam tylko ten starzec?

– Tak. Dobry człowiek. – Gylf jakby się zawahał na moment. –
Pozwoliłem mu się pogłaskać.

– Silny?

– Nie tak jak ty – odpowiedział po chwili.

Gdzieś niedaleko w ciemności rozległ się chrapliwy głos:

– Gerda? Gerda?

– Jest blisko – mruknął Gylf.

– Na tyle blisko, że usłyszał kroki. A my usłyszeliśmy jego. – Chwyciłem
wodze kulejącego ogiera.

– Głodny jestem.

– Ja też – przyznałem. – Myślisz, że mogliby znaleźć dla nas jakieś
jedzenie? W takim domu giganta powinny być tony jedzenia.

– Tak.

– A gdzie jest ten dom? Widziałeś go?

– Po drugiej stronie wzgórza.

Zarzuciłem wodze na grzbiet konia i dosiadłem go.

– Powinny tam być owce, świnie i tym podobne zwierzęta. W najgorszym
razie ukradniemy jedno. – Trąciłem piętami boki ogiera, a on ruszył
kulejącym kłusem.

– Masz łuk?

Mój łuk i kołczan wisały z drugiej strony siodła; podniosłem je do góry.

– A czemu pytasz?

– Oślepiają ich – rzucił Gylf i pobiegł do przodu.

Wzgórze nie było strome. Zatrzymałem się na jego szczycie, żeby się
przyjrzeć domowi, który w ciemności wydawał się zbyt duży i zbyt prosty.

– Tutaj, sir – zawołała staruszka. – Pod drzewem.

– Wiem. – Zsiadłem z konia i poprowadziłem go w tamtą stronę.

– Pies już tu jest. – To był chrapliwy głos mężczyzny. – Miły pies.

– Tak, miły. – Dołączyłem do nich, pozwalając ogierowi, by wyskubał

sobie jakąś kolację w suchej trawie.

– Jestem rycerzem z zamku Sheerwall, ojczy. Nazywam się sir Able Wielkie Serce.

– Able – powtórzył starzec. – Miałem brata o takim imieniu. Skinąłem głową.

– To dobre imię, tak sądzę.

– A on się nazywa Bertold, sir – powiedziała Gerda. – W młodości wołali go Bertold Śmiały.

W małej plamie księżycowego blasku zobaczyłem, jak jego dłoń szuka jej ręki i zaciska się na niej.

Kiedy jestem prawdziwy

Oczywiście wtedy już wiedziałem, kim jest, i miałem ochotę go uściskać i się rozplakać, ale wiedziałem też, że nie uwierzy w to, kim ja jestem. A nawet gdyby, to znowu by uwierzył, że jestem jego zagubionym bratem. Nie umiałbym sobie z tym poradzić. Starając się zmienić głos, powiedziałem:

– Przeprowadziłem ci bezpiecznie Gerdę, bo tak jej obiecałem. Macie sobie wiele do powiedzenia, a ja mam pilną sprawę w Utgardzie. Jak tam się dostać?

– Jedź na północ – mruknął Bertold Śmiały. – Kieruj się na gwiazdę. Tylko tyle słyszałem.

– Sam nigdy tam nie byłeś?

– Nie, sir.

– Ani ja – wtrąciła Gerda.

– Na pewno słyszałeś jakieś opowieści.

– To złe miejsce, sir, nawet dla nich. Nie podoba mi się, że taki młodzieniec tam jedzie.

Bertold Śmiały wyciągnął przed siebie ręce, szukając mojej osoby.

– Czy mogę cię dotknąć? Z głosu jesteś podobny do mojego brata.

Dotknąłem jego dłoni.

– Większa niż moja. – Zacisnął dłoń na mojej ręce. – On to jeszcze młokos, ten mój brat.

– Teraz sobie przypominam Able'a – powiedziała Gerda. – Rzeczywiście, był mały, kiedy ty byłeś duży, ale teraz ma chyba tyle lat co my albo jakoś tak.

– Zabrali Able'a. Dawno, dawno temu. A kiedy wrócił, wcale nie był

starszy niż przedtem. To nie było w zeszłym roku, ale chyba w poprzednim.
– Bertold Śmiały zamilkł i poruszał niemo ustami, o czym świadczyła jego drgająca siwa broda. – Myślałem, że przyjdzie po mnie. Może próbuje. Młokos jeszcze. Ale urósł.

– Teraz też tu jest Able – przypomniała mu Gerda. Gylf pomachał ogonem, szeleszcząc cicho opadłymi sosnowymi igłami.

– Próbuję ją namówić, żeby ze mną uciekła, sir – wyjaśnił Bertold Śmiały – tylko że ona nie chce, a ja nie chcę bez niej. No to nie uciekniemy, żadne.

Skinąłem głową, choć Bertold Śmiały nie mógł tego zobaczyć i Gerda też chyba nie.

– Mówiła mi, że nie chce uciec.

– Tak, mówiłam, bo nie byłam pewna, czy ci mogę ufać, sir. Nie, żebym nie chciała. Chciałabym, gdyby nam się udało i by nas nie złapali. – Teraz mówiła do Bertolda Śmiałego. – Dlatego go przyprowadziłam. Jest rycerzem, prawdziwym rycerzem i się niczego nie boi. Pomoże nam.

– Ich nie obchodzą zwykli ludzie – wymamrotał Bertold Śmiały.

– Pomogę wam, jeśli będę mógł – powiedziałem – tylko nie ma sensu, żebyście szli ze mną do Utgardu, a ja muszę tam jechać, żeby uwolnić mojego sługę. – Westchnąłem, zastanawiając się, czy mi się to uda. – A także kobietę o imieniu Ulfa, która mi kiedyś pomogła. Pouk jest pewnie teraz ślepy, ale i tak muszę go uwolnić. Nie, teraz nawet bardziej niż przedtem. – Nie miałem zamiaru tego dodawać, lecz wymknęło mi się: – Was też muszę uwolnić, ciebie i Gerdę.

– Dziękuję ci! Och, dziękuję ci, sir.

– A potem muszę jeszcze pomóc pewnemu baronowi odzyskać skarby, które wioził dla króla Gillinga. Później poszukam może Svona i Orga. Svon to mój giermek, a Org... i tak nie zrozumiecie. Ale żałuję, że go tu nie ma, i Svona.

– Znajdę ich dla ciebie, jeśli chcesz, panie – odezwał się nowy głos gdzieś na wysokości mojego łokcia.

Gerda wydała zduszony okrzyk.

– Jeszcze nie teraz – powiedziałem do Uri. – Zastanawiałem się, gdzie się podziewacie.

– Rozganiałyśmy muły, ma się rozumieć. Gdyby nie my, to Angronici już by je wszystkie połapali.

– Jesteś cała czarna? – zwróciła się Gerda do Uri. – Ledwo cię widzę. Jakbym była ślepa albo prawie.

– Jestem Aelfem Ognia – wyjaśniła Uri, a cała jej postać rozjarzyła się niczym rozgrzany do czerwoności pogrzebacz.

– Przyszedł nas dręczyć? – wymamrotał Bertold Śmiały. – No cóż, nie staraj się zbytnio.

– Wykonuję rozkazy mojego pana – odpowiedziała mu Uri. – Ale jeśli chcesz być dręczony, to w wolnej chwili spróbuję poszukać kogoś, kto się tym zajmie.

Bertold Śmiały chwycił ją za kark błyskawicznym ruchem.

– No. Mam ją, sir Able.

– Puść ją, proszę. Ona nie jest moim wrogiem ani twoim. Bertold Śmiały poszukał dłonią ramienia Uri i puścił jej kark.

– Jest niewyraźna w dotyku. Zawsze tacy są.

– Tutaj wydają się mniej prawdziwi niż my, tak samo jak my wydajemy się bardziej prawdziwi w Aelfrice niż tutaj. – Targany wątpliwościami mówiłem dalej. – Uri i Baki – Baki to inna panna Aelfów – gasną i słabną w blasku naszego słońca.

– Nie każesz mu mnie puścić, panie? – powiedziała Uri. – Co ja takiego zrobiłam tobie albo jemu, co by nie było dobre?

– Puść ją, Bertoldzie – mruknęła Gerda i klepnęła go po dłoni, lecz on jej nie usłuchał.

– Kiedyś podniosłaś mnie do góry i poleciałaś ze mną – odpowiedziałem Uri. – Ty, Baki i inne wasze przyjaciółki. – Zastanawiałem się przez chwilę. – Chyba nie powinnaś była zadawać mi tego pytania.

– W takim razie powiedzmy, że go nie zadałam.

– Trochę za późno. – Potarłem podbródek. – Uri, czy w Aelfrice byłem bardziej prawdziwy niż ty i Baki? Garsecg twierdził, że tak.

Gerda zachichotała nerwowo.

– To są pytania dla filozofów, panie.

– Obie z Baki odwiedzałyście mnie tutaj wielokrotnie. Dlaczego Garsecg nie przychodzi tu do mnie tak jak wy?

– Złe juchy, sir Able – powiedział Bertold Śmiały. – Nie ufaj im!

– Już im zaufałem. – Westchnąłem. – I to nieraz. Uri, dlaczego Garsecg tu nie przychodzi?

– Już o to pytałeś, panie. Zapytaj Garsecga.

– Nie muszę, bo znam odpowiedź. Ty też. Dlaczego tego nie powiesz? – Udawałem, że w ogóle się wcześniej nad tym nie zastanawiałem.

Uri milczała. Jej wewnętrzny żar zgasł, tak że przez chwilę wydawało się, że Bertold Śmiały trzyma pustą ciemność.

– W porządku, przejdźmy do kolejnego pytania. Tym razem nie powiesz mi, że już o to pytałem. Skoro wy, Aelfy, możecie zawsze walczyć w Aelfrice, a mieszkają was tam setki tysięcy...

– Nie możemy walczyć tak jak ty, panie.

– Dlaczego Garsecg chce, żebym walczył w jego imieniu z Kulili? Nie dała jej rady cała armia Aelfów. A mimo to Garsecg, który boi się tu przyjść i porozmawiać ze mną, chce, żebym z nią walczył. Czy to nie dziwne?

– Czy wolno mi mówić swobodnie?

– Pewnie – odparłem.

– To są wzniosłe sprawy. Nie jest dobrze, gdy się mówi o nich w obecności osób mało znaczących.

– Masz na myśli Gerdę i jej przyjaciela?

– Tak, panie.

– Nie zgadzam się z tym, że są mało znaczącymi osobami, Uri. Ale żeby ci oszczędzić przykrości, powiem tylko jedno, a potem porozmawiamy o

czymś innym. Otóż Garsecg przybył tu do Mythgarthru. Przyszedł, kiedy byłem ranny, i rozmawiał ze mną trochę na pokładzie „Zachodniego Kupca”. Potem zjawiał się ponownie, kiedy byliśmy na wieży Głas. Czy ja obiecałem, że powiem jeszcze tylko jedno? Tylko jedno?

– Tak, panie.

– To nie była obietnica – wtrąciła Gerda.

– Jeśli nawet była, to nie zamierzam jej dotrzymać – powiedziałem do niej – ponieważ zamierzam powiedzieć Uri, że Garsecg nie wyglądał prawdziwie w obu miejscach. Wyglądał jak cienkie niebieskie szkło, nawet w blasku gwiazd. Czy to wystarczy, Uri?

– W zupełności, panie.

– Czy teraz rozumiesz, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania, które ci zadałem?

– Tak, panie. Jestem twoją niewolnicą, panie. Twoją pokorną czcicielką.

– Powiesz Garsecgowi, kiedy wrócicie do Aelfrice. Chyba spotykacie się tam z nim, żeby mu zdać raport na mój temat?

– Panie, nie mam wyboru! Wzruszyłem ramionami.

– Gdzie jest Baki?

Jeszcze rozgania muły, panie – odpowiedziała Uri z wyraźną ulgą. – Angronici jeszcze wszystkich nie połapali. Baki straszy je na różne sposoby, tak jak ja, kiedy jeszcze było ich więcej do rozpędzenia. Żeby zmylić Angronitów, przybierałyśmy nawet postaci osłów.

– A co ona robi, jak już wszystkie muły zostaną złapane?

– Przybędzie tutaj, panie, i nas poinformuje.

– To dobrze. Bertoldzie Śmiały, czy tam od północy widać dom twojego pana?

– Pewnie tak, bo innego nie ma w okolicy.

– Tak, sir – dodała Gerda. – Bymir się nazywa. Nie ma surowszego pana.

– Czy ten Bymir nie trzyma bydła? Nie widziałem żadnej obory. Bertold Śmiały zarechotał.

– Oczy nie widzą wszystkiego, panie rycerzu. Szopa dla krów i stajnia są z drugiej strony domu. Dom jest duży, a krowy małe.

– Rozumiem. A kto je doi?

– Ja, sir.

– To dobrze. Obaj z Gylfem jesteśmy zmęczeni i głodni. Mój koń także. Prześpimy się w stajni. Nie mów nic swojemu panu.

– Nie, sir.

– Pójdziemy już i weźmiemy ze sobą Uri. Kiedy wrócisz do domu, znajdź jakieś jedzenie dla nas. Możesz to zrobić?

– Mogę, sir. I zrobię.

– Dzięki. Odejdziemy stąd rano i nie zabierzemy niczego innego, i nie wyrządzimy żadnych szkód.

– A co z nami, sir? – zapytała Gerda.

– Muszę jechać do Utgardu po Pouka i Ulfę. Mówiłem ci o tym. Kiedy już ich uwolnię, będziemy wracać tędy i zabierzemy was ze sobą na południe.

– Dobry z ciebie człowiek! Od razu wiedziałam, jak zobaczyłem z tobą tę staruszkę.

– Nie mam czym zapłacić – mruknął Bertold Śmiały. – Chciałbym, ale nie mam.

– Zapłacisz jedzeniem z kuchni twojego pana. – Nie zrozumiałem słów Gerdy, lecz postanowiłem je zignorować. – Puść już Uri.

Bertold Śmiały posłuchał mnie, a Uri przeskoczyła z cienia sosny w blask księżycyca.

– Dziękuję ci, panie!

– Nie ma za co. Idź i obejrzyj gospodarstwo, zanim tam pójdziemy. A potem wróć i opowiedz, co widziałaś.

Podczas naszej rozmowy kulawy ogier odszedł dość daleko w dół zbocza, lecz Gylf zatrzymał go bez trudu. Kiedy oddaliliśmy się od wierzchołka wzgórza (i jakieś pół mili od niezdarnego gospodarstwa), powiedział:

– Kiedy jestem prawdziwy? Odpowiedziałem, że nie rozumiem.

– Opowiadałeś o Garsecgu. Mówiłeś, że tutaj nie jest prawdziwy.

– To niezupełnie tak. – Zastanawiałem się przez chwilę, co powinienem powiedzieć. – Pamiętasz tamtego mężczyznę ze skrzydłami?

– Jasne!

– Podobał ci się?

– I to jak!

– To może zauważyłeś, że kłoda, na której siedział, nie wydawała się tak równie prawdziwa jak on. Ani staw czy lasy. Nie można powiedzieć, że nie były prawdziwe, ale nie można też powiedzieć, że się zmieniły. Mythgarthr się nie zmienił, lecz on był bardziej prawdziwy niż Mythgarthr czy cokolwiek w nim. Kiedy Uri i Baki przychodzą tutaj z Aelfrice, wydają się równie prawdziwe jak my. A nie są. Widać to w blasku słońca. Kiedy Garsecg przybył tutaj, dało się to zauważyć nawet w nocy.

Gylf biegł w milczeniu przez jakąś minutę, a potem zapytał:

– Czy ze mną jest teraz tak samo? Czy też wtedy, kiedy walczyliśmy?

– Nie wiem. Teraz rozumiem to wszystko o wiele lepiej niż przedtem, ale wciąż nie rozumiem wszystkiego. Może nigdy nie zrozumiem.

– Czy ja wydaję się bardziej prawdziwy w tej postaci? Czy też kiedy walczę?

– Może w jednej i w drugiej jesteś prawdziwy. Wiem, że chciałbyś porozmawiać o sobie, ale ja chcę porozmawiać o Garsecgu, ponieważ cię nie rozumiem i nigdy nie rozumiałem. Za to jego chyba zaczynam rozumieć coraz lepiej. Ty go sprowadziłeś, żeby mnie uleczył. Polubiłeś go?

– Nie. Nie za bardzo. Ale mówili, że on może ci pomóc.

– Powiedział, że to nie on, że morze mnie uleczyło. Za to później, kiedy zostałem ranny w Sheerwall, Baki to zrobiła. Nie było cię tam wtedy.

– Nie było.

– Ugryzłem ją i napiłem się jej krwi. Wiem, że to brzmi okropnie, kiedy mówię o tym tak po prostu.

– Nie dla mnie – oświadczył Gylf.

– Ale dla mnie. Tylko że to wcale nie było straszne. Raczej przyjemne, a ja potem lepiej rozumiałem Aelfy. Może Garsecg nie mógłby przychodzić tu na górę, gdyby jego ojciec nie był człowiekiem. Czy to duchy wodne kazały ci odnaleźć Garsecga? Pewnie tak.

– Zgadza się.

– Może one gryzły jego, kiedy były ranne. Opowiadałem ci kiedyś o smoku? To znaczy o Garsecgu, który się zamienił w smoka?

Gylf spojrział na mnie zdziwiony.

– Ojej!

– Tak, mnie też poraziło. Ale kiedy miałem czas, żeby się nad tym lepiej zastanowić, co było możliwe dopiero po naszym rozstaniu, jeszcze bardziej mnie zaskoczyło. Szliśmy w górę bardzo wąskimi schodami, a Khimairy atakowały z góry, żeby nas z nich zrzucić. Uri, Baki i cała banda.

Gylf chrząknął, by pokazać, że rozumie powagę tamtej sytuacji.

– Smoki potrafią latać. Widziałem je w Sheerwall na obrazach, jednego na takiej haftowanej zasłonie ściennej, a drugiego na dużej karafce, z której książę Marder popijał przy obiedzie. Miały skrzydła, oba.

– Uhu.

– A poza tym ja wiem, że Setr potrafi latać. Widziałem, jak to robił. Skoro więc Garsecg potrafi się zamieniać w smoka, co też uczynił, to dlaczego nie miałyby to być duży smok ze skrzydłami? Mógłby przegonić Khimairy. Ty nie potrafisz się tak przemieniać, prawda? Potrafisz tylko być większy i bardziej zaciekły, tak jak widziałem?

– Tak. – Gylf zatrzymał się z podniesioną przednią łapą i skierował nos w kierunku ogromnego domu z surowych desek o spiczastym dachu, do którego zmierzaliśmy. – Może powinniśmy go obejść.

Zastanawiałem się przez chwilę, a potem potrząsnąłem głową.

Gubisz się w czasie

W stajni panowała nieprzenikniona ciemność, lecz Gylf wywęszył ziarno dla mojego ogiera, a ogier bardzo szybko znalazł koryto z wodą. Rozsiodłałem go i gdy szukałem miejsca, gdzie bym mógł złożyć juki, siodło i uzdę, wpadłem na drabinę prowadzącą na strych. Tam blask księżyca wciskał się szczelinami, tak że po oślepiającej ciemności na dole tutaj wydawało się tak jasno, że można by czytać. Zrzuciłem na dół widiami z pół fury siana dla Gylfa i ogiera, a potem ściągnąłem buty i zasnąłem, gdy tylko się położyłem.

Obudził mnie grzmot pioruna – grzmot, błyskawica i zacinający deszcz, który lał się przez wszystkie szczeliny stodoły. Usiadłem przestraszony i zdezorientowany, a gdy rozbłysła kolejna błyskawica, zobaczyłem, że mam przed sobą paskudną gębę Giganta Mrozu, jaką widziałem przed laty w pobliżu rzeki Gryf – olbrzyma, którego twarz i ogromna postać kazały mi pobiec z powrotem do Bertolda Śmiałego, by go ostrzec.

– Myślałeś, że nie zauważę śladów konia.

Gigant mówił głosem głębokim i szorstkim, który zabrzmiałby już przerażająco, gdyby go usłyszeć znienacka w pogodny letni dzień. Grzmot nieco go zagłuszył.

– Myślałeś, że deszcz je rozmyje?

Potrząsnąłem głową, ziewnąłem i się przeciągnąłem. Chciał pogadać przed walką, a mnie to odpowiadało.

– Nie wiedziałem, że będzie padać, i nie zamierzałem ukrywać przed tobą śladów po moim koniu. Czemu miałbym to robić?

– Zakradłeś się. Chowales.

– Wcale nie. – Wstałem i otrzepałem się z siana, w którym spałem, zastanawiając się przez cały czas, gdzie jest Gylf. – Chodzi ci o to, że przyjechałem późno. Mam pilną sprawę do króla Gillinga, więc jechałem bez wytchnienia. Gdybyś nie spał, poprosiłbym cię o jedzenie i nocleg, ale nie widziałem światła w domu. Przyszedłem więc tutaj i się rozgościłem. Zaprosisz mnie na śniadanie?

Znowu mignęła błyskawica, a ja uzmysłowiłem sobie z jakąś chorą ulgą, że jego głowa nie jest odcięta i nie stoi przede mną na podłodze, a tkwi w wejściu na strych.

– Rycerz, co?

– Zgadza się. Sir Able Wielkie Serce. Zaskarbiłeś sobie moją wdzięczność swoją gościnnością.

W świetle kolejnej błyskawicy dostrzegłem zbliżającą się rękę. Wyciągnąłem Łamimiecz i przeciąłem ciemność w miejscu, gdzie widziałem rękę; rozległ się obrzydliwy trzask łamanej kości, a zaraz potem ryk bólu. Zatrzęsła się cała stajnia, kiedy gigant runął na ziemię. Przez krótką chwilę słychać było dudnienie jego stóp na tle bębniącego deszczu. Gdzieś dalej trzasnęły drzwi. Opatrzy sobie rękę, pomyślałem, i może przyniesie jakąś broń; zastanawiałem się też, czy zawarł drzwi od wewnątrz, czy tylko nimi trzasnął. Nie, uznałem, gdy zszedłem na dół po drabinie; pozostało więc drugie pytanie. Czy go pokonam? Bertold Śmiały był na zewnątrz, między domem i stajnią, sprawdzając kijem drogę przed sobą w strugach deszczu i przyciskając do piersi jakieś zawiniątko.

– Tu jestem! – zawołałem i podbiegłem do niego całkowicie przemoczony; wiatr ściał mnie prawie z nóg, gdy tylko wybiegłem ze stajni.

Znalazł mnie kij Bertolda Śmiałego, a on sam próbował wcisnąć mi swoje zawiniątko.

– Szukałem cię wczorajszej nocy, ale cię tam nie było. Mówiłeś, że będziesz w stajni, ale macałem wszędzie i wołałem, ale cię nie znalazłem.

– Byłem na strychu na sianie. – Poczuję się zawstydzony. – Powinienem

był o tym pomyśleć. Przepraszam.

Zacisnął dłoń na moim ramieniu.

– Ranieś mojego pana?

– Próbowałem. Chyba złamałem mu kość ręki.

– W takim razie musisz uciekać. – Błyskawica oświetliła wykrzywioną twarz Bertolda Śmiałego i jego puste oczodoły, w których kiedyś były jego brązowe oczy.

– Czy to on cię oślepił?

– Nieważne. Zabije cię!

– Ważne. On to zrobił?

– Wszyscy oni tak robią. – Jego głos drżał z niepokoju. – Musisz uciekać. Natychmiast!

– Nie. Wpuść mnie do domu. Najlepiej do kuchni. Znalazłem tam kilka noży, lecz były niewiele większe niż mój sztylet i nadawały się dla staruszki, która służyła u Bymira, a nie dla niego samego.

– Nadchodzi! – zawołała jedna z kobiet, podczas gdy ja przeglądałem zawartość szuflady. Zdesperowany, chwyciłem szpikulec na tyle duży, że można by na nim upiec wołu na ruszcie. Z jednego końca był wygięty, z drugiego zaś bardzo ostry, tak by przebił mięso. Wsadziłem ostry koniec w rozżarzone węgle i czekałem na burzę, czując w żyłach pędzące fale.

Kiedy Bymir wtoczył się wreszcie przez drzwi, jego krocze znalazło się na wysokości moich oczu, a wtedy wbiłem w nie ostre narzędzie.

Zaraz potem zgiął się wpół, ja zaś wbiłem mu szpikulec w gardło.

Gdybym nie uskoczył na bok, przewróciłby się na mnie. Gdy wyciągnąłem ostrze, zobaczyłem, że upadając, olbrzym zgiął go nieco, więc wyprostowałem szpikulec na kolanie.

– Czy to on? – wyrzucił z siebie Bertold Śmiały. – Czy to on upadł?

Kobiety (były trzy, wszystkie wychudzone i zaniedbane) zapewniły go, że to był Bymir. Chwyciłem giganta za lewy but i wyprostowałem jego nogę.

– Teraz, kiedy leży, nie wydaje się już taki wielki.

– Popatrz na krew – wyszeptała jedna z kobiet. – Nie pośliznij się, sir.

– Będę uważał. – Starannie unikałem kipiącej masy ze względu na buty, choć miałem ochotę przydepnąć paskudne małe stworzenia, które w niej pływały. – Cztery i pół kroku. Powiedzmy, że jard na każdy krok, a zatem ma jakieś trzynaście i pół stóp wzrostu, coś koło tego. Zapamiętam.

Odwróciłem się do Bertolda Śmiałego i położyłem dłoń na jego ramieniu.

– Tak jak mówiłem wczoraj, muszę się udać do Utgardu, ale wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe. Ty tymczasem zajmij się z kobietami jego ciałem. Potnijcie je na kawałki i pozbądźcie się go w jakiś sensowny sposób. Jeśli inni Angronicy będą pytać...

– Tak, chłopcze. O co chodzi?

– Wiatr. Wieje w kominie.

Gdy to powiedziałem, dziki północny wiatr zajęczał głośniej, jakby mnie usłyszał.

– Przy takiej burzy? To duży komin, sir, i wiatr zawsze w nim hula.

– Muszę jechać. Zdaje się, że Gylf już wyruszył. Pognał za stadem Valfathera, chociaż nie słyszałem ich tej nocy. Czy mój koń jest jeszcze w stajni?

– Tak myślę, sir. Był tam, kiedy cię szukałem. Siodło też tam jest. – Wrócę tak szybko... jak szybko wrócę. – Chwyciłem szmaciane zawiniątko, które Bertold Śmiały wciąż trzymał w rękach, wsunąłem je sobie pod pachę i wybiegłem w deszcz.

Najbliższy las, z tego, co się orientowałem, był tym, w którym spotkali się Gerda i Bertold Śmiały; pamiętałem, że był po przeciwnej stronie domu niż stajnia. Spiałem ogiera ostrogami, starając się, aby wiatr wiał z mojej lewej strony, i popędziłem, rozbryzgując wodę i błoto.

Kiedy w blasku błyskawicy zobaczyłem porośnięte mchem pnie drzew, zawołałem na Disiri. Nie odpowiedziała, ale deszcz przestał padać.

Nie to, że zelżał, lecz całkiem przestał padać. Już nie migały błyskawice, nie dudniły grzmoty, a z liści nad moją głowę nie spadały lodowate krople,

nawet kiedy je dotykałem ręką. Pozostała ciemność, lecz była to ciemność bardziej zielona niż czarna. Gdzieś w oddali zawył wilk.

Przejechałem na drugi brzeg srebrzystego, szemrzącego strumienia, który nigdy nie był niedużą rzeką Jotunlandu. Nie wzeszło żadne słońce, nie świeciły gwiazdy, a mimo to zielona ciemność zdawała się rzednąć. Wprawdzie powietrze dokoła trwało nieruchome z wyjątkiem miejsc, w których mącił je mój oddech, a jednak w konarach drzew rozległo się westchnie wiatru, który nucił tysiące imion.

Pośród nich także oba moje.

Zatrzymałem konia, żeby posłuchać, i stanąłem w strzemionach, aby znaleźć się bliżej głosu.

– Walewein, Wace, Yortigern, Kyot...

Imiona, które słyszałem, także moje, nigdy się nie powtarzały.

– Yvain, Gottfried, Eilhart, Palamedes, Duach, Tristan, Albrecht, Caradoc...

Zorientowałem się, że ktoś biegnie w moją stronę – biegł, potykał się i znowu biegł. Usłyszałem urywany oddech i szloch, zanim jeszcze liście się rozchyliły, i zobaczyłem kilkunastoletniego przestraszonego chłopca w podartym ubraniu, który padł na ziemię i przywarł do moich butów.

– Kim jesteś? – zapytałem.

Chłopiec poruszał ustami, lecz wydobywał się z nich tylko szloch.

– Strasznie jesteś brudny i chyba mocno przestraszony. Ktoś cię goni?

Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy, nie przestając szlochać.

– To jest Aelfrice, prawda? – Zamilkłem na chwilę i się rozejrzałem. – Musi być, lecz jeśli to jest twoja naturalna postać, to nie jesteś Aelfem. Dlaczego biegłeś?

Chłopiec znowu potrząsnął głową, pokazując na usta.

– Głodny jesteś?

Skinął głową i wydało mi się, że zauważyłem błysk nadziei w jego spojrzeniu.

– Ja nie... zaraz.

W zawiniątku Bertolda Śmiałego był spory bochen praśnego chleba i kawałek sera. Przełamałem bochenek na dwie części i oderwałem kawałek sera, po czym dałem chłopcu mniejsze części. Ser był dobry, a chleb świeży.

– Uprzejmie jest prowadzić rozmowę podczas posiłku – powiedziałem do chłopca, kiedy przełknąłem pierwszy kęs. – Kiedy byłem mały, obaj z bratem po prostu rzucaliśmy się na jedzenie, ale na zamku księcia Mardera inaczej się jada. Wypada porozmawiać przy stole o pogodzie, o polowaniu albo o nowym koniu.

Chłopiec potrząsnął głową i pokazał na swoje usta tak jak przedtem.

– Nie możesz mówić? Przytaknął mi. Zsiadłem z konia.

– Połknij ten ser i otwórz usta. Chcę zobaczyć. Posłuchał mnie.

– Masz język. Myślałem, że może ktoś ci go obciął. Potrząsnął głową.

– Lord Beel powiedział mi kiedyś, że jeśli smagniesz kogoś po twarzy oczarem, zobaczysz jego prawdziwą postać. Może to by zadziałało w twoim przypadku, tylko że nie rośnie tu nigdzie oczar. Czy to twoja prawdziwa postać?

Skinął głową.

– Urodziłeś się już taki? Potrząsnął głową.

– Wiesz co, wydajesz mi się znajomy. – Rzeczywiście tak było; próbowałem sobie przypomnieć chłopca, którego Modguda posłała po Pouka.

– Jak się dostałeś do Aelfrice?

Pokazał na mnie.

– Ja cię tu przyprowadziłem? Przytaknął mi, nie przestając płakać.

– Teraz? – Skończyłem ser, zastanawiając się. – Szedłeś za mną z gospodarstwa Bymira?

Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy.

– Ale cię tu przyprowadziłem?

Skinął głową.

Strzeliłem palcami.

– Toug!

Chłopiec przytaknął mi gorliwie.

– Byłem tu z tobą – lata temu. Nie wydaje się, że tyle czasu upłynęło, ale tak chyba jest. Jak długo tu jesteś?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że tak tu się zawsze dzieje. Gubisz się w czasie. Może tu w ogóle nie istnieje coś takiego jak czas. Sprawdźmy to. Królowa Disiri zabrała cię ze sobą?

Toug kiwnął głową, wyraźnie przestraszony.

– Powiedziała wtedy, że ma ci coś do powiedzenia czy też chciała cię o coś zapytać. Odeszliście razem i nigdy nie wróciliście.

Toug pokręcił głową.

– Wróciłeś? Kiedy?

Toug skierował palec w ziemię przy swoich stopach.

– Teraz. Skinął głową.

– Zostawiłeś ją? Kolejne skinięcie.

– Możesz mnie zaprowadzić w tamto miejsce? Jeszcze raz skinął głową.

Pokazał na ogiera i spojrzał na niego pytająco.

– Masz rację. Na koniu będzie szybciej, nawet w lesie. Pomogłem mu wgramolić się na siodło i usiadłem za nim.

– Trzymaj się łąków. W którą stronę? Nie będziemy jechali zbyt szybko.

Chłopiec pokazał ręką kierunek, wciąż płacząc; ścisnąłem boki ogiera pożyczonymi ostrogami.

W grocie gryfa

Zmierch zastał nas w górach, gdzie rozbiliśmy obóz nad wartkim strumieniem.

– To nie jest Aelfrice. – Powtórzyłem to, co powiedziałem już wcześniej, a on przytaknął mi z ponurą miną, tak jak poprzednio.

– To chyba w tym wąwozie następowała zmiana. Jeden jego koniec znajduje się w Aelfrice, a drugi tutaj. Dla nas. Przynajmniej dzisiaj.

W każdym razie tak mi się wydaje. Byłem już wcześniej w takich górach jak te, choć nie widziałem Traktu Wojennego. Czy gdzieś tutaj rozstałeś się z Disiri?

Toug wstał i zaczął iść, a potem pokazał ręką i dał znak, żebym podążył za nim. Zerknąłem niepewnie na spętanego ogiera, lecz poszedłem za nim.

Kiedy dotarliśmy do rzeźbionego kamienia, z którego wypływał strumień, zapadł już zmierzch. Woda wypływała z dużej pieczary, jak początkowo sądziłem, przykrytej nawisem, wygiętym w dół dachem, tak że długa, gładka powierzchnia, po której spływała, przypominał portyk. Dopiero kiedy wróciłem do naszego ogniska i wziąłem z niego dwa palące się patyki, zobaczyłem orle oczy i spiczaste uszy. Miałem wejść do środka, ponaglany uśmiechem i gestami Touga.

– W środku czai się niebezpieczeństwo!

Odwróciłem się, lecz nie dojrzałem nigdzie w ciemności osoby, która wypowiedziała te słowa.

– Kiedyś to był mój dom.

Głos był niski, powolny i sepleniący; byłem przekonany, że nie należy do człowieka. Pomachałem patykami, żeby rozdmuchać płomienie. Coś

ogromnego przywarło do skalnej ściany, coś upiornie białego, co na pewno nie było człowiekiem.

– Sama siła na nic się nie zda przeciwko Grengarmowi – oświadczył dudniący głos – dopóki nie weźmiesz do ręki Eterne. Co uczynisz. Zręczność też nie wystarczy, gdy już go zdobędziesz.

Biała postać na klifowej ścianie rozpostarła skrzydła, każde większe niż namiot Beela, i wzbiła się w powietrze. Wokół jej skrzydeł migotały błyskawice, a wiatr wzniecony siłą skrzydeł wyrwał mi z dłoni patyki i rzucił Touga na ziemię, wpychając go niemal do rwącej wody. Na kilka sekund, które zdawały się minutami, upiorna postać zasłoniła księżyc, a potem znikła.

Pomogłem Tougowi wstać i chwyciłem go za ramiona.

– Nie ma tu Disiri, prawda?

Nie potrafił mi odpowiedzieć, a jeśli nawet skinął głową czy też nią potrząsnął, to i tak tego nie widziałem w ciemności.

– Posłuchaj – powiedziałem – dobrze mnie posłuchaj. Chciałem, żebyś zaprowadził mnie do Disiri, a nie tutaj. Ona mówiła o tym mieczu – że zdobędzie go dla mnie. Z tego też powodu nie noszę innego miecza. Nie chciałem innego. Żadnego kompromisu. Pragnąłem mieć Eterne, miecz, który mi obiecała. Ale teraz już tego nie chcę. Jej pragnę.

Toug zaczął płakać, a ja opuściłem go na ziemię, zorientowawszy się, że potrząsam nim gwałtownie.

– Tylko jej pragnę. – Trąciłem Touga czubkiem buta, by się upewnić, że mnie rozumie. – Możesz tu poczekać, jeśli chcesz, fa wracam do ogniska.

Trzymał się mnie mocno przez całą drogę. Kiedy wróciliśmy do ognia i dorzuciłem do niego całe drewno, które uzbieraliśmy, powiedziałem:

– Boisz się tej istoty, która mówiła do nas. Ja też. Co to jest? Patrzył przed siebie niemo.

– Gryf? Skinął głową.

– Widziałeś go już pewnie wcześniej, kiedy byłeś tutaj z Disiri. Mówią, że one już nie istnieją, a niektórzy twierdzą nawet, że nigdy nie istniały.

Rozsądni ludzie nigdy nie wierzą w podobne rzeczy. – Po chwili dodałem cicho, jakbym mówił do siebie: – Oczywiście ogry też niby nie istnieją, ale Org jest bardzo prawdziwy. Boisz się pewnie, że gryf cię zje.

Toug skinął głową.

– Albo smok, bo jest tu smok. To właśnie powiedział gryf. Grengarm – to smok, który ma mój miecz. Jego też widziałeś?

Touk pokręcił przecząco głową.

– I nie zobaczysz. Udajemy się do Utgardu. Tam jest twoja siostra i musimy ją stamtąd wydostać. Nie masz koca.

Skinął głową niemrawo.

– Weź derkę z siodła, ale dołóż porządnie do ognia, zanim się położysz.

Podczas gdy Toug zbierał suche, niezbyt liczne gałęzie, ja wyjąłem z torby swoje legowisko i się położyłem.

– Gdybyś się zdecydował wracać samotnie do Glennidam, to szczęśliwej podróży – powiedziałem. – Mam nadzieję, że będziesz miał wesołą podróż. Ale jeśli zabierzesz coś mojego, to cię dostanę. Jeśli nie dopadną cię Ludzie Gór, to na pewno ja cię dostanę. Zapamiętaj sobie.

Śniło mi się, że jestem chłopcem, jakim nie byłem wcześniej, który biega po łąkach z innymi chłopcami. Schwytaliśmy w sidła królika, a ja płakałem z powodu jego śmierci, a także jakiegoś bezbrzeżnego smutku, który się zbliżał, a który tylko wyczuwałem. Odarliśmy ze skóry królika i oczyściliśmy, a potem upiekliśmy go na niewielkim ogniskiem. Zakrztusiłem się kęsem, upadłem nieprzytomny w ogień i zginąłem. Wcześniej chciałem zachować kości dla psa, lecz już nie żyłem, a mój pies dołączył do sfory Dzikich Łowów; parujące królicze mięso paliło się w moim gardle.

Obudziłem się w ciemności, która jednak nie była aż tak ciemna, jak powinna być ciemna noc pozbawiona blasku księżyca. Toug siedział, popłakując, po drugiej stronie ogniska, które mocno przygasło, choć wokół leżały podpalone kawały drewna.

Wstałem, pozbierałem je i dorzuciłem do ognia.

– Czego się boisz? – zapytałem, a kiedy nie odpowiedział żadnym gestem, usiadłem przy nim i go objąłem. – O co chodzi?

Pokazał na swoje usta.

– Nie możesz mówić. Wiesz dlaczego? Popłakując, skinął głową i pokazał na mój bok.

– Czy to sprawa Disiri?

Ponownie przytaknął. Potem siedzieliśmy obok siebie w milczeniu, aż ogień niemal wygasł, a ponieważ on nie mógł mówić, ja dużo mówiłem, o Disiri i swoich niedawnych przygodach. Na końcu powiedziałem: – Chciałeś, żebym wszedł do wnętrza góry, gdzie jest smok. Czy dlatego, że Disiri obiecała ci, że znowu będziesz mógł mówić, jeśli to zrobię?

Podniósł kawałek zwęglonego drewna i narysował na płaskim kamieniu długą kreskę, którą u góry przecinała krótka linia.

– Miecz? Skinął głową.

– Będiesz mógł mówić, kiedy zdobędę Eterne?

Przytaknął mi gorliwie i uśmiechnął się przez łyzy, a jego spojrzenie ożywiło się.

Wstałem.

– Zostaniesz tutaj. Musisz przypilnować konia, ale weź moje koce. Nie dotykaj kołczanu ani strzał. Wychowałeś się w lesie, prawda? Oczywiście. A zatem znasz się na wnykach. Pewnie jesteś głodny, a skończył nam się chleb i ser. – Zamilkłem na chwilę, żeby się zastanowić, a potem powiedziałem: – Na twoim miejscu nie próbowałbym wracać do Aelfrice.

Wyrzeźbiona w skale twarz gryfa (kiedy teraz znalazłem się przed nią, mogłem ją obejrzeć w świetle dnia) była większa, niż sobie wyobrażałem – ogromna, prastara i zniszczona czasem. Potężny dziób mógłby rozwalić autobus, a wielkie, wypukłe oczy patrzyły groźnie ze skalnego oblicza na wysokości połowy strzały z łuku. Coś mnie w nich zaniepokoiło, tak więc przyjrzałem im się dokładnie, lecz ostatecznie wzruszyłem tylko ramionami,

usiadłem na kamieniu i ściągnąłem buty i pończochy. Te oczy próbowały mi coś powiedzieć, lecz wiedziałem, że nigdy tego nie zrozumieć.

Źródło rzeki Gryf wylewało się z pyska gryfa, lodowate i spienione. Mimo iż woda nigdy nie sięgała mi wyżej niż do kolan, musiałem wsadzić buty za pas, żeby móc się przytrzymywać oboma rękami skalnej ściany, wspinając się pod prąd. Kiedy już wydawało się, że zaszedłem daleko w głąb góry, zatrzymałem się i spojrzałem za siebie. Wypełniony światłem dnia otwór pyska gryfa wydawał się równie oddalony i drogi jak Ameryka, o której wciąż od czasu do czasu myślałem; utracony raj, który oddalał się z każdym krokiem.

– Rycerz – powiedziałem do siebie – nie zawraca sobie głowy liczeniem wrogów. – Kolejny krok i jeszcze jeden. – Ale chciałbym odnaleźć Disiri – zobaczyć ją jeszcze raz, zanim tam pójde.

Ben, nie potrafię ci powiedzieć, skąd wiedziałem, że utracę wspomnienia nawet o niej. Ale wiedziałem.

Później, kiedy plamka światła dnia nie była większa niż gwiazda, powiedziałem:

– Szkoda, że nie ma ze mną Gylfa.

Ujrzałem przed sobą światło. Ruszyłem więc szybciej, zmagając się z wodą, która teraz była głębsza, za to płynęła wolniej, aż nagle zanurkowałem w ciemność. Wpadłem do studni, której nie widziałem i w której od razu się zanurzyłem, obciążony kolczugą. Przerażony, zacząłem ją ściągać, przełożyłem pod pasem miecza, zdjąłem przez głowę i pozwoliłem opaść na dno, zanim zrozumiałem, że nie grozi mi utonięcie. Wypłynąłem na powierzchnię (która wydawała się bardzo oddalona) i wyciągnąłem się na brzeg, parskając wodą, zziębnięty.

Gdy już odzyskałem oddech, zobaczyłem, że ogromna komnata, w której siedziałem skulony, nie jest całkiem ciemna. Dwa otwory widoczne wysoko na ścianie – oczy gryfa – wpuszczały słabe smugi światła dziennego, które skupiały się na ołtarzu, prosty i nieduży, ustawionym niedaleko ściany.

Upewniwszy się, że żyję i potrzebuję ruchu, wstałem i podszedłem do ołtarza, by mu się lepiej przyjrzeć. Od mojej strony był to ołtarz z gładkiego kamienia pozbawiony jakichkolwiek zdobień, także blat był prosty i mokry od kropel kapiących z sufitu niczym deszcz. Za to z drugiej strony ołtarz zdobiły rzeźbienia; wprawdzie słabe światło płynące z oczu gryfa nie pozwalało zobaczyć wyraźnie zakrętasów i floresów, ale powiodłem po nich palcami, odczytując: *Kantel, Ahlaw, Llo... Zawołaj, a przybędę.*

– Przecież nie rozumiem – powiedziałem do siebie – tego, co tu mówią, ani ich pisma. W jaki sposób więc udało mi się to odczytać? – I zaraz uzmysłowiłem sobie: – To jest pismo Aelfów!

Wyprostowałem się zdumiony. Tysiące wspomnień obmywały mnie niczym ciepłe, niebieskie fale tamtego krystalicznego morza – roześmiane Duchy Wodne, które zaniósły mnie do pieczary Garsecga, tonąca wyspa, długie, szybkie płynięcie, które zaprowadziło nas na Wieżę Glas.

Zawołaj, a przybędę.

– W takim razie wołam – powiedziałem. Moje słowa zabrzmiały głośniejsz, niż się tego spodziewałem, i odbijały się wielokrotnie echem o ściany komnaty. – Wzywam gryfa czy kogokolwiek, komu poświęcony jest ten ołtarz.

Moje słowa przycichły do szeptu. Nic się nie wydarzyło.

Wróciłem do studni, z której wypływała rzeka nazywana przez nas Gryf. W grocie, w której stałem, nie było ani miecza, ani gryfa czy smoka, za to gdzieś tam głęboko w studni zostały moje buty i wciśnięte w nie pończochy. Pewnie pływały gdzieś między dnem a powierzchnią. A także moja kolczuga, która pewnie opadła na samo dno.

Zdjąłem pas, wytarłem starannie Łamimiecz i sztylet, po czym się rozebrałem. Zanurkowałem, starając się przywołać w sobie kołysanie morza.

Woda była przeraźliwie zimna, za to krystalicznie czysta, tak czysta, że widziałem trochę w słabym świetle groty. Daleko w dole, gdzie światło prawie gasło, coś ciemnego przepląnęło obok mojej twarzy. Chwyciłem to i

zobaczyłem, że trzymam w ręku but. Uspokojony pozwoliłem prądowi unieść się w górę.

Wynurzyłem się gwałtownie na powierzchnię, wydając zwycięski okrzyk. Wyrzuciłem but na brzeg, podciągnąłem się i usiadłem na krawędzi studni, zziębnięty. Skoro znalazłem jeden but, to może znajdę i drugi. A jeśli znajdę oba, to być może uda mi się też odnaleźć kolczugę.

Wstałem i wylałem wodę z odzyskanego buta. Wciąż tkwiła w nim pończocha. Wykręciłem ją i zaniósłem całe ubranie w najsuchsze miejsce, jakie udało mi się znaleźć, w pewnej odległości za ołtarzem, gdzie grotła zwiężała się i opadała w głąb ziemi. Rozłożyłem koszulę i spodnie, po czym znowu zanurkowałem w studni.

Tym razem nie dopisało mi szczęście i wynurzyłem się na powierzchnię z pustymi rękami. Wyszedłem z wody zziębnięty i zmęczony, i postanowiłem zbadać dokładniej grotę, zanim ponowię swoje próby. Chciałem mieć trochę czasu, żeby odzyskać oddech i się rozgrzać.

Ciemna nisza za ołtarzem schodziła stromo przez jakieś dwadzieścia albo trzydzieści kroków, jak się przekonałem, a potem zanurzała się w ciemności bardziej nieprzeniknionej niż najciemniejsza noc. Kilkanaście majaczących w ścianach otworów prowadziło do małych pieczar, wszystkich mniej lub bardziej wilgotnych. Grengarm, pomyślałem, ma pewnie swoje gniazdo w samych korzeniach góry, gdzieś na końcu tego korytarza. Nie zobaczy mnie, to dobrze. Lecz z drugiej strony i ja nie będę w stanie zobaczyć Grengarma.

Wzdrygnąwszy się na wspomnienie Setra, zanurkowałem po raz kolejny i popłynąłem w dół tak długo, na jak długo starczyło mi powietrza w płucach, aż wreszcie trafiłem dłonią na coś, co przypominało kawałek rozmokniętego drewna.

Już na powierzchni przekonałem się, że jest to mój drugi but. Poczułem się, jak dziecko w Boże Narodzenie. Byłem tak słaby i zziębnięty, że przez chwilę bałem się, iż nie dam rady wyciągnąć się na brzeg studni, lecz potem zatańczyłem na wilgotnej kamiennej podłodze grotty, a nawet spróbowałem

wykonać kilka młynków, zanim wyjąłem pończochę i rozłożyłem ją obok pierwszej.

Jak już mówiłem, obie pończochy leżały w wejściu do korytarza za ołtarzem; kiedy spojrzałem w jego głąb, odkryłem, że wcale nie jest tam tak ciemno, jak mi się wcześniej wydawało. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że wcześniej zapamiętałem nieprzeniknioną ciemność z głębi przejścia i przeniósłem ją na początek korytarza.

To umysł płata ci dziwne sztuczki – pomyślałem. Potrafiłem czytać pismo Aelfów, choć niemal zapomniałem, że potrafię się nim posługiwać. Teraz, kiedy już wiedziałem, że to umiem, uznałem, że jest do jedna z umiejętności, jakie nabyłem w Aelfrice, zanim opuściłem pieczarę Parki. Aelfy wymazały wiele z mojej pamięci – kto wie dlaczego?

Zostałem pozbawiony wszystkich wspomnień z tamtego czasu. Jednak nie wymazały tego, co miałem komuś powiedzieć o ich kłopotach i krzywdach, jakie wycierpieli. Nie pamiętałem szczegółów, lecz musiały być w mojej pamięci podobnie jak kształty liter pisma Aelfów. „Posłali cię, byś opowiedział o ich krzywdach i uwielbieniu”, powiedziała mi Parka. Kiedy pozostawili w moim umyśle tę wiadomość, pozostawili mi też zapewne wiedzę o ich piśmie. Może musieli tak zrobić.

Pogrążony w podobnych rozmyślaniach, wróciłem do studni. Wiedziałem, że jeśli chcę odzyskać kolczugę, to będę musiał dać z siebie wszystko i dotrzeć do samego dna. Wskoczyłem wysoko i opadłem do wody jak strzała, by opuścić się jak najniżej.

Płynąłem w dół, aż poczułem ból w uszach, lecz wciąż widziałem przed sobą tylko wodę, tak więc zawróciłem.

Znowu zwiedzałem grootę, żeby się rozgrzać i odzyskać oddech, a potem znalazłem gładki kamień, na tyle ciężki, że z trudem go podniosłem, i skoczyłem z nim do studni. Kamień ciągnął mnie w dół, aż zgasło światło. A potem woda jakby się zmieniła (tak mi się wydawało) – wciąż była zimna, ale zupełnie inna niż nawet najzimniejsze i najbardziej przesycone wilgocią

powietrze. I wcale mnie nie dusiła. To była woda, która już nie chciała mnie utopić.

Zdziwiony i przestraszony wypuściłem kamień i zacząłem się unosić biernie w górę, a potem popłynąłem z całych sił, aż znowu ujrzałem malutki krążek niebieskiego światła u góry studni.

Tym razem wystrzeliłem z wody, zziębnięty i zmęczony, lecz nie całkiem pozbawiony oddechu. Tam w dole jest Aelfrice, pomyślałem. Woda w Aelfrice wie, kim jestem.

Przypomniałem sobie, że staw, w którym zanurkowałem na Wyspie Glas, ma swoje dno w Aelfrice. Podobnie morze, a przynajmniej tak się wydawało, kiedy Duchy Wodne zanurzyły się w nim ze mną. Jak równie staw, w którego głębi zniknął skrzydlaty mężczyzna. Nie było powodu, dla którego także i ta studnia nie miałaby mnie zaprowadzić do Aelfrice, choć podejrzewałem, że nie zaprowadzi tam każdego.

– W końcu nie jestem każdym. – Tym razem wybrałem dwa mniejsze, kształtne kamienie.

Coś się poruszyło w zimnej, ślepej toni. Nie czułem tego bezpośrednio, lecz wyczuwałem delikatne prądy, jakie wytwarzało. A potem, wciąż trzymając w rękach swój balast, poczułem coś innego. Coś szorstkiego i twardego. Wypuściłem jeden kamień, chwyciłem to coś, a potem pozbyłem się drugiego kamienia.

Mój powrót na powierzchnię był piekielnie bolesny. Kilka razy omal nie wypuściłem tego czegoś śliskiego i bezkształtnego, co ciągnęło mnie w dół. Sądząc po ciężarze i dotyku, domyślałem się, że jest to moja podwójna kolczuga, którą zdobyłem od Nytira, lecz czułem, że coś się w nią zaplątało – coś długiego, nieporęcznego, sztywnego i nierównego.

Gdy wreszcie dotarłem na powierzchnię i chwyciłem się jedną ręką brzegu studni, wyciągnąłem cały ciężar na kamienną podłogę pieczary; jeszcze raz się zanurzyłem, lecz zaraz powróciłem na powierzchnię, gdy już miałem wolne obie ręce. Śmiertelnie wykończony, wyciągnąłem się na brzeg

wyniesiony nagłym pchnięciem podnoszącej się wody, które wydawało się o wiele mocniejsze niż poprzednim razem.

Osuszyłem się na tyle, na ile to było możliwe, wyczesując palcami wodę z włosów, a dzwonienie w uszach nie pozwalało mi usłyszeć cichej muzyki, jaka płynęła echem przez grotę. Otrząsnąłem się, wyplułem resztki wody i potrząsnąłem głową...

I wtedy usłyszałem muzykę.

Upiorna, okaleczona fałszywymi akordami, głośniejsza i cichnąca, obca i znajoma jednocześnie, strzeliła jak płomień, a potem rozbrzmiała pieśnią podobną do pieśni łabędzia, któremu strzała odebrała życie. Przeraziła mnie bardzo, lecz jednocześnie wypełniła tęsknotą za miejscem, którego nie pamiętałem.

Okrażając ołtarz, pobiegłem tam, gdzie zostawiłem ubranie. W głębi korytarza tańczyły światełka nie większe niż świetliki.

Ubrałem się najszybciej jak potrafiłem i wcisnąłem z trudem stopy w mokre buty, mając uczucie, że zaraz połamię w nich wszystkie kości.

Wydobyta przeze mnie z dna studni kolczuga była wplątana w wodorosty i pokryta błotem. Opłukałem ją wodą, która miała stać się rzeką Gryf. W pewnej chwili zobaczyłem, że jest do niej przyczepiony solidny pas z metalowych kółek, z którego zwisała inkrustowana klejnotami pochwa. Wysunąłem miecz do połowy, by mu się przyjrzeć. Był czarny, pokryty srebrnymi cętkami, co mi przypomniało nóż, który widziałem w Forcetti.

Obróciłem miecz. Czy rzeczywiście są to cętki? A nie znaki? A może tylko tak pociemniał, leżąc długo w wodzie? W jednej chwili wydawało mi się, że dostrzegam na nim jakieś pismo, w następnej już nic nie widziałem. Rękojeść, teraz nieco pozieleniała, mogła być ze złota albo z brązu.

Do muzyki dołączył tysiąc czysto brzmiących głosów, które zlały się w pieśń podobną do pieśni kościelnej. Włożyłem szybko kolczugę, która teraz wydała mi się lżejsza niż przedtem.

Mój pas z mieczem wciąż leżał na podłodze pieczary. Biegłem po niego,

gdy studnia bluznęła wodą. Rozlała się po podłodze, rozbryzgując piankę aż po sufit. Z wody wynurzył się pysk podobny do wraku rozbitego okrętu. Ujrawszy go, ukryłem się w jednej z mniejszych nisz, niedużej pieczarze, gdzie przykleknąłem za dużym kamieniem i opasałem się pasem z drucianej siatki, odpinając zdobiony drogim kamieniem zatrzask szybciej, niż mogłem się spodziewać.

Kiedy znowu podniosłem głowę, głowa smoka znajdowała się już nad powierzchnią wody. W słabym świetle jego łuski wydawały się czarne, a jego oczy płonęły ciemnością, która zwykłą czerń zamienia w szarość, ciemnością, która wchłania w siebie każdą plamkę światła.

Smok prostował kolejne zwoje swojego cielska i pewnie by rozłożył skrzydła, gdyby tylko mógł, lecz rozmiary grotu mu na to nie pozwalały, mimo iż była wysoka i szeroka. Skrzydła smoka, na wpół tylko rozłożone, wypełniły ją w całości, tak że wydawało się przez jakiś czas, że przesłoniły ją zasłony z cienkiej czarnej skóry – zasłony zwisające okrutnych, zakrzywionych szponów czarnych jak heban.

Zielononiebieskie, wielobarwne i o skórze koloru ognia były Aelfy, które maszerując i śpiewając, wylały się z korytarza, by powitać Grengarma, za to czarna była szata związanej kobiety, którą położyli na jego ołtarzu; długie kręcone czarne włosy nie całkiem zakrywały jej nagość. Skóra pod nimi była mlecznobiała.

Patrzyłem, zachwycony jej pięknem, lecz nie do końca pewny, czy jest człowiekiem.

Jeden z Aelfów, ubrany w szatę, z brodą, wskazał na nią i powiedział coś do Grengarma, co jednak zostało zagłuszone przez muzykę i śpiew, po czym opadł na kolana i skłonił nisko głowę nad kamienną podłogą.

Pysk Grengarma otworzył się i grotę wypełnił głos potężny jak bicie stu bębnow.

– Przychodźcie z włóczyniami. Z mieczami. – Jego wygięte kły były dłuższe niż ich miecze i ostrzejsze niż włócznie. – Co będzie, jeśli

Grengarmowi nie spodoba się wasza ofiara?

Śpiew ucichł. Zamilkły harfy, rogi i flety. Gdzieś w oddali rozbrzmiewały miridangi, podzwaniały cymbałki i sistry. Moje serce zabiło ożywione, a ja wiedziałem, że tańczyłem kiedyś tak samo jak nadchodzący tancerze.

To były panny Aelfów, dwadzieścia, a może więcej, nagie, podobnie jak kobieta złożona na ołtarzu, w koronach płynących włosów; podskakując i obracając się, każda tańczyła w rytm własnej melodii, a może jakiejś ukrytej muzyki, w rytm dźwięków sistr, cymbałków i miridang zbyt skomplikowany, bym potrafił go zrozumieć. Nie przestając grać, wirowały i opadały, drobiły kroczyki i pląsały; dostrzegłem wśród nich Uri.

Grengarm złożył skrzydła i przysunął się do ołtarza w taki sposób, w jaki poruszają się duże węże. Tancerki rozpierzchnęły się, ja zaś, niemal podświadomie, sięgnąłem po miecz, który dopiero co znalazłem.

Rycerz-duch stanął przed Grengarmem niemal w tej samej chwili, gdy mój miecz wynurzył się z pochwy, rycerz, który z mieczem wzniesionym nad głowę zawołał:

– Poddaj się! Poddaj się, bestio! Albo zgiń!

Grengarm

Smok uniósł się niczym kobra, a na jego karku podniosły się skrzydła mniejsze od tych na grzbiecie.

– Kto odwalił twój kamień, cieniu, że wstałeś i stajesz przeciw Grengarmowi?

– Jaki kamień odwalono – odparł rycerz-duch – że wypełzłeś spod niego, duchu?

Brodaty Aelf, który wciąż klęczał, zawołał:

– To nie nasze dzieło, panie. Wyczuwam w tym rękę Setra.

– Ręka Setra jest silniejsza. – Mogło się wydawać, że głos Grengarma wyraża rozbawienie. – Cieniu, rycerzu widmo, co zrobisz, jeśli spalę hizop? Albo przywołam bogów waszych zmarłych? Czy nie rozwieje cię wtedy mój jeden słaby oddech?

Wiedziałem, jaki miecz trzymam w dłoni, kiedy wyłoniłem się z kryjówki.

Grengarm poruszył się szybciej, niż potrafiłem sobie to wyobrazić, a jego atak poprzedził strumień ognia, tak samo jak sygnał trąbki poprzedza atak. Trzymając miecz w obu dłoniach, wykonałem pchnięcie – oślepiony częściowo dymem i ogniem usłyszałem grzechot klingi między kiami – a potem wykonałem cięcie, i jeszcze jedno i kolejne, a czarna klinga o dwóch ostrzach cięła ciało, łamała łuski i kości przy każdym uderzeniu.

Ramię w ramię walczyli ze mną rycerze, którzy wydawali się niemal prawdziwi, dzielni mężowie, których spojrzenia zdawały się być skupione całkowicie na obliczu Hel; a w szeregach Grengarma, dzierżąc w dłoniach włócznie, tarcze i smukłe miecze, walczyli Aelfowie, którzy padali ranni i umierali, tak jak umierają w bitwie ludzie.

Grengarm wycofał się, gotowy wrócić do studni, lecz razem z tuzinem rycerzy zastąpiliśmy mu drogę. Wtedy uskoczył w bok szybki jak błyskawica...

I zniknął. Krew popłynęła z ust żalosego karła, który umykał do pędzącej wody. Skoczyłem za nim. Ogień zagroził mi drogę. Karzeł skoczył do rzeki Gryf i przepadł.

Aelfy walczyły dalej, lecz rycerze-duchy otoczyli ich z bojowymi okrzykami na ustach, których nie słyszały nawet najstarsze drzewa. Z głębin czasu popłynął dudniący tętent końskich kopyt.

Eterne łamał miecze Aelfów i rozłupywał głowy tak długo, aż ostatni żywy Aelf uciekł ciemnym korytarzem. Zdyszany, odwróciłem się do kobiety na ołtarzu.

Aelf, szary jak popiół, przeciął jej więzy złamanym mieczem. Głowę miał niemal odciętą, tak że krew spływała po jego palcach na jej mlecznobiałą skórę i kruczoczarne włosy, mimo to zawzięcie piłował, obracając się to w jedną stronę, to w drugą, by pokazać rozcięte pęta.

Kobieta zawołała:

– Schowaj miecz i odżegnaj te zjawy, zanim nas skrzywdzą. I proszę – błagam – uwolnij mnie.

Zwróciłem się do jednego z rycerzy-duchów. (Zdjął hełm, a mówię ci, Ben, jego twarz wyrażała tak straszny smutek, że aż ścisnęło serce).

– Kim jesteście? – zapytałem. – Czy powinienem pójść za radą tej kobiety? Na mój honor, nie odeślę was, zanim wam nie podziękuję.

Zebraли się wokół mnie, bąkając cicho, że wypełnili tylko swoją powinność. Ich głosy były suche i puste, jakby przebiegły sztukmistrz pociągał za sznurek przez tykwę, żeby przemówiła.

– Jesteśmy rycerzami – przemówił rycerz, do którego wcześniej się zwróciłem – którzy niegodnie dzierżyli Eterne.

– Mądrze postąpisz – odezwał się inny – jeśli pójdziesz za jej radą. Lecz niemądrze, gdy jej zaufasz.

– Uwolnij mnie i daj mi się napić. Masz wino? – zawołała kobieta z ołtarza.

Rozmawiałem jeszcze dłużej z rycerzami-duchami, ale teraz nie powiem ci o czym. Potem jeden z nich przyniósł bukłak, który wyglądał jak bukłak na wino, a który upuścił Aelf. Wyjął zamknięcie i wlał do jego pustej części z drugiej strony trochę wina. Tak robią w Aelfrice. Po zapachu poznałem, że to mocna brandy, nawet nie musiałem próbować.

Wytarłem klingę Eterne we włosy zabitego Aelfa i schowałem miecz do pochwy z zamiarem napicia się wina – i wtedy rycerze znikli. Wyobraź sobie salę pełną zapalonych świec. W pewnym momencie przepływa przez nią powiew wiatru i świece gasną. Tam samo było z rycerzami.

Bukłak upadł na kamienną podłogę groty, tak że prawie cała jego zawartość się wylała, lecz zdążyłem go szybko podnieść, by uratować trochę trunku. Zniosłem ją kobiecie na ołtarzu, a potem przyniosłem mój stary pas z mieczem, przeciąłem jej więzy sztyletem i nalałem jej brandy.

Podziękowała mi i włożyła palec do kubka. Wystrzelił niebieski płomień, a ona wypijała płonący trunek.

– Dobry panie! Uśmiechnęła się.

– Powiedzmy „dobry rycerzu”. – Poglądziła mój policzek. – Nie jestem żadnym panem, panie rycerzu. Ani damą. Jesteś poddanym mojego brata?

Wyjaśniłem, że jestem rycerzem z Sheerwall.

– A zatem jesteś, a kiedy spotkamy się ponownie, pokłonisz mi się, a ja odpowiem uśmiechem, och, jakże zimnym uśmiechem! Jej oddech pachniał brandy. – Ale nie jesteśmy na dworze – co robisz?

Zdejmowałem właśnie płaszcz, by ją okryć.

– Jest jeszcze mokry – ostrzegłem ją.

– Osuszę go. – Zeszła z ołtarza, smukła i kołysząca się niczym wierzba podczas burzy, i pozwoliła, bym zarzucił jej płaszcz na ramiona. Mówią, że jestem wysoki, lecz płaszcz, który mnie sięgał do kostek, jej nie zakrył nawet kolan.

– Oboje będziemy bardziej mokrzy niż ten płaszcz, Wasza Wysokość, zanim opuścimy to miejsce.

Podniosła wyżej pusty bukłak.

– Dla mnie to przynieśli. – Roześmiała się i odrzuciła bukłak na bok, a jej śmiech zabrzmiał cudownie i nieludzko.

– Ach, ta dbałość moich dawnych strażników! „Niech będzie otumaniona i głupia do czasu, gdy znajdzie się w pysku Grengarma”. Szkoda, że nie mamy więcej araku.

Zacząłem się rozglądać za innym bukłakiem, lecz mnie powstrzymała.

– Nie ma więcej, a szkoda – osuszyłbyś się. Jeśli chodzi o mnie, to nie będę mokra, a zanim odejdę, mój dobry rycerzu, wyjawię ci wielką tajemnicę. – Nachyliła się do mnie i wyszeptała: – Gdyby ten, który zrobił ten ołtarz, połknął mnie, byłby tu równie prawdziwy jak Muspel.

Gdy ucichło jej ostatnie słowo, mój płaszcz opadł pusty na podłogę, a wraz z nim martwy Aelf.

Kiedy wydostałem się na zewnątrz, nie było tam nikogo poza mną. Wyszedłem powoli ze strumienia, stawiając ostrożnie kolejne kroki, świadomy tego, że nie chcę znowu wpaść do wody. Z całego doświadczenia tamtych wydarzeń najlepiej pamiętałem (i prawie nic więcej) to, jak bardzo byłem zmęczony.

W obozie, w którym rozpaliliśmy ognisko i spętałem białego ogiera, jakiego dostałem od lorda Beela, miałem szmaty i flaszkę z oliwą. Bardzo chciałem wrócić do nich i naoliwić dziwną kolczugę, którą wyciągnąłem ze studni. Pamiętam, że spojrzałem na nią w blasku słońca i zobaczyłem, że co piąty pierścień jest zrobiony ze złota. Chciałem też naoliwić swój sztylet, a także Łamimiecz, który cały czas miałem ze sobą, ale najbardziej zależało mi na tym, żeby zająć się Eterne. Jednak musiałbym go obnażyć i wyczyścić jego brzeszczot, a wtedy zjawiliby się rycerze-duchy, o czym wiedziałem, a do czego nie chciałem dopuścić, lecz nie wiedziałem, jak temu zapobiec. Niepokoiła mnie też sama pochwa. Teraz była złota, wysadzana drogimi

kamieniami, lecz wiedziałem, że wcześniej była czymś obłożona, drewnem pewnie, które pewnie zbutwiało, jak się obawiałem.

Gdzieś za mną przemówił głośny, niski głos gryfa:

– Chcesz go zobaczyć? Spójrz na zachód.

Tymczasem ja spojrzałem na gryfa. Wlepiłem w niego wzrok. Był cały biały z wyjątkiem dzioba i cudownych złotych szponów.

– Spójrz na zachód – powtórzył.

Spojrzałem wreszcie. Od zachodu nadciągała burza i pioruny zaczęły kąsać słońce; na tle ciemnej burzy przemknęło jeszcze coś ciemniejszego.

– Tak. Oszczędzisz go? – Ze swojego miejsca na skalnej ścianie gryf spadł do wąwozu tak gwałtownie, że aż zadrżała ziemia. – Czy też go zniszczysz?

– Nie mogę – odparłem. – Zabiłbym go, gdybym mógł.

– Potrafię fruwać równie szybko jak on, a nawet szybciej. Polecisz ze mną? – Orła twarz patrzyła na mnie z góry, a szpony wpite w skałę mogły mnie pochwycić tak, jak dziecko chwyta lalkę.

Wśród rycerzy walczących u mego boku nie było Ravda, lecz wydało mi się, że jego duch stał u mego boku, kiedy powiedziałem:

– Polecę.

Gryf skinął głową, powoli, majestatycznie. Czekałem, szukając odpoczynku, świadomy że czeka mnie decydująca bitwa, a wtedy gryf uczynił coś, co mnie zupełnie zaskoczyło. Odwrócił się i, spojrzawszy w dół wąwozu, zawołał:

– Toug!

Toug zjawił się niemal natychmiast, co oznaczało, że musiał obserwować wszystko z jakiejś kryjówki.

– Oto twój łuk, sir Able – rzekł Toug – a także twoje strzały i hełm. Zostawiłeś je.

Wziąłem od niego strzały, łuk i hełm i oddałem mu Łamimiecz z pasem.

– Odzyskałeś mowę.

– Tak, sir Able, ponieważ ty dostałeś swój miecz. Czekałem, a on

rozmawiał ze mną...

Spojrzałem znowu na gryfa.

– Tak, on, i powiedział, że mogę iść, jeśli tylko ty nie masz nic przeciwko temu, ponieważ widział, że bardzo chcę, tylko nie potrafię tego wyrazić, a potem już mogłem, i wiedzieliśmy, że go masz i że wszystko będzie dobrze. Tak więc czy mogę, sir Able? Mogę iść z tobą?

– Czy wolno mi – poprawiłem go i wydało mi się, że czuję na ramieniu dłoń Ravda, choć go nie widziałem.

Unosiliśmy się na grzbiecie gryfa, na wpół zanurzeni w jego białych piórach, ja z przodu, a Toug za mną.

– Zostaniesz rycerzem, jeśli dożyjesz tej chwili – powiedziałem do niego, przekrzykując szum skrzydeł – nie wyobrażam sobie innego życia dla ciebie.

– Wiem – odparł Toug. Obejmował mnie mocno ramionami jak pijawka.

Czułem na sobie ducha przepowiedni, ducha, który przychodzi do tych, którzy mają zginąć.

– Będziesz rycerzem – powtórzyłem, wiedząc, że w głębi serca Toug – chłopak na granicy wieku męskiego – już jest rycerzem. – Ale żaden z twoich rycerskich czynów nie dorówna temu. Prosiłeś o przysługę i wyświadczyłem ci ją. Teraz ja cię proszę cię o przysługę.

– Tak, sir Able – mówił, szcękając zębami. – Proś, cokolwiek.

– Powiedz „zgoda”, cokolwiek by to było.

– Zgoda, cokolwiek by to było – powtórzył. – Tylko nie każ mi skakać – dodał, spoglądając w dół na szarozielone morze widoczne daleko w dole.

– Chcę, żebyś kazał namalować tego gryfa na swojej tarczy. Zrobisz to?

– Ty, ty powinieneś to zrobić, sir Able.

– Nie. Odmawiasz mi przysługi?

– Nie, sir Able. Tak uczynię.

Gryf spojrzał na nas, a potem w dół; idąc za jego spojrzeniem, ujrzałem w morzu Grengarma.

Gryf pomknął w dół jak piorun z wyciągniętymi przed siebie szponami;

Grengarm także zanurkował niczym wieloryb, lecz wcześniej dosięgła go moja strzała.

Przemknęliśmy nad falami, a ja, gdy je ujrzałem i poczułem ich ciepły i słony zapach, zapałałem do nich miłością, taką jaką pała mężczyzna do kobiety.

– Musi wyjść, żeby zaczerpnąć powietrza – powiedział do nas gryf. Mówił w rytm uderzeń skrzydeł, każda sylaba odpowiadała ruchowi w dół, który utrzymywał nas w górze. – Ale to może potrwać, a poza tym może się wynurzyć gdzieś daleko.

Wznieśliśmy się, zataczając koła, a powietrze wokół nas oziębilo się.

– Jeśli się wynurzy nocą – powiedziałem – to go nie zobaczymy.

– Zobaczymy – obiecał gryf.

Zapadał już zmierzch, kiedy gryf ponownie pomknął w dół, a moja strzała utkwiała w karku Grengarma za jego łbem.

Kiedy wynurzył się po raz trzeci w porze, gdy słońce skryło się za zachodnimi wyspami, już nie zanurkował, lecz bił ogromnymi, czarnymi skrzydłami, broniąc się przed falami i wzniósł się wyżej niczym bażant umykającymi przed psami. Podążaliśmy za nim długo, wznosząc się wyżej, aż ujrzeliśmy pod sobą milion gwiazd podobnych do diamentów rozrzuconych po kocu chmury.

Dopadliśmy naszą ofiarę między księżycem a zamkiem Valfathera. Gryf i smok zmierzyli się w pojedynku, z którego tylko jeden mógł wyjść zwycięsko, tak wysoko, że zamek (którego lśniące wieże wznoszą się z sześciu ścian, tak że dla mniej spostrzegawczych przypominał najeżoną gwiazdę) wydawał się o wiele większy niż ciemny Mythgarthr. Z jego blanków spoglądało wielu wiwatujących ludzi, a w oknach każdej z wież widniała uradowana twarz.

Kiedy zęby Grengarma zacisnęły się na gardle gryfa, przesiadłem się na grzbiet smoka, ogłuszony wiatrem wznieconym siłą ich skrzydeł, z Eterne w dłoni, a tuzin rycerzy-duchów rozpierzchnął się niczym garść brązowych liści.

A potem zanurzyłem klingę sławnego miecza tam, gdzie wcześniej pokazała mi drogę moja strzała, i poczułem, jak Grengarm zdycha. Jego bijące mocno skrzydła osłabły, a gryf nie potrafił go już dłużej utrzymać. Gdy zaczęliśmy opadać, wyciągnąłem miecz ze śmiertelnej rany i obmyłem go na wietrze, rozsiewając po niebie krople smoczej krwi.

A potem schowałem miecz do pochwy przekonany, że nawet jeśli polegnę, to miecz powinien pozostać razem z nią.

I właśnie wtedy duchy znikły, a Grengarm skierował ku mnie swój straszliwy łeb, obracając go na swojej potężnej szyi, i rozwarł pysk. A ja, spoglądając w jego wnętrze niczym w twarz śmierci, zrozumiałem pewne rzeczy, które wcześniej pozostawały dla mnie niezrozumiałe.

I ujrzałem galopującego konia, którego podkute srebrem kopyta niosły szybciej ku ziemi niż skrzydła gryfa. Panna, która dosiadała konia, próbowała mnie pochwycić, lecz jej się nie udało; za nią jechała następna, a za tamtą jeszcze jedna, która krzyczała radośnie i galopowała po rozgwieżdzonym niebie, popędzając swojego wierzchowca wodzami; i dopiero ta trzecia zdołała mnie chwycić, opasując moje plecy silnym ramieniem i wsuwając je pod moje prawe ramię, co pozwoliło jej przenieść mnie na swoje siodło przed sobą, tak jak ja posadziłem przed sobą Touga, kiedy nie mógł mówić. Obejrzałem się, by spojrzeć na nią i zobaczyłem, że choć sam uchodzę za wojownika, to głową sięgam jej zaledwie do brody.

– Jestem Alvit! – zawołała panna. – Ty nie musisz się przedstawiać! Znamy twoje imię!

Opuściliśmy się na tyle nisko, że chmury znalazły się nad nami, a biały ogier Alvit galopował w górę zbocza chmurnej góry, niezmordowanie, równo. A gdy dotarł już na szczyt chmury, popędził dalej, dudniąc kopytami na powietrznym trakcie.

– To najwspanialsza rzecz na świecie – powiedziałem, przekonany, że mówię do siebie, że moje słowa porwał pęd powietrza.

Lecz po chwili Alvit odpowiedziała:

– Nie najwspanialsza, ale coś nie z tego świata. Kochasz dobry pojedynek, sir Able?

– Nie – odparłem i zajrzałem do swojej duszy. – Walczę, kiedy nakazuje mi honor, i walczę, czym tylko mogę. I wygrywam, jak tylko potrafię.

Roześmiała się i objęła mnie mocniej, a jej śmiech zabrzmiał jak ten dziwny i przyprawiający o dreszcz odgłos płynący z nieba, który czasem słyszą mężczyźni i zastanawiają się, co to było.

– Wystarczy tego, a ty spodobałeś się memu sercu. Czy obronisz nas przed gigantami Zimy i Starej Nocy? Obronisz nas, jeśli poprowadzimy cię w bitwie?

– Zawsze będę was bronił – odpowiedziałem jej – i nie musicie mnie prowadzić. Nikt nie musi mnie prowadzić. Sam pójdę do przodu, gdy zabraknie przywódcy.

Pochyliła się i pocałowała mnie, kiedy skończyłem mówić, a był to pocałunek, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłem i nigdy nie doświadczę, pocałunek, który zamienił moje członki w żelazo i rozpalił ogień w mojej piersi.

A potem jej wierzchołek obrócił się w niezrozumiały sposób i zobaczyłem, że zamek Valfathera, który wcześniej wydawał się być nad nim, teraz znalazł się pod spodem i chwilę później srebrne podkowy zadzwoniły na krystalicznym bruku dziedzińca.